Józef Wiłkomirski

LATA 1926-2006

Wspomnienia nie tylko muzyczne





Józef Wiłkomirski

LATA 1926-2006

Wspomnienia nie tylko muzyczne

TOM I

Józef Wiłkomirski

LATA 1926 – 2006
Wspomnienia nie tylko muzyczne

Wydawca
Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej
58 – 300 Wałbrzych, Rynek 9
tel. 0 601 786 530 e-mail: sit_walbrzych@onet.eu

Opieka redakcyjna
Elżbieta Gargała

Zdjęcia
ze zbiorów Józefa Wiłkomirskiego
Janusz Dąbrowski
Dariusz Gdesz
Tadeusz Rupociński

Projekt okładek, stron tytułowych i zdjęciowych
Agencja Wydawniczo – Reklamowa INFO-TEKST
e-mail: infotekst@wp.pl

Skład i łamanie tekstu
Krzysztof Redo

Druk i oprawa
Drukarnia Poldruk Józef Grzywa, Marek Kawka sc
58 – 309 Wałbrzych, ul. Wrocławska 39a
e-mail: poldruk@poldruk.com.pl
www.poldruk.com.pl

Copyright by
Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej

Wydanie I

Wałbrzych 2009

ISBN 978–83-930022–0-7

Dziękuję wszystkim, bez których pomocy, życzliwości, troski, zainteresowania książka ta nie zostałaby wydana.

Osobne podziękowania jednak należą się Stowarzyszeniu Inteligencji Twórczej w Wałbrzychu, a szczególnie jego prezes, redaktor Elżbiecie Marii Kokowskiej, której energia pokonała wszelkie przeszkody.

I wreszcie specjalne podziękowanie żonie Małgorzacie i córce Wiośnie, głównym inspiratorkom napisania tej autobiografii.

Józef Wiłkomirski

Wałbrzych, listopad 2009

WSTĘP

Małgorzata – moja żona i Wiosna – moja córka od paru lat coraz bardziej natarczywie domagają się, abym zaczął pisać wspomnienia z mojego – jakże długiego - życia. Ja nadal nie jestem jednak w pełni przekonany, czy powinienem to robić. Czy moje życie było na tyle interesujące, aby opowiadać o nim komukolwiek? I utrwalić je na papierze?

Przeczytałem dziesiątki (a może nawet setki) przeróżnych biografii i autobiografii, wspomnień i pamiętników, dzienników i listów. Pisanych przez najrozmaitszych ludzi: wielkich i małych, naukowców i artystów, polityków i wojskowych. Niektóre były pasjonujące i dostarczały ogromnej ilości informacji oraz materiału do przemyśleń. Ale wiele było jedynie żałosną próbą uratowania od zapomnienia swojej osoby i jakichś tam dokonań. Niektóre zaś obnażały małość charakteru autora przez niewybredne ataki na współczesnych mu ludzi. I w dodatku pełne kłamstw.

A teraz wracam do wcześniejszych pytań. Czy moja działalność zawodowa i społeczna warta jest przypomnienia i utrwalenia? Czy moje przemyślenia godne są przekazania innym ludziom? Czy potrafię właściwie opowiedzieć o wydarzeniach, w których brałem czynny udział? I wreszcie czy mam prawo relacjonować to wszystko, co widziałem i słyszałem, a co nazywa się historią?

Właśnie – „historią". Gűnther Grass napisał o sobie, że był niewolnikiem historii. Pomimo szacunku dla znakomitego pisarza nie mogę zgodzić się z takim personifikowaniem słowa „historia". Tadeusz Kotarbiński walczył przeciwko nieuprawnionemu hipostazowaniu. Historia nie ma i mieć nie może niewolników Historia to – jak wiadomo – proces i nauka o tym procesie, a nie osoba. Ujmując najkrócej, wszyscy – czy chcemy czy nie – żyjemy w historii, a także w mniejszym lub większym stopniu możemy wpływać na jej przebieg. I odwrotnie, jesteśmy niemal całkowicie uzależnieni od wydarzeń historycznych.

Zostawmy jednak te rozważania i wróćmy raz jeszcze do zasadniczych pytań: czy warto, czy należy, czy powinienem pisać swoją biografię?

Doprawdy nie wiem. Z jednej strony odczuwam pokusę utrwalenia na piśmie tego, co przeżyłem. Z drugiej jednak strony obawiam się, że jest to przejaw megalomanii. Moi znajomi zgodnie namawiają mnie do jak najszybszego spisywania wspomnień. Jeden z dziennikarzy w czasie jakiejś konferencji prasowej krzyknął nawet „Pańskie wspomnienia są ważniejsze niż praca w Filharmonii!".

Dzielę się tymi wątpliwościami z ewentualnym przyszłym czytelnikiem, aby usprawiedliwić swoją decyzję napisania tej autobiografii. Pomimo wyrażonych wyżej zastrzeżeń.

I jeszcze jedno istotne wyjaśnienie. Celowo zrezygnowałem z szerszych relacji o życiu i działalności najbliższych nawet mi osób. A spotykałem się z tym w licznych autobiografiach. Uważam to za niesłuszne i nieuprawnione. Niesłuszne, ponieważ naruszałoby tok narracji, a nieuprawnione, ponieważ te osoby mogłyby sobie nie życzyć, abym o nich pisał. Ponadto w takich relacjach mógłbym najzupełniej błędnie (choć nieświadomie) oceniać fakty z życia i pracy drugiej osoby. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Tak więc pisząc o bliskich mi osobach, ograniczyłem się do niezbędnych, skrótowych informacji, mających bezpośredni związek z moim życiem.

A na zakończenie tych wstępnych uwag zapewniam, że pisać będę wyłącznie o tym, w czym brałem bezpośredni udział i co widziałem na własne oczy. Dlatego też nie rozpocznę tej autobiografii od jakże często używanego zwrotu „urodziłem się". Pomimo iż oczywistość tego stwierdzenia jest niewątpliwa. Gdybym się nie urodził – nie mógłbym pisać wspomnień mojego życia. Ale ponieważ nikt nie może pamiętać momentu swojego urodzenia – rezygnuję z użycia zwrotu „urodziłem się". O wiele właściwsze będzie napisanie: „ Jak mi mówiono – urodziłem się…". I dlatego w całej tej autobiografii będę – powtarzam z naciskiem – pisał tylko o tym, w czym brałem czynny lub bierny udział. O tym, co robiłem i widziałem. Przy wspominaniu wszystkich innych faktów i ludzi, będę zawsze używał takich zwrotów jak: „mówiono mi", „słyszałem", „dowiedziałem się", „podobno". Uważam, że jest to jedyny właściwy i uczciwy sposób, który może zapewnić moim wspomnieniom wiarygodność.

Autor

Rozdział I

RODZINA

Legendy rodzinne

Przypuszczam, że większość rodzin przechowuje legendy o bliższych i dalszych przodkach. Legendy, czyli opowieści podawane z ust do ust i rzadko potwierdzane jakimikolwiek dokumentami. Również w mojej rodzinie istniało wiele legend. Niektóre dotyczyły odległych czasów, inne żyjących jeszcze członków rodziny. Przytoczę niektóre z nich, ponieważ nie można wykluczyć, że zawierały jakąś prawdę. Ponadto są przyczynkiem do atmosfery, w której dorastałem.

Ojciec twierdził, że nasza rodzina, a właściwie ród, pochodził z Litwy. Jako dowód przytaczał nazwę starego miasta (czy może raczej miasteczka) Wiłkomierz, które jakoby należało do naszego bojarskiego rodu. Istotnie o Wiłkomierzu znajduje się wzmianka w III tomie „Potopu", kiedy to Kmicic ścigał Szwedów uciekających w kierunku Wiłkomierza (rozdział XXVIII). Jako ciekawostkę podaję, że obecnie Wiłkomierz nazywa się Ukmerge i jest 30-tysięcznym miastem.

Wiele lat później czytając uroczą książeczkę pod tytułem „Listy miłosne dawnych Polaków", znalazłem wzmianki o rodzinie Wiłkomirskich. Przytaczam je na dowód, że – być może – w opowiadaniach ojca była cząstka prawdy.

Książę Bogusław Radziwiłł pisze z Królewca 20 maja 1665 roku do bratanicy, księżniczki Anny Marii, córki księcia Janusza: „P. Marszałkowi Wiłkomirskiemu zleciłem konferencję z Oficjałem Żmudzkim, ale zachorował i leży w Wilnie teraz". A 8 sierpnia tegoż roku donosi: „Niezmiernie sturbowany będąc śmiercią nieboszczyka P. Marszałka Wiłkomirskiego…"

Kolejne potwierdzenie „starożytności" naszej rodziny było bardzo zabawne. W roku 1967 miałem koncert w Belgradzie. Solistką była jugosłowiańska (czy może raczej trzeba obecnie pisać – serbska) skrzypaczka. Mieszkała razem z siostrą i jej mężem w pięknym domu pod miastem. Zostałem tam zaproszony na obiad razem z attaché kulturalnym ambasady polskiej. Attaché zabrał mnie samochodem z hotelu i zaraz po przywitaniu szwagier mojej solistki oświadczył, że jeszcze przed wojną studiował historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Badając stosunki polsko-litewskie zetknął się z nazwiskiem kniaziów Wiłkomirskich. Odpowiedziałem, że to raczej niemożliwe i że mój rozmówca pomylił nasze nazwisko z podobnie brzmiącym książęcym rodem Lubomirskich. Gospodarz stanowczo wykluczył możliwość pomylenia polskiego księcia z litewskim kniaziem. W czasie tej wymiany zdań raz po raz patrzyłem z rozbawieniem na minę attaché ambasady PRL. Nie bardzo wiedział, jak się zachować w dyskusji o kniaziowskim pochodzeniu artysty reprezentującego kulturę socjalistycznej Polski w równie socjalistycznej Jugosławii.

A tak na marginesie: po litewsku wilk to wiłkas. Właśnie przez „ł".

Ojciec twierdził, że nasza rodzina ma herb Odrowąż. W związku z tym, kiedy miałem kilkanaście lat, zacząłem podpisywać się Józef Odrowąż -Wiłkomirski oraz pisać na zeszycie do języka francuskiego „Joseph de Wilkomirski". Mój przyrodni brat Kazimierz pewnego dnia złośliwie zapytał, czy ten Józef Odrowąż -Wiłkomirski to jakiś krewny tego Kazimierza Wiłkomirskiego. Uznałem to wówczas za kiepski dowcip, ale po latach zrozumiałem, że rację miał mój brat. Podpisywanie się herbem w XX wieku było anachronizmem.

O Odrowążach, możnym rodzie małopolskim, dowiedziałem się dopiero z książki, którą otrzymałem „pod choinkę" w pierwszą powojenną Wigilię w roku 1945. Nosiła tytuł „Kraków", autorem był Wiktor Czajewski, a wydana została przez łódzki dziennik „Rozwój" w roku …1909. (Obecnie jest jedną z najcenniejszych pozycji w moim księgozbiorze).

Zdziwiony faktem, że nazwisko małopolskiego rodu jest naszym herbem, poprosiłem ojca o wyjaśnienie. Powiedział, że zgodnie z postanowieniami Unii Lubelskiej, polskie rody „przygarnęły" do swoich herbów bojarskie rody litewskie. Przyjąłem to wyjaśnienie, choć nie wiem, czy jest zgodne z faktami historycznymi, czy może było kolejną legendą naszej rodziny. Zresztą w 45 roku nie interesowało mnie już takie czy inne pochodzenie.

Natomiast wiele lat później mój przyrodni brat Kazimierz skomponował kantatę o św. Jacku Odrowążu. Zdziwiony zapytałem, dlaczego wybrał akurat tego świętego. Brat odpowiedział, że przecież to nasz „przodek", ponieważ przyjęcie do herbu łączyło rody. Zabawne, że mój brat, który ongiś przed laty wyśmiewał mój chłopięcy podpis „Józef Odrowąż-Wiłkomirski", sam odczuwał dumę z prawa (prawdziwego czy fikcyjnego) do noszenia herbu Odrowąż. Ja sam nieraz dla dowcipu mówiłem, że pochodzę ze świętego rodu. Bowiem stryjem świętego Jacka był biskup krakowski Iwo, budowniczy Kościoła Mariackiego. A brat świętego Czesław i siostra Salomea zostali błogosławionymi. Zaś to właśnie św. Jacek sprowadził do Polski zakon dominikanów. Moja przyrodnia siostra Maria mawiała z przekąsem, że wszyscy ci świętobliwi przodkowie przewracają się w grobach, kiedy słyszą moje heretyckie, antyreligijne wypowiedzi.

Inne, bliższe już legendy, dotyczyły mojego dziadka i babki. Ojciec opowiadał, że nasza rodzina stopniowo traciła swoje majątki i znaczenie, ale nie wyjaśnił, jakie były przyczyny. W każdym razie, kiedy mój dziadek został sierotą, dalsza rodzina (równie biedna) zwróciła się do cara z prośbą o opiekę nad szlacheckim synem. Odpowiedź była pozytywna i mój dziadek na koszt państwa rosyjskiego rozpoczął naukę w tzw. Korpusie kadetów. Po jego ukończeniu poszedł na studia medyczne i został lekarzem wojskowym. Brał udział – według słów ojca – w różnych większych i mniejszych wojnach w tzw. Zakaspijskich krajach. Choć nie przeszedł na prawosławie, stopniowo awansował i dosłużył się podobno stopnia generała.

Babcia – opieram się na słowach ojca – pochodziła również ze starej szlacheckiej rodziny Czarnieckich. I ona także została sierotą. Ten zbieg okoliczności zastanowił nawet mnie, kilkunastoletniego chłopca, ale ojciec twierdził, że to szczera prawda. Dalsi krewni napisali do carycy, a ta umieściła babcię na ekskluzywnej pensji dla dobrze urodzonych panien. Po rosyjsku nazywała się „Institut dla błogorodnych diewic". To co ojciec opowiadał o tym zakładzie, warte jest przytoczenia. Nawet dla mnie brzmiało to przed ponad sześćdziesięcioma laty wręcz niewiarygodnie. A teraz, dla dzisiejszej młodzieży?

Szlacheckie córki przebywały w instytucie dziesięć lat. W tym okresie wolno im było spotykać się z rodzinami (w tym z matką i ojcem) tylko w tzw. rozmównicy. Nawet święta spędzały w instytucie. Jedynie na tzw. ferie letnie mogły wyjeżdżać do rodziny. Spacery odbywały się w ogrodzonym wysokim murem ogrodzie. Czasami jeździły poza miasto w otwartych powozach, wywołując sensację wśród przechodniów. Po rosyjsku wolno było

rozmawiać tylko w niedzielę. W pozostałe dni tygodnia tzw. damy klasowe (Francuzka i Niemka) pilnowały, aby konwersacja odbywała się wyłącznie w tych językach. Ten surowy rygor sprawił, że moja babcia – według słów ojca – mówiła płynnie w czterech językach: polskim, rosyjskim, francuskim i niemieckim. Panny uczyły się poza tym szyć, gotować, tańczyć, urządzać dom itd. Przygotowywały się do roli żon i matek. Oczywiście przez cały okres pobytu w instytucie uczennice były ubrane w jednakowy szkolny strój, który można czasami zobaczyć na historycznych filmach. A na lekcjach siedziały sztywno wyprostowane, trzymając ręce skrzyżowane na plecach.

Przytaczam te szczegóły, aby uzmysłowić czytelnikowi, jak dalece zmieniły się metody wychowawcze, nie wdając się oczywiście w ich ocenę.

A jak się spotkali mój dziadek i babcia? Podobno po skończeniu pensji babcia została tzw. prywatną nauczycielką i w jakiejś polskiej rodzinie spotkała młodego lekarza – oficera. Zakochali się w sobie – jak głosi rodzinna legenda – i pobrali.

Inne rodzinne legendy warte utrwalenia dotyczą mojego ojca, który po śmierci pierwszej żony, zainteresował się jedną ze swoich uczennic. A było to w małym prowincjonalnym Kaliszu w latach dwudziestych poprzedniego stulecia. Skąd tam się znalazł mój ojciec – opowiem w następnym rozdziale. Teraz przytoczę tylko zabawny fakt. W owych latach w Kaliszu funkcjonowało jedno kino. Ojciec poszedł na seans razem ze swoimi dorosłymi już wówczas dziećmi z pierwszego małżeństwa: Kazimierzem, Michałem i Marią. Nagle zobaczył, że o parę rzędów dalej siedzi z jakimś mężczyzną uczennica, wobec której miał tzw. poważne zamiary. Odwrócił wówczas ostentacyjnie krzesło i pomimo nalegań synów przez cały seans ani razu nie spojrzał na ekran, tylko wpatrywał się groźnie w nieszczęśliwą dziewczynę. Czy dzisiaj jakiś zakochany zdobyłby się na podobny gest?

Kiedy ojciec był już oficjalnym narzeczonym mojej przyszłej matki, „oblał" ją na egzaminie z solfeżu (przypominam, że była jego uczennicą), ryzykując zerwanie zaręczyn.

Ostatnia legenda, którą warto przytoczyć, mówi, że w parę dni po moim urodzeniu ojciec stanął nad niemowlęciem leżącym w poduszeczce (tak dawniej nazywano becik) i wycelowawszy we mnie palec, powiedział: „A on będzie grał na wiolonczeli".

Być może, że te legendy były prawdziwymi wydarzeniami. Niestety nikt już tego nigdy nie sprawdzi. Wszyscy biorący w nich udział od dawna nie żyją.

Opowiadano mi jeszcze wiele innych legend, ale myślę, że te, które przytoczyłem, wystarczą, aby odmalować środowisko rodzinne, w którym dorastałem.

Jeden z bohaterów „Potopu" mówi „A u was na Litwie wszyscy są kuzynami". To złośliwe powiedzenie można byłoby odnieść także do naszej rodziny.

Dopóki jako dziecko mieszkałem z rodzicami w Łodzi, nie miałem żadnego kontaktu z dalszymi krewnymi i powinowatymi. I zupełnie, co dobrze pamiętam, nie orientowałem się w rodzinnych powiązaniach. Dopiero w czasie okupacji, mieszkając w Warszawie, zacząłem poznawać rodzinne koligacje. A kiedy wróciłem po wojnie z obozu, różnorodne stosunki pokrewieństwa i powinowactwa stały się dla mnie bardziej zrozumiałe. Choć – przyznaję ze skruchą - do dziś nie zdołałem ogarnąć ich wszystkich. Zapewne jedną z przyczyn był brak dokumentów. Według słów mojego ojca oraz przyrodniego rodzeństwa, większość papierów zaginęła w czasie Rewolucji Październikowej. Reszta uległa zniszczeniu w czasie Powstania Warszawskiego. Tak więc w moich relacjach mogę opierać się tylko na ustnych przekazach i mniej lub więcej słusznych własnych domysłach. Dodam zresztą, że nigdy powiązania rodzinne nie były przedmiotem mojego zainteresowania. Od wczesnej młodości uważałem i nadal tak uważam, że ważna jest tylko dana osoba, a nie, „kto ją rodzi i skąd

pochodzi". Zawsze drażnił mnie sposób, w jaki mnie przedstawiano przez dziesięciolecia: „… pochodzi z rodziny muzycznej". Podobnie pisano w oficjalnych życiorysach. A ja nadal jestem przekonany, że każdy człowiek sam odpowiada za siebie. Nie jest niczyją zasługą, że urodził się w takiej czy innej rodzinie. Duma z osiągnięć antenatów jest według mnie czymś wręcz śmiesznym. I odwrotnie – nie jest hańbą urodzić się w rodzinie przestępczej. Oczywiście pod warunkiem, że się z owoców tych przestępstw świadomie nie korzysta. W tym miejscu muszę zrobić jedno zastrzeżenie. Jeśli moja rodzina zdobyła własną pracą społecznie uznaną pozycję, nie wolno mi kompromitować nazwiska. Ojciec powtarzał nam od dziecka do wieku dojrzałego: "Pamiętaj, że nazywasz się Wiłkomirski". I ta świadomość odpowiedzialności towarzyszyła mi przez całe życie. Po prostu starałem się być godnym noszenia swojego nazwiska.

Opowieść o rodzinie w znacznej mierze opierać się będzie na zasłyszanych informacjach. Ile w nich prawdy a ile zmyśleń – nigdy się nie dowiem.

Ojciec

Mój ojciec, Alfred, urodził się w 1873 roku. Tak w każdym razie zapisano na jego grobie. Urodził się zatem przed wynalezieniem telefonu (1878), żarówki elektrycznej (1879), spalinowego benzynowego silnika (1883), projektora filmowego (1895), czy tym bardziej samolotu (1902). Ojciec był trzecim dzieckiem w rodzinie lekarza wojskowego carskiej armii, o czym wspominałem już poprzednio. Urodził się w Azowie nad Donem i otrzymał na chrzcie imię Alfred. Dzieciństwo spędził na Kaukazie, głównie w Tyflisie (obecnie Tbilisi). Ojciec opowiadał, że w młodości był tzw. niespokojnym duchem. Podobno potrafił przepływać wzburzoną kaukaską rzekę Kurę i nieraz łamał ręce i nogi. Mając zaledwie kilkanaście lat postanowił zostać skrzypkiem. W tamtych czasach była to zaskakująca decyzja. Zawód muzyka, podobnie jak aktora, nie był uważany za coś godnego szlacheckiej rodziny. Muszę przyznać, że fakt, iż rodzice mego ojca wyrazili swoją zgodę, świadczy o ich szerokich horyzontach i dużej tolerancji.

Jak duże miał ojciec, pomimo ogromnego zamiłowania, zdolności muzyczne – nie potrafię powiedzieć. Znałem go jako starego pedagoga, którego nigdy nie słyszałem grającego jakikolwiek solowy utwór. Pamiętam, że wykorzystywał nieliczne wolne godziny na uporczywe ćwiczenie gam, pasaży i etiud. Kiedy mój brat Kazimierz proponował mu czasami, aby dla przyjemności zagrał choćby jakąś część jednej ze suit Bacha, odpowiadał niezmiennie: „Jeszcze nie jestem gotów". Znacznie później dowiedziałem się, że podobno ojciec dwukrotnie próbował wystąpić na recitalu i za każdym razem kończyło się to klęską. Pierwszy raz wydarzyło się to jeszcze w Rosji, gdy jako młody człowiek przed I wojną światową, po zaledwie paru minutach gry musiał przerwać. Tzw. trema dosłownie go sparaliżowała. Kasa zwróciła pieniądze za bilety. Po wielu latach, już po przyjeździe do Polski, próbował drugi raz. Rozpoczął recital i po paru minutach pamięć zawiodła. Postawił pulpit z nutami, ale i to nie pomogło. Palce odmówiły posłuszeństwa.

Ciekawe, że pięcioro jego dzieci (trójka z pierwszego małżeństwa i dwójka z drugiego) było solistami i nigdy trema nie przeszkodziła im w występach. Napisałem „im", choć słuszniej byłoby użyć zaimka „nam", ponieważ ja byłem w tej piątce.

Ojciec nie pił w ogóle żadnego alkoholu, nie palił również papierosów czy cygar. Mówił, że takie postanowienie podjął niebawem po ślubie z pierwszą żoną. Z jego opowiadania

wynikało, że po jakimś przyjęciu żona przywiozła go pijanego dorożką do domu. Następnego dnia poprosiła, aby przestał pić i palić. Obiecał i – jak się to mówi – z dnia na dzień rzucił picie alkoholu i palenie. Słowa dotrzymał i nawet po śmierci pierwszej żony nie wrócił do dawnych nałogów.

Po skończeniu nauki w konserwatorium moskiewskim, ojciec został nauczycielem muzyki i jak się można domyślać, nie opływał w dostatki. A musiał utrzymać żonę i troje dzieci: Kazimierz urodził się w 1900 roku, Michał o dwa lata później, a Maria w roku 1904. Wszystkie dzieci wcześnie rozpoczęły naukę muzyki oraz publiczne występy. Jak mi opowiadano, już jako kilkunastolatki zyskały pewną renomę.

W roku 1919, po licznych przejściach związanych z wojną i rewolucją, cała rodzina przyjechała do Polski. Kiedy w czasie okupacji przeczytałem „Przedwiośnie" Żeromskiego, opis powrotu Cezarego Baryki z ojcem dokładnie pasował do opowieści mojej rodziny. Podobne również było ich rozczarowanie. Nie chodziło o „szklane domy", ale o możliwość pracy. Muzycy nie byli potrzebni w kraju tworzącym po 120 latach niewoli własną państwowość. Zwłaszcza muzycy przybyli z Rosji.

Warto w tym miejscu przytoczyć mało znaną historię o Strawińskim. Właśnie w tamtych latach dwudziestych Strawiński, znany już wówczas w Europie i Ameryce, zwrócił się do ambasady polskiej w Paryżu z prośbą o przyznanie obywatelstwa. Miał podobno tzw. polskie korzenie. Po dłuższym okresie oczekiwania otrzymał odpowiedź odmowną. Uzasadnienie brzmiało: "Mamy w Polsce wystarczającą ilość muzyków".

Po tej odmowie Strawiński wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Za prawdziwość tej historii nie mogę oczywiście ręczyć.

Nie będę opisywał ze szczegółami ponurych wędrówek mojej rodziny w poszukiwaniu pracy. Osiedli wreszcie na początku lat dwudziestych w Kaliszu. Ojciec został dyrektorem tamtejszej szkoły muzycznej i prezesem towarzystwa muzycznego. Podobno okazał się na tyle sprawnym organizatorem, że życie muzyczne Kalisza rozkwitło. Cała trójka jego dzieci została nauczycielami w szkole i występowała na licznych koncertach. Ojciec zorganizował chór, którym dyrygował. Chór ten razem ze szkolną orkiestrą występował publicznie, wykonując duże formy oratoryjne. Jakim ojciec był dyrygentem i jaki był poziom koncertów – nigdy nie mogłem się dowiedzieć. Przyznam zresztą, że wcale mi na tym nie zależało. Podejrzewałem bowiem, że mój ojciec – nie będąc przecież zawodowym dyrygentem – nie mógł stać się interesującym interpretatorem.

W Kaliszu zawarli małżeństwa kolejno obaj moi przyrodni bracia, a na końcu, po śmierci pierwszej żony, ojciec. Miał wtedy ponad pięćdziesiąt lat.

Matka

Moja matka, Dorota, pochodziła z rodziny żydowskiej. Myślę, że była to największa, a zarazem najbardziej skrywana tragedia jej życia.

Pierwszy raz powiedziała mi o tym zupełnie niespodziewanie jakiś czas po moim powrocie z obozu. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale nigdy przedtem nie wspomniała nawet o swojej rodzinie. A mnie jako chłopca najzupełniej to nie interesowało. Dzieciństwo (a przynajmniej tę jego część, którą pamiętam), o czym będę pisał w następnym rozdziale, spędziłem w Łodzi. Jak dowiedziałem się później z encyklopedii, w Łodzi do 1939 roku mieszkało zaledwie 58% Polaków. Pozostałe 42% to Niemcy i Żydzi. Moja rodzina –

jak pamiętam – utrzymywała stałe kontakty z wszystkimi grupami narodowościowymi. Naszymi sąsiadami byli Polacy, ale większość uczniów ojca stanowili Niemcy i Żydzi. Tak więc nie zastanawiałem się, jakie pochodzenie miały dzieci, z którymi spotykałem się w Konserwatorium, na podwórku czy w parku. Matka w każdą niedzielę i święta zabierała nas do kościoła na mszę, przyjmowaliśmy księdza „po kolędzie" i na „święcone". (W tamtych czasach ksiądz chodził po zaprzyjaźnionych inteligenckich domach i tam święcił Wielkanocne potrawy). Tak więc nie mogłem mieć najmniejszego pojęcia, że moja matka jest – jak to mówiono wówczas w pewnych kręgach pogardliwie – „przechrztą".

Raz tylko zdarzyło się, że matka wyjechała do swojej rodziny. Powiedziała mojej siostrze i mnie, że otrzymała spadek po jakiejś dalekiej krewnej. Wróciła po paru dniach, przywożąc kilkadziesiąt złotych.

Kiedy we wrześniu 1939 roku Niemcy zajęli Łódź, matka powiedziała mi na jakimś spacerze (co dokładnie pamiętam), że jej ojciec, czyli mój dziadek, miał na imię Maciej. Przyjąłem tę wiadomość najzupełniej obojętnie. Maciej, to Maciej. Nieco później powiedziała mi (co również dokładnie pamiętam), że gdyby Niemcy zatrzymali mnie na ulicy, mam mówić: „Ich bin der Christ". I tę wiadomość przyjąłem obojętnie. Nie kojarzyłem naszej rodziny z Żydami i nawet mój niewątpliwie semicki nos nie miał dla mnie żadnego znaczenia. Być może ta niewiedza sprawiła, że przez całą okupację w Łodzi czy w Warszawie nigdy żaden żandarm niemiecki, nawet w czasie łapanki, nie wskazał na mnie palcem i nie oskarżył: „Du bist Jude!".

Sprawa przynależności do jakiegoś narodu to przede wszystkim nie pochodzenie, lecz świadomość kulturowa. Matka nie czuła się Żydówką, lecz Polką. Wrosła w polską obyczajowość, język, tradycję. Była praktykująca katoliczką, a całą swoją przeszłość przekreśliła.

Kiedy wróciłem z obozu, matka pewnego dnia oświadczyła, że jako dorosły człowiek muszę poznać jej pochodzenie. I wówczas dowiedziałem się o jej tak starannie skrywanej bolesnej tajemnicy.

Matka urodziła się w Kaliszu w 1901 roku w kupieckiej rodzinie żydowskiej. Była najstarszą z pięciu córek. Jako uczennica szkoły muzycznej zakochała się w dyrektorze, czyli w moim ojcu. Kiedy owdowiał – zwrócił na nią uwagę. Nie mam podstaw, aby wątpić w prawdziwość słów matki, ale przypuszczam, że obok uczucia, mogła obudzić się w niej chęć wyrwania się ze swojego środowiska. Literatura przekazała nam atmosferę małych miasteczek polsko - żydowskich, gdzie obie społeczności zmuszone do koegzystencji – żyły w izolacji wynikłej z wzajemnej nieufności. A nierzadko także z ujawnianej brutalnie wrogości. Pamiętam z mojej młodości, że nawet po zamknięciu Żydów do getta, wśród znacznego odłamu warszawskiej (bądź co bądź) inteligencji, funkcjonowały nadal takie słowa jak „gudłaj" czy „Żydek". Jak bardzo podobne do epitetu, którym pogardliwie określali nas Niemcy – Polaczki (Polacken).

Matka opowiadała dalej, że jej rodzina absolutnie nie zgadzała się na ślub z „gojem". To również stare, obelżywe żydowskie słowo na określenie innowiercy, w tym także chrześcijanina. Tak więc kiedy podtrzymała swoje postanowienie – została wyklęta i wydziedziczona. Rodzina zerwała z nią całkowicie. Dopiero po wojnie, skontaktowała się z matką jej młodsza siostra, mieszkająca z mężem w Izraelu. Dzięki temu, że wyemigrowała na początku lat trzydziestych, ocalała. Reszta rodziny zginęła.

Tak przedstawiała się opowieść matki. Zasymilowała się całkowicie i – jak sądzę – starała się zapomnieć o swoim pochodzeniu. Dlatego też skrywała je nawet przed własnymi dziećmi. Przypuszczam, że dzięki temu przeżyła bezpiecznie okupację.

Ta opowieść uświadomiła mi, jaki ciężar dźwigała moja matka przez całe życie. Jak bardzo musiała czuć się obca, zwłaszcza w pierwszych latach, w nowym środowisku. Wiem, że ojciec i moje przyrodnie rodzeństwo pozbawione było całkowicie rasowych uprzedzeń, ale czy tak samo było z resztą rodziny?

Znacznie później dowiedziałem się, że np. moja ciotka była zaciekłą antysemitką i przez dłuższy czas nie uznawała nowego małżeństwa ojca. Zapewne uważała je za podwójny mezalians. Wprowadzić do szlacheckiego rodu córkę kupca? W dodatku żydowskiego?

Skupiłem się na tej jednej sprawie, a przecież powinienem jeszcze napisać o codziennym, bynajmniej niełatwym życiu matki. Przy stałym braku pieniędzy, musiała prowadzić dom ze starym i schorowanym mężem oraz dwojgiem dzieci, z których przynajmniej jedno, tzn. ja – zapadało na wszelkie możliwe choroby. Kiedy dzieci trochę dorosły, matka podjęła naukę w konserwatorium i – o ile się nie mylę – zdążyła je skończyć tuż przed wybuchem wojny. Dzięki temu mogła potem pracować jako nauczycielka gry na fortepianie.

Rodzeństwo

Jak już pisałem, mój ojciec miał trójkę dzieci z pierwszego małżeństwa: Kazimierza, Michała i Marię. Z drugiego (zawartego po śmierci pierwszej żony) – dwójkę: mnie i młodszą o dwa lata i osiem miesięcy Wandę.

Kazimierz, nazywany w rodzinie Kaziem, opublikował dwa tomy „Wspomnień" (PWM, 1971 i 1979). Opisał tam dokładnie swoje życie, a także częściowo brata i siostry. Zwalnia mnie to od przedstawiania w tym miejscu ich biografii. Ponieważ jednak nasze losy przez dziesiątki lat splatały się ze sobą – nie raz w moich wspomnieniach będą się pojawiali. Dotyczy to w szczególności mojej jedynej rodzonej siostry Wandy. Całe dzieciństwo spędziliśmy razem, od jej urodzenia w 1929 roku aż do – z krótkimi przerwami – roku 1947. Tak więc moje lata dziecięce były zarazem jej latami.

Jak już wspomniałem, posiadaliśmy sporą liczbę bliższych i dalszych krewnych oraz powinowatych. I o nich także będę nie raz pisał, ponieważ niektórzy z nich mieli znaczny udział w moim życiu i zasługują na pamięć.

Rozdział II

DZIECIŃSTWO

Pisząc o swoim dzieciństwie, postaram się przytaczać tylko te wydarzenia, które w jakikolwiek sposób zaważyły na moim rozwoju czy kształtowaniu widzenia świata. Nie będę wspominał błahych epizodów lub anegdot. Nie będę również wymieniał ludzi, z którymi spotykali się moi rodzice, jeśli to nie miało wpływu na rozszerzenie moich horyzontów, budzenie nowych zainteresowań, krystalizację osobowości.

Pierwsze lata (1926 – 1934)

Urodziłem się …

Zaledwie napisałem te dwa słowa, uświadomiłem sobie, że nie dotrzymałem zobowiązania z Wstępu do tej autobiografii. Obiecałem bowiem, że będę relacjonował tylko te wydarzenia, które widziałem. A przecież momentu własnego urodzenia nikt nigdy nie może zobaczyć. To, że się urodziłem, nie budzi wątpliwości. Gdybym się nie urodził – nie mógłbym pisać o swoim życiu. To logiczne. Tak więc określenie „urodziłem się" jest jednak uprawnione. Ponieważ jednak obiecałem, że będę pisał wyłącznie o tym, co widziałem – rezygnuję z tego zwrotu. Zastąpię je takim oto niezbyt zręcznym – co przyznaję – zdaniem: „Mówiono mi, że zostałem urodzony 15 maja 1926 roku w Kaliszu". Legenda rodzinna głosiła, że urodziłem się nieco przed czasem, ponieważ matka przestraszyła się maszerujących na Warszawę oddziałów wojskowych. Były to bowiem dni tzw. Przewrotu Majowego, a mówiąc bez osłonek: krwawego puczu wojskowego, na czele którego stał bohater narodowy. I to zaledwie w niecałe osiem lat po odzyskaniu niepodległości. Zostawiam jednak te – skądinąd interesujące – rozważania historyczne i wracam do moich narodzin. Nadano mi imię Józef na cześć zmarłego dziadka i w lipcu ochrzczono w kościele św. Józefa w Opatówku. Tam bowiem cała rodzina (moi rodzice ze mną, przyrodnia siostra Maria i przyrodni brat Kazimierz z żoną i córką Anielą) spędzała wakacje.

Co było dalej, wiem tylko z ustnych relacji. Ojciec przeniósł się w poszukiwaniu pracy do Lublina, Warszawy, aż wreszcie osiadł w Łodzi. Dostał posadę w prywatnym Konserwatorium Muzycznym, którego właścicielką i dyrektorką była Helena Dobkiewicz - Kijeńska. W Warszawie w roku 1929 urodziła się Wanda. Podobno ojciec miał w tym dniu w kieszeni ostatnie 20 groszy. O tym wszystkim dowiedziałem się jednak znacznie później.

W tym miejscu przyznaję z żalem, że z okresu najwcześniejszego dzieciństwa nie mam żadnych wspomnień. Kiedy czytam w życiorysach mniej lub więcej sławnych ludzi szczegółowe relacje z pierwszych lat ich życia – zastanawiam się, czy to ja mam taką słabą pamięć, czy też oni po prostu konfabulują. W autobiografii Grigorija Piatigorskiego znalazłem dialog pomiędzy sześcioletnim Griszą a jego ojcem na temat kupna wiolonczeli.

O ile można uwierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia chłopca na widok wiolonczeli i niezłomną wolę grania na tym instrumencie, o tyle cytowana słowo po słowie rozmowa trąci kiepską literaturą.

Ja osobiście pamiętam zaledwie parę oderwanych obrazów. Najstarszy to ja, stojący na balkonie jednopiętrowego domu. Potem dowiedziałem się, że istotnie mieszkaliśmy w takim domu w łódzkiej dzielnicy Julianów. Bawiłem się przywiązaną na sznurku szczoteczką do zębów, która w pewnym momencie spadła z balkonu. Rozpłakałem się i ojciec po nią zszedł. Koniec obrazu. Potem – jak mi mówiono – mieszkaliśmy w jednym z nowych bloków przy ulicy Bednarskiej w dzielnicy Chojny. Z tamtego okresu pamiętam zabawy w piaskownicy i uczucie zazdrości, kiedy inne dzieci były karmione pomarańczami i bananami. Ja i Wanda mogliśmy o takich owocach tylko marzyć. I ostatni obraz z tego okresu: pożar fabryki leżącej po drugiej stronie pustego placu.

Następnie przeprowadziliśmy się do śródmieścia, do domu przy ulicy Narutowicza 45 i od tego czasu wspomnienia zaczynają się układać w jakiś spójny ciąg. Tak więc dzieciństwo, które pamiętam, rozpoczęło się właściwie dopiero od połowy lat trzydziestych.

Mieszkanie

Mieszkaliśmy na trzecim, ostatnim piętrze oficyny. Oczywiście nie było żadnej windy. Ojciec w okresie jesienno - zimowym musiał codziennie wieczorem, po powrocie z Konserwatorium, przynosić wiadro węgla. A miał już wówczas powyżej sześćdziesięciu lat. Mieszkanie było – jak to się wtedy mówiło – zimne. Dlatego dzieciństwo, zarówno to „przedwojenne" jak i w latach okupacji – kojarzy mi się zawsze ze stałym uczuciem chłodu. Kto wie, może ten „zimny wychów" wpłynął korzystnie na moje zdrowie i zapewnił długowieczność?

Ojciec codziennie rano gimnastykował się i brał zimny prysznic. Dla nas raz w tygodniu rozpalał ogień w łazience i w dużym zbiorniku grzał wodę na kąpiel.

Pamiętam również dokładnie, że to mieszkanie kosztowało miesięcznie 70 zł, co na owe czasy było znaczną kwotą. Pensja ojca w Konserwatorium wynosiła 120 zł i gdyby nie prywatne lekcje – nie stać by było rodziców na czynsz. Plusem mieszkania było jego usytuowanie w samym centrum miasta. Konserwatorium mieściło się parę ulic dalej. A możliwość pozyskania prywatnych uczniów była również większa.

Tamto właśnie mieszkanie na zawsze będzie się dla mnie kojarzyć z dzieciństwem. Zajmowaliśmy je do jesieni 1939. Kiedy przez całe dojrzałe życie używałem w rozmaitych wywiadach i rozmowach określenia „dom rodzinny" – to przywoływałem wspomnienia tamtego mieszkania.

Początki nauki

Myślę, że te właśnie wspomnienia będą jednymi z najtrudniejszych do zrelacjonowania. W przeciwieństwie do życiorysów innych muzyków, dla mnie w dzieciństwie – o tym jestem absolutnie przekonany – nauka muzyki była czymś wręcz nienawistnym. Nie było w niej niczego, co mogłoby dostarczać mi, jako małemu dziecku, jakiejkolwiek radości.

Ale zacznijmy od faktów. Kiedy skończyłem w maju 1931 roku pięć lat, ojciec rozpoczął naukę solfeżu. Później matka opowiadała, że na letnich wakacjach ojciec każdego dnia uczył mnie tego przedmiotu. Ojciec siedział na ławce ogrodowej, a ja, stojąc obok, musiałem śpiewać dane dźwięki. Jednocześnie musiałem taktować i nazywać dźwięki słowami. Wyglądało to według matki tak: łzy kapały mi ciurkiem, kiedy taktując jedną ręką, cieniutkim głosem wyśpiewywałem „do ćwierć, re ósemka" itd. Domyślam się, że ta czynność dla pięciolatka nie miała żadnego sensu i budziła poczucie krzywdy. Przecież inne dzieci w tym samym czasie mogły się swobodnie bawić. Ojciec nie potrafił niestety przekazać małemu dziecku nie tylko celowości ćwiczeń solfeżowych, ale także wzbudzić satysfakcji z opanowywania nowych umiejętności.

Jak dalece musiało to być stresujące przeżycie, skoro potem, po wysłuchaniu opowiadania matki o tych wakacjach, przypomniał mi się jakby zamglony obraz: ja – płaczący i ojciec trzymający w swojej dłoni moją taktującą rączkę.

Po powrocie z wakacji zacząłem naukę gry na fortepianie. W czasach mojego dzieciństwa nie uczono dzieci przy pomocy specjalnych opracowań krótkich, w miarę atrakcyjnych, melodyjnych utworów. Podstawą nauki były gamy, pasaże i różne – równie nudne – ćwiczenia palcowe. Dopiero później dawano etiudy. Ponieważ ojciec, jak już poprzednio pisałem, każdą wolną chwilę poświęcał na granie na skrzypcach skomplikowanych ćwiczeń swojego autorstwa – praktycznie biorąc nie znałem w ogóle muzyki. Przypominam, że w naszym domu nie było radia, a tym bardziej płyt. Tak więc jedyną muzyką, którą słyszałem, były wciąż te same monotonne ćwiczenia. Tylko czasami, kiedy ojca nie było w domu, matka nuciła jakieś stare operetkowe szlagiery.

W tym miejscu muszę zrobić pewną dygresję. Nie raz w moim długim życiu zastanawiałem się nad swoim stosunkiem do muzyki. Na pewno nie byłem takim pasjonatem jak mój ojciec i pozostali bracia i siostry. Dlaczego tak się stało – nie wiem. Zdolności miałem podobne: absolutny słuch, dobra pamięć, poczucie rytmu, wrażliwość, wyobraźnię dźwiękową, umiejętność tworzenia własnej interpretacji, opanowanie na estradzie itd. Co więc sprawiło, że nie potrafiłem oddać się całkowicie muzyce? Do tego zagadnienia będę zapewne nie raz wracał w czasie pisania tych wspomnień. A może ta pierwsza w moim życiu retrospekcja pozwoli wreszcie na znalezienie odpowiedzi na postawione wyżej pytania.

Kiedy skończyłem 6 lat, ojciec kupił tzw. wiolonczelę ćwiartkę. Była naprawdę malutka. Do tego odpowiedni krótki smyczek i małe krzesełko. I tu również pojawiła się – według mojej obecnej opinii – szansa zainteresowania dziecka tak niecodziennym zajęciem. Niestety, powtarzam, nudne ćwiczenia zabiły jakąkolwiek chęć grania. Zasada: „bawiąc – uczyć" nie była znana ojcu.

Później od muzyki odstręczał mnie dodatkowo zwyczaj ojca chwalenia się przed znajomymi naszym absolutnym słuchem. Przy każdej okazji wołał Wandę i mnie, przerywając zabawę. Ojciec siadał przy pianinie i uderzał w klawisze wszystkimi dziesięcioma palcami. A my z Wandą musieliśmy na wyrywki nazywać dźwięki. Pamiętam, że już wówczas drażniły mnie takie popisy, przypominające sztuczki, które znałem z nielicznych wizyt w cyrku.

W pierwszych latach moim nauczycielem gry na wiolonczeli był ojciec. Kiedy z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy przyjeżdżał do nas brat Kazimierz z żoną i córką, sprawdzał moje postępy. To akurat zapisało się w mojej pamięci, ponieważ strapiona mina brata zastępowała słowa. Mogę się domyślać, że nie mógł zrozumieć, dlaczego chłopiec o niewątpliwych predyspozycjach (poza zdolnościami miałem także dużą dłoń z długimi palcami) robi tak małe postępy. Mój nieświadomy psychiczny opór musiał być zapewne

wyjątkowo silny, skoro skutecznie hamował prawidłowy rozwój muzyczny. Ile było w tym „winy" mojego charakteru, a ile błędów pedagogicznych ojca – nigdy nie będę wiedział. A charakter miałem trudny. Muszę to przyznać z całą otwartością. Według rodzinnych legend już jako niemowlę wykazywałem upór i złośliwość. Podobno leżąc w wózku, zabawiałem się rzucaniem zabawek na podłogę. I to w „perfidny" sposób. Kiedy dorośli zostawiali mnie w sąsiednim pokoju, wyrzucałem zabawkę z wózka dopiero po ich wyjściu. A potem płakałem i wrzeszczałem. Kiedy rodzice przybiegali zaniepokojeni i widząc zabawkę na podłodze podawali mi, natychmiast się uspokajałem. Czekałem aż opuszczą pokój, aby znowu wyrzucić zabawkę i „rozryczeć się" na cały głos. I robiłem to tak długo, aż wreszcie matka zostawała ze mną dopóki nie zasnąłem. Inne, jeszcze bardziej paskudne wydarzenie miało miejsce – według kolejnej legendy - parę lat później. Moja siostra Wanda uczyła się chodzić i z radością maszerowała po przekątnej pokoju. Wtedy ja zaczynałem również spacerować po prostopadłej przekątnej. Pomimo próśb matki. W pewnym momencie zderzyliśmy się z Wandą na środku pokoju i upadliśmy na podłogę. Mnie się nic nie stało, ale Wanda ku przerażeniu rodziny przestała mówić. Na szczęście po paru tygodniach odzyskała zdolność mówienia.

Przytoczę jeszcze jedną historyjkę, podobno autentyczną. W któreś kolejne święta dorośli siedzieli w jednym pokoju, a dzieci (córka brata Aniela, Wanda i ja) bawiły się w sąsiednim. Nagle otworzyły się drzwi i ja z płaczem wpadłem między dorosłych. Na pytanie co się stało, odpowiedziałem chlipiąc – „Anielcia mnie kopnęła". Zawołano Anielcię, starszą ode mnie o dwa lata, co w wieku dziecięcym jest znaczną różnicą i zadano jej pytanie – „Dlaczego kopnęłaś Józia?". Anielcia, również płacząc, odpowiedziała – „Bo on mnie kopnął". Zdezorientowani dorośli zapytali znowu mnie – „Dlaczego kopnąłeś Anielcię?". Odpowiedź brzmiała – „Bo ona mnie kopnęła". Kolejne odpowiedzi były identyczne i wreszcie ktoś z dorosłych zadał pytanie – „A kto zaczął?". Odpowiedziałem „Ja".

Kiedy mi po latach opowiadano ze śmiechem tę historyjkę, uważałem, że zachowałem się przyzwoicie, odważnie przyznając się do winy.

Te i inne, podobno prawdziwe, historyjki rzucają światło na mój charakter i w pewnym sensie wyjaśniają, dlaczego tak zdecydowanie reagowałem na przymus grania. A w dalszym życiu ten trudny charakter przeszkadzał mi w kontaktach z otoczeniem i zapewne uniemożliwił zrobienie tzw. kariery. Ale o tym szerzej napiszę później.

Zamknięciem początków nauki gry na wiolonczeli był mój udział w Ogólnopolskim Konkursie Młodych Talentów, który w roku 1934 odbył się w Warszawie. Przypuszczam, że byłem najmłodszym wiolonczelistą, ale zdołałem uzyskać tylko – o ile pamiętam – Dyplom Uznania. Pozbawiony dobrego pedagoga – wiolonczelisty nie mogłem po prostu grać na tyle dobrze, aby zdobyć jakąkolwiek nagrodę. Na marginesie dodam, że na tym samym konkursie triumfowała starsza o dwa lata Ida Handel, która później została światowej sławy skrzypaczką.

Dom rodzinny

Jestem skłonny sądzić, że trzema najważniejszymi czynnikami, które ukształtowały moją osobowość, były: dom rodzinny, wojna i książki. Zdaję sobie sprawę, że tak skomplikowana struktura, jaką jest osobowość, powstaje w ciągu wielu lat i ulega rozmaitym wpływom. Tym niemniej uważam, że – przynajmniej w moim przypadku – te wymienione wyżej trzy

czynniki były decydujące. Myślę zresztą, że i przyszły Czytelnik po przeczytaniu tej książki, dojdzie do tego samego wniosku.

Niektórzy psychologowie twierdzą, że każda jednostka ludzka zostaje ukształtowana pod względem emocjonalnym w ciągu pierwszych 2 – 3 lat życia. Potem może się tylko wzbogacać, ale nie zmieniać w sposób zasadniczy. Jeśli ci uczeni mają rację, to jak wytłumaczyć milionom zabiedzonych, niewykształconych, prymitywnych rodziców, że powinni w pierwszych latach życia swych licznych dzieci poświęcać im więcej czasu i opiekować się nimi z czułością? Inni psychologowie twierdzą, że intelekt dziecka rozwija się najwyżej do 9 – 11 roku życia. Potem może się oczywiście pogłębiać, w zależności od podstawowego potencjału, który powstał właśnie w tych pierwszych latach dzieciństwa. No i powiększać zasób wiadomości.

Te konstatacje naukowców dawno już zresztą odkryła tzw. mądrość ludowa. Wyraźnie pokazują to przysłowia, jak np.: „Czym skorupka nasiąknie za młodu, tym na starość trąci", lub „Czego się Jaś nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał".

Mój dom rodzinny, choć nietypowy, był pożywką, na której mogłem się pomyślnie rozwijać. Różnił się pod wieloma względami od tzw. normalnego domu. Po pierwsze duża różnica wieku pomiędzy rodzicami; ojciec był starszy od matki o 28 lat. Po drugie wychowywał się w zupełnie innych warunkach. Po trzecie od najwcześniejszego dzieciństwa i moja siostra, i ja wiedzieliśmy, że zostaniemy muzykami. Po czwarte cały dom podporządkowany był – jeśli wolno użyć takiego sformułowania – nauce muzyki. Po piąte wreszcie rodzice poświęcili nam całe swoje życie. Zrezygnowali z własnych ambicji i przyjemności na rzecz dzieci, czy jak kto woli – dla dobra dzieci. Przyznam, że niewiele takich rodzin spotkałem w moim długim życiu.

I dlatego przeróżne błędy pedagogiczne czy wychowawcze, popełnione przez moich rodziców, przestają się liczyć. Ich całkowite oddanie stworzyło dzieciom wręcz idealne warunki rozwoju.

Ojciec był surowy, ale sprawiedliwy. Można go nazwać despotą, ponieważ z żelazną konsekwencją przestrzegał wykonywania jego poleceń. Nigdy nas nie uderzył, nigdy nawet nie wymierzył tak popularnego klapsa. Nigdy nie podniósł na nas głosu, choć na uczniów (nawet na tych, którzy płacili za lekcje) potrafił krzyczeć. Pomimo to baliśmy się go i bez szemrania podporządkowywaliśmy się jego woli. Matka, przeciwnie, otaczała nas czułą opieką, często całowała, przytulała, obejmowała uściskiem. Od czasu do czasu „obrywałem" klapsa, ale wyłącznie za dokuczanie siostrze. Ojciec i matka każdą wolną chwilę spędzali z nami na wspólnych spacerach, rozmowach, grach i zabawach. Ojciec był wymagający, matka wyrozumiała. On nauczył nas odpowiedzialności, ona – życzliwości dla ludzi. W tej atmosferze mogliśmy się rozwijać zarówno pod względem emocjonalnym jak i intelektualnym. I to był ten kapitał, z którym wszedłem w dojrzałe życie.

Choroby

Im bardziej zagłębiam się w przeszłości, a pamięć podsuwa mi coraz więcej szczegółów z lat dziecięcych – odżywają stare wątpliwości. Czy warto np. pisać o klapsach, które otrzymywałem za dokuczanie siostrze? W dodatku przed ponad siedemdziesięciu laty? Albo o tak nieistotnych drobiazgach jak wyrzucanie z wózka zabawek przez złośliwego niemowlaka? Czy nie jest słuszniejsze wzorowanie się na wielu autobiografiach, w których

pomija się całkowitym milczeniem dzieciństwo i wspomnienia zaczyna się od wieku młodzieńczego? Kiedy autor był już w znacznym stopniu ukształtowaną osobowością? Z drugiej jednak strony nikt nie pojawia się na świecie (jak Atena z głowy Zeusa) w gotowej postaci. Pokolenia „pracowały" nad tym, abyśmy mieli takie a nie inne cechy charakteru, intelekt, wrażliwość itd. Czy można w autobiografii przemilczeć rolę matki i ojca, rodzeństwa, bliższych i dalszych krewnych? W miarę pisania budzą się demony zwątpienia. To nie frazes ani licentia poetica. „To be or not to be?" – mówił archetyp człowieka dręczonego wątpliwościami. Mógłbym to sparafrazować: „To write or not to write?" Mając jednak w pamięci, do czego doprowadziła Hamleta rozterka, odkładam na bok swoje zastrzeżenia i kontynuuję wspomnienia.

Moja rodzina uchodzi za – jak się to potocznie mówi – długowieczną. Rzeczywiście większość członków rodziny żyła i pracowała długo. Mówiono, że mamy tzw. żelazne zdrowie. Ale jest również prawdą, że ulegaliśmy często poważnym chorobom i cierpieliśmy na różne dolegliwości. Jak mi mówiono, w dzieciństwie „pobiłem" wszelkie rekordy chorowania. Odra, świnka, wietrzna ospa, zapalenia oskrzeli, anginy, katary towarzyszyły mi aż do wybuchu wojny. Szczególnie niepokojące były tzw. stany podgorączkowe. Pojawiały się bez wyraźnej przyczyny i trwały przez parę dni lub nawet tygodni. Podejrzewano gruźlicę, ale okresowe badania tę groźną, szczególnie w tamtych czasach, możliwość wykluczyły. Prawdopodobnie przyczyną moich licznych chorób było zapalenie płuc, które przeszedłem mając zaledwie 2 lata. Jak mi opowiadano, ledwo ustąpiły objawy choroby, nadeszły jakieś święta. Ponieważ moi przyrodni bracia wraz ze swoimi rodzinami mieszkali w tym samym domu co rodzice, owinięto mnie – jak opowiadała matka – w kołdrę i przeniesiono z mieszkania do mieszkania. Następnego dnia nastąpił nawrót zapalenia płuc o nieporównywalnie większym natężeniu. Wezwana lekarka oświadczyła matce, że w tej sytuacji medycyna jest już bezsilna. (Należy pamiętać, że był to rok 1928, a antybiotyki zaczęto używać dopiero w latach czterdziestych). Zrozpaczonej matce lekarka doradziła, aby trzymała mnie w pozycji pionowej, co może zapobiec uduszeniu flegmą. „I niech się pani modli". Całą noc matka nosiła mnie w pozycji stojącej i – jak wspominała – głośno się modliła, nasłuchując raz po raz czy jeszcze oddycham. A kiedy rano zjawiła się lekarka, aby – jak sama przyznała - stwierdzić zgon, okazało się, że nastąpiło przesilenie choroby. Matka całe życie wierzyła, że był to cud spowodowany jej modlitwami.

Po tym wydarzeniu stałem się dzieckiem słabym i chorowitym. Na nielicznych fotografiach z tamtych czasów wyglądam jak dzieci z najbiedniejszych krajów Afryki czy Ameryki Południowej. Podobno często bez wyraźnej przyczyny mdlałem. Lekarze rozkładali bezradnie ręce. Zalecali intensywne odżywianie. Jak to jednak osiągnąć przy stałym braku pieniędzy z jednej strony i braku apetytu z drugiej. O jedzeniu napiszę zresztą w następnym podrozdziale.

Mój dziadek (który umarł cztery lata przed moim urodzeniem) był – jak już wspomniałem – wojskowym lekarzem. Kiedy jako dorosły człowiek przeczytałem „Szwejka", pojąłem skąd się wzięły metody lecznicze stosowane przez mojego ojca. Jak opisuje Hašek, w szpitalu wojskowym c - k. Armii austriackiej leczono wszystkie choroby przy pomocy lewatywy. Mój ojciec miał bogatszy „asortyment". Obok lewatywy stosował olej rycynowy i chininę. Te dwa medykamenty znajdowały się na stałe w domowej apteczce.

A oto jak wyglądała praktyka. Jeśli rano jedno z dzieci „poczuło się źle" – ojciec nakazywał zmierzenie temperatury. Kiedy termometr wskazywał 37,2˚ - 37,3˚C, dziecko kładło się do łóżka. Jeśli była to dolegliwość żołądkowa, ojciec aplikował dużą łyżkę oleju

rycynowego. Jeśli natomiast złe samopoczucie wskazywało na zaziębienie, ojciec przynosił rozpuszczoną w wodzie pastylkę chininy. Daję słowo, że tak było naprawdę!

W południe ponownie mierzono temperaturę i jeżeli wracała do normy – ubieraliśmy się, aby zacząć spóźnione ćwiczenie na instrumencie. Jeżeli nie – pozostawaliśmy w łóżku. Przy utrzymywaniu się gorączki, wieczorem przychodziła lekarka i przepisywała potrzebne lekarstwa.

A „Szwejkowską" lewatywę ojciec stosował przy jakże częstych u dzieci zaparciach.

Pomimo tych iście spartańskich metod leczniczych stosowanych przez ojca w moim dzieciństwie, przeżyłem okupacyjną nędzę, głód w obozie, biedę w latach studenckich. Zasługa genów czy może właśnie tych metod?

Aby zakończyć relacje o moich dziecięcych chorobach, przypomnę jeszcze „koszmar" o nazwie tran. Dobrze wiem, że to cenny lek, ale mnie będzie się zawsze kojarzył z codzienną „torturą". Przypuszczam, że teraz produkuje się jakieś preparaty, które łagodzą smak czystego tranu, ale za mojego dzieciństwa, musiałem po jedzeniu przełknąć „na deser" stołową łyżkę żółtawego tłustego płynu, w dodatku o wstrętnym zapachu. I to nawet bez szczypty soli. Jeszcze dzisiaj, po siedemdziesięciu latach, pamiętam ten smak i zapach.

Pewnego dnia jedna z sąsiadek powiedziała matce, że tran działa o wiele skuteczniej, jeśli przyjmuje się go na czczo. Następnego ranka, przed śniadaniem, zaaplikowano mi ten zbawienny lek. Przełknąłem i po paru minutach zemdlałem.

Chcę być sprawiedliwy; rodzice w trosce o moje zdrowie stosowali lekarstwo, które do dzisiaj ceni większość fachowców. I nigdy się nie dowiem, jak dalece mi pomagało.

Kiedy przeczytałem ten podrozdział, doszedłem do wniosku, że moje wspomnienia mogą mieć pewną wartość jak quasi-dokument historyczny. Przecież każdy zapis z przeszłości – pod warunkiem, że jest uczciwy – utrwala obraz minionej epoki. Epoki, która bezpowrotnie minęła. Dzisiejsza medycyna różni się w znacznym stopniu od tej z mojego dzieciństwa. Nie znano antybiotyków, by-passów, sztucznych soczewek, dializy, rozruszników, betablokerów, koronarografii, przeszczepów. Postęp medycyny w XX wieku był wręcz oszałamiający. Podobnie jak w wielu innych naukach i technice. Dlatego warto utrwalić w tej autobiografii prawdziwy obraz tamtych czasów. I jest to – być może – istotne uzasadnienie celowości jej napisania.

Odżywianie

Było takie słowo „niejadek", którego nie mogę teraz znaleźć w żadnym słowniku języka polskiego. Wyszło całkowicie z użycia. Określano nim dziecko, które nie miało apetytu. Ja właśnie byłem takim utrapieniem dla rodziców. Opowiadano legendy o przeróżnych sposobach zachęcania mnie do jedzenia. Podobno ojciec wchodził na krzesło i machał jakąś szmatką. Wówczas podnosiłem głowę do góry i z podziwem otwierałem usta. A matka co prędzej wkładała do nich łyżeczkę z jedzeniem. Z upływem lat nie nabierałem apetytu. Z zup uznawałem tylko dwie: czysty rosół z makaronem i pomidorową z sypkim ryżem podawanym na osobnym talerzyku. Innych zup w ogóle nie chciałem jeść. I to wszystko w rodzinie, w której stale brakowało pieniędzy. Zaprzecza to powszechnej opinii, że grymaszą tylko dzieci w bogatych domach.

Dopiero jako dorosły zdałem sobie sprawę, że jednym ze źródeł mojej awersji do jedzenia był monotonny i mało interesujący pod względem smakowym sposób przyrządzania

potraw przez matkę. A przyczyną była ciężka chroniczna choroba ojca. Już we wczesnym dzieciństwie dowiedziałem się, że ojciec w latach studenckich nabawił się dolegliwości, którą nazywano w tamtych czasach owrzodzeniem dwunastnicy. Teraz określanej jako choroba wrzodowa. Objawia się okresowymi bólami, nasilającymi się pod wpływem stresu. Wystarczy również trochę ciężkostrawnego pokarmu, aby spowodować przypływ bólu. Pamiętam, jak ojciec jęczał, jak leżał skręcony na łóżku, jak dawał lekcje przyciskając obie dłonie do żołądka. Żadne lekarstwa nie pomagały. Jak się dowiedziałem znacznie później, przy chorobie wrzodowej występuje nadkwaśność, która także jest źródłem bólu. Aby go uśmierzyć, ojciec stosował sodę oczyszczaną. Na stole – jak pamiętam – stał słoiczek z sodą i szklanka z przegotowaną wodą. Przy ataku bólu, ojciec połykał łyżeczkę sody i popijał wodą. I tak to trwało latami. Już jako dorosły dowiedziałem się, że przy takim wieloletnim przyjmowaniu sody może nastąpić katastrofalna w skutkach perforacja żołądka. Na szczęście do tego nie doszło. Matka opowiadała, że dwukrotnie ojciec tak cierpiał, iż wezwała księdza. Była przekonana, że ojciec umiera. Aby ograniczyć nawroty bólu, chory musi przestrzegać ścisłej diety, wykluczającej smażone potrawy i jakiekolwiek ostre przyprawy. Tak więc ojciec przez całe niemal życie jadł tylko gotowane ryby i jarzyny oraz również gotowane mięso kurczaka lub kury. Doprawione wyłącznie niewielką ilością soli. Tak więc przez całe dzieciństwo, moja siostra i ja, musieliśmy jeść takie „jałowe" potrawy. A przez lata, dzień w dzień na kolację kaszę mannę. Ojciec ciągle powtarzał: "Kasza – matka nasza". I tak jedliśmy tę ledwo-ledwo osoloną kaszę z odrobiną cukru. Do dzisiaj, po upływie kilkudziesięciu lat, nadal nie mogę patrzeć na mannę.

Ta monotonna dieta spowodowała, że kiedy byliśmy u znajomych naszych rodziców, albo na wakacjach – inne potrawy również mi nie smakowały. Jest to zrozumiałe, ponieważ mój żołądek przyzwyczajony do jednostajnego, nielubianego jedzenia, odzwyczaił się od wydzielania soków trawiennych. I dlatego nie odczuwałem przypływu apetytu. Potwierdza to opowiadanie matki, które usłyszałem już jako dorosły. Matka doprowadzona do rozpaczy moim brakiem apetytu, postanowiła posłuchać rady jednej z sąsiadek. Jeżeli synek nie chce jeść zupy, nie zmuszać go, ale nie dawać niczego innego. Kiedy zgłodnieje i powie, że chciałby coś zjeść, zaproponować tę samą zupę. Prędzej czy później prawdziwy głód zmusi go do zjedzenia tej znienawidzonej zupy. Pewnego dnia, kiedy na widok zupy oświadczyłem, że nie będę jej jadł, matka pozwoliła mi odejść od stołu. Po pewnym czasie istotnie poczułem głód i chciałem dostać kawałek chleba, matka zaproponowała zupę. Odmówiłem. Ta sytuacja powtórzyła się wieczorem: zupa albo nic. Poszedłem spać głodny. A rano, kiedy znowu po 24 godzinach głodówki odmówiłem zjedzenia odgrzanej zupy, matka bojąc się, że zemdleję – dała mi zwykłe śniadanie. Do dzisiaj nie wiem, czy był to z mojej strony upór czy objaw silnej woli, potrzeba niezależności czy tzw. grymasy. A potem wybuchła wojna i wszystko uległo przewartościowaniu. Ale o tym napiszę później.

Kiedy przeczytałem ten podrozdział, pojawiły się pewne wątpliwości. Czy szczegóły o moim braku apetytu w odległym dzieciństwie lub chorobie wrzodowej ojca są na tyle ważne, aby o nich pisać? I zajmować uwagę czytelnika? Po dłuższym jednak zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie były to przypadkowe wydarzenia, ale trwające przez lata sprawy, kształtujące mój charakter oraz relacje z zewnętrznym światem.

Książki

Przystępuję teraz do opisania moich pierwszych kontaktów z literaturą. Kontaktów, trwających przez całe życie i – obok domu rodzicielskiego i wojny – mających największy wpływ na to, co nazywamy światopoglądem. Więcej – na rozwój całej mojej osobowości.

Jak mi mówiono, kiedy miałem pięć lat, dostałem tzw. ruchomy alfabet. Były to kartoniki z wymalowanymi literami. Podobno uczyłem się chętnie i układanie słów traktowałem jako dobrą zabawę. Gorzej natomiast było z nauką czytania i pisania. Według relacji matki żmudne sylabizowanie drukowanych w książce słów nudziło mnie. To zresztą całkiem zrozumiałe. Powolne „dukanie" pojedynczych liter, sylab i słów uniemożliwia dziecku uchwycenie sensu zdania. Należałoby – według mnie – aby po przesylabizowaniu przez dziecko zdania, dorosły powtórzył je, a następnie rozwinął i objaśnił sens. Na to jednak potrzeba i czasu i cierpliwości.

Moja matka zastosowała inną metodę. Już w łóżku przed zaśnięciem, musiałem przeczytać jedną stronicę książki, a matka w nagrodę czytała potem cały rozdział. Nie byłby to może i zły pomysł, gdyby nie fakt (do dzisiaj dla mnie niewytłumaczalny), że na pierwszą lekturę matka wybrała „Chatę wuja Toma". Powieść Hariett Beecher Stowe wydana w 1852 roku miała ogromne znaczenie społeczne. Ujawniła tysiącom Amerykanów tragiczne, niegodne człowieka życie murzyńskich niewolników. W znacznym stopniu wzmocniła działania na rzecz zniesienia niewolnictwa. Jednak jako dzieło literackie „Chata wuja Toma" nie przedstawia dużej wartości. Była to typowa powieść XIX wieku, przeznaczona dla sentymentalnych mieszczan. Dorosłych, rzecz jasna. A na lekturę dla sześciolatka nie nadawała się zupełnie. Zwłaszcza drastyczne sceny, których jest tam sporo. Z mojej pamięci wyłania się taki obraz: matka czyta rozdział o śmierci Ewy, „wyidealizowanej dziewczynki – anioła", a ja zanoszę się od płaczu. I nie mogę się uspokoić. Potem przez dłuższy czas nie raz budziłem się w nocy zalany łzami na wspomnienie tamtej tkliwej (czy może raczej ckliwej?) sceny.

Taka metoda nauki czytania nie mogła przynieść oczekiwanych rezultatów i wreszcie matka wpadła na pomysł, który z punktu widzenia pedagogiczno - wychowawczego okazał się znakomity. Pewnego dnia przyniosła do domu, kupioną w jakimś tzw. sklepiku ze starzyzną, używaną etażerkę. Nie wiem, czy dzisiaj wyrabia się jeszcze ten lekki mebel. Parę półek ze sklejki (zwanej wtedy dyktą) połączonych wiklinową kratką. Do tej etażerki matka dołączyła kilkanaście kupionych w antykwariacie używanych książek i – co najważniejsze – mały notesik - katalog. Nigdy nie zapomnę tego notesika; wystarczy, że zamknę oczy i widzę go z niezwykłą wyrazistością.

Matka powiedziała – „To początek twojej własnej biblioteki. Zapisz w tym katalogu książki."

Obudził się we mnie instynkt „posiadacza". Miałem własne książki, etażerkę i katalog. Nie zabawki, ale „dorosłe" przedmioty. I nagle okazało się, że błyskawicznie nauczyłem się czytać i pisać. Oto przykład „naturalnego prawa własności", tak sławionego przez neoliberałów i tak niedocenianego przez komunistów.

Przed wojną działało w Polsce wydawnictwo „Rój". Publikowało tanie książki w cienkiej okładce w cenie 95 groszy. Używane kosztowały 40-50 groszy. Tak w każdym razie mówiła matka, która kupowała dla siebie przeróżne kryminały i romansidła. Były również wydawnictwa dla dzieci: dla dziewcząt – „Różowa biblioteczka" i dla chłopców (tak mi się przynajmniej wydaje) – „Błękitna biblioteczka".

Wśród pierwszych kilkunastu książek, które stały się zalążkiem moich własnych zbiorów, znajdowało się wiele zupełnie przypadkowych. Jedną z pierwszych (właśnie z dziewczęcej różowej serii) były „Małe kobietki" Alcott. Jak się dowiedziałem wiele lat później, pisarki XIX-wiecznej. Miałem również tej samej autorki „Małych mężczyzn", ale tego nie jestem pewny. Pamiętam natomiast książkę zatytułowaną „Przygody kapitana Hatterasa". Wywarła na mnie ogromne wrażenie. Treścią były dramatyczne przygody tytułowego bohatera, walczącego z głodem i mrozem gdzieś pod biegunem. Do dzisiaj nie udało mi się sprawdzić, czy była to rzeczywista postać i czy od niej pochodzi nazwa wyspy i przylądka.

Najbardziej jednak przeżywałem „Serce" Amicisa. Teraz wiem oczywiście, jak wiele zarzutów można postawić tej książce. Ale kiedy ją czytałem mając lat 7-8, nie zauważyłem płytkiego czasem sentymentalizmu, naiwnej psychologii niektórych postaci czy bezkrytycznego hurra-patriotyzmu wyidealizowanych bohaterów. Nawiasem mówiąc te słuszne zresztą krytyki można usprawiedliwić okresem historycznym, w którym Amicis pisał swoją książkę. Dla mnie „Serce" było głębokim i naprawdę pięknym przeżyciem. I uczyło życzliwości dla ludzi, poczucia obowiązku, miłości do ojczyzny. Czy to mało? A postać ojca, bohatera książki, surowego, ale sprawiedliwego, jakże była podobna do mojego ojca.

Przeważały oczywiście baśnie. Poznałem Andersena, Perraulta, Ezopa, braci Grimm. Dobrze pamiętam, że już wtedy, jako 6-7 letniego chłopca, zrażało mnie okrucieństwo niektórych grimmowskich baśni. I nigdy się do nich nie przekonałem. Najwięcej wzruszeń przy lekturze baśni zawdzięczam Andersenowi. Ileż łez wylałem czytając „Dziewczynkę z zapałkami", „Brzydkie kaczątko" czy „Calineczkę". A niezwykła poezja „Cesarskiego słowika" do dzisiaj mnie zachwyca. Chociaż nie lubię wartościowania wielkich twórców, gotów jestem zaryzykować stwierdzenie, że Andersen był największym baśniopisarzem w całej literaturze światowej. Przeczytałem następnie „Heroje" Kingsleya, które otworzyły przede mną cudowny świat greckiej mitologii. To dziecięce oczarowanie pozostało do dzisiaj, chociaż już nigdy potem nie wróciłem do Kingsleya. Wolałem poznawać ten fundament europejskiej kultury poprzez Vibraýa, Parandowskiego, Zielińskiego czy Gravesa.

Rozdział III

DZIECIŃSTWO (1934 – 1938)

Podzieliłem w tych wspomnieniach swoje dzieciństwo na dwie części. Jest to podział arbitralny; równie dobrze mógłbym znaleźć inne graniczne daty. Swój wybór mogę jednak uzasadnić dwojako: po pierwsze niezdobycie nagrody na Konkursie Młodych Talentów (o czym już wspomniałem) spowodowało, że ojciec zdecydował się zapisać mnie do Konserwatorium. I po drugie, od roku 1934 mogę sobie różne wydarzenia z dzieciństwa ułożyć w pewnym porządku chronologicznym. Pomimo to pozwolę sobie jeszcze w tym rozdziale zachować podobny do rozdziału poprzedniego podział na poszczególne zagadnienia.

Lektury

Z perspektywy wydaje mi się, że lata 1934 - 1938 były przełomowe dla mojego poznawania wielkiej literatury. Porównać je można tylko z późniejszym okresem okupacji w Warszawie, 1941-1944. Po książkach dla dzieci zacząłem wreszcie czytać Sienkiewicza. Myślę zresztą, że nieco za wcześnie. Miałem zaledwie 9 lat, kiedy przeczytałem „Quo Vadis". Nie wiem, czy matka korzystała z jakiejś wypożyczalni czy z uprzejmości sąsiadów, ale „Quo Vadis" było wydane w formacie in quarto, na dobrym papierze i z ilustracjami Piotra Stachiewicza. Zachwyciłem się tą książką do tego stopnia, że koniecznie chciałem mieć ją na własność. Okazało się to jednak niemożliwe. Cena wynosiła (czego nigdy nie zapomnę) 9 złotych. Byłem zdruzgotany. Rodzice chcieli kupić mi tę powieść w innym, tańszym wydaniu. Ze łzami w oczach i wściekłością w sercu odmówiłem. Po dwóch latach, na Boże Narodzenie odwiedziła nas siostra ojca, Konstancja. Była to pierwsza wizyta, ponieważ dotąd nie chciała uznać mojej matki. Jak przypuszczałem, z uwagi na jej pochodzenie. Ciotka zapytała ojca listownie, jaki mogłaby przywieźć mi prezent. Ojciec na moje prośby ośmielił się zaproponować „Quo Vadis" z rycinami Stachiewicza. Ciotka, członkini Akcji Katolickiej, propozycję zaakceptowała. Tak więc od nowo poznanej ciotki otrzymałem upragnioną książkę, która stała się najważniejszą pozycją mojej biblioteki.

Ogromne, niezatarte wrażenie wywarła na mnie lektura „Chłopców z Placu Broni" Molnara. Pamiętam, jak rzewnie płakałem, czytając scenę śmierci Nemeczka. Nemeczek Boka na długo stał się dla mnie wzorem odwagi i szlachetności.

Zupełnie inaczej wspominam „Ducha puszczy". Nie pamiętam nazwiska autora, ale zabijający okrutnych Indian były kwakier, choć budził poczucie grozy, był zarazem uosobieniem sprawiedliwości. On i jego pies o dziwnym imieniu Cukierek, przez długi czas byli moimi bohaterami. Prawdę historyczną o podboju Ameryki poznałem znacznie później.

Czytałem powieści Przyborowskiego, Gąsiorowskiego, Curwooda, Mayne-Reida, Maya. Większość tytułów zatarła się w mojej pamięci, ale nie zapomniałem uczucia niechęci wywoływanego przy lekturze każdej kolejnej książki tego ostatniego. Ani wówczas, ani teraz po upływie niemal siedemdziesięciu lat, nie mogę sobie tej niechęci wytłumaczyć. Ani indiańscy, ani biali bohaterowie Maya nie wzbudzali we mnie sympatii. Dlaczego – do dzisiaj nie wiem.

Natomiast powieści i nowele Coopera, Twaina, Londona, Burnetta, potem Kiplinga, Verne'a i Wellsa kształtowały mój stosunek do ludzi i zwierząt oraz rozbudzały wrażliwość. Jak się to mówi - uroniłem niejedną łzę nad przygodami Małej Księżniczki, Małego Lorda, Edwarda – Księcia Walii, Dzieci Kapitana Granta, Białego Kła. Teraz jako stary człowiek, składam w tym miejscu hołd pisarzom mojego dzieciństwa. Zawdzięczam im wzruszenia jedyne w swoim rodzaju. To oni otworzyli przede mną świat wielkiej literatury i przekazali wzorce godne naśladowania.

Po „Krzyżakach", którzy niezbyt mi się podobali, nadszedł czas „Trylogii". Trwał przez dobre parę lat, aż do wybuchu Powstania. Nie lubię używać tzw. wielkich słów, ale w moim rodzinnym domu „Trylogia" była naprawdę czymś w rodzaju ewangelii polskości. Przeczytałem dwa tomy „Ogniem i mieczem", trzy tomy „Potopu" i „Pana Wołodyjowskiego" w wieku 10-11 lat. A potem w okupowanej Warszawie, w długie wieczory po godzinie policyjnej, potrafiliśmy recytować z pamięci całe stronice. Przy każdej okazji cytowaliśmy co celniejsze powiedzenia. Mieliśmy swoje ulubione postacie; moją był Kmicic. Skrzetuski był dla mnie zbyt sztywny i nieskazitelny, a Wołodyjowskiego nazywałem – nie wiem zresztą czemu – mydłkiem. Ciekawe, że żadna sienkiewiczowska postać kobieca nie wzbudziła we mnie sympatii. Dopiero później, kiedy jako czternastolatek przeczytałem „Chłopów", Jagna stała się – jeżeli pamięć mnie nie myli – pierwszą postacią kobiecą w polskiej literaturze, którą polubiłem.

„Trylogia", nawet po upływie tylu lat, nadal jest dla mnie arcydziełem literatury światowej. Przy wszystkich swoich słabościach, które mógłbym długo wymieniać, zawiera karty o niezwykłej sile wyrazu. Wystarczy wymienić sceny batalistyczne: bitwę pod Beresteczkiem, czy pod Prostkami. I kipiące werwą, humorem, obrazowością, dramatyzmem dialogi, które w sposób nieporównywalny charakteryzują postacie. Wreszcie język, będący dla mnie pierwszą lekcją polszczyzny. Jeśli potem miałem zawsze z polskiego piątki za wypracowania, to właśnie dzięki Sienkiewiczowi.

W czasie pisania tych wspomnień o moich lekturach w latach 1934-1938, wyłaniają się z tzw. mroków niepamięci coraz to nowe tytuły. „Stara baśń" znudziła mnie w sposób wyjątkowy, podobnie zresztą „W pustyni i puszczy". O ile „Księgi dżungli" były moimi ulubionymi książkami, o tyle „Kim" czy „Stalky i spółka" nie wywarły żadnego wrażenia. No i wreszcie Verne, jeden z najchętniej czytanych przeze mnie autorów. I tutaj muszę zaznaczyć, że najbardziej podobały mi się dwie powieści: „Dzieci kapitana Granta" i „W 80 dni dookoła świata". Nigdy, choć nie wiem dlaczego, nie darzyłem zbytnią sympatią kapitana Nemo.

Niech mi wybaczą wielcy i nieco mniejsi pisarze, których nie wymieniłem. Pamięć ludzka – jak wiadomo – jest zawodna i wybiórcza. Po upływie 70 lat to co mi podsuwa, nie jest niestety dokładnym zapisem kronikarskim, lub – jak kto woli – kompletnym katalogiem bibliotecznym.

I na zakończenie tych „lekturowych" wspomnień, chciałbym jeszcze opowiedzieć o pewnym wydarzeniu w lecie roku 1937. Mój brat Kazimierz zaprosił naszą rodzinę na

wakacje do Gdańska, gdzie wówczas pracował jako dyrektor Konserwatorium Muzycznego. (O tym pobycie napiszę jeszcze później przy okazji relacjonowania moich pierwszych kontaktów z hitleryzmem). Zacząłem wówczas czytać „Na srebrnym globie" Żuławskiego. Pamiętam, jakby to było wczoraj, że leżałem sam na kanapie, a reszta rodziny rozmawiała w sąsiednim pokoju. „Pochłaniałem" – jak to miałem w zwyczaju – stronicę po stronicy. A kiedy w ostatnim rozdziale bohater o imieniu Jan, już jako bardzo stary człowiek, patrząc na odległą Ziemię, wyraża całą swoją tęsknotę, ból, rozpacz, samotność – nie mogłem powstrzymać się od łez. Wybuchnąłem tak głośnym płaczem, że przerażona rodzina przybiegła w przekonaniu, że uległem jakiemuś wypadkowi. Matka i moja przyrodnia siostra Maria długo nie mogły mnie uspokoić. Był to jeden z moich największych „literackich" wstrząsów, nie tylko w dzieciństwie.

Nauka

Ojciec, dla którego sensem życia była muzyka, uważał, że wykształcenie ogólne stanowi przeszkodę w nauce gry na instrumencie. Po prostu zajmuje zbyt dużo czasu. Piszę to z całkowitym przekonaniem w oparciu o fakty z mojego dzieciństwa. Ojciec uczył gry na skrzypcach w seminarium nauczycielskim. Osoby przygotowujące się w tamtych czasach do zawodu pedagogicznego miały obowiązek choćby w minimalnym stopniu opanować podstawy gry na dowolnym instrumencie. Ojciec prowadził klasę skrzypiec. Pamiętam jakieś zdjęcie, na którym widać ojca i kilkanaście uczennic grających unisono na skrzypcach. Nie wiem, jaki był rezultat tego rodzaju nauki, ale przypuszczam, że niezbyt pomyślny.

Ojciec dzięki pracy w seminarium nawiązał jakieś znajomości w kuratorium i załatwił rzecz wręcz niezwykłą: zwolnił mnie całkowicie z obowiązku chodzenia do szkoły powszechnej, zwanej dzisiaj podstawową. Czy skutki tego były dobre czy złe – nigdy nie będę wiedział. Przez pełne sześć lat zamiast uczyć się współżycia w grupie, poznawać dzieci z różnych środowisk, podlegać szkolnym rygorom – dorastałem w zamkniętym rodzinnym środowisku. Ale w zamian mogłem rozwijać się szybciej dzięki książkom. Co było w ostatecznym rozrachunku korzystniejsze – nie da się jednoznacznie stwierdzić.

Dwa razy w tygodniu przychodziła prywatna nauczycielka, która w ciągu dwóch godzin przerabiała ze mną przepisany programem materiał ze wszystkich obowiązujących przedmiotów. Był to (i zapewne nadal jest) dowód, ile czasu traci się w szkole. W czerwcu rodzice prowadzili mnie do kuratorium, gdzie przed komisją zdawałem egzamin ze wszystkich przedmiotów. Zastanawiające, że nie pamiętam ani jednego z tych egzaminów. A przecież ostatni zdałem, kiedy miałem już 12 lat. Ten całkowity brak wspomnień świadczy, jak dalece owe egzaminy były dla mnie obojętne. I nie potrafię oprzeć się myśli, że być może w innych, bardziej normalnych, zwykłych warunkach wyrósłbym na zupełnie innego człowieka. A moje zdolności zostałyby bardziej rozwinięte.

O ile pamiętam, w latach trzydziestych ubiegłego wieku, system edukacyjny w Polsce wyglądał następująco: sześć klas szkoły podstawowej i sześć klas gimnazjum. Z tym, że jednostka oświatowa, jakim było gimnazjum, dzieliła się na cztery klasy gimnazjalne, po których otrzymywało się tzw. małą maturę i dwie klasy licealne, zapewniające maturę pełną. Jakie były uprawnienia małej matury – nie wiem. Może właśnie udział np. w seminarium nauczycielskim? Te dzieci natomiast, które po skończeniu sześciu klas szkoły powszechnej nie miały możliwości dalszej nauki, uczęszczały obowiązkowo do dodatkowej

siódmej klasy. Jaki był tam zakres przedmiotów – nie wiem. Po ukończeniu tej siódmej klasy, można było - to pamiętam – uczyć się dowolnego rzemiosła.

Jestem przekonany, że mojemu ojcu wystarczyłoby, gdybym poprzestał na świadectwie ukończenia siedmiu klas szkoły podstawowej, no i oczywiście konserwatorium muzycznego. Nie wierzył bowiem w szkolną wiedzę. Najlepszym dowodem, że tak było naprawdę – jest fakt, iż moja przyrodnia siostra Maria nigdy w życiu nie chodziła w ogóle do żadnej szkoły. Kiedy dowiedziałem się o tym już po wojnie jako dorosły człowiek – nie mogłem uwierzyć. I choć dysponowała szeroką wiedzą humanistyczną, nigdy nie uczyła się biologii, fizyki czy chemii. A nawet historii i geografii. Była tzw. autodydaktą i dzięki licznym zainteresowaniom oraz intensywnej rozległej lekturze, potrafiła przyswoić sobie ogromną ilość wiadomości.

Nie chodząc do szkoły, mogłem wszystkie przedpołudnia poświęcić grze na wiolonczeli. Mogłem, … ale nie uczyniłem tego. I tutaj kolejna, niezbyt chlubna karta z mojego dziecięcego życiorysu. Moja siostra Wanda zgodnie z wolą ojca miała zostać skrzypaczką. Trzy godziny ranne poświęcał zatem wspólnym ćwiczeniom. Ja w tym samym czasie miałem samodzielnie ćwiczyć w drugim pokoju. Ale ja wolałem czytać. Czy to była namiętność do książek czy zwykłe lenistwo? Przez całe dorosłe życie nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. Kiedy tylko usłyszałem, że ojciec z Wandą zaczynali swoje ćwiczenia, natychmiast przerywałem granie i ze stojącej obok etażerki matki wyciągałem pierwszą lepszą książkę. Kładłem ją na małym stołeczku miedzy trzema nóżkami metalowego pulpitu i pogrążałem się w lekturze. Kiedy tylko milkły dźwięki skrzypiec, błyskawicznie odkładałem książkę i z udaną pilnością zaczynałem ćwiczyć. I tak trwało to przez trzy poranne godziny, dzień po dniu, rok po roku. Jakie były te „pierwsze lepsze" książki, doprawdy nie mogłem sobie potem przypomnieć. Pamiętam tylko jeden tytuł (dlaczego akurat ten jeden? – zagadka psychologiczna): „Białe niewolnice". I pamiętam także, że jednym z autorów był niejaki Antoni Marczyński, który zdobył pewną popularność pisząc romanse i kryminały.

Musiałem jednak być naprawdę zdolny, skoro przy tym sposobie pracy, robiłem jednak jakieś postępy, zdawałem egzaminy i występowałem na szkolnych popisach. Mam dzisiaj świadomość, że gdybym ćwiczył uczciwie – mógłbym zostać naprawdę dobrym wiolonczelistą.

A propos popisów, to pamiętam jeden z nich. Siedziałem w salce Konserwatorium na małej estradce i grałem jakiś utwór. Ojciec akompaniował na fortepianie. W pewnej chwili z takim rozmachem pociągnąłem smyczkiem, że wypadł mi z ręki i łukiem poleciał na podłogę. Ojciec przerwał granie; sala dosłownie struchlała z przerażenia. A ja, mając zaledwie 10 czy 11 lat, najspokojniej wstałem, podniosłem smyczek i bez słowa, nie patrząc nawet na ojca, zacząłem dalej grać, dokładnie od taktu, w którym przerwałem. Był to wyraźny dowód, że istnieją pewne wrodzone dyspozycje estradowe, które niezależnie od wieku i sytuacji pozwalają na opanowanie tremy i nieuleganie panice.

Pamiętam, że uczęszczałem w Konserwatorium na dwa obowiązkowe tzw. przedmioty teoretyczne: solfeż i harmonię. Ich nauczanie trwało trzy lata. W przypadku solfeżu poszedłem od razu na trzeci rok, gdyż słuch absolutny pozwalał na natychmiastowe czytanie nut głosem oraz pisanie dowolnych dyktand. Natomiast z harmonią miałem pewne problemy. Ale jakoś przebrnąłem przez wszystkie trzy lata, a na końcowy egzamin każdy uczeń miał przygotować własny utwór, choćby najprostszy. Ojciec uznał, że ja powinienem napisać temat z wariacjami. A że nie wykazywałem zbytniego entuzjazmu i praca szła mi niesporo – ojciec pisał razem ze mną. Na co chętnie przystałem. I tak powstało zbiorowe „dzieło", które przyniosło mi piątkę.

Mój nauczyciel gry na wiolonczeli nazywał się Bronisław Nagujewski. Był to miły, spokojny, kulturalny pan, pozbawiony większych ambicji. Uczył w Konserwatorium i grał w łódzkiej orkiestrze symfonicznej. Po wojnie został koncertmistrzem Państwowej Filharmonii, ale o tym napiszę w odpowiednim miejscu.

Pan Nagujewski nie przykładał się specjalnie do pracy ze mną, wiedząc, że to ojciec decyduje o wszystkim. I tak mijał rok za rokiem. Ja poszerzałem swoje horyzonty przy pomocy lepszych i gorszych książek, poświęcając minimalną ilość uwagi i czasu różnym szkolnym przedmiotom. I doprawdy nie wiadomo, co by „ze mnie wyrosło", gdyby nie wielka zmiana, która nastąpiła w 1938 roku.

A na zakończenie tego podrozdziału muszę opowiedzieć o pierwszym kontakcie z wielką muzyką. Chór Konserwatorium (może połączony z jakimś innym?) i łódzka orkiestra symfoniczna miały wykonać pod koniec roku szkolnego 1937/38 Requiem Mozarta. Dyrekcja Konserwatorium zdecydowała, że Wanda i ja wzmocnimy soprany, a matka alty. Dopóki sam chór ćwiczył swoje partie, muzyka nie wywarła na mnie większego wrażenia. Ale pierwsza próba z orkiestrą była niezapomnianym przeżyciem. Doznałem trudnego do opisania wstrząsu. Myślę, że było to przełomowe wydarzenie, z którego znaczenia zdałem sobie sprawę znacznie później. Genialna muzyka zapadła w moją pamięć i tam trwała, by ujawnić się po latach. Dlaczego nie od razu – nie potrafię odpowiedzieć. Następna zagadka psychologiczna w moim życiorysie.

Zabawy i zabawki

Jeśli zgodzimy się z Freudem, że doświadczenia dzieciństwa rzutują na całe nasze dorosłe życie, to uznać musimy również ważną rolę zabaw i zabawek. Niektórzy psychologowie są skłonni przyznać, że wpływają one znacząco również na rozwój naszej inteligencji. Rodzice, pomimo ograniczeń, narzuconych przez brak pieniędzy, starali się o zapewnienie najpierw mnie, a potem także siostrze, odpowiedniej ilości zabawek. Często były używane, kupione za grosze lub podarowane przez zamożniejsze sąsiadki. Dzięki temu – co dobrze pamiętam – miałem sporo różnych klocków, gier, lalek. Tak, właśnie lalek. W kącie pokoju stało wiklinowe łóżeczko, w którym tłoczyło się co najmniej pięć rozmaitych lalek i tyleż pluszowych misiów, kotków i piesków. Przypuszczam, że moja siostra nie miała takiej kolekcji. Każda lalka czy zwierzak mieli swoje imię i przy ich pomocy odgrywałem przeróżne historie zaczerpnięte z przeczytanych właśnie książek. Wiklinowe łóżeczko wraz z „lokatorami" zostało zlikwidowane dopiero, kiedy w wieku 12 lat poszedłem do gimnazjum. Pamiętam, że odczułem to bardzo boleśnie i tylko dzięki emocjom związanym z rozpoczęciem nauki, zniosłem bez płaczu tę stratę.

Pamiętam dużą drewnianą ciężarówkę, którą wygrałem na jakiejś loterii w przedszkolu, do którego moja siostra chodziła, zanim skończyła pięć lat. Potem, podobnie jak ja przedtem, przestała uczęszczać do przedszkola i musiała przedpołudniami ćwiczyć w domu. Na tej ciężarówce woziłem po mieszkaniu lalki, klocki i nawet książki.

Przez parę lat pod choinkę dostawałem od mojej przyrodniej siostry Marii a zarazem matki chrzestnej nakręcaną kolej na szynach. Była to popularna zabawka, będąca w tamtych czasach przedmiotem marzeń wielu dzieci. Kosztowała sporo – aż 5 zł. Zabawka składała się z dwóch malutkich blaszanych wagoników, węglarki i lokomotywy. Do tego szyny ułożone w koło o średnicy – jak myślę – nie większej niż 40-50 cm. Lokomotywa miała

z boku kluczyk, którym nakręcało się sprężynę. O ile mnie pamięć nie zwodzi, po nakręceniu cały pociążek wykonywał po szynach nie więcej niż 3 okrążenia. Równie dobrze można go było puścić po podłodze i wówczas przejeżdżał dystans paru metrów.

Co roku powtarzała się ta sama historia. Po paru nakręceniach miałem już dosyć i zaczynałem rozbierać lokomotywę. Po zdjęciu obudowy, wyjmowałem sprężynę. Ta rozkręcała się z brzękiem i kolejka kończyła swój żywot. Potem używałem poszczególnych elementów do innych celów. A jeśli chciałem bawić się „w pociąg", wolałem łączyć sznurkami pudełka i ciągnąć je za sobą po podłodze. Dawały większe możliwości wykorzystania. Ciekawe jak psycholog wyjaśniłby moje ówczesne zachowanie.

Jak sadzę, o wiele ważniejsze dla mojego rozwoju były zabawy z siostrą. Nie potrzebowaliśmy do nich prawie żadnych akcesoriów. Pokój był stepem, pustynią, dżunglą, oceanem i przestrzenią kosmiczną. A stara wysłużona kozetka zastępowała statek, samolot, rakietę i królewski pałac. (Wyjaśniam ewentualnemu przyszłemu młodemu czytelnikowi, że kozetka to był rodzaj wąskiej kanapki bez żadnych oparć, a tylko z małym, zamontowanym na stałe podgłówkiem z jednego boku). Mieliśmy także kijki do gry zwanej serso. (Kolejne wyjaśnienie: serso to była gra polegająca na chwytaniu wiklinowego kółka na długie, również wiklinowe kijki). Te właśnie kijki zastępowały w naszych zabawach laski, wiosła, strzelby, miecze, dzidy, czarodziejskie pałeczki.

A na czym polegały nasze zabawy? Głównie na opowiadaniu. Czego? Wymyślanych na bieżąco historii. Inspiracją były przeczytane książki i oglądane filmy. Wcielaliśmy się w coraz to nowe postacie, odgrywając w razie potrzeby rozmaite role. Zdarzyło się, że „w jakąś historię" bawiliśmy się całymi tygodniami. A kiedy szliśmy z rodzicami na spacer, na ulicy czy w parku, bez przerwy słowami „odgrywaliśmy" przygody naszych bohaterów. I tak np. po obejrzeniu filmu „Ryszard Lwie Serce" wcielaliśmy się kolejno w króla Ryszarda, jego ukochaną, wiernego giermka czy sułtana Saladyna. Potem zobaczyliśmy „Robin Hooda" i „Kapitana Blooda". Ileż tam było postaci do odtworzenia! Wielbicielom kina nie muszę przypominać, że tytułowe role w tych wszystkich filmach grał ukochany aktor mojego dzieciństwa – Errol Flynn.

Ponieważ moja siostra była młodsza ode mnie o dwa lata i osiem miesięcy, nie mogła jeszcze czytać tych książek, które były moją lekturą, jak np. „Quo Vadis" czy „Trylogia". Musiałem zatem opowiadać jej treść, charakteryzować postacie i streszczać dialogi. A potem wystarczała już nasza wyobraźnia i bohaterowie książek i filmów przeżywali coraz to nowe, wymyślane przez nas przygody.

W tym miejscu musze cofnąć się nieco w czasie i opowiedzieć o grach, których nauczyli nas rodzice. Już we wczesnych latach dziecięcych poznałem warcaby, halmę, „Chińczyka", potem szachy. Graliśmy w bierki i pchełki a w czasie wakacji w siatkówkę, serso, „dwa ognie", „komórki do wynajęcia", „głuchy telefon".

W późniejszym okresie, zwłaszcza na wakacjach spędzanych wspólnie z resztą rodziny (przyrodnim bratem Kazimierzem, jego żoną i córką Anielą oraz przyrodnią siostrą Marią) nauczyłem się gier „w inteligencję". Np. trzeba było z liter jednego długiego wyrazu układać jak największą liczbę różnych słów. Albo napisać jak najwięcej wyrazów rozpoczynających się na ustaloną dwu – lub trzyliterową sylabę.

Tak więc nie brakowało mi przeróżnych gier i zabaw, rozwijających umysł. Natomiast ojciec, w trosce o nasze ręce, nie pozwalał nam brać do ręki żadnego ostrego narzędzia, jeździć na rowerze, łyżwach czy nartach.

I tych tak zwyczajnych umiejętności nigdy nie udało mi się zdobyć.

Wakacje

Wydaje mi się, że wakacje mojego dzieciństwa pełniły ważną rolę w moim rozwoju. Nie tylko dlatego, że w ich czasie przyrodni brat Kazimierz usiłował nauczyć mnie czegoś na wiolonczeli i przy okazji zainteresować muzyką w ogóle. Najważniejsze było to, że wakacje spędzaliśmy w różnych miejscowościach, zwiedzaliśmy zabytki i poznawaliśmy coraz to nowych ludzi. Dlatego też o najciekawszych wakacjach postaram się pokrótce opowiedzieć.

Bodajże w latach siedemdziesiątych przeczytałem wywiad z Dűrrenmattem. Opisywał swoje wspomnienie z czasów dzieciństwa, kiedy jako mały chłopiec jadąc nocą pociągiem, nie mógł opanować uczucia smutku na widok wyłaniających się z ciemności małych stacyjek ze stojącym samotnie na peronie zawiadowcą. I tak po latach ze stacyjek tych powstało Güllen. Ja również jako chłopiec odczuwałem dojmujący smutek na identyczny widok. Kiedy oświetloną jedną lub dwiema latarniami stacyjkę pochłaniał mrok, a pociąg pospieszny nie zatrzymując się, pędził dalej z łoskotem – chciało mi się płakać. Próbowałem podzielić się tymi wrażeniami z innymi osobami, ale nikt jakoś nie mógł mnie zrozumieć. Dürrenmatt był wielkim pisarzem i jego dziecięce doznania zamieniły się we wspaniały dramat, „Wizytę starszej pani". Ja niestety nie potrafiłem przetworzyć swoich doznań w artystyczne dzieło. Pozostały tylko wspomnienia.

W czasach mojego dzieciństwa wyjazd na wakacje nazywano wyjazdem na letnisko, a wypoczywających ludzi – letnikami. Dla moich rodziców każde zbliżające się wakacje były okresem niepokoju. Czy będą mieli dość pieniędzy, aby zapewnić dzieciom opuszczenie choćby na parę tygodni zadymionej Łodzi? Ojciec bowiem przez lipiec i sierpień nie otrzymywał pensji w Konserwatorium Muzycznym, w którym był nauczycielem. Również tzw. prywatni uczniowie rezygnowali w okresie lata z lekcji. Gdyby nie pomoc mojego przyrodniego rodzeństwa – wątpię czy moglibyśmy co roku wyjeżdżać z miasta. Parę razy byliśmy na wsi pod Łodzią, raz czy dwa w górach i chyba tylko raz w Gdańsku. Tak mi się przynajmniej wydaje. Matka w czasie wakacji na wsi zbierała na spacerach tzw. chrust, aby mieć na czym gotować dla nas posiłki. A jadłospis opieraliśmy na kaszy, ziemniakach, mleku i jajkach, wzbogacając go zbieranymi przez siebie owocami i grzybami.

Jeden raz spędziliśmy dwa tygodnie w Iwoniczu - Zdroju. Właściciel uzdrowiska, hrabia Załuski, był amatorem - wiolonczelistą. Zaprosił mojego brata Kazimierza do Iwonicza, aby w czasie któregoś lata dał mu parę lekcji. A brat zaproponował, aby zaprosił także ojca i jeszcze innych muzyków, co pozwoliłoby na wspólne wykonywania triów i kwartetów. Pan hrabia zgodził się i w ten sposób ojciec, matka, Wanda i ja mogliśmy spędzić parę tygodni w bogatym uzdrowisku, nie wydając ani złotówki. Z tego pobytu utkwiły mi w pamięci przejażdżki landem. (To słowo wyszło już z użycia; nie ma go nawet w słownikach języka polskiego). Landem nazywano duży powóz z drzwiczkami i odkrywanym dachem. Siedząc na szerokich, miękkich ławkach czułem się wywyższony ponad zwykłych pieszych spacerowiczów. Drugie wspomnienie, znacznie mniej przyjemne. W dniu wyjazdu, kiedy wsiadaliśmy do wynajętej taksówki, która miała zawieść nas na dworzec, siostra Maria przytrzasnęła mój piąty palec prawej ręki. Krzyk, krew, ból, zamieszanie. Do dzisiaj mam ten palec zniekształcony. A ojciec najbardziej martwił się, że przez parę tygodni nie będę mógł grać.

I ostatnie, charakterystyczne wspomnienie. Bawiliśmy się z dziećmi gości uzdrowiskowych i o ile pamiętam także dziećmi gospodarzy. Przypuszczam, że byli mniej więcej w naszym wieku. Do dyspozycji mieliśmy cały rozległy park. Wandę i mnie śmieszyło pewne rodzeństwo, które do swoich rodziców zwracało się per „proszę mateńki", „proszę ojczulka". Pamiętam wyraźnie, jak odwracaliśmy głowy, aby nie parsknąć śmiechem.

W ustronnej alejce stała ocieniona ławka, którą wybrałem na pałac królewski. Oczywiście królem sam się od razu mianowałem. Ciekawe, że nikt nie zaprotestował, choć nie byłem ani najstarszy, ani najsilniejszy, ani tym bardziej najlepiej ubrany. Wśród bawiących się z nami dzieci była dwójka bliźniaków. Mieli ciemnobłękitne aksamitne ubranka. Kiedy teraz, po upływie prawie siedemdziesiąciu lat zamknę oczy – widzę je wyraźnie, jakby to było wczoraj. O takim ubranku nie mogłem nawet marzyć. Uznałem, że bliźniacy z uwagi na swój strój zasługują, aby zostać gwardzistami króla, czyli moją strażą przyboczną. Ustawiłem ich po obu stronach ławki - pałacu i kiedy ja na czele innych dzieci udawałem się na wyprawę wojenną lub polowanie (wszystko naturalnie w słowach i wyobraźni), biedni bliźniacy musieli stać ciągle na warcie. Choć próbowali mnie uprosić, abym pozwolił im biegać razem z nami, pozostawałem nieugięty. I o dziwo – posłusznie wykonywali moje polecenie. Czy była to zapowiedź przyszłego dyrygenckiego zawodu i dyrektorskiego stanowiska?

Jeśli dobrze pamiętam, wakacje roku 1937 spędziliśmy we wsi Sidzina Mała. Wysiedliśmy z pociągu na stacji Bystra, a stamtąd oczekującym półkoszkiem (kto jeszcze pamięta, co to było?) pojechaliśmy pod górę do Sidziny Małej. Miejscowość składała się z paru zaledwie gospodarstw, u podnóża pokrytych lasem gór. Tak wspaniałych malin i czarnych jagód ani przedtem ani potem nie jadłem. Grzyby dosłownie rosły wszędzie; po deszczu wyrastały nawet na środku polnej drogi. To tam, w tej Sidzinie po raz pierwszy i ostatni w życiu jadłem pstrąga złapanego rękoma w górskim potoku przez miejscowego wyrostka, natychmiast przyrządzonego i usmażonego na patelni nad ogniskiem. W takich sytuacjach przestawałem być „niejadkiem".

W niedzielę mieszkańcy Sidziny Małej i my, letnicy, maszerowaliśmy polną drogą do „głównej" Sidziny, w której był kościół. Ubrane odświętnie góralki szły na bosaka, trzymając w rękach pantofle i pończochy. Dopiero przed kościołem siadały przy drodze, otrzepywały stopy z kurzu i nakładały pantofle i pończochy. Pamiętam, że podczas jednego z nabożeństw zemdlałem, a stare góralki, kiwając smutno głowami, zawyrokowały: "Oj, zemze pani ten synocek, zemze".

W tejże Sidzinie Małej bawiliśmy się w Indian: Aniela, córka brata Kazimierza, Wanda i ja. Przybieraliśmy rozmaite, dumnie brzmiące indiańskie imiona. Zbieraliśmy pogubione przez ptaki pióra, aby zrobić odpowiednie przybrania głowy. Wykonaliśmy, oczywiście przy wydatniej pomocy dorosłych, łuki i oszczepy. Na zakończenie wakacji odbyły się zawody. Okazało się, że obie dziewczynki miały „celniejsze oczy" w strzelaniu z łuku czy rzucaniu oszczepami. Lepiej również skakały i – o dziwo! – szybciej biegały. W konsekwencji otrzymały z rąk rodziców wszystkie nagrody: różne słodycze. A ja żadnej. Zacząłem wówczas płakać w głos i nie uspokoiłem się dopóki nie otrzymałem jakiejś, szybko wymyślonej przez siostrę Marię, nagrody pocieszenia. A brat Kazimierz natychmiast stwierdził, że jako wódz indiański powinienem przybrać imię Skrzywiona Twarz lub Płaczące Oko.

Wakacje roku 1938 spędziliśmy Gdańsku, gdzie – jak już pisałem – mój przyrodni brat Kazimierz był dyrektorem polskiego Konserwatorium Muzycznego. To w czasie tych właśnie wakacji płakałem nad ostatnim rozdziałem Żuławskiego „Na srebrnym globie". Innym wstrząsem był dla mnie widok hitlerowskich flag, którymi Wolne rzekomo Miasto

Gdańsk było przy każdej okazji ozdabiane. W Polsce na święta państwowe 3 Maja i 11 Listopada również wywieszano na budynkach narodowe flagi. Ale w Gdańsku przystrojone były niemal wszystkie okna domów mieszkalnych, drzewa na ulicach, tramwaje. Całe miasto dosłownie tonęło w czerwieni. Czegoś takiego dotąd nie widziałem. I wszędzie maszerujące umundurowane oddziały Hitlerjugend od całkiem małych dzieci do wysokich dryblasów „pod wąsem". I to wszystko przy wtórze wiwatujących tłumów.

Natomiast nigdy nie mieliśmy żadnych kłopotów na ulicy, plaży, w sklepie czy w tramwaju, pomimo że głośno rozmawialiśmy po polsku. I ostatnie wspomnienie z gdańskich wakacji. Któregoś popołudnia wracaliśmy zatłoczonym tramwajem z plaży i wówczas po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak kobieta głośno przeklinająca po niemiecku, uderza w twarz ubranego w mundur Hitlerjugend chłopca, zapewne swego syna. Być może coś przeskrobał, ale tego rodzaju publiczne wymierzanie kary wstrząsnęło mną. W domu matka, aby mnie uspokoić, wyjaśniła, że policzkowanie jest w niemieckim systemie wychowawczym często stosowane. Wymierzenie policzka już w tamtych dziecięcych latach uważałem za pohańbienie. I tak pozostało do dzisiaj. Relikt szlacheckiego honoru?

Historia

W latach 1934 - 38 moją namiętnością była literatura. Co do tego nie mam wątpliwości. Żadna inna przyjemność nie mogła się równać z czytaniem. Po okresie „indiańskim", „pirackim" i „fantastycznym" (określenia „sience fiction" jeszcze wówczas nie znałem), zainteresowałem się historią. Zaczęło się od powieści. Nie potrafię dzisiaj wymienić żadnych nazwisk pisarzy poza oczywiście Walterem Scottem i Sienkiewiczem. Pamiętam np. powieść o Gustawie i Wazie albo o Karolu XII, ale kim byli autorzy – nie wiem. I tak wyrywkowo poznawałem historię rozmaitych krajów, głównie jako indywidualne dzieje władców i wodzów. Pamiętam jak przez mgłę takie książki jak „Historia żółtej ciżemki", „Krysia Bezimienna" czy „Panienka z okienka". Potem pojawili się: Dumas, Zevaco, Ossendowski, Kipling, Stevenson, Parandowski. Z ich przygodowych powieści wyławiałem informacje historyczne, lub raczej wyobrażenia autorów o wydarzeniach z przeszłości. Dopiero po kilkudziesięciu latach udało mi się oddzielić prawdziwe fakty od tych stworzonych przez fantazje pisarzy. Tak było np. z Ryszardem Lwie Serce czy Karolem XII. Najtrudniej było mi rozstać się z wizerunkami polskich postaci historycznych. Czarniecki, Jan Kazimierz, Jeremi Wiśniowiecki – wyidealizowani przez Sienkiewicza, przez lata zaciemniali prawdziwy obraz tamtej epoki.

Nie pamiętam już, w którym roku matka zdecydowała się na duży wydatek i kupiła jednotomową Encyklopedię Powszechną „Gutenberga". Nie wiem czy za gotówkę czy na raty, nową czy używaną. Gruby tom w twardej oprawie trafił do moich rąk i odtąd starałem się, aby zawsze mieć go „pod ręką". Teraz wreszcie każdą postać z powieści historycznej mogłem odnaleźć w encyklopedii i w dodatku połączoną z faktami. Czy w tym okresie miałem już dostęp do dzieł par excellence historycznych – nie pamiętam. Tak samo nie mogę sobie przypomnieć, jak w programach szkoły powszechnej wyglądała historia.

Rodzice akceptowali moje zainteresowania historią, a nawet chwalili się moją rzekomą wiedzą historyczną. A była ona, jak już zaznaczyłem, wyrywkowa i raczej bardzo powierzchowna. I tak na przykład dobrze znałem okres wojen grecko - perskich, ale nic nie wiedziałem o wojnie peloponeskiej. Aleksander Macedoński „tkwił" samotnie bez

poprzedników i następców. Jeszcze gorzej było ze średniowieczem, gdzie pojedyncze postacie i wydarzenia nie łączyły się w sposób uporządkowany. Stosunkowo najlepiej znałem oczywiście historię Polski. Ale wyłącznie jako ciąg bohaterskich zmagań z hordami wrogów. Niemcy, Austriacy, Rosjanie, Szwedzi, Tatarzy, Turcy, a nawet Czesi sprzysięgli się, aby nas gnębić przez wieki. A my byliśmy „przedmurzem chrześcijaństwa", „Mesjaszem narodów" i bojownikami o „naszą i waszą wolność". Tak wyglądała moja ówczesna znajomość historii Polski, oparta na fałszywym bogoojczyźnianym schemacie. Jakże wygodnym dla władz.

Piszę o tych szczegółach, aby uzmysłowić czytelnikowi, jak długą i trudną drogę odbyłem od naiwnej wiary patriotycznie wychowanego chłopca do świadomego obywatela. I jak dalece wykorzystywało się historię dla celów politycznych. Ale to wszystko w najmniejszym stopniu nie zniechęciło mnie do historii. Wręcz przeciwnie. Zachęciło do poznawania w miarę obiektywnych faktów. I jeszcze jedna ważna sprawa. Zamiłowanie do historii z biegiem lat wykształciło – jak sadzę – pewną ostrożność w przyjmowaniu rozmaitych prawd i „prawd" historycznych, naukowych, społecznych, religijnych. Z pewnością na początku ta ostrożność była zupełnie nieświadoma, ale już jako kilkunastolatek drażniłem niektórych członków rodziny wyrażaniem wątpliwości wobec przyjętych przez nich poglądów czy ocen. I głośno wypowiadaną niewiarą w tzw. autorytety. Oczywiście do takiej postawy przyczyniła się również kompromitacja władz sanacyjnych w 39 roku, ale przypuszczam, że pasja historyczna stworzyła pewne podstawy. Opiszę to zresztą raz jeszcze w rozdziałach poświęconych latom okupacji.

W czasie pisania tych wspomnień, wyłaniają się z mojej pamięci coraz to nowe wydarzenia; niektóre warte zapisania. Pierwszym była śmierć Piłsudskiego. Miałem wówczas dziewięć lat, ale pamiętam ogólnonarodową żałobę i szczery żal wielu ludzi, m.in. moich rodziców. Przypominam sobie również spór o miejsce pochowania Piłsudskiego. Nie wiem, kto się sprzeciwiał: prymas August Hlond, metropolita krakowski Adam Sapiecha czy metropolita warszawski Aleksander Kakowski. W konsekwencji, jak mogę sobie przypomnieć, zwłoki Piłsudskiego nie spoczęły jednak w grobach królewskich na Wawelu, ale w specjalnie przygotowanej krypcie Srebrnych Dzwonów. Jako dziecko nie znałem oczywiście przyczyn sporu, a i potem ta sprawa nie wzbudzała mojego zainteresowania. I drugie wspomnienie, o zupełnie innym charakterze: wrzód na pięcie. Sądzę, że warto je przytoczyć z uwagi na zakończenie. Kiedy byłem na wakacjach w górach z rodziną przyrodniego brata Kazimierza bez rodziców i siostry Wandy, zrobił mi się duży wrzód na pięcie. Domowe sposoby jego likwidacji nie dały rezultatu, a i przebicie igłą przez lekarkę w pobliskim miasteczku nie pomogło. Ponieważ wakacje dobiegały końca, w drodze powrotnej w Krakowie żona brata zabrała mnie, kulejącego i obolałego, do jakiegoś profesora. Ten obejrzał wrzód, który – co dokładnie pamiętam – rozrósł się do wielkości śliwki, poczem cały wyciął, ranę zdezynfekował i stopę obwiązał. Po zabiegu moja bratowa zapytała, ile ma zapłacić. Profesor zapytał – co też dokładnie pamiętam – „A jak pani jest sytuowana?" Bratowa zgodnie z prawdą odpowiedziała, że nienajgorzej. Wówczas profesor powiedział, że jego normalną stawką jest 20 zł. Była to na owe czasy znaczna suma. Bratowa oczywiście zapłaciła. Ta historia warta jest – moim zdaniem – przytoczenia. Ilu profesorów czy lekarzy zadałoby dzisiaj takie pytanie?

I na zakończenie nasunęła mi się jeszcze jedna uwaga. W życiorysach sławnych ludzi nader często znaleźć można zdania zaczynające się od takich słów: „Już od dzieciństwa interesował się…", lub „Już od wczesnych lat pasjonował się…". W moim przypadku mógłbym zgodnie z prawdą napisać, że mając zaledwie 9-10 lat rozmiłowałem się w historii.

Ale we wspomnianych biografiach zdania, które wymieniłem, wyjaśniały późniejszą drogę życiową i karierę. W moim przypadku tak nie było: nie zostałem zawodowym historykiem. Teraz, pisząc na starość tę autobiografię, mogę całkiem szczerze wyznać, że żałowałem tego przez całe życie. Nie wiem, czy zostałbym wybitnym naukowcem, ale przypuszczam, że byłby ze mnie zupełnie przyzwoity profesor i przede wszystkim popularyzator.

Ostatni rok przed wojną

Rodzice byli wyjątkowo zgodnym małżeństwem. Jak daleko mogę sięgnąć pamięcią, nie przypominam sobie żadnych kłótni pomiędzy nimi. Z wyjątkiem dwóch przypadków, które zaraz opiszę.

Zaczęło się – jak sadzę – przed rokiem 1934 - 35. Ale nie wcześniej. Ojciec, jak już parokrotnie wspomniałem, uważał, że nauka muzyki jest najważniejsza i jakiekolwiek inne zajęcia nie mogą z nią kolidować. Chodziłem do przedszkola (uratowało się nawet jedno zdjęcie, na którym siedzę w stroju…motylka!) dopóki nie skończyłem pięciu lat. Od tego momentu musiałem od rana ćwiczyć, początkowo na fortepianie, a w rok później także na wiolonczeli. Tutaj istotna uwaga na marginesie: ojciec zajęty był w Konserwatorium tylko popołudniami, gdyż uczniowie przed południem chodzili do szkół ogólnokształcących. Wanda również uczęszczała jakiś czas do przedszkola, ale po skończeniu pięciu lat, wszystkie poranne godziny zarezerwowane zostały na ćwiczenie na fortepianie i skrzypcach. Ojciec nie zgadzał się oczywiście na nasze wstąpienie do harcerstwa. Raz jeden ustąpił i pozwolił, aby matka zapisała mnie do Krucjaty Eucharystycznej. Była to organizacja kościelna, skupiająca wyłącznie chłopców. Spotkania odbywały się tylko w niedzielę po mszy i ojciec jakoś to tolerował. Matka uszyła mi mundurek, składający się z błękitnej bluzy i granatowych spodenków z żółtymi lampasami. A mnie najbardziej podobał się krzyż eucharystyczny przypięty do bluzy i granatowy sznur przełożony przez ramię. Niestety ojciec po krótkim okresie czasu stwierdził, że szkoda tej jednej czy dwóch porannych godzin w niedzielę i matka musiała mnie z Krucjaty wypisać.

Ojciec przyjął pewną zasadę, którą stosował z żelazną konsekwencją: ćwiczenie na instrumencie nie może być przerwane choćby na jeden dzień i powinno odbywać się w godzinach przedpołudniowych. Nawet perswazje Kazimierza i Marii, również zawodowych muzyków, a także pedagogów i koncertujących solistów, nie wpłynęły na zmianę tej decyzji. Tak więc musieliśmy ćwiczyć każdego dnia, nawet po całonocnej podróży pociągiem. A jeździliśmy wówczas II klasą. Ojciec zajmował jedną czteroosobową ławkę i mogliśmy z Wandą leżeć za plecami siedzących na brzegu rodziców. Po przyjeździe na miejsce (w góry czy nad morze), po umyciu się i zjedzeniu śniadania – zabieraliśmy się do grania. Na próżno tłumaczono ojcu, że najkorzystniej chodzić na plażę w godzinach rannych. Stwierdzał stanowczo, że po spędzeniu przedpołudnia na plaży i zjedzeniu obiadu, nie będziemy wystarczająco sprawni fizycznie i umysłowo, aby efektywnie ćwiczyć.

Każdy dzień należało zaczynać od ćwiczenia. Również święta nie były wolne. W którymś roku matka postanowiła zmienić tę zasadę. I zaczęło się. Przez wiele miesięcy matka przedstawiała „rewolucyjną" propozycję: w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia i w pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy, czyli tylko dwa dni w ciągu roku, dzieci nie będą ćwiczyły. Oczywiście o drugich dniach świąt, imieninach czy urodzinach nawet nie próbowała wspomnieć. Ale ojciec niezmiennie wybuchał gniewem. Zdarzyło mu się nawet

czasem podnieść głos. Raz wybiegł z mieszkania, trzaskając drzwiami. Kiedy wrócił, przepraszał matkę. A ona konsekwentnie, co pewien czas ponawiała swoją propozycję. Aż wreszcie ojciec ku zaskoczeniu reszty rodziny – uległ. W przedpołudnia tych dwóch dni w roku nie mógł sobie znaleźć miejsca. Chodził zatroskany z kąta w kąt, pomimo że przyrodnie rodzeństwo, bądź co bądź trzydziestoparoletni ludzie usiłowali wciągnąć go do rozmowy, gry czy zabawy.

Bodajże w roku 1937 matka jakby mimochodem napomknęła, że po skończeniu szóstej klasy szkoły powszechnej, co miało nastąpić na wiosnę 1938, powinienem zdawać do gimnazjum. Ojciec wpadł w furię. Jego zdaniem do pełnego wykształcenia wystarczy szkoła podstawowa, a potem konserwatorium muzyczne. Gimnazjum to przecież „zmarnowane" sześć lat. I znowu na każdą wzmiankę matki o moim gimnazjum, wybuchała awantura. Pamiętam, jak raz zdarzyło się to w czasie kolacji i ojciec z taką siłą trzasnął łyżką w talerz manny, że kasza roztrysnęła się po całej kuchni, a jakaś jej część dosięgnęła nawet sufitu, pozostawiając plamę. Bardzo mnie to rozśmieszyło. Warto dodać, że uważałem te sprzeczki za coś tak zabawnego, że kryłem się do kąta, gdzie po cichu chichotałem. Pomimo że sprawa właśnie mnie i mojej przyszłości dotyczyła. Ale Wanda wybuchała płaczem, co zapewne w jakimś stopniu łagodziło gniew ojca.

Matka wygrała i tym razem, być może zresztą, że po jej stronie stanęło moje przyrodnie rodzeństwo, z którego zdaniem ojciec się liczył.

W Łodzi były trzy męskie państwowe gimnazja i tylko jedno żeńskie. To ciekawy przyczynek do historii równouprawnienia kobiet. Istniały również szkoły prywatne, nie tylko polskie, ale również niemieckie i żydowskie. Aby dostać się do bezpłatnego państwowego gimnazjum, trzeba było zdać tzw. egzamin konkursowy, zaraz po uzyskaniu świadectwa ukończenia szóstej klasy szkoły powszechnej. Ojciec, choć z wyraźną niechęcią, zaprowadził mnie na egzamin, który oczywiście zdałem. I znowu rzecz charakterystyczna. Nie pamiętam absolutnie niczego z tego egzaminu, pomimo że miałem już 12 lat, a od jego wyniku zależała moja dalsza nauka. Albo miałem do rzeczywistego świata obojętny stosunek, albo naukę uważałem za stratę czasu, który można byłoby poświęcić na czytanie? Nigdy już nie poznam odpowiedzi na te pytania.

Naukę w gimnazjum wspominam bez sentymentu. Byłem najmłodszy w klasie; prawie wszyscy uczniowie mieli 13 lat, a tzw. drugoroczni – nawet 14. Byłem również najsłabszy fizycznie i zupełnie niewysportowany. Po pewnym czasie okazało się, że prymus o dziwnym nazwisku Misala (imię wyleciało mi z pamięci; być może Tadeusz) był ode mnie starszy zaledwie o parę miesięcy. Na codziennych apelach staliśmy obok siebie na końcu szeregu jako najniżsi wzrostem. Ale Misala (a może przez dwa „s" – Missala?) uczył się znakomicie. W przeciwieństwie do mnie miał same piątki. Ja natomiast byłem raczej przeciętnym uczniem. Piątki miałem tylko z polskiego i historii. Z polskiego za najlepsze w klasie wypracowania domowe, które nauczycielka czytała głośno jako wzór dla innych uczniów. A z historii wyprzedzałem całą klasę w przerabianiu materiału. Podręcznik do historii starożytnej napisał Nanke, podobno znakomity uczony. Przeczytałem cały podręcznik w ciągu paru dni, a zawarte w nim wiadomości rozszerzałem przy pomocy innych książek. Natomiast z pozostałymi przedmiotami było dużo gorzej; po prostu mnie nie interesowały. Najsłabiej wypadałem na gimnastyce. Bałem się „fiknąć koziołka". Naprawdę. A kiedy trzeba było skoczyć na „kozła," strach mnie dosłownie paraliżował. Równie kiepsko dawałem sobie radę z tzw. robotami ręcznymi. Był taki przedmiot, w ramach którego trzeba było coś majstrować. Okazało się, że moje „wytwory" były krzywe i mało stabilne. Zrobiłem

coś, co miało być podstawką do serwetek, ale cały czas się przewracało. Na koniec roku miałem zbudować bodajże cewkę. Lepiej nie wspominać żałosnego rezultatu. Z gimnastyki i robót ręcznych dostałem po trójce z dwoma minusami. Był to stopień, który stawiano zamiast zwykłej „dwójki", aby nie psuć świadectwa i umożliwić promocję do następnej klasy. Nie wiem, jak jest teraz w szkołach, ale w tamtych czasach z jedną choćby dwójką, czyli niedostatecznym nie przechodziło się do następnej klasy.

Najgorzej było z matematyką. Dały o sobie znać zaniedbania z minionych lat, kiedy uczyły mnie prywatne nauczycielki. Na półrocze dostałem niedostateczny. Matka zapłaciła za korepetycje i na końcu roku miałem już chyba czwórkę.

Dyrektor Państwowego Gimnazjum im. M. Kopernika w Łodzi przy ulicy… (zupełnie zapomniałem nazwy, choć pamiętam wygląd budynku) nazywał się Bromirski. Jego żona miała małą prywatną szkołę muzyczną w Pabianicach, gdzie mój ojciec także uczył raz czy dwa razy w tygodniu. Po paru latach w Warszawie, w czasie okupacji, z ich córką, byłą uczennicą ojca – grałem w kawiarnianym zespole. Tak to się nie tylko w literaturze, ale i w realnym życiu dziwnie splatają ludzkie losy.

W gimnazjum panowała dyscyplina, po której ślad niestety zaginął w obecnym szkolnictwie. Lekcje zaczynały się codziennie o godz. 8 rano, od poniedziałku do soboty włącznie. Dokładnie razem z dzwonkiem zamykano drzwi do szatni, do której wchodziło się od strony podwórka. Uczeń, spóźniony choćby o jedną minutę, musiał wtedy korzystać z głównego wejścia, a dyżurujący woźny kierował go do sekretariatu. Ucznia odsyłano do domu i wzywano ojca lub matkę na rozmowę do dyrektora. W czasie przerw klasy były całkowicie opróżniane i wietrzone, co należało do obowiązków dyżurnego. Pedagodzy nie zamykali się, jak to się dzieje obecnie, w pokoju nauczycielskim, ale pilnowali porządku na korytarzach. Nam zaś nie wolno było ani biegać ani krzyczeć. Musieliśmy spokojnie spacerować, co nie było łatwe dla kilkunastoletnich chłopców.

Oczywiście wszystkich uczniów obowiązywał mundur. Był granatowy z niebieskimi wypustkami. Kiedy zostałem przyjęty do gimnazjum, pojawił się problem finansowy. Byłem świadkiem nerwowych rozmów rodziców. Skąd wziąć pieniądze? Zakup podręczników, zeszytów, tornistra był już znacznym wydatkiem i to w okresie letnim, kiedy ojciec nie otrzymywał pensji w Konserwatorium. Problem został rozwiązany dzięki pomocy mojej przyrodniej siostry a jednocześnie matki chrzestnej, nazywanej w rodzinie Marysią lub Marysieńką. Sfinansowała zakup munduru, szynela i czapki. A tak, wszystko to było obowiązkowe. Nigdy nie zapomnę wędrówek rodziców ze mną i Wandą od sklepu do sklepu w poszukiwaniu najniższych cen. Wreszcie (co pamiętam wyraźnie, jakby to było wczoraj) znalazł się sklepik w podwórku domu przy placu Wolności. Mundur kosztował 12 zł, a szynel, czyli płaszcz – 8 zł. Ceny czapki nie mogę sobie przypomnieć. Na mundurze i płaszczu musiały być na stałe przyszyte tarcze z numerem szkoły. Co pewien czas nauczyciele sprawdzali, czy rzeczywiście są przyszyte czy tylko zapięte np. na agrafkę. Wykrycie takiego wykroczenia skutkowało obniżeniem stopnia ze sprawowania. Uczniom młodszych klas nie wolno było po zmroku przebywać na ulicy bez osoby dorosłej. Przez cały rok szkolny nauczyciele w ramach obowiązkowych dyżurów „patrolowali" wieczorami ulice śródmieścia, gdzie mieszkała większość uczniów. Dzisiaj trudno uwierzyć, że to wszystko działo się naprawdę w latach trzydziestych ubiegłego stulecia.

Od poniedziałku do piątku mieliśmy – o ile dobrze pamiętam – po sześć lekcji, a w sobotę cztery. Z okazji świąt państwowych były tylko dwa wolne dni: 3 maja i 11 listopada. I tutaj godna zanotowania uwaga. Oba te dni wyglądały następująco: rano

zbiórka w gimnazjum i wspólny marsz do kościoła na uroczyste nabożeństwo. Zaraz potem uczestniczenie w charakterze widzów w defiladzie wojskowej wzdłuż głównej arterii miasta, ulicy Piotrkowskiej. Potem uczniowie i nauczyciele rozchodzili się do domów na obiad. W godzinach popołudniowych odbywała się w gimnazjum akademia, na której obecność była oczywiście obowiązkowa. Część artystyczną wypełniały popisy uczniów. Ja musiałem grać na wiolonczeli. Kiedy w drugim półroczu na lekcji religii uczyliśmy się po łacinie ministrantury, ksiądz katecheta po wysłuchaniu mojego dukania, powiedział: „To ty już lepiej graj na wiolonczeli". I tak nie zostałem ministrantem, choć do dzisiaj, po upływie sześćdziesięciu siedmiu lat pamiętam pierwsze słowa: „Introibo ad altare Dei".

A oto dalsze, istotne dla mnie, wydarzenia z tego ostatniego przed wojną roku szkolnego 38/39. W mojej klasie był tzw. drugoroczny. Miał, jak sądzę, co najmniej 14 lat i był rosłym, wysportowanym chłopcem. Uczył się źle i nie pamiętam, czy udało mu się w ogóle przejść do drugiej klasy. Lubił rozkazywać i – jak to się mówiło – strugać ważniaka. Pewnego dnia po lekcjach, kiedy ubieraliśmy się w szatni, podał mi swój płaszcz z krótkim poleceniem – „trzymaj". Nieprzyzwyczajony do takiego traktowania, nie zareagowałem i płaszcz upadł na podłogę. Rozzłoszczony chłopak pchnął mnie z całej siły. Upadłem na ławkę, a on zbliżył się z zamiarem dania mi nauczki, abym na przyszłość okazywał posłuszeństwo. A ja, najsłabszy w klasie nie zastanawiając się, podniosłem do góry obie nogi i odepchnąłem go z całych sił. Był tak zaskoczony moją śmiałością, że bez słowa wziął płaszcz z podłogi i odszedł. Nigdy więcej do końca roku szkolnego nie miałem z nim jakichkolwiek problemów.

I jeszcze dwa wspomnienia o charakterze historycznym. Kiedy wojska polskie wykorzystując napaść Niemiec na Czechosłowację, wkroczyły na tzw. Zaolzie, w gimnazjum zorganizowano apel, po którym poszliśmy na mszę dziękczynną za przyłączenie prapolskiej ziemi do macierzy. Pamiętam, że już wtedy miałem pewne wątpliwości co do słuszności tej akcji.

Drugie wspomnienie dotyczy konfliktu polsko - litewskiego. Zwołano nas na wieczorny capstrzyk. Starsi uczniowie z liceum trzymali pochodnie, a my wszyscy skandowaliśmy: „Wodzu, prowadź na Kowno!" i również już wtedy nie bardzo rozumiałem, co jest chwalebnego w zdobywaniu stolicy innego państwa. Nieraz później zastanawiałem się nad tą moją cechą charakteru, która nie pozwalała mi na uleganie oficjalnej propagandzie, masowym nastrojom, szumnym hasłom. A która wielokrotnie utrudniała mi kontakty z ludźmi i przede wszystkim z najróżniejszymi władzami.

Przez cały rok szkolny miałem naprawdę mało czasu, ponieważ popołudniami i wieczorami poza odrabianiem lekcji, musiałem ćwiczyć na wiolonczeli. Pod tym względem ojciec był nieustępliwy. Nauka w gimnazjum nie mogła przeszkodzić w nauce muzyki. Jestem pewien, że moje nie najlepsze rezultaty w gimnazjum i słabe postępy w graniu spowodowane były tym, że jeszcze „podkradałem" czas na lektury. Nadal nie wyobrażałem sobie dnia bez przeczytania choćby paru stronic.

Do obowiązków ucznia i klasy należała nauka pływania i jazdy na łyżwach. Żadnej z tych umiejętności nie udało mi się opanować. Pewnego dnia ćwicząc w basenie omal się nie utopiłem, co wywołało trwający długie lata lęk przed wodą. A po jednym czy dwóch niegroźnych zresztą upadkach w czasie nauki jazdy na łyżwach, ojciec załatwił z dyrektorem zwolnienie z tego obowiązku. Podstawa zwolnienia: granie na wiolonczeli.

Na ostatnią przedwojenną Wigilię otrzymałem od matki dwa prezenty. W naszej klatce schodowej na I piętrze mieszkał emerytowany major z żoną. Matka dostała od niej starą wojskową latarkę i… kawaleryjską szablę bez pochwy. Byłem zachwycony, choć z trudem mogłem ją unieść oburącz. Szablę postawiłem w kącie, przy moim łóżku. A latarka służyła

mi do czytania pod kołdrą. Dopóki nie wyczerpała się bateria. Na kupienie następnej musiałem poczekać aż matka zaoszczędzi trochę pieniędzy.

Początek roku 1939 spowodował wzrost napięcia, odczuwalny nawet dla dwunastoipółletniego chłopca. Coraz częściej mówiło się o możliwości wybuchu wojny. Matka kazała mi na zakończenie wieczornej modlitwy dodawać: „I proszę Cię, Boże, żeby nie było wojny". Posłusznie wykonywałem to polecenie, ale zaraz potem dodawałem w myśli: „… ale ostatecznie może być". Byłem wychowany na lekturze książek, sławiących bohaterskie postacie historyczne i literackie: Hektora, Leonidasa, Aleksandra Macedońskiego, Hannibala, Rolanda, Ryszarda Lwie Serce, Saladyna, Kmicica, Ordona, Karola XII. Dzisiaj ten zestaw imion wydaje się dziwaczny, ale wtedy zachwycały mnie indywidualne wyczyny, niezależnie czy były rzeczywiste czy wyimaginowane. Troja, Termopile, przełęcz Roncewalska, wysadzenie praskiej reduty, lub samotny przejazd z Turcji do Szwecji – wzbudzały mój podziw. Uważałem czyny tych postaci za godne naśladowania. Muszę zresztą wyznać, że nawet teraz, niezależnie od posiadanej wiedzy i właściwego dla mojego wieku krytycyzmu – nadal z sentymentem myślę o bohaterach mojego dzieciństwa. I tak, choć dzisiaj wiem, że np. Ryszard Lwie Serce i Karol XII byli awanturnikami i kiepskimi królami – ciągle patrzę na ich wyczyny oczyma kilkunastoletniego chłopca.

Z tamtego okresu pamiętam plakaty przedstawiające marszałka Rydza - Śmigłego na tle czołgów i samolotów. I napis: silni – zwarci – gotowi. A w kronikach filmowych Rydz - Śmigły paradujący z buławą marszałkowską i z uśmiechem, który już wtedy wydawał mi się głupawy. Pamiętam entuzjazm zwykłych ludzi, oddających zegarki czy pierścionki na zakup karabinu maszynowego. Pamiętam hymny pochwalne na cześć nowego polskiego samolotu „Łoś". Mógłbym jeszcze długo snuć podobne wspomnienia, uzasadniające mój dodatek do wieczornej modlitwy, że „ostatecznie wojna mogłaby być".

Ostatnie lato mieliśmy spędzić na wsi pod Łodzią, gdyż brat przyrodni Kazimierz, zwany w rodzinie Kaziem, napisał do ojca, iż atmosfera w Gdańsku staje się coraz bardziej napięta i odradza przyjazd. On sam, o ile pamiętam wysłał żonę z córką na wakacje do znajomych koło Warszawy.

Tutaj mała dygresja. W naszym domu mieliśmy tylko tzw. radio kryształkowe na słuchawki, inaczej zwane detektorem. Nie jestem pewien, czy tak się je rzeczywiście fachowo określało. Matka metalowym pręcikiem wodziła po krysztale aż wreszcie udało się jej przy wtórze głośnych trzasków „złapać" rozgłośnię warszawską. I to właśnie radio w tych wiosennych i letnich dniach 39 roku dostarczało nam ostatnich wiadomości. M. in. przemówienia ministra spraw zagranicznych Becka, groźby Hitlera, pertraktacje polskiego rządu z francuskim i angielskim. Ojciec kupował regularnie raz w tygodniu niedzielne wydanie Ilustrowanego Kuriera Codziennego, słynnego w tamtych czasach IKC´a. Zdarzało mi się również do niego zaglądać i śledzić rozmaite wydarzenia krajowe i zagraniczne.

W gimnazjum, do którego uczęszczałem, obowiązywał jeszcze jeden zwyczaj. Wszyscy uczniowie po uzyskaniu promocji do II klasy mieli obowiązek spędzić razem cztery tygodnie na obozie. Miało to ich zintegrować na następne lata wspólnej nauki. Ojciec próbował protestować (cztery tygodnie bez grania!), ale tym razem dyrektor gimnazjum był nieugięty. Pobyt na obozie był najgorszym przeżyciem mojego dzieciństwa. Spowodowały to przede wszystkim spartańskie warunki i przymusowe kolektywne życie. Spaliśmy po kilkunastu w jednym pomieszczeniu i podlegaliśmy określonym rygorom, dla mnie wręcz nienawistnym. Wszystko było wspólne: mieszkanie, jedzenie, wycieczki, gry sportowe, kąpiel, nawet poobiedni odpoczynek. Nie byłem do tego przyzwyczajony. Zresztą, jak się później przekonałem, nigdy nie mogłem się przyzwyczaić do życia „na gwizdek". Dlatego do dzisiaj nie znoszę wszystkiego, co wiąże się z wojskiem. Nie ma we mnie „kolektywnej

więzi". Byłem i pozostałem typem samotnika. Myślę, że mógłbym żyć w klasztorze, pod warunkiem, że miałbym dostęp do książek i… łazienki z bieżącą ciepłą wodą.

Nocami płakałem, a w dzień przeszkadzałem innym we wspólnych grach i zabawach. Raz, zmuszony przez wychowawcę do gry w piłkę nożną, kopnąłem niechcący w nogę innego gracza, za co zostałem potężnie, „wyszturchany". A kiedy w czasie gry w podchody zgubiłem się w lesie, koledzy urządzili mi ręcznikami tzw. ogólniaka. Przysłowiową „kroplą przepełniającą czarę goryczy" stało się mycie schodów. W domu ani Wanda, ani ja nie wykonywaliśmy żadnych czynności gospodarskich, poza sprzątaniem swoich książek, zabawek czy ubrań. Ojciec uważał, że nasze dziecięce ręce należy chronić przed ewentualnym skaleczeniem, aby były zawsze sprawne do grania. Natomiast na obozie uczniowie musieli np. porządkować otoczenie budynku. Z niechęcią wykonywałem te czynności, ponieważ wymagały fizycznego wysiłku i brudziły ręce. Kiedy jednak gospodyni zarządziła, że mamy umyć podłogi i schody – jako jedyny uczeń odmówiłem. Nie pomogła nawet interwencja kierownika. Oświadczyłem, że nigdy nie wykonywałem takich brudnych prac w domu i nie zamierzam wykonywać ich tutaj. Kierownik zagroził, że przekaże fakt takiej niesubordynacji dyrektorowi, ale widząc moją zdecydowaną postawę – ustąpił. Wysyłałem do rodziców rozpaczliwe listy, pełne błagań w rodzaju: zabierzcie mnie stąd, już dłużej nie wytrzymam.

Mniej więcej po dwóch tygodniach zjawił się ojciec i po krótkiej a burzliwej rozmowie z kierownikiem obozu, zabrał mnie do domu. Nie wiem, jakie byłyby skutki tego zatargu, gdyby nie wybuch wojny.

Z obozu pojechaliśmy na wieś, gdzie czekała już matka z Wandą. Z tych ostatnich przedwojennych wakacji pamiętam rosnące napięcie. Ojciec czytał matce z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" informacje o coraz to nowych prowokacjach niemieckich, dyplomatycznych zabiegach mających na celu uniknięcie zbrojnej konfrontacji, międzynarodowych układach i traktatach, manewrach różnych wojsk, ofiarnym oddawaniu przez obywateli naszego kraju pieniędzy i kosztowności na zakup broni dla armii. I to wszystko okraszone buńczucznymi oświadczeniami naszych czołowych polityków i wojskowych.

Nie mogę sobie przypomnieć, kto na wsi posiadał radio głośnikowe, zwane wówczas – jak mi się wydaje – heterodyną lub superheterodyną. I wtedy po raz pierwszy usłyszałem przemówienie Hitlera. Pamiętam przykre wrażenie wywołane przez histeryczny wrzask, przesadną akcentację i pełen furii ochrypły głos. Czegoś takiego nigdy dotąd nie słyszałem.

Ojciec stawał się coraz bardziej niespokojny i wreszcie gdzieś w połowie sierpnia (tego nie jestem pewien) postanowił skrócić wakacje i wróciliśmy do Łodzi. A tam atmosfera była jeszcze bardziej napięta. Na podwórku umieszczono wielką, grubą blachę i młotek. Uderzenia miały ostrzegać mieszkańców naszego domu o niebezpieczeństwie. Jakim – nie pamiętam, ale chyba przed atakiem gazowym, którego obawiano się najbardziej. Jeszcze przed końcem roku szkolnego uczono nas w gimnazjum, jak posługiwać się maską przeciwgazową. Pamiętam, że ledwo ją założyłem, zacząłem się dusić od smrodu, jaki wydzielał materiał, z którego była zrobiona. Przerażony zerwałem maskę. Na strychu umieszczono skrzynię z piaskiem i łopatę, aby zasypywać ogień. W nocy mężczyźni (ojciec również) mieli na zmianę dyżury. Nie pamiętam czy na podwórku czy właśnie na strychu.

Dla mnie te wszystkie przygotowania miały posmak zabawy. Być może dlatego, że tak bardzo odbiegały od zwykłej codzienności. Muszę jednak dodać, że ojciec nadal przestrzegał regularnych godzin ćwiczenia.

Aż nadszedł 1 września.

Rozdział IV

WOJNA I POCZĄTEK OKUPACJI (1939 – 1940)

O ile pamiętam, w nocy z 31 sierpnia na 1 września obudziły nas syreny, ogłaszając alarm lotniczy. Zbiegliśmy do piwnicy, ale żadne bomby nie spadły na Łódź. Samoloty niemieckie tylko przelatywały nad naszym miastem.

Zanim jednak zacznę opisywać te pierwsze dni wojny, muszę przedstawić przyszłemu czytelnikowi parę ogólnych uwag. Kiedy próbowałem odtworzyć w pamięci tamte, odległe o ponad 66 lat wydarzenia, okazało się, że nie potrafię ułożyć wspomnień w spójny chronologiczny ciąg. Są to raczej luźne obrazy, czy pojedyncze usłyszane wypowiedzi. To dziwne, że tak ważne, bądź co bądź historyczne, wydarzenia stały się po latach strzępami wspomnień. Czyżby wtedy nie były dla mnie aż tak istotne, że nie zdołały utrwalić się w całości w mojej pamięci? Czyżby jako trzynastoletni chłopiec byłem aż tak oderwany od rzeczywistości? Czyżby świat książek był bardziej realny od prawdziwego życia? Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania.

Ponadto przy próbach odtworzenia przeżyć z tamtych dni pojawiły się dodatkowe trudności: czy to, co potrafię sobie przypomnieć, to prawdziwe wspomnienia? Czy rzeczywiście to widziałem, słyszałem, przeżywałem? A może na tamte wspomnienia nałożyły się późniejsze? Przecież zaraz po zajęciu Łodzi przez Niemców zaczęli wracać znajomi moich rodziców, którzy uciekli z miasta w pierwszych dniach września. Ich opowiadania mogły „wzbogacić" moje rzeczywiste wspomnienia. A dwa lata później pojechałem do Warszawy, gdzie znacznie rozszerzono moją wiedzę o wydarzeniach wrześniowych. Zaś po wojnie książki czy filmy dokumentalne tę wiedze ugruntowały. Dzisiaj, po upływie kilkudziesięciu lat, jest mi niezmiernie trudno dokonać „odsiewu" późniejszych informacji od tego, co naprawdę wiedziałem o wydarzeniach wojennych w tamtych dniach wrześniowych.

Przypuszczam, że lekceważenie tych trudności przez piszących swoje wspomnienia powoduje, iż w wielu autobiografiach roi się od niezamierzonych przekłamań, drażniących konfabulacji i zwykłego fantazjowania.

Z pierwszych dni września pamiętam „biwakowanie" na podwórku. Matka, podobnie jak wiele innych kobiet, gotowała jedzenie na kuchenkach spirytusowych, zwanych w tamtych czasach „Prymusami". (Czyżby od nazwy fabryki, która je produkowała?) Na szczęście była słoneczna pogoda i mogliśmy całe dnie spędzać na podwórku. Pamiętam jak jedna z sąsiadek poczęstowała nas zupą z dyni. Smak wydał mi się tak obrzydliwy, że stał się – paradoksalnie! – najprzykrzejszym wspomnieniem z tamtych dni.

Niektórzy mieszkańcy naszej kamienicy (upamiętniam adres: ulica Narutowicza 45) mieli radia głośnikowe, które stawiali na parapetach otwartych okien. Dlatego wryły się w moją pamięć słowa: "Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy" oraz te, całkowicie niezrozumiałe, ale brzmiące tajemniczo i groźnie: „Uwaga, uwaga! Koma trzy. Przeszedł".

Pamiętam również wezwania jakiegoś pułkownika Umiastowskiego, aby mieszkańcy miast zagrożonych niemieckim atakiem uciekali na wschód. Te wielokrotnie powtarzane przez radio wezwania skłoniły znaczną część lokatorów naszej kamienicy do spakowania w plecaki i torby najpotrzebniejszych rzeczy i wyruszenia wczesnym rankiem do tzw. wylotowych ulic, wiodących do Warszawy. Ojciec bez wahania, – co dokładnie pamiętam – podjął decyzję: zostajemy w domu.

Po paru godzinach nasi sąsiedzi wrócili przerażeni. Już u granic miasta zobaczyli z daleka tłumy ludzi na szosie i „pikujące" (tak to się wtedy określało) samoloty niemieckie. Słyszeli wybuchy bomb, serie z karabinów maszynowych i domyślali się straszliwej masakry.

Znacznie później dowiedziałem się, że ten exodus był trudną do opisania tragedią setek tysięcy ludzi, które stały się ofiarami pierwszego w tej wojnie ludobójstwa.

Słyszałem również rozmaite plotki. Jedna głosiła, że ten pułkownik Umiastowski był agentem niemieckim. Jego wezwanie miało na celu zdezorganizowanie odwrotu polskich wojsk. Podobno został aresztowany i rozstrzelany. Według innej plotki, działał w dobrej wierze, a na wiadomość o tym, co się stało - popełnił samobójstwo.

Nigdy nie dowiedziałem się, jak było naprawdę, ale to, co działo się na polskich drogach, jest jedną z bardziej ponurych kart września 39 roku.

Łódź została zajęta – o ile mnie pamięć nie zawodzi – po mniej więcej tygodniu. Widok przejeżdżających ulicą Piotrkowską ciężarówek z siedzącymi żołnierzami niemieckimi, boleśnie kontrastował z wcześniejszym obrazem polskich żołnierzy, idących na piechotę. A obszyte brązowym futrem tornistry wywierały – co dokładnie pamiętam – przygnębiające wrażenie. Obrazowały w moich oczach siłę niemieckiej armii. A kiedy później zobaczyłem na ulicy spacerujących lotników w ich nienagannie skrojonych mundurach, „twarzowych czapkach" i efektownych mieczykach przy pasie – pomyślałem z goryczą: „Nic dziwnego, że wygrali wojnę."

A potem Łódź została wcielona do Rzeszy i kolejno przemianowywana na Lodz, Lodsch, aż wreszcie na Litzmanstadt.

Pod koniec września Niemcy zezwolili na otwarcie szkół i bodajże do grudnia byłem jeszcze uczniem II klasy gimnazjum. A potem dyrektor oznajmił zebranym pedagogom i uczniom, że gimnazjum zostaje zamknięte „do odwołania". Jak wiadomo z historii, Niemcy zlikwidowali nie tylko na terenach włączonych do Rzeszy, lecz także w Generalnej Guberni wszystkie polskie szkoły wyższe i średnie.

Pewnego dnia (nie pamiętam, czy był to koniec września czy początek października) ojciec otrzymał wezwanie do Polizeiprasidium. Po powrocie z oburzeniem relacjonował matce przebieg rozmowy. Pozwolę sobie dokładnie zacytować słowa ojca, ponieważ utkwiły mi na zawsze w pamięci.

- Wyobraź sobie Dorusiu, że za stołem siedział jakiś volksdeutsch i po otworzeniu papierowej teczki, powiedział do mnie: „Powinien pan jako Rosjanin podpisać Volksrusseliste".

Tutaj muszę podać konieczne wyjaśnienie dla młodszych wiekiem czytelników. Władze okupacyjne „podzieliły" Niemców w Polsce na dwie zasadnicze kategorie: Reichsdeutsch i Volksdeutsch. Do pierwszej należeli ci Niemcy, którzy pochodzili z czysto niemieckich rodzin. Natomiast do drugiej należeli ci dawni polscy obywatele, którzy teraz przypomnieli sobie, że np. mają ojca lub matkę niemieckiego pochodzenia, albo noszą niemieckie nazwisko. Byli to przeważnie ludzie, którzy dla pieniędzy, kariery lub z tchórzostwa chcieli się jakoś zabezpieczyć. Ze środowiska volksdeutschów pochodzili przeróżni konfidenci, donosiciele, zabiegający o względy okupantów pracownicy rozmaitych urzędów, a także żandarmi.

Po tych skrótowych wyjaśnieniach wracam do relacji ojca.

- A ja mu na to, że jestem Polakiem a nie Rosjaninem. On zajrzał do teczki i powiedział: „Ale urodził się pan w Rosji, w Azowie nad Donem". Odpowiedziałem, że tylko dlatego, że mój ojciec służył akurat w tamtym mieście. A ten Volksdeutsch z triumfem zawołał: „Właśnie, bo pański ojciec był carskim generałem". Wtedy mu powiedziałem, że mój ojciec jako sierota ze szlacheckiego polskiego rodu został oddany do korpusu kadetów, a po skończeniu medycyny musiał zostać lekarzem wojskowym. Ale nie przeszedł na prawosławie, czuł się zawsze Polakiem, w domu mówiło się po polsku, a po rewolucji przyjechał do Polski. Wtedy ten Volksdeutsch wpadł w złość i zapytał: „To nie podpisze pan listy?" To ja też się zezłościłem i odpowiedziałem: "Proszę pana, narodowości nie zmienia się jak rękawiczki". On wziął wtedy czerwony ołówek i na teczce napisał wielkimi literami „Pole.".

Przytoczyłem dosłownie tę relację, ponieważ nie tylko charakteryzuje mojego ojca, ale była typowa dla wielu Polaków, postawionych przed podobnymi wyborami. Później, kiedy mieszkałem w Warszawie, dowiedziałem się o jakże zróżnicowanych postawach Polaków. Podczas gdy jedni w taki czy inny sposób wysługiwali się władzom okupacyjnym, idąc na wszelkie możliwe kompromisy, drudzy zachowali godność, ryzykując nieraz własne oraz swoich rodzin życie. Mój ojciec w swojej urażonej narodowej dumie nie pomyślał, że mówiąc o „zmianie rękawiczek" wymierzył Volksdeutschowi policzek. Mógł za to zapłacić natychmiastowym aresztowaniem, pobiciem, represjami wobec żony i dzieci. Dlaczego szczęśliwie tego uniknął – pozostanie na zawsze tajemnicą. Może dzięki temu, że ojciec był muzykiem i uczył gry na skrzypcach wielu Niemców?

W parę dni po tym wydarzeniu ojciec otrzymał nakaz opuszczenia mieszkania i przeniesienia się na peryferie miasta, do robotniczej dzielnicy Koziny. Dla mnie było to zupełnie nowe doświadczenie. Poznałem środowisko całkiem dotąd nieznane.

Otrzymaliśmy lokal przerobiony z dawnej piekarni. Tam właśnie po raz pierwszy zobaczyłem karaluchy. Mieścił się w budynku zamieszkanym przez robotnicze rodziny. Kiedy matka nawiązała już pierwsze kontakty z żonami robotników, postanowiła pokazać mi, jak żyją inni ludzie. To, co zobaczyłem – było wręcz przerażającym przeżyciem. Długi, ciemny korytarz, ziejący chłodem i zapachem zgnilizny. A po obu stronach szereg drzwi. Kiedy matka zapukała do jednych i weszliśmy do środka, wpadłem w przerażenie. Mieszkanie składało się z jednego dużego pokoju, przedzielonego wiszącymi na drutach zasłonami. Ten pokój był zarazem sypialnią, jadalnią, kuchnią i umywalnią dla całej paroosobowej rodziny. Czegoś takiego nigdy dotąd nie widziałem. Pamiętam, że pod jakimś pretekstem uciekłem na podwórko. Tam dopiero odetchnąłem z ulgą. Uświadomiłem sobie wówczas po raz pierwszy, w jakich warunkach muszą żyć ludzie. W książkach czytałem o biedakach, oglądałem ich również na filmach. Ale to było w jakimś stopniu abstrakcją. Zaś teraz rzeczywistością. To przeżycie w znacznym stopniu wpłynęło na mój stosunek do ludzi biednych, nieszczęśliwych, potrzebujących pomocy. Trwający nieprzerwanie do dnia dzisiejszego. I jeszcze jedna uwaga, warta zanotowania. Jak już wcześniej pisałem, moim rodzicom naprawdę brakowało pieniędzy. Jako dziecko „donaszałem" po córce mojego brata Kazimierza Anielci płaszcze, swetry czy buty, które były już na nią za małe. A potem z kolei nosiła je Wanda. Na wakacje mogliśmy wyjeżdżać wyłącznie dzięki pomocy przyrodniego rodzeństwa. Ale to nie była bieda podobna do tej, z którą się zetknąłem przy ulicy Gazowej. Po raz pierwszy „dotknąłem" prawdziwego ubóstwa. Po raz pierwszy poczułem to, co można określić „zapachem nędzy". Tego nigdy nie zapomniałem.

A skoro już piszę o biedzie, to do dzisiaj nie wiem, z czego żyliśmy przez pierwsze miesiące okupacji. Przed przeprowadzką ojciec sprzedał kupiony o rok wcześniej mały, tzw. gabinetowy fortepian. Właścicielka sklepu z instrumentami o nazwisku Koischwitz brała u ojca prywatne lekcje gry na skrzypcach. Nie tylko zresztą ona, ale także jej córka Margot. Większość uczniów ojca stanowili Żydzi i Niemcy. Pierwsi zostali zamknięci do getta, natomiast drudzy nadal uczyli się u ojca, choć nie było to dobrze widziane przez władze. Czego bowiem Niemiec mógł się nauczyć u Polaka? Ale ci rdzenni Niemcy, uznani za Reichsdeutchów i zrównani w prawach z przybyszami z głębi Rzeszy, nie chcieli rezygnować z kontynuowania nauki muzyki u starego pedagoga Polaka. I w dodatku pomagali mu w rozmaity sposób, o czym jeszcze napiszę. Przypuszczam, że to dzięki pomocy tych Niemców i prawdopodobnie ich cichej „zakulisowej" opiece – moi rodzice przeżyli bezpiecznie całą okupację. Oto drobny przyczynek do historii II wojny światowej i skomplikowanych stosunków polsko - niemieckich.

Wracając do sprawy fortepianu, to pani Koischwitz mogła w tamtych czasach po prostu zabrać instrument, nic za niego nie płacąc. Wystarczyło powiedzieć, że go nie sprzedała, lecz tylko pożyczyła. A teraz zabiera jako swoją własność. Była jednak uczciwa, że nie tylko zapłaciła ojcu pełną cenę w markach, ale jeszcze przewiozła instrument z naszego mieszkania do sklepu na własny koszt. Ona również polecała ojca jako znakomitego pedagoga przybyłym z Rzeszy Niemcom.

Ale to było nieco później. W pierwszych miesiącach okupacji żyliśmy dosłownie z dnia na dzień. Ojciec miał niewiele lekcji, tak więc dorabialiśmy grając na nabożeństwach w pobliskim kościele.

Matka wzorem żon robotników, hodowała na podwórku kurczaka, aby zaopatrzyć nas w mięso na zbliżające się święta Bożego Narodzenia. I tak się też stało. Któryś z sąsiadów zarżnął kurczaka, a matka go oskubała i ugotowała. Ale sama nie zjadła ani kawałeczka. Mówiła, że zbyt lubiła tego swojego kurczaka.

O kupnie choinki przez Polaków nie było mowy. Matka po zapadnięciu zmroku, ale przed tzw. godziną policyjną, zbierała po ulicach połamane gałązki choinek, a ojciec przytwierdzał je drutem do kija od szczotki. Potem tę dziwaczną konstrukcję pokryliśmy starymi ozdobami, przede wszystkim łańcuchami ze słomek i bibułek. Od biedy mogła imitować choinkę.

Jako prezenty otrzymaliśmy z Wandą trochę słodyczy, które matka nie wiadomo jakim sposobem zdobyła. Ale był tradycyjny opłatek i wspólne śpiewanie kolęd. To właśnie ta pierwsza wojenna Wigilia najsilniej wryła się w moją pamięć i sprawiła, że ten świąteczny wieczór do dzisiaj uważam za najważniejszą w roku rodzinną uroczystość.

Zima 39/40 była bardzo mroźna, co z uwagi na kiepskie odżywianie szczególnie dotkliwie odczuwaliśmy w stale niedogrzanym mieszkaniu. W tym samym mniej więcej okresie nastąpiły masowe wysiedlenia Polaków z terenów przyłączonych do Rzeszy, to znaczy z poznańskiego, bydgoskiego i łódzkiego. Matka na każdą noc przygotowywała węzełki z najpotrzebniejszymi rzeczami i wszyscy spaliśmy w ubraniach. Jak opowiadano, Niemcy przy takich masowych wysiedleniach nie zostawiali wiele czasu na ubranie się i pakowanie. Na szczęście ta okrutna forma prześladowań ominęła naszą rodzinę. Czyżby i w tym przypadku pomogli znajomi Niemcy? Nigdy się tego nie dowiedziałem.

Skoro już mowa o łódzkich Niemcach, to należy podkreślić lojalność niektórych wobec Polski. Wprawdzie – jak słyszałem z rozmów rodziców – już na rok, dwa przed wybuchem wojny część z nich wyrażała głośno dumę z rosnącej potęgi Rzeszy hitlerowskiej. Większość

jednak, choć na co dzień zaznaczała swoją odrębność etniczną (osobne szkoły, teatr, gazeta), zachowywała się lojalnie wobec państwa polskiego. Wprawdzie w pierwszych dniach wojny mówiono o jednym fabrykancie, który z dachu swojego pałacyku dawał świetlne sygnały przelatującym hitlerowskim samolotom i został aresztowany, ale była to odosobniona i niepotwierdzona plotka. Po upadku Polski, sytuacja łódzkich Niemców stała się jasna: automatycznie weszli do grupy Reichsdeutschów, czyli rdzennych, pełnoprawnych obywateli wielkiej Rzeszy. Z rozmów rodziców wynikało, że prawie wszyscy zaakceptowali tę nową, korzystną dla nich zmianę. W ten sposób zachowali swoje przedsiębiorstwa (niektóre z nich to były ogromne fabryki, głównie włókiennicze, np. Scheibler i Grohmann), majątki, mieszkania i zapewnili sobie i swoim rodzinom względne bezpieczeństwo. Ale znaleźli się niektórzy (nie wiem ilu), którzy odmówili przyjęcia niemieckiego obywatelstwa. Jaki spotkał ich los – również nie wiem. Natomiast po Łodzi, z ust do ust krążyła opowieść, że członek jednej z najbogatszych łódzkich rodzin, współudziałowiec olbrzymiej fabryki włókienniczej, Juliusz Geyer, oficjalnie oświadczył, że był i pozostał Polakiem. Mówiono, że od lat pełnił funkcję tzw. konsula honorowego Finlandii i być może liczył na coś w rodzaju dyplomatycznego immunitetu. Ale władze hitlerowskie nie chciały tolerować takiej demonstracji i – jak mówiono – Gestapo zjawiło się w pałacyku fabrykantów. Juliusz Geyer wyskoczył przez okno do ogrodu i tam został zastrzelony. Jak było naprawdę, nigdy się nie dowiedziałem. Ciekawe czy ten fakt (prawdziwy albo zmyślony) został gdzieś w historii okupacyjnej Łodzi zapisany.

I jeszcze jedna warta odnotowania historia z tej pierwszej wojennej zimy. W Łodzi mieszkał pewien lekarz, daleki powinowaty ojca. Na początku okupacji zdecydował, że jego córka powinna uczyć się gry na skrzypcach. Ojciec dawał jej dwa razy w tygodniu lekcje. Czy otrzymywał za to jakieś wynagrodzenie – nie wiem. Natomiast w tym samym czasie, przebywająca u lekarza kuzynka, przerabiała ze mną program II klasy gimnazjalnej. Potem była wspólna kolacja, w czasie której mogłem się najeść do syta. A po niej wracaliśmy w mroźne wieczory spiesznie do domu, aby zdążyć przed godziną policyjną. Ja zaś niosłem zawsze parę książek, wypożyczonych ze sporego księgozbioru lekarza. W ten sposób miałem zapewniony dostęp do książek. Miedzy innymi przeczytałem wtedy „Chłopów" Reymonta i wszystkie pisma Piłsudskiego, 10 czy 11 tomów. Ich lektura była dla mnie szokiem. W moim rodzinnym domu nie panował wprawdzie przesadny kult osoby Piłsudskiego, ale otaczano go szacunkiem jako niezłomnego bojownika o wolność i twórcę niepodległego państwa polskiego. Tymczasem z pism wyłaniała się postać megalomana o niezbyt rozległych horyzontach, w dodatku traktującego innych ludzi raczej lekceważąco. Nawet dla mnie, kilkunastoletniego chłopca, odpychająca była jego antydemokratyczna postawa, brak szacunku dla systemu parlamentarnego i anachroniczne szlacheckie warcholstwo. Znacznie później znalazłem potwierdzenie w faktach historycznych tego mojego pierwszego, młodzieńczego, negatywnego wrażenia. Niezależnie od nieprzeciętnej osobowości Piłsudskiego i jego niewątpliwych zasług.

W tym miejscu chciałbym jeszcze wyjaśnić sprawę patriotyzmu poszczególnych grup społecznych. Już we wrześniu, wracający z ucieczki mieszkańcy Łodzi mówili z goryczą o postawie chłopów. Kiedy uciekinierzy, objuczeni bagażami i ostrzeliwani przez niemiecki samoloty, zatrzymywali się w mijanych wsiach, chłopi za szklankę mleka dla dziecka żądali zegarka lub obrączki. Podobno nawet za wodę ze studni kazali płacić. Potem w Warszawie potwierdzono mi takie przypadki. Jak częste było takie nieludzkie traktowanie „miastowych" przez chłopów – nie wiem. Faktem jest jednak, że miało miejsce. Oto przyczynek do toczonej niemal od dziesiątków lat dyskusji o patriotyzmie i narodowej solidarności.

Innym przyczynkiem może być postawa części tzw. klasy robotniczej. Moja matka z oburzeniem opowiadała ojcu (a ja słyszałem to na własne uszy) o jawnie niepatriotycznym nastawieniu żon łódzkich robotników. Mówiły, że państwo polskie nic im nie dało oprócz wyzysku i biedy. Twierdziły, że ich mężowie i tak pracowali dla niemieckich i żydowskich fabrykantów. Jaka więc różnica?, pytały. Wierzyły natomiast, że Hitler zapewni stałą pracę, ponieważ w Niemczech nie ma bezrobocia. Rodzice byli wręcz przerażeni taką postawą, choć próbowali ją usprawiedliwić.

Gwoli prawdy muszę z przykrością dodać, że dopiero wywożenie na przymusowe roboty do Rzeszy obudziło w tzw. klasie robotniczej patriotyzm i wywołało nienawiść do Niemców. Podobnie było na wsi. Przymusowe roboty oraz narzucone i bezwzględnie egzekwowane kontyngenty spowodowały, że w tzw. warstwie chłopskiej pojawił się ruch oporu. Przykro mi dzisiaj o tym pisać, ale tak to wówczas oceniano wśród warszawskich inteligentów.

Już wtedy jako pasjonujący się historią kilkunastolatek, zaczynałem rozumieć, że patriotyzm i poczucie przynależności narodowej to stosunkowo świeże zjawiska. Przez tysiące lat w ogóle nie istniały. Wystarczyło przyjrzeć się historii naszego kraju. Nasi królowie to Litwini, Szwedzi, Sasi. A ich żony? Czeszki, Niemki, Rusinki, Francuzki. Magnaci byli spokrewnieni z arystokratycznymi rodami niemal całej Europy. Przypuszczałem na podstawie mojej ówczesnej wiedzy historycznej, że w tamtych dawnych wiekach ważniejsza była przynależność stanowa niż narodowa. Przypuszczałem również, że patriotyzm pojawił się razem z romantyczną literaturą i przeniknął do tzw. inteligencji wywodzącej się z zubożałej, zdeklasowanej szlachty. I obejmował głównie miasta. Być może ten mój pogląd był zbyt jednostronny i niesprawiedliwy, ale – jak wiadomo – młodość jest często i krytyczna, i bezkompromisowa. Cóż, przywilej wieku…

Muszę jeszcze wspomnieć, że pod wpływem rozmaitych lektur w tamte długie, zimowe wieczory pierwszego okresu okupacji postanowiłem zostać pisarzem. Zabrałem się do roboty i w ciągu paru dni napisałem dwa opowiadania. Matka, widząc mój zapał, opowiedziała, że mając zaledwie 7 lat, postanowiłem napisać powieść. Dostałem wtedy zeszyt i z pewnym mozołem zacząłem „tworzyć". Rezultat tych wysiłków był – według słów matki - następujący:

„W pewnym mieście mieszkało rodzeństwo: Staś i Natalia. Ich ojciec pracował fsądzie. Czy wiecie, że fsądzie jest wielu policjantów?"

Tę pisownię cytuję zgodnie z matczynym przekazem. Na tych paru zdaniach powieść się urwała. Nie wiadomo, czy zabrakło mi „natchnienia" czy zapału. Maria, przyrodnia siostra a zarazem matka chrzestna, zabrała zeszyt na pamiątkę. Zaginął w Gdańsku.

Tym razem oba opowiadania skończyłem i z dumą przeczytałem rodzicom i Wandzi. Jakie były ich oceny – nie pamiętam. Gdybym został znanym pisarzem, biografowie przytaczaliby te dwa opowiadania jako przykład, że już jako kilkunastoletni chłopiec próbowałem swoich sił w literaturze. A gdybym został przywódcą religijnym lub politycznym, wydrukowano by je z pietyzmem. Tylko po co?

Na zakończenie tego rozdziału powinienem jeszcze napisać o wydarzeniach wojennych. Jak pamiętam, rodzice dowiadywali się o nich głównie z prasy niemieckiej. Wiadomości, które przekazywali sobie po cichu Polacy, były przedziwną mieszaniną marzeń, plotek, pobożnych życzeń, przeinaczonych faktów. Upadek Danii, Norwegii, a potem Belgii i Holandii nie wywołał większego wrażenia. Przeciwnie, odnosiłem wrażenie, że dorośli odczuli nawet pewną ulgę, że nie tylko Polska została pokonana. Ale druzgocąca klęska Francji i haniebna kapitulacja były szokiem. Polacy nie mogli pojąć, że ten sam kraj, który

w I wojnie światowej walczył bohatersko przez cztery lata, teraz poddał się po paru zaledwie tygodniach. Przysłuchując się rozmowom dorosłych, mogłem wyczuć w ich słowach przerażenie. Jak to się mogło stać? Jak do tego doszło? Czyżby to już koniec?

Jedynym człowiekiem, który zareagował inaczej, był – o dziwo – mój ojciec. On, który interesował się tylko muzyką i dla którego wszelkie inne sprawy były odległe – po upadku Francji odzyskał, jeśli nie humor, to w każdym razie wiarę w pomyślną przyszłość. Dokładnie pamiętam jego słowa: „No, to teraz Hitler przegrał wojnę".

Zaskoczonym rozmówcom tłumaczył, że klęska Hitlera jest nieuchronna, ponieważ zbyt dużo krajów zdobył. I nie uda się pilnować tak rozległego terytorium. A zwłaszcza sterroryzować tylu wrogich narodów. Ojciec, który dotąd – jak pamiętam – nie wypowiadał się na tematy polityczne, społeczne, militarne – całkiem trafnie ocenił sytuację. Dzisiaj wiem, że na klęskę Niemiec złożyło się wiele więcej czynników. Ale wśród nich były także te, o których mówił mój ojciec w okupacyjnej Łodzi wiosną 1940 roku.

Rozdział V

WARSZAWA (I) (1940 – 1942)

W maju 1940 roku skończyłem 14 lat i rodzice zaczęli się obawiać, że mogę dostać wezwanie do Arbeitsamtu. Ta instytucja o niewinnej z pozoru nazwie (Urząd Pracy) była w rzeczywistości jednym z narzędzi hitlerowskiego terroru. To urzędnicy Arbeitsamtu decydowali o przymusowym kierowaniu na roboty do Rzeszy. Miliony ludzi z podbitych przez Niemców krajów wysyłano do fabryk, kopalń, gospodarstw rolnych. W Generalnej Guberni przymus pracy dotyczył pełnoletnich Polaków; na terenach przyłączonych do Rzeszy obejmował także młodzież od lat 14. W tej sytuacji w najbliższym czasie mogłem otrzymać wezwanie. Jeśli ktoś nie zgłosił się w wyznaczonym terminie, zostawał doprowadzony przez policję i prosto z Urzędu pod eskortą wysłany w głąb Rzeszy.

Ojciec – jak się domyślam – wykorzystał znajomych Niemców i na początku zimy 1940/41 otrzymał zgodę z Polizei Präsidium na wysłanie syna do rodziny w Warszawie. Zupełnie nie pamiętam, jak wówczas zareagowałem na taką, bądź co bądź, poważną zmianę w moim dotychczasowym życiu.

W miarę pisania tych wspomnień i odtwarzania przeszłości umacniam się w przekonaniu, że dzięki mojemu ówczesnemu zamiłowaniu do książek, odczuwałem rzeczywistość słabiej niż moi rówieśnicy. Mam wrażenie, że to co działo się w realnym, otaczającym mnie świecie, nie wydawało mi się ważniejsze niż to, co na kartach książek stwarzali pisarze. Bohaterowie powieści i opowiadań nie byli dla mnie w tamtym okresie wyimaginowanymi postaciami. Byli ludźmi z krwi i kości. A swoje własne życie odczuwałem jako jeszcze jedną powieść. Oczywiście tę swoją postawę i reakcje uświadomiłem sobie dopiero po wielu latach.

Podróż

Pewnego późnego zimowego popołudnia po pożegnaniu z matką i Wandą wraz z ojcem poszedłem na dworzec Łódź - Kaliska. Ojciec przedstawił w kasie zezwolenie na mój wyjazd do Generalnej Guberni i kupił bilet III klasy na pociąg pospieszny Berlin - Warszawa. Jak przypuszczam, byliśmy jedynymi Polakami na dworcu. No, może poza kolejarzami i sprzątaczkami. Ponieważ obowiązywało tzw. zaciemnienie, jedynym oświetleniem w pomieszczeniach dworca były małe, błękitne lampki. Wreszcie usłyszałem z głośnika zapowiedź: „Schnellzung von Berlin nach Warschau…"

Pociąg był również nieoświetlony. Jedynie konduktorzy mieli latarki z błękitnymi żarówkami. Pomagali pasażerom znaleźć wolne miejsca w zatłoczonych przedziałach. Dla mnie także znaleźli. Ojciec ucałował mnie na pożegnanie i zostałem sam, polski chłopiec miedzy dorosłymi Niemcami, patrzącymi na mnie jak na jakieś egzotyczne zwierzę. A może tak mi się tylko wydawało?

Na granicy pomiędzy Rzeszą a Generalną Gubernią do przedziału wszedł żandarm w hełmie i z przewieszonym na piersi pistoletem maszynowym. Wszyscy niemieccy pasażerowie okazywali jakieś dokumenty. Kiedy ja podałem swój „Passierschein", żandarm skierował światło latarki na moją twarz, potem znowu na przepustkę. Mój nos zainteresował go, bo jeszcze raz starannie oświetlił moją twarz i długo się w nią wpatrywał. Znowu starannie sprawdził przepustkę, która była jak najbardziej prawdziwa, opatrzona pieczęciami i podpisami. Wreszcie oddał mi ją bez słowa i opuścił przedział. Moi współpasażerowie szybko wymienili między sobą półgłosem jakieś uwagi, ale czego dotyczyły – nie wiem.

Na dworcu głównym w Warszawie czekał na mnie brat Kazimierz i tak rozpoczął się kolejny rozdział mojego życia.

Parę refleksji

Teraz, z perspektywy ponad sześćdziesięciu lat jestem pewien, że ten rozdział był najbardziej znaczący dla mojego rozwoju umysłowego. Psychologowie różnią się w ocenie poszczególnych okresów życia dziecka. Jedni uważają, że najważniejsze dla rozwoju emocjonalnej strony osobowości człowieka są zaledwie trzy pierwsze lata. Inni przedłużają ten okres do lat 7-8. Podobnie z rozwojem umysłowym. Niektórzy psychologowie twierdzą, że najbardziej istotny jest okres do 9-11 roku, zaś inni, że raczej aż do 16-18 roku. Osobiście jestem skłonny nie przypisywać aż takiego znaczenia wiekowi. Czasami ważniejsze może być środowisko i rozmaite wydarzenia. No, a także wrodzone dyspozycje psychiczne.

Dla mnie, w tzw. okresie dojrzewania, czyli miedzy 14 a 18 rokiem życia, wszystko uległo radykalnej zmianie. Po raz pierwszy opuściłem rodziców, znalazłem się wśród wybitnych muzyków, poznałem wielu interesujących ludzi, rozpocząłem pracę zarobkową. A to wszystko w anormalnych, zagrażających życiu warunkach okupowanej Warszawy. Nigdy nie znalazłem odpowiedzi na proste pytania. Jakim byłbym człowiekiem gdyby nie wybuchła wojna? Jak potoczyłoby się moje życie? Kim bym został?

Na pytania te nie można chyba udzielić sensownej odpowiedzi. Wszystkie byłyby czystą spekulacją. Tym niemniej jestem pewien, że te trzy i pół roku wpłynęły zasadniczo na moje życie i ukształtowały mnie ostatecznie. I - co najważniejsze – były okresem najbujniejszego rozwoju umysłowego.

Nowa rodzina

Mój przyrodni brat Kazimierz, którego odtąd będę w tych wspomnieniach nazywał Kaziem (bo tak zwracała się do niego cała rodzina), odebrał mnie na dworcu i pojechaliśmy tramwajem na Ochotę. W domu nr 3 przy ulicy Akademickiej miała trzypokojowe mieszkanie siostra ojca, Konstancja, zwana potocznie ciocią Kocią. To mieszkanie stało się moim domem aż do wybuchu Powstania. Już wcześniej po wyjeździe z Gdańska znalazła tam schronienie również najbliższa rodzina Kazia: żona Maria, zwana także Marychną, córka Anielcia (starsza ode mnie o dwa lata) oraz siostra Maria, nazywana Marysią lub Marysieńką. Ciocia Kocia, podobnie jak reszta rodziny, po rewolucji październikowej przyjechała do Polski i pracowała w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. A tak na marginesie chciałbym dodać cierpką uwagę, że z tego jednego ministerstwa

dzisiaj „wykrojono" by co najmniej cztery: Oświaty, Nauki, Kultury, Spraw Społecznych, a także parę urzędów centralnych. W tamtym zaś przedwojennym ministerstwie nie było nawet – jak opowiadał Kazio – departamentu do spraw kultury, a jedynie skromny wydział. W tym zaś wydziale pracowało paru zaledwie referentów. Muzyką zajmował się tylko jeden człowiek, którego znaczenie później poznałem przy jakiejś okazji.

Kim był mąż cioci Koci, po którym nosiła nazwisko Buchartowska, i kiedy umarł – nie pamiętam. Warto dodać, że mieszkanie było własnością ciotki a cały duży dom został zbudowany przez spółdzielnię urzędników Ministerstwa. Teraz w trzech pokojach musiało pomieścić się łącznie aż siedem osób: ciotka, jej stara służąca Ewcia (chłopka ze wsi pod Grodnem), Kazio, jego żona, córka oraz Marysia i ja. A niebawem jeszcze ósma – Wandzia. Ale to jeszcze nie koniec. Kazio, Marysia, Anielcia, Wandzia i ja ćwiczyliśmy na pianinie, skrzypcach, wiolonczeli. Każde po parę godzin dziennie. Zdarzało się, że grałem w kuchni, a Wandzia nawet w łazience! Ponadto od czasu do czasu w którymś z pokojów odbywały się próby tria czy kwartetu ze znajomymi muzykami.

Ciocia Kocia była emerytką, ale od września 39 roku nie otrzymywała żadnych pieniędzy. Co pewien czas sprzedawała resztki biżuterii, aby zasilić domowy budżet. Ciężar utrzymania spadł na barki Kazia i Marysi. Dawali lekcje i grali w kościołach, kawiarniach i na tzw. tajnych koncertach. Żona Kazia próbowała dorabiać dorywczo wypiekiem ciastek, a Anielcia (obdarzona zdolnościami plastycznymi) wytwarzała jakieś broszki. Ja byłem początkowo na utrzymaniu Marysi, jako chrzestnej matki, ale niebawem, bo już w niecały rok po przyjeździe zacząłem samodzielnie zarobkować. Grałem na wiolonczeli w kościołach oraz w rozmaitych mniejszych lub większych zespołach, w kawiarniach, rewiach i na sporadycznych koncertach. Stało się to tym bardziej konieczne, gdy na wiosnę 1942 roku przyjechała do Warszawy (również jak ja – całkiem legalnie) Wandzia. Od tego czasu musiałem zarabiać nie tylko na swoje utrzymanie, ale także młodszej siostry. Wpłynęło to – pamiętam dokładnie – na zmianę mojego stosunku do niej. Przedtem często jej dokuczałem i doprowadzałem do łez. Teraz jednak, czując za nią odpowiedzialność, stałem się opiekuńczy i wyrozumiały. Była to znacząca przemiana, potwierdzająca słuszność teorii Makarenki, której w tamtym czasie oczywiście nie mogłem znać.

Byliśmy zapracowani i zagonieni, ale Kazio i Marysia starali się w miarę możliwości poruszać z dziećmi jakieś ogólne tematy, nie tylko muzyczne. Zresztą ja sam często wywoływałem dyskusje, relacjonując świeżo przeczytane książki i wygłaszając z młodzieńczą pewnością siebie niezbyt „ortodoksyjne" poglądy. Ciotka i żona Kazia reagowały oburzeniem, ponieważ to właśnie one miały najbardziej konserwatywne i dewocyjne nastawienie.

Próbowałem w dużym skrócie przedstawić członków rodziny, z którą przyszło mi żyć w jednym mieszkaniu przez trzy i pół roku. Oprócz tego w ciągu pierwszych miesięcy pobytu w Warszawie, poznałem znaczną liczbę bliższych i dalszych krewnych oraz powinowatych. Ponieważ daje to – moim zdaniem – obraz stosunków rodzinnych, które należą już do przeszłości, spróbuję je utrwalić w tych wspomnieniach.

Najwięcej miałem ciotek – jak się domyślałem – nie tylko prawdziwych, ale również tzw. przyszywanych. Przeważnie były to stare panny lub wdowy. Jak to w naszej rodzinie, dzieliła nas różnica nie jednego, ale na ogół dwóch pokoleń, spowodowana przez drugie małżeństwo mojego ojca zawarte w późnym wieku.

Pamiętam ciotkę Jurszównę, starszą panią ogromnego wzrostu, która tonem nieznoszącym sprzeciwu ferowała sądy, oceny i opinie. Pewnego dnia, przysłuchując się moim wywodom

na jakiś temat, oświadczyła: „A Józio powinien zostać księdzem". Marysia, która znała moje, jak na nasze środowisko, wolnomyślne poglądy i potrzebę niezależności, omal nie parsknęła śmiechem. Inna ciotka, o nazwisku Karpowicz i imieniu, którego nigdy nie spotkałem – Domicella, twierdziła, że na pewno zostanę adwokatem.

Parę razy odwiedził nas starszy brat ojca o imieniu Walery, którego nazywano stryj Walerek. Nie rozumiałem tej skłonności do dziwnego zdrabniania imion dorosłych ludzi. Mojego ojca nazywano Fredziem, a mnie Kazio nadał zdrobnienie Pepuś. Na wzór księcia Pepi, bo tak nazywano księcia Józefa Poniatowskiego. Stryj Walerek był bardzo schorowany i poza mglistym wspomnieniem jego powolnego chodu i wymizerowanej twarzy – niczym więcej nie zapisał się w mojej pamięci.

W Radomiu mieszkał syn stryja, także o imieniu Józef. Choć był moim stryjecznym bratem, dzieliła nas różnica kilkudziesięciu lat. Józef pracował jako lekarz i miał cztery córki, z którymi po wojnie nie raz się spotykałem w różnych okolicznościach.

Siostrą Józefa była Zofia, mieszkająca w Warszawie. Skończyła szkoły pielęgniarskie w Polsce i Anglii i została już przed wojną siostrą przełożoną Szpitala Ujazdowskiego. Zbombardowanego przez Niemców we wrześniu 1939 roku pomimo namalowanych na dachu wielkich znaków Czerwonego Krzyża. Zofia wydawała mi się osobą przyzwyczajoną do wydawania poleceń i w pełni odpowiedzialną za to, co robi i mówi. Ale za to mało serdeczną w bezpośrednich kontaktach.

Kazio opowiedział mi, że przed wojną jej brat Józef, lekarz z prowincjonalnego miasta Radomia chciał zwiedzić wielki i nowoczesny warszawski szpital. Zofia zanim zaczęła go oprowadzać, zażądała, aby przy lekarzach, pielęgniarkach i pacjentach tytułował ją „siostrą przełożoną". Ona zwracała się do niego per „panie doktorze".

Kazio uważał, że przesadziła w swojej trosce o zachowanie autorytetu. Ja zaś uważałem, że taka poza była po prostu śmieszna.

Wśród nowo poznanych krewnych najważniejsze okazały się siostry Packiewicz. Ich wpływ na mój rozwój intelektualny był wyjątkowo istotny. Kazio i Marysia wysoko oceniali obie kuzynki. Niewątpliwie były najbardziej oczytane z całej licznej rodziny. Literatura była ich życiową namiętnością. Mogły godzinami dyskutować o wybranej książce. Miały to, co nazywano dawniej wyrafinowanym smakiem. Wielokrotnie wskazywały mi, co należy czytać, o czym nie raz będę jeszcze pisał.

Starsza, Halina nosiła po zmarłym mężu nazwisko Gołębiowska. Mówiła płynnie paroma językami i twierdziła, że tylko jaskiniowcy czytają tłumaczenia. Arcydzieła literatury należy czytać wyłącznie w oryginale. Podobnego zdania była Jadwiga. To właśnie tym kuzynkom obiecałem już jako czterdziestolatek, że po przejściu na emeryturę nauczę się rosyjskiego specjalnie po to, aby jeszcze przed śmiercią przeczytać dzieła Dostojewskiego (ich i mojego ukochanego pisarza) w oryginale.

W latach okupacji kuzynki mówiły do mnie „Józiu", a ja do nich oczywiście „proszę pani". Zbyt duża różnica wieku nas dzieliła. Ale po wojnie, kiedy byłem już dorosły, zaproponowały mi przejście „na ty".

I na zakończenie jeszcze jedno wspomnienie związane z kuzynkami. Opowiadały, że przed I wojną światową wychowywały się w szlacheckim dworku na Wileńszczyźnie. I tam słyszały, jak mówiono, że „kuzyn Felek już jako dziecko był dziwny, a potem się zmarnował i przystał do socjałów". Znacznie później dowiedziały się, że tym „zmarnowanym" kuzynem był Feliks Dzierżyński, z pochodzenia polski szlachcic. Przypomina mi się, że któryś z bohaterów „Trylogii" powiedział: „A tam u was na Litwie wszyscy są kuzynami".

To – być może wyimaginowane – powinowactwo z Dzierżyńskim było źródłem licznych aluzji i dowcipów w naszej rodzinie.

Pierwsze wrażenia

Jak wiadomo z historii, warunki życia w Generalnej Gubernii były odmienne niż na terenach przyłączonych do Rzeszy. Anielka przez pierwsze tygodnie wprowadzała mnie w obowiązujące przepisy i opowiadała o sytuacji w Warszawie. Dorośli przekazywali natomiast swoją wiedzę o wydarzeniach z września 39 roku. Tak więc stosunkowo szybko zostałem wciągnięty w życie okupowanego miasta. A było ono wręcz niezwykłe, o czym dzisiaj wiadomo z ogromnej ilości przeróżnych publikacji, od naukowych rozpraw po zbiory dowcipów, od powieści po bardzo osobiste wspomnienia. To, co pokazują filmy dokumentalne i fabularne, ja widziałem na własne oczy: obławy, łapanki, aresztowania, rewizje itd.

Mieszkańcy Warszawy przystosowali się do tych anormalnych warunków. Patrole na ulicach, dwujęzyczne obwieszczenia o rozstrzelanych zakładnikach, nocne alarmy, zaciemnienie, kartki żywnościowe, zimowe wyłączanie światła – traktowali jak coś oczywistego. Jakby działał pewien mechanizm obronny: najważniejsze – to przetrwać. Pamiętam to dobrze, ponieważ ja także przyjąłem nieświadomie tę postawę: uczyłem się, grałem, czytałem. Zachowywałem się tak, jak gdyby nie było okupacji i dalekiej wojny, jakby nie istniały obozy koncentracyjne, więzienia i terror gestapo. Jakby niedaleko naszego domu nie rozciągało się getto, gdzie ludzie masowo umierali z głodu, chorób, wycieńczenia. Czasami miałem wrażenie, że oglądam jakiś film albo po prostu śnię i zdawało mi się, że zaraz się obudzę, że film się skończy i wszystko będzie jak dawniej. I wtedy w umyśle kilkunastoletniego chłopca pojawiała się gorzka świadomość, że to, co przeżywam, to nie sen czy film, ale rzeczywistość, w której się znajduję.

Już jako dorosły człowiek w publicznym wystąpieniu powiedziałem, że najgorsze, co niesie ze sobą wojna, to nie śmierć, zniszczenie, głód, brud czy chłód. Najgorsze jest całkowite odwrócenie podstawowych wartości. Najgorsze, ponieważ zostawia trwałe ślady w ludzkiej psychice. Po doznaniach wojennych trudno wrócić do normalności.

Mieszkańcy Warszawy (podobnie jak w całym kraju) musieli walczyć o biologiczne przetrwanie. Tylko to się liczyło. I dlatego obok bohaterstwa, poświęcenia, samozaparcia tyle było bezpardonowej walki o wszelkie dobra materialne, egoizmu, chciwości, tchórzostwa, zwykłej podłości.

Patrząc na to wszystko szybko dorastałem. Na szczęście przed zaakceptowaniem (i co gorsze – naśladowaniem) tego co widziałem, chroniły mnie zasady, zaszczepione przez rodziców, przyrodnie rodzeństwo i… dzieła wielkich pisarzy. Myślę, że także w znacznym stopniu religia, od której jednak już niebawem odszedłem.

Religijność w tamtym czasie była wyjątkowo silna. Na wielu podwórkach wystawiono coś w rodzaju ołtarzyków: obraz przyczepiony do drzewa, posążek na postumencie, parę kwiatów świeżych lub zasuszonych. Wieczorem ludzie zbierali się na krótką modlitwę, wspólne śpiewanie lub odmawianie różańca. Po pewnym czasie zauważyłem pewną prawidłowość: wraz ze zwiększaniem niemieckich prześladowań – rosła pobożność warszawiaków. Nie pamiętam, kiedy ogłoszono z ambon, że w intencji ojczyzny należy przez kolejne dziewięć pierwszych piątków w miesiącu przystępować do Komunii. Część naszej rodziny i ja w tej liczbie wzięliśmy udział w tym „łańcuchu".

Sposoby przetrwania

Przed wojną krążyło powiedzenie, że Polacy nie nadają się na kupców i dlatego niestety cały handel przejęli Żydzi. Pobrzmiewała w tym stara szlachecka pogarda dla wszystkiego, co nie było związane z wojaczką. Ileż jej napotykamy w „Trylogii"! A teraz nagle, całkiem niespodziewanie, tysiące Polaków znalazło w sobie pod niemiecką okupacją rozliczne talenty kupieckie. Handlowano wszystkim: obrazami, porcelaną, monetami, znaczkami pocztowymi, biżuterią (prawdziwą i fałszywą), ubraniami, butami, bielizną, papierosami, alkoholem, a przede wszystkim jedzeniem. Szczególnie wartościowe było mięso i nabiał. Niemcy usiłowali ten tzw. czarny rynek zlikwidować. Bezskutecznie. Sam byłem świadkiem paru obław na dworcach kolejowych. Tzw. szmuglarzom lub szmuglerom zabierano towar, a czasem nawet ich aresztowano. Nie dawało to żadnego rezultatu. Z każdego podmiejskiego pociągu wysiadały setki następnych handlarzy; kiedy jednych łapano, inni uciekali pomiędzy wagonami, przy wydatnej zresztą pomocy kolejarzy. Podobnie było na targowiskach. Ulica Akademicka, przy której mieszkaliśmy, przylegała do placu Narutowicza. Mieścił się tam jeden z największych bazarów Warszawy. Niemcy wydali zezwolenie na handel odzieżą i bodajże także owocami i warzywami. W rzeczywistości obok nowych i starych ubrań czy butów sprzedawano nawet złoto. No i oczywiście mięso. Co parę tygodni z okolicznych ulic wyjeżdżały osławione „budy". Żandarmi otaczali plac i zaczynali brutalne rewizje. Widziałem to parę razy na własne oczy. Handlarze z krzykiem uciekali do bram pobliskich domów lub w tylko sobie wiadomych schowkach ukrywali towar. Żandarmi coś tam znajdowali, parę osób zabierali ze sobą i „budy" odjeżdżały. Po kilkunastu minutach ludzie wracali i plac tętnił życiem jak przedtem.

Ja sam chciałem „pohandlować", ale jakoś nie miałem okazji. Wreszcie pewnego dnia znajomy muzyk dał mi parę męskich pantofli i powiedział (co będę do końca życia pamiętał): „Właściciel chce 200 zł, ja 10 zł. Jeśli pan sprzeda za 220 zł, pan również będzie miał 10 zł." Zacząłem pytać znajomych czy nikt nie potrzebuje pantofli. Po paru dniach ktoś się zdecydował, ale oświadczył, że może dać tylko 210 zł. Nie umiałem się targować i zaakceptowałem tę cenę. Kiedy wręczałem 210 zł znajomemu muzykowi, nie powiedziałem za jaką cenę sprzedałem pantofle, a tym bardziej wstydziłem się zaproponować podział 10 zł zysku na nas dwóch. I tak skończyła się pierwsza a zarazem ostatnia w moim życiu próba handlu. Najwidoczniej nie nadaję się do tej czynności. Podobnie zresztą było z innymi członkami naszej rodziny. I z tysiącami innych ludzi.

Są – jak wiadomo – zawody, które niemal w każdej sytuacji nie tracą swego społecznego znaczenia. Do takich należy np. zawód lekarza. Albo szewca. W mniejszym już stopniu ślusarza czy hydraulika. Ale co może robić aktor? Niemcy od razu zamknęli wszystkie teatry. Aktorzy, nawet ci najwięksi, zostali bez możliwości pracy i zarobkowania. Niektórzy próbowali handlu i podobno szło im to całkiem nieźle. Inni występowali z monologami i skeczami w teatrzykach rewiowych czy kabaretach. Niemcy tolerowali lokale rozrywkowe, wychodząc ze słusznego założenia, że tego rodzaju „kultura" nie stanowi zagrożenia dla porządku okupacyjnego. W przeciwieństwie do muzyki Chopina czy poezji Słowackiego.

Już w roku 1940 powstały w Warszawie dwie kawiarnie: „U aktorek" i „U aktorów". Obsługę stanowili czołowi aktorzy scen polskich, znani także szerokiej publiczności z filmów. Nic zatem dziwnego, że w obu tych lokalach pełno było klientów. Różnego rodzaju nowobogaccy zapraszali obsługujących aktorów do swoich stolików, nawiązywali

towarzyskie kontakty. Potwierdziła się prawidłowość opisana przez Thackereya: snobizm wyrasta na szybko uzyskanych pieniądzach.

Rygory moralne

W pierwszych tygodniach pobytu w Warszawie powiedziano mi, że działa tutaj podziemna delegatura rządu polskiego na emigracji, potocznie zwanego londyńskim. Ludzie pracujący tam dosłownie z narażeniem życia, ustalali pierwsze zasady postępowania w okupowanej stolicy. Oczywiście nie na piśmie. I tak powiedziano mi, że nie należy ani kupować ani czytać wydawanej przez Niemców gazety w języku polskim. Nie pamiętam, jaki miała tytuł, my nazywaliśmy ją „szmatławcem" lub „gadzinówką". Nie należało również uczęszczać do kina. I dlatego przez całą wojnę nie widziałem ani jednego filmu. Jest rzeczą jasną, że tych zakazów bynajmniej nie przestrzegało całe społeczeństwo. Jaka była sprzedaż gazety – nie wiem, ale słyszałem, że kina były pełne, zwłaszcza na takich filmach jak „Tygrys z Esznapuru" czy komediach muzycznych z Zarah Leander.

Kontakty z przedstawicielami władz okupacyjnych były dozwolone w tylko niezbędnym zakresie. O ile Marysia nigdy chyba nie spotkała się z urzędnikami niemieckimi, to Kazio znał szefa Kulturamtu, gdyż musiał wyrabiać pisemne zezwolenia na różne występy. Również jako opiekun nieletniego uzyskał dla mnie w roku 1941 tzw. Erlaubnisskartę, czyli zezwolenie na pracę w zespołach kawiarnianych. A kiedy Kaziowi zaproponowano występ w charakterze solisty na koncercie symfonicznym dla publiczności niemieckiej – odmówił zgodnie z decyzją Delegatury rządu londyńskiego. Na szczęście miał wymówkę: bardzo odmrożone dłonie. Szef Kulturamtu mógł sprawdzić na własne oczy. Ale kiedy później podobną propozycję otrzymała Umińska, to nie mając żadnej wymówki, musiała uciekać z Warszawy. Do końca wojny ukrywała się bodajże w jakimś majątku ziemskim. Za odmowę bowiem mogłaby zostać wysłana do obozu. Muzycy mogli grać w rozmaitych zespołach, ale nie wolno im było występować w charakterze solisty na koncertach przeznaczonych wyłącznie dla Niemców. Co do słuszności takiego stanowiska Delegatury można by dyskutować. Teraz, ale nie w tamtych czasach. Niepodporządkowanie się groziło mianem kolaboranta i potępieniem ze strony większości środowiska muzycznego.

Życie koncertowe

Pomimo wyjątkowo niesprzyjających warunków (już Rzymianie mówili: „Inter arma silent Musae"), życie koncertowe w Warszawie trwało nieprzerwanie. „Przemycano" tzw. muzykę poważną, w tym także polską (poza Chopinem) do rozmaitych występów w kawiarniach. Np. śpiewaczka po wykonaniu arii operetkowej, śpiewała arię z opery Rossiniego a po niej dodawała jeszcze arię z opery Moniuszki. Albo obok jakiejś piosenki także pieśń Schuberta i Noskowskiego.

Kiedy przyjechałem do Warszawy, istniała już przy ulicy Nowy Świat kawiarnia „Dom Sztuki", zwana potocznie „U Woytowicza". Jak mi powiedziano, była to kontynuacja przedwojennego sklepu, w którym sprzedawano obrazy i inne dzieła sztuk plastycznych. Władze okupacyjne wyraziły zgodę na otwarcie sklepu, jak się domyślam po to, aby przyjezdni obywatele krajów zaprzyjaźnionych (np. Włosi czy Węgrzy) mogli legalnie

nabywać różne artystyczne przedmioty. Właścicielka sklepu – jak mi również powiedziano – żona Bolesława Woytowicza, najpierw organizowała jego występy, a potem innych muzyków. W konsekwencji „Dom Sztuki" stał się jedynym miejscem w Warszawie, w którym odbywały się koncerty kameralne dla Polaków. Spotykał się tam regularnie tzw. świat artystyczny. Tam też jako kilkunastoletni chłopiec poznałem wybitnych polskich muzyków. Tych, którzy już przed wojną zyskali uznanie, jak i tych, którzy dopiero po 45 roku zdobyli sławę międzynarodową. Napiszę o nich bardziej szczegółowo w dalszych rozdziałach, ponieważ z wieloma z nich występowałem później, kiedy zostałem dyrygentem.

To właśnie na koncertach w „Domu Sztuki" usłyszałem po raz pierwszy arcydzieła muzyki kameralnej oraz setki utworów solowych na różne instrumenty. Tam także poznałem koncerty fortepianowe Czajkowskiego i Griega. Wprawdzie nie w oryginalnym brzmieniu, ponieważ partię orkiestrową wykonywano na drugim fortepianie, ale nawet tak zasadnicze ograniczenie nie potrafiło osłabić oddziaływania tych arcydzieł. I tak powoli zaczynałem „przekonywać się" do muzyki. To dopiero koncerty w „Domu Sztuki" otworzyły przede mną całe jej piękno i bogactwo.

Ważną rolę w życiu muzycznym okupowanej Warszawy odegrały tzw. tajne koncerty. Organizowano je w willach (w mieszkaniach w blokach byłoby to zbyt ryzykowne), położonych w ogrodach, daleko od niepowołanych uszu. Słuchacze schodzili się o różnym czasie i po koncertach nigdy nie wychodzili grupowo. Wszystko miało wyglądać na towarzyskie spotkanie. Słuchacze wpłacali gospodarzom dowolne kwoty, a ci przekazywali je wykonawcom. Te „tajne koncerty" pełniły wieloraką funkcję: zaproszonym gościom umożliwiały słuchanie zakazanej muzyki polskiej, muzykom środki do życia, a dla młodych wykonawców były jedynym sposobem zaprezentowania się przed publicznością. (W kawiarniach występowali prawie wyłącznie muzycy posiadający już mniej lub więcej znane nazwiska. Szczególnie w „Domu Sztuki").

„Tajne koncerty" były również pewnego rodzaju formą oporu przeciwko okupantom. „Niemcy zabraniają, ale my się nie podporządkowujemy" – oto, jak myślę, tok nie tyle może rozumowania, co odczuwania. Prawdą jest jednak, że gdyby Niemcy weszli do domu, w którym odbywał się koncert, uznaliby to za nielegalne zebranie i wszystkich aresztowali.

Lektury

Czas teraz, abym zajął się moimi lekturami w tych ważnych dla mnie latach 1941-44. Ciotka posiadała całkiem niezły zbiór książek, w których poczesne miejsce zajmowała tzw. „Biblioteka Boya". Nie jestem pewien czy tak właśnie nazywała się ta seria wydawnicza, złożona z tłumaczeń literatury francuskiej Boya - Żeleńskiego. Dzięki niej mogłem poznać najważniejsze dzieła wielkich francuskich pisarzy.

W naszej rodzinie najbardziej – jak się to mówiło – oczytaną osobą była Marysia. I to właśnie ona zwróciła moją uwagę na „Bibliotekę Boya". Do dzisiaj pamiętam radość odkrywania coraz to nowych skarbów myśli francuskiej: od Kartezjusza do Gautiera, od Monteskiusza do Maupassanta. Otwierały się przede mną zupełnie nowe horyzonty.

A potem zacząłem czytać Żeromskiego. „Syzyfowe prace" i „Ludzie bezdomni", które poznałem wcześniej, nie wywarły na mnie żadnego wrażenia. Nie wiem doprawdy,

dlaczego te dwie powieści zaliczane są nadal do obowiązkowych lektur szkolnych. W sensie artystycznym ustępują innym utworom Żeromskiego, a problematyka dla obecnej młodzieży jest wręcz anachroniczna. Kiedyś później przeczytałem osobiste wyznanie Żeromskiego: „Jaką taką wartość moich pisanin psuje pańszczyzna ojczyźniana". Dowodzi to, że wielki pisarz miał świadomość, jak bardzo negatywnie wpływa patriotyzm i pasja społecznikowska na artyzm jego dzieł.

Kazio jeszcze przed wojną chciał skomponować operę, której libretto miało być oparte na „Walgierzu Udałym" Żeromskiego. Przeczytałem ten utwór i zachwycił mnie język: bogaty, poetycki, stylizowany na staropolski. Odtąd stałem się wielbicielem twórczości Żeromskiego. Jedna z sąsiadek miała wszystkie dzieła Żeromskiego w jubileuszowym wydaniu Mortkowicza. Postanowiłem je przeczytać i zamiar ten zrealizowałem w ciągu dwóch lat, o czym jeszcze napiszę.

Poza tym nadal wykorzystywałem każdą wolną chwilę na lekturę. Kiedy wychodziłem z domu, miałem zawsze w ręku książkę. Czytanie rozpoczynałem od razu na schodach. Potem na ulicy, w kolejce sklepowej zwanej wówczas „ogonkiem", w tramwaju, a nawet w czasie pracy w zespole kawiarnianym. Na pulpicie kładłem otwarta książkę, którą czytałem w parominutowych przerwach miedzy jednym a drugim utworem. Pewnego jednak dnia zauważył to właściciel kawiarni i oświadczył, że przerwy są na odpoczynek a nie na lekturę. Od tego momentu musiałem zrezygnować z czytania i słuchać w przerwach nieciekawych rozmów kolegów z zespołu.

Kiedy przeczytałem już wszystkie książki z biblioteczki ciotki, zapisałem się do tzw. wypożyczalni książek, mieszczącej się po przeciwnej stronie placu Narutowicza, przy ulicy Kaliskiej. Wspominam o tym, ponieważ tej prywatnej, małej wypożyczalni zawdzięczam możliwość przeczytania setek powieści, nowel, zbiorów poezji, a także relacji podróżników i monografii historycznych. Poznałem większość powieści Rodziewiczówny, którą ceniłem bardziej niż Orzeszkową i Kraszewskiego. Przebrnąłem przez „tasiemce" Klementyny z Tańskich Hoffmanowej i umoralniające „opowiastki" księdza Pasławskiego. Kto słyszał dzisiaj o tych nazwiskach? Przeczytałem większość książek Ossendowskiego i Sieroszewskiego, Kaden - Bandrowskiego i Dołęgi - Mostowicza.

Istniały przed wojną serie wydawnicze takie jak: „Biblioteka laureatów Nobla" czy „Biblioteka Wiedzy". To dzięki nim poznałem prace Bragga, Jeansa i słynną „Człowiek – istota nieznana" Carrela.

Niestety po upływie ponad sześćdziesięciu lat zatarły się w mojej pamięci nazwiska wielu autorów i tytuły ich dzieł. Ale to dzięki nim poznawałem świat i odwieczne problemy ludzkości. To one nauczyły mnie na całe życie, że najważniejszy jest człowiek. Jak napisał przed tysiącami lat Protagoras: „Człowiek jest miarą wszechrzeczy". Już wtedy pojąłem, że jednostka ludzka to nie tylko ciało jedzące, wydalające, oddychające. Można jeszcze dodać parę innych czasowników, jak: pijące, kopulujące, rodzące, mordujące. Te młodzieńcze lektury pokazały mi, że w ostatecznym rozrachunku liczy się tylko to, co człowiek potrafi stworzyć, dać innym ludziom, pozostawić po sobie. Zdaję sobie sprawę, że na początku XXI wieku brzmi to wręcz naiwnie. Można to nazwać idealizmem lub romantyzmem. Ale ja właśnie takie wnioski wyciągnąłem w tamtych wojennych latach.

Getto

Jednym z najbardziej wstrząsających moich przeżyć z tego pierwszego warszawskiego okresu był przejazd przez getto. Nie będę tłumaczył, co oznacza to słowo, pochodzące od nazwy dzielnicy w Wenecji, w której w średniowieczu mieszkali przymusowo Żydzi. Istnienie gett to haniebna karta w dziejach Europy, zwłaszcza w okresie II wojny światowej.

Getto warszawskie rozciągało się na znacznym obszarze mniej więcej pomiędzy ulicami: Towarową, Bonifraterską, Złotą a Dziką. (Nie jestem pewien tej informacji, ale podaję ją z pamięci po upływie 65 lat). Potem, w miarę wywożenia Żydów do Oświęcimia, Treblinki, Majdanka i innych obozów, w ramach przerażającego Endlösung der Judenfrage (ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej), obszar ten ulegał stopniowemu zmniejszaniu. Getto otoczone było wysokim murem z wieżyczkami strażniczymi i zasiekami z drutu kolczastego. W ten sposób podzielono miasto na dwie odrębne części: aryjską i żydowską. Ponieważ getto znajdowało się niemal w centrum miasta, władze okupacyjne, aby zapewnić komunikację pomiędzy Śródmieściem a Powązkami, Wolą i Żoliborzem, były zmuszone utrzymać stare linie tramwajowe. W tym celu odgrodzono jezdnie od chodników wysokimi drewnianymi parkanami. A nad jezdniami zbudowano mostki, którymi Żydzi mogli przechodzić z jednej strony ulicy na drugą.

Zupełnie nie pamiętam, dokąd i po co musiałem przejechać przez getto. Może na Powązki, aby zagrać na jakiejś żałobnej mszy w kościele Karola Boromeusza? Powodowany zrozumiałą ciekawością, stałem na tylnym pomoście tramwaju. Dopóki jechaliśmy między parkanami, nic nie mogłem zobaczyć, ale na skrzyżowaniach były strzeżone przez uzbrojonych wartowników, bramy z kolczastego drutu. I wówczas zobaczyłem po raz pierwszy w życiu leżące wzdłuż chodników pod domami niczym nie przykryte trupy. A obok mijających je z całkowitą obojętnością tłumy żywych.

To samo widziałem w drodze powrotnej, z tym, że zwłok w międzyczasie przybyło. Byłem tak wstrząśnięty tym widokiem, że jeszcze dzisiaj, kiedy zamknę oczy, widzę wyraźnie tamte trupy.

Po powrocie do domu podzieliłem się z rodziną swoim przeżyciem. Dowiedziałem się wówczas, że w getcie ludzie umierali masowo z chorób, głodu, wycieńczenia. Potem okazało się, że to był dopiero początek. Najgorsze miało jeszcze nadejść.

„Biuletyn Informacyjny”

Na zakończenie tego rozdziału chciałbym opowiedzieć o jednej z najwspanialszych form walki z okupantem; o dostarczaniu społeczeństwu prawdziwych informacji o sytuacji na frontach i o tym co się dzieje w Polsce. To smutne, że dzisiaj więcej się wie o sporadycznych walkach partyzanckich niż o codziennej pracy dziesiątków bezimiennych pracowników tzw. podziemnej prasy. A przecież nie ujmując niczego uczestnikom akcji zbrojnych, jestem pewien, że ważniejsze dla podnoszenia morale polskiego narodu było stałe dostarczanie informacji. Tym bardziej, że partyzanci ginęli z bronią w ręku, a złapanym drukarzom czy kolporterom groziła śmierć na torturach w podziemiach siedziby Gestapo przy alei Szucha.

Niemcy natychmiast po wkroczeniu zabronili Polakom używania radia. Należało zdać wszystkie aparaty. Za niewykonanie tego polecenia groziło rozstrzelanie lub w najlepszym razie obóz koncentracyjny. Aby nie pozbawiać ludności Generalnej Guberni informacji, a zarazem „urabiać" ich propagandowo, na rogach ulic i przed niektórymi urzędowymi budynkami zawieszono głośniki, które w określonych godzinach nadawały oficjalne komunikaty wojenne oraz rozporządzenia władz okupacyjnych. Początkowo warszawiacy niechętnie słuchali, ponieważ wiadomości były niepomyślne. Pamiętam od początku mojego pobytu w Warszawie, jak denerwujące były te, pełne pychy, komunikaty. Na placu Narutowicza niedaleko naszego domu umieszczono głośnik, który nazywaliśmy „szczekaczką". Z niego dowiadywaliśmy się o kolejnych sukcesach armii niemieckiej, o zwycięstwach Rommla w Afryce, który parł w kierunku Kairu i Kanału Sueskiego, czy o zajęciu Jugosławii i Grecji. A potem przyszła porażająca wiadomość o bezprzykładnym „Blitzkrieg'u" w ZSRR. Takiego pogromu nie było nawet we Francji. Codziennie „szczekaczka" podawała nazwy coraz to nowych zdobytych miast i olbrzymie liczby wziętych do niewoli – jak się wtedy mówiło – bolszewickich żołnierzy. Sprawdzaliśmy na mapie te informacje i pomimo że nikt w mojej rodzinie nie darzył sympatią komunizmu, potęga niemiecka przerażała. Dokładnie jednak pamiętam, że jako młodociany wielbiciel historii nie mogłem zapomnieć o losach moskiewskiej wyprawy Napoleona. Nie lubiłem wówczas tego – jak go określałem z młodzieńczą dezynwolturą – nadętego pyszałka, kabotyna, egotysty. Nigdy nie mogłem pojąć polskiego kultu Napoleona. Już wtedy wiedziałem o przyczynach wysłania polskich żołnierzy na San Domingo i wykrętnym stanowisku cesarza przy powoływaniu kadłubowego Księstwa Warszawskiego. Dopiero po wielu latach oceniłem geniusz Napoleona jako stratega i przede wszystkim męża stanu. Nadal go jednak nie lubię jako człowieka.

W tych letnich dniach roku 1941 pamiętałem również o słowach ojca po zdobyciu przez Hitlera Francji. (Pisałem o tym w rozdziale V).

Wracam jednak do „podziemnej prasy". Nie mam pojęcia, ile było tych „tajnych gazetek". Słyszałem już wtedy w Warszawie, że drukowały je liczne organizacje. Myślę, że najważniejszym i najszerzej kolportowanym był „Biuletyn Informacyjny". Ta odbijana na powielaczu gazeta miała format małego zeszyciku. Składała się z paru zaledwie kartek, ale była drukowana często i w miarę regularnie. Z „Biuletynów" dowiadywaliśmy się przede wszystkim o represjach, stosowanych wobec Polaków. Informacje z frontów nie mogły zatajać niewątpliwych sukcesów Niemców, ale podkreślały ich straty. Natomiast krzepiące były wiadomości o skutecznych aktach sabotażu.

Ja osobiście przechowuję we wdzięcznej pamięci „Biuletyn Informacyjny" i jego bohaterskich redaktorów, wydawców i kolporterów. Co pewien czas w naszym mieszkaniu zjawiał się ktoś ze znajomych i przynosił kolejny numer „Biuletynu". A potem albo sam się zgłaszał po niego następnego dnia, albo prosił o przekazanie innym. Ja, jako nieletni, mnóstwo razy zanosiłem znajomym przeczytane już przez nas egzemplarze. W następnym rozdziale opiszę, jak z „Biuletynem" w kieszeni wpadłem w uliczną obławę. Fakt, że wyszedłem z tego cało, moja rodzina od razu nazwała cudem. Ja wolę określać to jako szczęśliwy przypadek.

Również z „Biuletynu" dowiadywaliśmy się o przełomowych wydarzeniach wojennych. O ile w grudniu 1941 roku Niemcy z triumfem ogłosili zniszczenie przez Japończyków całej amerykańskiej floty Pacyfiku w Pearl Harbour, o tyle przemilczeli, że był to zdradziecki atak, niezgodny nie tylko z japońskim kodeksem honorowym Busido, lecz także z prawem międzynarodowym. Wówczas „Biuletyn" podał ten fakt, jak również wiadomość, że Stany

Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom. Także z „Biuletynu" dowiedzieliśmy się o druzgocącym zwycięstwie VIII armii Montgomery´ego nad „Lisami pustyni" Rommla.

Kiedy w listopadzie 1942 roku wojska radzieckie otoczyły w Stalingradzie wojska niemieckie, „szczekaczki" określały to jedynie jako „ciężkie walki w rejonie miasta". Propaganda niemiecka w roku 1942 starała się przemilczeć coraz liczniejsze niepowodzenia na frontach.

Wiadomości, na których opierali się redaktorzy „Biuletynu", pochodziły głównie z audycji BBC. Na wzór tego skrótu warszawiacy wymyślili inny: JPP. Kiedy ktoś szeptem przekazywał rzekomo najzupełniej pewne wiadomości, w rodzaju np. alianckiego desantu powietrznego pod Berlinem albo oświadczenia Churchilla, że wojna skończy się w następnym miesiącu – padało pytanie o źródło. A widząc zakłopotanie informatora (na ogół zresztą starszej pani), podpowiadało się, że „to na pewno JPP". Wówczas starsza pani potakiwała i spiesznie odchodziła, aby swoje rewelacje przekazywać innym, dodając równocześnie dla uwiarygodnienia, że wiadomość pochodzi z JPP. A tymczasem ten skrót oznaczał: „Jakaś Pani Powiedziała".

Rozdział VI

WARSZAWA (II) (1943 – 1944)

Po klęsce stalingradzkiej warszawiacy nie mieli wątpliwości, że Niemcy wojnę przegrają. Kolejne oficjalne komunikaty, że „po ciężkich walkach nasze wojska zajęły nowe pozycje" wzbudzały śmiech. Wystarczało spojrzeć na mapę, aby zobaczyć, że te „nowe pozycje" cały czas przesuwały się w kierunku zachodnim. Po oczyszczeniu Afryki, alianci – jak wiadomo – w lipcu 43 roku wylądowali na Sycylii a następnie we Włoszech. Po upadku Mussoliniego i kapitulacji Włoch nikt już w Warszawie nie wątpił, że wojna dobiega końca.

Zachowanie władz okupacyjnych wykazywało rosnącą niepewność. Z jednej strony zwiększała się ilość publicznych egzekucji, aresztowań i zsyłek do obozów, z drugiej strony zezwolono na otwarcie teatru dla Polaków i powołano Państwową Szkołę Muzyczną. Dyrektorem został oczywiście Niemiec, ale wszyscy pedagodzy i uczniowie byli Polakami.

Kiedy teraz, po upływie kilkudziesięciu lat, przypominam sobie tamte odległe wydarzenia, wydaje mi się, jak gdyby rozgrywały się na dwóch niezależnych płaszczyznach. Gdzieś tam daleko toczyła się wojna. Wojska radzieckie posuwały się nieubłaganie na zachód, zadając Niemcom coraz większe straty. Kolejno wkraczały, zwłaszcza w roku 1944, na tereny Ukrainy, Białorusi, Rumunii, Węgier, Bułgarii, Słowacji. Zachodni alianci wyzwolili już większą część Włoch, łącznie z Rzymem. Na Dalekim Wschodzie Japończycy byli w stałej defensywie. Zaś w Teheranie odbyła się historyczna konferencja, której szefowie czterech mocarstw uzgodnili dalsze działania.

W tym samym czasie my w Warszawie walczyliśmy dzień po dniu po prostu o przetrwanie. Wielkie i małe akcje ruchu oporu wywoływały radość i wpływały krzepiąco na nasz nastrój, ale w niczym nie pomagały w pokonywaniu codziennych trudności. Nadal nasza rodzina cierpiała na stałe niedożywienie, zwłaszcza my troje, nieletni, będący w biologicznym okresie wzrostu.

Pamiętam radosne podniecenie odczuwalne nawet na ulicach, po udanych akcjach AK. Napad na transport pieniędzy i zdobycie 87 milionów złotych, a może to było 78, dzisiaj już nie pamiętam. Odbicie więźniów, w tym „Rudego". Powieść „Kamienie na szaniec", opisująca to wydarzenie, przechodziła z rąk do rąk. Czytaliśmy ją z wypiekami na twarzy. Napełniała nas dumą. Ale po tej podniecającej lekturze siadaliśmy do obiadu, który składał się z zupy z brukwi bez tłuszczu i dosłownie paru ziemniaków, okraszonych paroma kroplami jakiegoś oleju. A służąca ciotki, Ewcia, którą nazywaliśmy gosposią, podrzucała ze swojej skromnej porcji po jednym ziemniaku Anielci, Wandzi i mnie. Być może jej poświęcenie należałoby uznać za równorzędne z bohaterstwem na polu bitwy i nagrodzić medalem. Walczyła bowiem cicho i bez rozgłosu o nasze życie.

Największą akcją bojową AK w Warszawie był niewątpliwie zamach na generała SS i Policji Kutscherę. Wiadomość o tym dosłownie wstrząsnęła Warszawą. Po ulicach pędziły we wszystkie strony patrole żandarmerii, wyłapując ludzi na ulicach. Wzmogły

się – jak mówiono – aresztowania. A potem zaczęto rozstrzeliwać i wysyłać do obozów setki więźniów.

Jeden ze znajomych mojej rodziny pozwolił sobie na wyrażenie wątpliwości co do słuszności tej akcji. Czy warto było poświęcać życie tylu set Polaków dla zgładzenia jednego mordercy? Nawet takie pytanie wywołało oburzenie – jak pamiętam – żony mojego brata. Reszta dorosłych nie podjęła tematu. A ja nawet dzisiaj nie potrafię odpowiedzieć na tamto pytanie.

Wiadomości z frontów

W czerwcu 44 roku alianci wylądowali w Normandii. Tzw. drugi front stał się faktem. W Warszawie przyjęto to wydarzenie z nieukrywanym entuzjazmem. Pamiętam, jak obcy ludzie na ulicy uśmiechali się do siebie porozumiewawczo. Wszędzie widać było grupki ludzi żywo dyskutujących. Strach przed Niemcami, przynajmniej na jakiś czas, wyraźnie się zmniejszył.

No i wreszcie zamach na Hitlera. O ile się nie mylę, przyjęliśmy to bez większego podniecenia. Dominował pogląd: „trzeba było wcześniej". Natomiast rozpętany później terror wobec własnych generałów wywołał niezbyt szlachetną „Schadefreunde". Mówiło się: „dobrze im tak". Ale pamiętam, że samobójstwa dwóch feldmarszałków, uważanych za najwybitniejszych dowódców Wehrmachtu – Rommla i Modela, przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Byli wprawdzie wrogami Polski, ale nie mogłem nie współczuć im z powodu takiego końca. Ostatecznie byli żołnierzami a nie przestępcami.

Aby zakończyć te skrótowe wspomnienia o wydarzeniach wojennych, muszę napisać jeszcze o bombardowaniach. Wiedzieliśmy o nalotach niemieckich na Anglię w latach 1940/41, o zniszczeniu Coventry i częściowo Londynu. Po paru latach przerwy w 1944 nastąpiło ponowne bombardowanie, tym razem przez V1 i V2. Współczuliśmy Anglikom, ale uważaliśmy – i słusznie, że ich sytuacja była nieporównywalnie lepsza od naszej. Pod wszystkimi względami.

Za to rosnące bombardowania miast niemieckich uważaliśmy za sprawiedliwy odwet. Nie czuliśmy najmniejszego nawet współczucia dla cywilnej ludności. Wprawdzie władze okupacyjne w oficjalnych komunikatach określały postępowanie aliantów przy pomocy najgorszych słów, przedstawiając jednocześnie cierpienia niewinnych kobiet i dzieci. My jednak zbyt dużo wiedzieliśmy o zbrodniach Niemców i zbyt dużo sami cierpieliśmy, aby zdobyć się choćby na cień współczucia.

Dopiero w Hamburgu mogłem zrozumieć, co czuła bezbronna ludność cywilna bombardowanego miasta. Ale to było później.

Chcę grać

W tym samym czasie, kiedy na frontach świata ważyły się losy ludzkości, we mnie dokonał się jeden z najważniejszych przełomów. Zrozumiałem, że mogę zostać muzykiem; więcej nawet, że chcę grać na wiolonczeli. Stało się to zapewne pod wpływem słuchania wielkiej muzyki w dobrym wykonaniu. Codziennie wokół mnie rozbrzmiewały arcydzieła

genialnych kompozytorów. Kazio, Marysia, Wandzia i ja sami graliśmy dzieła Bacha, Mozarta, Beethovena, Brahmsa, Czajkowskiego. W dodatku wartość tej muzyki rosła na zasadzie prawa kontrastu, ponieważ dzień w dzień popołudniami musiałem w celach zarobkowych grać przeróżne rozrywkowe „śmieci". Jakże tandetnie brzmiały skądinąd dobrze skomponowane utwory takich kompozytorów jak Jones, Kettelbey, Lincke, Knűmann, Kalman, Kreutzer. Nawet Lehar wydawał mi się przesłodzony. A ci byli jeszcze bynajmniej nie najgorsi. Szczególnie odstręczające były dla mnie utwory kiepskich naśladowców Straussa oraz kompozytorzy (głównie niemieccy) „produkujący taśmowo" pseudohiszpańskie i pseudopołudniowoamerykańskie tańce: przeróżne rumby, samby, bolera, habanery czy passo-doble. W tym miejscu warto opowiedzieć o dwóch dziwnych zabiegach cenzury hitlerowskiej. Jak wiadomo, jednym z trzech największych romantycznych poetów niemieckich był Heinrich Heine. O ile Schiller i Goethe byli Aryjczykami (cóż za głupie i nienaukowe określenie!), on był Żydem. Wśród jego liryk najbardziej znana była ballada „Loreley". Chyba jeszcze bardziej popularna niż „Powrót taty" w Polsce. Wymyślona przez poetę postać weszła do niemieckiej tradycji, stała się postacią z ludowej legendy. Odpowiedni urzędnicy Ministerstwa Propagandy wiedzieli, że nie da się wymazać z literatury niemieckiej tego wiersza, a imienia Loreley z narodowej świadomości. Zastosowali zatem wybieg. Wykreślili jedynie nazwisko autora. Sam widziałem w niemieckim podręczniku szkolnym: „Loreley" – ballada ludowa z XVIII wieku. Podobnie cenzorzy postąpili z Kettelbey´em. Był to angielski kompozytor z XIX wieku, ale z pochodzenia Żyd. Pisał utwory taneczne, marsze, operetki. Skomponował także muzyczny obrazek „Na perskim jarmarku". W sensie muzycznym naiwny, banalny, ale żołnierze niemieccy podobno najbardziej lubili jego nieznośnie „ckliwą" melodię. I domagali się jej wykonywania w radio, w kawiarniach, na zabawach. Zezwolono zatem na wykonywanie „Na perskim jarmarku", ale bez podawania nazwiska kompozytora. Jak wiadomo, niewyrobiony słuchacz w ogóle nie interesuje się, kto jest autorem lubianego utworu.

Wracam jednak do mojego muzycznego przełomu. Ciągły kontakt z wielkimi dziełami sprawił, że muzyka stała się dla mnie czymś ważnym. Również coraz większą satysfakcję sprawiała mi możliwość wykonywania dzieł wielkich kompozytorów. Ostateczny przełom dokonał się, kiedy usłyszałem na którymś z koncertów sonatę wiolonczelową Griega. Dlaczego akurat ta muzyka zupełnie niespodziewanie potrafiła przełamać moją wieloletnią niechęć do wiolonczeli – nie potrafię odpowiedzieć. Zapytałem Kazia, który był moim nauczycielem, czy mogę grać tę sonatę. A on jakby pod wpływem „natchnienia" – wyraził zgodę. Od następnego dnia zacząłem ćwiczyć z nieodczuwanym dotąd entuzjazmem. Już nie pamiętam, ile godzin poświęciłem na opanowanie tej sonaty. W konsekwencji jednak wykonywałem ją potem wielokrotnie na tzw. tajnych koncertach. Odkryłem w sobie pasję wykonawczą. Dziwnie układają się ludzkie losy. I jak tu nie wierzyć w przypadek?

Natomiast nie było przypadkiem, że forsowne ćwiczenia skończyły się katastrofalnie. Zawsze byłem – o czym pisałem w rozdziale IV – fizycznie słaby. Stałe niedożywianie w tamtych latach sprawiło, że moja lewa ręka nie wytrzymała. Pewnego dnia poczułem ból w nadgarstku, potem silne drętwienie. Usiłowałem to przezwyciężyć, ale skończyło się tym, że nagle w czasie ćwiczenia lewa dłoń samoczynnie „odskoczyła" do góry.

Lekarz stwierdził sforsowanie i zalecił ograniczenie kontaktu z instrumentem. Ponieważ wieczorami musiałem w celach zarobkowych grać w kawiarni – zaprzestałem ćwiczenia. Już nie pamiętam, jaką stosowałem terapię, bodajże naświetlania, kąpiele, smarowania. Po pewnym czasie nastąpiła wyraźna poprawa, ale przy intensywniejszym ćwiczeniu – bóle wracały.

Przełom spowodował, że nie odrzucałem już myśli o wyborze zawodu muzyka. Nie byłem jednak zdecydowany czy chcę zostać wiolonczelistą czy dyrygentem. Właśnie w tym samym czasie ten pomysł po raz pierwszy pojawił się w mojej głowie. Nie wiem, skąd się wziął, choć przypuszczam, że bezpośrednią przyczyną mogło być coraz częstsze uczestniczenie w koncertach symfonicznych w charakterze wiolonczelisty lub słuchacza.

Ale o tym szerzej napiszę, kiedy będę relacjonował moje późniejsze studia dyrygenckie.

Powstanie w gettcie

Z wielu ważnych wydarzeń, które miały miejsce w latach 43/44, wybrałem te, które miały wpływ na moje życie, charakter, światopogląd. Oto one, bynajmniej nie ułożone w porządku chronologicznym, ponieważ działy się mniej więcej równocześnie.

Jak wiadomo z historii, w kwietniu wybuchło zbrojne powstanie w getcie. Było to całkowite zaskoczenie. Od wielu miesięcy wiedzieliśmy o coraz częstszych transportach z getta do obozów i równocześnie zaczęły docierać pierwsze informacje o planowanej eksterminacji Żydów. Współczuliśmy im, ale wydawało się, że nikt i nic nie może przeciwstawić się tej przerażającej zbrodni. W powszechnym odczuciu Polaków Żydzi nie mieli w sobie ducha walki. Byli wśród nich znakomici uczeni, pisarze, kompozytorzy, bankierzy itd., ale brakowało sławnych wodzów. Antysemici mówili krótko: „Żydzi są tchórzami". Dlatego wybuch powstania był takim zaskoczeniem. Początkowo słyszałem nawet opinie, że to plotka, ale kiedy ulicami zaczęły w kierunku getta jechać czołgi, transportery opancerzone i działa – pojęliśmy, że Żydzi i tak zagrożeni wywiezieniem do obozów śmierci, wybrali walkę. Rozumiałem ich całkowicie; było to zgodne z polskim etosem rycerskim. Jeśli umrzeć, to z honorem, z bronią w ręku.

Dzień i noc słyszeliśmy detonacje, a nad Warszawą rozciągnęła się chmura czarnego dymu z palonych z niemiecką systematycznością domów.

Pamiętam, że moja rodzina była wstrząśnięta. Kazio i Marysia mieli w getcie wielu znajomych muzyków czy melomanów. Nawet ciotka, zdeklarowana antysemitka, należąca przed wojną do Akcji Katolickiej, potępiała okrucieństwo Niemców wobec niewinnych ludzi. Tolerowała ideę odcięcia „elementu żydowskiego" od katolickiej społeczności polskiej w postaci getta, ale nie mogła zaakceptować prześladowań i morderstw.

Tutaj cofnę się w czasie i opiszę jakże symptomatyczne wydarzenie. Nie mogę sobie przypomnieć, w jakim to było miesiącu; chyba luty lub marzec 43 roku. Pewnym późnym popołudniem przyszła jakaś kobieta owinięta w chustę według zwyczaju powszechnego wśród chłopek i robotnic. Kazio i Marysia zamknęli się z nią w jednym z pokojów i długo rozmawiali, a potem poprosili ciotkę. Kiedy kobieta wyszła, opowiedzieli nam, dzieciom, historię, sięgającą głęboko w przeszłość. W dwudziestych latach w Kaliszu w szkole muzycznej uczył się żydowski młodzieniec. Był inteligentny, pracowity i ambitny, ale zdolności muzyczne miał mierne. Ojciec powiedział mu to otwarcie i młodzieniec znalazł sobie inne zajęcie, został fotografem. Okazał się na tyle dobry, że niebawem otworzył własny zakład, a kiedy zarobił dostateczną ilość pieniędzy, przeniósł się do Warszawy. Tam szybko zdobył renomę, ponieważ – jak mówił Kazio – zastosował nowoczesną technikę robienia fotograficznych portretów. Jego klientami zostały znane postacie, głównie ze świata filmu, teatru i rozrywki. Również Kazio i Marysia robili u niego fotografie. Stał się cenionym

fotografem i przybrał nowe nazwisko: Benedykt Jerzy Dorys. Jak nazywał się przedtem, Kazio nie powiedział. Nie było to zresztą istotne. Jako Żyd, Dorys musiał przenieść się do getta i tam również pracował jako fotograf. Z tzw. stroną aryjską utrzymywał kontakt poprzez dawną swoją służącą – Polkę. To była właśnie owa kobieta, która przyszła do nas. Przeczuwając zbliżający się koniec, Dorys prosił, aby służąca pomogła mu wydostać się z getta, oczywiście po opłaceniu strażników i policjantów. Tak się też stało. Dorys właśnie opuścił getto i od paru dni przebywał u rodziny służącej. Było to jednak niebezpieczne, ponieważ cała rodzina gnieździła się w robotniczym domu w jednym czy dwóch pokojach. W każdej chwili mogło nastąpić przypadkowe odkrycie ukrywającego się Żyda przez sąsiadów. Dlatego służąca przyszła z prośbą do mojej rodziny (Skąd znała adres – nie wiem. Może uzyskała go od Dorysa?) aby jej dawnego chlebodawcę – jak mówiono wtedy – jak najszybciej od niej zabrać. Ciotka – antysemitka bez chwili wahania wyraziła zgodę.

Oto przyczynek do ludzkich postaw. Dla mojej ciotki było oczywiste, naturalne i zrozumiałe, że należy ratować człowieka. Pochodzenie czy wyznanie nie miały dla niej w tej sytuacji żadnego znaczenia. Ani ciotka ani Kazio nie zastanowili się nad tym, że za ukrywanie Żyda groziło natychmiastowe rozstrzelanie. Nikomu przez głowę nie przeszła myśl, że za jednego człowieka mogło zginąć ośmioro ludzi, w tym trójka dzieci. Po prostu w mojej rodzinie nie robiło się takich rachunków.

Następnego dnia na krótko przed godziną policyjną służąca przyprowadziła Dorysa do naszego mieszkania. Spał u nas dzień czy dwa, a potem nocował w sąsiednim mieszkaniu, którego właściciel, inżynier, akurat wyjechał służbowo (pracował w jakiejś niemieckiej firmie budowlanej). Ale pobyt Dorysa w naszym mieszkaniu gdzie stale przychodzili ludzie na próby, również na dłuższą metę był niebezpieczny. Znajomi Kazia i Dorysa znaleźli mu nową kryjówkę. W dużym mieszkaniu pewnego samotnego dentysty, którego brat Volksdeutsch mieszkał o piętro niżej. Dom ten był dzięki temu zabezpieczony przed niespodziewaną wizytą niemieckiej czy polskiej policji. Dentysta miał partnera do rozmów i gry w szachy, a Dorys w miarę pewne schronienie aż do wybuchu Powstania.

Dorysowi udało się wyjść potem z Warszawy razem z dentystą w tłumie ludności cywilnej. Przeżył wojnę i potem stał się znowu znanym fotografem i jednym z założycieli Związku Fotografików Polskich. Jego żona uciekła z Warszawy na wschód we wrześniu 39 roku (Dorys walczył jako żołnierz na Woli). Razem ze znajomymi warszawiankami cudem przeżyła cztery lata gdzieś w stepach za Uralem. Kiedy wróciła, zamieszkali razem ze swoją wierną służącą.

Czas po tej dygresji wrócić do powstania w getcie. Był Wielki Czwartek 1943 roku. Dzień, w którym odbywała się największa liczba mszy żałobnych, szczególnie w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach. Dla muzyków możliwość dodatkowego zarobku. Tego dnia przy dobiegających z getta detonacjach, odgłosach salw karabinów maszynowych i pod zasnutym czarnym dymem niebem, wsiadłem do tramwaju nr 10, aby ulicą Towarową dojechać do powązkowskiego cmentarza. Stałem, jak zwykle przy samym brzegu tylnego pomostu wagonu, zasłaniając całym ciałem wiolonczelę w miękkim pokrowcu przed tłoczącymi się ludźmi. Ledwo tramwaj ruszył, zobaczyłem stojące przed otwartą bramą getta czołgi, samochody, działka oraz żołnierzy niemieckich w zielonych i tzw. szaulisów w piaskowych mundurach. Tutaj muszę wtrącić, że takie pomocnicze formacje wojskowe jak szaulisi czy własowcy odznaczały się szczególną bezwzględnością wobec ludności cywilnej. Z własowcami zetknąłem się po Powstaniu, gdyż byli strażnikami w obozie w Hamburgu. Opiszę to w swoim czasie.

Tramwaj jechał z minimalną prędkością raz po raz przystając, ponieważ jezdnią poruszały się w różnych kierunkach samochody i żołnierze. Dlatego mogłem się wszystkiemu dokładnie przyglądać. I nagle z przerażeniem zobaczyłem w oknie ostatniego piętra płonącego domu kobietę z małym dzieckiem na ręku. Budynek stał tuż za murem, nie dalej niż kilkadziesiąt metrów ode mnie. Nie mogłem oderwać wzroku od kobiety. Zobaczyli ją także inni pasażerowie i na zatłoczonym pomoście zapadła nagła cisza. W pewnym momencie kobieta skoczyła i zanim ktokolwiek z patrzących mógł krzyknąć, usłyszałem odgłos ciała uderzającego o bruk. Odgłos potworny, jedyny w swoim rodzaju.

Nigdy nie zdołam wymazać z pamięci tego widoku skaczącej z okna kobiety i tego odgłosu ciała uderzającego o bruk. Prześladowały mnie przez długie lata, choć teraz na szczęście zbladły. I w znaczący sposób wpłynęły na mój stosunek do problemów życia, świata, ludzi, historii i wszelkich ideologii.

W drugi dzień świąt wielkanocnych na obiad przyszło jakieś małżeństwo w średnim wieku, powinowaci żony Kazia. Jak mi powiedziano, on był przed wojną nauczycielem gimnazjum w Częstochowie. Wszyscy siedzieliśmy przy tzw. rozsuwanym stole i dorośli rozmawiali. Świąteczne obiady były okazją do lepszego i obfitszego jedzenia, dlatego nie zwracałem uwagi na toczącą się rozmowę. Kiedy jednak usłyszałem, że dorośli komentują powstanie w getcie, podniosłem głowę znad talerza i – jak się to mówi – nadstawiłem uszu. Ów nauczyciel oświadczył autorytatywnie, co cytuję z pamięci (takie słowa pamięta się całe życie) – „Powinniśmy być wdzięczni Hitlerowi, że za nas oczyścił Polskę z Żydów".

Moja rodzina łącznie z ciotką zdrętwiała. Zapadła cisza. Taka wypowiedź w czasie, kiedy w środku miasta ginęli ostatni walczący żydowscy bojownicy, kiedy w powietrzu czuło się swąd spalenizny, kiedy chmura dymu przesłaniała niebo – była czymś wręcz obrzydliwym. Tak po wyjściu gości z oburzeniem twierdził Kazio.

Nauczyciel wyczuł naszą reakcję i zaczął dowodzić, że przecież Żydzi zawsze byli wrogami Polski i Polaków, że sprzyjali bolszewikom, że wysługiwali się zaborcom. Były to stare, wyświechtane argumenty prymitywnych antysemitów, które już dawno, w obliczu zagłady całego narodu, straciły jakąkolwiek aktualność. Tak nam się przynajmniej do tamtego dnia wydawało. Prawda była niestety inna, o czym przekonałem się jeszcze nie raz. A co najgorsze, o czym można przekonać się nawet obecnie.

Teozofia

Już nie pamiętam, przy jakiej okazji wpadł mi w ręce dość gruby tom: „Wielcy wtajemniczeni" Edwarda Schuré. Tytuł wydał mi się interesujący, zajrzałem więc do środka. Okazało się, że były to m.in. biografie Kryszny, Pitagorasa, Mojżesza, Platona, Buddy, Jezusa. Kiedy zacząłem czytać, doznałem prawdziwego szoku.

Nie wiem, kim był autor, pomimo że próbowałem znaleźć jego nazwisko w różnych encyklopediach i słownikach. Dysponował rozległą wiedzą, ale przede wszystkim zaskakiwał oryginalnością w ujęciu problemu religii. Według Schuré´go wszystkie wielkie religie – hinduska, grecka, żydowska, są równoważnymi drogami do jednego Boga. Nie miejsce tu na streszczanie ponad 500-stronicowej książki, którą wtedy, w roku 1943 „pochłonąłem jednym tchem". Myślę, że i teraz można ją będzie znaleźć w dużych bibliotekach uniwersyteckich.

Dla mnie, wychowanego w głęboko katolickiej rodzinie, lektura tej książki była potężnym wstrząsem. Po raz pierwszy mogłem porównać tak odległe od siebie religie jak np. hinduizm

i chrześcijaństwo. A możliwość połączenia mitycznych postaci takich jak Rama czy Orfeusz z całkowicie historyczną osobą Platona – stanowiła intelektualne olśnienie.

Dzisiaj zdaje sobie sprawę, że Schuré był zapewne teozofem, podobnie jak Bławatska czy Steiner i zwolennikiem wiedzy ezoterycznej w religiach. Wtedy, przed laty, zafascynowany tym całkowicie dla mnie nowym podejściem, zacząłem czytać wszelkie dostępne książki o innych religiach, sektach, odłamach. Po raz pierwszy zainteresowałem się filozofią starożytnej Grecji. „Wielcy wtajemniczeni" stali się potężnym bodźcem do rozszerzenia lektur w zupełnie nowych kierunkach. W ciągu paru zaledwie tygodni dokonał się przełom: katolicyzm przestał być dla mnie jedyną prawdziwą religią. Wybrałem teozofię. Postanowiłem odejść od Kościoła.

Kiedy nadeszła niedziela, oświadczyłem rodzinie, że nie będę więcej chodził na msze i przystępował do sakramentów. Wszyscy wpadli w popłoch; dotąd nie było takiej apostazji w naszej bogobojnej rodzinie. Po obiedzie odbyła się rozmowa, w której poproszono mnie o wyjaśnienie swojej decyzji. Oczywiście – co pamiętam – z ogromnym zapałem próbowałem wytłumaczyć, dlaczego uważam wiedzę ezoteryczną i teozofię w ogóle za wyższą formę religii. Jak każdy neofita, zwłaszcza mający niecałe 17 lat, przekonywałem gorąco o słuszności własnego stanowiska. Kazio i Marysia słuchali z uwagą, ciotka miała smutną minę, ale żona Kazia po pewnym czasie wybuchnęła: "To wszystko bzdury! Czyste idiotyzmy!"

Krzyk oraz inwektywy są – jak wiadomo – najgorszym sposobem dyskusji z młodymi osobami. Po tym wystąpieniu mojej bratowej, żadne perswazje nie mogły już pomóc. Zaciąłem się w swoim postanowieniu i narada rodzinna zakończyła się fiaskiem.

A ja napisałem „książeczkę do nabożeństwa" w duchu ezoterycznym. Przypuszczam, że prawdziwi teozofowie byliby zgorszeni taką próbą połączenia wiedzy tajemnej z „ludową" formą kultu. Zacząłem również pisać historię świata w ujęciu teozoficznym. Autentyczne! Szkoda, że ta niedokończona praca przepadła bezpowrotnie w czasie Powstania.

Po paru tygodniach mojego „odszczepieństwa" żona Kazia zaproponowała, abym spróbował pogodzić się z Kościołem poprzez pójście do spowiedzi do księdza profesora Salamuchy. W naszym parafialnym kościele św. Jakuba jednym z tzw. rezydentów był profesor teologii z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po zamknięciu uczelni przez Niemców wykładający tam księża zostali – jak mi mówiono – umieszczeni w różnych parafiach Krakowa i Warszawy. Kazio poparł propozycję swojej żony mówiąc: „Porozmawiasz z mądrym, wykształconym człowiekiem, który być może potrafi wpłynąć na zmianę twojej decyzji".

Zgodziłem się i następnego dnia obszedłem cały kościół patrząc, w jakim konfesjonale siedzi ks. Salamucha, którego znałem z kazań. Ukląkłem i zamiast obowiązujących formułek, powiedziałem: „Proszę księdza, przeczytałem „Wielkich wtajemniczonych" Edwarda Schuré'go. Przekonałem się do teozofii, wiedzy ezoterycznej i wierzę w reinkarnację".

Na te słowa, ku mojemu zaskoczeniu, ksiądz wybuchnął. Prawie krzyknął: „Co mi tu będziesz za głupstwa opowiadał! Mam dość jednego życia, a ty gadasz o reinkarnacji, wędrówce dusz, kolejnych wcieleniach!" Kiedy skończył, wstałem bez słowa i opuściłem kościół. Po powrocie do domu, zrelacjonowałem z niesmakiem zachowanie księdza.

Znacznie później próbowałem sam przed sobą usprawiedliwić reakcję księdza Salamuchy. Profesor, naukowiec, teolog został zwykłym wikarym i musiał codziennie wysłuchiwać dziesiątków spowiedzi, rozmawiać ze starymi dewotkami, zajmować się przyziemnymi sprawami parafii. Nic dziwnego, że po paru latach takiego życia był zmęczony. Dlatego mogę go zrozumieć jako człowieka. Ale czy kapłan miał prawo do takiej gwałtownej reakcji?

W parę tygodni później ktoś z rodziny zaproponował, abym tym razem odbył w domu dyskusję z księdzem Netczukiem. Słyszałem, że pracował w jednym z kościołów na Mokotowie i był uznany za najlepszego warszawskiego kaznodzieję. Niektórzy z naszych znajomych specjalnie jeździli w niedzielę na Mokotów, aby wysłuchać kazania ks. Netczuka. Wyraziłem oczywiście zgodę na takie spotkanie i natychmiast zacząłem się do niego przygotowywać. Z wypożyczalni książek oraz od znajomych pożyczyłem dogmatykę i etykę, a od ciotki wziąłem ewangelie. Wszystko to przeczytałem, aby się „uzbroić" w potrzebne do dyskusji argumenty.

W umówionym dniu po południu przybył do naszego mieszkania ks. Netczuk. Oczywiście wcześniej został powiadomiony o celu spotkania. Po krótkiej prezentacji i zdawkowej wymianie zdań, powtórzyłem mniej więcej to, co powiedziałem ks. Salamusze. Ks. Netczuk wysłuchał, pokiwał głową i z namaszczeniem wygłosił – co dokładnie pamiętam – następujące przemówienie: „Te wszystkie sekty, teozofie i inne nowinki, to nic innego jak walka światowego żydostwa z Kościołem".

Widziałem twarze mojej rodziny, zgromadzonej wokół stołu. Byli wręcz zaszokowani takim nieoczekiwanym sformułowaniem, a w dodatku pozbawionym jakichkolwiek racjonalnych podstaw. Sytuacje pogorszył w dodatku fakt, że akurat w tym czasie w sąsiednim, ciemnym pokoju siedział uciekinier z getta, Benedykt Dorys, o którym pisałem wcześniej. Moja rodzina poczuła wstyd – i to było widać w ich spojrzeniach – za te słowa wygłoszone przez duchownego. Wstyd przed ukrywającym się za przymkniętymi drzwiami człowiekiem. Iście filmowa scena.

A ja wtedy - jak pamiętam – wyjaśniłem księdzu, że wiedza ezoteryczna jest starsza od chrześcijaństwa o parę tysięcy lat, że Żydzi nigdy nie mieli z nią nic wspólnego i że wprost przeciwnie – zawsze ją zwalczali, że w reinkarnację – również starszą od chrześcijaństwa – wierzą do dzisiaj miliony wyznawców hinduizmu i buddyzmu. Następnie wykazałem anachronizm paru dogmatów oraz przypomniałem – jakże by nie! – zbrodnie inkwizycji. Ks. Netczuk nie próbował nawet ze mną dyskutować. Myślę, że nie był teologiem, a po prostu dobrym kaznodzieją. I tak kolejna próba przywrócenia mnie Kościołowi spaliła – jak to się dawniej mówiło – na panewce.

Mniej więcej po roku, kiedy front zbliżał się do Warszawy, a „w powietrzu" czuło się wybuch powstania, Kazio pewnego dnia nieśmiało zapytał: „Kochany Józiu, czy nie uważasz, że w tak niebezpiecznej sytuacji warto byłoby pogodzić się z Bogiem?"

Nic nie odpowiedziałem, choć miałem ochotę wyjaśnić, że nadal wierzę w Boga i że chrześcijaństwo nie ma monopolu na prawdę. Zamiast tego czekałem na dalszy ciąg. Kazio mówił: „Wiesz, na Starym Mieście jest kościół Jezuitów. Każdy z ojców musi mieć skończone dwa fakultety. To ludzie wykształceni. Pojedź na Stare Miasto i spróbuj z którymś z nich porozmawiać".

Widząc prawdziwe zatroskanie Kazia, który starał się zastępować mi ojca, obiecałem, że przy pierwszej okazji pojadę na Stare Miasto. I rzeczywiście spełniłem obietnicę. W kościele zobaczyłem w konfesjonale starego, siwego księdza. Ukląkłem i jeszcze raz powtórzyłem to, co powiedziałem ponad rok temu dwóm innym księżom. Na to usłyszałem: „To bardzo dobra książka. Dobrze, że ją przeczytałeś. Nie martw się, że uwierzyłeś w to, co tam jest napisane. Różne są drogi do Boga. Szukaj dalej swojej własnej". Zamilkł, a po chwili zapukał w kratkę, udzielając mi rozgrzeszenia.

W najbliższą niedzielę przystąpiłem do komunii.

Wszystko co napisałem, jest całkowicie autentyczne. Wydarzenia i słowa utkwiły na zawsze w mojej pamięci.

Potem przez mniej więcej 10 lat byłem wierzącym i praktykującym katolikiem. W dniu koncertu po próbie generalnej zawsze wchodziłem do kościoła, aby prosić Boga o pomoc. Przed wyjściem na estradę żegnałem się i to bynajmniej nie ukradkiem. A potem stopniowo moja wiara zaczęła zamierać i stałem się nie teozofem a zdeklarowanym ateistą, choć ja wolę określenie materialista. Ale to już zupełnie inna historia.

Żeromski i Wyspiański

Przypuszczam, że po dziecięcym zafascynowaniu Sienkiewiczem, a konkretnie „Potopem", największy wpływ na mój stosunek do literatury wywarli w młodości Żeromski i Wyspiański. Jak już pisałem, jedna z sąsiadek miała jubileuszowe wydanie wszystkich dzieł Żeromskiego. Pamiętam tomiki oprawne w granatowe płótno z wytłoczonym złotym listkiem. Wydawcą był Mortkowicz. Jak się już po wojnie dowiedziałem, niezwykle zasłużony dla propagowania polskiej literatury.

Język Żeromskiego, zwłaszcza w jego poematach prozą jak „Puszcza jodłowa", „Powieść o Udałym Walgierzu", „Duma o hetmanie" czy „Międzymorze", urzekł mnie swoim bogactwem i pięknem. A dla 17-latka idealistyczne spojrzenie Żeromskiego na postawę człowieka nie mogło nie stać się wzorem. Prawda, odpowiedzialność, wierność, patriotyzm – oto szczytne obowiązki każdego z nas. Dzisiaj myślę, że nie były to złe wzorce nie tylko w tamtych czasach. Przydałyby się i teraz.

Pierwszy raz przeczytałem wszystkie dzieła Żeromskiego w przypadkowej kolejności. Drugi raz zgrupowane, tak jak w tym jubileuszowym wydaniu – rodzajami: utwory powieściowe, dramaty, poematy. A trzeci raz, już niemal przed wybuchem Powstania, według porządku chronologicznego. Pozwoliło to śledzić rozwój języka i światopoglądu pisarza.

Drugą fascynacją stały się dramaty Wyspiańskiego. Nie pamiętam, w jakiej kolejności je poznawałem, ale podobnie jak u Żeromskiego, urzekło mnie piękno języka. Ten przedziwny stop archaizmów, ludowości i secesji był wręcz hipnotyzujący. Potrafiłem cytować całe stronice z „Wesela", „Klątwy" czy „Sędziów". Do dzisiaj uważam, że jest to wielka poezja i należy żałować, że nie nadaje się do przetłumaczenia na jakikolwiek obcy język. Za jeszcze większą stratę uważam niechęć młodego pokolenia do poznawania piękna zawartego w poezji Wyspiańskiego. Ja osobiście zawdzięczam mu niezapomniane godziny w czasie lektury, ugruntowanie kultu ojczystego języka i pierwsze próby pisania dramatów. Do jakiego stopnia wpływ Wyspiańskiego był ogromny, może świadczyć drobny przykład. Ostatni raz czytałem „Sędziów" na początku roku 1944. Potem nigdy już nie miałem okazji. Być może po wojnie w ogóle nie wydrukowano tej tragedii, a tym bardziej nie wystawiono w teatrze. Pomimo to, dzisiaj, po upływie ponad sześćdziesięciu lat, pamiętam taką kwestię:

„Przysięgi twoje kłam.
Przecz żeś przysięgał nam,
Że ziemi władztwo dasz".

„Muzyczność" i „malarskość" poezji Wyspiańskiego jest czymś niezwykłym. Czytając ją – „widzimy", a słowa układają się w tajemniczą, pulsującą podskórnym rytmem, melodię.

Tym dwóm wielkim (nie waham się użyć tego określenia) twórcom zawdzięczam nie tylko niezapomniane przeżycia. Dzięki nim postanowiłem zostać pisarzem. I tak, jak to się

często zdarzało w moim życiu, ten zamiar odsunął na bok wszystkie inne zainteresowania. Przynajmniej na jakiś czas.

Do tej fascynacji Żeromskim i Wyspiańskim winienem dodać jeszcze zachwyt dwiema książkami: „Sanatorium pod klepsydrą" i „Procesem". Nie pamiętam dokładnie, kiedy i w jakiej kolejności dostały się do moich rąk. Pamiętam tylko, że lektura każdej była prawdziwym szokiem. Dotychczas nie miałem styczności z tego rodzaju literaturą. W książkach wszystkich dotąd poznanych autorów granica między snem a jawą, marzeniami a rzeczywistością była wyraźnie nakreślona. Świat duchów był całkowicie inny niż świat ludzi z krwi i kości. Widać to wyraźnie w „Weselu". Poetyckie przenikanie tych światów tej „inności" nie zacierało. Zaś mity, baśnie czy powieści fantastyczne nie pretendowały do opisu rzeczywistości. A teraz po raz pierwszy czytałem książki, w których ta, zdawało się, stała granica pomiędzy snem a jawą została zatarta. Pamiętam, że byłem olśniony. Otworzyły się przede mną zupełnie nowe horyzonty. Przypuszczam jednak, że byłem zbyt młody, aby ocenić w pełni wielkość Kafki i Schulza. Dopiero po wojnie powtórne lektury pozwoliły na zgłębienie wizji tych pisarzy. „Proces" do dzisiaj uważam za arcydzieło literatury nie tylko XX wieku. A język Schulza, unikatowy w swoim pięknie, oszałamia mnie nadal bogactwem i oryginalnością.

Pierwsza miłość

Mając 17 lat zakochałem się po raz pierwszy. Nie będę opisywał moich uczuć. Najwięksi poeci przez setki lat próbowali przekazać to, co czuje młody człowiek po raz pierwszy owładnięty miłością. Byłoby głupotą konkurować z natchnionymi strofami tych mistrzów. Wystarczy, jeśli zrelacjonuję suche fakty.

Jesienią 1943 byłem na koncercie symfonicznym w kawiarni Lardelli´ego. Jest to rozdział historii okupowanej Warszawy wart upamiętnienia. Jak mi mówiono, kawiarnia założona została przez włoskiego cukiernika nazwiskiem Lardelli jeszcze przed I wojną światową. Jego potomek po zajęciu Warszawy w 39 roku wpadł na pomysł zbudowania przy ulicy Polnej obiektu, w którym mieściłaby się wielka sala kawiarniana na kilkaset gości i estrada, mogąca pomieścić orkiestrę symfoniczną. Budynek wzniesiono bardzo szybko i otworzono prawdziwy sezon koncertowy. Okazało się, że zastąpił w jakimś stopniu filharmonię. Wprawdzie publiczność siedziała przy stolikach, a w czasie trwania koncertu kelnerzy przemykali się między nimi z pełnymi tacami. Obok programów rozrywkowych, orkiestra wykonywała również repertuar symfoniczny. W jej skład wchodzili przede wszystkim muzycy dawnej Filharmonii Warszawskiej. Na miejsce Żydów, zamkniętych w getcie, zatrudniono przesiedlonych muzyków z Poznania. Nie pamiętam, jak duży był skład orkiestry, ale wykonywano m.in. dzieła Haydna, Mozarta, Beethovena. Publiczność składała się głównie z Niemców, ale ponieważ lokal nie był oznakowany jako „Nur für Deutsche", Polacy mogli gdzieś przy znajdujących się z tyłu stolikach także słuchać arcydzieł muzyki symfonicznej.

U Lardelli´ego debiutowali z orkiestrą młodzi polscy instrumentaliści i wokaliści. Zapamiętałem dwa nazwiska. Andrzej Wąsowski - pianista i Halina Mickiewiczówna – sopran koloraturowy. I tam też usłyszałem kolejną uczennicę Ady Sari, Grażynę Kobylańską. Co na tym koncercie grała orkiestra – nie pamiętam. Debiutantka, jak mi później powiedział Kazio, miała zaledwie 17 lat. Śpiewała „Alleluja" Mozarta. A ja, patrząc i słuchając, po raz

pierwszy doznałem dojmującego, dotąd mi nieznanego, uczucia. Nie będę próbował opisać tego przeżycia. Była to właśnie opiewana przez poetów pierwsza miłość.

Warto dodać, że debiut został oceniony przez warszawskie środowisko muzyczne niezwykle wysoko i młodziutkiej śpiewaczce przepowiedziano wielką karierę.

Przez parę dni snułem się jak nieprzytomny. Nie mogłem spać, straciłem apetyt. Rodzina nie mogła tego nie zauważyć i Kazio, który starał się zastępować mi ojca, zdecydował się wreszcie na szczerą rozmowę. Kiedy powiedziałem, co jest przyczyną mojego stanu, Kazio zaproponował, że przedstawi mnie zarówno młodej śpiewaczce jak i jej matce, ponieważ znał je obie. Zdecydowanie odmówiłem. Oświadczyłem, że moja ukochana jest już wspaniałą śpiewaczką, a ja przeciwnie – jestem nikim i niczego sobą nie reprezentuję. Poczekam, aż po wojnie zdobędę jakąś pozycję i wówczas będę miał odwagę stanąć przed obiektem mojej miłości. Kiedy teraz piszę te słowa, trudno mi uwierzyć, że naprawdę mogłem mówić takie głupstwa. A może także wstydziłem się swojego wytartego ubrania i znoszonych butów na drewnianej podeszwie. Cóż, duma 17-latka…

Wiedziałem, gdzie mieszka moja ukochana (bodajże przy ulicy Wilczej) i później w czasie Powstania, przechodziłem parokrotnie obok jej domu. Kusiło mnie, aby złożyć wizytę. Zdecydowałem jednak, że byłoby to oszustwo. W mundurze, w aurze powstańca mógłbym się ukochanej wydać kimś, za kogo się nie uważałem – bohaterem. Tak więc zrezygnowałem z wizyty.

Piastowałem idealny obraz ukochanej w sercu i w myślach przez cały pobyt w obozie. A kiedy wróciłem i od razu pierwszego dnia zapytałem Kazia czy wie, co się stało z panią Krystyną Kobylańską i jej córką Grażyną, odpowiedział, że matka żyje, ale córka zginęła w czasie Powstania.

I tak tragicznie zakończyła się moja pierwsza, niespełniona, młodzieńcza miłość. Zaowocowała jednak paroma lirycznymi utworami, pisanymi tzw. poetycką prozą. I stała się dodatkowym bodźcem do pracy literackiej. Chciałem bowiem wówczas w Warszawie jak najszybciej stać się „kimś".

Ale – jak sądzę – ta miłość nie zakończyła się całkowicie. Pozostała na zawsze jako piękne wspomnienie.

Moje próby literackie

Jak już wcześniej zaznaczyłem, zafascynowanie twórczością Żeromskiego i Wyspiańskiego oraz pierwsza miłość stały się „natchnieniem" do pisania.

Powstały pięcioaktowe dramaty mitologiczno - historyczne a la Wyspiański i psychologizujące, pełne namiętnych pasji powieści na wzór Żeromskiego. Rodzina życzliwie obserwowała te próby, uważając zapewne, że są ważnym etapem w rozwoju osobowości młodego człowieka. Wykorzystywałem każdą wolną godzinę na pisanie. Jak się okazało, miałem wystarczająco bogatą wyobraźnię, aby zapełniać dziesiątki stronic.

Pewnego dnia Kazio powiedział, że zna osobiście Ferdynanda Ossendowskiego i zapytał czy nie chciałbym przedstawić parę swoich prac prawdziwemu pisarzowi. Zgodziłem się z radością. Dla większości Polaków żyjących w XXI wieku nazwisko Ossendowski jest całkowicie nieznane. Ale przed wojną był znanym i cenionym pisarzem. Jako geograf i podróżnik przewędrował wiele krajów, głównie Dalekiego Wschodu, a potem opisywał swoje przeżycia w licznych książkach. Szczególną popularność zdobyły – o ile dobrze

pamiętam – powieści o tajemniczym i okrutnym baronie Ungerze, przywódcy Mongołów w czasie I wojny światowej.

Kazio umówił mnie z Ossendowskim i o wyznaczonej porze zgłosiłem się z plikiem papierów. Wpuściła mnie stara służąca i od razu powiedziała, że pan źle się czuje. Rzeczywiście przyjął mnie stary, schorowany człowiek. Wręczyłem mu nieśmiało maszynopisy moich utworów. Obiecał, że je przeczyta i szczerze wyrazi swoją opinię. Po paru tygodniach przyszła do naszego mieszkania służąca Ossendowskiego. Powiedziała, że pisarz jest bardzo chory i nie może mnie przyjąć, ale zwraca maszynopisy i przesyła list. Z niecierpliwością rozerwałem kopertę i zobaczyłem kartkę w liliowym kolorze. (Ciekawe jak takie nieistotne szczegóły potrafią przetrwać w pamięci całe dziesięciolecia). Przeczytałem ją niezwłocznie.

Ossendowski stwierdzał na początku, że mam niewątpliwy talent literacki. Nazywał mnie „młodym kolegą". Dwukrotnie powtórzył, że powinienem poświęcić się literaturze. Zachęcał do wytężonej pracy i życzył powodzenia.

Jakże byłem szczęśliwy! Cała rodzina czytała list i dzieliła moją radość. Oczywiście przy każdej okazji opowiadano o tym dalszym krewnym i znajomym. List przechowywałem jak – bez przesady – relikwię. Niestety, spłonął w czasie Powstania wraz z całym domem, a po powrocie z obozu dowiedziałem się, że Ossendowski zmarł w niecały rok po naszym spotkaniu.

Jak wiadomo, pisarzem nie zostałem. Czy miałem naprawdę talent literacki – nigdy już się nie dowiem. W dalszym ciągu tych wspomnień będę pisał o moich rozmaitych próbach literackich: nowelach, jednoaktówkach, baśniach. Jakie były przyczyny, że nie zostałem pisarzem, trudno dociec. Czy brakowało mi wytrwałości czy może sytuacja polityczna była zniechęcająca? Myślę, że teraz nie warto zastanawiać się nad tym. Z takich rozważań nic bowiem nie wyniknie. Poza smutną refleksją, że być może zmarnowałem talent literacki. I wątpliwą pociechą, że nie takie talenty zostały zniszczone przez wojny, choroby, przedwczesną śmierć czy niesprzyjające okoliczności. Wystarczy przypomnieć, ilu utalentowanych ludzi zginęło w czasie ostatniej wojny. W Polsce i innych krajach. A w całej historii ludzkości?

W niewiele lat później miałem możliwości wybrania drogi naukowej. Opiszę to w następnych rozdziałach. Nie zostałem uczonym. Pomimo że było to moim marzeniem. I co, mam teraz na starość analizować przyczyny i „przeżuwać" gorycz niespełnienia? Albo wybrać jeszcze gorsze rozwiązanie: obciążyć historię i ludzi winą za to, że nie zostałem sławnym pisarzem lub słynnym uczonym? A przecież – być może – główną, jeśli nie jedyną, przyczyną mogły być wady mojego charakteru.

Rozdział VII

WARSZAWA (III)

„Spotkania" z Niemcami

Przez cały okres pobytu w Warszawie, niewiele razy zetknąłem się „oko w oko" z Niemcami. Jednak nieliczne spotkania na zawsze pozostały w mojej pamięci. Opiszę je teraz nie w kolejności chronologicznej, ponieważ pomimo wysiłków nie potrafię przypomnieć sobie, kiedy dokładnie się wydarzyły.

Jedno ze spotkań miało miejsce wieczorem na ulicy Marszałkowskiej. Śpieszyłem się po zakończeniu pracy w jakimś zespole kawiarnianym lub rewiowym, aby „złapać" przy placu Zbawiciela tramwaj w kierunku Ochoty. (Przypominam czytelnikowi, że mieszkałem przy ulicy Akademickiej 3, tuż obok placu Narutowicza. Było to wówczas centrum dzielnicy Ochota). Kiedy tak szedłem szybkim krokiem, trzymając „pod pachą" wiolonczelę, nagle z bramy wyskoczyło dwóch żandarmów. Stanęli przede mną i jeden krzyknął: „Hände hoch!". Uniosłem nieco – pamiętam to dokładnie – prawą rękę, ale lewą nadal trzymałem wiolonczelę. Żandarm zaczął obmacywać mój prawy bok i natrafił na znajdującą się w kieszeni płaszcza latarkę. (Znowu pozwolę sobie przypomnieć, że obowiązywało tzw. zaciemnienie i latarka była niezbędna, aby móc poruszać się w bramach i klatkach schodowych). Żandarm gwałtownie cofnął rękę, a jego kolega wycelował we mnie pistolet maszynowy. Usłyszałem krzyk: „Was is das?" Oczywiście jak na złość, zapomniałem jak jest po niemiecku latarka i odpowiedziałem raczej bez sensu: „Elektrische Lampe". I wówczas ku mojemu zaskoczeniu żandarmi spojrzeli na siebie, potem na wiolonczelę i szybkim krokiem oddalili się. A ja również ruszyłem śpiesznie w stronę placu Zbawiciela, aby jak najprędzej (godzina policyjna!) znaleźć się w domu.

Inne spotkanie było jeszcze bardziej dziwne. Pewnego popołudnia szedłem wolno ulicą Filtrową w kierunku domu, czytając – jak miałem w zwyczaju – książkę. Nagle zauważyłem kątem oka, że przy budynkach stoją ludzie z podniesionymi rękami, a nieopodal czekają otwarte „budy". (Znowu przypominam czytelnikowi, że tak nazywano ciężarówki z ławkami, służące do przewozu ludzi z tzw. łapanek). I wokół pełno uzbrojonych żandarmów. A ja tymczasem dalej szedłem spokojnie, zagłębiony w lekturze. Wtem „zazieleniło" mi się przed oczyma. Tuż przede mną spostrzegłem trzech żandarmów. Mógłbym jeszcze dzisiaj opisać dokładnie ich nieruchome twarze pod hełmami, tzw. blachy na piersiach i przewieszone przez kark pistolety maszynowe. Widzę to wszystko tak wyraziście, jakby w tym momencie stali przede mną. A ja, zajęty lekturą, popatrzyłem na nich obojętnie, skierowałem wzrok na książkę i… ruszyłem przed siebie. Żandarmi rozstąpili się, a ja minąłem ich, ciągle czytając. Dopiero po paru krokach do mojej świadomości dotarły dobiegające zewsząd krzyki. Nie wiem dlaczego, ale odwróciłem głowę i spojrzałem na trzech żandarmów, którzy dopiero co mnie przepuścili. Oni również patrzyli na mnie, jakby niezdecydowani co mają robić.

Bezwiednie – co także pamiętam dokładnie – kiwnąłem głową, jakbym ich żegnał i znowu zagłębiłem się w lekturze, podejmując spokojny spacer. Wszystko to trwało – jak sądzę – najwyżej minutę lub dwie.

Kiedy dotarłem do domu, rodzina zasypała mnie pytaniami, w jaki sposób uniknąłem łapanki. (I znowu konieczne wyjaśnienie: kiedy Niemcy robili obławy, wiadomość o tym natychmiast przekazywano z podwórka na podwórko, z mieszkania do mieszkania). Opowiedziałem, co się wydarzyło, a wszyscy patrzyli na mnie z niedowierzaniem. Ale prawdziwą grozą powiało, kiedy okazało się, że w kieszeni spodni miałem zapomnianą tzw. tajną gazetkę, czyli „Biuletyn Informacyjny". Nie muszę chyba wyjaśniać, że gdyby przy rewizji Niemcy znaleźli ją, czekałyby mnie tortury i śmierć.

To autentyczne w każdym szczególe wydarzenie można interpretować w dowolny sposób. Dla mojej rodziny był to widomy znak, że Opatrzność nade mną czuwała. Ja zaś twierdziłem, że był to szczęśliwy zbieg okoliczności. Po pierwsze mój spokój i obojętność na to co się wokół działo, mogły przekonać żandarmów, że jestem Niemcem. To wrażenie potwierdzał mój ubiór. Co parę miesięcy rodzice przez znajomych kolejarzy wysyłali nam paczki z używanymi ubraniami, otrzymywanymi od niemieckich uczniów ojca. I właśnie tego dnia miałem na sobie szeroki brązowy reglan, jaki wówczas nosili zamożni Niemcy. A na głowie miałem mały kapelusz ze skórzaną plecionką, który przypominał to, co się do dzisiaj nazywa kapeluszem tyrolskim. Wówczas było to w Niemczech modne nakrycie głowy, zwłaszcza wśród cywilnych urzędników. Widać to wyraźnie na fotografiach czy filmach. Nawet Hitler i inni dygnitarze fotografowali się w takich kapelusikach.

Nigdy się nie dowiem, co uratowało mi życie: Opatrzność, książka, ubiór. I przyznaję, że nigdy mnie to specjalnie nie interesowało.

Inne spotkanie z Niemcami wymaga szerszego wyjaśnienia. Grałem w trzyosobowym zespole w kawiarni „Boccacio" na rogu ulicy Sienkiewicza i placu Napoleona. Zabawnym szczegółem było to, że na rogu sąsiedniej ulicy Moniuszki znajdowała się kawiarnia o nazwie „Yacht Club". Według nieoficjalnych wieści spotykali się tam członkowie ruchu oporu. Natomiast w „Boccacio" wymieniali informacje rozmaici konfidenci, donosiciele, kolaboranci. Kawiarnią „Boccacio" zarządzał tzw. Treuhänder. Był to antypatyczny Volksdeutsch o świdrującym spojrzeniu. Cały personel składał się wyłącznie z Polaków. Trio, w którym grałem, umilało czas gościom w głównej sali znajdującej się na parterze. Natomiast w podziemiu był mały bar, w którym przygrywał pianista. Po pewnym czasie dowiedziałem się od kelnerki, pracującej w kawiarni od dawna, że ten pianista jest ukrywającym się Żydem. Udało mu się uniknąć zdemaskowania, ponieważ mieszkał z żoną – aryjką, śpiewaczką Olgą Ładą, nie wyglądał na Żyda i nie miał tzw. żydowskiego akcentu. Pod warunkiem, że nie pił alkoholu. Nawet po jednym kieliszku wódki akcent się ujawniał. Dlatego pianista (nie pamiętam jego nazwiska) unikał picia alkoholu w czasie pracy. A kiedy goście, co się często zdarzało, „stawiali" mu wódkę – odmawiał, tłumacząc, że alkohol przeszkadza mu w graniu.

Pewnego dnia (a był to już 43 lub nawet 44 rok) zdenerwowana kelnerka powiadomiła nas szeptem, że na dole odkryto, iż pianista okazał się Żydem. Następne informacje były już bardziej dokładne. Pianista jak zwykle cichutko przygrywał pijącym w barze gościom. Przy jednym stoliku rozmawiali dwaj mężczyźni: tzw. granatowy policjant i cywil. Być może konfident. W pewnym momencie, już dobrze pijani, podeszli do pianisty. Pochwalili go, że tak ładnie gra i postawili na pianinie kieliszek z wódką. Pianista odmówił, ale obaj mężczyźni z typowym dla pijanych uporem, domagali się, aby z nimi wypił. Nie wiadomo

czy pianista ostatecznie wychylił kieliszek czy też w zdenerwowaniu przestał panować nad językiem. W pewnym momencie – według relacji kelnerek - jeden z mężczyzn krzyknął: „A może jesteś Żydem?". Zaciągnęli pianistę do ubikacji, kazali rozpiąć spodnie i pokazać członek. Co było dalej, wiadomo. Kontrola czy członek mężczyzny jest obrzezany czy nie – była podstawowym sprawdzianem „aryjskości" przez Niemców. I niestety najbardziej niezawodnym.

Kelnerki opowiadały, że jeden z mężczyzn uderzył pianistę kolbą pistoletu w skroń i krew się polała. Potem wezwali kierownika, a ten zatelefonował na aleję Szucha (wiadomość dla niezorientowanego czytelnika: przy alei Szucha mieściła się siedziba Gestapo), aby kogoś przysłali po złapanego Żyda. Co czuliśmy my, Polacy, nie trzeba chyba wyjaśniać. Kelnerki płakały po kątach, a nasze trio z trudem zmuszało się do grania wesołych utworów rozrywkowych. W przerwie między jednym a drugim „kawałkiem" usiadłem przy tzw. służbowym stoliku, który znajdował się obok schodów, prowadzących w dół do baru. W pewnym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i stanęło w nich dwóch umundurowanych Niemców. Pierwszy był, sądząc po dystynkcjach, podoficerem. Miał wojskową czapkę z trupią główką na czarnym otoku i kaburę przy pasie. Za nim szedł żołnierz w hełmie z pistoletem maszynowym przewieszonym przez pierś. Równym, spokojnym, jakby zautomatyzowanym krokiem przeszli przez salę, w której zapadła śmiertelna cisza i zatrzymali się przed służbowym stolikiem. Podoficer wolno obrócił głowę i spojrzał nie na mnie, ale jakby przeze mnie. Nigdy dotąd nie spotkałem się z czymś takim. Półgłosem zapytał: „Wo ist der Treuhänder?". Podniosłem lewą rękę – widzę to dzisiaj z taką samą przerażającą dokładnością jak wtedy – i kciukiem pokazałem za siebie, do dołu. Podoficer z równym spokojem i obojętnością zszedł do podziemia, a za nim żołnierz.

Czekaliśmy w pełnej napięcia ciszy. Po paru minutach usłyszałem kroki na schodach. Pierwszy szedł pianista. Zauważyłem plaster na prawej skroni. Widząc mnie siedzącego przy stoliku, zatrzymał się i powiedział niemal szeptem: „Proszę zawiadomić żonę". Bez słowa skinąłem głową. A podoficer w międzyczasie ujął pianistę za ramiona i lekko pchnął do przodu, poczem cała trójka opuściła w ciszy kawiarnię.

Oczywiście po powrocie do domu opowiedziałem o wszystkim rodzinie. Natychmiast zawiadomiono Olgę Ładę, która na wszelki wypadek schroniła się u znajomych. Szczęśliwie przeżyła wojnę. Po jej mężu ślad zaginął.

Nigdy nie zapomnę nieludzkiej obojętności podoficera i jego całkiem nieruchomej, jakby martwej twarzy. Miałem wrażenie, że to nie żywy człowiek, ale automat. Nazwałbym go robotem, gdybym znał wówczas to słowo. Ale jeszcze bardziej przerażające było spojrzenie jasnych oczu. Patrzył na mnie nie jak na człowieka, ale przedmiot. Patrząc, nie widział mnie. Jego wzrok przenikał i wędrował gdzieś dalej. Parę lat później w podobny sposób patrzył „przeze mnie" funkcjonariusz Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi.

Innego rodzaju spotkanie miało miejsce w lecie 1943 w Świdrze. Grałem wtedy w paroosobowym zespole w kawiarni – restauracji jakiegoś pensjonatu. Spaliśmy w małej salce na rozłożonych materacach. Wieczorami schodzili się mieszkańcy pensjonatu oraz goście z zewnątrz, aby posłuchać naszych występów. Po pewnym czasie zauważyłem, że wiernymi słuchaczami była jakaś para w średnim wieku. Przychodzili przed rozpoczęciem koncertu i opuszczali salę zaraz po zakończeniu, udając się do swojego pokoju na piętrze.

Pewnego poranka o bardzo wczesnej godzinie usłyszałem walenie do drzwi. Ponieważ byłem najmłodszy, koledzy z zespołu, kazali mi otworzyć. Kiedy je otworzyłem, zobaczyłem

żandarma w hełmie, z przewieszonym w poprzek piersi pistoletem maszynowym. „Ausweiss!" – warknął. Podszedłem do mojej walizki i wyjąłem malutką podstemplowaną karteczkę, na której było napisane po niemiecku, że złożyłem wymagane dokumenty na Kenkartę, czyli dowód tożsamości. Żandarm wziął ode mnie karteczkę, przeczytał, spojrzał na moje ciemne falujące włosy i na mój wydatny nos. Przyjrzał mi się przenikliwie, ale ja odwzajemniłem dość nieprzytomnym spojrzeniem człowieka wyrwanego ze snu, a w dodatku krótkowidza. Raz jeszcze rzucił okiem na karteczkę, po czym oddał ją bez słowa. Po sprawdzeniu dokumentów kolegów, opuścił nasz pokój. Jak potem opowiadał właściciel pensjonatu, towarzyszący kontroli żandarm udał się do pokojów na piętrze. Kiedy nasi słuchacze, wyrwani ze snu, otworzyli drzwi swojego pokoju, żandarm spojrzał na nich i natychmiast wrzasnął: „Sie sind Jude!" i tak było rzeczywiście.

Po wojnie dowiedziałem się, że podobno żandarmi przechodzili specjalne szkolenie. Uczono ich wykrywać strach w rozbieganych oczach. Poza tym większość Żydów miała tzw. semicką powiekę i odstające uszy. W ten sposób ich wykrywano.

Tego dnia skontrolowano cały Świder i podobno znaleziono kilkudziesięciu Żydów, ukrywających się od początku okupacji. Dowiedziałem się, że przed wojną Świder był ulubionym miejscem wypoczynku warszawskich Żydów, czy może raczej warszawiaków pochodzenia żydowskiego. Dzięki przyjacielskim kontaktom z właścicielami domów w Świdrze, przez cztery lata mogli się ukrywać. Aż wreszcie, prawdopodobnie na wskutek donosu, Niemcy otoczyli całą miejscowość i Żydów wyłapano. Czy ktoś ocalał – nigdy się nie dowiedziałem. Te oraz inne podobne doświadczenia zohydziły mi na zawsze rasizm w każdej postaci.

I jeszcze jedno interesujące – jeżeli można użyć takiego określenia – moje spotkanie z Niemcami.

Pewnego dnia skrzypek, z którym grałem w zespołach kawiarnianych i rewiowych, powiedział, że otrzymał dobrze płatną propozycję zagrania na niemieckim ślubie w podwarszawskiej miejscowości. Odparłem, że muszę zapytać się rodziny. Kazio skontaktował się z kimś, kto z ramienia tzw. Delegatury na Kraj odpowiadał za sprawy muzyki. Z uwagi na wyjątkowo trudną sytuację materialną naszej rodziny oraz na fakt, że granie dotyczyło tylko kościelnego ślubu – otrzymałem zgodę. Plan uzgodniony przez kolegę z ojcem panny młodej przewidywał, że wczesnym popołudniem wyjedziemy z Warszawy podmiejską kolejką. Ze stacji zabierze nas samochód i zawiezie do kościoła. Po ślubie zostaniemy odstawieni od razu na stację, aby zdążyć wrócić jak najwcześniej do Warszawy.

Kiedy zjawiliśmy się we trójkę (skrzypek, organista i ja) na dworcu, zobaczyliśmy na peronie kilkudziesięciu Niemców w mundurach i w cywilu. Z ich rozmów, prowadzonych częściowo po niemiecku a częściowo po polsku, wynikało, że są kolegami pana młodego i właśnie jadą na ślub. Kiedy podstawiono pociąg, Niemcy na widok wiolonczeli pomogli mi wejść do wagonu i znaleźć siedzące miejsce.

Tutaj niezbędna informacja: przed wojną pod Warszawą znajdowało się parę niemal czysto niemieckich wsi. Nie pamiętam, kiedy koloniści z Niemiec tam przybyli; może jeszcze w XIX wieku lub nawet wcześniej. Te miejscowości nazywały się chyba Nowa Wieś czy Nowy Dwór. Nie pamiętam również czy był to kierunek na Piaseczno czy Legionowo. Zostawiam tę sprawę do wyjaśnienia historykom. Osadnicy ulegli spolszczeniu, pomimo niemieckich nazwisk. W 1939 roku zostali uznani za Reichsdeutschów. Starzy pracowali nadal na roli, a młodzi służyli w wojsku, policji czy straży kolejowej.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, Niemcy znowu pomogli mi zejść po stopniach wagonu z wiolonczelą, a potem wdrapać się do jednej z czekających ciężarówek. Nastrój był przyjacielski. Ciężarówki zamiast do kościoła, zajechały pod dom rodziców panny młodej. Gospodarz przywitał nas serdecznie i oczywiście w typowej mazowieckiej, chłopskiej polszczyźnie wyjaśnił, że nastąpiły pewne komplikacje. Otóż jego córka miała dwóch starających się o rękę. Wybrała jednego, a drugi, odtrącony, zaprzysiągł, że nie dopuści do ślubu. Dlatego za zgodą władz, zarówno dom jak i kościół będą otoczone uzbrojonymi policjantami. Gospodarz przeprosił za opóźnienie i zaprosił nas na mały poczęstunek.

Nie wdając się w zbędne szczegóły, opiszę w skrócie, co potem nastąpiło. Pojechaliśmy do otoczonego policją kościoła. Ja jak zwykle grałem Adagio Matthessona, Arię Bacha i „Ave Maria" Schuberta. Kiedy ślub się skończył, ciężarówki przewiozły wszystkich z powrotem do domu weselnego. W ogólnym rozgardiaszu zapodziali się gdzieś kierowcy, a zanim ich znaleziono – okazało się, że nie zdążymy już na ostatni pociąg do Warszawy. Byłem naprawdę zmartwiony i nawet duża zapłata za granie nie mogła mnie pocieszyć. Zdawałem sobie sprawę, że w tamtych czasach każde spóźnienie, a nie tylko niezaplanowana nieobecność mogła oznaczać śmierć, aresztowanie, wywiezienie do obozu. Domyślałem się, co będzie przeżywać moja rodzina, kiedy nie wrócę na noc. Gospodarz próbował mnie pocieszyć, mówiąc, że rodzina na pewno domyśli się, że nie zdążyłem na ostatni pociąg.

Chcąc nie chcąc, usiadłem razem z kolegami przy jednym ze stołów, przezornie na tzw. szarym końcu. I zaczęło się wesele, w charakterze bardziej polskie niż niemieckie. Było oczywiście „gorzko, gorzko" a potem coś w rodzaju „oczepin". Słowa niemieckie przeplatały się z polskimi, co stwarzało surrealistyczną atmosferę przy zielonych i czarnych mundurach. A ja, skoro już musiałem zostać, postanowiłem najeść się za „wszystkie czasy". Muszę zresztą napisać, że nigdy dotąd w moim życiu nie uczestniczyłem w tego rodzaju przyjęciach. I nigdy nie widziałem takich ilości typowo polskich, chłopskich potraw. Znałem tylko ich nazwy z książek. Wódka lała się strumieniami, a w miarę jak alkohol coraz bardziej uderzał biesiadnikom do głów, pozbywano się mundurów, a broń zalegała kąty izby. Kiedy wychodziłem za tzw. potrzebą, widziałem, że dom był otoczony uzbrojonymi strażnikami. Ale wymieniali się nader często i im dłużej trwało wesele, tym bardziej strażnicy byli pijani. Całe szczęście, że odrzucony konkurent najwidoczniej zrezygnował z zemsty.

Po paru godzinach byłem tak najedzony, że mogłem już tylko obserwować podpitych gości. W pewnym momencie ktoś objął mnie od tyłu, poczułem woń alkoholu i usłyszałem: „Grałeś sehr gut … sehr gut … schön". Ich gratuliere… Meine name is Pohl… nazywam się Pohl… Obersturmbahnführer Pohl... verstehst du?

Obróciłem głowę i zobaczyłem czerwoną, pijacką twarz i rozpięty czarny oficerski mundur. Moi koledzy zdrętwieli i siedzieli bez ruchu. A obersturmbahnfürer dalej bełkotał: „… jak będziesz potrzebował pomocy… Ich hilfe… Ich bin obersturmbahnfürer Pohl … Du spielst sehr gut…

Na szczęście gospodarz zobaczył, co się dzieje i odciągnął pijanego „wielbiciela" mojej gry.

A rano zaczęły się poszukiwania rozrzuconej broni, obmywanie twarzy, zapinanie mundurów. Znajdowano pistolety maszynowe wciśnięte pod łóżka i ławy. Wreszcie ruszyliśmy na stację. I znowu powtórzyło się pomaganie mi przy wsiadaniu i znalezieniu miejsca siedzącego w pociągu. Na dworcu w Warszawie pożegnaliśmy się jak starzy znajomi.

Radości rodziny na mój widok nie muszę opisywać. A wysokokaloryczne potrawy, którymi przez całą noc napełniałem żołądek, bardzo się przydały młodemu, niedożywionemu organizmowi.

Te, tak różne bezpośrednie spotkania z Niemcami pozostały na zawsze w mojej pamięci i niewątpliwie w znacznym stopniu wpłynęły na ukształtowanie mojego własnego stosunku do świata i ludzi.

Praca zarobkowa

O graniu w różnych zespołach kawiarnianych już nieraz wspominałem w tym rozdziale. Czas teraz na relacje z innych sposobów zarobkowania. Spróbuję je pokrótce wymienić, ponieważ były typowe dla znacznej części muzyków w okupowanej Warszawie.

O tzw. tajnych koncertach już pisałem. Nie było ich dużo i nie przynosiły znaczącego dochodu. Jeszcze rzadsze były występy w internatach czy stołówkach RGO Warto w tym miejscu wyjaśnić, że oficjalna charytatywna organizacja pod nazwą Rada Główna Opiekuńcza poza prowadzeniem stołówek, gromadzeniem odzieży na zimę, prowadziła różnorodną działalność i była wręcz niezastąpioną pomocą dla najuboższych mieszkańców Warszawy.

Sporadycznie organizowano koncerty mniejszych lub większych orkiestr, głównie w kościołach. Skąd pochodziły pieniądze dla wykonawców – nie wiem. Raz zdarzyło się, że Kościół Metodystów zorganizował wykonanie „Pasji św. Mateusza". Prób było sporo i – o ile pamiętam – „Pasję" zagraliśmy publicznie tylko dwa razy. Dyrygował Zygmunt Szczepański, raczej mierny rzemieślnik, pozbawiony jakiejkolwiek wizji. Z solistów zapamiętałem dwoje: Krystynę Szczepańską, żonę dyrygenta i Edwarda Bendera. Szczepańska została po wojnie jedną z najwybitniejszych śpiewaczek, ale Bender niestety zginął w czasie Powstania. Pomimo drobnej postury dysponował wspaniałym głosem. Kiedy śpiewał w kościołach, jego bas – zdawało się – rozsadzał sklepienie.

Innym sposobem zarobkowania było granie na ślubach czy pogrzebach. W niektórych okresach takich okazji zdarzało się sporo, np. msze żałobne w czasie Wielkiego Postu czy śluby pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Odpłatność była na ogół niewielka, a granie w nieogrzewanych kościołach przy temperaturze poniżej zera powodowało bolesne odmrożenie palców.

Nieco zabawną formą dorabiania było wykonywanie muzyki kameralnej w mieszkaniach zamożnych amatorów. Lekarze, inżynierowie czy prawnicy bardzo często grali dla przyjemności na skrzypcach lub altówce. Gorzej było z umiejętnością gry na wiolonczeli. Aby wykonać np. kwartet, kwintet lub sekstet – potrzebowali wiolonczelisty. Kazio skontaktował mnie z tymi amatorami i raz na jakiś czas grałem z nimi. Takie „sesje" trwały mniej więcej godzinę. Amatorzy, na ogół panowie w średnim wieku byli szczęśliwi, choć o poziomie tych „produkcji" nie warto wspominać. Po graniu następowała obfita kolacja. Żadnych pieniędzy nie otrzymywałem, ale możliwość jedzenia mięsa miała duże znaczenie.

W tym miejscu muszę wyjaśnić sytuację żywnościową naszej rodziny. W Warszawie kwitł tzw. czarny rynek. Można było kupić, oczywiście nielegalnie, absolutnie wszystko; od portugalskich sardynek po rosyjski kawior, od francuskiego szampana po włoskie oliwki, nie wspominając o wszystkich gatunkach mięsa. Niemcy – jak wiadomo – oficjalnie tępili tzw. szmugiel, a złapanych handlarzy wysyłali do obozów. W rzeczywistości jednak brali czynny udział w przemycie. I to na dużą skalę. To przecież Niemcy przywozili do Warszawy wykwintne produkty z całej Europy.

I sprzedawali polskim pośrednikom. Ale ceny były tak wysokie, że przerastały możliwości finansowe naszej rodziny. O ile mnie pamięć nie zawodzi – nigdy nie jedliśmy czegokolwiek zakupionego na czarnym rynku. Musieliśmy się ograniczać wyłącznie do tzw. przydziałów kartkowych. Obejmowały one – jak pamiętam – mięso, tłuszcze, cukier. Chyba także mąkę, a nawet ziemniaki, ponieważ nazywaliśmy je „kartkoflami". Przydziałowe ilości były tak małe, że np. mięso jedliśmy bodajże raz w miesiącu, ziemniaki okraszaliśmy dosłownie paroma kroplami oleju, a zamiast cukru używaliśmy sacharynę. Tak więc nasza dieta nie była wystarczająco bogata, zwłaszcza dla trójki dzieci mniej więcej w przedziale wieku 14 – 19 lat.

W związku z tym chciałbym przytoczyć zabawne zdarzenie. Pewnego dnia sąsiadka zawiadomiła nas, że gdzieś w bocznej ulicy, w jakimś sklepiku sprzedają bez kartek koninę w niskiej cenie. Oczywiście żona Kazia pobiegła niezwłocznie i mięso kupiła. Kiedy zastanawiano się, w jaki sposób je przyrządzić – gosposia ciotki oświadczyła, że ona do tego ręki nie przyłoży. Wszyscy byliśmy zdumieni. Na pytanie ciotki, odpowiedziała krótko: „Bo Pan Bóg nie przeznaczył mięsa konia do jedzenia". Nastąpiła prawdziwa konsternacja. Kazio zapytał: „A skąd Ewcia o tym wie?" Na co usłyszał krótkie wyjaśnienie: „Bo ksiądz u nas tak mówił". To „u nas" oznaczało zapadłą wieś pod Grodnem. Następnie gosposia opowiedziała, jak ksiądz kiedyś zobaczył w koszyku, w Wielką Sobotę, kawałek pasztetu z zająca. Krzycząc, odmówił poświęcenia. A na najbliższym kazaniu stwierdził, że Pan Bóg z mięs przeznaczył ludziom do jedzenia tylko wieprzowinę, wołowinę, baraninę. Żadnej dziczyzny, a tym bardziej koniny.

Żadne perswazje nie pomogły. Żona Kazia sama przyrządziła mięso, które z apetytem zjedliśmy bez Ewci. Warto jeszcze dodać, że Ewcia w młodości złożyła ślubowanie, iż we wszystkie środy nie będzie jadła mięsa, a w piątki ograniczy się tylko do wody, suchego chleba i nieokraszonych ziemniaków. Na czas wojny, jak wiadomo, papież udzielił dyspensy z przestrzegania postu w piątki. Kiedy Kazio powiedział o tym Ewci, ta oświadczyła: „Papież nie będzie się wtrącał do mojego ślubowania". I przez cały okres okupacji, przy naszym jakże ubogim odżywianiu, dodatkowo głodziła się dwa dni w tygodniu. Skąd czerpała siły do pracy – nie wiem. Ale przeżyła wojnę i ostatnie lata spędziła w podwarszawskim domu starców, gdzie umieścili ją, ponosząc wszelkie opłaty, Kazio i Marysia.

Chciałbym przy okazji podkreślić, że wszystkie cytowane wyżej dialogi są autentyczne i dokładnie je pamiętam. Niemal każde słowo.

Wracam jednak do mojej pracy zarobkowej. Zdarzyło się parę razy, że pomagałem sąsiadce zbierać plony w jej ogródku działkowym na Polu Mokotowskim. „Zapłatą" była kolacja oraz trochę warzyw dla naszej rodziny.

Najważniejszym jednak źródłem zarobkowania było moje granie w zespołach kawiarnianych i rewiowych. Niektóre składały się zaledwie z trzech osób (skrzypek, pianista i ja), inne liczyły po kilkanaście osób. Zacząłem w takim właśnie większym zespole, grającym w kawiarni „Cafe-Club", lokalu „Nur für Deutsche". Przez pierwsze dni bardziej udawałem, niż grałem. Nie znałem w ogóle muzyki rozrywkowej i nie umiałem grać bez prób. Minęło sporo czasum zanim stałem się tzw. klezmerem. Przypuszczam, że przez prawie trzy lata byłem członkiem przynajmniej kilkunastu różnych zespołów. Zamach bombowy na „Cafe-Club" miał miejsce parę miesięcy później, kiedy nasz zespół już tam nie grał. Kolejny szczęśliwy traf w moim życiu. W mojej pamięci zapisały się tylko dwa zespoły. Pierwszy prowadziła dawna uczennica mojego ojca z Łodzi, a jednocześnie córka dyrektora gimnazjum, do którego chodziłem przed wojną. Czyż to nie „filmowy" zbieg

okoliczności? Na fortepianie grał Wawrzyniec Żuławski, późniejszy kompozytor i taternik. Jak pamiętam, prezentowaliśmy mierny poziom. Drugi zespół prowadziła Maryla Kunińska. Nie była chyba zbyt dobrą skrzypaczką, ale po wojnie została jedną z czołowych polskich śpiewaczek, pedagogiem i organizatorem życia muzycznego. W niektórych lokalach obok stałego zespołu instrumentalnego występowali gościnnie aktorzy z monologami i skeczami, a także śpiewacy. Zetknąłem się wówczas z wieloma osobami, które później po wojnie zajęły eksponowane miejsca w polskiej kulturze. Niestety, większości nazwisk już nie pamiętam.

Kiedy Wandzia i ja występowaliśmy na tzw. tajnych koncertach, zawsze towarzyszył nam Kazio i wygłaszał nieodpłatnie prelekcję, czy – jak się to teraz głupio określa – słowo wiążące. Pewnego dnia oświadczył, że nie może jechać z nami, ponieważ niespodziewanie otrzymał propozycję grania na jakimś koncercie. I zaproponował, abym ja go zastąpił w roli prelegenta. Oczywiście zaprotestowałem; nigdy dotąd czegoś takiego nie wykonywałem. Skąd wiadomo czy potrafię? Kazio przekonywał mnie, że mam wystarczającą wiedzę, umiem mówić i słyszałem, jak on sam to robi. Sytuacja była bez wyjścia, musiałem się zgodzić. Na pasku papieru zapisałem program i krótkie dyspozycje. Pasek zwinąłem w rulonik, który w czasie mówienia trzymałem w dłoni, mnąc go niemiłosiernie. Ale ani razu do niego nie zajrzałem. Wandzia i pianistka, z którą graliśmy, uznały że sprostałem zadaniu i odtąd na wszystkich koncertach pełniłem podwójną rolę: wiolonczelisty i prelegenta.

Państwowa Szkoła Muzyczna

W roku 1943 władze okupacyjne Warszawy, choć nadal stosowały terror, aresztowały ludzi, urządzały obławy, rozstrzeliwały na ulicach, wysyłały do obozów – uczyniły dwa łagodzące gesty. Nigdy nie dowiedziałem się, jaka była przyczyna. Może stale pogarszająca się sytuacja na frontach?

Pierwszym gestem było otwarcie w Warszawie Staatliche Musikschule. Wiadomość o takim zamierzeniu wydawała się zwykłą plotką. Niemiecka państwowa szkoła dla Polaków? Nieprawdopodobne! A jednak niebawem ogłoszono nabór uczniów. Kazio natychmiast mnie zgłosił, przede wszystkim – jak sądzę - z uwagi na nader istotny fakt: legitymacja niemieckiej państwowej szkoły mogła np. skutecznie chronić przed wywiezieniem do Niemiec na roboty. Dyrektorem był oczywiście Niemiec, a pedagogami wyłącznie Polacy. Nie pamiętam ich nazwisk, ale klasę wiolonczeli objął Dezyderiusz Danczowski, solista występujący przed wojną w kraju i za granicą. Był dziwną postacią, jakby przeniesioną żywcem z XIX wieku. Miał rozwichrzone włosy, zamaszyste ruchy i chodził w szerokim płaszczu (a może to była nawet peleryna?). Przy tym wszystkim był podobno znakomitym szachistą. Jako pedagog preferował technikę i zapalił mnie do intensywnego ćwiczenia gam i pasaży. Nawiasem mówiąc, mogło to być także przyczyną późniejszego sforsowania mojej ręki. Tak więc miałem właściwie dwóch nauczycieli: Kazio w domu pracował ze mną nad dźwiękiem, frazą, repertuarem, a Danczowski w szkole pilnował mojego rozwoju technicznego.

Do dzisiaj zastanawiam się, jak mogłem podołać tak wielu obowiązkom. Różnoraka praca zarobkowa, nauka, ćwiczenie, pisanie powieści, czytanie itd. I to wszystko przy niemal stałym niedożywieniu. Na świecie toczyła się najbardziej krwawa wojna w historii, w Warszawie nadal zabijano ludzi na ulicach i w więzieniach – a ja znajdowałem czas i siły na wielostronne i intensywne zajęcia.

Drugim gestem Niemców było zezwolenie na otwarcie w Warszawie teatru. Nie teatrzyku rewiowego, ale prawdziwego teatru dramatycznego. Na siedzibę wybrano małą salkę przy ulicy Kredytowej, a na pierwszą sztukę - Rittnera „W małym domku".

Pierwszym i jak dotąd jedynym moim kontaktem z teatrem było przedstawienie „Kordiana" w Łodzi na wiosnę 1939 roku. Na sali byli wówczas sami uczniowie, ale z jakich gimnazjów i klas – nie wiem. Moją klasę umieszczono na drugim balkonie. To spojrzenie „z góry" przekreśliło możliwość właściwej percepcji. Kiedy na początku „Kordiana" duchy wyłaniają się z podziemi, my widzieliśmy, jak trzymają się drabiny. Widzieliśmy także latarkę (trzymaną przez aktora pod podbródkiem), która według zamierzeń inscenizatora miała na czerwono podświetlać twarze. Zaś scenę na Mont Blanc rozwiązano w ten sposób, że na wysokim podeście postawiono mniej więcej półmetrową „kopkę" mającą być szczytem góry. Ale dla uczniów, siedzących na drugim balkonie, widoczna była tylko dolna połowa ciała aktora, stojącego na tym „szczycie". Wszystko to bardzo nas śmieszyło.

Ja miałem wtedy około 13 lat, moi koledzy o rok więcej. Nie wiem także czy „Kordian" był właściwą sztuką. Jego poezja do nas nie dotarła, a przesłanie filozoficzno - historyczne było zbyt trudne. Tak więc pierwszy kontakt z teatrem, zamiast stać przeżyciem, miejscami mnie śmieszył, a w całości znudził.

Dlatego bez entuzjazmu udałem się wraz z rodziną na sztukę Rittnera. Salka była oczywiście pełna, a nastrój radosnego oczekiwania udzielił się nawet mnie. Potem rozsunęła się kurtyna i po raz pierwszy mogłem zobaczyć i usłyszeć paru największych polskich aktorów: Malicką, Junoszę - Stępowskiego, Węgrzyna. Tego co przeżyłem – nigdy nie zapomnę. Do dzisiaj teatr pozostał moją miłością. Żaden film nie potrafi zastąpić bezpośredniego kontaktu z żywym aktorem. To banalne zdanie jest jak najbardziej prawdziwe. Poznałem magię teatru, jedyną i niepowtarzalną. Nie będę próbował analizować, na czym ona polega. Należy po prostu jej ulec. W następnych latach mogłem zachwycać się grą dosłownie wszystkich najwybitniejszych polskich aktorów dwóch, jeśli nawet nie trzech pokoleń. Miałem bowiem możliwość oglądać ich w teatrach Łodzi, a potem Warszawy i Krakowa. I udało mi się zobaczyć znaczną część tych przedstawień, które przeszły do historii polskiego teatru. Moim przeżyciom poświęcę osobny rozdział. Ale wszystko zaczęło się od małej salki przy ulicy Kredytowej.

Niestety Niemcy po paru tygodniach cofnęli zezwolenie na prowadzenie teatru. Czyżby zorientowali się, jaką siłę oddziaływania mają słowa wypowiadane na scenie? Nawet jeśli są to tylko słowa mieszczańskiego melodramatu?

Różne wydarzenia

Nie sposób na stronicach tej autobiografii opisać wszystkiego, co przeżywałem dzień po dniu w okupowanej Warszawie. Duże sprawy przeplatały się z małymi, najbardziej osobiste przeżycia z wydarzeniami historycznymi. Spróbuję przypomnieć choć parę faktów, które wydają mi się ważne z przyczyn osobistych, bądź są charakterystyczne dla tamtych czasów.

„Biuletyn Informacyjny" donosił o mordach dokonywanych na ludności polskiej przez tzw. banderowców. Często byli to sąsiedzi z tych samych wsi. Potem dowiadywaliśmy się o pacyfikacjach całych regionów Zamojszczyzny. O wysiedlaniu ludności i rozdzielaniu rodzin. Pewnego dnia po Warszawie rozeszła się wiadomość, że na Pradze na dworcu stoi

transport z dziećmi z Zamojszczyzny, który według słów kolejarzy, ma być skierowany do Rzeszy. Tak nazywano wówczas teren przedwojennych Niemiec.

A po paru godzinach cała Warszawa mówiła, że oto kobiety z Pragi najzupełniej spontanicznie wtargnęły na dworzec. Niemieccy wartownicy byli całkowicie zaskoczeni. Kobiety otworzyły wagony i zabrały wszystkie dzieci.

Czy tak było naprawdę – wiedzą historycy. Natomiast dla nas była to elektryzująca wiadomość. Czynny opór nieuzbrojonych kobiet wobec władz okupacyjnych? To zdarzyło się po raz pierwszy. Przez parę dni mówiło się tylko o tym.

Czy były następne transporty i jaką drogą wędrowały do Niemiec – nie wiem.

Zupełnie inną wiadomością, która również obiegła miasto, było zastrzelenie wybitnego aktora, Kazimierza Junoszy - Stępowskiego. Według tego co mi opowiadano, jego żona wyłudziła pieniądze od wielu ludzi, obiecując w zamian uwolnienie ich aresztowanych bliskich. Podobno wydano na nią za to wyrok śmierci. Kto wydał – nigdy nie powiedziano. Podobno… i znowu to niepokojące i jakże niebezpieczne słowo – kiedy wykonawcy wyroku przyszli do mieszkania Stępowskich, on chciał zasłonić żonę i został śmiertelnie trafiony. Druga wersja głosiła, że stało się to na ulicy przed domem. Jak było naprawdę, nigdy nie chciałem dociekać. Zbyt dobrze pamiętam wspaniałą grę Junoszy – Stępowskiego w sztuce Rittera. I takim go będę pamiętał.

Bodajże w 42 roku Kazio zorganizował kwartet smyczkowy. Poza nim grała Eugenia Umińska, Henryk Trzonek i Roman Padlewski. Zespół występował w „Domu Sztuki" i na innych jawnych i tajnych koncertach. Trzonek miał żonę Żydówkę, którą ukrywał w mieszkaniu od 39 roku. Miał także przyjaciółkę. Ta w jakiejś kłótni zagroziła donosem do Gestapo. Tak mi w każdym razie relacjonował Kazio. Żonę Trzonka przyprowadzono do naszego mieszkania i wtedy okazało się, że jest w zaawansowanej ciąży. Załatwiono dla niej do czasu rozwiązania schronienie w szpitalu Dzieciątka Jezus. Ustalono, że zaprowadzę ją do szpitala, do umówionego lekarza. Następnego ranka wyruszyłem z domu wolnym krokiem, a p. Trzonkowa dla bezpieczeństwa (?!) parę kroków za mną. W biały dzień szliśmy ulicami, ryzykując w każdej minucie natknięcie się na niemiecki patrol lub pierwszego lepszego denuncjatora. Do dzisiaj zastanawiam się nad brakiem przezorności mojej rodziny i własnym szczęściem.

Doprowadziłem p. Trzonkową do szpitala i tam przejął ją wtajemniczony w sprawę lekarz. Urodziła córkę, a potem obie w jakimś ukryciu dotrwały do końca wojny. P. Trzonkowa zmieniła nazwisko na Kowalska (może wyszła za mąż) i przez wiele lat grała w orkiestrze Polskiego Radia, zorganizowanej przez Stefana Rachonia. Trzonek za ukrywanie Żydówki został aresztowany i rozstrzelany w kolejnej ulicznej egzekucji.

W roku 1944 dziewiętnastoletnia Anielcia i piętnastoletnia Wandzia wstąpiły do konspiracyjnego harcerstwa. Miały zbiórki w różnych domach i uczyły się udzielania pierwszej pomocy medycznej, czytania map, zapamiętywania meldunków, ukrywania „bibuły". Pamiętam, że były tym bardzo przejęte.

W maju 44 roku kończyłem 18 lat. Już parę miesięcy wcześniej powiedziałem (czy może raczej – oświadczyłem), że jak tylko stanę się pełnoletni, chcę wstąpić do Armii Krajowej i walczyć przeciwko Niemcom. Kazio bardzo poważnie potraktował moje słowa i wysłał list do rodziców, w sposób zakamuflowany powiadamiając ich o mojej decyzji. Napisał, co pamiętam dokładnie: „Józio po skończeniu 18 lat pragnie wstąpić w ślady kuzyna Michała Religioniego". Otóż ten daleki kuzyn (ileż my mieliśmy kuzynów!) był zawodowym oficerem WP. Od 39 roku nikt nie miał o nim żadnej wiadomości. Dopiero

w 1946 roku zjawił się niespodziewanie w Łodzi i wówczas poznaliśmy jego historię, jakżeż charakterystyczną dla tamtych czasów. Michał walczył w 39 gdzieś w okolicach Prus Wschodnich. Zdołał uniknąć niewoli i zakonspirował się w Wilnie, aby nie wpaść także w ręce władz radzieckich. Kiedy Niemcy zajęli w 41 roku Wileńszczyznę, wstąpił do organizującego się Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej. Kiedy w 44 roku do Wilna zbliżały się wojska radzieckie, AK nawiązała z nimi kontakt i przyczyniła się do wyzwolenia miasta. Potwierdzenie relacji Michała po wielu latach znalazłem w jakiejś monografii o wileńskiej AK i majorze „Wilku". Po zdobyciu miasta oddziały AK za zgodą dowództwa radzieckiego ruszyły, aby walczyć o wyzwolenie Warszawy. Któregoś dnia przyjechał radziecki oficer i zaprosił polskich dowódców na naradę do sztabu. Tam wpadli w zasadzkę: otoczono ich, rozbrojono i aresztowano. W podobny sposób postąpiono z oddziałami. Zostały otoczone i zmuszone do poddania.

Żołnierzy wysłano do obozu w Kałudze, a oficerów do Riazania. Tam pracowali jako drwale w nieludzkich warunkach. Ale przynajmniej uniknęli śmierci. (Losu, jaki spotkał ich kolegów parę lat wcześniej w Katyniu).

Oto opowiadanie mojego kuzyna. I zarazem przyczynek do jakże skomplikowanych stosunków polsko - rosyjskich. Myślę, że warto było zrobić tę dygresję, choć wybiegła bardzo w przyszłość.

Rodzice odpowiedzieli na list Kazia następująco: „Jeżeli uważacie, że to właściwe, zgadzamy się". Kazio rozpoczął ostrożne sondaże wśród znajomych i pewnego dnia zjawił się w mieszkaniu pan w średnim wieku. Odbył w zamkniętym pokoju rozmowę tylko z Kaziem i ze mną. Powiedział, że zostanę przyjęty na „kurs dla podchorążych".

Potem przyszedł młody mężczyzna – jak się okazało instruktor – i wtajemniczył mnie w program. Najpierw równoległe szkolenie teoretyczne, jak określił „dowódcze" i nauka obchodzenia się z bronią. Potem wyjazd do lasu. Wpierw na krótkie ćwiczenia, a potem ewentualnie do oddziału. Nie podał żadnych terminów.

I tak zaczął się „akowski" rozdział mojego życia. Szkolenia odbywały się najczęściej w naszym mieszkaniu. Kierownictwo kursu uznało – i słusznie – że tak będzie najbezpieczniej. Do naszego mieszkania ciągle przychodzili jacyś ludzie, na próby czy lekcje. Tak więc sąsiedzi (i ewentualnie donosiciele) byli do tego przyzwyczajeni. Oczywiście kursanci nie przychodzili i wychodzili wszyscy razem, tylko w pewnych odstępach czasowych. Poza tym dodatkowym ułatwieniem była możliwość przenoszenia broni w futerale od skrzypiec. Nawet rozłożony p.m. czyli pistolet maszynowy mieścił się w pustym futerale. Ponadto fortepian często zamieniał się w „magazyn broni". Wystarczyło odkręcić śruby trzymające obudowę klawiatury, aby schować pod nią nie tylko materiały szkoleniowe, lecz także różne modele pistoletów.

Tak więc pełen zapału uczyłem się, aby zostać oficerem. Niestety, jak wiadomo, historia uległa przyspieszeniu. Wojska radzieckie zbliżały się do Warszawy, a 6 czerwca alianci wylądowali w Normandii. „Biuletyn Informacyjny" donosił w kolejnych numerach o coraz to nowych wyzwalanych francuskich miastach. Teraz już nikt nie wątpił w klęskę Niemców.

Gdybym był pisarzem, próbowałbym odmalować różne nastroje warszawskich ulic. Jak dotąd nie udało mi się znaleźć w przeczytanych powieściach i opowiadaniach udanych opisów. I myślę, że kiedy odchodzą jeden po drugim świadkowie tamtych lat – nigdy już nikt nie potrafi tego dokonać. Zabrakło pisarza o odpowiednio wielkim formacie. Szkoda.

Widziałem ulice Warszawy milczące, zamknięte w sobie, posępne. Wtedy, kiedy likwidowano getto. Ulice przyczajone, sterroryzowane, ale po cichu triumfujące. To było po zabiciu Kutschery. Przepraszam za te literackie porównania, być może niezbyt szczęśliwie dobrane. Ale takie utrwaliły się w mojej pamięci.

W te lipcowe dni 44 roku, kiedy przez miasto ciągnęły ze wschodu na zachód wozy drabiniaste z leżącymi na nich rannymi żołnierzami niemieckimi, ulice Warszawy uległy metamorfozie. Ludzie dobrze pamiętali jadące przed laty w przeciwnym kierunku potężne ciężarówki i siedzących w nich dumnych zdobywców Europy. Warszawiacy nie mogli teraz powstrzymać się od wyrażenia swych uczuć. Gwizdali. Po prostu gwizdali. Ulice rozbrzmiewały nieustannym gwizdem. Ranni żołnierze nie reagowali. Ba, nawet żandarmi patrolujący miasto udawali, że nie słyszą.

Na ulicach pojawiło się coraz więcej młodych ludzi w „oficerkach". (Tak nazywano wysokie buty przedwojennej polskiej kawalerii). I w zwykłych cywilnych marynarkach, ale „ozdobionych" wojskowymi pasami. Ludzie uśmiechali się do nich porozumiewawczo.

Władze okupacyjne ogłosiły przy pomocy plakatów i tzw. szczekaczek, czyli głośników na ulicach i placach, że potrzebują 100 000 ochotników do kopania rowów przeciwczołgowych na Pradze. Nie zgłosił się – jak mi mówiono – nikt. Po raz pierwszy warszawiacy otwarcie sprzeciwili się niemieckiemu rozporządzeniu. Byliśmy ciekawi, jak zareagują władze. Oczekiwaliśmy represji. Nie nastąpiły.

W takiej oto atmosferze nadeszło oczekiwane od lat z takim utęsknieniem Powstanie.

Rozdział VIII

POWSTANIE (I) – KKO

Przystępuję do pisania tego rozdziału pełen obaw. Możliwe, że będzie to najtrudniejsza do zrelacjonowania część wspomnień całego mojego życia. Czy po upływie ponad sześćdziesięciu lat potrafię oddzielić to, co wiedziałem o powstaniu w czasie jego trwania od tego, co słyszałem potem w obozie, po powrocie do Polski i co przeczytałem w różnych monografiach?

Na początku lat osiemdziesiątych zaproponowano mi pisanie w odcinkach wspomnień z mojego życia w tygodniku „Trybuna Wałbrzyska". Propozycję przyjąłem z satysfakcją, ponieważ uważałem, że będzie to okazja do przedstawienia mieszkańcom Wałbrzycha nie tylko wydarzeń historycznych, w których brałem udział, lecz także opowiedzenia o bezpowrotnie minionej przeszłości. A ponadto liczyłem, że będę miał dodatkową możliwość poza okazjonalnymi wywiadami czy felietonami, zaprezentowania swoich poglądów.

Dopóki pisałem w kolejnych odcinkach o dzieciństwie, okupacji, powstaniu, obozie, powrocie do kraju – cenzura nie zgłaszała zastrzeżeń. Kiedy jednak w dziewięćdziesiątym którymś odcinku pozwoliłem sobie na prezentację stosunku znacznej części polskiej inteligencji do nowej władzy – Urząd Kontroli Prasy zabronił publikacji. Przypominam, że były to lata osiemdziesiąte. Opiszę to szczegółowo w odpowiednim miejscu, teraz wspominam o tym tylko dlatego, że teraz, przed rozpoczęciem pisania tego rozdziału, przeczytałem odcinki poświęcone powstaniu. Dowiedziałem się z nich, ku mojemu zaskoczeniu, że do lat osiemdziesiątych świadomie unikałem czytania książek o powstaniu. Uzasadniałem to krótko, że wszelkie opisy (naukowe czy literackie) wydawały mi się blade w porównaniu z własnymi wspomnieniami. Kto wie, może miałem rację? Teraz, przystępując do pisania tego rozdziału, mam pełną świadomość, jak trudne będzie to zadanie. Obiecuję jednak czytelnikowi, że dołożę wszelkich starań, aby wyłuskać swoje autentyczne odczucia z tamtych dni.

Wybuch powstania

Ludność Warszawy przeżywała w tych ostatnich dniach lipca ogromne napięcie, pełne oczekiwania i nadziei. Tę atmosferę czuło się wszędzie: w mieszkaniach, sklepach, tramwajach, na ulicach. Wiadomości przekazywane z ust do ust wzmagały napięcie: Niemcy zarządzili ewakuację swoich urzędniczek, coraz więcej niemieckich transportów wojskowych kieruje się na wschód, widziano czołgi radzieckie na Gocławku, cztery najlepsze dywizje pancerne SS ściągnięto na front. Nie było sposobu, aby oddzielić prawdziwe informacje od zwykłych plotek. I w takiej atmosferze dowództwo AK zarządziło tzw. koncentrację wszystkich oddziałów w Warszawie na wieczór w piątek, 28 lipca. W książkach, które

czytałem w latach dziewięćdziesiątych, spotkałem zamiast „koncentracja" inne określenia: zgrupowanie, pogotowie, alarm.

Nie pamiętam, gdzie zebrał się nasz oddział. Spędziliśmy całą noc w jakimś mieszkaniu w oczekiwaniu na rozkaz ataku. Niestety, na próżno. Rano kazano nam rozejść się do domów. Jakże byliśmy zawiedzeni, więcej – rozgoryczeni. Chcieliśmy walczyć, a zamiast tego znowu kazano nam czekać. Dzisiaj, po lekturze różnych książek wiem, że rozkaz koncentracji był przedwczesny. Został podjęty pochopnie. I był błędem nie tylko z wojskowego punktu widzenia. Ale wtedy czułem po prostu rozczarowanie.

Następną koncentrację wyznaczono na 1 sierpnia rano. Szedłem na nią z mniejszym entuzjazmem. Straciłem wiarę, że tym razem coś z tego wyniknie. Jak się okazało – nie miałem racji.

Nie pamiętam, przy jakiej ulicy miała miejsce ta druga koncentracja, ale na pewno było to w śródmieściu. Po paru godzinach czekania dostaliśmy jakiś posiłek. Gdzieś między trzecią a czwartą po południu otrzymaliśmy rozkazy. Ja miałem iść na róg ulicy Świętokrzyskiej i placu Napoleona. W razie pojawienia się jakiegokolwiek oddziału niemieckiego – natychmiast meldować. Spacerowałem zatem w miarę spokojnie, wytężając wzrok. Akurat w tym miejscu Niemcy mogli pojawić się z wielu kierunków. Widziałem po drugiej stronie placu wartownika przed Główną Pocztą. Naokoło było pełno przechodniów, głównie ludzi starszych. Zastanawiałem się czy dlatego tak mało młodzieży na ulicach, że większość, ukryta w punktach zbornych, oczekuje na wybuch powstania.

Nagle, było to około godziny szesnastej (jak się potem dowiedziałem, ponieważ wówczas nie miałem zegarka) usłyszałem strzały. Ludzie z krzykiem zaczęli uciekać do bram. A ja, co miałem robić? Zejść z posterunku? Zostałem zatem na ulicy, jedynie – jak pamiętam – stanąłem bliżej muru najbliższego domu. I wtedy nagle z różnych bram wybiegli młodzi mężczyźni z biało - czerwonymi opaskami na lewym ramieniu. I na ogół bez broni. W jednej sekundzie zrozumiałem – powstanie się zaczęło. Wyciągnąłem z kieszeni swoją opaskę, aby pokazać, że ja także jestem żołnierzem AK.

Po raz pierwszy w życiu usłyszałem świszczące kule. I to całkiem blisko. Niemcy strzelali wzdłuż opustoszałej ulicy Świętokrzyskiej. Chaotyczna strzelanina potężniała. Postanowiłem wracać do oddziału. Nie miało przecież sensu w tej sytuacji tkwić dalej na punkcie obserwacyjnym. I wtedy zobaczyłem wybiegającego z bramy starszego mężczyznę z biało - czerwoną opaską na ramieniu i pistoletem w dłoni. Zauważyłem, że utyka. (Ciekawe, że nawet w ważnych momentach i to przy zagrożeniu życia, tak drobne szczegóły nie tylko rzucają się w oczy, ale utrwalają w pamięci na dziesiątki lat). Mężczyzna miał na głowie furażerkę z dystynkcjami majora. Na mój widok krzyknął „Chodźcie tutaj!" i zawrócił do bramy. Oczywiście podążyłem za nim. Na podwórku stało mnóstwo ludzi. Major wbiegł na pierwsze piętro, a za nim paru mężczyzn. „Rozwalić drzwi!" – brzmiał następny rozkaz, skierowany do mnie, jedynego poza majorem żołnierza. Nie wiem, skąd wzięła się siekiera, którą mi wręczono. Tutaj mała dygresja: nigdy dotąd nie trzymałem w ręku siekiery, piły czy tasaka. Ojciec w obawie o nasze palce nie pozwalał nam nawet na używanie zwykłego stołowego noża. A teraz na rozkaz miałem rąbać siekierą drzwi. Do dzisiaj nie wiem, jak mi się to udało. Usiłuję wywołać w pamięci obraz samego siebie, jak unoszę ciężką, bądź co bądź, siekierę i uderzam w drzwi. Prawdopodobnie musiałem działać w – jak to się mówi – transie. Kiedy drzwi uległy, major wpadł do mieszkania. Ja za nim. Co zrobiłem z siekierą – nie pamiętam. Przebiegliśmy długi korytarz. Major otworzył jakieś drzwi i znaleźliśmy się w dużym pokoju. Major pokuśtykał do okna, otworzył je i wyjrzał na zewnątrz. Wskazał

na długi kredens, stojący obok okna. „Odsunąć!" – rozkazał. Próbowałem wykonać rozkaz, ale pomimo całego „bojowego" uniesienia, nie starczyło mi sił. Zniecierpliwiony major zaczął mi pomagać i wreszcie udało się poruszyć kredens, aby zwiększyć dostęp do okna. Wówczas major wychylił się i zaczął strzelać w kierunku placu Napoleona.

I tutaj jeszcze jedna dygresja. W czasie przesuwania kredensu otworzyły się drzwiczki i na podłogę zaczęły wypadać porcelanowe naczynia. Prosto pod moje nogi. Musiałem po nich deptać i oto chrzęst kruszonej porcelany dostarczył mi nieznanego dotąd podniecającego uczucia, którego oczywiście wtedy nie miałem czasu analizować. Dopiero po paru godzinach, już w nocy, uświadomiłem sobie, że była to prymitywna radość niszczenia, wynikająca z poczucia siły i władzy. Czy to samo odczuwali barbarzyńcy, obracający w perzynę na przestrzeni tysiącleci miasta, świątynie i pałace?

Kiedy major odsunął się od okna, aby zmienić magazynek, wyjrzałem na ulicę i zobaczyłem leżącego w niewielkiej odległości trupa niemieckiego żołnierza. Czy zabił go major?

Ale znowu usłyszałem rozkaz „Na dół!" i zbiegliśmy na podwórko. Było tam już paru żołnierzy AK, zapewne z oddziału majora. A on napisał coś na kartce, którą dał mi ze słowami: "Zanieś to porucznikowi „Harnasiowi". Powinien być po drugiej stronie ulicy". A potem dodał łagodniejszym tonem: „Tylko uważaj, jest ostrzał".

Na polecenie majora otworzono na oścież bramę. Ktoś krzyknął, aby tak samo zrobić po przeciwległej stronie ulicy. Następnie ludzie zgromadzeni na podwórku rozstąpili się, a ja – widzę to dzisiaj jakby na filmie – wziąłem rozbieg i wypadłem na zewnątrz. Chyba nigdy dotąd w życiu nie biegłem tak szybko. Usłyszałem z niezwykłą wyrazistością terkot karabinu maszynowego i uderzanie kul o asfalt. Zdawało mi się, że to tuż, tuż za moimi piętami. Wpadłem do bramy po drugiej stronie ulicy. Otoczyli mnie ludzie z rozradowanymi twarzami. Zapytałem o porucznika „Harnasia". Był w sąsiednim domu. Przeprowadzono mnie przez jakąś dziurę. Oddałem kartkę od majora. Porucznik przeczytał i powiedział: „Zaraz zaniesiecie odpowiedź". I tak też się stało. Z kolejnym meldunkiem w kieszeni powtórzyłem manewr, tyle że w przeciwną stronę. Rozbieg przez podwórko, pędem przez ulicę i wrażenie, że trzaskające o asfalt kule dotykają niemal moich pięt.

Na rozkaz majora miałem dołączyć do porucznika „Harnasia", któremu brakowało żołnierzy. Chciałbym dodać, że nigdy więcej nie spotkałem tego majora. Nie znałem nawet jego pseudonimu. Pojawił się w moim życiu w przełomowej pierwszej godzinie powstania. I taki pozostanie na zawsze w mojej pamięci. W nocy dowiedziałem się od nowych kolegów paru istotnych rzeczy. Na początku roku 1944 część oddziałów NSZ (Narodowych Sił Zbrojnych) odmówiła podporządkowania się dowództwu Armii Krajowej. I pozostała niezależną formacją. Natomiast inne oddziały weszły w skład AK, z tym że zachowały pewną odrębność organizacyjną. W Warszawie utworzono batalion „Gustaw", złożony właśnie z byłych oddziałów NSZ. W momencie wybuchu powstania niektóre kompanie znalazły się na Starym Mieście razem z dowódcą, majorem „Gustawem", a inne w Śródmieściu - Północ. I dowództwo nad nimi objął porucznik „Harnaś". Tak mi to tłumaczono w tę pierwszą noc. Być może fakty były inne, ale nigdy nie próbowałem dowiedzieć się prawdy. Czy to zresztą miało jakiekolwiek znaczenie? Odcięty od swojego oddziału, wchodzącego w skład batalionu „Kiliński", znalazłem nowych kolegów, z którymi razem walczyłem przez całe powstanie. Kiedyś, bodajże w drugiej połowie sierpnia, idąc na jakąś – tak się to wtedy nazywało – akcję, spotkałem swój oddział. Podbiegłem do dowódcy i zapytałem czy mam się przyłączyć. Odpowiedział, że słyszał, iż zgrupowanie „Harnaś" ma ogromne straty i byłoby nieszlachetnie, gdybym ich teraz opuścił. I tak zostałem wśród

nowych kolegów, najpierw w kompanii „Grażyna", a potem w kompanii „Genowefa", która poniosła wyjątkowo duże straty w kolejnym natarciu. „Harnaś" musiał wzmocnić ją paroma żołnierzami właśnie z „Grażyny".

Moje „akcje bojowe"

Kiedy w grudniu 1945 roku wróciłem do Polski, mnóstwo ludzi przesiedlonych z tzw. kresów opowiadało o swoich ogromnych majątkach, które musieli pozostawić. Złośliwi twierdzili, że gdyby te rzekomo utracone folwarki, pastwiska, lasy i klucze zsumować, to byłyby większe niż cała Polska. Wspominam o tym w związku z opowiadaniami powstańców o ich bojowych sukcesach. Ponieważ AK było po wojnie źle „notowane" przez ówczesne polskie władze (opiszę to później szczegółowo), jedynie przy okazji rozmaitych spotkań towarzyskich mówiło się o swoich powstańczych zwycięstwach. Słuchając tych opowiadań, doszedłem do wniosku, że niemal co drugi warszawiak był bohaterskim powstańcem. I że suma spalonych niemieckich czołgów, zdobytej broni oraz zabitych lub wziętych do niewoli Niemców przez każdego z opowiadających powinna była zapewnić nam nie tylko wyzwolenie Warszawy, ale rozgromienie całej armii niemieckiej.

Z perspektywy paru dziesiątków lat myślę o tych przechwałkach z pewnym pobłażaniem. Ale wtedy w drugiej połowie lat czterdziestych, wspominając moich poległych kolegów, cierpienia ludności cywilnej i zniszczone miasto, czułem przypływ wściekłości i – aby nie zakłócać towarzyskiej atmosfery – przezornie pod byle pretekstem wychodziłem z pokoju.

Piszę o tym, ponieważ moje militarne osiągnięcia były raczej skromne i spróbuję o nich w tym rozdziale w miarę dokładnie opowiedzieć.

Pierwszą udaną akcją bojową, w której wziąłem udział, był atak na Pocztę Główną przy placu Napoleona. Ponieważ nie udało się zdobyć jej od razu w dniu wybuchu powstania, atak zaplanowano na wieczór 2 sierpnia.

Tutaj muszę wspomnieć o jednej ważnej sprawie, mało znanej tym, którzy nie byli naocznymi świadkami tamtych wydarzeń i nie interesują się historią. Uzbrojenie oddziałów powstańczych było wręcz katastrofalne. Większość z nas nie posiadała żadnej broni. W pierwszych dniach powstania zdobyto pewną jej ilość. A potem w miarę jak jedni ginęli, inni „dziedziczyli" ich uzbrojenie. Podstawowym wyposażeniem przy natarciach były granaty, woreczki z dynamitem i butelki z benzyną.

Oczywiście tzw. oddziały szturmowe dysponowały pełnym uzbrojeniem, na ogół jeszcze z partyzantki. To one przy każdym natarciu szły pierwsze i dawały osłonę ogniową. A my często biegliśmy z gołymi rękami, licząc że zdobędziemy upragnioną broń. Według Kirchmayera 1 sierpnia wszystkie oddziały powstańcze miały zaledwie: 1000 karabinów zwykłych, 300 pistoletów maszynowych, 60 rkm, 7 ckm, 35 karabinów przeciwpancernych, 1700 pistoletów ręcznych. Przyjmując, że do walki przystąpiło 36500 żołnierzy, bronią dysponowało najwyżej 7-8%! Było to tylko 40% zmagazynowanej broni, do pozostałych 60% nie udało się dotrzeć.

A każdy żołnierz niemiecki miał własny karabin lub pistolet maszynowy z dostateczną ilością amunicji. Oraz wsparcie artylerii, czołgów i lotnictwa.

Trudno dzisiaj uwierzyć, że pomimo tak przytłaczającej przewagi Niemców, powstańcy zdołali opanować znaczną część Warszawy i stawiać opór przez dwa miesiące.

Po tych paru ogólnych uwagach przejdę do opisu tzw. akcji bojowych, w których brałem udział.

Pierwszą było – jak już wspominałem – natarcie na Pocztę Główną wieczorem 2 sierpnia. Zgrupowanie „Harnaś" atakowało w drugim rzucie, gdyż dysponowaliśmy zbyt małą siłą ogniową. Wdarliśmy się do gmachu poczty od bocznej ulicy. Przebiegaliśmy opustoszałe sale i pokoje w poszukiwaniu broni. Była to bezsensowna brawura. Biegnąc tak bez broni, nie licząc granatu w jednej ręce, mogliśmy zostać zabici bez możliwości obrony. W pomieszczeniach poczty znaleźliśmy trupy Niemców i trochę broni. Chwytaliśmy ją z radością i biegliśmy dalej. Nagle usłyszeliśmy wołanie: „Schodzić na dół!" Kiedy wszystkie oddziały zgromadziły się na podwórku, kazano nam oddać zdobytą broń. Obiecano, że zostanie rozdzielona sprawiedliwie między wszystkie szturmujące oddziały. Uczciwie złożyliśmy na ziemi zdobyte karabiny i pistolety. Nigdy ich już nie zobaczyliśmy. A dlaczego – spróbuję pokrótce wyjaśnić.

Jak już pisałem, zgrupowanie „Harnaś" wyłoniło się z Narodowych Sił Zbrojnych, organizacji wojskowej Stronnictwa Narodowego, czyli dawnej Endecji. A wyższe dowództwo AK składało się z dawnych oficerów sanacyjnych, jednakowo nienawidzących lewicy i prawicy. Jak wiadomo z historii, działacze endeccy dzielili prycze z socjalistami, ludowcami i komunistami w niesławnej pamięci obozie karnym w Berezie Kartuskiej.

Dowództwo AK niestety traktowało oddziały Stronnictwa Narodowego z wyraźną niechęcią. Nie raz byłem tego świadkiem. Nie mogę powstrzymać się w tym miejscu od gorzkiej refleksji. Nawet w sytuacjach śmiertelnego zagrożenia bytu narodowego nie potrafimy wznieść się ponad polityczne podziały. Tak było – jak mniemam – w czasie rozbiorów i kolejnych powstań.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że podobno pocztę miały atakować od frontu oddziały przybyłe tuż przed powstaniem z Puszczy Kampinoskiej. Nikt ich nie powiadomił, że na środku placu Napoleona znajduje się duży basen z wodą. (Niemcy budowali takie baseny w każdym mieście na wypadek pożarów). Pierwsze szeregi biegnących w ciemnościach pod ogniem nieprzyjaciela, powpadały do basenu i wielu partyzantów utonęło. Być może ta wiadomość była zwykłą plotką, ale wówczas wywołała naszą wściekłość na nieudolność dowództwa. Plotek zresztą było więcej. Mówiono, że na dworcu głównym stał transport z działkami przeciwpancernymi (podawano nawet dokładną liczbę – 150), a dowództwo powstania nic nie zrobiło, aby je zdobyć. Inną, wcześniejszą plotką była wiadomość, że Niemcy ściągnęli do obrony Warszawy przed ofensywą – jak się wtedy mówiło – bolszewicką aż cztery dywizje pancerne. „Znano" nawet ich nazwy: „Gross Deutschland", „Das Reich", „Wiking", „Adolf Hitler". Zacznie później dowiedziałem się, że była zaledwie jedna – „Hermann Göring". A plotki o wielkim alianckim desancie powietrznym dla Warszawy powtarzały się regularnie przez cały okres powstania. Krzepiły one serca, zwłaszcza udręczonej ludności cywilnej. Ale my, nawet pomimo młodego wieku, nie dawaliśmy im już wiary.

A oto inne nieudane akcje bojowe, w których brałem udział. Pierwsza miała na celu połączenie z Wolą, odciętą od Śródmieścia. Daty nie pamiętam. Doszliśmy do ulicy Waliców i tam dostaliśmy się pod ogień niemieckich ckmów. Paru z nas wdrapało się na gruzy jakiegoś domu i czekało na rozkaz ataku. A póki co usiedliśmy niefrasobliwie na samym szczycie ruin. Byliśmy oświetleni przez szalejące wokół pożary. Pociski dosłownie gwizdały koło naszych uszu. „Widzę" to jeszcze dzisiaj tak wyraźnie, jakbym oglądał film. Pamiętam, że w tamtych dniach nie myślałem w ogóle o tym, że mogę zginąć. A lęk był uczuciem najzupełniej nieznanym. Przypuszczam, że podobnie było z moimi kolegami.

Po dłuższym oczekiwaniu nadszedł rozkaz odwrotu. Natarcie na innych odcinkach załamało się i nie było szans przebicia się na Wolę. Pamiętam, z jakim uczuciem goryczy wracaliśmy na kwaterę.

Celem drugiego natarcia (kiedy miało miejsce, także nie mogę sobie przypomnieć, ale przypuszczam, że obie daty można będzie znaleźć w szczegółowych monografiach) było połączenie Śródmieścia ze Starym Miastem. Nocą przebiegliśmy przez ulicę Królewską i Ogród Saski. Nie jestem pewien, ale dotarliśmy bodajże do ulicy Długiej. Stare Miasto znajdowało się zaledwie w odległości kilkuset metrów, kiedy nadszedł rozkaz odwrotu. Byliśmy wściekli. Do dzisiaj nie wiem, jaka była przyczyna. Może te ostatnie kilkaset metrów było według rozeznania dowództwa nie do przebycia?

Jedyną „moją" akcją bojową zakończoną sukcesem było zdobycie Komendy Policji przy ulicy Krakowskie Przedmieście 1, a konkretnie karabinu maszynowego w bunkrze od strony ogrodu. A było to tak:

Pierwsze oddziały uderzyły o świcie (i tej ważnej daty nie pamiętam, ale jest z pewnością zapisana w historii powstania). Kanonada rosła z każdą chwilą. Poszczególne oddziały zgodnie z rozkazami ruszały do walki. Przy dowódcy naszej kompanii zostało już tylko parę osób, w tym ja. Po kilku minutach oczekiwania jeden z kolegów nie wytrzymał i zapytał –

- Panie poruczniku, może skoczymy na ochotnika?

Chwila wahania i wreszcie decyzja.

- Dobrze. Kto chce, niech idzie.

Zgłaszam się ja i jeszcze jeden kolega. Biegniemy we trójkę w kierunku największej strzelaniny. Tylko jeden z nas ma pistolet, pozostali po dwa granaty, zatknięte tzw. łyżkami za pas. Dobiegamy do węgła jakiegoś budynku. Za nim widać podwórko, oddzielone siatką od ogrodu. To już tył kościoła Świętego Krzyża i Komendy Policji. (Za dokładność topografii nie odpowiadam). Dostępu broni bunkier. Po krótkiej wymianie zdań wyskakujemy zza bezpiecznego węgła i biegniemy przez podwórko. Po raz pierwszy w życiu krzyczę wraz z kolegami „hurra!" Działa chyba podświadomość. Krzyk dodaje odwagi? Kule świszczą dookoła i nie można się zorientować z której strony. Kto by zresztą w takich chwilach zastanawiał się nad tym? Biegliśmy całkowicie odsłonięci prosto na bunkier. W jaki sposób uniknęliśmy śmierci – do dzisiaj nie rozumiem.

Moi koledzy błyskawicznie wspięli się na siatkę, zeskoczyli i skryli się pod ścianą jednopiętrowej przybudówki do kościoła. (Później dowiedziałem się, że nazywano ją proboszczówką). Ja miałem spore kłopoty, nigdy dotąd w życiu nie wspinałem się po drabinie, siatce czy płocie. Byłem fizycznie słaby i niesprawny. Wreszcie udało mi się „wgramolić" na siatkę, z trudem zeskoczyć i dołączyć do kolegów. Czekając na mnie, wyłamali okienko piwniczne i używając jego ramy jako szczebla, wspięli się do powybijanych okien na parterze. Potem mnie wciągnęli, bo samodzielnie nie potrafiłbym tego dokonać. Całe szczęście, że w budynku nie było już wówczas Niemców, gdyż wystarczyłaby jedna seria lub granat, aby nas zlikwidować. Przez klatkę schodową dostaliśmy się od tyłu do bunkra. Był już pusty. Ale ckm został.

Potem usłyszeliśmy jakiś hałas w piwnicy. Otworzyliśmy drzwi i wypuściliśmy gromadę polskich cywili, przetrzymywanych – jak mówili – od początku powstania.

Już nie pamiętam, w jaki sposób daliśmy znać do kompanii, że proboszczówka jest w naszych rękach. Wynieśliśmy ckm i kiedy szliśmy z nim do dowództwa, napotkaliśmy fotoreportera z prasy powstańczej. Zrobił nam zdjęcie. Ciekawe, co się z nim stało.

Mówiono potem, że mieliśmy zostać odznaczeni Krzyżami Walecznych, ale jakoś nic z tego nie wyszło.

Ostatnim natarciem, w którym brałem udział, była próba zdobycia Uniwersytetu. Jak wiadomo – nieudana. Po paru godzinach walk, przy naszych ogromnych stratach, musieliśmy się wycofać. Przewaga Niemców była przytłaczająca.

Codzienne życie

A jak wyglądał mój powszedni dzień? Co robiłem przez dwa miesiące pomiędzy udanymi lub nieudanymi akcjami, atakami, natarciami? Zarówno mnie samemu jak i moim kolegom najwięcej czasu zajmowały warty na mniej czy więcej wysuniętych posterunkach. Nasza kwatera przez pierwsze dni powstania mieściła się przy ulicy Mazowieckiej 10, potem przy placu Napoleona aż wreszcie zajęliśmy wysuniętą pozycję w budynku KKO na rogu ulic Traugutta i Czackiego. Po przeciwległej stronie Czackiego był Bank Handlowy, obsadzony również przez jakiś oddział powstańczy. Natomiast po drugiej stronie Traugutta był mur, za którym znajdował się ogród i pałac Raczyńskich (dziś mieści się tam Akademia Sztuk Pięknych), zajęte przez Niemców. Tak więc byliśmy na pierwszej linii frontu, oddzieleni od nieprzyjaciela niezbyt szeroką ulicą. Mogliśmy słyszeć rozmowy żołnierzy niemieckich, ukrytych za murem.

Nasza kwatera znajdowała się w obszernych piwnicach budynku KKO, a posterunki były rozmieszczone – o ile pamiętam – w trzech punktach: na I piętrze, przed budynkiem przy barykadzie przedzielającej ulicę Czackiego i przy murze pomiędzy podwórkiem KKO a jakimś ogródkiem na tyłach domów na rogu Traugutta i Krakowskiego Przedmieścia. Za dokładność tego opisu topograficznego nie mogę dzisiaj, po upływie ponad sześćdziesięciu lat, ręczyć. Ponieważ – jak już nieraz powtarzałem – mieliśmy mało broni, na każdym posterunku leżały granaty i karabin, a pełniący wartę żołnierze kolejno je sobie przekazywali. Jakże zazdrościliśmy tym nielicznym z nas, którzy posiadali własną broń.

Poza pełnieniem wart, wyruszaliśmy także na patrole po piwnicach opustoszałych domów oraz ulicach będących pod obstrzałem. Miało to na celu zapobieżenie niespodziewanemu atakowi Niemców.

Często, głównie w nocy, szliśmy do magazynów po zaopatrzenie. Było to głównie cukier oraz ziarno, z którego robiło się pseudokrupnik. Cukier wsypywaliśmy do metalowych skarbonek KKO i jedliśmy między posiłkami. Jeszcze dzisiaj czuję ten mdlący smak. Ileż ostatecznie można zjeść dziennie samego cukru? A ziarno, które dostawaliśmy, nie było łuskane i zupa z niego ugotowana nazywała się „zupką pluj", ponieważ w czasie jedzenia trzeba było ciągle wypluwać ostre łuski. Co pewien czas znajdowaliśmy w zupach kawałki mięsa. Nigdy nie próbowałem dowiedzieć się czy było to mięso psów, kotów, a może nawet szczurów.

Oczywiście mieliśmy także obowiązek sprzątania kwatery i wykonywania różnych doraźnych prac. Ja dodatkowo pełniłem od samego początku funkcję łącznika dowódcy kompanii. Aby unikać ulic będących pod obstrzałem, już w pierwszych dniach powstania poprzebijano przejścia w piwnicach i na parterach domów, a także pod niektórymi ulicami. Powstał istny labirynt, dzięki któremu można było poruszać się w miarę bezpiecznie. Poznałem te przejścia i wielokrotnie przeprowadzałem nimi wyższych dowódców, wizytujących wysunięte placówki. Dlatego szybko postarałem się o niemiecki hełm, aby chronić głowę przed niezbyt przyjemnym kontaktem ze sterczącymi cegłami, wiszącymi przewodami czy dużymi i małymi rurami.

W wolnym czasie prowadziliśmy mniej lub bardziej burzliwe dyskusje. Ja byłem w naszej kompanii bodajże najmłodszy, inni mieli przeważnie więcej o 2-3 lata. Jednak dzięki oczytaniu mogłem dyskutować na wiele tematów: historii Polski, przedwojennych stosunków, literatury, muzyki. Moi koledzy mieli zdecydowanie prawicowe poglądy, ja – wprawdzie niezbyt sprecyzowane – ale raczej nie tyle lewicowe, co lewicujące. Moi koledzy byli mało tolerancyjni, ja przeciwnie, wyniosłem z domu światopogląd otwarty. Oni byli antysemitami, dla mnie taka postawa była wręcz odpychająca. Tak więc zdarzało się, że w czasie zażartych dyskusji niektórzy z nas wychodzili z pomieszczenia, aby nie doprowadzić do ewentualnych rękoczynów.

Tutaj zabawna dygresja. Jak wiadomo, w konspiracji zakazane było używanie nazwisk. Każdy miał pseudonim. Ja, będąc pod wpływem literatury, wybrałem starosłowiańską nazwę hełmu – „Szłom". Koledzy natychmiast z uwagi na mój nos zmienili „Szłom" na „Szloma". Początkowo mnie to drażniło i próbowałem protestować. Bezskutecznie. Potem zauważyłem, że to przekręcanie mojego pseudonimu ma charakter żartobliwy a nie złośliwy. I tak w legitymacji powstańczej oraz innych dokumentach figurował „Szłom", a wśród kolegów przyjął się „Szloma".

Myszkując po gmachu KKO, trafiłem na zakładową bibliotekę. Spragniony książek, wykorzystywałem każdą wolną chwilę na lekturę. Ponieważ w piwnicy było ciemno, podobnie w pomieszczeniach na parterze (okna były zakryte workami z piaskiem), wchodziłem na I piętro i tam spokojnie czytałem. Postanowiłem także wykorzystać na lekturę godziny warty na tym samym piętrze. Siadałem zatem na krześle przy oknie, z którego miałem obserwować ulicę, karabin stawiałem obok i zagłębiałem się w jakże odległy świat książek. Kiedyś dowódca kompanii wszedł do pokoju i zrobił piekielną awanturę.

- Czytanie na warcie? To niedopuszczalne! Macie obserwować ulicę!- krzyczał.

A ja na to ze spokojem.

- Przecież w nocy nie mogę obserwować, bo ciemno. Jeśli wtedy wystarczy mi słuch, to czemu teraz muszę jeszcze patrzeć?

Moja argumentacja nie przekonała dowódcy i kategorycznie zabronił czytania na warcie.

Bodajże w drugim tygodniu powstania znalazłem w jakimś opustoszałym mieszkaniu czyste zeszyty i luźne kartki. Wziąłem je i zacząłem pisać „na gorąco" dziennik. Fragmenty rozmów, refleksje, opis wydarzeń, a przede wszystkim próby uchwycenia jedynej i niepowtarzalnej atmosfery tamtych dni.

Przed wyjściem do niewoli oddałem zeszyty kuzynkom, o których pisałem wcześniej. Zakopały je w specjalnych skrzynkach razem ze swoimi papierami, pomiędzy którymi – jak mi mówiły – znajdowały się także ważne dokumenty. (Kuzynki były oficerami w sztabie pułkownika „Radosława"). Wróciły do Polski dwa czy trzy lata po wojnie. Ich dom był całkowicie spalony. Przy pomocy znajomych dostały się do swojej piwnicy i przekopały ją dokładnie. Niestety, niczego nie znaleziono. Prawdopodobnie jakiś tzw. szabrownik w poszukiwaniu złota wykopał skrzynki. Co zrobił z papierami – nikt się nigdy nie dowie.

Zeszyty oraz różne kartki z notatkami nosiłem w niezapiętej kieszeni munduru. (Ponieważ do powstania poszliśmy na ogół w cywilnych ubraniach, dostaliśmy po paru dniach granatowe mundury policyjne, znalezione w jakimś magazynie). Na jednym z wieczornych apelów w piwnicznym korytarzu sierżant – szef, typowy przedwojenny podoficer, naskoczył na mnie

- Wy, „Szłom", wyglądacie jak cywil!

A ja odpowiedziałem na cały głos.

- Tak jest, panie sierżancie i szczycę się tym!

Myślałem, że wybuchnie. Poczerwieniał na twarzy, zacisnął pięści, ale nie znalazł słowa odpowiedzi. A cała kompania miała rozradowane miny, gdyż sierżant był ogólnie nielubiany. Cały czas próbował zaprowadzić koszarowy dryl na pierwszej linii frontu, co było całkowitą bzdurą. A ja od tamtego wieczoru zyskałem wśród kolegów sympatię i uznanie, ponieważ odważyłem się jawnie przeciwstawić samemu szefowi.

I jeszcze jedna sprawa, warta wspomnienia. W naszej kompanii jeden z podchorążych ku mojemu zaskoczeniu interesował się muzyką. Pewnego dnia przyniósł ze swojego mieszkania gramofon i dwie płyty. Na jednej była uwertura do „Tannhausera" a na drugiej „Nokturny" Debussy´ego. Nie znałem tych dzieł. Kiedy je w mroku piwnicy usłyszałem po raz pierwszy – doznałem wstrząsu. Jednego z największych w moim życiu. Szczególnie zachwyciły mnie zakończenie uwertury i drugi z „Nokturnów" zatytułowany „Święta". Ta muzyka przenosiła mnie w inny świat. Świat bez wojen, zniszczeń, śmierci i nienawiści.

I znowu istotna dygresja. Już od lat osiemdziesiątych zapraszano mnie listownie na coroczne spotkania 1 sierpnia na Powązkach przy kwaterze poległych żołnierzy zgrupowania „Gustaw" – „Harnaś". Gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych zdecydowałem się wreszcie pojechać do Warszawy. Na cmentarzu spotkałem tego „kolegę od płyt". Tylko on jeden wstąpił do Wojska Polskiego i szczęśliwie, pomimo wcześniejszej przynależności do AK i Stronnictwa Narodowego, awansował i doczekał się emerytury w stopniu pułkownika. Kiedy mu przypomniałem o płytach, których słuchaliśmy w piwnicach KKO, był zaskoczony. Zupełnie o tym zapomniał.

Szczęśliwe przypadki

W poprzednim rozdziale opisywałem różne nieprawdopodobne zdarzenia z mojego życia, które można zakwalifikować jako zbieg okoliczności lub cud, jako szczęście lub ingerencję wyższej siły. W zależności od światopoglądu. Podczas powstania takich przypadków było parę i zamierzam je opisać nie tylko jako ciekawostki, ale również jako ważne wydarzenia, które w znacznym stopniu wpłynęły na moją życiową postawę. Pewnego dnia, na początku powstania, siedziałem wraz z kolegami na kwaterze, która mieściła się na I piętrze domu przy ulicy Mazowieckiej. Nagle usłyszeliśmy potężniejące wycie nadlatującego pocisku artyleryjskiego. Skurczyliśmy się w mimowolnym odruchu, kiedy rozległ się potworny łoskot rozwalanego muru. Posypały się resztki szyb i cała kamienica zadygotała. A potem nagła cisza. Czekaliśmy na wybuch. Nic. Bez słowa podbiegliśmy do okna i wyjrzeliśmy na zewnątrz. Zauważyliśmy tuż obok ogromną wyrwę murze. Wpadliśmy do sąsiedniego pokoju. Obok wyrwy na potrzaskanej podłodze leżał wielki, co najmniej półmetrowy pocisk artyleryjski. Tzw. niewypał. Spojrzeliśmy na siebie. Momentalnie pojęliśmy, że mieliśmy niewiarygodne szczęście. Gdyby takiego kalibru pocisk wybuchł, zostalibyśmy rozerwani na strzępy. Jak to się mówi – cudem uniknęliśmy śmierci.

Naturalną reakcją był głośny śmiech, bezładna gadanina i wzajemne klepanie się po plecach. A potem postanowiliśmy znieść niewypał na podwórze. W całości, razem z zapalnikiem. Najsilniejszy z nas niósł pocisk przed sobą, a pozostali dwaj podtrzymywali jego łokcie. I tak schodziliśmy powoli krok po kroku, stopień po stopniu z I piętra na podwórze. Była to bezsensowna brawura. Nierozbrojony pocisk mógł eksplodować w każdym momencie.

Położyliśmy pocisk na ziemi. Ktoś dostarczył nam łopatę i wykopaliśmy dół. Następnie zsunęliśmy do niego pocisk i przysypaliśmy ziemią. Była to kolejna głupota. Ledwo, ledwo przysypany pocisk mógł przecież wybuchnąć przy jakimkolwiek mocniejszym wstrząsie.

Następny niezwykły przypadek wydarzył się parę dni później, również na ulicy Mazowieckiej. Byłem na posterunku w jakimś frontowym pokoju na I piętrze. Co pewien czas wyglądałem przez okno, aby obserwować barykadę oddzielającą ulicę od placu Dąbrowskiego. W razie jakiegoś ataku miałem zaalarmować oddział rozlokowany z tyłu budynku. W pewnym momencie usłyszałem warkot silnika. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem na placu czołg. Zmierzał w stronę potężnej barykady zbudowanej z płyt chodnikowych i kamieni brukowych. Zatrzymał się przed nią. Lufa działa uniosła się zwolna i nagle spostrzegłem, że kieruje się… w stronę okna, w którym stałem. Może Niemiec w wieżyczce zobaczył postać z karabinem, w hełmie i z biało - czerwoną opaską na rękawie? A może po prostu to otwarte okno wybrał jako cel? Tak czy owak z odległości kilkudziesięciu metrów zobaczyłem czarny, groźny wylot lufy. Ten widok wielokrotnie wykorzystywali twórcy tzw. wojennych filmów. Zorientowałem się, że za chwilę padnie strzał, ale zamiast położyć się na podłodze lub ukryć się w kącie pokoju, ja odskoczyłem tylko od okna i zakryłem uszy dłońmi. Odruch muzyka?

Padł strzał. Pocisk trafił w okno, przy którym przed chwilą stałem, i przeleciał dosłownie nad moją głową. Wyrwał drzwi z futryną i eksplodował w dalszej części mieszkania. Dlaczego wyszedłem bez szwanku – nie wiem do dzisiaj.

A oto inny przypadek. Stałem na posterunku za murem okalającym podwórze jakiegoś spalonego domu. W pewnej chwili wezwano mnie do dowódcy kompanii, abym przeprowadził przez labirynt piwnicznych przejść wysłannika zarządu Stronnictwa Narodowego lustrującego nasz odcinek. Po wykonaniu zadania wróciłem do oddziału, chcąc objąć z powrotem posterunek. Właśnie wynoszono trupa kolegi, który mnie zastąpił. Trafiła go kula niemieckiego snajpera, która przebiła spalony mur. A zginął dokładnie w tym samym miejscu, w którym ja stałem o pół godziny wcześniej. Można byłoby użyć stwierdzenia, że zginął „za mnie".

Pod koniec sierpnia (dokładnej daty nie pamiętam) stałem na innym posterunku, tym razem na tyłach ulicy Czackiego. W murze zostały wycięte czy wybite cegły, aby przez otwór można było obserwować tzw. przedpole. Siedziałem z karabinem na krześle, co pewien czas wstając i podchodząc do otworu. Ponieważ było bardzo ciepło, zdjąłem mundurową marynarkę i powiesiłem na oparciu krzesła. Kiedy kolejny raz podszedłem do otworu usłyszałem odgłos wystrzału, zaraz potem trzask i uderzenie w szyję. Poczułem gorąco i zdawało mi się, że szyja puchnie. Kiedy dotknąłem rany dłonią, poczułem płynącą krew. W panice rzuciłem karabin i zacząłem odpinać rzemyk hełmu. Zreflektowałem się jednak szybko i podniosłem karabin. Dopiero potem parokrotnie krzyknąłem w kierunku kwatery: „Jestem ranny". Nadbiegli koledzy i zaprowadzili mnie na punkt opatrunkowy. Lekarz opatrzył ranę i powiedział z wyrazem zdziwienia na twarzy: „Miał pan niewiarygodne szczęście. Sądząc po ranie, kula uderzyła w cegłę i trafiła pana rykoszetem. Gdyby jednak o centymetr do przodu, trafiłaby w tchawicę. Śmierć raczej pewna. Gdyby o centymetr do tyłu, przebiłaby tętnicę. Wykrwawiłby się pan na śmierć". Istotnie, kula o zmniejszonym przez rykoszet impecie, utkwiła płytko pomiędzy tchawicą a tętnicą.

Po opatrunku wróciłem do oddziału. Wynoszono właśnie trupa kolegi, który objął mój posterunek. Dokładnie w to samo miejsce parę minut później uderzył pocisk z granatnika. Zabił mojego kolegę i roztrzaskał krzesło z moją marynarką. Nic z niej nie zostało. Tak więc nawet zranienie uratowało mi życie.

Różne inne wydarzenia

Odtwarzanie w pamięci wydarzeń sprzed sześćdziesięciu lat, nawet przy pomocy publikowanych w latach osiemdziesiątych odcinków w gazecie, nastręcza szereg problemów. O niektórych już wspomniałem. Czy dany fakt miał naprawdę miejsce w takim właśnie kształcie, jaki teraz przedstawiam? Czy w miarę wiernie przekazuję swoje ówczesne wrażenia? A przede wszystkim czy opisywane wydarzenia następowały po sobie w takiej kolejności? Z pamięci wyłaniają się luźne, choć czasem bardzo wyraźne obrazy. Nieuporządkowane chronologicznie. Co było wcześniej, a co później? Czy opisywane rozmowy tak rzeczywiście brzmiały? Czy takie padały słowa, zdania, sformułowania? I wreszcie podstawowa wątpliwość: czy moje przeżycia z tamtych dni warte są w ogóle tak szczegółowego utrwalenia? Może są ważne jedynie dla mnie, a ewentualnego przyszłego czytelnika tylko znudzą? Może uzna je za banalne i mało ciekawe? Przy tylu wątpliwościach zastanawiam się czy warto poświęcać czas na pisanie tych powstańczych wspomnień. I zaraz łapię się na myśli, że ten ewentualny przyszły czytelnik może się zniecierpliwić moim „hamletowaniem" i krzyknąć: „Dość tych jałowych roztrząsań! Albo pisz, albo przerwij i przestań mi zawracać głowę!"

Podejmuję zatem decyzję kontynuowania. Ostatecznie, jeżeli te wspomnienia znajdą kiedyś wydawcę i ujrzą światło dzienne, nikt nikogo nie będzie zmuszał do ich czytania.

W czasie powstania byłem uczestnikiem bądź świadkiem różnych wydarzeń, które chciałbym teraz opisać. Zacznę od tego, które było zarówno bardzo poważne jak i bardzo zabawne. Dowódca kompanii, której byłem żołnierzem, zginął w pierwszych dniach sierpnia. Jego następcą został podporucznik „Marcin". Był to mężczyzna w średnim wieku, spokojny i małomówny. Mnie wydawał się nudnym starym dziadem. I w dodatku tchórzliwym. Ppor. „Marcin" uważając widocznie, że nasza (i jego) kompania ma zbyt duże straty, starał się, abyśmy do natarcia szli jako osłona. Uzasadniał to wobec młodych podchorążych, dowódców plutonów naszym słabym uzbrojeniem. Uważaliśmy to za krzywdzące, ale musieliśmy słuchać rozkazów. W którymś natarciu, idąc w tzw. drugim rzucie, napotkaliśmy niespodziewanie na silny ogień niemieckich ckmów. Dowódca plutonu wysłał mnie do ppor. „Marcina" z prośbą o wsparcie. Odczołgałem się do tyłu i pobiegłem do miejsca ustalonego przed natarciem jako punkt dowodzenia. Jednak nie zastałem tam ppor. „Marcina". Po gorączkowych poszukiwaniach znalazłem go wreszcie w piwnicy z sanitariuszkami. Pamiętam, że ogarnęła mnie wściekłość, którą wzmogła jeszcze odpowiedź dowódcy na mój meldunek o zaistniałej sytuacji. Ppor. „Marcin" ze spokojem oświadczył, że nie może nam pomóc, gdyż stracił łączność nie tylko z dowództwem natarcia, lecz także z własnymi plutonami. Nic dziwnego, że stracił łączność, skoro schronił się do piwnicy. Wreszcie po dłuższym zastanowieniu, nakazał odwrót. Z furią przekazałem ten rozkaz dowódcy plutonu. Wycofaliśmy się z dużymi stratami. Podobnie było z pozostałymi plutonami.

Następnego dnia żołnierze szemrali. Ppor. „Marcina" nazwano tchórzem i zastanawiano się, co zrobić, aby pozbyć się takiego dowódcy. Dwóch podchorążych poprosiło mnie (do dzisiaj nie wiem, dlaczego akurat mnie, najmłodszego i w dodatku tylko szeregowca) na spotkanie w końcu piwnicznego korytarza. Tam po krótkiej wymianie poglądów doszliśmy do wniosku, że należy w czasie najbliższego natarcia ppor. „Marcina" po prostu zastrzelić. Trudno mi dzisiaj uwierzyć, że mogliśmy wpaść na podobnie głupi pomysł. Uzurpowaliśmy sobie prawo decydowania o czyimś życiu. Myślę zresztą, że nigdy byśmy się na coś takiego

nie zdobyli. Co innego słowne pogróżki, a co innego decyzja z zabiciu człowieka. Niestety naszą rozmowę podsłuchał sierżant - szef. Natychmiast – i nie należy się temu dziwić – doniósł ppor. „Marcinowi". Ten z kolei zawiadomił dowództwo zgrupowania. Sprawa przybrała groźny obrót. Nawet żarty na temat ewentualnego zgładzenia dowódcy mogły się dla nas źle skończyć. Na szczęście dowódca zgrupowania, sam zresztą znany z odwagi, odmówił oddania sprawy w ręce żandarmerii. Rozkazał, aby obu moich kolegów jako starszych stopniem i wiekiem zamknąć w areszcie w obrębie naszej kwatery. Okazało się, że jedynym wolnym pomieszczeniem była… ubikacja! Zaprowadzono tam aresztantów, a przed otwartymi drzwiami stanął wartownik. Kiedy ktoś musiał z tej jedynej na kwaterze ubikacji korzystać, obaj aresztowani wychodzili na korytarz. Mnie pozostawiono na wolności. Prawdopodobnie dlatego, że dla trzeciej osoby nie było w ubikacji miejsca. Zapewniam, że nie konfabuluję i że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Choć przypominało farsę. Nie muszę oczywiście dodawać, że cieszyliśmy się ogólną sympatią i poparciem.

Tymczasem nadszedł dzień natarcia na uniwersytet. Myślę, że była to ostatnia duża akcja powstańcza w Śródmieściu - Północ. Obu aresztowanym zwrócono broń i ruszyli do ataku na czele swoich plutonów. Po paru godzinach walki, musieliśmy się wycofać, przewaga Niemców była miażdżąca. Ponieśliśmy znaczne straty. Zginęło wielu kolegów, jeszcze więcej było rannych.

Po nieudanej akcji nikt nie wniósł oskarżenia. Cała sprawa wydawała się teraz mało ważna i uznano ja za niebyłą.

Chciałbym teraz opisać dwa wydarzenia, które miały miejsce wcześniej, ilustrujące ówczesna atmosferę. Oraz pewną cechę mojego charakteru. Mam na myśli wstręt do jakiejkolwiek formy przemocy.

Barykada oddzielająca ulicę Czackiego od Traugutta, o której już pisałem, była zbudowana przeważnie z dużych płyt chodnikowych. Została poważnie nadwątlona przez pociski artyleryjskie i wymagała uzupełnienia. Nasz dowódca powiadomił o tym odpowiednie służby i pewnego dnia powstańczy żandarm przyprowadził dwóch wynędzniałych Volksdeutschów, aby dokonali naprawy. Kiedy wciągali ciężkie płyty chodnikowe na szczyt barykady, zauważyli to snajperzy z pałacu Raczyńskich i zaczęli strzelać. Volksdeutsche przerwali pracę. Żandarm wrzasnął na nich i zaczął okładać pałką gumową zrobiona z kabla. Volksdeutsche podjęli wciąganie płyt, ale starali się jak najmniej wystawiać na kule, co opóźniało pracę. Rozwścieczony żandarm co pewien czas bił ich kablem, usiłując zmusić do większego wysiłku. Stałem obok na posterunku i w pewnym momencie nie wytrzymałem.

- Dlaczego ich bijesz? – zapytałem, hamując złość. Żandarm spojrzał na mnie zdumiony.

- Czego się czepiasz, przecież to Volksdeutsche.

- No to co? Widzisz przecież, że są słabi i boją się kul.

Widziałem, że był coraz bardziej zdziwiony, nie powiedział jednak ani słowa. I co najważniejsze – przestał bić więźniów.

Podobne zdarzenie miało miejsce później, w czasie natarcia na kościół Świętego Krzyża, o którym już pisałem. Kiedy wraz z kolegami niosłem zdobyczny ckm, akurat prowadzono pod strażą paru wziętych do niewoli żołnierzy niemieckich. Szli z podniesionymi rękami, czarni od dymu i kurzu, niektórzy zakrwawieni. Ktoś z boku rzucił w nich kamieniem

- Nie wolno bić jeńców! – krzyknąłem.

- To Szkopy – brzmiała odpowiedź.

Wrzasnąłem z wściekłością.

- Nie widzisz, że mają podniesione ręce? Że są bezbronni?

I dodałem pogardliwie.

- Bohater!

Nie wiem, czym skończyłaby się ta wymiana zdań, gdyby nie świszczące wokół kule, no i fakt, że niosłem z dwoma kolegami zdobyty ckm.

Oba zdarzenia mógłbym szeroko komentować, ponieważ dotyczą elementarnych ludzkich postaw. Zostawię to jednak na zakończenie tej autobiografii, kiedy będę próbował zaprezentować mój światopogląd i podsumować drogę, którą do niego doszedłem oraz zanalizować wpływy, które go ukształtowały.

Upadek KKO

Jak wiadomo z historii, w ostatnich dniach sierpnia padło Stare Miasto. Według zgodnych opinii, obrona „Starówki" była najbardziej bohaterską kartą powstania. Ocaleli obrońcy przeszli do Śródmieścia - Północ kanałami. Przy włazie na ulicy Wareckiej odbieraliśmy – jak to się wtedy mówiło – naszych kolegów. Wychodzili z kanału zmęczeni, przemoczeni, oblepieni szlamem, często w zakrwawionych bandażach. Ale wszyscy nieśli uratowaną broń. Od razu kierowano ich na kwatery, które przeważnie znajdowały się na pierwszej linii frontu. Tak było np. z żołnierzami batalionu „Gustaw", którzy wzmocnili nasz odcinek. O ile pamiętam, kompania harcerska, która składała się już tylko z kilkunastu chłopców, obsadziła kościół Świętego Krzyża. „Moja" kompania nadal zajmowała gmach KKO na rogu Czackiego i Traugutta, pomimo że również liczyła zaledwie kilkunastu żołnierzy, w większości – podobnie jak ja – rannych.

W pierwszym tygodniu września padło Powiśle i cała niemiecka siła uderzeniowa w tym rejonie skierowała się na Śródmieście - Północ. Wzmógł się ostrzał artyleryjski i zwiększyła ilość nalotów. Nie pamiętam, jaki to był dzień, kiedy usłyszeliśmy wycie silnika nurkującego (jak się wtedy mówiło – pikującego) samolotu, a zaraz potem przerażający huk. Zatrzęsła się ziemia i piwnicę, w której się znajdowałem, wypełnił dym i pył. A do moich uszu dobiegł łoskot walących się murów. Domyśliłem się, że nasz budynek został trafiony bombą.

Kiedy tylko kurz nieco opadł, zorientowałem się, że piwnica pozostała nienaruszona. Nikomu nic się nie stało. Ale co z kolegami, którzy byli na posterunkach, rozmieszczonych na I piętrze? Bez rozkazu pobiegliśmy w stronę schodów. Były częściowo zasypane, ale jakoś udało nam się wydostać na podwórze. Zobaczyliśmy wówczas, że gmach KKO zamienił się w ruinę. Gdzieniegdzie z góry cegieł, belek, potrzaskanych mebli sterczały kawałki ścian. Z zewnętrznych murów pozostały fragmenty sięgające zaledwie I piętra. Zbiegliśmy znowu na dół po schodach, aby zbadać pozostałe części rozległych piwnic. Były częściowo zasypane, ale my szukaliśmy nadal naszych dwóch – jak się okazało – kolegów. Ciało jednego znaleźliśmy w jakimś oddalonym miejscu. Był martwy i prawie cały zmiażdżony gruzem. I wtedy niespodziewanie usłyszeliśmy nad naszymi głowami wołanie. Był to głos drugiego kolegi. Uratował się w niewiarygodny sposób. Kiedy bomba wybuchła, zawaliło się drugie piętro, ale dziwnym trafem właśnie nad nim skrzyżowały się dwie belki stropowe. Gdybym nie był bezpośrednim świadkiem tego wydarzenia, nigdy bym nie uwierzył, że to możliwe. Kolega zsunął się razem z gruzem na wysokość parteru, a nad nim znajdowały się całe zwalone piętra, podtrzymywane jedynie przez dwie skrzyżowane belki. Kolega siedział na swoim krześle, przysypany do pasa gruzem, bez możliwości ruchu. Potem opowiadał,

że sam się dziwił, w jaki sposób mógł przeżyć taki wypadek. Kiedy usłyszał nasze głosy, uwierzył, że uda mu się wyjść żywym.

Aby nie naruszyć całej tej „konstrukcji", wygrzebywaliśmy „spod kolegi" gruz gołymi rękami. Delikatnie wybieraliśmy kawałki cegieł i desek. Nie wiem, jak długo trwała ta praca. Minuty, kwadranse, godziny? Wreszcie dotarliśmy do dołu krzesła, na którym siedział zasypany kolega. Zsunął się powoli razem z gruzem na nasze ręce. Nie tylko cudem ocalał, ale nie był nawet ranny. Miał tylko liczne zadrapania i obtłuczenia. A my dopiero później zdaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na które wszyscy byliśmy narażeni. Przecież w każdej chwili mogliśmy zostać zasypani, gdyby nasza akcja ratunkowa naruszyła przypadkowy, a szczęśliwy dla kolegi, układ belek.

Dzień lub dwa później Niemcy zaatakowali ponownie nasz zburzony dom. A może należało raczej napisać: nasze ruiny. Ponieważ nie istniały już piętra, dowódca przeniósł posterunek na schody, prowadzące z piwnicy na zasypany parter. Jedyną osłoną dla wartownika był teraz ocalały załom muru i parę worków z potłuczonymi cegłami (piasku już nie mieliśmy). No, ale posterunek musiał być, aby Niemcy po przejściu góry gruzów, nie zaskoczyli nas od tyłu i nie „wykończyli" przy pomocy paru wrzuconych do piwnicy granatów. Wartownik jednak ze swojego miejsca nie mógł widzieć ulicy Traugutta. I dlatego pewnego dnia tzw. Goliat podjechał niepostrzeżenie do narożnika naszego domu i tam eksplodował. I znowu usłyszeliśmy huk, posypał się tynk a nad stropem piwnicy obsunęły się z trzaskiem gruzy, grożąc zawaleniem. Wybiegliśmy na ulicę i zobaczyliśmy, że wybuch naruszył w znacznym stopniu narożnik domu i przede wszystkim przylegającą do niego część barykady. W razie natarcia Niemcy mogli teraz z łatwością dostać się na ulicę Czackiego. Stwarzało to poważne niebezpieczeństwo. Z naszym słabym uzbrojeniem (ja miałem np. tylko zwykły pistolet Walter, jeden zapasowy magazynek i dwa czy trzy granaty) nie mieliśmy żadnych szans.

Zanim przejdę do relacjonowania dalszych wydarzeń, krótkie wyjaśnienie dla niezorientowanego czytelnika. „Goliat" był to malutki pojazd gąsienicowy, wypełniony materiałem wybuchowym i sterowany zdalnie przewodem elektrycznym. Wprowadzony do walk w Związku Radzieckim już przed dwoma laty służył Niemcom głównie do forsowania zapór minowych. W powstaniu był użyteczny przy niszczeniu barykad i innych doraźnych umocnień.

Te dwa ostatnie ataki na naszą pozycję oraz coraz silniejszy ostrzał artyleryjski dowodziły, że Niemcy przygotowywali się do jakiegoś zmasowanego natarcia. Padło już Powiśle i przyszła kolej na Śródmieście - Północ. Po drugiej stronie ulicy Czackiego był budynek Banku Handlowego, zajęty przez inny oddział. Pewnego dnia jego dowódca powiadomił naszego, że otrzymał rozkaz wycofania się. W tej sytuacji traciliśmy osłonę z lewej strony. Z prawej w częściowo zburzonym kościele Świętego Krzyża osłaniało nas zaledwie pięciu chłopców z kompanii harcerskiej. A nas było niewiele więcej – zaledwie kilkunastu.

Nasz dowódca zameldował o tym komendantowi dzielnicy Śródmieście - Północ, płk. „Radwanowi". Ten zjawił się u nas osobiście. Obejrzał ruiny naszego domu, zlustrował resztki naszej kompanii i oświadczył.

- Macie pozostać.

Był to wyrok śmierci na nas oraz harcerzy, również należących do batalionu „Gustaw". Pisałem już o niechętnym stosunku oficerów sanacyjnych do Stronnictwa Narodowego. Nigdy niestety nie dowiem się czy decyzja płk. „Radwana" podyktowana została złą wolą czy zwykłą głupotą. W tej sytuacji nasz dowódca udał się do szefa warszawskiego

okręgu Stronnictwa. Ten natychmiast przyszedł, obejrzał wszystko dokładnie i bez wahania powiedział.

- Nie dacie rady. Idę do „Montera".

(Pułkownik, a następnie generał „Monter" był dowódcą warszawskiego AK)

W nocy istotnie pojawił się „Monter" w asyście adiutanta. Zlustrował cały odcinek i wydał rozkaz.

- Wycofać się przed świtem.

Po raz pierwszy wtedy zrozumiałem, czym dla każdego chyba żołnierza jest odwrót. To konieczność opuszczenia miejsca, które bronił, miejsca, w którym zginęli jego koledzy. Przygnębiające uczucie. A kiedy w ciszy zbieraliśmy nasze rzeczy, słyszeliśmy po drugiej stronie ulicy Traugutta rozkazy, szczęk broni, tupot nóg. Z daleko dochodził warkot czołgów. Nie mieliśmy wątpliwości, Niemcy przygotowywali się do natarcia o świcie.

Około godziny czwartej rano opuściliśmy KKO. Najpierw piwnicami najbliższych domów. W świetle latarek widziałem wynędzniałe twarze kobiet i dzieci. Potem wyszliśmy na ulicę Czackiego. Domy płonęły po obu stronach. Nie mogłem się powstrzymać od spojrzenia do tyłu. Po raz ostatni w ogniu pożarów widziałem naszą barykadę. Kiedy teraz zamknę oczy, widzę ją nadal.

Gdy przeskoczyliśmy ulicę Świętokrzyską, zatrzymał nas posterunek powstańczej żandarmerii. Ich dowódca nie chciał nas przepuścić. Wrzeszczał, że jesteśmy dezerterami i należy nas od razu, tutaj na miejscu, rozstrzelać. Zastępca naszego dowódcy (gdzie był dowódca – nie wiem), młody podporucznik, który nas prowadził, tłumaczył, że wycofujemy się na osobisty rozkaz płk. „Montera". Żandarm nie wierzył i wysłał łącznika do dowództwa okręgu. A my czekaliśmy w bezsilnej złości. W dodatku żandarmi zatrzymali nas na odkrytej przestrzeni i nie pozwolili przekroczyć przejścia, którego strzegli i schronić się, jak oni, za murem. W międzyczasie robiło się coraz jaśniej i lada moment mógł się rozpocząć ostrzał artyleryjski.

Wrócił wreszcie łącznik i potwierdził: nasza kompania ma rozkaz opuścić KKO, udać się do Śródmieścia - Południe i objąć nową placówkę w Instytucie Głuchoniemych przy placu Trzech Krzyży.

Następny problem wyłonił się przy podziemnym przejściu pod alejami Jerozolimskimi. Stojący tam powstańczy żandarmi nie chcieli nas przepuścić z bronią. Twierdzili, że taki mają rozkaz, bo broń jest potrzebna do obrony dzielnicy Śródmieście - Północ. Wpadliśmy zatem na pomysł, aby ukryć broń pod najciężej rannym, którego mieliśmy na noszach. Ranny kolega był przykryty kocem, a w dodatku przywiązany pasami, aby nie spadł w czasie transportu. Tak więc „przemycana" broń była nie do zauważenia. Żandarmom oddaliśmy – jak pamiętam – jakiś stary pistolet, granaty i zupełnie zbędną rakietnicę. I tak wreszcie znaleźliśmy się po drugiej stronie alei Jerozolimskich, a ja rozpocząłem drugi i zarazem ostatni rozdział mojej powstaniowej historii.

Jak się później dowiedzieliśmy, o godzinie piątej rano Niemcy uderzyli na nasz opuszczony odcinek.

Rozdział IX

POWSTANIE (II). INSTYTUT GŁUCHONIEMYCH

Wnikliwy czytelnik zauważył zapewne, że w moich wspomnieniach o powstaniu brakuje dokładnych dat. Niestety, pomimo wytężania pamięci, od kilkudziesięciu lat nie mogę sobie przypomnieć ani jednej. Nie pamiętam nawet, którego dnia zostałem ranny. Jest to o tyle interesujące zjawisko, że mogę precyzyjnie, niemal co do słowa, odtworzyć rozmowy. Tak samo mogę opisać wygląd ulic, budynków, mieszkań, piwnic. Przebieg niektórych zdarzeń także dokładnie odcisnął się w mojej pamięci. A daty zniknęły… Dlaczego? Jedynym wytłumaczeniem może być nasza ówczesna sytuacja. W normalnym życiu opieramy się na kalendarzu. Oczekujemy niedziel, świąt, urlopów, wypłat itd. W czasie powstania na nic nie czekaliśmy. Gdyby np. było wiadomo, że desant aliancki nastąpi 1 września, liczylibyśmy poprzedzające go dni. Wówczas każde wydarzenie związane byłoby z konkretną datą. Mówilibyśmy: „To a to miało miejsce na 10 dni przed desantem". I moglibyśmy bez trudu ustalić datę. Niestety – powtarzam – w sytuacji powstania na nic nie czekaliśmy. Po prostu walczyliśmy dzień po dniu. Sądzę, że jest to jedyne racjonalne wytłumaczenie.

Czy jednak brak dat w moich wspomnieniach jest aż tak ważny? Czy ustalenie, w którym dokładnie dniu zostałem ranny ma istotne znaczenie? Różnica paru dni nie miałaby przecież wpływu na sam fakt i jego konsekwencje. Podobnie z innymi datami. W pierwszych dniach września opuściliśmy KKO. Wiem z całą pewnością, że było to po upadku Powiśla. A ustalenie dzisiaj dokładnego dnia nie ma – moim zdaniem – żadnego znaczenia dla tych wspomnień. Jedyną datą, którą pamiętam z całą wyrazistością, był 5 października. W tym bowiem dniu, zamykającym jeden z najważniejszych rozdziałów mojego życia, opuściliśmy Warszawę po kapitulacji.

W nowym miejscu

Instytut Głuchoniemych był dużym budynkiem, położonym w ogrodzie, który łagodnie opadał w stronę znajdującego się poniżej Czerniakowa. Budynek zachował się w dobrym stanie, ponieważ nigdy nie znajdował się na pierwszej linii frontu. Ta przebiegała nieco dalej, wzdłuż ulicy Frascati. W dniu przybycia resztek naszej kompanii do Instytutu, kwaterowały tam już dwa inne oddziały, które również poniosły w walkach duże straty. Jeden był AK-owski, a drugi AL-owski. Tak więc przypadkowo spotkały się trzy formacje o różnym „rodowodzie ideologicznym". Zapewniam, że nie przeszkodziło to w zgodnym pełnieniu służby i poczuciu koleżeńskiej więzi. Niezależnie od zaciekłych dyskusji.

W oddziale AL przebywał radziecki oficer, tzw. zrzutek. Po raz pierwszy wtedy spotkałem obywatela kraju, którym straszono nasze społeczeństwo przez całe dwudziestolecie. I ten „egzotyczny" obywatel okazał się zupełnie normalnym człowiekiem, co – przyznaję –

wywołało moje, a także moich kolegów, zdziwienie. A ponieważ oddział AL dysponował radziecką rusznicą przeciwpancerną, oficer uczył nas, jak się nią posługiwać.

Domyślałem się, że AL-owcy mają radiowy kontakt z armią radziecką, ponieważ co pewien czas powiadamiali nas o przewidywanym nocnym zrzucie. I rzeczywiście, mniej więcej o oznaczonej porze słyszeliśmy warkot samolotu, który nazywaliśmy „terkotką". Leciał stosunkowo nisko i nad ogrodem zrzucał parę worków i skrzyń… bez spadochronów. Oczywiście zawartość rozsypywała się na wszystkie strony. Pamiętam, jak w nocnych ciemnościach szukaliśmy pod drzewami, krzakami i w trawie nabojów do radzieckich pistoletów maszynowych, którymi dysponowali AL-owcy. Zrzucana broń przeważnie ulegała zniszczeniu, co nas wszystkich złościło. Raz zrzucono także worek kaszy jaglanej. Worek wprawdzie pękł, ale część kaszy udało się uratować, co wzbogaciło nasze, jakże skromne menu. A jedzenia z dnia na dzień było coraz mniej. Pogarszała się również sytuacja militarna.

A skoro już piszę o zrzutach, to nie mogę nie wspomnieć o zupełnie absurdalnej akcji alianckiego lotnictwa. Odbyła się w dzień. Na niebie pojawiły się dziesiątki samolotów, które zrzuciły na kolorowych spadochronach pojemniki z zaopatrzeniem. Widok był naprawdę piękny. Cóż z tego? Na naszych oczach silny wiatr zwiewał spadochrony na niemieckie pozycje. Mogliśmy tylko patrzeć w bezsilnej złości. Czy służby meteorologiczne alianckiego dowództwa nie mogły przewidzieć siły wiatru i obliczyć właściwego kąta spadania? W ten sposób większość tak cennego zrzutu dostała się w ręce Niemców.

Kiedy przyszliśmy do Śródmieścia - Południe, było tutaj stosunkowo spokojnie. Ostrzał artyleryjski w porównaniu ze Śródmieściem - Północ wydawał się słaby. Ale już po paru dniach znacznie się wzmógł, co zapewne miało związek z walkami na Czerniakowie. Niemcy – jak przypuszczałem – chcieli uniemożliwić powstańcom ze Śródmieścia wsparcie obrońców Czerniakowa. Szczególnie groźne były pociski z miotaczy min, które nazywaliśmy „krowami" lub „szafami", ponieważ przy wylatywaniu z luf wydawały dźwięki przypominające porykiwanie krów lub skrzypienie przesuwanej ciężkiej szafy. Te dźwięki na szczęście stanowiły pewne ostrzeżenie i pozwalały ludziom na ulicach kryć się po bramach. Ale pociski powodowały ogromne zniszczenia.

Zaczynałem rozumieć niemiecką strategię. Na początku sierpnia, z uwagi na toczące się walki z Armią Czerwoną, najważniejsze było utrzymanie dróg przelotowych. Po zatrzymaniu ofensywy radzieckiej Niemcy rozpoczęli likwidację kolejnych warszawskich dzielnic. Generał von dem Bach dysponował jednak ograniczonymi siłami, ponieważ większość dywizji znajdowała się na wschodnim brzegu Wisły. Kiedy jednak wojska radzieckie zajęły Pragę i okolice, wycofane niemieckie dywizje można było wykorzystać do szybkiego zdławienia powstania. Padały kolejno Czerniaków, Mokotów, Żoliborz. Pozostało już tylko Śródmieście. Ponieważ Niemcy ponosili duże straty w czasie zdobywania poszczególnych dzielnic, woleli – jak przypuszczam – złamać morale jego obrońców przy pomocy systematycznego ostrzału artyleryjskiego i bombardowania. I w ten sposób zmusić do kapitulacji. Ale na razie trwaliśmy na naszych pozycjach, chociaż działania bojowe ograniczyły się do sporadycznej wymiany ognia i potyczek patroli. Pewnej nocy zostaliśmy zaalarmowani i zajęliśmy pozycje w ogrodzie. Niemcy atakowali od ulicy Książęcej. Zostali jednak odparci i było to chyba ostatnie niemieckie natarcie. My ze swej strony byliśmy zbyt słabi, aby próbować odebrać im choćby jedną ulicę.

Przerwę teraz te wspomnienia dotyczące losów powstania, aby opisać pewne drobne, ale – jak sądzę – ważne ze względów całkiem osobistych, epizody.

Rodzina jednej z łączniczek mieszkała na piątym, ostatnim piętrze dużej kamienicy na rogu ulicy Pięknej i Mokotowskiej. Dziwnym trafem kamienica nie była zniszczona. Kiedy pewnego dnia łączniczka zaproponowała mnie i paru innym osobom spędzenie jednej nocy w „normalnym" mieszkaniu, z radością przyjęliśmy tę propozycję. Mieliśmy dość „koszarowego" życia. Dowódca wyraził zgodę, a my po zaimprowizowanej skromnej kolacji, rozłożyliśmy się na łóżkach, kanapach, fotelach, dywanach. Rodzice łączniczki od dawna przenieśli się na stałe, podobnie jak inni lokatorzy, do piwnicy. Utkwiło mi w pamięci, że przed zaśnięciem dyskutowaliśmy o literaturze. A potem spaliśmy twardo do rana. Chyba tylko młodość stać na taką niefrasobliwość.

I jeszcze jedną noc udało się spędzić w mieszkaniu, ale tym razem w iście luksusowych warunkach, bo na prawdziwym łóżku i w czystej pościeli. Kuzynki, o których już pisałem, mieszkały przy ulicy Polnej, niedaleko placu Zbawiciela. Ponieważ znałem adres, postanowiłem je odwiedzić któregoś popołudnia wolnego od służby. Kuzynki akurat były w domu. Noce spędzały albo na służbie w sztabie płk. „Radosława", albo w piwnicy, ponieważ ich mieszkanie znajdowało się na III piętrze. Kiedy opowiedziałem kuzynkom o noclegu w mieszkaniu rodziców łączniczki, zaproponowały mi spędzenie nocy u nich. Oczywiście z radością przyjąłem to zaproszenie. I tak pierwszą wolną od warty noc, za zgodą dowódcy, spędziłem rozebrany w pościeli. Po tylu tygodniach było to rozkoszne przeżycie, pozwalające zapomnieć o otaczającej mnie rzeczywistości.

Kuzynki miały piękną perską kotkę. Była tak rozpieszczona, że jadła tylko biszkopty i surowe jajka. Przez wszystkie lata okupacji kuzynki kupowały na tzw. czarnym rynku te kocie przysmaki. A same często nie dojadały, o czym mówiły ze śmiechem. W czasie powstania sytuacja stała się wręcz beznadziejna. O jajkach nie było co marzyć, a cudem zdobyte biszkopty także się kończyły. Kotka, będąca już w podeszłym wieku, odmawiała zjedzenia czegokolwiek innego. I wyraźnie słabła. Kuzynki postanowiły kotkę uśpić. Właśnie wtedy nasz oddział otrzymał niespodziewanie z jakichś znalezionych niemieckich zapasów po jednym jajku na osobę. Było to pierwsze jajko, jakie zobaczyłem od początku powstania. O tym, że już od paru tygodni stale nie dojadałem – nie warto nawet wspominać. Ale bez chwili wahania zaniosłem jajko kuzynkom. Kotka zjadła je wieczorem, w przeddzień swojej śmierci. Nigdy nie żałowałem tego gestu, który ktoś mógłby nazwać zbytecznym. Ale ja tak nie uważałem. I nie zmieniłem zdania. Właśnie takie gesty świadczą o tym, co z dumą nazywamy człowieczeństwem.

A skoro piszę o jedzeniu, to warto jeszcze wspomnieć o pewnym drobnym, ale istotnym w moim życiu, wydarzeniu. Koledzy gdzieś znaleźli parokilową wojskową niemiecką puszkę z przecierem pomidorowym, karton z makaronem i butelkę ze spirytusem. Zaimprowizowaliśmy „ucztę". Makaron ugotowaliśmy w wielkim garnku, a potem dołożyliśmy przecier. Powstało coś, co z trudem przypominało zupę pomidorową, ale dało się jeść i co najważniejsze – zapełniało żołądki. No i do tego spirytus, rozlany do kubków. Tutaj muszę wyjaśnić, że w mojej rodzinie właściwie nie używano alkoholu. Nie mogę sobie przypomnieć czy w święta dorośli wypijali kieliszek wina. Wódki i piwa na pewno nigdy w dzieciństwie w naszym domu nie widziałem. Nie znałem zatem nawet smaku alkoholu. Kiedy wręczono mi kubek ze spirytusem, powiedziałem o tym kolegom. Skwitowano to śmiechem i doradzono, abym pił ostrożnie. Wziąłem mały łyk i omal się nie zakrztusiłem. Nigdy dotąd nie piłem czegoś równie palącego. Ale w żołądku poczułem miłe ciepło. Spróbowałem po raz drugi. Pamiętam dobrze, że ten piekący smak sprawił mi przyjemność. Ku radości kolegów wypiłem małymi łykami cały swój „przydział". A zakąską była owa pseudopomidorowa zupa! I tak zaczęła się moja przygoda z alkoholem, trwająca około 10 lat.

Ludność cywilna

Jeżeli nam, powstańcom brakowało jedzenia, to ludność cywilna dosłownie głodowała. Starałem się o tym nie myśleć; cywilami byli przecież moi najbliżsi. Nie wiedziałem, co się z nimi dzieje. Dzielnica Ochota, na której mieszkaliśmy, została odcięta od samego początku powstania. Z niepotwierdzonych informacji wynikało, że ludność cywilna została wysiedlona, a opór nielicznych oddziałów powstańczych zdławiony po paru dniach. Moi koledzy mieszkali w różnych odciętych od Śródmieścia dzielnicach i wszyscy niepokoiliśmy się o los naszych rodzin. Ja dowiedziałem się o tym, co przeżyli moi najbliżsi dopiero po powrocie do Polski.

W pierwszych dniach powstania SS-mani i tzw. własowcy zabijali ludność cywilną bez litości. Moja rodzina uniknęła szczęśliwie tego losu, ponieważ nasz dom stał obok dawnego Domu Akademickiego, w którym przez całą okupację znajdowały się koszary żandarmerii. I to oni od razu 1 sierpnia wyprowadzili wszystkich mieszkańców naszego domu na tzw. zieleniak, a następnie do obozu w Pruszkowie.

Już wcześniej od rozbitych oddziałów z Woli czy Starówki słyszeliśmy o masowych mordach i gwałtach. W dzielnicach zajętych przez powstańców dola ludności cywilnej była zupełnie inna. W pierwszych dniach świętowali razem z nami. Wywieszali narodowe flagi, karmili nas i ubierali. Ale entuzjazm szybko przygasł. Zaczęło brakować dosłownie wszystkiego: jedzenia i wody. Zaczęło się bombardowanie i ostrzał, ludzie musieli przenosić się z piwnicy do piwnicy, zagrożeni pożarami. Zaczęła się walka o przetrwanie. Pod ogniem trzeba było przebiegać ulicami w poszukiwaniu jedzenia i stać w kolejce do pompy, aby dostać choć trochę wody. Wszystko to widziałem na własne oczy, bowiem jako łącznik często przechodziłem piwnicami. Nigdy nie zapomnę widoku wynędzniałych kobiet, leżących pod ścianami i dzieci, które były zbyt słabe, aby się bawić. My, żołnierze, dostawaliśmy racje żywnościowe, wprawdzie z dnia na dzień malejące, ale w miarę regularne. Ludność cywilna uzależniona była całkowicie od jakichś społecznych komitetów pomocy. Nas było trzydzieści parę tysięcy, ale ludności cywilnej około miliona. Przypuszczam, że w samym śródmieściu musiało być 200-300 tysięcy. Jak w oblężonym, odciętym od świata mieście wyżywić taką liczbę ludzi? Już wtedy, w tamtych dniach, starałem się nie myśleć o cierpieniach ludności cywilnej. Było to zbyt przygnębiające. My, żołnierze, mieliśmy swoją walkę. A co mieli tzw. cywile? Tylko bierne trwanie w straszliwych warunkach. I czekanie na śmierć lub zdanie się na łaskę i niełaskę Niemców, których okrucieństwo było warszawiakom dobrze znane.

Kiedy było już wiadomo, że prędzej czy później nastąpi kapitulacja, my, powstańcy, wiedzieliśmy, iż będzie nas chronić Konwencja Genewska. Ale ludności cywilnej nie osłaniał żaden międzynarodowy układ. Każdego tzw. cywila można było bezkarnie zabić. I jak wiadomo z historii, tak się właśnie działo przy masowym exodusie ludności Warszawy, zwłaszcza w pierwszych dniach powstania.

A po latach to nas uczczono nazwami ulic i placów, tytułami kombatanta i weterana, medalami i krzyżami, stopniami oficerskimi i awansami. A w jaki sposób złożono hołd ponad 200 000 śmiertelnych ofiar wśród ludności cywilnej? A jak wynagrodzić dwa miesiące cierpień pozostałym setkom tysięcy tych, którzy przeżyli? O ile się orientuję, jedynie Antoni Słonimski we wspaniałym, choć pełnym goryczy, wierszu „Mogiła Nieznanego Mieszkańca Warszawy" oddał sprawiedliwość tym zwykłym ludziom.

I dlatego przez wszystkie powojenne lata drażnił mnie zakłamany stosunek kolejnych władz do powstania. Najpierw ze względów politycznych starano się jak najmniej o nim pisać i mówić. Po roku 1956 powoli zaczęto sobie przypominać o AK i warszawskich powstańcach. W latach osiemdziesiątych bohaterstwo żołnierzy powstania stało się jednym z haseł wywoławczych „Solidarności". Pamiętam, jak na jakimś spotkaniu ośmieliłem się określić powstanie warszawskie jako błąd wojskowy i polityczny. Zostałem zakrzyczany i omal nie wyrzucony z sali. A w roku 2004 powstanie zostało cynicznie wykorzystane jako potężny atut wyborczy. Zamiast uczcić milczeniem cierpienia cywilnych ofiar, zorganizowano hałaśliwe, pompatyczne widowisko. Warto o tym wspomnieć właśnie w tym miejscu mojej biografii.

Kapitulacja

W ostatnich dniach września czułem, że powstanie dobiega końca. Napisałem „czułem", zamiast „wiedziałem", choć to drugie słowo byłoby właściwsze. Rozum podpowiadał, że nie mamy już żadnych szans na zwycięstwo, ale starałem się o tym nie myśleć. Było to znane psychologom spychanie do podświadomości. Kończyła się amunicja, ale przede wszystkim kończyła się żywność. Było jasne, że nie można walczyć bez jedzenia i bez broni. Było jasne, ale – powtarzam – starałem się o tym nie myśleć. Podobnie czuli moi koledzy i dlatego zapewne – jak pamiętam – nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Ale oficjalna wiadomość o podpisaniu kapitulacji była prawdziwym wstrząsem. Pomimo że w ostatnich dwóch - trzech dniach czuć było wyraźną zmianę w taktyce Niemców: po upadku Czerniakowa i Mokotowa ustały bezpośrednie ataki na Śródmieście, a wzmógł się za to ostrzał artyleryjski. Najwidoczniej dowództwo niemieckie chciało wymusić przyspieszenie decyzji kapitulacji. Przypuszczam jednak, że większość z nas, zwłaszcza w młodym wieku, chciała wierzyć w możliwość nagłej zmiany, w cudowny zwrot, w jakieś niezwykłe wydarzenie, stwarzające całkiem nową, korzystną sytuację. Pomimo racjonalnego myślenia, gdzieś tam „w głębi" umysłu zachowaliśmy nadzieję, że żołnierze radzieccy nagłą ofensywą w ciągu paru godzin przekroczą Wisłę i wejdą do Warszawy. Albo Hitler podda się aliantom i wojna się zakończy. I najbardziej nieprawdopodobny pomysł, że właśnie tutaj nastąpi ogromny powietrzny desant, podobny do tych we Włoszech i Francji, o których czytaliśmy w „Biuletynie Informacyjnym". Dlatego wiadomość o podpisaniu kapitulacji była tak wielkim wstrząsem. Przekreśliła te „dziecinne" niewypowiadane głośno marzenia. Zawsze będę pamiętał, że przyjęliśmy wiadomość w całkowitym milczeniu. I rozeszliśmy się bez słowa. Wyszedłem z instytutu i wałęsałem się bez celu po ulicach. Zdawało mi się, że wszystko straciło sens. Na co było tyle ofiar, tyle wyrzeczeń? Tysiące poległych, zniszczone miasto? Kiedy wróciłem na kwaterę, podjąłem z kolegami decyzję: nie idziemy do niewoli. Popełnimy samobójstwo. I kiedy potem zatopiliśmy w basenie przeciwpożarowym na placu Trzech Krzyży całą posiadaną jeszcze resztkę amunicji, każdy z nas zostawił w kieszeni jedną kulę. Dla siebie.

Z naszej decyzji nie robiliśmy tajemnicy i dowódcy szybko się o niej dowiedzieli. Zaczęli nas przekonywać, że nie wolno szafować własnym życiem. Skoro udało się nam przeżyć, powinniśmy iść do niewoli, a po powrocie pracować dla dobra ojczyzny. Po parogodzinnej dyskusji jakoś nas przekonali. Ostatniego wieczoru przed wyjściem z Warszawy przeznaczone dla nas kule wyrzuciliśmy razem do basenu.

Jak pamiętam, dostaliśmy po 100 papierosów na osobę. Oddałem je fotografowi

żydowskiego pochodzenia, którego ukrywaliśmy przez parę dni w naszym mieszkaniu (o czym pisałem w jednym z poprzednich rozdziałów). Spotkałem go przypadkowo, kiedy chodziłem bez celu po ulicach na wiadomość o kapitulacji. On również przekonywał mnie, że uratowane życie trzeba cenić, zwłaszcza będąc młodym. Fotograf o nazwisku Dorys był nałogowym palaczem i otrzymane ode mnie papierosy były dla niego prawdziwym skarbem. Dostaliśmy także po 20-dolarowym banknocie do podziału na trzech. Nie pamiętam, co zrobiłem z moją częścią, prawdopodobnie zrezygnowałem na korzyść któregoś z kolegów. Zresztą w tamtych dniach po kapitulacji wszystko wydawało mi się tak mało ważne.

Poszedłem pożegnać się z kuzynkami. One także uznały naszą, porzuconą już na szczęście decyzję za wręcz absurdalną. Nazwały ją pustym pseudoromantycznym gestem. Przygotowywały się do drogi. To wtedy właśnie dałem im moje powstaniowe notatki, które razem z ich dokumentami zakopaliśmy w piwnicy. Patrzyły z żalem na swoją bibliotekę i zaproponowały, abym – podobnie jak one – wziął sobie parę książek. Wybrałem po krótkiej naradzie „Smugę cienia" Conrada i „Zniszczenie Europy" Erenburga. Nie znałem tych powieści, a kuzynki twierdziły, że będą odpowiednią lektura w mojej sytuacji. I – jak się okazało – miały rację. Powieść Conrada opisująca dojrzewanie młodego kapitana statku w kryzysowej sytuacji ciszy morskiej, pomogła mi w obozie do zrozumienia, że w moim życiu ową „smugą cienia" stało się powstanie. A Erenburg w sposób piekielnie inteligentny i złośliwy przedstawił jak łatwo można zniszczyć cały kontynent wraz z jego ludnością i kulturą, tworzoną przez parę tysięcy lat. Obie książki przeczytałem w obozie parokrotnie, a potem, wyjeżdżając z Hamburga, zostawiłem kolegom.

Kuzynki zostały wywiezione do jakiegoś Oflagu, po wyzwoleniu wyjechały do Belgii. Tam, znając parę języków, znalazły bez trudu dobrą pracę. Tęskniły jednak za krajem i wróciły. Spotykałem się z nimi często przy niemal każdej bytności w Warszawie. Napiszę o nich później przy innej okazji.

Nie mogę sobie przypomnieć czy wychodząc do niewoli miałem plecak czy chlebak. Nie pamiętam czy dysponowałem w ogóle jakąś zmianą bielizny. Wiem, że dostałem stary wojskowy płaszcz, ale na nogach nosiłem letnie pantofle. Zresztą większość z nas była zupełnie nieprzygotowana do spędzenia zimy w obozie. Tylko niektórzy mieli zrolowane koce. Ja – o ile pamiętam – nie, choć nie jestem tego całkiem pewny.

Wieczór poprzedzający wyjście z Warszawy spędziliśmy w ponurym nastroju, ale pracowicie. Ponieważ część z nas otrzymała awanse (ja na kaprala), koleżanki naszywały nam tzw. belki ze srebrnej tasiemki. Mnie obszyto patki ponadto splecionymi biało - czerwonymi wełnianymi nićmi. Podobno przed wojną oznaczało to posiadanie matury i pozwalało na używanie określenia „z cenzusem". Nie wiem czy to prawda i nigdy tego nie sprawdzałem. Tym bardziej, że po powrocie władze wojskowe PRL i tak mojego stopnia nie uznały.

I jeszcze jedno wspomnienie. W pierwszych dniach sierpnia każdy żołnierz AK otrzymał legitymację. Była to mała różowa tekturka. Widniał na niej numer oddziału i pseudonim oraz pieczątka z podpisem. Moją legitymację straciłem kiedy pocisk z granatnika rozerwał wiszącą na krześle marynarkę, co opisałem w poprzednim rozdziale. Teraz otrzymałem nową. W przeddzień wyjścia z Warszawy dowiedzieliśmy się od przebywających z nami w instytucie AL-owców, że nie zostali objęci aktem kapitulacji. Nie wiem, czy była to prawda, ale nie posiadaliśmy się z oburzenia. Było jasne, że oznaczało to wydanie kilkuset młodych Polaków, walczących tak jak my przeciwko okupantom na pewną śmierć. Gdyby próbowali wyjść z ludnością cywilną, Niemcy wyciągnęliby ich z tłumu i natychmiast

rozstrzelali. Wiedzieliśmy, że tak postępowali z każdym młodym mężczyzną przy ewakuacji kolejnych grup cywilów. A pozostanie w ruinach Warszawy nie wchodziło raczej w rachubę. Uznaliśmy tę decyzję za haniebną. I natychmiast bez zbędnych słów postanowiliśmy AL-owcom wręczyć nasze legitymacje. My wychodziliśmy zwartymi oddziałami i mogliśmy obyć się bez żadnych dokumentów. A oni, idąc osobną grupą, gdyby nawet w mało prawdopodobnym przypadku, zostali zaczepieni przez Niemców lub polskich oficerów łącznikowych, nadzorujących wyjście – okazaliby ważne legitymacje, co zapewniało im bezpieczne wyjście z Warszawy i pobyt w obozie jenieckim. Ciekawe czy podobnie postąpiły inne oddziały AK. I mam nadzieję, że przynajmniej nasza decyzja uratowała życie tym kilkunastu chłopcom.

Wyjście z Warszawy

5 października (jaki to był dzień tygodnia – nie pamiętam) opuszczaliśmy Warszawę. Szliśmy z placu Trzech Krzyży w stronę spalonego głównego gmachu Politechniki. Potem ulicą Nowowiejską do punktu zdawania broni. Wzdłuż całej trasy stali SS-mani z psami, a między nimi na ziemi ckmy. Widziałem na twarzach Niemców mieszane uczucia. Z jednej strony nienawiść, a z drugiej jakby niedowierzanie. Nie mogli widocznie pojąć, jak ta „banda" źle uzbrojonych, nieumundurowanych młodzików, pozbawiona dział, czołgów i wsparcia lotniczego, mogła przez dwa miesiące opierać się kilku wyborowym dywizjom SS.

Broń składaliśmy na jakimś placu (był to chyba Kraftfahrpark na skrzyżowaniu ulicy Chałubińskiego i Nowowiejskiej). Rzuciłem swój pistolet, ale na przedramieniu miałem przewieszony niemiecki hełm. Doprawdy nie wiem, jak sobie wyobrażałem przewiezienie go do obozu. Jeden z SS-manów zauważył hełm i bez słowa wskazał na niego ręką. Co miałem robić? Hełm z żalem położyłem na stosie broni. Również tym z moich kolegów, którzy ubrani byli w niemieckie „panterki", kazano je zdjąć i zostawić.

Pomaszerowaliśmy następnie, już nie pamiętam jaką trasą, do ulicy Filtrowej. Zbliżaliśmy się do placu Narutowicza. Tuż obok, przy ulicy Akademickiej 3 mieszkałem wraz z rodziną od 1941 roku, tzn. przez cały czas pobytu w Warszawie. Im byliśmy bliżej placu, tym więcej widać było spalonych domów. Wiedziałem, że Ochota padła w pierwszych dniach sierpnia, a ludność cywilną zabrano na tzw. zieleniak, a potem do obozu w Pruszkowie.

Kiedy dotarliśmy do placu Narutowicza, spojrzałem w lewo. Dom, w którym mieszkałem, był całkowicie spalony. A co z moją rodziną? Nic o nich nie wiedziałem. Czy jeszcze żyją? Mijałem w milczeniu plac. Byłem pełen żalu, smutku i nagłej apatii. Przecież ten dom to ponad trzy lata mojego życia. Tutaj dojrzewałem, uczyłem się, pracowałem, poznawałem arcydzieła literatury. Tutaj pisałem moje pierwsze utwory literackie. I to wszystko przepadło bezpowrotnie. Po prostu przestało istnieć. Do dzisiaj pamiętam to dziwne uczucie, które mną owładnęło. Chyba wówczas po raz pierwszy uświadomiłem sobie, czym jest przemijanie.

Szliśmy dalej w kierunku dworca Warszawa - Zachodnia. Zaczął kropić drobny deszcz. Dla dodania sobie animuszu, ktoś spróbował zaintonować jakąś wojskową piosenkę. Natychmiast padła ostra komenda „Nie śpiewać". A potem podane w łagodniejszej formie wyjaśnienie: „Nie wypada śpiewać, idąc do niewoli". W milczeniu mijaliśmy kolejne ulice, wszędzie ruiny i spalone domy. I ani jednego żywego człowieka. Wreszcie późnym popołudniem wyszliśmy na podwarszawskie pola.

Nagle gdzieś z przodu rozległy się strzały. „Po linii" przebiegła informacja: „Nie próbować ucieczki. Niemcy strzelają do uciekających bez ostrzeżenia". Rozejrzałem się. Rzeczywiście, otaczający nas strażnicy trzymali karabiny w pogotowiu i bacznie nam się przyglądali.

Wieczorem, przemoczeni i zmęczeni dotarliśmy do Ożarowa. Umieszczono nas w ogromnej pustej hali fabryki kabli. Nie pamiętam czy dano nam coś do jedzenia, czy pierwszy posiłek otrzymaliśmy dopiero rano, przy wsiadaniu do pociągu.

Nie potrafię dzisiaj powiedzieć, kiedy zdałem sobie sprawę z przełomu, jaki się we mnie dokonał w wyniku powstania, czy było to już w czasie marszu przez opustoszałe ulice, wśród zburzonych i wypalonych domów, czy w czasie podróży do obozu, czy może dopiero w pierwszych dniach niewoli. W każdym razie już w obozie, leżąc na pryczy w zimnym baraku, byłem w pełni świadomy, że powstanie zmieniło moje widzenie świata, zjawisk, ludzi. Można taką przemianę nazwać dojrzewaniem, ale nie odda to istoty zagadnienia. „Dojrzewaniem" do czego? Jeszcze mniej adekwatne jest słowo „dorastanie". Na czym bowiem ma polegać owa „dorosłość"? Z perspektywy kilkudziesięciu lat mogę stwierdzić, że przełom, który dokonał się we mnie w ciągu 63 dni powstania, polegał przede wszystkim na zasadniczej zmianie proporcji. Podstawowe wartości nie uległy najmniejszej nawet deprecjacji, uświadomiłem sobie jednak, że nie są bynajmniej zawsze i wszędzie stosowane. Nabrałem dystansu w stosunku do wielu spraw, które przedtem wydawały mi się bardzo ważne. To ta właśnie zmiana zapoczątkowała we mnie narastanie nieufności do tzw. wielkich słów i szumnych haseł. W mojej rodzinie istniała na ogół zgodność słów i czynów, przekonania potwierdzane były w postępowaniu w codziennym życiu. Literatura potwierdzała słuszność takiej postawy. Dobro było dobrem, a zło – złem. Tzw. relatywizm moralny był godnym pogardy marginesem. Wiem, że w dzisiejszych czasach brzmi to anachronicznie, ale zapewniam – taki właśnie byłem przed powstaniem i nawet koszmar okupacji tego nie naruszył. Ale wychodząc z Warszawy poczułem, że stałem się innym człowiekiem. Przekonałem się, że świat był zupełnie odmienny od tego, który dotąd uważałem za rzeczywisty. I że rządzą nim zupełnie inne prawa. Dopiero później zrozumiałem, że doświadczenia powstania tylko przyspieszyły naturalny niestety proces, który wielcy pisarze w tytułach swoich dzieł określali jako „Stracone złudzenia" czy „Smuga cienia".

Próba podsumowania

Kończąc ten rozdział, chciałbym dokonać próby niewielkiego podsumowania powstania. Skonfrontować to, co przeżyłem, z rzeczywistymi faktami historycznymi. Zanim zacząłem pisać te wspomnienia, sięgnąłem do rozmaitych książek poświęconych tzw. Polsce sanacyjnej i powstaniu. Zgodnie z podjętym wcześniej założeniem nie posiłkowałem się tymi książkami w czasie pisania. Nie korygowałem swojej pamięci uzyskanymi z lektury informacjami. Jeśli były niezgodne z tym, co zostało utrwalone w moich wspomnieniach, pierwszeństwo zawsze dawałem pamięci. Świadomie podjąłem ryzyko mijania się z tzw. prawdą historyczną (choć, szczerze mówiąc, nie wiem, co to określenie znaczy), zaznaczając od czasu do czasu lojalnie, że fakty mogą być inne. Dotyczyło to szczególnie przebiegu powstania. Znałem bowiem z autopsji malutki wycinek, w dodatku zawężony z uwagi na moją niską pozycję szeregowego żołnierza. Przedstawiałem tylko to, czego sam doświadczyłem. I tak np. słyszałem wielokrotnie, że do walki stanęło 40 000 powstańców.

A w udokumentowanych opracowaniach znalazłem inne liczby: 35 000 lub 32 000. Mówiono mi, że w naszym zgrupowaniu straty wyniosły 90%. W jednej z monografii przeczytałem, że „tylko" 60%. Kiedy wychodziliśmy do niewoli, mówiono, że prawie połowa powstańców poległa. Liczby wahały się od 18 000 do 22 000. Teraz przeczytałem, że zginęło 16 000.

Nie zamierzam zajmować się tutaj ani roztrząsaniem tych różnic ani analizowaniem aspektów militarnych czy politycznych. Chciałbym jedynie spróbować podsumowania bardziej ludzkich aspektów. Jak wiadomo bowiem, przy każdej okazji, zarówno w zwykłej codzienności jak i wyjątkowych sytuacjach ujawniają się najróżniejsze ludzkie postawy i zachowania: od bohaterstwa do tchórzostwa, od bezkompromisowości do ugodowości, od szlachetności do podłości, od ofiarności do cwaniactwa, od bezinteresowności do chciwości, od poświęcenia do egoizmu. Każdy z tych rzeczowników można byłoby jeszcze wzmocnić przymiotnikami: najwyższy, skrajny, wzniosły, plugawy, odrażający itd.

Niektóre z tych postaw widziałem na własne oczy, o innych słyszałem. Zarówno w czasie powstania jak i potem w obozie. O niektórych dowiedziałem się na przestrzeni wielu lat. Oczywiście te opowiadania mogły być prawdziwe lub nie. Dlatego traktuję je z dużą ostrożnością.

Jeden z kolegów jeszcze w czasie powstania opowiadał, że kiedy w czasie natarcia przybył do dowództwa okręgu z pilnym meldunkiem, zastał pijanych wyższych oficerów zabawiających się z niemniej pijanymi łączniczkami. A już w obozie jeden z podchorążych opowiadał, że wraz ze swoim amunicyjnym osłaniał ogniem ckmu odwrót ostatnich oddziałów z Politechniki. Potem udało im się przeskoczyć przez ostrzeliwaną ulicę Noakowskiego, ratując nawet ckm. Następnego dnia pojawił się w otoczeniu świty sam Komendant Główny Armii Krajowej, generał „Bór", aby na wniosek dowódcy zgrupowania odznaczyć bohaterskich obrońców. Był jednak tak pijany, że pomylił ordery: amunicyjny dostał Virtuti Militari, a podchorąży – Krzyż Walecznych. Oczywiście po odejściu „Bora", odznaczeni zamienili się orderami. Pozostawiam oba te wydarzenia bez komentarzy, choć przypuszczam – niestety – że były prawdziwe.

A tzw. czarny rynek? Nie miałem o nim pojęcia. Tymczasem z różnych monografii dowiedziałem się, że działał przez cały czas powstania. I że różni kombinatorzy w sposób bezwzględny żerowali na ludzkiej biedzie. W jednej z książek opisano, jak handlarz żądał za puszkę skondensowanego mleka złotego zegarka. I dostał go od zrozpaczonej matki, dla której mleko było ceną życia małego dziecka. O włamaniach, rozbojach, kradzieżach także dowiedziałem się później. Tak jak o personalnych rozgrywkach i intrygach w najwyższym dowództwie AK. A stawką w tych przetargach był los Warszawy. Nawet w dalekim Londynie osobisty antagonizm pomiędzy premierem Mikołajczykiem a wodzem naczelnym generałem Sosnkowskim wpłynął na decyzję o wybuchu powstania. I choć brzmi to niewiarygodnie, fakt ten jest dokładnie udokumentowany.

Jak zatem podsumować powstanie? Nie znam odpowiedzi. Tylko naiwni moraliści lub cyniczni demagodzy upraszczają przeszłość, a fakty historyczne uważają za jednoznaczne. Do tych wniosków zacząłem dochodzić już w czasie powstania.

Hemingway napisał (choć nie pamiętam w której książce), że każdy mężczyzna powinien mieć swoją wojnę. Domyślam się, że pod słowem „wojna" rozumiał udział w walce. Moja wojna była zatem krótka – dwa miesiące. Ale jeżeli dodam do niej rok 1939, pięć lat okupacji i pół roku obozu - okazuje się, że była bardzo długa. Wyszedłem z niej odmieniony. Bardziej tolerancyjny i wyrozumiały, z większym dystansem do siebie i innych, ze zmienioną hierarchią ważności. Zachowałem jednak w stanie nienaruszonym,

co potwierdziło potem całe moje życie – podstawowe wartości wyniesione z rodzinnego domu. Więcej, koszmar wojny umocnił te wartości. I chociaż pokazał, że nie są powszechnie wyznawane, a tym bardziej stosowane – nie zdołał zachwiać mojego do nich przywiązania. To zdanie nie stoi bynajmniej – w moim przekonaniu – w sprzeczności z tymi, które napisałem wcześniej. Uświadomienie sobie, że ludzie są okrutni i podli, a świat nie jest idealny, nie oznacza bowiem ani akceptacji ani tym bardziej podporządkowania. Zresztą ta postawa „niezgadzania się" utrudniła moje życie, o czym nieraz jeszcze będę miał sposobność pisać w tych wspomnieniach.

Czy powyższe stwierdzenia są wystarczającym podsumowaniem „mojego" powstania?

Rozdział X

OBÓZ W SANDBOSTEL

Podróż do obozu

6 października rano wsiedliśmy w Ożarowie do pociągu mającego nas zawieźć do jenieckiego obozu. O ile pamiętam, dostaliśmy tzw. pajdkę chleba i jakąś ciepłą lurę udającą zbożową kawę. A potem załadowaliśmy się do czekających na bocznicy towarowych wagonów, zwanych wówczas bydlęcymi. Po zamknięciu rozsuwanych drzwi, powietrze dochodziło tylko przez małe, umieszczone wysoko okienka. Upchano nas ciasno, ale bez stosowania przemocy. Jak wiadomo, jeńców wojennych chroni Konwencja Genewska, zabraniająca używania siły. Nie wiem, po ile osób umieszczono w wagonie, choć niektórzy twierdzili, że być może nawet sześćdziesiąt. A jeszcze przed powstaniem opowiadano ze zgrozą, że liczba ludzi wiezionych do obozów koncentracyjnych sięgała osiemdziesięciu w każdym wagonie.

Usiłowaliśmy rozlokować się w jakiś zorganizowany sposób. Ponieważ nie było miejsca do siedzenia dla wszystkich, ustaliliśmy „dyżury": pół wagonu stało, a druga połowa siedziała z wyciągniętymi nogami. Co godzinę czy dwie następowała zmiana. Po pewnym czasie okazało się, że pomimo niewielkiej ilości wypitego rano ohydnego płynu, niektórzy muszą opróżnić pęcherz. Przy pomocy tzw. noży fińskich, czyli inaczej „finek", wycięto otwór w podłodze. Nie wiem, jak radziły sobie kobiety w swoim wagonie. O ile pamiętam, dopiero późnym popołudniem stanęliśmy w jakimś pustym miejscu i zostaliśmy wypuszczeni. Czy dano nam wówczas coś do jedzenia – zupełnie nie mogę sobie przypomnieć. Z całej podróży utkwiło mi w pamięci zaledwie parę momentów. Pierwszy, kiedy nasz pociąg stanął na stacji w Żychlinie. Nie wypuszczono nas, ale usłyszeliśmy przez małe okienka głosy polskich kolejarzy. Pytali nas, skąd jesteśmy i czy nie chcemy przekazać rodzinom jakichś wiadomości. Najpierw odpowiedzieliśmy, że jesteśmy warszawskimi powstańcami, a potem zaczęliśmy gorączkowo pisać na wszelkich dostępnych skrawkach papieru. Ja wydarłem z notesu kartkę. Na jednej stronie napisałem łódzki adres rodziców, a na drugiej dwa zdania: „Jestem zdrowy i jadę do obozu. O rodzinie nic nie wiem". Kartkę zmiąłem w kulkę i wyrzuciłem przez okienko. Tak samo inni. Muszę przyznać, że nasi konwojenci nie reagowali i kolejarze mogli zebrać porozrzucane kulki papieru. Kiedy wróciłem do kraju, dowiedziałem się, że pewnego dnia do moich rodziców przyszła kobieta, powiedziała „dzień dobry" i wręczyła mój „list". Nie muszę wyjaśniać, jak cenna była dla nich wiadomość, że żyję.

Innym zapamiętanym zdarzeniem było bombardowanie jakiegoś miasta, w którym zatrzymał się nasz pociąg. Niemcy w pośpiechu wywieźli nas parę kilometrów w pole. Był to kolejny objaw przestrzegania Konwencji Genewskiej, która zabrania narażania jeńców wojennych na niebezpieczeństwo. (Te wszystkie informacje otrzymaliśmy od oficerów ze sztabu jeszcze przed wyjściem z Warszawy).

Nie pamiętam, ile dni trwała podróż. W moim ówczesnym stanie przygnębienia wszystko wydawało się mało realne. Żyłem w jakimś dziwnym półśnie i być może dlatego tak mało zdarzeń pozostało w mojej pamięci. Wreszcie podróż dobiegła końca. Wyładowaliśmy się na jakiejś stacyjce. Ustawiono nas trójkami (to akurat dziwnym trafem pamiętam) i ruszyliśmy. Doszliśmy do wsi, jakże różniącej się od polskich, które widziałem w dzieciństwie. Pomimo trwającej od pięciu lat wojny, wszystkie domki i płoty były pomalowane, obejścia świeciły czystością, a w każdym oknie wisiały białe firanki. Zaś stojący przed domkami i patrzący na nas bez specjalnej ciekawości ludzie ubrani byli naprawdę schludnie. Jakiż to kontrast ze zburzoną Warszawą i naszym wyglądem! Dopiero parę miesięcy później, po wyjściu z Hamburga, zrozumiałem, że niemiecka wieś, w sensie ekonomicznym, przez długi czas nie odczuwała bezpośrednio skutków wojny.

Po trwającym ponad godzinę marszu zobaczyliśmy zajmujące niemal cały horyzont ogrodzenie z kolczastego drutu ze sterczącymi w niebo strażniczymi wieżyczkami. Przed nami był ogromny obóz jeniecki, Stalag XB. Rozpoczynał się nowy rozdział w moim życiu. Po raz pierwszy byłem uwięziony, straciłem wolność. To zupełnie nowe doznanie.

Z każdym krokiem potęgował się mój i tak posępny nastrój. Sprzyjały temu ciemne chmury na niebie i rozciągające się po obu stronach drogi torfowiska. A potem weszliśmy w obozową bramę, która natychmiast zamknęła się za nami.

Pierwsze dni w obozie

Najbardziej przytłaczało mnie, zwłaszcza w pierwszych dniach, poczucie całkowitej niemożności swobodnego wyjścia poza druty ogrodzenia. W jakby nagłym olśnieniu zrozumiałem czym jest wolność. Przez cały okres okupacji Polaków obowiązywała tzw. godzina policyjna. Ale to było tylko nieznaczne ograniczenie; wiedziałem, że następnego dnia rano będę mógł wyjść na ulicę, wsiąść do tramwaju czy pociągu. Tutaj natomiast, w obozie, mogłem poruszać się jedynie po ograniczonej przestrzeni. W którąkolwiek stronę bym się nie zwrócił, zawsze napotykałem po pewnym czasie rozciągnięty kolczasty drut. Również wtedy uświadomiłem sobie, że jeszcze gorzej musi czuć się człowiek zamknięty w więziennej celi. Tam otaczają go cztery ściany, które bez przerwy widzi w odległości zaledwie paru kroków. Pamiętam, że pierwszego dnia stałem długo przed ogrodzeniem, a posępne torfowiska wydawały mi się wymarzoną krainą swobody. Tłumaczyłem sobie, że przecież niebawem wojna się skończy i wyjdę na wolność. Na próżno. Jak wiadomo, kiedy opanowują nas takie nastroje jak melancholia, smutek, przygnębienie, chandra – rozum okazuje się słaby. Zwłaszcza w młodym wieku. Z upływem lat musiałem nauczyć się jednak panować nad emocjami, czego wcale nie uważam za powód do dumy.

Po obowiązkowej kąpieli pod prysznicem, wygoleniu wszystkich włosów na całym ciele, dezynfekcji jakimś proszkiem, odkażeniu odzieży – mogliśmy wejść do przydzielonych nam baraków. Warto dodać, że wszystkie użyte środki chemiczne, łącznie z mydłem, były ohydnie śmierdzące.

Baraki, do których nas skierowano, okazały się całkiem puste. Nie było w nich żadnej pryczy ani tym bardziej ogrzewania. Musieliśmy spać na gołym betonie. A ponieważ obóz położony był na torfowiskach, można sobie wyobrazić, jak „ciągnęło" od takiej podłogi. Każdy otrzymał jedynie po cienkim, spranym kocu. Tak więc chodziłem ciągle zziębnięty, tym bardziej, że ilość otrzymywanego jedzenia była znikoma. Dzienna porcja

wynosiła: rano i wieczorem 1/2 litra płynu, który miał imitować herbatę, na obiad ¾ litra rzadkiej zupy, składającej się z niedogotowanej brukwi i dosłownie paru ziaren kaszy, 4-5 ziemniaków w łupinach, oraz wieczorem „pajdkę" gliniastego chleba (ca 14 dkg), kostkę (ca 1 dkg) margaryny i tyle samo marmolady z buraków. Porcja absolutnie niewystarczająca dla dorosłego czy dorastającego człowieka. To stałe uczucie głodu i chłodu miało jedną „zaletę", okazało się silniejsze niż smutek. Moje myśli bardziej dotyczyły ewentualnych sposobów (zresztą nierealnych) jak się najeść i ogrzać, niż braku swobody. Czyżby rację mieli marksiści mówiący, że baza (materialna) jest ważniejsza niż nadbudowa (duchowa)? Ale wtedy, przemarznięty i wygłodniały, nie słyszałem jeszcze o marksizmie. Naprawdę.

Dlaczego dostaliśmy baraki bez prycz i ogrzewania? Kiedy nasi przedstawiciele interweniowali u władz obozowych, otrzymali uspokajającą odpowiedź, że to tylko na okres przejściowy, na parę dni. Zgodnie z międzynarodowymi umowami, każdy jeniec otrzymywał co dwa tygodnie 5-kilową paczkę Czerwonego Krzyża. Były w niej, o ile dobrze pamiętam: półkilogramowa puszka sproszkowanego pełnotłustego mleka, małe puszki z szynką, mielonką wołową, tuńczykiem, serem, masłem orzechowym i rozpuszczalną kawą, pudełko trzcinowego cukru w kostkach, mała tabliczka czekolady, multiwitamina i chyba nawet parę kawałków papieru toaletowego. No i rzecz najważniejsza: 100 papierosów wysokiej jakości: Chesterfieldy i Camele. Dla palaczy był to ratunek. (Sam widziałem, jak palono tzw. skręty, zrobione z suszonego torfu, zawiniętego w skrawek starej gazety zabranej z latryny!) Ponieważ w obozie papieros był najważniejszą „jednostką monetarną", dla niepalących stanowił znaczny kapitał. Myślę, że to dzięki paczkom jeńcy w stosunkowo dobrej kondycji mogli przeżyć pięć lat w niewoli. Kiedy jednak nasi przedstawiciele wystąpili do komendy obozu z prośbą o wydanie paczek, usłyszeli – jak nam potem relacjonowano – odpowiedź odmowną. Niemcy oświadczyli, że nie zostaliśmy jeszcze zewidencjonowani przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. „A kiedy to nastąpi?", dopytywali się nasi przedstawiciele. Odpowiedź brzmiała: „To już nie zależy od władz niemieckich. Czerwony Krzyż został powiadomiony o przybyciu jeńców z Warszawy i czekamy teraz na przyjazd delegacji". Na propozycję naszych przedstawicieli, aby wydać awansem paczki z zapasów trzymanych w magazynie Niemcy odpowiedzieli, że nie mają takiego upoważnienia. Co oczywiście było zwykłym wykrętem.

Zauważyliśmy, że dla władz obozu nadal (choć tego głośno nie mówiły) byliśmy „Polnische Banditen" i wykorzystywały każdą okazję, aby nas szykanować. Wszystko, naturalnie, w ramach dozwolonych prawem międzynarodowym.

Po paru dniach życia w takich warunkach, mój organizm nie wytrzymał. Pisałem już, że we wczesnym dzieciństwie byłem wyjątkowo chorowity. Jako kilkunastolatek również nie odznaczałem się siłą. Wystarczy powiedzieć, że kiedy w czasie powstania szliśmy po zaopatrzenie dla naszego oddziału, moi koledzy z łatwością nosili 25-kilowe worki. Ja mogłem unieść nie więcej niż 10-15 kg! Ponadto w czerwcu, a zatem przed zaledwie czterema miesiącami przeszedłem szkarlatynę, która jeszcze bardziej osłabiła mój organizm. Tak więc teraz wychodziłem tylko na ranne i wieczorne apele. Cały dzień leżałem na podłodze, a z nosa często ciekła mi krew. Zgłosiłem się do lekarza w izbie chorych. Zbadał mnie, pokiwał głową i dał parę tabletek multiwitaminy. Co innego mógł zrobić w tych warunkach?

Nie pamiętam, po ilu dniach otrzymaliśmy wiadomość, że niebawem pojawi się międzynarodowa delegacja Czerwonego Krzyża. Niemcy przenieśli nas wreszcie do baraków z piętrowymi pryczami i małym żelaznym piecykiem, w którym przez godzinę lub dwie (na więcej nie starczało opału) mogliśmy palić brykietami.

I rzeczywiście, pewnego dnia pojawiła się owa delegacja. Było to parę pań i panów. W asyście niemieckich oficerów przeszli po naszych barakach, zabawiając w każdym po parę minut. Rozglądali się we wnętrzu, coś tam szeptali, ktoś notował i wychodzili. Byliśmy rozczarowani. Spodziewaliśmy się jakichś pytań z ich strony i wysłuchania naszych postulatów. Nie znałem się na procedurach stosowanych przy tego rodzaju wizytach. Być może nie przewidują bezpośrednich rozmów z jeńcami. Nie uświadamiałem sobie wówczas, jaką gigantyczną pracę przez cały okres wojny wykonywali działacze Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Ilu ludziom pomogli, ilu uratowali. Dopiero po wojnie mogłem docenić tę działalność. W naszym przypadku efektem tej wizyty było wydanie nam już następnego dnia zaległej paczki. Muszę przyznać, że od tego czasu nigdy już nie głodowałem, ponieważ za papierosy mogłem kupić dosłownie wszystko. Chciałbym jeszcze dodać, że paczkę otrzymałem – jak się to mówi – w ostatniej chwili. Jeszcze dzień-dwa i mógłbym nie przeżyć; lekarz stwierdził u mnie skrajne wyczerpanie. Wielu innych jeńców nie doczekało paczek. Otwierały się stare rany, ciało ropiało i pojawił się szkorbut. Wyczerpanych zabierano na Izbę Chorych (Krankstube) i już stamtąd nie wracali.

Nie pamiętam, kiedy dostarczono nam specjalne druczki, na których (znowu zgodnie z Konwencją) mogliśmy wysyłać wiadomości do rodzin, bodajże raz w miesiącu. Ponieważ domyślaliśmy się, że listy będą cenzurowane, pisaliśmy bardzo oględnie. Rodzice otrzymali wszystkie (słynne „Ordnung muss sein!) i starannie je przechowywali. Mam te listy schowane na pamiątkę, choć – być może – powinienem je przekazać do biblioteki czy muzeum.

Obozowe skandale

Podobno Szekspir napisał, że „Wszyscy ludzie są łajdakami". Będąc w obozie nie znałem jeszcze tego powiedzenia. Kiedy je znacznie później usłyszałem, pozwoliłem sobie na drobną modyfikację: „Każdy człowiek jest potencjalną świnią". Istotnie, jeśli nawet nie wszyscy ludzie, to większość z nich w określonych sytuacjach może stać się łajdakami. Przekonałem się o tym parokrotnie w obozie.

Jak nam mówiono, niemal od początku istnienia obozu, kuchnię objęli w posiadanie jeńcy francuscy. Zapewne władze obozowe słyszały o jakości francuskiej kuchni. Było to o tyle zabawne, że nawet najlepszy kucharz nie mógłby z dostarczanych produktów wykreować przysmaków. Chyba że kucharze dla komendy obozu otrzymywali zupełnie inne zaopatrzenie. Francuzi zatrudnieni w kuchni byli aroganccy i traktowali pogardliwie pozostałych jeńców. Byłem tego nieraz świadkiem. Kiedy w towarzystwie wartownika przekraczaliśmy bramę naszego sektora, aby udać się do olbrzymiej kuchni, w której gotowano dla całego obozu, nigdy nie wiedzieliśmy, ile jedzenia dostaniemy. Francuz czytał kartkę z liczbą osób w naszym baraku i napełniał wielkie konwie, które ze sobą przynosiliśmy. Raz zdarzyło się, że nie trafił chochlą do konwi i rozlał zupę na podłogę, oblewając przy okazji stojącego obok kolegę. Ten odskoczył, a potem wskazał z oburzeniem na niepełną konwię. Wywiązała się sprzeczka, która byłaby śmieszna, gdyby nie dotyczyła tak ważnego dla naszego życia pokarmu. Polak krzyczał po polsku, a Francuz po francusku. Kiedy czując się pokrzywdzeni poprosiliśmy wartownika o interwencję, ten wziął stronę Francuza i kazał nam odejść z niepełną konwią. Innym razem jeden z kolegów zwrócił uwagę kucharzowi, że wsypując ziemniaki chochlą do konwi, nabrał ich za mało. Ten spojrzał na niego z pogardą i bez słowa odrzucił jeszcze parę ziemniaków z powrotem do kotła. Za karę? I dlatego czasami

mieliśmy więcej lub mniej zupy i cztery lub pięć ziemniaków. A ziemniaki gotowane razem z łupinami, jeśli nawet były opłukiwane, to bardzo niestarannie. Kiedy je jedliśmy, oczywiście zawsze z łupinami, w zębach chrzęściła ziemia. Ale nie było to ważne, liczyło się zapełnienie żołądka. Od tego zależało przeżycie.

Pewnego dnia wybuchł skandal. Okazało się, że francuscy kucharze zaprosili naszych chłopców na poczęstunek. Tutaj konieczne wyjaśnienie. Akt kapitulacji objął wszystkich walczących w szeregach Armii Krajowej. Poza mężczyznami były także kobiety starsze i młodsze oraz kilkunastoletni chłopcy, pełniący funkcje łączników, choć czasami walczyli także z bronią (którą sami zdobyli) w ręku. Po przyjeździe do obozu kobiety zostały umieszczone – o ile pamiętam – w innym sektorze. Chłopcy natomiast mieli w naszym sektorze osobny barak.

Wiedząc, że chłopcy chodzą ciągle głodni, uznaliśmy, że powinni skorzystać z zaproszenia Francuzów. Tak więc pewnego popołudnia, kiedy kucharze mieli już wolne po obiedzie, grupa chłopców udała się z wartownikiem do kuchni. Zobaczyli stoły zastawione różnymi potrawami i przede wszystkim stosy czekolady. Francuzi zaprosili ich do stołu, a kiedy chłopcy zajęli się jedzeniem, gospodarze zaczęli ich obejmować, pieścić, obmacywać. Chłopcy narobili krzyku i łapiąc ile się da czekolady, wybiegli z kuchni do czekającego wartownika.

Jeszcze tego dnia dowiedzieliśmy się o tym. Zapadła decyzja, o której powiadomiono naszego męża zaufania. I tutaj kolejne wyjaśnienie: każda grupa jeńców wybierała spomiędzy siebie jedną osobę, znającą dobrze język niemiecki. Osoba ta zwana mężem zaufania (Vertrauertsmann) miała prawo prowadzić rozmowy z władzami obozowymi, przekazywać zarządzenia i przedstawiać postulaty jeńców. W sprawie chłopców zdecydowano, że nie będą opuszczać naszego sektora, a jeśli francuscy kucharze chcą dać im trochę jedzenia, mogą to zrobić za pośrednictwem męża zaufania. Nie muszę chyba dodawać, że Francuzi nawet nie odpowiedzieli na naszą propozycję. Na szczęście niedługo po tej aferze wydano nam paczki i problem jedzenia przestał być aż tak palący.

Drugi skandal, który nami dosłownie wstrząsnął, miał miejsce parę dni później. Tutaj muszę się nieco cofnąć w czasie. Niemal zaraz po naszym przyjeździe, pojawił się mąż zaufania polskich jeńców z 1939 roku. Jak się później dowiedziałem, nazywał się Pośpiech (imienia nie znam) i miał rangę chorążego, w tamtych czasach najwyższy stopień podoficerski. Pamiętam, jak elegancko wyglądał w nienagannie uszytym mundurze i błyszczących butach z cholewami, zwanych oficerkami. Były zresztą przedmiotem moich marzeń w młodości. W jaki sposób chorąży Pośpiech mógł mieć ubrania robione na zamówienie, można się było z łatwością domyślić. Dysponując od pięciu lat kapitałem w postaci papierosów i kawy (którą Niemcy, nie wiadomo dlaczego, nazywali „Bonnekaffee", być może dla odróżnienia od zbożowych Ersatzów, które pili na co dzień), był bogatszy niż obozowe władze. Mógł zatem bez trudu zamówić u niemieckich rzemieślników uszycie munduru i butów. Mężowie zaufania poszczególnych sektorów narodowościowych w naszym obozie (polski, belgijski, jugosłowiański, radziecki a nawet włoski, w którym znajdowali się przybyli na krótko przed nami żołnierze marszałka Badoglio, rozbrojeni przez Niemców po upadku Mussoliniego) stanowili prawdziwą elitę. Mieli prawo swobodnego poruszania się pomiędzy ściśle oddzielonymi i strzeżonymi sektorami, dysponowania paczkami Czerwonego Krzyża i reprezentowania jeńców. Dawało im to mocną pozycję wobec władz obozowych. Przypomnę, że każdy z nich mówił płynnie po niemiecku.

Chorąży Pośpiech w tych pierwszych najcięższych dniach często odwiedzał nasz sektor,

zarówno część męską jak i żeńską. Nie jestem pewien, ale mogę przypuszczać, że poza Polkami nie było dotąd w obozie żadnych kobiet. Obiecywał, że będzie popierał naszego nowo wybranego męża zaufania w jego rozmowach z władzami obozowymi na temat poprawy warunków, w których znajdowaliśmy się wówczas. Jak już pisałem, nie uległy one żadnej poprawie do czasu przyjazdu delegacji Czerwonego Krzyża. Tak więc nie wiadomo czy starania chorążego były mało skuteczne, czy może w ogóle ich nie podjął.

Pewnego poranka dotarła do nas wiadomość, że chorąży Pośpiech zorganizował dla oficerów niemieckich z komendantury obozu przyjęcie z udziałem kilkunastu dziewcząt. Namówił je pod pretekstem, że będą się mogły rozerwać, potańczyć a przede wszystkim najeść do syta. Wygłodzone dziewczęta szybko spito i co było potem – nie trudno się domyślić. Można oczywiście zarzucić dziewczętom naiwność i nieostrożność. Ale to w niczym nie usprawiedliwia zbrodniczego – nie waham się użyć tego mocnego słowa – czynu chorążego.

Odbyły się burzliwe debaty, w rezultacie których jednogłośnie podjęto decyzję. Jeśli chorąży Pośpiech zjawi się w naszym sektorze, zostanie pod jakimś pretekstem zwabiony do jednego z baraków i bez względu na konsekwencje… zgładzony. Uważaliśmy, że tylko śmierć winowajcy może zmyć hańbę naszych dziewcząt, walczących razem z nami w powstaniu.

Prawdopodobnie chorąży Pośpiech dowiedział się w jakiś sposób o wrogiej atmosferze panującej w naszym sektorze, a może nawet i o decyzji pozbawienia go życia, ponieważ nigdy więcej go nie zobaczyłem. Potem większość z nas wyjechała z obozu, o czym niebawem napiszę. Przed rozstaniem złożyliśmy uroczyste przyrzeczenie, że po wojnie będziemy go szukać po całych Niemczech. Pamiętam, że byliśmy tak wściekli, że nie przyszło nam nawet do głowy, aby w razie odnalezienia chorążego – oddać go w ręce sprawiedliwości. Nie, my postanowiliśmy po prostu wykonać na nim wyrok śmierci. Cóż, byliśmy młodzi, a cena życia w tamtych czasach była przerażająco niska.

Po zakończeniu wojny przez pierwsze miesiące każdy z nas na własną rękę szukał chorążego Pośpiecha. Bez rezultatu. Może ukrył się przezornie w innym kraju, może zmienił nazwisko? A może jednak ktoś go znalazł i wymierzył sprawiedliwość? O ile nasz wyrok można było nazwać sprawiedliwym.

W tym miejscu muszę zaznaczyć, aby być w zgodzie z wcześniejszymi zapowiedziami, że pisać będę tylko o tym, co sam przeżyłem: obu opisanych wyżej plugawych wydarzeń nie widziałem na własne oczy. Mówili o nich wszyscy jeńcy, co nie dowodzi jednak ich prawdziwości. Mogły być zwykłymi plotkami. Opisałem je szczegółowo dlatego, że odegrały w życiu obozowym ważną rolę, niezależnie od tego czy były oparte na rzeczywistych faktach. Podobną rolę od tysięcy lat spełniają – jak wiadomo – mity. Pełnią niezwykle ważną funkcję integrującą daną grupę społeczną: plemię, naród, klasę czy kilkuset jeńców. Mało tego, wyznaczają pewne normy oraz wyzwalają emocje. I – jak wiadomo – takie mity mogą obok niewątpliwych funkcji konstruktywnych stać się również czynnikiem destrukcyjnym. Historia dostarcza nam ogromną ilość przykładów potęgi mitów.

Praca w obozie

Jeszcze raz odwołam się do Konwencji Genewskiej, która – jak mi mówiono – przewidywała, że oficerowie zgrupowani w Oflagach (Offizierenlager) nie mogli wykonywać żadnych prac dla obozu. Natomiast w Stalagach (Stammlager) podoficerowie mogli, choć nie musieli – wykonywać pewne prace związane z funkcjonowaniem obozu. Zaś wykonywanie tych prac należało do obowiązków szeregowców. I tu otworzyło się pole dla szykanowania jeńców z warszawskiego powstania. Już w czasie pobytu w obozie podejrzewałem, że komendantem naszego obozu – Stalagu XB w Sandbostel, był ktoś nienawidzący jeśli nie wszystkich Polaków, to na pewno tę tzw. cywilbandę z Warszawy. O paru szykanach już pisałem. Po wyjeździe delegacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża nastąpiły następne, oczywiście nienaruszające Konwencji.

Wśród jeńców była grupa (nie wiem jak liczna) kobiet starszych i młodszych. Złożona głównie z szeregowców. Podobnie było z kilkunastoletnimi chłopcami, którzy jako niepełnoletni nie mogli mieć podoficerskich stopni. Komendant zarządził, że poza sprzątaniem terenu obozu, muszą także przywozić ze stacji zaopatrzenie i opróżniać zawartość latryn. Kobiety i chłopcy są jeńcami i obok praw muszą także wypełniać obowiązki, płeć i wiek nie mają znaczenia. O ile sprzątanie terenu w obrębie obozu, podobnie jak wewnątrz baraków, nie budziło niczyich zastrzeżeń, o tyle obarczanie kobiet i chłopców tak ciężką pracą jak pchanie naładowanych ciężkich wagoników wąskotorowych i ciągnięcie beczkowozów z odchodami – wywołało oburzenie. Ale protest naszego męża zaufania nie przyniósł żadnego rezultatu. W komendzie obozu usłyszał, że prawo jest prawem i musi być respektowane. „A niby kto miałby te czynności wykonywać?", zadano obłudne pytanie.

Kiedy zobaczyliśmy, w jakim stanie dziewczęta i chłopcy wracają po wykonaniu „tych czynności", zwołaliśmy w jednym z baraków zebranie i postanowiliśmy, że będziemy zgłaszać się dobrowolnie zamiast nich: za jednego szeregowca, kobietę czy chłopca – jeden podoficer. Myślę, że warto nieco szerzej opisać tę historię, ponieważ – o ile wiem – nie wydarzyła się dotąd w jenieckich obozach (Kriegsgefangenelager).

Brukiew jest rośliną warzywną i prawdopodobnie była łatwa w uprawie, skoro stała się podstawowym składnikiem pożywienia w niemieckich obozach. Nawet w latach okupacji w Łodzi i Warszawie nigdy jej nie jadłem. W obozie gotowano na niej – o ile pamiętam – zupę codziennie. Nigdy nie zapomnę jej smaku. Na stacji kolejowej, oddalonej o kilkanaście kilometrów, stały wagony z brukwią, ziemniakami i brykietami. Inne produkty dowożono samochodami wprost do obozowych magazynów. Między stacją a obozem zbudowano linię wąskotorową z wagonikami - wywrotkami podobnymi do tych, których używa się w kopalniach. Zadanie jeńców polegało na pchaniu pustych wagoników od obozu do stacji, załadowaniu brukwi, ziemniaków, brykietów i pchanie w drodze powrotnej pełnych wagoników. Dla mężczyzn przyzwyczajonych do ciężkiej pracy fizycznej nie było to zbyt wyczerpujące, ale przekraczało siły niedożywionych dziewcząt i chłopców. Moje również. Skoro jednak podjąłem się zastępstwa, pewnego dnia – kiedy przyszła moja kolej – ruszyłem po południu wraz z innymi po raz pierwszy poza obozowe druty. Pchałem ciężkie żelazne wagoniki do bocznicy kolejowej. Tam przeładowaliśmy brukiew, ziemniaki i brykiety z towarowych wagonów do naszych wagoników, poczem ruszyliśmy w powrotną drogę. Strażnicy bacznie nas obserwowali, ponieważ wiedzieli z doświadczenia, że jeńcy wykorzystują każdą okazję, aby zdobyć dodatkowe jedzenie. Tym bardziej, że widzieli

puste chlebaki, które przezornie zabraliśmy ze sobą. Ci z nas, którzy byli pierwszy raz, liczyli, że uda się, korzystając z nieuwagi strażników, wrzucić do chlebaka lub kieszeni choć parę ziemniaków. Które potem można by upiec w plasterkach na blasze żelaznego piecyka, znajdującego się w baraku. Bardziej doświadczeni jednak doradzali półgłosem, aby niczego nie brać, gdyż przy wejściu do obozu, czyli „na bramie" może być rewizja i wszystko zostanie skonfiskowane. Ziemniaków wprawdzie nie da się niestety jeść na surowo, ale brukiew, choć obrzydliwa w smaku, jest jadalna w każdej postaci. Skorzystałem wraz z innymi z tej rady i pod osłoną gęstniejącego zmroku, ciągle obserwując strażników, wyjąłem z wagonika jedną brukiew. Była pokryta wilgotną ziemią. Nie przerywając pchania ramieniem wagonika, wolno zacząłem scyzorykiem obierać brukiew. Zdjąłem całą łupinę i ciągle obserwując strażników, zacząłem jeść. Smak surowej, w dodatku nieumytej i nieosolonej brukwi był wstrętny. Ale jednak był to dodatkowy pokarm. Jadłem powoli, ale zanim dotarliśmy do obozu, po brukwi nie było śladu. Podobnie postąpiło wielu innych. Natomiast ci, którzy naładowali do chlebaków i kieszeni ziemniaki – stracili wszystko. Przy bramie strażnicy poddali nas starannej rewizji. Ja ze złośliwą satysfakcją pokazałem pusty chlebak i takie same kieszenie, co wartownik skwitował krótko: „Ja, gut". Ci, którzy liczyli, że uda im się cokolwiek przemycić, patrzyli z wściekłością, jak wyjmowano z ich chlebaków i kieszeni wszystko aż do ostatniego ziemniaka. Była to nauczka, że w obozie należy od razu korzystać z każdej okazji, aby się najeść.

O wiele gorszą pracą było opróżnianie latryn i wywożenie ich zawartości na dalekie pola. Wyjaśniam, że latryna to najprymitywniejszy rodzaj ubikacji. Tzw. odchody zbierają się w ogromnym dole i co pewien czas trzeba go opróżniać. Kiedy zatem latryna jest pełna, jeńcy przyciągają beczkowóz, który zawartością dołu napełnia się przy pomocy rury i pompy. A następnie beczkowóz wywożą poza obóz. Kiedy przyszła kolej na mnie, zaprzęgnięty wraz z innymi kolegami, czułem się jak dawni niewolnicy. Wyciągnęliśmy beczkowóz daleko od obozu, na pola od pięciu lat „użyźniane" odchodami jeńców. Była to jedna wielka kloaka. Grzęźliśmy w cuchnącej mazi. Najzręczniejszy z nas wyciągnął z tyłu beczkowozu duży czop uważając, aby zawartość nie chlusnęła na niego. Ruszaliśmy do przodu, a za nami z chlupotem wylewała się zawartość beczkowozu. Kiedy wróciliśmy do obozu, przez dłuższy czas czuć było od nas ohydny smród. Ponieważ do niewoli poszedłem w zwykłych, cienkich pantoflach, całkowicie przeciekły w czasie tego „spaceru". Próbowałem je myć w umywalni, ale tam była tylko zimna woda. Nigdy nie udało się usunąć całkowicie z pantofli smrodu kału i moczu.

I jeszcze jedno wspomnienie związane z myciem. Po miesiącu pobytu w obozie, poszliśmy znowu do łaźni. Zauważyliśmy, że radzieckimi jeńcami, którzy tam pracowali, kierował wysoki, barczysty Rosjanin. Różnił się od pozostałych nie tylko wzrostem, ale także rysami twarzy i zachowaniem. Był typem tzw. Wielkorusa, podczas gdy inni wyglądali na mieszkańców południowo - wschodnich republik. Widać było ponadto, że naprawdę bali się swojego kierownika. Po wyjściu spod prysznica, w czasie ubierania, stojący obok mnie kolega zapytał: „Widzisz tego dużego? Czy on też jest bolszewikiem?" A ja na to: „Chyba nie. Wygląda zbyt inteligentnie". Wtedy ów Rosjanin, kierujący łaźnią, popatrzył na mnie i zadał pytanie łamaną polszczyzną: „A co, czy bolszewik nie może być inteligentny?" Przyznaję, że poczułem się głupio.

Znacznie później powiedziano mi, że władze radzieckie starały się, aby w każdej większej grupie jeńców znalazł się jeden zakonspirowany oficer polityczno - wychowawczy. Miał pilnować współtowarzyszy, słuchać tego, co mówią, obserwować jak się zachowują i – być

może – prowadzić szkolenie ideologiczne. A po zakończeniu wojny?... Prawdopodobnie kierownik łaźni w naszym obozie był właśnie takim oficerem. Ale oczywiście nigdy nie poznałem prawdy.

Wyjazd z obozu

Złe warunki i bezczynność były dla mnie przygnębiające. Nigdy w moim długim życiu nie potrafiłem „nic nie robić". Nawet na plaży, opalając się – czytałem. W czasie tzw. odpoczynku musiałem „coś robić", do czegoś zmierzać. Innymi słowy, być czymś ustawicznie zajęty. Nie rozumiałem, jak moi koledzy mogli całymi godzinami spacerować po obozie bez celu, albo leżeć bezczynnie na pryczy. Ja „zabijałem" czas, notując na zabranych z Warszawy kartkach papieru tytuły ulubionych utworów i książek. Kiedyś przez cały dzień przypominałem sobie daty historyczne. Udało mi się zapisać ponad pięćdziesiąt dat tylko z okresu Polski dzielnicowej. Byłem z siebie dumny, a najbliżej leżący na pryczy koledzy patrzyli na mnie z uznaniem.

A propos prycza. W baraku, do którego przenieśliśmy się przed przyjazdem delegacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, nie było pojedynczych prycz piętrowych, które znamy z filmów. W naszym baraku wzdłuż jednej ściany zbudowano jedną dużą piętrową pryczę. Tak więc jeńcy leżeli obok siebie. Kiedy dowiedzieliśmy się o „przeprowadzce" do tego baraku, ustaliliśmy między sobą, że paru najsilniejszych wdrapie się od razu na górną pryczę i pomoże pozostałym. Widzieliśmy bowiem w innych barakach, jak to wygląda i było jasne, że górna jest lepsza. Prycze zrobione były z desek, pomiędzy którymi utworzyły się szpary. Ponieważ leżeliśmy w butach, przez te szpary sypało się na dół błoto, ziemia, piach. Nie mogę sobie przypomnieć czy dostaliśmy sienniki, czy spaliśmy na deskach. Jeśli były sienniki, na dół sypała się dodatkowo pokruszona słoma. Nic zatem dziwnego, że górna prycza była bardziej pożądana.

Wpadliśmy do baraku i zgodnie z planem zajęliśmy górę. Nie obeszło się przy tym bez awantur, bo blokowaliśmy dostęp, spychając bez pardonu innych amatorów miejsca na górze. Kiedy moi koledzy słyszeli z dołu przekleństwa rzucane pod naszym adresem, odpowiadali tzw. wiązankami. Ja w tamtym czasie nie umiałem jeszcze kląć, gdyż dopiero poznawałem te obsceniczne słowa. „Wiązanki" moich kolegów operowały tak bogatym słownictwem, że raz usłyszeliśmy z dołu pełne niekłamanego podziwu zdanie: „Inteligenty, a tak potrafią kląć!".

Tutaj muszę z przykrością stwierdzić, że niestety podział jeńców na podoficerów i szeregowców był wyraźny, choć tę sprawę przemilcza się w publikacjach. Dawał o sobie znać zadawniony antagonizm pomiędzy „inteligentami" a wszystkimi innymi. Pamiętam, jak w czasie okupacji w Warszawie, aby wysiąść, musiałem przepychać się z wiolonczelą przez zatłoczony tramwaj. Usłyszałem wówczas wypowiedzianą opryskliwą a zarazem bezsensowną uwagę jakiejś tęgiej kobiety: „Myśli że taki ważny, bo ma okulary!". Sądzę, że w obozie wina leżała po obu stronach. My, „inteligenci", woleliśmy trzymać się razem, łączyły nas podobne zainteresowania, przeczytane książki, posiadane wiadomości, pochodzenie społeczne. Pozostali czuli się zapewne urażeni tą izolacją, którą uważali za „wywyższanie się". Choć mieliśmy za sobą wspólną walkę w powstaniu, a teraz wspólny los jeńców – różnice pozostały. Czy którakolwiek ze stron naprawdę chciała je usunąć – nie jestem wcale taki pewien.

O ile mogę sobie przypomnieć, mniej więcej w miesiąc po naszym przybyciu do obozu Niemcy ogłosili, że możemy zgłaszać się ochotniczo na tzw. roboty. I znowu dowiedziałem się, że zgodnie z Konwencją Genewską oficerom nie wolno pracować, nawet jeśli wyrażą taką chęć. Ale pozostałym wojskowym, to znaczy podoficerom i szeregowcom wolno. Oferowano nam wyjazd do Karyntii, austriackiego regionu w pobliżu Włoch i Jugosławii. Zaczęliśmy się zastanawiać. Mieliśmy już dość zamknięcia za drutami, monotonii bytowania w obozie i oglądania ciągle tych samych twarzy. Dodatkowo nam, podoficerom, dawała się we znaki praca wykonywana za dziewczęta i chłopców; szczególnie wywożenie ekskrementów z latryny. Ponadto, jak już pisałem, nasz obóz położony był na rozległych torfowiskach gdzieś na północy Niemiec. Pogoda była paskudna: zimno, wietrzno i deszczowo. Karyntia znajdująca się na południu, jawiła się jako coś znacznie lepszego. Ale niebawem dowiedzieliśmy się, że chodzi o pracę w fabryce amunicji. To zniechęciło większość z nas. Praca niebezpieczna, a w dodatku słyszeliśmy o nalotach na zakłady zbrojeniowe. Część kolegów, bardziej niecierpliwych, zdecydowała się jednak wyjechać. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że z trudem przeżyli liczne bombardowania i jeszcze cięższe niż w obozie warunki egzystencji.

Kolejna propozycja była na pierwszy rzut oka atrakcyjna. Praca w Hamburgu, w stoczni Howaldta. Wielkie miasto, potężny zakład przemysłowy. Niektórzy napomykali o alianckich nalotach na ten największy port niemiecki. Ale ja i paru innych kolegów nie chcieliśmy o tym słyszeć. Padł nawet naiwny argument: przeżyliśmy powstanie to przeżyjemy i Hamburg. W konsekwencji z naszego baraku zdecydowała się niewielka grupa, ale łącznie z ochotnikami z innych, zebrało się nas 250 osób. W pierwszych dniach grudnia otrzymaliśmy suchy prowiant, paczkę Czerwonego Krzyża i wyruszyliśmy w drogę. Nazywaliśmy się odtąd „Komando Howaldt". Otworzył się nowy rozdział w moim jenieckim życiu.

Podróż pociągiem całkowicie wyleciała z mojej pamięci. Nie pamiętam nawet czy była krótka czy długa. Natomiast wyraźnie widzę naszych podstarzałych strażników, których nazywaliśmy Wachmanami.

Z dworca wymaszerowaliśmy późnym popołudniem. Wzdłuż ulic widzieliśmy tylko ruiny i ruiny. Widocznie ta dzielnica została zbombardowana w tzw. nalocie dywanowym, o którym czytaliśmy jeszcze przed powstaniem w „Biuletynie Informacyjnym". Samoloty alianckie po przełamaniu niemieckiej obrony przeciwlotniczej, systematycznie niszczyły całą dzielnicę, kwartał po kwartale, ulicę po ulicy, dom po domu. Po takim dywanowym nalocie zostawały same ruiny. Patrząc na zburzone domy i całkowicie opustoszałe ulice, przypomnieliśmy sobie Warszawę po powstaniu. I uświadomiliśmy sobie nasz błąd, Hamburg nie będzie bezpiecznym schronieniem.

Maszerowaliśmy w milczeniu i w pewnej chwili zaczęliśmy mijać jakąś kolumnę. Pomimo zapadającego zmroku zobaczyliśmy, że były to kobiety – więźniarki. Po raz pierwszy zobaczyłem pasiaki i usłyszałem stukot drewnianych trepów. Kobiety o poszarzałych twarzach wlokły się ospale, otoczone strażnikami o mongolskim wyglądzie. A kiedy wyprzedziliśmy kolumnę, zobaczyłem na obszytych czarnym „barankiem" czapkach strażników trupie główki. Byli to zatem wartownicy obozu koncentracyjnego. Zastanawiałem się jakiego. Niebawem zobaczyliśmy strażnicze wieże. A na nich stojących wartowników o takich samych płaskich twarzach i skośnych oczach. I czapkach z trupimi główkami. Zrozumieliśmy, że idziemy do tego samego obozu, co wynędzniałe więźniarki. Było to łamanie międzynarodowego prawa. Zanim jednak zdążyliśmy zrobić cokolwiek, brama obozowa otworzyła się i weszliśmy do środka. A za nami kolumny wracających

z pracy więźniów i więźniarek w pasiakach. „Mütze ab!" – brzmiała komenda, kiedy kolejna grupa mijała bramę. I wszyscy więźniowie zdejmowali czapki, obnażając ogolone głowy. My zachowaliśmy czapki, nas ten rozkaz nie dotyczył. Nie wiedzieliśmy jednak nadal, dlaczego znaleźliśmy się w takim obozie i pod taką strażą.

Rozdział XI

HAMBURG

Wiedza, jaką posiadałem o Hamburgu jesienią 1944 roku, była niewielka. Drugie (po Berlinie) co do wielkości miasto niemieckie liczyło przed wojną ponad milion mieszkańców. Zarazem największy niemiecki port. Bombardowania w roku 1943 zniszczyły znaczną część miasta. No i wiedziałem oczywiście, że już od XIII wieku Hamburg był członkiem Hanzy. Ale czy te informacje miały jakikolwiek związek z tym, że stałem teraz na placu apelowym w środku obozu koncentracyjnego? I patrzyłem na stojących naprzeciwko mnie wynędzniałych więźniów w pasiakach? Wprawdzie mnie i moich kolegów chroniła Konwencja Genewska, ale po Niemcach mogliśmy spodziewać się wszystkiego. Nawet łamania międzynarodowych traktatów. Słyszeliśmy jeszcze w Warszawie, że zdarzały się wypadki mordowania przez SS lotników angielskich ze strąconych samolotów. A czym różnili się od SS-manów strażnicy z trupimi czaszkami na futrzanych czapkach, stojący na wieżyczkach, przy bramie i wokół więźniów w pasiakach?

Pierwszy dzień w nowym obozie

Przy akompaniamencie wrzasków strażników rozpoczął się apel więźniów. Po skończonym odliczaniu więźniowie rozeszli się do baraków. My nadal czekaliśmy. Nagle zobaczyliśmy idących w naszą stronę Niemców. Na czele oficer SS, a za nim podoficer i paru żołnierzy Wehrmachtu. Zatrzymali się przed nami, a mąż zaufania w stopniu sierżanta, którego wybraliśmy jeszcze w Stalagu, wydał komendę „W dwuszeregu zbiórka!" Kiedy – choć z wyraźną niechęcią – ustawiliśmy się jak na żołnierzy przystało, oficer SS rozpoczął przemowę, tłumaczoną przez naszego męża zaufania.

Dowiedzieliśmy się, że na czas pracy w stoczni, będziemy zajmować dwa baraki w obozie, którego przemawiający oficer SS był komendantem. Towarzyszący mu podoficer (der Unteroffiezier) Wermachtu będzie dowodził naszą jeniecką grupą. Ten stopień w niemieckiej armii, pośredni pomiędzy kapralem a sierżantem, odpowiadałby mniej więcej w polskim wojsku stopniowi starszego kaprala lub plutonowego). Strażnikami będą zgodnie z prawem żołnierze Wehrmachtu, co komendant z naciskiem podkreślił. Będziemy mieli również osobną kuchnię, ponieważ jako jeńcy wojenni otrzymujemy inne, większe racje żywnościowe. Ale dyscyplina obozu będzie również dotyczyła nas i jej naruszenie narazi winnych na regulaminowe kary. Komendant wyjaśnił, że znajdujemy się na terenie obozu wychowawczego (der Erziehungslager) i jakikolwiek kontakt z więźniami jest surowo zabroniony. Powtórzył to raz jeszcze z wyczuwalną groźbą w głosie, zaznaczając, że więźniowie są przestępcami.

W tym przemówieniu – jak potem komentowaliśmy złośliwie – zabrakło tylko życzenia „miłego pobytu".

Następnie zabrał głos Unteroffiezier, komendant naszej grupy, informując o rozkładzie dnia, pracy w stoczni oraz przepisach obozowych. Mąż zaufania z pewnym trudem przetłumaczył oba „przemówienia", a potem przydzielił nam baraki, podoficerom mniejszy, a szeregowcom większy, ponieważ – co oczywiste – było ich znacznie więcej.

Baraki były w miarę przyzwoite: piętrowe prycze z siennikami i kocami, parę stołów i duża ilość stołków oraz sporych rozmiarów piec z niewielką ilością brykietów.

Po pewnym czasie komendant naszej grupy opowiedział mężowi zaufania, że nazywa się Hildebrandt, był sportowcem i brał udział w igrzyskach olimpijskich w 1936 roku. Po zmobilizowaniu zachorował i pomimo chęci nie był zdolny do służby frontowej. Pozostał jednak w wojsku i pełnił różne funkcje „na tyłach". A my przypuszczaliśmy, że po prostu wykorzystał swoje sportowe znajomości, aby się wykręcić do pójścia na front. O ile pamiętam, takich osobników nazywano kiedyś dekownikami.

W nowym obozie, podobnie jak w całym Hamburgu, obowiązywało pełne zaciemnienie. Barak był oświetlony jedną żarówką, ale na zewnątrz nie paliła się żadna lampa. Przekonałem się o tym, kiedy chciałem pójść do latryny. Ponieważ panowała pochmurna pogoda, po zamknięciu drzwi otoczyła mnie całkowita ciemność. Ruszyłem przed siebie jakimś chodnikiem. Doszedłem do drutów. Skręciłem, szukając stopą kamieni chodnika. Po kilkudziesięciu krokach znowu natknąłem się na druty. Poszedłem w przeciwna stronę. W całkowitej ciszy moje kroki rozbrzmiewały donośnie. Nagle usłyszałem chrapliwy ryk, bo trudno by było inaczej nazwać ten głos. Słów nie rozróżniłem. Niestropiony szedłem dalej. Wtedy rozległ się tupot podkutych butów, zmierzający w moją stronę. Domyśliłem się, że to zapewne obozowy strażnik, ale ponieważ poruszanie się po obozie nie było zabronione – postanowiłem nie reagować. Błysnęła latarka i tuż przed sobą zobaczyłem niższą ode mnie postać obozowego strażnika. I charakterystyczną czarną futrzaną czapkę z czerwonym deklem i srebrną trupią czaszką. I szeroką, płaską twarz o mongolskich rysach. W jednej dłoni trzymał latarkę, a drugą zacisnął w pięść, którą podniósł w widocznym zamiarze uderzenia w moją twarz. Wziął mnie najwidoczniej za więźnia. Ale kiedy w świetle latarki zobaczył zamiast „pasiaka" wojskowy pas i dystynkcje, wzniesiona do ciosu ręka zamarła w powietrzu. A ja – co pamiętam dokładnie – zapytałem po niemiecku spokojnie i wyraźnie: „Gdzie jest ubikacja?" („Wo ist der Abort?"). Strażnik z wyraźną niechęcią opuścił rękę, przez chwilę milczał, jakby się wahał, a potem wskazał mi drogę. Tak zakończył się mój pierwszy dzień w nowym obozie.

Praca w stoczni

Od razu następnego dnia wyruszyliśmy do stoczni Howaldta, podobno największej w Hamburgu. Rzeczywiście już na pierwszy rzut oka widać było rozległe tereny zajęte przez rozmaite budynki, warsztaty, dźwigi, pochylnie. Kiedy w roku 1971 miałem okazję przez parę dni przebywać w hamburskim porcie, widziałem w oddali ogromne tablice z napisem „Howaldts Werke". Wybuchały wojny, padały imperia, zmieniały się ustroje – a gigantyczne firmy nadal istniały i działały. Czyżby to był dowód wyższości kapitału nad polityką?

Przydzielono nas po dwóch-trzech do pomocy robotnikom, na ogół mężczyznom w starszym wieku, którzy byli czymś w rodzaju majstrów, brygadzistów czy kierowników. Nazywano ich vorarbeiterami. Mieli wyznaczać nam każdego dnia pracę, instruować i kontrolować. Dla mnie mój „szef" wybrał prostą czynność wiercenia dziurek w metalowych

kółkach. Pokazał, jak należy te kółka o średnicy 25-30 cm umocowywać w imadle (po raz pierwszy w życiu widziałem taki przyrząd!) i wiercić dziurki w zaznaczonych miejscach. Było to łatwe zadanie, choć może powinienem raczej napisać „byłoby". Nigdy dotąd nie miałem w rękach elektrycznej wiertarki i kiedy ją włączyłem, nie miałem dość sił, aby ją utrzymać. Byłem, jak już pisałem, od najwcześniejszego dzieciństwa chorowity i słaby, nigdy nie pracowałem fizycznie, a w dodatku zupełnie niewystarczające wyżywienie obozowe nie dodawało siły. Tak więc z trudem utrzymywałem wiertarkę i wiertło skakało na wszystkie strony. A to powodowało, że pękało. Vorarbeiter złościł się, klął, znowu pokazywał, jak należy wiercić i pytał czy rozumiem. Potakiwałem, ale moje „rozumienie" ani nawet dobra wola nie wystarczały, aby z dostateczną siłą trzymać wiertarkę. I kolejne wiertło pękało. O ile pamiętam, nie udało mi się wywiercić ani jednej dziurki na pożytek Wielkoniemieckiej Tysiącletniej Rzeszy.

Po paru nieudanych próbach vorarbeiter zrezygnował i przydzielił mnie do porządkowania narzędzi i sprzątania hali. A kiedy następnego dnia wręczyłem mu połówkę amerykańskiego papierosa z mojej paczki Czerwonego Krzyża, nasze stosunki ułożyły się całkiem poprawnie. Codziennie dawałem mu pól papierosa, a on odwzajemniał się połową przynoszonego z domu drugiego śniadania. Były to dwa cieniutkie plasterki chleba z pasztetem lub serem. Ponadto mogłem spać pod warsztatem, jeśli nie miałem akurat jakichś prac porządkowych. A codziennie mój vorarbeiter składał pisemny raport, z którego wynikało, że jeniec wojenny Nr 119223 wykonał zadowalająco powierzone mu zadania.

W hali razem z nami pracowali Holendrzy. Nie wiem, czy byli jeńcami czy tzw. przymusowymi robotnikami i od jak dawna znajdowali się w stoczni. Sprawiali wrażenie swobodnych, a nawet zadowolonych. Byli to rośli mężczyźni, ubrani w robocze kombinezony. Rozmawiali głośno, nawoływali się beztrosko i raz po raz wybuchali śmiechem. Niemieccy vorarbeiterzy odnosili się do nich z respektem. A może byli to wykwalifikowani pracownicy holenderskich stoczni?

Pewnego dnia jeden szeregowiec z naszej grupy, wyglądający na mało rozgarniętego, zaczepił mnie, pytając:

- Ty, kapral, powiedz: te Holendry to Żydy?

Byłem zaskoczony. Zamiast odpowiedzieć, zapytałem:

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo tak szwargocą jak Żydy.

Próbowałem wyjaśnić, że Holendrzy są pochodzenia germańskiego i stąd ich język jest zbliżony do niemieckiego. Dlatego wydaje się podobny do żydowskiego, czyli jidysz. Nie wiem, czy to tłumaczenie było wystarczające, ponieważ mój rozmówca oddalił się, kiwając bez przekonania głową. Przytaczam ten zabawny incydent, gdyż stanowi charakterystyczna cechę wielu Polaków, wietrzących wszędzie Żydów. W późniejszych latach parokrotnie musiałem prostować mylne opinie określające Włochów, Hiszpanów czy Węgrów jako Żydów, jedynie na podstawie paru zewnętrznych cech: np. koloru włosów, garbatego nosa, sposobu gestykulacji.

Większość naszej grupy nie była zadowolona z pracy w stoczni. Wykonywaliśmy setki sztuk jakichś drobnych elementów, nie wiadomo do czego służących. Wierciliśmy lub gwintowaliśmy dzień po dniu, tysiące otworów w metalowych kółkach czy uchwytach. Była to praca monotonna i ogłupiająca. Kiedy więc dowiedzieliśmy się, że te drobne metalowe detale przeznaczone są do łodzi podwodnych, postanowiliśmy wykorzystać przepis z Konwencji Genewskiej, zakazujący zatrudniania jeńców wojennych przy produkcji

zbrojeniowej. Przepis jak najbardziej zresztą słuszny. Zmuszanie wziętych do niewoli żołnierzy, aby wytwarzali broń przeciwko swoim własnym walczącym kolegom – byłoby głęboko niemoralne. Oczywiście nasz protest był tylko pretekstem. To, co robiliśmy, nie miało praktycznie żadnego militarnego znaczenia i nie wzmacniało potencjału wojennego Trzeciej Rzeszy. Co innego, gdybyśmy pracowali przy budowie dział, czołgów czy choćby pistoletów maszynowych. Albo wyrabiali amunicję… Mieliśmy jednak pełną świadomość, że po prostu znaleźliśmy dogodny pretekst, aby starać się o zmianę nudnej, nieodpowiadającej nam pracy. Używałem w tym akapicie ciągle liczby mnogiej, pomimo iż sam nie wierciłem ani nie gwintowałem, a jedynie sprzątałem i porządkowałem salę. Ale w dyskusjach, choć zapewne byłem najmłodszym wiekiem podoficerem, często zabierałem głos.

W styczniu 1945 roku nasz mąż zaufania złożył za pośrednictwem komendanta obozu formalne odwołanie ni mniej ni więcej tylko do Oberkommando der Wehrmacht (OKW) czyli Naczelnego Dowództwa Wojskowego. Mąż zaufania opowiedział po powrocie z komendantury obozu, że obecni tam oficerowie SS byli zaskoczeni, ale pismo przyjęli.

W tym miejscu nie mogę powstrzymać się od pewnej refleksji. W styczniu 1945 roku wojna dobiegała końca. Z wyjątkiem malejącej grupki fanatyków, Niemcy mieli już świadomość nadciągającej nieuchronnie klęski. Jak wiadomo z historii, wojska radzieckie ruszyły znad Wisły do ostatniej zimowej ofensywy i parły nieustępliwie w kierunku Odry. Alianci wyzwolili już niemal całe Włochy, Bałkany, Grecję, Francję i wkroczyli w granice Rzeszy. Miasta niemieckie, a szczególnie Berlin, były bezustannie bombardowane. Nawet my za drutami obozu wiedzieliśmy o tym z komunikatów radiowych, a także od Wachmanów i robotników w stoczni. I w takiej oto sytuacji nasze pismo trafiło do odpowiedniego urzędnika, który uznał protest małej, 250-osobowej grupy jeńców za zasadny. W marcu 1945 roku, niecałe dwa miesiące przed kapitulacją Rzeszy, komendant obozu otrzymał oficjalną decyzję. OKW nakazało wycofać nas ze stoczni i zatrudnić przy odgruzowywaniu i porządkowaniu ulic Hamburga.

Decyzję przyjęliśmy z satysfakcją, że – jak się to mówi – postawiliśmy na swoim. Ale również kpiliśmy z przysłowiowego niemieckiego „Ordnung muss sein". Właśnie to zamiłowanie do porządku, nawet w najdrobniejszych sprawach, staje się szczególnie cenne w czasach upadku. Może dzięki temu Niemcy tak szybko po wojnie stały się znowu silnym państwem?

Marzec 1945

Tak więc w marcu ostatniego roku wojny wyszliśmy na ulice Hamburga. Sprzątaliśmy gruz z chodników i jezdni po nocnych bombardowaniach, o których osobno napiszę później. W paroosobowych grupach, kierowanych przez wiekowych pracowników Zakładu Oczyszczania Miasta (być może ściągniętych z emerytur), wykonywaliśmy drobne prace porządkowe, aby zapewnić mieszkańcom Hamburga możliwość poruszania się po ulicach. Była to tzw. syzyfowa praca, ponieważ kolejne naloty obracały w perzynę coraz to nowe dzielnice. Łopatami odgarnialiśmy drobny gruz i śmieci, nie mając żadnych możliwości usunięcia zwalonych murów. A już za całkowicie śmieszne uważaliśmy zbieranie papierków. Jeden z nas ciągnął wózek, a drugi nadziewał każdy leżący na bruku skrawek papieru na specjalny drewniany kij z metalowym szpikulcem. I następnie wrzucał do worka na wózku. Dozorujący nas „dziadek" pilnował, abyśmy przez nieuwagę nie pozostawili jakiegoś

pustego pudełka papierosów czy opakowania po cukierkach. Pewnego dnia jeden z kolegów nie chciał wdrapać się po taki odpadek na leżącą obok chodnika stertę gruzów, uznając to za zbędny wysiłek. Cały dom zburzony, a on ma zabierać strzęp papieru? „Dziadek" zdenerwował się i pchnął naszego kolegę. Wybuchła awantura, ponieważ Konwencja Genewska zabrania stosowania jakiejkolwiek formy przemocy wobec jeńców wojennych. Muszę wyjaśnić, że na ulicach każda grupa pracowała pod dozorem jednego z naszych strażników z Wehrmachtu. Tak więc mieliśmy świadka: jeniec – żołnierz został popchnięty przez cywila. Było to niedopuszczalne i następnego dnia ten „dziadek" już się nie pokazał.

W czasie tych prac, które nazywaliśmy śmieciarskimi, urządzaliśmy sobie zabawę. Ilekroć widzieliśmy zbliżającego się niemieckiego oficera, stawaliśmy na baczność, trzymając w lewej ręce miotłę, łopatę czy kij, a prawą salutując. Przypominam, że mieliśmy prawo po honorowej kapitulacji nosić pasy i dystynkcje. Oficerowie, zwłaszcza jeśli byli w towarzystwie, mieli wyraz zaskoczenia na twarzy, ale – choć czasami z ociąganiem – podnosili ręce do czapek. Tym bardziej, że konwojujący żołnierz Wehrmachtu również salutował razem z nami. Pamiętam, że ta zabawa podtrzymywała nas na duchu.

Praca na ulicach miała jeszcze jedną dobrą stronę, ułatwiała kontakt ze zwykłymi Niemcami. Przy pośrednictwie lub przynajmniej przy milczącym przyzwoleniu Wachmanów, mogliśmy uprawiać wymienny handel. Jak już pisałem, kawa Nesca i przede wszystkim amerykańskie papierosy były niekwestionowaną walutą. Wychodząc do pracy, zabieraliśmy ze sobą parę paczek papierosów lub puszkę kawy i gdzieś w bramie wymienialiśmy na chleb, ser, wędliny. Czasem na buty, sweter lub szalik. Była to w moim przypadku jako niepalącego, cenna pomoc. Kto wie, może właśnie dzięki temu wymiennemu handlowi udało mi się przeżyć niewolę w znośnej formie.

Stałe uczucie, jeśli nie głodu, to w każdym razie niedosytu – pamiętam do dzisiaj, pomimo upływu tylu dziesiątków lat. Moje myśli (podobnie jak innych jeńców) krążyły wokół jedzenia. Niektórzy wieczorem, po zgaszeniu światła, zaczynali głośno marzyć o skwierczącej na tłuszczu pieczeni, albo o czekoladowym torcie, albo o gorącym rosole. I tak dalej i tak dalej. A my słuchając czuliśmy dosłownie ssanie w żołądku. Rozlegały się złorzeczenia i klątwy. Zdarzało się, że w mówiącego rzucano butami. Wprowadziliśmy wreszcie po wielu sprzeczkach całkowity zakaz mówienia o jedzeniu. I przestrzegaliśmy tego konsekwentnie w naszym baraku do końca pobytu w obozie.

I jeszcze dwa wydarzenia związane z niedostatkiem jedzenia. Pewnego dnia po zakończeniu pracy na ulicach Hamburga odwoziliśmy śmieci na śmietnisko obok jakichś, jeszcze niezburzonych dużych domów mieszkalnych. Nagle zobaczyłem zawinięte w gazetę łapy i głowę kaczki. Bez długiego zastanawiania, zabrałem znalezisko do chlebaka. Tutaj uwaga na marginesie. Zgodnie z obozowym powiedzeniem, jeniec nigdy nie rozstaje się z chlebakiem. W dzień nosi go ze sobą, a w nocy podkłada pod głowę. Po powrocie do obozu starannie wymyłem kacze łapy i głowę, a potem ugotowałem w niewielkiej ilości wody z solą. (W paczkach Czerwonego Krzyża zawsze była mała torebeczka z solą). Nie muszę wyjaśniać, że w ten sposób przygotowany bulion wypiłem, a łapy i głowę wylizałem i wyssałem dokładnie.

Innego dnia wyznaczono małą grupę jeńców do porządkowania gospodarstwa nieopodal naszego obozu. Zobaczyliśmy, że dach stodoły zsunął się niemal w całości na ziemię od podmuchu bomby, która uderzyła w sąsiedni budynek. Na odsłoniętym strychu spostrzegłem worki z zeschniętym spleśniałym chlebem i wysuszone obierzyny białych buraków. Domyśliłem się, że była to pasza dla świń lub innych domowych zwierząt. Ponieważ gospodarz

ani na krok nie odstępował nas przy pracy, nie mogłem choćby trochę tych „skarbów" ukryć w chlebaku. Ale kiedy w nocy ogłoszono alarm i szliśmy do schronu, zorientowałem się, że gospodarstwo znajduje się przy jednej z sąsiednich ulic. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z kolegą, a ten zaproponował, aby – wykorzystując nocne ciemności – w drodze powrotnej ukryć się w jakiejś bramie i pobiec do gospodarstwa. Był to ryzykowny plan. Po pierwsze Wachmani mogli nas zobaczyć i potraktować opuszczenie oddziału jako próbę ucieczki. A to groziło aresztem, sądem, więzieniem. Po drugie gdyby jakikolwiek patrol policji lub żandarmerii przyłapał nas na kradzieży – zostalibyśmy bez sądu zastrzeleni na miejscu. Takie – jak nam mówiono – obowiązywało prawo w bombardowanych miastach.

Byliśmy jednak głodni i postanowiliśmy zaryzykować. Kiedy syreny odwołały alarm, a nasz oddział rozpoczął marsz do obozu, my dwaj odskoczyliśmy w bok, ukryliśmy się za jakimś załomem muru, a następnie biegiem ruszyliśmy w stronę gospodarstwa. W ciemności znaleźliśmy drogę na strych, „wymacaliśmy" worki, załadowaliśmy chlebaki do pełna chlebem i obierzynami i ruszyliśmy w pościg za naszym oddziałem. I to wszystko w absolutnej ciszy i gorączkowym pośpiechu. Kiedy już doganialiśmy nasz oddział, jeden z idących z tyłu Wachmanów obejrzał się i wrzasnął: „Was ist los?"

W przypływie „natchnienia" zacząłem kuleć, a kolega wskazując na moją nogę, łamaną niemczyzną zaczął tłumaczyć, że nie mogę iść szybciej. Wachman zaczął nas poganiać machaniem ręką i słowami „schneller, schneller!" Dotarliśmy bezpiecznie do obozu. Do dzisiaj pamiętam, że zeschły chleb, pokryty w niektórych miejscach zieloną pleśnią i twarde wysuszone obierzyny pastewnych buraków naprawdę mi smakowały. Jest to dowód, jak potężną siłę witalną stanowi głód. A może raczej naturalna potrzeba jego zaspokajania.

Wiedzieliśmy, że od jedzenia zależy przeżycie. Dlatego kradzież jedzenia innemu jeńcowi była uznawana za najcięższe przestępstwo. Wynikało to z niepisanego obozowego prawa. Surowego jak surowe były warunki naszego życia.

Pracując cały dzień poza obozem dostawaliśmy dzienną rację jedzenia wieczorem. Już pisałem, że składała się z ¾ litra zupy, paru ziemniaków, kilkunastodekowej kromki chleba, zwanej pajdką oraz kostki margaryny i kostki buraczanej marmolady. Zupę i ziemniaki zjadaliśmy od razu, uzupełniając ten posiłek produktami z paczek Czerwonego Krzyża, a chleb, margarynę i marmoladę zostawialiśmy na rano, aby cokolwiek zjeść przed całodzienną pracą.

Pewnej nocy obudziły nas krzyki i szamotanina. Ktoś zapalił światło i wówczas okazało się, że jeden z kolegów próbował ukraść innemu ową pozostawioną na rano pajdkę chleba.

Opisując nasze obozowe życie, pominąłem ważną kwestię współżycia, czyli tego, co się obecnie nazywa stosunkami międzyludzkimi. Jak już pisałem, jeden z baraków zajęli podoficerowie. Ta kilkudziesięcioosobowa grupa składała się – z wyjątkiem paru przedwojennych zawodowych sierżantów – niemal w całości z dwudziestolatków. Ja byłem bodajże najmłodszy. Nasze współżycie układało się na ogół zgodnie i nie przypominam sobie poważniejszych konfliktów. Oczywiście, szybko utworzyły się większe i mniejsze zaprzyjaźnione grupki, ale ogólne poczucie koleżeństwa było bardzo silne. Z niewielkimi wyjątkami. Jak w każdej społeczności, tak i w naszym baraku znalazły się jednostki, które nie potrafiły lub nie chciały nawiązać kontaktu z innymi. Nie będę wdawał się tutaj w analizę przyczyn, ale stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że nie była to wina większości. Przypuszczam, że przyczyną były pewne cechy charakteru tych jednostek, które z niechęcią muszę określić jako aspołeczne. Sam jestem wyraźnym typem samotnika i przekonałem się o tym wielokrotnie w ciągu mojego długiego życia. Kiedy jednak znajduję

się w jakiejś grupie społecznej, potrafię z nią współżyć. Co więcej, staję się aktywnym członkiem takiej grupy. Natomiast w naszym baraku znalazło się dosłownie parę osób, z którymi nie udało się nawiązać żadnego kontaktu. Sami postawili się poza grupą. Nikt się z nimi nie zaprzyjaźnił i byli wręcz nielubiani. Wśród tych osób była para bliźniaków. Obaj mieli stopień kaprala podchorążego. Ich imiona i nazwiska od dawna wyleciały mi z pamięci. Mogę jedynie odtworzyć ich wygląd. Byli wysokimi blondynami z wyjątkowo jasnymi brwiami. Nazywaliśmy ich wymoczkami. Drażnił nas ospały sposób bycia i mówienia. Na apele wychodzili ostatni i wymigiwali się od wszelkich prac, jak np. sprzątanie baraku czy przynoszenie jedzenia z kuchni.

A teraz złodziejem kradnącym koledze jego cenną pajdkę chleba okazał się jeden z bliźniaków. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy rozstrzygnięcie sprawy zostawić do następnego dnia. Zgasiliśmy światło, aby wykorzystać pozostałe nocne godziny na sen.

Po powrocie z pracy i zjedzeniu obiadu odbyliśmy sąd. Każdy miał prawo głosu, choć sama sprawa nie budziła żadnych wątpliwości. Oskarżony bliźniak powiedział płaczliwie, że „był głodny". Niektórzy zareagowali z oburzeniem. „Wszyscy jesteśmy głodni!", rozległy się okrzyki. Mąż zaufania uciszył hałas i zapytał, jaką karę należy zastosować. Zgodnie postanowiono, że najwłaściwszą będzie chłosta. Ktoś zaproponował 50 uderzeń. Inny dodał: „Klamrami od pasów", trzeci uzupełnił, że „na goły tyłek". Nie było sprzeciwu. Delikwentowi przemocą ściągnięto spodnie i położono go na stole. Do wymierzenia kary zgłosiło się parę osób, wśród nich i ja. Co mną powodowało – nie wiem. Prawdopodobnie uważałem, że kradzież życiodajnej – bez przesady – kromki chleba była czymś wyjątkowo ohydnym. Każdy z bijących uderzał dziesięć razy. Pamiętam, że ostatni z rozpędu wymierzył 11 uderzeń. Natychmiast ustaliliśmy, że następny złapany na kradzieży jedzenia otrzyma dwukrotnie więcej, czyli 102. A tymczasem ukarany bliźniak zsunął się ze stołu płacząc. Na tyłku widać było sine plamy.

Po paru tygodniach został przyłapany następny złodziej. Nie pamiętam, kto to był, choć jakby przez mgłę widzę kogoś krępego i tęgiego. Przypominam sobie, że oskarżony błagał o litość, tłumacząc się, że grubi odczuwają głód silniej niż szczupli. Była to niewątpliwa prawda, ale nie stanowiła usprawiedliwienia. Tym razem nie wziąłem udziału w egzekucji, mając w pamięci widok zsiniałego tyłka bliźniaka. W czasie bicia przypadkowo zajrzał do baraku Wachman, ale nie zareagował. Uznał, jak sądzę, że to wewnętrzna sprawa jeńców, niewymagająca interwencji.

Złodziej otrzymał 102 uderzenia. Jego ciało było ciemnofioletowe z krwawymi wybroczynami. Nie miał sił, aby zsunąć się ze stołu. Jęczał tylko cicho. Ktoś litościwie pomógł mu dojść do pryczy.

Od tej pory w naszym baraku nikt więcej nie próbował kraść jedzenia.

Erziehungslager

Muszę wyznać, że z prawdziwą niechęcią przystępuję do pisania tego podrozdziału. Przywołuję bowiem wspomnienia, które prześladowały mnie przez lata w snach i o których starałem się zapomnieć. Pisząc autobiografię, nie mogę jednak pominąć wydarzeń i związanych z nimi przeżyć, które ponad wszelką wątpliwość w zasadniczy sposób zaważyły na moim światopoglądzie. A może nawet wpłynęły w znacznym stopniu na ukształtowanie tego, co psychologowie nazywają osobowością. Po tym – jak sądzę – niezbędnym wstępie, parę wyjaśnień.

Już przed wojną – jak wiadomo – funkcjonowały w Niemczech obozy koncentracyjne (w Dachau od 1933 roku), noszące różne, często eufemiczne, nazwy. Po zajęciu Polski zwiększyła się ich ilość: obóz w Stutthofie powstał już w roku 1939, a w Auschwitz w 1940. W czasie okupacji dowiadywałem się z prasy podziemnej i ustnych relacji o całym nieludzkim systemie panującym w obozach koncentracyjnych. Kiedy zatem zobaczyłem więźniów w pasiakach i strażników z trupimi główkami na czapkach – nie miałem złudzeń. Obóz, w którym mieliśmy przebywać – nie był Stalagiem dla jeńców wojennych. Ale to, co potem zobaczyłem, przewyższyło moje najgorsze przypuszczenia. Jak zapowiedział komendant obozu, znajdowaliśmy się w obrębie obozu wychowawczego (Erziehungslager). Należałoby dodać: wychowawczego przez pracę. A więźniowie byli przestępcami i dlatego jakikolwiek kontakt z nimi był zabroniony. My, jeńcy, mieszkaliśmy w dwóch osobnych barakach, ale umywalnia i latryna były wspólne. I tam pomimo zakazu mogliśmy wymieniać informacje.

Ta książka w żadnej mierze nie pretenduje do miana dzieła historycznego. Dlatego zawarte w niej fakty, daty, nazwiska mogą być nieścisłe. Przytaczam je przeważnie z pamięci. Jeśli jakiś historyk zechce kiedykolwiek na podstawie wiarygodnych danych poprawić błędy – z góry dziękuję.

A oto informacje uzyskane w umywalni i latrynie od więźniów w czasie mycia i – za przeproszeniem – wypróżniania. Obóz wychowawczy tym się różnił od „zwykłego" obozu koncentracyjnego, że przebywało się w nim określony czas: od 6 do 12 tygodni. Więźniami byli przymusowi robotnicy, którzy popełnili jakiekolwiek wykroczenie, np. odmowa wykonania pracy lub choćby opieszałość, opryskliwa odpowiedź Niemcowi, kradzież ziemniaka czy kawałka chleba, narzekanie na warunki zakwaterowania itd. Na podstawie skargi gospodarza (mówiło się wtedy bauera) na wsi lub majstra w fabryce niezdyscyplinowany pracownik wędrował do obozu. A długość pobytu była uzależniona od stopnia „winy". Rzecz jasna, że od „wyroku" nie było odwołania. Jak z goryczą twierdzili więźniowie, pobyt w obozie był na tyle skuteczny, że ukaranego pracownika można było uznać za całkowicie „wychowanego". Nigdy więcej nie zaryzykował najmniejszego nieposłuszeństwa czy protestu. O ile, oczywiście, udało mu się przeżyć.

Plac apelowy był wspólny. Co wieczór staliśmy naprzeciwko więźniów w odległości nie większej niż 20 metrów. Widziałem wszystko, co się działo, z przeraźliwą wyrazistością. Po wojnie czytałem wspomnienia więźniów obozów koncentracyjnych. Była to wstrząsająca lektura. Ale miałem świadomość, że ich punkt widzenia był różny od mojego. Oni, jako więźniowie, mogli być w każdej chwili przewróceni na ziemię, skopani, zabici. Ja stałem w pewnym sensie „na zewnątrz". Nie byłem zagrożony. I dlatego – jak sadzę – moje spojrzenie było ostrzejsze, bardziej obiektywne, nie zakłócone lękiem o własne życie.

Każdy apel poranny i wieczorny był posępnym widowiskiem. Więźniowie i my staliśmy na placu, pokrytym błotem. Przypominam, że była zima i w oceanicznym klimacie Hamburga śnieg szybko topniał, a udeptany setkami nóg, zamieniał się w brudną, lepką maź. Więźniowie odziani byli w cienkie pasiaki. Czy i co mieli pod spodem, nie próbowałem dociekać. Na nogach nosili drewniane trepy, pozbawione pięt. Stopy owijali przeróżnymi szmatami. Apele więźniów, zwłaszcza wieczorne, przedłużały się w nieskończoność i towarzyszyły im wrzaski, bicie i kopanie. Nieraz widziałem, jak więźniom padającym pod ciosami, strażnicy podkutymi butami dosłownie wgniatali głowy w błoto. Był to widok przerażający, którego niestety nie potrafię zapomnieć. Napisałem „niestety", ale może

właśnie dzięki niemu zdołałem zachować dystans wobec wszelkich ideologii i wszelkich form władzy. Oraz nieufność do najszczytniejszych nawet haseł.

Co pewien czas strażnicy przy pomocy tak zwanych kapo urządzali „apele czystości". Kiedy więźniowie rozchodzili się do baraków, oglądano ich stopy. Rzecz jasna, były mniej lub więcej brudne od chodzenia w drewniakach po błocie. Wyganiano więc nieszczęśników biciem do umywalni, która mieściła się w osobnym baraku. Więźniowie biegli na bosaka, aby umyć stopy w lodowatej wodzie, oczywiście bez mydła. Kiedy wracali pędem do baraku – znowu je brudzili. Otrzymywali więc kolejną porcję razów i musieli biec ponownie do umywalni. Po parokrotnym powtórzeniu tej bestialskiej procedury, więźniowie padali na ziemię. Byli znowu bici i kopani. Jeśli nie mieli już sił, aby wstać, „za karę" zostawali na noc pod zamkniętymi drzwiami baraku. Rano widzieliśmy zamarznięte trupy.

Napisałem wyżej słowo „kapo". Wymyślili je Niemcy na użytek obozów. Pochodzi z języka włoskiego, w którym oznacza głowę. W przenośni przywódca lub naczelnik. W strukturze obozowej oznaczało dozorcę czy może raczej nadzorcę, funkcjonariusza najniżej stojącego w hierarchii. Kapo był więźniem, wybranym przez SS-manów do pilnowania porządku. Miał za zadanie ślepo wykonywać każdy ich rozkaz. Aby zachować swoje – pożal się Boże – stanowisko, musiał się wykazać gorliwością. A to oznaczało w praktyce przewyższanie w okrucieństwie nawet SS-manów. Oto znakomity przykład funkcjonowania tej potwornej machiny przemocy – fizyczne i psychiczne łamanie więźniów przy pomocy samych więźniów. Kapo, który starałby się zachować resztki człowieczeństwa, naraziłby się SS-manom. Rezultat wiadomy – w krótkim czasie zostałby zakatowany na śmierć. Jak opowiadali więźniowie, najbardziej gorliwymi, czyli najokrutniejszymi kapo w Erziehungslager byli Polacy. Nie chciałem wierzyć. Niestety potwierdzili to moi koledzy. Oni również od więźniów zarówno polskich jak i innych narodowości otrzymali tę haniebną informację. Zapisuję to teraz, opierając się jedynie na słowach nieszczęsnych, maltretowanych więźniów małego obozu wychowawczego w Hamburgu.

Bombardowanie

Przyjechaliśmy do Hamburga – o ile dobrze pamiętam – na przełomie listopada i grudnia 1944 roku. Przez pierwsze tygodnie nie było żadnych nalotów alianckiego lotnictwa. Potem – bodajże w styczniu – zaczęły się pierwsze alarmy, które zresztą szybko odwołano. Słyszeliśmy silniki samolotów przelatujących wysoko i kierujących się w głąb Niemiec i huk strzelających dział przeciwlotniczych. Ale – i znowu muszę dodać zastrzeżenie „jeśli mnie pamięć nie myli" – gdzieś na przełomie lutego i marca rozpoczęło się systematyczne bombardowanie Hamburga. Ilekroć syreny ogłaszały tzw. Voralarm, strażnicy budzili nas i wypędzali z obozu do przygotowanych ziemnych schronów. Ponieważ i tak spaliśmy w ubraniach, nakładaliśmy tylko na ramiona koc i stołek. Zanim syreny ogłaszały właściwy alarm, docieraliśmy do wykopanych w ziemi głębokich przykrytych deskami rowów. Siadaliśmy owinięci w koce na stołkach i czekaliśmy na odwołanie alarmu, czasami nawet przez parę godzin. Domyślaliśmy się wówczas, że alianckie eskadry przelatywały nad Hamburgiem, zrzucały bomby np. na Berlin i tą samą drogą wracały do Anglii. Dopóki nie opuściły przestrzeni powietrznej Niemiec, alarm lotniczy trwał. Te godziny oczekiwania na powrót do obozu skracaliśmy rozmowami. Kiedy jednak alarmy stawały się coraz częstsze, zaczęło nam brakować i tematów, i chęci do rozmów. Zaczęliśmy zatem wspominać

dzieciństwo, pobyty na wakacjach, przeczytane książki, oglądane filmy. I wówczas – co dokładnie pamiętam – okazało się, że to właśnie ja potrafię najlepiej opowiadać. Tak więc stałem się czymś w rodzaju „nadwornego barda". Już wówczas zacząłem pojmować, że prawdopodobnie w ten sposób wykształciła się w prehistorycznych czasach kasta kapłanów i ich przyszła potęga. Umiejętność mówienia w sytuacjach zagrożenia staje się niezwykle cenna. Tym bardziej musiała być taka u naszych prapraprzodków.

Opowiadałem filmy i książki, dodając – co również dobrze pamiętam – wymyślane „ad hoc" nie tylko dialogi, lecz także przygody bohaterów. Zapewne mówiłem z taką pewnością siebie, że nigdy nie zdarzyło się, aby ktokolwiek próbował jakiś szczegół sprostować, kwestionować czy poprawiać.

Kiedy zaczęły się naloty na Hamburg i słychać było wybuchające bomby, u moich kolegów potrzeba słuchania znacznie wzrosła. Chcieli zagłuszyć lęk. Tak więc ledwie zajęliśmy miejsca w schronie, rozlegały się prośby: „Opowiadaj!" Pewnej nocy przypomniałem sobie, że matka kupowała przed wojną „Hrabiego Monte-Christo" w najtańszym, zeszytowym wydaniu. W czasie pierwszej okupacyjnej zimy przeczytałem te kilkadziesiąt zeszytów. I teraz, w bombardowanym mieście, noc po nocy opowiadałem moją własną, prywatną wersję dzieła Dumasa. Pamiętałem imiona i nazwiska bohaterów (przypuszczam, że pamiętam je jeszcze dzisiaj), podstawową intrygę i najważniejsze szczegóły fabuły. Resztę „dokomponowałem" sam. „Hrabia Monte-Christo" ugruntował moją pozycję w grupie. Coraz większy stawał się krąg słuchaczy, koledzy ścieśniali się i przysuwali jeden do drugiego, przybywało nowych chętnych. Kiedy huk bomb i dział zagłuszał moje słowa, rozlegały się głosy: „Głośniej, mów głośniej!" Dzięki tym nocnym opowieściom stałem się dla całej grupy kimś ważnym. Wszyscy zaczęli pomagać mi przy wykonywaniu służbowych obowiązków, a jeśli jakiś Niemiec oferował jedzenie za papierosy, natychmiast mnie o tym powiadamiano. Miałem pierwszeństwo do takiego wymiennego handlu. Tak to „Hrabia Monte-Christo" pomógł mi w poprawie warunków obozowego życia.

Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy i dlaczego przestaliśmy chodzić do ziemnych schronów. Pewnej nocy jednak po ogłoszeniu przez syreny alarmu, udaliśmy się w innym kierunku. Tym razem schronem okazała się ogromna piwnica pod elewatorem. Nieco później dowiedzieliśmy się, że nad kanałem Wilhelma stoją w znacznych odstępach od siebie cztery wielopiętrowe elewatory zbożowe. Rozległe piwnice przeznaczono na schrony dla okolicznych mieszkańców. W jednej umieszczono nas, 250-osobową grupę jeńców.

Jak nam opowiadali Wachmani i robotnicy w stoczni, alianci przyjęli następującą technikę bombardowania. Dysponując mapami niemieckich miast, typowali określoną dzielnicę do zburzenia. Najpierw myśliwce zrzucały tysiące foliowych pasków, które miały za zadanie zmylenie obrony. Następnie myśliwce nurkujące ostrzeliwały stanowiska przeciwlotniczych dział. Potem zrzucały ogromne reflektory na spadochronach, które oświetlały wybrany cel. Zdarzało się, że syreny zbyt późno ogłaszały alarm i wówczas zanim zdążyliśmy ukryć się w schronie, widzieliśmy te reflektory. Nazywaliśmy je „choinkami". I dopiero wtedy nadlatywały eskadry bombowców. Tzw. naloty dywanowe polegały – według relacji Niemców – na precyzyjnym niszczeniu całej wytypowanej dzielnicy. Samoloty (eskadra za eskadrą) leciały wzdłuż ulic, zrzucając bomby w regularnych odstępach czasu. Po takim nalocie dzielnica była dokładnie zburzona i spalona. A następnego dnia na znacznej wysokości, niedostępnej dla artyleryjskich pocisków, pojawiał się samolot zwiadowczy (sam nieraz widziałem srebrny punkcik na niebie), który zapewne fotografował dzielnicę dla udokumentowania rozmiarów zniszczeń.

Pewnej nocy celem nalotu stały się cztery elewatory. Nawet przez grube mury słyszeliśmy artylerię przeciwlotniczą, silniki bombowców, wycie lecących bomb i wybuchy. Miałem wrażenie, że ziemia kołysze się pode mną. Ile to trwało minut – nie potrafię określić. Pamiętam, że owładnięci strachem podawaliśmy sobie adresy naszych rodzin, na wypadek gdyby ktoś z nas zginął. Pomyślałem, że powinienem zmówić modlitwę, ale natychmiast doszedłem do wniosku, że jest na to zbyt późno. Przecież właściwie już umarłem. Takie to dziwaczne myśli przelatywały przez mój umysł w momencie śmiertelnego zagrożenia. W pewnym momencie bomba uderzyła w mur naszego elewatora, jak się potem okazało – tuż przy ziemi. Część muru runęła i wówczas zobaczyliśmy opadające wolno „choinki", błyski rozrywających się pocisków artylerii przeciwlotniczej i krwawe łuny pożarów.

Część kolegów uległa panice i po cegłach rozwalonego muru wydostała się z piwnicy. I właśnie wtedy z ogłuszającym hukiem uderzyła druga bomba, rozrywając ich na strzępy. Zaraz potem trzecia bomba trafiła – jak się potem okazało – dokładnie w środek elewatora, gdzie znajdował się szyb wielkiej windy towarowej. Bomba przebiła dach i doleciała pustym szybem aż do piwnicy. Tej, w której byliśmy. Nie potrafię powiedzieć czy to podmuchy poprzednich bomb zrzuciły nas ze stołków czy może sami w naturalnym odruchu położyliśmy się na podłodze.

Ta trzecia bomba eksplodowała w piwnicy. Nigdy już potem nie widziałem tak oślepiającego błękitnego błysku. Ani nie słyszałem tak ogłuszającego huku. Tego, co wówczas czułem – nie potrafię opisać. Wydaje mi się, że słowa, którymi dysponuję, są zbyt słabe. Pamiętam jeszcze, że coś przeleciało nade mną i z łoskotem upadło tuż obok. A potem – jak sądzę – straciłem przytomność. Zapewne był to skutek szoku. Kiedy odzyskałem przytomność – byłem pewny, że już nie żyję. I pamiętam uczucie przejmującego smutku, że tak po prostu umarłem w młodym wieku. Że nie zobaczę bliskich osób i nie będę już cieszył się życiem. Podobnego uczucia nie doznałem już nigdy potem. Po chwili uświadomiłem sobie nagle, że chyba jednak żyję. Zobaczyłem przez wyrwę w murze łuny pożarów i usłyszałem jęki rannych. A przede wszystkim niesamowity szmer sypiącego się ziarna z wyższych pięter elewatora. Natomiast do moich uszu przestał dobiegać huk bomb i pocisków. Było już po nalocie. Choć to może zabrzmieć śmiesznie, pojąłem, że nie umarłem. Dla pewności zacząłem obmacywać własne ciało. Czułem dotyk rąk. Byłem żywy, cały, nawet nie draśnięty. Zobaczyłem także, że tuż obok mnie leżały pancerne drzwi, wyrwane przez podmuch wybuchającej bomby. To te lecące drzwi słyszałem zaraz po wybuchu. Uświadomiłem sobie, że gdyby upadły o kilkadziesiąt centymetrów bliżej – zostałbym przez nie zmiażdżony.

Coraz wyraźniej słyszałem jęki i wołania rannych, a w świetle wstającego dnia zobaczyłem pogięte deski stropowe, zwały cegieł i sypiące się nieprzerwanie ziarno. Ci z nas, którzy nie byli ranni, bez żadnego rozkazu, zaczęli ratować rannych. Wynosiliśmy ich na zewnątrz przez wyrwę w murze. I wówczas mogliśmy zobaczyć, że wszystkie cztery elewatory zostały trafione bombami. Ani jeden nie był cały. Na szczęście ten, w którym byliśmy, został najmniej zniszczony. Jaki los spotkał ludzi, przebywających w piwnicach trzech pozostałych elewatorów – nigdy się nie dowiedziałem.

Wachmani zaczęli nas liczyć. Raz i drugi. Nie chcieli wierzyć. Bilans strat był przerażający. Do piwnicy weszło nas dwustu pięćdziesięciu. Wyszło zaledwie stu trzydziestu. Zginęło stu dwudziestu. Ciał trzydziestu siedmiu nie udało się odnaleźć. Liczby te podał nasz niemiecki komendant.

A ja dopiero po tej nocy zacząłem bać się śmierci. Nigdy przedtem, nawet w czasie powstania, nie znałem tego uczucia. Ale po tej straszliwej nocy towarzyszyło mi przez wiele lat, o czym jeszcze napiszę.

Kończąc te relacje, nie mogę przemilczeć pewnego faktu. Podczas gdy zaczęliśmy ratować rannych, wyciągając ich spod gruzów, wynosząc na świeże powietrze i opatrując – bliźniacy (o których pisałem) ładowali ziarno do chlebaków i kieszeni. Widząc to, doskoczyło do nich paru kolegów. Wymierzyli im parę potężnych policzków i kazali wysypać na ziemię całą zawartość chlebaków i kieszeni. Oto kolejny przyczynek do ludzkich postaw.

Po tej nocy przeniesiono nas z obozu do jakiejś starej, opuszczonej szkoły w innej dzielnicy. Bezpieczniejszej ?...

Ostatnie dni w Hamburgu

Naloty nasiliły się, obracając w perzynę kolejne dzielnice Hamburga. Teraz, w nocy, naszym schronem stał się gigantycznych rozmiarów bunkier. Warto o tej budowli wspomnieć, ponieważ w pewnym sensie była unikatowa.

Władze niemieckie zbudowały w trzech dzielnicach otaczających śródmieście Hamburga sześć bunkrów, po dwa obok siebie. Jak mi mówiono, każdy miał osiem pięter nad ziemią i cztery pod. Oczywiście była to konstrukcja żelbetonowa, sprzęgana dodatkowo ogromnymi, widocznymi na zewnątrz stalowymi klamrami. Grubość murów wynosiła półtora metra. Nad ostatnim piętrem leżała wystająca poza mury półmetrowej grubości płyta pancerna. Ten rodzaj okapu miał spowodować, aby bomba uderzając o niego, eksplodowała w powietrzu. Nad tą płytą umieszczono na jednym budynku urządzenia nasłuchowe, a na drugim baterie przeciwlotnicze. Oczywiście te ogromne budowle pozbawione były w ogóle okien. Na każdym piętrze poza windami, schodami, korytarzami, urządzeniami sanitarnymi – znajdowała się sala mieszcząca tysiąc osób. Bunkry pełniły rolę schronów, zapewniały bezpieczeństwo przebywającym tam ludziom. O ile się orientuję, alianci nigdy nie próbowali zniszczyć bunkrów.

W tym miejscu pozwolę sobie wybiec nieco w przyszłość. W roku 1972 miałem okazję odwiedzić Hamburg jako turysta. Spacerując po mieście odnalazłem bunkry. Stały nienaruszone, pozbawione jedynie – co zobaczyłem z daleka – wojskowych urządzeń na pancernych płytach. Jak mi potem wyjaśnili Niemcy, nie dało się ich wysadzić. Ilość materiałów wybuchowych potrzebnych do tego, byłaby tak ogromna, że groziłaby nieobliczalnymi konsekwencjami dla całego – być może – miasta. Rozbiórka natomiast tak potężnej konstrukcji trwałaby miesiącami i pochłonęła gigantyczne kwoty – czyli po prostu była nieopłacalna. Urządzono zatem w bunkrach jakieś magazyny i tak pozostały jako „pomniki" XX wieku. Ciekawe czy nadal stoją w kolejnym stuleciu.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o niezrealizowanym zamiarze ucieczki z obozu. Bodajże w lutym jeden z moich kolegów, starszy o dwa czy trzy lata, zaproponował mi, abyśmy spróbowali uciec. Z entuzjazmem, ale „za to" bez zastanowienia, przyjąłem tę propozycję. Pomysł był wyjątkowo naiwny. Wystarczy spojrzeć na mapę, aby sobie uzmysłowić, że był całkowicie pozbawiony szans powodzenia. W jaki bowiem sposób moglibyśmy przejść setki kilometrów przez wrogi kraj, omijać większe i mniejsze miasta, przekraczać rzeki? Ale o tym nie myśleliśmy. Ani przez moment nie zastanawialiśmy się, gdzie będziemy spali w chłodne wiosenne noce i jak będziemy zdobywali jedzenie. A tego, że w razie złapania,

zostalibyśmy rozstrzelani – w ogóle nie braliśmy pod uwagę. Pasjonowała nas sama przygoda. Za papierosy kupowaliśmy cywilne ubrania. Mieliśmy na tyle rozsądku, aby zdawać sobie sprawę, że nie możemy wędrować w mundurach, na których białymi literami wymalowane były słowa Kgf (Kriegsgefangene, czyli jeniec wojenny). Zgromadziliśmy spodnie, marynarki, swetry, kurtki. Wszystko to trzymaliśmy pod siennikiem. Kiedy jednak dowiedzieliśmy się o przejściu z obozowego baraku do szkoły, powstał problem: jak przenieść różne części cywilnych ubrań. Bez wahania wyrzuciliśmy je na śmietnik, rezygnując z planów ucieczki. Tym bardziej, że po tej strasznej nocy i śmierci tylu kolegów wszystko stało się nagle mało ważne.

Warto – jak sądzę – wspomnieć jeszcze o paru wydarzeniach, które utkwiły w mojej pamięci. Pewnego dnia idąc do prac porządkowych, przechodziliśmy przez dzielnicę, która nazywała się – o ile dobrze pamiętam – Barmbeck. Wszystkie domy były doszczętnie wypalone, a na chodnikach i jezdni widać było duże czarne plamy. Zaintrygowani, zapytaliśmy nadzorującego nas Niemca. Ten chętnie wyjaśnił, że był to skutek angielskiego nalotu w roku 1943. Zamiast bomb zrzucano z samolotów pojemniki z jakimś proszkiem. Niemiec mówił, że to był fosfor. Przy uderzeniu o ziemię pojemniki wybuchały i proszek zaczynał się palić. Zginęli podobno wszyscy mieszkańcy dzielnicy, a domy spłonęły. Pozostały tylko czarne plamy. Jeśli ta relacja odpowiadała prawdzie, to należy przypuszczać, że tym proszkiem nie był fosfor, lecz napalm. Czy rzeczywiście była to pierwsza próba użycia barbarzyńskiej broni?

I jeszcze dwa wspomnienia. Kiedyś po odwołaniu alarmu, wracaliśmy jak zwykle do naszej nowej siedziby w szkole. Nagle na sąsiedniej ulicy usłyszeliśmy tupot nóg i przeraźliwy kobiecy krzyk: „Ich bin Ursule Schmidt, ich bin Ursule Schmidt!", a potem strzał, po którym zapadła cisza. Później dowiedzieliśmy się, że coraz częściej ludzie o słabszych nerwach nie wytrzymują grozy ustawicznych nalotów i tracą zmysły. Aby uniknąć paniki, policja zabija ich na miejscu bez sądu.

I podobny przypadek. Przechodząc po nalocie przez zbombardowaną akurat ulicę, widzieliśmy jak starszy mężczyzna przed zniszczonym domem zbierał kawałki desek, odłamki cegieł, kawałki szkła i układał je starannie na małe kupki. Popatrzył na nas niewidzącym, szklistym wzrokiem i wrócił do swojej czynności. Przyznam się, że pomimo okrucieństwa Niemców, które widziałem w Warszawie, odczuwałem litość wobec tych zwykłych ludzi. Nie mogłem również opędzić się od myśli, że te wszystkie naloty mają niewielkie znaczenie dla wojny toczonej na frontach. Były to działania mające na celu sterroryzowanie ludności cywilnej, czy jak to się eufemistycznie określa – złamać morale społeczeństwa. Wtedy w Hamburgu, mając zaledwie niecałe 19 lat, nie mogłem się z tym pogodzić. I dzisiaj, po upływie ponad 60 lat, uważam nadal, że było to barbarzyństwo. Czy wynikało z konieczności strategicznej – naprawdę nie wiem.

Nadszedł kwiecień. Z wiadomości, które do nas docierały, można było wywnioskować, że koniec wojny jest już coraz bliżej. Kiedy dowiedzieliśmy się, że Berlin został całkowicie otoczony – nikt nie miał wątpliwości co do ostatecznej klęski Rzeszy. Gdzieś w połowie kwietnia zachorowałem. Czy było to zwykłe zaziębienie, grypa czy może coś poważniejszego – nie wiedział nawet niemiecki lekarz w szpitalu, do którego mnie zaprowadzono. Temperatura była wysoka, znacznie ponad 39˚C. Miałem dreszcze, kasłałem i oblewałem się potem. Lekarz dał mi rozmaite lekarstwa, którymi dysponował, ale w przepełnionym rannymi szpitalu nie chciał, a może i nie mógł mnie zatrzymać. Kiedy wróciłem do oddziału, dowiedziałem się, że przyszedł rozkaz natychmiastowej ewakuacji. I znowu powtórzyła

się sytuacja sprzed miesiąca. Zgodnie z Konwencją Genewska nie wolno trzymać jeńców w strefie zagrożenia. I ktoś o tym w odpowiednim urzędzie pamiętał. Dokąd mieliśmy być ewakuowani – komendant nie powiedział.

Późnym wieczorem wyruszyliśmy z miasta. Syreny ogłosiły alarm, a my przy wtórze kanonady artylerii przeciwlotniczej maszerowaliśmy ulicami przedmieścia. Potem usłyszeliśmy jeszcze wybuchy bomb i odwracając głowy widzieliśmy potężniejące pożary. Czułem się coraz gorzej. Gorączka rosła, a ja, maszerując w kolumnie, raz po raz zasypiałem. Kiedy myliłem krok, wpadałem na idącego przede mną. Ale nie krzyczał na mnie, ponieważ widząc moje błyszczące gorączką oczy wiedział, że jestem naprawdę chory. Zaczął siąpić zimny deszcz, a my w ciemnościach szliśmy ciągle przed siebie. W połowie nocy zatrzymaliśmy się nagle. Zeszliśmy z szosy na pole. Padła kolejna komenda: „Stać!" i informacja, że tutaj będzie miejsce postoju. Miałem ze sobą dwa zrolowane koce. Jeden położyłem na mokrej trawie, a drugi zarzuciłem na siebie. Pamiętam, że deszcz nadal mżył. Skulony trząsłem się niemiłosiernie. Potem zapadłem w sen. A kiedy obudziłem się rano, gorączka wbrew wszelkim przewidywaniom zniknęła. Kryzys choroby nastąpił w najbardziej niesprzyjających warunkach. Byłem tak jak wszyscy zziębnięty i przemoczony. Do dzisiaj nie rozumiem, jak mogłem wyzdrowieć. W świetle poranka zobaczyliśmy, że znajdujemy się w niezbyt dużym okrągłym zagłębieniu. Na otaczających wzniesieniach stali wartownicy i między nimi karabiny maszynowe. A obok nas parę grup jenieckich: chyba francuskich, angielskich, włoskich. Nasz komendant stał na jednym wzniesieniu w towarzystwie oficerów i podoficerów. Nawet z odległości widać było, że o czymś dyskutują. Robiło się coraz jaśniej, a my głośno zastanawialiśmy się, co będzie, jeśli nadlecą samoloty alianckie. Widząc takie zgrupowanie ludzi w mundurach, nie rozróżnią z daleka strażników od jeńców i wszystkich nas „zgodnie" ostrzelają. Nagle usłyszeliśmy warkot motorów, wjeżdżających na wzniesienie. Po chwili zobaczyliśmy parę motocykli i otwarty samochód. Wyskoczył z niego oficer i coś tłumaczył – jak się domyślaliśmy – komendantom zgromadzonych grup jenieckich. Następnie z wyraźnym pośpiechem odjechał. Komendanci dosłownie zbiegli z wzniesienia i przez mężów zaufania zakomunikowali nam, że zostaniemy rozlokowani w sąsiednich wsiach. I nastąpił szybki wymarsz.

Kiedy po paru godzinach dotarliśmy do wyznaczonej wsi i zajęliśmy obszerne zabudowania w dużym gospodarstwie, rozdano nam przywieziony prowiant. A następnego dnia mąż zaufania przekazał nam, co mu w tajemnicy powiedział komendant. Na rozkaz SS zebrani w zagłębieniu jeńcy mieli być zastrzeleni. A dla zatarcia śladów miano wysadzić w powietrze zbiorniki z benzyną, ukryte właśnie w tym miejscu pod ziemią. Rozkaz odwołano, ponieważ wojska alianckie znajdowały się już zbyt blisko i nie byłoby czasu na uprzątnięcie rozerwanych, spalonych zwłok. Tak więc kolejny raz uniknąłem śmierci. Nic dziwnego, że ludzie wierzą w przeznaczenie.

Rozdział XII

POKONANE NIEMCY

Okres od zakończenia wojny do wyjazdu do Polski był – jak sądzę – ważny dla mojego dojrzewania. Przez ponad siedem miesięcy po raz pierwszy w życiu byłem samodzielny. Do wybuchu powstania zawsze mieszkałem z rodziną i każda decyzja dotycząca mojej osoby, nauki czy pracy była zawsze wspólnie omawiana, rozważana, dyskutowana. Życie żołnierza, czy to w czasie walk czy potem w obozach, również trudno uznać za samodzielne. A teraz, niespodziewanie, wraz z zakończeniem wojny, uzyskałem dotąd nieznaną swobodę. Mogłem zostać nadal z grupą kolegów, a mogłem po prostu udać się na wędrówkę po okupowanych Niemczech. Potem wyłoniły się możliwości wyjazdu na studia w Brukseli i Londynie. Mogłem wybrać dalszą służbę w wojsku, były konkretne propozycje, albo zdecydować się na powrót do Polski. Te jakże różne możliwości, dawały poczucie niezależności, ale zmuszały zarazem do samodzielnego podejmowania decyzji. Z perspektywy dziesięcioleci, nie jestem wcale pewien czy sensownie wykorzystałem tamten okres i czy dokonałem właściwych wyborów.

I jeszcze jedna refleksja. W ciągu tych miesięcy wydarzyło się naprawdę wiele, stąd uznałem je za ważne dla mojego dorastania. Myślę, że kiedy w połowie grudnia 45 roku wróciłem do Polski, nie byłem już w sensie psychicznym chłopcem, ale mężczyzną. Miałem już „swoją" wojnę, parę razy stanąłem oko w oko ze śmiercią. Widziałem rzeczy okrutne, przeżyłem zagładę Warszawy i Hamburga, obserwowałem upadek wielkiej Rzeszy i upokarzającą egzystencję jej obywateli w pierwszych miesiącach okupacji. To chyba wystarczająca ilość doświadczeń, aby dojrzeć i stać się dorosłym. Z tych licznych doświadczeń wybrałem do zrelacjonowania tylko te, które wydawały mi się najważniejsze, pomijając mniej istotne.

Odzyskana wolność

Front zbliżał się dosłownie z każdą godziną. Kanonada artyleryjska była coraz głośniejsza. Pewnego dnia samolot z kolorowymi kółkami na niewielkiej wysokości przeleciał nad zabudowaniami gospodarskimi, gdzie kwaterowaliśmy. Jak się to wtedy mówiło, „puścił serię" z karabinu maszynowego, myśląc zapewne, że kręcący się na podwórzu ludzie to Niemcy. Jeden z kolegów został ranny, na szczęście niegroźnie, a ja przez parę dni wydrapywałem igłą jakieś drobniutkie resztki pocisków spod skóry. W pierwszych dniach maja zobaczyliśmy jadący przebiegającą nieopodal szosą czołg, na którym nie było złowróżbnych czarnych krzyży. Przejechał i znikł w pobliskim lesie. Aż wreszcie pewnego dnia gospodarz z ponurym wyrazem twarzy powiedział nam, że radio nadało komunikat o kapitulacji okręgu Szlezwig - Holsztyn. Nie pamiętam dokładnej daty.

Mógłbym zapewne sprawdzić w jakiejś książce o II wojnie światowej, jaki to był dzień. Ale czy warto? Wtedy, kiedy to się działo, nie dysponowałem żadnym kalendarzem. To także charakterystyczny rys życia w niewoli. Któryś z kolegów wsadził gałązkę z wiosennymi listkami w lufę karabinu Wachmana, co ten skwitował dość bezradnym uśmiechem. Po pewnym czasie nasz komendant, Unteroffizier Hildebrandt, zarządził zbiórkę i oświadczył oficjalnie, że wojna się skończyła, jesteśmy wolnymi ludźmi i życzył nam powrotu do ojczyzny. A on sam zamierzał jeszcze tego samego dnia wrócić do domu, do Hamburga. Mąż zaufania zaproponował, abyśmy zrobili tzw. zrzutkę papierosów dla pana komendanta i Wachmanów. Choć byłem najmłodszy - głośno zaprotestowałem. Przypomniałem, że planowaliśmy „policzyć się" z komendantem za jego rozmaite szykany, ordynarne krzyki i nadmierne przestrzeganie dyscypliny. A teraz nie dość, ze pozwalamy mu odejść, to jeszcze mamy go obdarować? Pamiętam, że poparło mnie paru kolegów, ale większość przychyliła się do propozycji męża zaufania, który teraz – niejako automatycznie – jako najstarszy stopniem, został naszym nowym dowódcą. Zebrano papierosy (oczywiście ja i ci, co mnie poparli, nie uczestniczyli w zbiórce) i zanim zapadł wieczór, komendant i wartownicy zniknęli z naszego życia. Muszę przyznać, że chęć obdarowania Niemców była zrozumiała. Radość z zakończenia wojny i odzyskania wolności była tak wielka, że przesłoniła chęć odwetu. Czyżby w moim przypadku „pamiętliwość" przeważyła?

Niebawem we wsi zjawili się oficerowie angielscy (a dokładnie szkoccy), którzy ustalili z niemieckim wójtem lub sołtysem (der Schulz) nasz status. Zostaliśmy przeniesieni do budynku szkoły, a w klasach zbudowano pojedyncze prycze wyposażone w sienniki i koce. Wieś miała nas również zaopatrywać w jedzenie, co i tak zresztą dotąd robiła. Uzgodniono również, że dla zapewnienia bezpieczeństwa i porządku my będziemy patrolować wieś. Oczywiście bez broni, ponieważ byli jeńcy do czasu wcielenia ich do regularnych jednostek wojskowych, nie mają prawa noszenia broni. Ten zakaz okazał się w praktyce fikcją, ponieważ na własną rękę rozpoczęliśmy we wsi poszukiwania i znaleźliśmy mnóstwo ukrytej broni. Ja sam wykryłem na jakimś strychu pistolet „Parabellum". I miałem go nielegalnie do końca pobytu w Niemczech. Z wielkim żalem zostawiłem go przed wyjazdem. Ponadto otrzymaliśmy pełne umundurowanie z tzw. demobilu.

W ciągu paru dni ewakuowano francuskie, amerykańskie i angielskie grupy jenieckie, kwaterujące w tej samej wsi. Pozostaliśmy tylko my i radzieccy, umieszczeni przez Szkotów w jakiejś szopie za wsią, ponieważ obawiano się ekscesów z ich strony. Powiadomiono radzieckiego dowódcę, że my będziemy patrolować wieś, zaznaczając jednocześnie, iż każda kradzież czy napaść na Niemców będzie traktowana jako przestępstwo kryminalne. O ile pamiętam, napadów nie było, ale kradzieże zdarzały się co noc. Nigdy jednak nie udało się złapać złodzieja.

Pewnego dnia jeden z kolegów, który – jak twierdził – był pomocnikiem kucharza w restauracji hotelu „Bristol", zaproponował, że upiecze nam kurczaka. Mogliśmy wprawdzie za papierosy kupić go (żołd w tzw. markach okupacyjnych otrzymaliśmy dopiero później), ale zaproponowana przez niemieckiego chłopa cena wydała nam się zbyt wygórowana. Postanowiliśmy zatem kupić od radzieckich kradzionego kurczaka. Wiedzieliśmy jednak, że udanie się do ich szopy to poważne ryzyko. Słyszeliśmy – co mogło być prawdą lub nie – że jakiś okradziony Niemiec odważył się pójść na skargę do komendanta radzieckiej grupy. Wszedł do szopy i nigdy z niej nie wyszedł. My jednak postanowiliśmy zaryzykować. Dwóch kolegów weszło do szopy, ja zostałem na zewnątrz jako obstawa. Oparłem się plecami o ścianę szopy i trzymałem w kieszeni spodni odbezpieczone „Parabellum" w

ten sposób, aby było widać zarys lufy. Radzieccy krążyli wokół mnie, ale żaden się nie zbliżył. Ciągle tylko ktoś wchodził do szopy i wychodził, jakby sprawdzając czy jeszcze stoję. Wreszcie po kilkunastu minutach obaj koledzy (zresztą również uzbrojeni) wyszli z zakupionym za papierosy kurczakiem. Oddaliliśmy się śpiesznie, raz po raz zerkając za siebie i nie wyjmując rąk z kieszeni.

A upieczony kurczak był znakomity.

I jeszcze jedno spostrzeżenie. O ile mieszkańcy Hamburga byli przerażeni bombardowaniami i zmęczeni wojną, o tyle zupełnie inne było nastawienie mieszkańców wsi. Wydawało się, że dla nich wojna mogłaby jeszcze dalej trwać. Takie w każdym razie odniosłem wrażenie. Potwierdzeniem tego było znalezienie na strychu szkoły nowiutkich, nieużywanych sztandarów hitlerowskich. Potem przekonaliśmy się, że tak samo było w każdym chłopskim domu. Wszyscy mieszkańcy wsi mieli przygotowane zapakowane nowe sztandary na spodziewany dzień zwycięstwa. To jeszcze jeden, jakże charakterystyczny przyczynek do historii.

Wędrówki

Pobyt na wsi zaczynał być nudny. Nie było żadnych zajęć poza rannymi i wieczornymi apelami, kąpielami w rzece i spacerami po łąkach i lesie. Nauczyłem się pić piwo, szczególnie smakowało mi ciemne „holsztyńskie". Raz zorganizowano mecz pomiędzy stacjonującymi w najbliższym miasteczku Szkotami a wyłonioną z naszego oddziału drużyną. Przegraliśmy do zera. Pewnego dnia dowiedzieliśmy się (w jaki sposób – nie pamiętam), że przyjedzie żandarmeria i zrobi rewizję w celu znalezienia u nas broni. Rzecz jasna, ukryliśmy pistolety poza obrębem szkoły i żandarmi niczego nie znaleźli. Uznaliśmy to jednak za szykanę, co przyśpieszyło decyzję wyjazdu. Pożegnaliśmy się z tymi, którzy zostawali, i w paroosobowych grupach opuściliśmy wieś.

Sam lub najwyżej z jednym czy dwoma kolegami wędrowaliśmy po północnych Niemczech. Na początku pociągami, ale to okazało się nazbyt uciążliwe. Pociągi jeździły wolno i nieregularnie. Ponieważ brakowało węgla, palono drewnem. Parę razy zdarzyło się, że pociąg sunący w żółwim tempie, na które pozwalało nieodpowiednie paliwo, stawał w lesie. Skończyło się zgromadzone w węglarce drewno. Maszynista z pomocnikiem rąbali i piłowali w lesie drzewa, ale ludzie w przepełnionych wagonach cierpliwie czekali. Nie muszę dodawać, że patrzyli na nas i innych umundurowanych pasażerów niezbyt przyjaźnie. Zacząłem zatem wędrować tzw. autostopem. Ponieważ po szosach jeździła duża liczba najróżniejszych pojazdów wojskowych, zawsze znalazła się okazja, aby zabrać się do najbliższego miasta lub miasteczka. W czasie takich podróży miałem dwie interesujące rozmowy. Raz zabrał mnie oficer kanadyjski. Opowiedział, że był dowódcą oddziału czołgów, który przypadkowo za zakrętem drogi między wzgórzami natrafił na obóz koncentracyjny. Ze strażnikami na wieżach i tysiącami więźniów w środku. Zaskoczenie było obustronne. Oficer opowiadał, jak jednym uderzeniem czołgu sforsował bramę i opanował obóz. To, co zobaczył, przewyższało wszystko, o czym dotąd słyszał i czytał. Więźniowie, nawet ci, którzy nie mieli sił aby chodzić, pełzali na czworakach i całowali gąsienice czołgów. Był to obóz Belsen-Bergen.

Innym razem zabrał mnie oficer amerykański. Z nim odbyłem dyskusję, ponieważ twierdził, że wszystko i wszystkich można kupić. Protestowałem, dając przykłady

bezinteresownego poświęcenia i bohaterstwa. Bynajmniej nie przeczył, że ludzie potrafią poświęcać się dla innych, dokonywać bohaterskich wyczynów, wyrzekać się osobistych korzyści. Ale twierdził, że to nie stoi w sprzeczności, że wszystko i wszystkich można kupić. Należy tylko zaoferować odpowiednią cenę. Zapytał, co jest największym skarbem dla Polaków. Po chwili zastanowienia odparłem, że na pewno jedną z takich narodowych świętości jest dzwon zwany „Zygmuntem". A ów amerykański oficer na to: "Polska, jak wiadomo, jest zniszczona. Gdyby ktoś za dzwon dał kwotę pozwalającą na odbudowę całego kraju, to co wtedy?" Na to nie znalazłem odpowiedzi, chociaż przykład był całkowicie abstrakcyjny. Wiele lat później widziałem w teatrze „Wizytę starszej pani". Tam ceną za zabicie człowieka była kwota miliona dolarów, pozwalająca na uratowanie umierającego miasteczka. I Dürrenmatt dał okrutną odpowiedź.

Wędrując po północnych Niemczech, byłem świadkiem nader surowych zarządzeń władz okupacyjnych. W miastach i miasteczkach w każdym oknie każdego domu musiała być wywieszona biała flaga. I musiała być co tydzień prana. Jeśli ktoś zapomniał o wywieszeniu flagi bądź o jej wypraniu – żandarmi patrolujący ulice strzelali w okno bez ostrzeżenia. Należy pamiętać, że był to sektor brytyjski, a Anglicy dobrze pamiętali naloty niemieckiego lotnictwa. Na skrzyżowaniach szos i ulic sam widziałem ogromne tablice z wymalowanymi napisami: „Don´t fraternize!" i „Remember Buchenwald!". Potem te surowe przepisy stopniowo ulegały złagodzeniu, a kiedy w grudniu opuszczałem Lubekę, na ulicach można już było zobaczyć żołnierzy alianckich w towarzystwie niemieckich kobiet i dzieci.

Wyposażony w legitymację nr 5443 (którą przechowuję do dzisiaj) byłego jeńca wojennego w języku polskim i angielskim, mogłem zawsze liczyć na kwaterę, żołd i deputat żywnościowy lub stołowanie w kantynie. Parę tygodni spędziłem w Hamburgu, ciągnęło mnie do tego miasta, w którym przeżyłem pięć straszliwych miesięcy. Teraz, chodząc swobodnie, mogłem ocenić ogrom zniszczeń. Pewnego dnia spotkałem na ulicy kolegę z obozu. Został ranny podczas wybuchu bomby i długi czas przebywał w szpitalu. Opowiedział mi, że niedawno, spacerując wraz z innymi rekonwalescentami po mieście, zobaczył naszego byłego komendanta, oczywiście „po cywilnemu". Natychmiast zawołali żandarmów i oskarżyli Niemca o niewłaściwy stosunek do jeńców. Kiedy udali się razem z nim do mieszkania, gdyż żandarmi pozwolili mu zabrać parę niezbędnych w areszcie przedmiotów, znaleźli w szafach puszki i papierosy z paczek Czerwonego Krzyża. Skąd się tam wzięły – nie wiadomo. Rozprawa – jak mi opowiadał kolega – odbyła się w trybie przyspieszonym i Unteroffizier Hildebrandt dostał dwa lata więzienia. Tak więc, choć z opóźnieniem, sprawiedliwości stało się zadość. Później spotkałem jeszcze paru innych kolegów. Chodziliśmy razem do kina i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem kolorowe filmy. Byłem olśniony. Jednym z oglądanych filmów był „Komu bije dzwon" z Ingrid Bergman i Gary Cooperem. Poza tymi wielkimi gwiazdami ekranu pozostała obsada była także na wysokim poziomie, a zakończenia filmu nie zapomnę do końca życia. Nie znam opinii fachowców, ale osobiście uważam film „Komu bije dzwon" za wybitne dzieło. Zresztą pierwowzór – powieść Hemingwaya – najbardziej cenię z całej jego twórczości.

Zmieniając miasta i kwatery spotykałem różnych ludzi. Pamiętam, jak w pewnym domku (poza niemieckimi gospodarzami oczywiście) mieszkało trzech polskich oficerów. Spędzili w Oflagu całą wojnę grając w brydża. Byli prawdziwymi mistrzami. To oni nauczyli mnie tej gry, wykazując przy tym anielską cierpliwość. Rozstałem się z nimi z żalem, ale „rozrzucanie kart" kilkanaście godzin na dobę zaczęło mnie jednak nużyć. Innym ciekawym doświadczeniem był parodniowy pobyt w małym domku, w którym kwaterowałem

z jednym tylko oficerem. Opowiadał, że został wzięty do niewoli w 39 roku, ale postanowił uciec. Przygotowywał się starannie przez szereg miesięcy. Mówił płynnie po niemiecku. Jak twierdził, był to jego drugi ojczysty język. W obozowej bibliotece znalazł atlas geograficzny i starannie opracował trasę wędrówki. Uciekł w środku lata, kiedy noce są najcieplejsze. O ile się orientuję, była to jedna z niewielu ucieczek zakończonych powodzeniem. Dotarł do Warszawy i wstąpił do AK. Po powstaniu dostał się ponownie do niewoli. Na poparcie swoich słów pokazał mi dwie jenieckie blaszki. Tutaj konieczne wyjaśnienie. Jeniec otrzymuje w obozie przedzieloną na dwie części blaszkę. Na każdej połówce widnieją wytłoczone litery KGF (Kriegsgefangener), LG (Lager), numer obozu i numer jeńca. Te blaszki każdy musiał nosić na szyi. W przypadku śmierci jeńca blaszkę przełamywano. Górna połowa ze sznurkiem pozostawała przy ciele, aby ułatwić identyfikację przy ewentualnej ekshumacji. Drugą, odłamaną połówkę przyczepiano do dokumentacji obozowej. Dlatego górna blaszka miała dwie dziurki do przewleczenia sznurka, a dolna tylko jedną: do przypięcia do dokumentów. Bardzo nas ta przezorność i oszczędność w dziurkowaniu bawiła. Swoją blaszkę zachowałem na pamiątkę i mam ją do dzisiaj.

Oficer, którego wspominam, miał rzeczywiście dwie blaszki z różnymi numerami. Ale to nie koniec tej historii. Będąc teraz w średnim wieku, zakochał się w młodej niemieckiej gospodyni. Mąż – jak widziałem – tolerował to ze spokojem. Nie trudno było się domyślić, że czerpał z tego wyraźne korzyści. Zakochany oficer dzielił się swoim żołdem i przydziałami. Tak więc mężowi opłacało się przymykać oczy na niewierność żony. Zabawny trójkąt. Akurat w czasie mojego pobytu wypadły urodziny gospodyni. Mąż razem z kochankiem ustawili w nocy na stoliku coś w rodzaju ołtarzyka. Na środku fotografia, naokoło kwiaty a z przodu prezenty. Oczywiście zakupione przez kochanka. O ile mnie pamięć nie myli – była to biżuteria. W tamtym czasie, przy panującym wśród Niemców głodzie, biżuterię, futra, dzieła sztuki – można było kupić za bezcen.

Wracać - nie wracać?

Już w czerwcu – jeśli dobrze pamiętam – pojawili się u nas na wsi tzw. oficerowie łącznikowi rządu, który nazywaliśmy lubelskim. Nie podobały nam się ich mundury, z brzydkiego materiału i w dodatku źle uszyte. Ani orzełki bez korony. Ja sam miałem na czapce prawdziwego, „przedwojennego". Oficerowie namawiali nas do jak najszybszego powrotu. Argumentowali, że zniszczony kraj potrzebuje młodych ludzi. Że czeka na nas praca i możliwość studiów. Zadawaliśmy im pytania, na które odpowiadali w sposób mało przekonujący. Np. dlaczego Armia Czerwona nie pomogła nam w czasie powstania. Następnie przyjechali oficerowie z tzw. rządu londyńskiego. Ci z kolei roztaczali przed nami miraże życia na Zachodzie. My jednak byliśmy nieufni. Pamiętaliśmy, że w roku 39 pomoc Francji i Anglii ograniczyła się tylko do słów. Podobnie było w czasie powstania.

W następnych miesiącach raz po raz pojawiali się cywilni i wojskowi przedstawiciele obu rządów. Najbardziej ubawili nas oficerowie amerykańscy, mówiący znośną polszczyzną (zapewne byli to członkowie Polonii), proponujący nam służbę w oddziałach wartowniczych. Myśl, że mieliśmy zamienić się rolami z Niemcami – z jeńców stać się wartownikami, była nawet nęcąca przez swoją przewrotność. Ale z drugiej strony mieliśmy świadomość, że byłoby to jednak nudne.

Jeszcze zabawniejsza wydała nam się kolejna propozycja. Podobno do amerykańskiej strefy okupacyjnej w południowych Niemczech udało się przebić niektórym oddziałom UPA (Ukrajińska Powstańska Armija). Wiedzieliśmy w przeciwieństwie do Amerykanów, jakich okrucieństw dopuszczali się żołnierze (o ile można ich tak nazwać) UPA wobec Polaków. A teraz proponowano nam, abyśmy jako doświadczeni w walkach w mieście, zostali szkoleniowcami Ukraińców, którzy znali tylko leśną partyzantkę. Pomysł był wręcz makabryczny. Nie wiem czy obdarzony najbardziej wybujałą fantazją scenarzysta mógłby coś podobnego wymyślić.

Dość prymitywną formą agitacji było obwożenie po ośrodkach, w których znajdowali się Polacy, uciekinierów z kraju. Ci straszyli nas opowiadaniami o aresztowaniach, więzieniach, wywożeniu na Syberię. W ich relacjach w Polsce nie ma normalnego życia, panuje terror, a wojska radzieckie (mówiło się wtedy „bolszewickie") rabują, gwałcą, zabijają. Pamiętam, było to już na jesieni, przyprowadzono do nas kobietę, która jakoby uciekła z Polski. Opowiadała, że na ulicach miast odbywa się strzelanina rodem z Dzikiego Zachodu. A kobiety są masowo gwałcone. Jeden z kolegów nie wytrzymał i zapytał.

– A panią też zgwałcono?

Odparła przecząco. Na to bez wahania wypalił.

– To pewnie dlatego pani uciekła.

Znacznie wcześniej jednak, bo już pod koniec lipca, razem z jednym z kolegów postanowiliśmy wrócić do Polski na własną rękę, piechotą, nie czekając na transport. Do dzisiaj nie wiem, co było przyczyną takiej nagłej i raczej pozbawionej sensu decyzji. Przypuszczam, że tego rodzaju postanowienia wynikały z mojego, raczej impulsywnego charakteru. I niestety na ogół miały opłakane skutki. Na szczęście nie było ich w moim życiu zbyt dużo.

Autostopem dotarliśmy w pobliże linii demarkacyjnej, oddzielającej angielską strefę okupacyjną od radzieckiej. Potem ruszyliśmy piechotą poboczem szosy. Żołnierze angielscy na posterunku w ogóle nie zwrócili żadnej uwagi, co napełniło nas otuchą i nadzieją, że bez kłopotów dotrzemy do Polski. Po przejściu kilkudziesięciu zaledwie metrów usłyszeliśmy krzyk: „Stój!" Zza krzaków wyskoczył radziecki żołnierz z karabinem w ręku. Powtórzył: „Stój!" Mój kolega, który znał trochę rosyjski, zaczął tłumaczyć wartownikowi, że idziemy do domu. Żołnierz słuchał z uwagą, co pewien czas kiwając ze zrozumieniem głową. Potem powiedział, że nie może nas przepuścić bez zgody dowódcy. Na pytanie gdzie jest dowódca, pokazał ręką za siebie. I dodał, że kiedy przyjdzie zmiana, zamelduje dowódcy o naszym przybyciu.

Poczęstowaliśmy go „Camelem" i położyliśmy się na trawie. Słońce grzało i panowała błoga cisza. Kiedy po pewnym czasie pojawiła się zmiana, żołnierz wskazując na nas coś tam tłumaczył swojemu następcy, poczem ruszył w stronę niezbyt odległych zabudowań. Minęła co najmniej godzina, zanim zjawił się oficer. Podszedł do nas, zasalutował, podał rękę i przyjaznym tonem przedstawił aktualną sytuację. Dotychczas przepuszczano podobnych do nas wojskowych i cywilów, wracających do kraju. Co dalej się z nimi działo, oczywiście nie wiedział. Niestety wczoraj otrzymał nowy rozkaz. Nie wolno nikogo przepuszczać bez odpowiednich dokumentów. Z radia dowiedział się, że w Berlinie rozpoczęła się jakaś ważna międzynarodowa konferencja i stąd zaostrzono kontrolę graniczną.

Później okazało się, że było to spotkanie na najwyższym szczeblu, które przeszło do historii pod nazwą Konferencja Poczdamska.

Wróciliśmy zawiedzeni, a ja zdecydowałem, że zostanę na Zachodzie. Reakcja raczej niezbyt racjonalna. Na powrót do kraju zdecydowałem się znacznie później, dopiero w listopadzie. Wpłynęły na to dwa czynniki. Pierwszym były coraz częstsze wezwania, które słyszeliśmy w radiu warszawskim: „Syneczku, wracaj!", „Rodzina czeka", „Matka prosi, abyś wracał!" itd. A drugim była wiadomość, że mój brat Kazimierz został rektorem w nowo otwartej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi. Nie sądziłem, aby tego rodzaju szczegółowa wiadomość miała być propagandowym kłamstwem. A skoro była prawdziwa, stanowiła dowód, że mimo wszystko w Polsce toczyło się normalne życie. I że po powrocie będę mógł pracować i studiować. Ale zanim zgłosiłem w odpowiednim urzędzie chęć repatriacji, w sierpniu nastąpiła ważna zmiana w moim dotychczasowym życiu. Warto wspomnienie o niej utrwalić w tej książce.

Lubeka - liceum

Zauważyłem, że często, (a może nawet zbyt często) wtrącam do swoich wspomnień takie zdania, jak: „o ile pamiętam", „jeśli mnie pamięć nie myli". Te powtarzające się zastrzeżenia mogą być denerwujące dla czytelnika, ale są zgodne z wyrażonym na wstępie zobowiązaniem, że będę pisał tylko o tym, co sam przeżyłem i widziałem. Należałoby jeszcze dodać: „i dokładnie zapamiętałem". Jeżeli dzisiaj nie jestem pewien jakiegoś wydarzenia z odległej przeszłości – uczciwość nakazuje, aby to zaznaczyć.

Okres, który teraz opiszę, zamykał mój pobyt w Niemczech. Jestem przekonany, że choć trwał nie więcej niż trzy miesiące, był ważnym etapem w moim życiu.

Wczesną jesienią zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że w Lubece otworzono pierwsze polskie liceum i gimnazjum. Choć większość moich kolegów miała matury uzyskane na tzw. tajnych kompletach w okupowanej Warszawie, postanowiliśmy zgłosić się do tej szkoły. Dobrze pamiętam, że na naszą decyzję wpłynęła przede wszystkim chęć mieszkania w dużym mieście, a co za tym idzie korzystania z imprez kulturalnych. Wysłaliśmy zgłoszenia i bardzo szybko otrzymaliśmy wiadomość, że zostaliśmy przyjęci. Szkoła mieściła się na terenie dawnych koszar, zamienionych na obóz tzw. dipisów. Tutaj kolejne niezbędne wyjaśnienie. W Niemczech pracowało przymusowo kilka milionów obywateli różnych podbitych krajów. Po zakończeniu wojny, większość z nich wróciła do ojczyzn. Ale nie dotyczyło to mieszkańców krajów zajętych przez ZSRR. Znaczna część z różnych, często politycznych, powodów obawiała się powrotu. Inni, szczególnie warszawiacy wywiezieni po powstaniu, nie mieli po prostu dokąd wracać. Wszyscy ci ludzie zostali określeni jako displaced persons (w skrócie DP), po polsku wysiedleńcy lub uchodźcy. Otrzymali stosowne zaświadczenia, zostali zgromadzeni w obozach i otoczeni opieką Czerwonego Krzyża. W takim to właśnie polskim obozie w Lubece, gdzie przebywało, jak się potem okazało, kilkaset osób, zorganizowano liceum i gimnazjum. Było to jak najbardziej słuszne, ponieważ wśród dipisów przeważała młodzież, której naukę przerwało przymusowe wywożenie na roboty do Niemiec.

Kiedy zgłosiliśmy się całą grupą do dyrektora szkoły, porucznika Jana Marżysza, przydzielono nam, jako wojskowym, osobne pomieszczenie w baraku dawnej wartowni. Zachowaliśmy również prawo do żołdu oraz większych przydziałów żywności i papierosów.

Muszę przyznać ze wstydem, że nie przykładaliśmy się do nauki. Korzystaliśmy przede wszystkim z tego, czego uczyliśmy się niedawno w Warszawie. Dzięki temu po pierwszym okresie, który skończył się 30 października, na piętnaście przedmiotów miałem (co poświadcza zachowany indeks) sześć piątek, tyle samo czwórek i tylko dwie trójki: z pedagogiki i ćwiczeń cielesnych. „Cywile", którzy podjęli naukę po paroletniej przerwie, mieli duże trudności. Podobnie zresztą jak niektórzy nauczyciele - oficerowie, którzy spędzili w Oflagu całą wojnę. Tak więc my byliśmy prymusami i stawiano nas za wzór. Co było jaskrawą niesprawiedliwością. Mógłbym przytoczyć wiele zabawnych incydentów na lekcjach, kiedy popisywaliśmy się posiadanymi wiadomościami. Szczególnie przed koleżankami.

W czasie pobytu w liceum po raz pierwszy spostrzegłem, że dziewczęta zwracają na mnie uwagę. Dotąd nie przyszło mi do głowy, że mogę być atrakcyjny dla tzw. płci pięknej. Zdawałem sobie sprawę, że wypadam kiepsko w porównaniu z kolegami. Byłem słaby i mało sprawny fizycznie, a moją twarz trudno było uznać za urodziwą – zbyt duży nos i zbyt małe oczy. Do tego pozbawiony mięśni, chudy i wąski w ramionach. No i zupełnie nieumiejący flirtować. Okazało się jednak, że pomimo tak licznych wad i braków, niektóre dziewczęta przedkładają moje towarzystwo nad asystę innych chłopców.

To właśnie w liceum zacząłem znowu pisać. Dlaczego? Nie wiem. Może miałem tzw. wolną głowę, a może chciałem zaimponować kolegom a zwłaszcza koleżankom? A może sprawiły to książki? W obozie znalazłem niewielką bibliotekę, złożoną z kilkudziesięciu zaledwie tomów nadesłanych z Londynu: jakieś słowniki, podręczniki, zbiory artykułów i wierszy. Był „Alarm" Słonimskiego i „Bagnet na broń" Broniewskiego. Oraz tomik poezji Hemara „Marchewka. Pamiętnik satyryczny". Zrobił na mnie duże wrażenie, ponieważ po raz pierwszy zetknąłem się z tego rodzaju poezją – gorzką i szyderczą.

Z tego, co wówczas pisałem, zachował się tylko jeden utwór, bez tytułu, zanotowany na luźnych kartkach jakichś niemieckich urzędowych formularzy. Napisany w stylu Młodej Polski, a zatem spóźniony, co najmniej o pół wieku. Ten rodzaj ekspresji najbardziej mi wówczas odpowiadał. Jeszcze dzisiaj myślę, że gwałtowne wyrażenie emocji było zgodne z moim wiekiem, a zarazem z zewnętrznymi wydarzeniami. Wielkie słowa pasowały do tego, co się wokół działo: wojny, powstania, nalotów, zniszczeń, zagłady, okrucieństwa, pogardy. Znacznie później zrozumiałem, że o wiele większe wrażenie wywiera przekazywanie przerażających faktów przy pomocy oschłej, niemal bezosobowej relacji.

Najważniejszym zdarzeniem, związanym z moim pobytem w liceum, było wystawienie patriotycznego montażu z okazji 11 listopada. Nie pamiętam czy była to sugestia dyrektora, czy też inicjatywa kogoś z uczniów, ale podjęliśmy ją z niekłamanym zapałem. Byłem w jednej osobie autorem tekstu, reżyserem, inspicjentem, projektantem (choć nie wykonawcą) dekoracji. A w czasie przedstawienia zaciągałem prowizoryczną kurtynę zrobioną z prześcieradeł. Przestawiałem także dekoracje i sprzątałem salę przed i po imprezie. Wykonawcami byli oczywiście uczniowie liceum.

Montaż składał się z paru scen, ilustrujących najnowszą historię Polski. Zaczynał się od września 39 roku, potem była partyzantka i przesłuchanie w Gestapo. Następnie powstanie, obóz, a na zakończenie patetyczny obraz, symbolizujący wyzwolenie Polski. Oczywiście bez wyraźnego zaznaczenia czy to przeszłe spod okupacji niemieckiej czy też przyszłe – spod okupacji bolszewickiej. Poszczególne sceny były wzbogacane patriotycznymi wierszami i pieśniami. Podobne montaże „płodzono" potem w Polsce w świetlicach i klubach przy rozmaitych rocznicach i świętach.

Szybko napisałem zarówno sam tekst jak i rodzaj scenariusza, a wieczorami dyktowałem to jednej z koleżanek umiejącej pisać na maszynie. Równolegle z intensywnymi próbami, przygotowywaliśmy dekoracje i kostiumy. Bez trudu „skombinowaliśmy" mundury gestapowskie, ale znalezienie w Lubece przedwojennego polskiego hełmu nastręczało wiele kłopotów. Nie mogę sobie przypomnieć czy z konieczności w pierwszej scenie nie ubraliśmy żołnierzy września 39 jedynie w czapki wojskowe z orzełkami.

W jednym z bloków znajdowała się spora świetlica czy kantyna. Tam urządziliśmy sale teatralną. Zbiliśmy z desek rodzaj ramy, mającej imitować otwór sceniczny. Na drutach zawiesiliśmy dwa prześcieradła jako kurtynę. „Zdobyliśmy" nawet jakieś duże stojące lampy, które z powodzeniem zastąpiły reflektory.

Zebraliśmy krzesła z całego obozu i sami ustawiliśmy je w rzędy. O wyznaczonej godzinie zgromadziły się dosłownie tłumy. Wszystkie krzesła zostały zajęte, a ludzie stali jeden przy drugim. Dzieci rozsiadły się tuż przed kurtyną. Wydaje mi się, że nie było żadnych przemówień, ani władz obozowych ani naszego dyrektora. Bodajże jedynie ja powiedziałem parę zdań, wprowadzając publiczność w treść naszego przedstawienia. Nie będę streszczał poszczególnych scen, w których za kulisami uderzenia w bęben imitowały wystrzały, „gestapowcy" wrzeszczeli, a żołnierze z poświęceniem padali jako martwi na twardą podłogę. Ja stałem za kulisami (również zrobionymi z prześcieradeł) w charakterze inspicjenta, co jest trudną funkcją, kiedy wykonawcami są amatorzy, a w dodatku koleżanki i koledzy. Zaś pomiędzy poszczególnymi scenami wraz z drugim kolegą obsługiwałem prześcieradła, czyli kurtynę. Kiedy nadszedł wreszcie finał, wymknąłem się tylnym wyjściem z sali, obiegłem cały budynek, aby zobaczyć zakończenie. Stała tam ta sama koleżanka, która przepisywała scenariusz na maszynie. I wówczas wydarzył się zabawny incydent. Tekst finału obfitował we wzruszające słowa. Aktorzy, grający przebywających w Niemczech dipisów, wspominali wierzby nad wodą, szumiące łany zbóż i świeczki na choinkach. W tym miejscu kolega, były uczeń szkoły muzycznej, na koszmarnie rozstrojonym pianinie grał za kulisami zgodnie ze scenariuszem najbardziej rzewne kolędy. A aktorzy mówili urywanymi zdaniami, wyrażającymi ich żal, ból, tęsknotę. Kiedy dyktowałem ten tekst, często zaznaczałem: „Tutaj daj trzy kropki."

Te „trzy kropki" wywoływały nasz śmiech, ponieważ zdarzały się raz po raz. A teraz, kiedy usłyszeliśmy te urywane, wypowiadane szeptem zdania i wtórujące im łkania wśród publiczności – odruchowo spojrzeliśmy na siebie. Przypomnieliśmy sobie owe „trzy kropki" i nie wytrzymaliśmy. Parsknęliśmy śmiechem. Stojący obok ludzie spojrzeli na nas z taką pogardą, że jak niepyszni umknęliśmy z sali. I straciliśmy ostatni, zamykający cały montaż, tzw. żywy obraz. Najwyższa wzrostem koleżanka ubrana w długą białą suknię, z rozpuszczonymi włosami wzniosła do góry ręce z rozerwanymi kajdanami (zrobionymi oczywiście z papieru na wzór choinkowych łańcuchów). A chór recytował inwokację z „Pana Balcera w Brazylii" Konopnickiej. Do dziś pamiętam pierwsze słowa: „Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza. Idziem do ciebie, rzesza twoja ptasza".

Przedstawienie odniosło niebywały sukces, mówiono o nim przez parę tygodni. A u nauczycieli uzyskiwaliśmy potem dobre stopnie ze wszystkich przedmiotów. Szczególnie ja, jako autor.

Lubeka - ostatnie tygodnie

W Lubece często chodziliśmy całą grupą do kin dla żołnierzy alianckich. Zdarzyło się dwa czy trzy razy, że nagle, zupełnie bez ostrzeżenia w drodze powrotnej do obozu opuszczałem towarzystwo i szedłem sam do niewielkiego lasku, leżącego opodal. Tam rozglądałem się za jakimś miejscem odpowiednim, aby sobie… strzelić w głowę. Zapewniam, że nie przesadzam. W kieszeni zawsze nosiłem moją „parabelkę", a myśli samobójcze, niewywołane przez jakiekolwiek czynniki zewnętrzne, często mnie nawiedzały. Były to – jak się później dowiedziałem – przypadłość młodzieńczego wieku. To, co nazywa się chandrą, pojawia się znienacka i ma różny stopień natężenia. A trwać może parę godzin, dni lub nawet – podobno – tygodni. U mnie chandra objawiała się krótkotrwałymi (na szczęście) zamiarami popełnienia samobójstwa, brakiem apetytu, apatią i przede wszystkim obezwładniającym uczuciem smutku. Ten nastrój w przejmujący sposób wyraził Tuwim: „Na stacji Chandra Unińska, gdzieś w mordobijskim powiecie/ Telegrafista Piotr Płaksin nie umiał grać na klarnecie". Z melodii tej poezji przebija bezbrzeżny smutek, który wtedy był mi tak bliski. Na szczęście spacer po lesie „podnosił mnie na duchu". Może sprawiały to kolorowe jesienne liście, może ćwierkanie ptaków, a może po prostu chandra nie była aż tak silna?

A skoro już napisałem o moim pistolecie, opowiem jeszcze o pewnej zabawie w obozie. Było to chyba krótko po naszym przedstawieniu. Tym razem cywilne kierownictwo obozu postanowiło coś zorganizować i zdecydowano się na całonocny bal. Oczywiście chcieliśmy pójść na tą imprezę, ale wyłonił się pewien poważny problem. Dziewczęta z obozu w wyraźny sposób wolały przebywać w towarzystwie wojskowych niż cywili. Proponowały nam wspólne spacery po lesie, wycieczki do miasta, wypady do kina. Z tego powodu raz po raz wybuchały mniej lub bardziej gwałtowne sprzeczki pomiędzy cywilami a nami. Byliśmy atrakcyjniejsi dla dziewcząt nie tylko z powodu mundurów, lecz także „zamożności". Otrzymywaliśmy więcej papierosów i żywności, w tym czekolady. Tak więc konflikt narastał. Pewnego dnia dostaliśmy poufną wiadomość, że młodzi cywile postanowili, jeśli pojawimy się na balu, otoczyć nas i wyrzucić z sali. A w razie oporu z naszej strony, wykorzystać swoją znaczna przewagę ilościową i po prostu nas pobić. I to tak mocno, abyśmy raz na zawsze zrezygnowali z towarzystwa „ich" dziewcząt. Uważali, że powinny nam wystarczyć koleżanki z liceum.

Po dłuższej debacie postanowiliśmy zaryzykować i iść na bal, choćby tylko na godzinę - dwie, aby zademonstrować, że nie obawiamy się cywili. A ci, którzy posiadali broń (jak już pisałem – nielegalnie), mieli ją zabrać ze sobą. Na wszelki wypadek. Był to głupi pomysł, gdyż użycie tej broni, pomijając ofiary w razie ewentualnej strzelaniny, narażało nas na aresztowanie przez angielską żandarmerię, sąd wojskowy i niechybne zamknięcie do więzienia. Ale byliśmy młodzi i nie zawracaliśmy sobie głowy takimi konsekwencjami. Na bal udaliśmy się wszyscy razem, w jakiś czas po jego rozpoczęciu. Kiedy wkroczyliśmy na salę, zabawa była w pełni. Dziewczęta przywitały nasze wejście radosnymi okrzykami. Młodzież męska natomiast ponurymi, nic dobrego niewróżącymi, minami. Scena jakby wzięta z filmu. Zaczęliśmy tańczyć. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, tak manewrowaliśmy, aby być blisko siebie. Ci, którzy mieli broń, obejmowali partnerkę tylko jedną ręką – lewą. Prawą trzymali odbezpieczony pistolet w kieszeni spodni, w takiej pozycji, aby widać było przez materiał zarys lufy. Pamiętam, że uważałem tę sytuację za ekscytującą. W przerwach między

tańcami tworzyliśmy wraz z dziewczętami zwartą grupę, bacznie obserwując krążących w pobliżu mężczyzn. I tak bawiliśmy się, nie opuszczając – rzecz jasna – ani jednego tańca. Po pewnym czasie uznaliśmy, że w wystarczającym stopniu „utarliśmy nosa" cywilom i zaczęliśmy żegnać się z dziewczętami. Niektóre zostały, ale inne wolały wyjść z nami. Był to mój jedyny bal w Niemczech oraz pierwszy i ostatni w życiu – z bronią w kieszeni.

Nie pamiętam daty koncertu muzyki Bacha w zabytkowym kościele Panny Marii (Marienkirche). Zapisanym w historii muzyki z powodu legendy, że Bach piechotą wędrował z Arnstadt, gdzie już jako 18-latek pracował na stanowisku organisty, do Lubeki, aby słuchać gry Buxtehudego własnie w tym kościele. Legenda jak to legenda, ale z dokumentów wynika, że Bach istotnie spędził w Lubece około czterech miesięcy. I być może miał okazję nie tylko spotkać się ze starym mistrzem Buxtehude, ale i grać na słynnych organach w kościele Panny Marii. Koncert zgromadził setki słuchaczy. Świątynia była wypełniona do ostatniego miejsca. Obok Niemców, widziałem angielskich wojskowych, od wysokich rangą oficerów po szeregowców. Koncert utrwalił się w mojej pamięci na zawsze. Poszczególne pozycje programu złożonego wyłącznie z dzieł Bacha, wykonywano w różnych miejscach świątyni. Ledwo wybrzmiały z góry ostatnie akordy organowej fugi, z absydy odzywał się chór, śpiewający chorał. A potem na galeriach grały rozmaite zespoły instrumentalne. Muzyka dochodziła do nas ze wszystkich stron, wypełniając cały kościół. Nigdy już potem nie uczestniczyłem w tak interesująco pomyślanym koncercie.

W drugiej połowie listopada definitywnie postanowiłem wrócić do Polski. Nie skusiła mnie nawet propozycja rozpoczęcia natychmiastowych studiów na specjalnie otwartym dla cudzoziemców wydziale uniwersytetu w Brukseli. Byłem na tyle samokrytyczny, aby wiedzieć, że przy mojej słabej znajomości francuskiego – studia będą po prostu fikcją. Nie przyjąłem też konkretnej oferty pracy w orkiestrze organizowanej przez polską YMCA w Lingen. List przypadkiem zachował się do dzisiaj. Datowany 20 listopada 1945, a podpisany przez – jak się domyślam – dyrygenta, kpt. Blaschke. List zawierał nawet szczegółowe warunki: 600 marek miesięcznie, pełne utrzymanie, umundurowanie, mieszkanie, deputat papierosowy itd. Do tego – jak napisano – dobry instrument. Była to niewątpliwie atrakcyjna propozycja, ale ja nie zamierzałem zmieniać decyzji: wracam do kraju i rozpoczynam studia historii na uniwersytecie oraz dyrygenckie w PWSM.

Razem ze mną zdecydowało się na powrót czterech kolegów. W tym tylko jeden z liceum, a trzech z innego obozu. Wszyscy byli powstańcami. Inni jeszcze się wahali. Nawet Kazik Bagnowski, z którym byłem najbardziej zżyty – nie mógł się zdecydować. Wyprzedzając dalsze wydarzenia, już teraz dodam, że Kazik, po wysłuchaniu mojego radiowego wezwania wrócił do kraju. Odnalazł swoją narzeczoną, Oleńkę, o której myślał, że zginęła w czasie powstania na Mokotowie. Ożenił się, a ja zostałem ojcem chrzestnym jego syna. Zaś Kazik był świadkiem na moim ślubie.

Po wielogodzinnych burzliwych dyskusjach postanowiliśmy, że my jako pierwsza grupa byłych akowców zorientujemy się, jakie panują warunki w Polsce. Jeśli nie zostaniemy aresztowani i będziemy mieli możliwość studiów i pracy, wyślemy przez radio wezwanie do powrotu. Ale obawiając się ewentualnego podstępu ze strony – jak ich nazywaliśmy – lubelskich władz, ustaliliśmy specjalny szyfr. Tekst wezwania nie miał znaczenia, istotny był podpis. Jeśli nasi koledzy w Lubece usłyszeliby tylko jedno nazwisko, obojętnie które, oznaczało to: „nie wracać". Jeśli byłyby dwa – wezwanie zawierało prawdę. Jeszcze dzisiaj uważam, że nasz szyfr był dobry i nie do „złamania". „Podstępne" władze mogłyby na własną rękę użyć każdego z naszych nazwisk. Mogłyby nas nawet zmusić do wysłania

wezwania. Nie potrafiłyby jednak wpaść na to, że tylko dwa nazwiska potwierdzają prawdziwość tekstu, wzywającego do powrotu.

Po powrocie szybko zorientowałem się, że pomimo wszystkich działań UB, ograniczeń swobód, natrętnej propagandy, obecności wojsk radzieckich itd., życie toczy się w miarę normalnie. I że istnieją warunki do rozpoczęcia tak upragnionych studiów. Nie porozumiewając się zatem z pozostałymi kolegami, na własną odpowiedzialność wysłałem przez warszawskie radio następujące – o ile dobrze pamiętam – wezwanie: „Koledzy z liceum w Lubece. Wracajcie jak najprędzej. Wiłkomirski i Zakrzewski". Usłyszeli to wezwanie, które – jak później opowiadał Kazik – nadano parokrotnie. Większość wróciła i według tego, czego się dowiedziałem, skończyła studia i zajęła mniej lub więcej eksponowane stanowiska.

Powrót

Opuściłem Lubekę 10 lub 11 grudnia na niewielkim statku z angielską załogą. Pasażerami – o ile pamiętam – byli wyłącznie wojskowi jeńcy z 39 roku i nasza pięcioosobowa grupa akowców. Jak mi mówiono, w ogóle pierwsza. Jeszcze na lądzie dowiedzieliśmy się, że zamiast do Gdańska – popłyniemy do Gdyni. Dwa poprzednie transporty, złożone wyłącznie z żołnierzy Września, zostały w Gdańsku, pod pretekstem rewizji, okradzione przez żołnierzy „sojuszniczej" Armii Czerwonej. Dlatego władze alianckie zdecydowały, że nasz transport zostanie skierowany do Gdyni, gdzie portu pilnowali żołnierze Wojska Polskiego. Nie wiem czy informacja o okradzeniu wracających do kraju eksjeńców była prawdziwa, ale przekazuję ją jako ilustrację ówczesnej atmosfery.

Wypłynęliśmy przy silnym wietrze i niebawem poczuliśmy, czym jest sztorm. Oczywiście nie ominęła mnie choroba morska, tym bardziej, że nigdy jeszcze nie płynąłem statkiem, jeśli nie liczyć krótkich przejażdżek z Gdańska do Sopotu w czasie przedwojennych wakacji. Teraz północny wiatr był tak silny, a fale tak wysokie, że zamiast płynąć wzdłuż wybrzeża, statek dla bezpieczeństwa skierował się na Bornholm, a dopiero stamtąd do Gdyni. Zmaltretowani podróżą dotarliśmy wreszcie do portu. Wyszedłem na pokład i pierwszą rzeczą jaką zobaczyłem, był wielkich rozmiarów plakat. Widniał na nim jakiś krępy mężczyzna o bandyckiej twarzy oraz napis: „AK – zapluty karzeł reakcji". Odebrałem to jako policzek. Nie uważałem się ani za karła, a tym bardziej zaplutego. Na czym zaś miał polegać mój związek z reakcją – naprawdę nie wiedziałem. Takie powitanie w Ojczyźnie już wówczas uznałem za błąd polityczny. Przyszłość to potwierdziła. Hasła, czy raczej slogany, które zawierają inwektywy, wyrządzają szkody trudne do naprawienia.

Ze statku przewieziono nas ciężarówkami do siedziby Polskiego Urzędu Repatriacyjnego, gdzie otrzymaliśmy jakieś zaświadczenie, bilet do wskazanej miejscowości oraz tzw. suchy prowiant na drogę. Czy dostaliśmy ciepły posiłek – nie pamiętam. Następnie załadowano nas znowu do ciężarówek i zawieziono na dworzec. Tam pożegnałem się z kolegami i każdy ruszył w swoją stronę. Zapomniałem napisać, że poza chlebakiem miałem jedynie walizkę z dykty, pomalowaną na ohydny ceglasty kolor. Tylko taką udało się kupić przed wyjazdem. W walizce miałem trochę osobistych rzeczy i… puszki z kawą „Nesca". Wiedziałem, że inni wracali z Niemiec z wartościowszymi przedmiotami, ale ja – o czym już pisałem – nie posiadałem żadnego zmysłu do handlu.

Pociąg do Łodzi odjeżdżał wieczorem. Wagony były nieogrzewane i nieoświetlone, a okna zabite dyktą. Udało mi się zdobyć miejsce siedzące i tak w ciemności i chłodzie jechaliśmy długie godziny. Raz w ciągu nocy do przedziału usiłowało wtargnąć dwóch czy trzech podpitych żołnierzy radzieckich. Czego szukali – nie wiem. Może wolnych miejsc, może wódki, może kobiet. Zachowywali się hałaśliwie i agresywnie. Ale kiedy w świetle latarki błysnęły moje naszywki, zasalutowali niezdarnie i wyszli. Późnym rankiem wysiadłem na dworcu Łódź - Kaliska, zmęczony, niewyspany, głodny i zziębnięty. Zauważyłem ze zdziwieniem, że mój wygląd wzbudza swojego rodzaju sensację. Amerykański mundur z półokrągłymi naszywkami „Poland" na bokach rękawów nie był wówczas – jak się okazało – częstym widokiem.

Przed dworcem stał milicjant. Zapytałem, przy jakiej ulicy mieści się Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna. Wyciągnął z kieszeni gruby notes i znalazł adres. A potem, już niepytany, uprzejmie poinformował mnie, jakim tramwajem mogę się tam dostać. Konduktorowi powiedziałem, że nie mam polskich pieniędzy. Z uśmiechem odparł: „Nie szkodzi, nie szkodzi". A potem na moją prośbę udzielił informacji, gdzie mam wysiąść.

Wyższa Szkoła Muzyczna mieściła się na I piętrze dawnego pałacu fabrykanta Poznańskiego. Parter zajmowała Wyższa Szkoła Teatralna. Tak w każdym razie wskazywały odpowiednie tabliczki. Wszedłem na piętro. Kiedy otworzyłem drzwi do sekretariatu, obecne tam osoby dosłownie znieruchomiały i zaniemówiły. A kiedy podałem sekretarce swoje nazwisko, wyskoczyła zza biurka. Była to filmowa scena. Sekretarka wpadła do gabinetu, a w chwilę potem ściskałem się z bratem Kazimierzem. I choć to może brzmieć dzisiaj patetycznie, poczułem dopiero wtedy, że skończyła się dla mnie wojna. I że moja droga do Polski dobiegła kresu.

Rozdział XIII

PRZEŁOM LAT 1945/46

Zanim zacznę wspominać liczne wydarzenia, które miały miejsce w grudniu 1945 i w pierwszych miesiącach następnego roku, chciałbym podzielić się z czytelnikiem pewną refleksją. Pisząc o powstaniu i niewoli, zauważyłem z zaskoczeniem, że nie pamiętam pseudonimów osób, z którymi – jak to się mówi – walczyłem na barykadach, oraz imion i nazwisk tych, z którymi dzieliłem obozowe prycze. Nie pamiętam również wielu istotnych dat. Nie potrafię uporządkować chronologicznie ważnych wydarzeń. Próbowałem przez minione tygodnie przywołać w pamięci te nazwiska, fakty, daty. Nie raz, nie mogąc zasnąć, w ciszy nocnych godzin odtwarzałem swoje przeżycia z tamtego okresu. Na próżno! Z trudem wyławiałem pojedyncze imiona i nazwiska, porządkowałem fakty, nie będąc wcale pewny czy nie konfabuluję. I tak np. nazwisko komendanta naszej jenieckiej grupy w Hamburgu mogłem podać tylko dlatego, że znalazłem na dnie walizki, w której przechowuję tzw. pamiątki, rękopis napisanego jeszcze w Niemczech „poematu prozą" o losie bombardowanego miasta. A nazwisko dyrektora lubeckiego liceum przypomniało mi się, kiedy je zobaczyłem na indeksie z moimi stopniami. Nie pamiętam dokładnych dat wypłynięcia z Lubeki ani przybycia do Gdyni. Dlaczego moja pamięć okazała się tak nietrwała? Co spowodowało, że nie zapomniałem drobnych czasami wydarzeń czy rozmów? Dlaczego, kiedy zamknę oczy, mogę odtworzyć w pamięci piwnicę w KKO, obozowe baraki, szopę z radzieckimi jeńcami – a nie potrafię tego zrobić w odniesieniu do pseudonimów, imion i nazwisk? Dlaczego potrafię dokładnie cytować słowa odbytych rozmów lub ilość uderzeń w tyłek obozowego złodzieja, a niemal całkowicie zatarła się w mojej pamięci chronologia wydarzeń powstańczych i obozowych? Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Czyżby rację miał Freud, twierdząc, że spychamy w podświadomość wydarzenia traumatyzujące? Wcale o tym nie wiedząc? Że dzieje się to niezależnie od naszej woli? Że nie jest to działanie świadome? Doprawdy – nie wiem. Chcę jednak podkreślić, że braki w moich wspomnieniach są rezultatem wyłącznie luk pamięciowych, a nie zamierzonym pominięciem.

Grudzień 1945

Do Łodzi dotarłem 15 lub 16 grudnia. Jeszcze w PUR (Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym) w Gdyni poinformowano mnie, że po przybyciu na miejsce, muszę niezwłocznie zgłosić się do Komisji Likwidacyjnej byłych żołnierzy Armii Krajowej. 18 grudnia zgłosiłem się pod wskazanym adresem. Przebiegu rozmowy z dwoma mężczyznami nie pamiętam, ale otrzymany dokument jest równie kuriozalny co haniebny. Dlatego przechowuję go „pieczołowicie" od kilkadziesięciu lat. Na małej kartce stwierdza

się, że spełniłem „obowiązek ujawnienia się". I dwa podpisy: Przewodniczącego Komisji bez pieczątki i Obserwatora Min. Bezp. Publ. Z okrągłą pieczątką z orłem i napisem „Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi". Według obowiązujących przepisów dopiero to Zaświadczenie czyniło ze mnie uczciwego obywatela. Gdybym się nie ujawnił – nie miałbym prawa do otrzymania dowodu osobistego, zameldowania, pracy i studiów. Przeciwnie, mógłbym być w każdej chwili aresztowany jako wróg Polski.

W pierwszych dniach po moim przyjeździe każdą wolną chwilę wykorzystywaliśmy do opowiadania o swoich przeżyciach. Okazało się wówczas, że to mnie jako żołnierza powstania, a potem jeńca wojennego najmniej dotknęły okropności wojny. Nie licząc oczywiście rodziców, mieszkających stosunkowo spokojnie w Łodzi. To, co przeżyli moi najbliżsi: Wandzia, Marysia i Kazio z żoną i córką było czymś przerażającym. Podobny zresztą los dotknął tysiące warszawiaków, wygnanych z miasta w czasie powstania i po jego upadku. Ja mogłem zginąć lub zostać ranny, ale nie przeżyłem tylu miesięcy nędzy, prześladowań, poniewierki, tułaczki, co moi krewni. Nie musiałem np. jak Wandzia przedzierać się nielegalnie przez granicę między Generalną Gubernią a Rzeszą. Albo jak córka Kazia, Anielka, z braku obuwia chodzić jesienią na bosaka. Albo jak Kazio spać w jakimś składziku na podłodze między harcującymi szczurami. Albo jak oni wszyscy przez dni i tygodnie żyć na łasce obcych ludzi, wypominających im nieustannie tę łaskę. Potwierdziła się prawda, że w czasie wojny los cywili jest na ogół nieporównywalnie gorszy niż żołnierzy. Mimo to, kiedy 24 grudnia 1945 zebraliśmy się razem przy wigilijny stole – mogliśmy mówić o niezwykłym szczęściu. Poza ciotką, u której mieszkaliśmy w Warszawie, a która zmarła po wysiedleniu – wszyscy przeżyliśmy. I poza żoną Kazia, która w czasie powstania złamała nogę w biodrze i na resztę życia została kaleką – nie straciliśmy zdrowia. Tak więc po kilkuletniej przerwie zebraliśmy się w komplecie, aby wspólnie spędzić Święta Bożego Narodzenia. Patrzyłem na twarze moich najbliższych i zastanawiałem się, jak dalece wojenne przejścia zmieniły nasze spojrzenie na świat, ludzi i siebie samych. Oczywiście, nie chcąc psuć radosnego nastroju, nie podzieliłem się z nikim swoimi myślami. Kolacja wigilijna, jak pamiętam, była nader skromna (większość produktów żywnościowych w niewielkiej ilości otrzymywaliśmy na kartki), a prezenty raczej symboliczne. Ale to w niczym nie zakłóciło świadomości, że udało nam się przeżyć wojnę i przyszłość – jaka by nie była – należy do nas.

Zapomniałem napisać, że tuż przed świętami zjawił się niespodziewanie nasz daleki krewny (lub powinowaty), Michał Religioni, którego dotąd nie znałem. Wrócił z radzieckiego obozu. Ubrany był w zbyt obszerne spodnie, „watówkę" i „walonki". Wszystko dziurawe, by nie rzec w strzępach. Kazio i ja podzieliliśmy się z nim naszym odzieniem, pomimo że sami nie mieliśmy wiele. Ja zresztą niebawem po przyjeździe udałem się do przedstawicielstwa UNRRA. Ten skrót oznaczał Organizację do Spraw Pomocy i Odbudowy (United Nations Relief and Rehabilitation Administration). Do roku 1947 wspomagała ludność krajów Europy. To właśnie z magazynów UNRRA otrzymałem zimowy płaszcz (który zresztą oddałem od razu kuzynowi), buty, a przede wszystkim koszule, skarpetki i – przepraszam za słowo – gacie. A w następnym roku ojciec, Kazio i Marysia dostali jako profesorowie wyższej uczelni duże paczki z kuponami materiałów i krótkimi kożuszkami.

Kuzyn Religioni opowiedział swoją historię, którą jako przyczynek do ogólnej historii warto przytoczyć. W 1939 roku był „świeżo upieczonym" podporucznikiem. Po wrześniowej klęsce zawędrował do Wilna, gdzie chwytał się różnych zajęć. Po wkroczeniu wojsk niemieckich wstąpił do Armii Krajowej. W roku 1944, co wiemy z podręczników

historii, oddziały majora „Wilka" współdziałały z Armią Czerwoną w oswobodzeniu Wilna, a następnie pomaszerowały w kierunku Warszawy. Radzieckie władze podstępnie aresztowały oficerów, a potem bez trudu rozbrojono żołnierzy. Oficerów wywieziono do obozu w Riazaniu, a żołnierzy do obozu w Kałudze. Tam pracowali przy wyrębie lasów na kilkudziesięciostopniowym mrozie bez zimowego odzienia i wystarczającego odżywiania. Śmiertelność wśród więźniów (bez wyroku!) była wysoka. Kuzyn należał do tych, którzy przeżyli. Dopiero późną jesienią 45 roku zaczęto zwalniać więźniów i zabezpieczać im powrót do Polski. Oto historia mojego kuzyna, której wówczas nie wolno było powtarzać głośno. Nie muszę dodawać, że kuzyn podobnie jak ja, musiał „ujawnić się" przed Komisją.

I jeszcze jedno niezbyt przyjemne wspomnienie, którego nie mogę zapomnieć pomimo upływu sześćdziesięciu lat. Kiedy opowiadałem o tym, że parę razy uniknąłem śmierci, zarówno w Warszawie jak i w Hamburgu, matka powiedziała: „Synku, przeżyłeś dlatego, że się za ciebie modliłam". A ja wtedy, pamiętając o śmierci tylu moich kolegów, nie wytrzymałem. Ze złością krzyknąłem: „Myślisz, że inne matki nie modliły się? A ich synowie zginęli!" Matka rozpłakała się, ja zaś do dzisiaj wyrzucam sobie, że nie potrafiłem się opanować. A przecież powinienem był przemilczeć te w oczywisty sposób nieracjonalne słowa. To, że miałem rację, twierdząc, iż modlitwy matek nie uchroniły synów przed śmiercią, było w tamtej rozmowie bez znaczenia. Zrozumiałem to po niewczasie. Jeszcze parę razy zdarzyło mi się w różnych sytuacjach wypowiadać nierozważne słowa. Bardzo tego żałuję. Niestety taki, najbardziej nawet szczery żal, niczego nie zmieni. Podobnie jak przeprosiny. Wypowiedzianych słów nie da się cofnąć.

Pracowite miesiące

Trudno mi dzisiaj uwierzyć, że mogłem w pierwszych miesiącach 1946 roku wykonywać tyle różnych zajęć. Bodaj przed końcem grudnia 45 dowiedziałem się, jakie są warunki przyjęcia na studia uniwersyteckie. Tutaj istotna dygresja. W Łodzi przed wojną nie było żadnej wyższej uczelni. Taka jest prawda o rządach tzw. sanacji, przez niektórych ludzi bezkrytycznie chwalonych. Natomiast już w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu, uruchomiono w Łodzi szereg wyższych uczelni. W roku akademickim 45/46 działały na pewno: Uniwersytet i Politechnika oraz dwie wyższe szkoły: muzyczna i teatralna. Największą uczelnią był Uniwersytet, z tym że w jego ramach znajdowały się także wydziały: medyczny, stomatologiczny i chyba także weterynaryjny, później wyodrębnione i przekształcone w samodzielną Akademię Medyczną. Wykładowcami byli przeważnie profesorowie uczelni warszawskich, a wśród nich tak znani jak Kotarbiński, Ajdukiewicz, Chałasiński, Dembowski, Meissner, Wolski, Jażdżewski, dwóch Michalskich – Eugeniusz i Ireneusz. Z pewnością sławnych uczonych było więcej, ale niestety ich nazwiska uleciały mi z pamięci. Na innych uczelniach również wykładali znakomici przedstawiciele swoich specjalności. Nic zatem dziwnego, że w tamtym okresie Łódź stała się największym ośrodkiem naukowym i artystycznym. Niestety, w miarę jak odbudowywano Warszawę, następował odpływ najwybitniejszych jednostek. Znaczną częścią winy można obarczyć lokalne władze, o czym jeszcze napiszę.

I jeszcze jedna dygresja. Znaczny odsetek wśród wracających ze Wschodu i Zachodu repatriantów stanowiła młodzież. Pozbawiona w czasie wojny możliwości nauki, chciała teraz nadrobić stracone lata. Ale wiele osób nie posiadało żadnych dokumentów, dotyczyło

to szczególnie warszawiaków, którzy stracili w czasie powstania wszystko. Władze oświatowe organizowały zatem egzaminy różnych szczebli, zwane kwalifikacyjnymi lub weryfikacyjnymi. Najważniejsze były tzw. skrócone matury. Pierwsze takie egzaminy odbyły się, jak mi mówiono, wczesną jesienią 45 roku, a następne z uwagi na kolejnych repatriantów wyznaczono na styczeń i luty 46. Ponieważ ja, podobnie jak inni byli jeńcy z powstania, nie miałem żadnego świstka, postanowiłem stanąć do egzaminów. Dzisiaj mogę stwierdzić, że była to odważna decyzja, gdyż miałem do dyspozycji zaledwie parę tygodni. Czasu mało, a podręczników jeszcze mniej. O ile dobrze pamiętam, musiałem zdać dwa egzaminy pisemne: z polskiego i z przedmiotu, który wiązał się bezpośrednio z wybranym kierunkiem studiów. Ja oczywiście wybrałem historię, która od dzieciństwa, to znaczy od czasu przeczytania „Quo Vadis", była moją pasją. Ustnych egzaminów było więcej: matematyka, geografia, polski, historia i dowolny język. Zabrałem się do pracy. Polskiego i historii postanowiłem nie uczyć się w ogóle, licząc na swoją pamięć. Geografię przypomniałem sobie przy pomocy starej jednotomowej encyklopedii „Gutenberga" i przypadkowych, dostarczonych przez znajomych podręczników. No i ufając przede wszystkim swojej pamięci. Do matematyki niestety trzeba było na parę lekcji zatrudnić płatnego korepetytora. Angielskiego natomiast podjął się poduczyć mnie Karol Stromenger, niezwykły człowiek o ogromnej wiedzy. Jeszcze o nim napiszę przy innej okazji. W ciągu paru tygodni musiałem wtłoczyć do głowy niebywałą ilość przeróżnych wiadomości. A jednocześnie ćwiczyć na wiolonczeli i dorywczo grać na rozmaitych koncertach. Trudno bowiem, aby mój ojciec, mający dotychczas na utrzymaniu matkę i Wandę łożył jeszcze na moje utrzymanie. Jak sobie dałem radę z taką ilością zajęć – nie wiem.

Zgłosiłem się w wyznaczonym terminie na egzamin pisemny z polskiego. W dużej sali zgromadziła się co najmniej setka młodych ludzi, mniej więcej w moim wieku lub nieco starszych. Wybrałem temat dowolny, który brzmiał: „Mój ulubiony pisarz". Jak już wspomniałem, przez ostatnie dwa lata okupacji przeczytałem trzykrotnie wszystkie dzieła Żeromskiego. Pomimo upływu prawie dwóch lat, miałem je nadal w pamięci. Mogłem więc teraz swobodnie wymieniać tytuły, chronologię powstania, główne idee, a przede wszystkim analizować język, który w tamtym czasie był moim wzorem. Kończąc pracę, nie miałem wątpliwości, że zostanie oceniona pozytywnie. Gorzej było z egzaminem z historii. O niektórych okresach wiedziałem sporo, o innych miałem raczej słabe pojęcie. O ulubionych postaciach mógłbym napisać dużo, ale o pozostałych znacznie mniej. Pamiętam, że kiedy podano na tablicy trzy tematy – wpadłem w popłoch. Dwa dotyczyły problemów, o których mogłem niewiele napisać. Trzeci byłby znakomity, gdyby był węższy. Brzmiał: „Stosunki polsko - niemieckie na przestrzeni wieków". Jak przedstawiały się te stosunki od X wieku – wiedziałem naprawdę dużo. Ale tylko do hołdu pruskiego. Co było później – znałem raczej powierzchownie. Po prostu nie interesowałem się tym i co kiedyś umiałem – wyleciało mi z pamięci. Wpadł mi jednak do głowy pewien pomysł. A gdyby tak „wygrzebać" z pamięci maksymalną ilość dat, nazw, faktów, imion i napisać naprawdę szczegółową pracę, ryzykując ponadto prezentację własnej oceny wydarzeń? I nie zdążyć w ten sposób wyjść poza wiek XV-XVI? Zaryzykowałem i przez cztery godziny zapełniłem mnóstwo stronic najdrobniejszymi nawet informacjami. Aby jeszcze bardziej podkreślić swoją wiedzę, umieściłem stosunki polsko - niemieckie na europejskim tle. Np. – co dobrze pamiętam – omówiłem szeroko przy okazji stosunki pomiędzy papiestwem a cesarstwem. Z ulgą oddałem pracę, zaznaczając na końcu, że z braku czasu nie zdążyłem jej skończyć. W wyznaczonym czasie pobiegłem na uniwersytet, aby sprawdzić czy zostałem

zakwalifikowany do egzaminów ustnych. Na liście znalazłem swoje nazwisko. Ponieważ zostało zaledwie parę dni, z wzmożonym zapałem zabrałem się do nauki.

Idąc na egzaminy, świetnie wiedziałem, że mój zasób wiadomości nie jest wystarczający. Liczyłem jednak na życzliwość profesorów i tzw. łut szczęścia. Przy każdym egzaminie, konkursie czy przeglądzie wiele zależy od przypadku. Od nastawienia egzaminatora, jego humoru i charakteru. A przede wszystkim od pytania. Przypadek szczęśliwy to otrzymanie pytania, na które zna się akurat odpowiedź, zaś pech to sytuacja wręcz przeciwna: otrzymuje się pytanie na ten właśnie jedyny temat, którego się nie zna. Liczyłem również, że młody człowiek w amerykańskim dresie z naszywkami „Poland" zyska sympatię egzaminatorów. Matematykę jakoś zdałem, choć zupełnie nie pamiętam, jakie zadanie musiałem rozwiązać. Geografii omal nie „oblałem", ale i tutaj jakoś wybrnąłem. Na egzaminie z angielskiego musiałem przetłumaczyć jakiś tekst o Himalajach, co poszło mi całkiem sprawnie. Gorzej było ze streszczeniem tekstu po angielsku. Coś tam dukałem „własnymi słowami", jak się domyślam z błędami gramatycznymi. Ale i ten egzamin zaliczyłem.

Na egzaminie z polskiego profesor najpierw przyjrzał się mojej pracy pisemnej, a potem zapytał.

- Tak bardzo ceni pan Żeromskiego?

Z entuzjazmem potwierdziłem.

- A jaka z jego książek podobała się panu najbardziej?

I tutaj popełniłem błąd. Mogłem wymienić „Puszczę jodłową", której język mnie urzekał. Mogłem wymienić „Turonia" czy „Uciekła mi przepióreczka". A przede wszystkim „Popioły". Ale ja, prawdopodobnie z przekory, która często utrudniała mi życie, zwłaszcza w stosunkach z przełożonymi, odpowiedziałem.

- „Dzieje grzechu".

Nie była to prawda. Na przeczytanie tej, uznanej za niemoralną, powieści w wieku 17 lat, musiałem na prośbę Kazia uzyskać listowną zgodę rodziców. Nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak np. trylogia „Walka z szatanem".

Profesor zesztywniał. Może uznał ten wybór za prowokację? Potem z wyraźną drwiną w głosie poprosił o wyjaśnienie tego wyboru. Ponieważ Żeromski był naprawdę moim ulubionym pisarzem, a „Dzieje grzechu" pamiętałem ze szczegółami, rozwiodłem się nad zaletami języka, jego obrazowością, a także przesłaniem etycznym. Choć – mówiąc szczerze – nie lubię przesłodzonego zakończenia powieści, a moralne „nawrócenie" Ewy uważam za mało przekonujące. Egzaminator słuchał uważnie, a sądząc po wyrazie twarzy stopniowo łagodniał. Kiedy skończyłem mój wywód, pokiwał głową twierdząco i zadał pytanie.

- Jaki jest związek etymologiczny pomiędzy słowami „rok" i „uroczyć"?

Nie miałem o tym pojęcia. Poczułem, jak oblewam się potem. Odpowiedziałem szczerze.

- Nie wiem.

Profesor przez chwilę milczał, a potem zadał pytanie.

- A na co pan się wybiera?

Odparłem.

- Na historię.

Popatrzył na mnie w milczeniu, a potem machnął ręką. I na arkuszu egzaminacyjnym napisał mi ocenę pozytywną, Najzabawniejsze, że do dzisiaj nie wiem, jaki istnieje związek pomiędzy słowami „rok" i „uroczyć".

Ostatni był egzamin z historii. Profesor najpierw spojrzał na moją niedokończoną pracę

pisemną i popatrzył na mnie bacznie. Dosłownie struchlałem, gdyż bałem się, że powie: „A teraz proszę powiedzieć mi, jak się kształtowały dalej stosunki polsko - niemieckie".

Profesor jednak powiedział z uznaniem w głosie.

- Ma pan dużo wiadomości. Skoro chce pan zostać historykiem, zadam panu trudne pytanie.

Ponownie struchlałem. Takie pytanie mogło np. brzmieć: „Proszę kolejno szczegółowo z datami wymienić działania Fryderyka Wielkiego przeciwko Polsce". Ale na szczęście profesor zapytał o historię Stanów Generalnych we Francji. A to akurat dobrze znałem. Rozwiodłem się zatem szeroko nad polityką Filipa Pięknego, omawiając przy okazji szczegółowo sprawę templariuszy. A kiedy podałem daty powołania Stanów Generalnych, ich rozwiązania i reaktywowania, profesor przerwał i zrezygnował z dalszych pytań.

Tak więc po pomyślnym zaliczeniu wszystkich egzaminów, zostałem przyjęty na wydział historii Uniwersytetu Łódzkiego. Następnego dnia kupiłem białą studencką czapkę z zielonym otokiem. Ponieważ byłem o parę miesięcy spóźniony (rok akademicki zaczął się w październiku 45), poinformowano mnie, że muszę do czerwca nadrobić wszystkie zaległości. W przeciwnym razie nie zaliczą mi tego roku.

Sytuacja polityczna

Kiedy przystępowałem do pisania tej książki, moim pierwotnym zamiarem było unikanie polityki. Niestety, okazało się to nierealne. Jak wiadomo, polityka w mniejszym lub większym stopniu wpływa na nasze życie. Nawet w takich krajach jak Szwajcaria, Szwecja czy Holandia. Pisząc zatem autobiografię, obejmującą zwłaszcza drugą połowę XX wieku, nie sposób uniknąć tematów politycznych. Już w poprzednich rozdziałach raz po raz musiałem relacjonować wydarzenia, na których przebieg miała wpływ polityka. Szczególnie ostro zaczęło przejawiać się to kiedy opisywałem zdarzenia wiążące się z moim powrotem do Polski: agitacje, plotki, ujawnienie itd. Tak więc, choć z żalem, muszę zrezygnować z pomijania spraw politycznych i zająć się ich omawianiem. Z jednym istotnym zastrzeżeniem. Pisać będę tylko o tym, co sam widziałem i odczuwałem.

Jak już wspomniałem, cała moja rodzina była katolicka. Nie przeszkadzało to jednak niektórym jej członkom mieć lekko lewicowe poglądy czy może raczej należałoby to określić jako postępowe i demokratyczne. Czasem przybierało to nawet zabawne formy. I tak mój ojciec, który z natury był apodyktyczny, by nie powiedzieć despotyczny, oświadczył pewnego dnia w czasie jakiejś dyskusji, że on zawsze był demokratą. Obecni członkowie rodziny wybuchnęli śmiechem, a Marysia zapytała w jaki sposób wyrażała się ta „demokratyczność". A ojciec odpowiedział z dumą.

- Ja już przed wojną nawet dozorcy podawałem rękę.

Na usprawiedliwienie ojca muszę dodać, że miał 73 lata i niestety bardzo posuniętą sklerozę.

Od przyjazdu do Polski obracałem się niemal wyłącznie w wąskim środowisku muzyków, w dodatku starszych ode mnie o jedno lub nawet dwa pokolenia. Stopniowo krąg znajomych powiększał się o aktorów i – po rozpoczęciu studiów – o studentów różnych wydziałów. Miałem również kontakty z profesorami. Z moich obserwacji wynikało, że polska inteligencja żyła pod presją ambiwalentnych uczuć, co było nieraz źródłem frustracji. Kiedy przysłuchiwałem się rozmowom starszych osób, wyczuwałem

to wewnętrzne rozdarcie. Znaczna większość starszego średniego pokolenia inteligencji była jednoznacznie przeciwna narzuconemu ustrojowi i obecności wojsk – jak to się wtedy mówiło – bolszewickich. Szczególnie drażniące było zakłamanie oficjalnej propagandy. Ludzi z mojego otoczenia drażniło (a zarazem śmieszyło) przekreślanie całego dorobku przedwojennej Polski. Po doświadczeniach 39 roku byli wprawdzie świadomi błędów sanacyjnych rządów, ale jednocześnie widzieli niewątpliwe osiągnięcia tamtego okresu. Znali nazwiska wybitnych uczonych, pisarzy, artystów. Pomimo niewielkiego – mówiąc delikatnie – zainteresowania władz, kultura odnosiła znaczne międzynarodowe sukcesy. Tak więc przekreślanie tego dorobku było po prostu fałszowaniem historii. Większość moich znajomych świadoma była wybitnej roli Piłsudskiego. Całkowite pomijanie jego osoby w oficjalnej propagandzie uważano za skandal. Drażniło także i śmieszyło gloryfikowanie klasy robotniczej i umieszczanie na wysokich stanowiskach ludzi, których jedyną kompetencją było pochodzenie społeczne. Również oficjalne twierdzenia, że to dzięki klasie robotniczej wprowadzono w Polsce ustrój socjalistyczny, było ewidentnym kłamstwem. Wszyscy wiedzieli, że stało się to możliwe wyłącznie dzięki obecności Armii Czerwonej. Mówiono, że socjalizm do Polski przyniesiono na bolszewickich bagnetach. Również pomniejszanie znaczenia takich rocznic jak 11 Listopada czy 3 Maja przyjmowane było z niechęcią. Bądź co bądź były to istotne daty w historii Polski. Ale prawdziwe oburzenie wywoływał stosunek władz do Armii Krajowej. Traktowanie jej jako organizacji reakcyjnej i w dodatku mniej zasłużonej w walce z Niemcami niż Armia Ludowa, uważane było za ohydne kłamstwo. Powstanie warszawskie oficjalna propaganda określała jako wrogi akt wobec ZSRR i obciążała cała odpowiedzialnością za zniszczenie miasta. Aspekt patriotyczny był niemal całkowicie przemilczany. Dochodzące do nas raz po raz informacje o aresztowaniach osób z różnych środowisk, procesy działaczy konspiracyjnych, wyczuwalna ingerencja UB w różne przejawy życia społecznego i brutalne tłumienie wszelkich form opozycji, wywoływało bezsilną wściekłość, która wyładowywać się mogła jedynie w gwałtownych prywatnych dyskusjach.

To była jedna strona medalu. Bo drugą było pełne entuzjazmu włączenie się inteligencji w najszerzej pojmowaną odbudowę kraju. Władze były tego świadome i dlatego zapewne tolerowały wyrażane nieraz głośno w tym środowisku krytyczne opinie. „Stara" inteligencja była wręcz niezbędna, aby kraj mógł się rozwijać. Lekarze, inżynierowie, prawnicy, naukowcy, artyści pracowali z entuzjazmem w trudnych powojennych warunkach i dzisiaj, z perspektywy kilkudziesięciu lat, można z całą pewnością stwierdzić, że to właśnie oni stworzyli podstawy rozwoju Polski. Często wbrew zamierzeniom ówczesnych władz.

A jaki był stosunek inteligencji do PPR? W środowisku moich znajomych nikt, dosłownie nikt nie był w roku 1946 członkiem partii. Przypuszczam, że wstąpienie do PPR uznano by za kolaborację. Zabawne, że dopiero po latach dowiadywałem się, iż ten lub inny nosił jednak w kieszeni legitymację partyjną. Ale w roku 1946 starannie to ukrywał.

Zgodnie z prawdą muszę jednak napisać, że w środowisku kultury doceniano mecenat państwa, którego brakowało przed wojną. Pisarze – jak wiadomo – dorabiali sobie w najróżniejszy sposób, niektórzy z nich utrzymywali się wyłącznie dzięki wykonywaniu odległych od literatury zawodów. Najbardziej chyba jaskrawym przykładem był Leśmian pracujący jako notariusz. Nie lepiej mieli aktorzy i muzycy, chwytający się każdej dodatkowej pracy. Mój brat Kazimierz opowiadał, że kiedy zrozpaczeni brakiem środków do życia pracownicy Opery Warszawskiej, bądź co bądź placówki założonej jeszcze w XVIII wieku i związanej z takimi postaciami jak Bogusławski czy Moniuszko, przedstawili na audiencji

u premiera Sławoj - Składkowskiego petycję o dotację państwową – ten odpowiedział krótko: „Mnie wystarczy orkiestra wojskowa". I pieniędzy nie dał. Przed 39 rokiem działała w Polsce tylko jedna filharmonia warszawska, borykająca się, podobnie jak opera, ze stałym brakiem środków. Natomiast w zniszczonym po wojnie kraju powstało w pierwszych latach siedem filharmonii oraz drugie tyle orkiestr symfonicznych, wszystkie utrzymywane bezpośrednio lub pośrednio przez państwo. Muzycy, niezależnie od niechętnego stosunku do nowych władz, doceniali stworzone im przez te władze warunki pracy. Szybki rozwój szkolnictwa muzycznego zapewnił możliwości rozwoju wielu młodym utalentowanym kompozytorom i wykonawcom. Taka jest prawda i byłoby nieuczciwością o tym nie pisać.

Na tzw. Ziemiach Odzyskanych władze przejęły, zewidencjonowały i zmagazynowały niemieckie instrumenty. Ministerstwo przydzielało je nieodpłatnie nie tylko instytucjom lecz także indywidualnym muzykom. Marysia i Kazio otrzymali przydziały na fortepiany, ojciec na pianino. Ponadto Kazio dostał dodatkowo wiolonczelę. Z odpowiednimi papierkami jechało się do wyznaczonego magazynu i zabierało wybrany przez siebie instrument. Autentyczne! Ja sam, w pierwszych miesiącach 1946 roku otrzymałem przydział na wiolonczelę. Nie pamiętam niestety w jakim mieście Dolnego Śląska znajdował się magazyn poniemieckich instrumentów. Pojechałem do Wrocławia i tam przesiadłem się na lokalny pociąg. Kiedy wprowadzono mnie do dużego pomieszczenia, zobaczyłem parę fortepianów i pianin oraz dziesiątki leżących na podłodze skrzypiec i wiolonczel. W różnym zresztą stanie. Wybrałem wiolonczelę, która „na oko" wydała mi się tzw. instrumentem mistrzowskim oraz najlepszy smyczek. Brakowało natomiast futerałów. Miejscowi urzędnicy pomogli mi zapakować wiolonczelę ze smyczkiem w jakiś cienki koc, a następnie owinąć grubym sznurkiem. Z takim pakunkiem (oraz oczywiście z odpowiednim zaświadczeniem) przepełnionymi pociągami wróciłem do Łodzi. Kiedy lutnik obejrzał wiolonczelę, stwierdził, że jest to rzeczywiście mistrzowski instrument szkoły francuskiej. Miał piękny dźwięk i służył mi przez parę lat. Dzięki niemu mogłem pracować zarobkowo, co umożliwiło mi ukończenie studiów.

Opisując szczegółowo pozyskanie wiolonczeli, odszedłem od tematu tego podrozdziału. Sądzę jednak, że w pewien sposób wiąże się z nim. Jest to bowiem przykład stosunku władz państwowych do kultury. Dzisiaj studenci, nawet najbardziej zdolni, nie otrzymują urzędowego przydziału na darmowy instrument.

I na zakończenie jeszcze jedna refleksja, tym razem psychologicznej natury. Dlaczego dokładnie pamiętam wygląd pomieszczeń z instrumentami, sposób w jaki wiozłem wiolonczelę bez futerału, a nie mogę przypomnieć sobie nazwy miasteczka? Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Wiosna 46

Wiosenne miesiące 46 roku obfitowały w wydarzenia polityczne, wywołane przez wcześniejszy konflikt pomiędzy studentami a milicją. Na początku grudnia poprzedniego roku, krótko przed moim powrotem z Niemiec, miała miejsce tragedia. Większość budynków uniwersyteckich usytuowana była przy ulicy Narutowicza. Między nimi rozciągał się park, w głębi którego znajdował się szpital wojskowy. Pewnego wieczoru studentka o nazwisku – jeśli mnie pamięć nie zawodzi – Tyrankiewicz, wracała samotnie po wykładach. Została napadnięta, zgwałcona i zamordowana. A ponieważ sprawcy czy sprawców nie wykryto,

podejrzenie padło na radzieckich żołnierzy, pacjentów lub rekonwalescentów szpitala. Mogła to być zwykła plotka, ale wystarczyła, aby wzburzyć opinię publiczną. Pogrzeb stał się manifestacją polityczną. Wracając z cmentarza studenci różnych uczelni, a nie tylko uniwersytetu, sformowali pochód i przemaszerowali ulicami Łodzi, wznosząc antyradzieckie okrzyki. Interweniowała milicja, co jeszcze bardziej rozwścieczyło młodzież. W wyniku starć wielu studentów zostało pobitych, a kilkudziesięciu aresztowano. Jak mi mówiono, na skutek interwencji rektorów, po paru dniach aresztowanych studentów zwolniono. Ale napięcie pozostało.

W kwietniu – jak pamiętam – aresztowano na uniwersytecie profesora, który chyba nazywał się Gorzuchowski. Jako przyczynę podano działalność antypaństwową. Na czym polegała – nie wyjaśniono. Tym razem studenci postanowili nie organizować demonstracji, ale wystosować petycję do władz. I zebrać pod nią jak największą liczbę podpisów. Przygotowano listy, które rozprowadzono po wszystkich wydziałach uniwersytetu. Choć byłem początkującym studentem (na wykłady zacząłem uczęszczać dopiero w lutym), zgłosiłem się do zbierania podpisów. Poszedłem między innymi na wydział medyczny, gdzie po raz pierwszy (i jak na razie ostatni) zobaczyłem prosektorium i wdychałem wstrętny zapach formaliny. Zebrano podobno parę tysięcy podpisów. Jak mi potem mówiono, nasza akcja zamiast pomóc profesorowi, jeszcze mu zaszkodziła. Zbieranie podpisów uznano za sabotaż (takie to były czasy) i sąd dla przykładu zaostrzył wyrok. Profesora skazano na 5 lat więzienia.

Przy ulicy Piotrkowskiej, niemal na rogu ulicy Narutowicza mieściła się stołówka uniwersytecka, zwana „Gęsie Pióro". Tam odbywały się nieoficjalne spotkania, narady, dyskusje. Stamtąd właśnie w końcu kwietnia wyszła inicjatywa nieuczestniczenia w pochodzie 1-Majowym. Uznano, że jest to święto robotnicze, które nie dotyczy studentów, pochodzących głównie z rodzin inteligenckich. Postanowiono natomiast zorganizować własny pochód w dniu 3 maja, nie pytając o zgodę ani władz uniwersyteckich ani tym bardziej miejskich. O tej decyzji powiadomiono studentów innych łódzkich uczelni.

Rano 3 maja odbyło się w katedrze uroczyste nabożeństwo, po którym tłum studentów uformował pochód. Zamiarem organizatorów, o czym powiadomili zebranych, było przejście ulicami Piotrkowską i Narutowicza pod główny gmach uniwersytetu i tam manifestację zakończyć. Po drodze dołączały do pochodu coraz to nowe grupy młodzieży. Wznoszono – co dokładnie pamiętam – tylko dwa okrzyki: „Niech żyje wolność!" i „Niech żyje Mikołajczyk!" Trudno byłoby te hasła uznać za antypaństwowe.

O wolności władze mówiły bez przerwy, a Mikołajczyk, prezes PSL (Polskiego Stronnictwa Ludowego), był wówczas wicepremierem rządu. Na mocy wielostronnego porozumienia przyjechał z Londynu i zapewne dlatego w oczach części społeczeństwa uosabiał legalną opozycję wobec PPR.

Idąc machaliśmy rękami do przechodniów; oni nam odpowiadali i tak w pogodnym nastroju przemaszerowaliśmy do rogu ulicy Nawrot. Tam w poprzek jezdni stało kilkudziesięciu ubranych po cywilnemu mężczyzn, którzy na nasz widok zaczęli wołać: „Rozejść się!". Idący na czele pochodu działacze „Bratniej Pomocy" (o tej organizacji napiszę potem obszernie) zawahali się. Zwolnili, zatrzymali się na chwilę, poczem zdecydowanie ruszyli naprzód. Wtedy mężczyźni niespodziewanie wyciągnęli pistolety i krzycząc: „Stój, stój!" zaczęli strzelać. Najpierw w powietrze, a potem pod nogi idących. Wybuchła panika. Studenci rozpierzchli się lub padli na bruk, zasłaniając rękami głowy. Przygodni widzowie i zwykli przechodnie z krzykiem uciekali do bram.

A ja, znajdując się o parę metrów dalej, spostrzegłem nagle, że stoję sam jeden, na środku jezdni. Widzę jeszcze dzisiaj te scenę tak wyraźnie, jakbym oglądał film. Stałem wyprostowany, patrząc na kule uderzające z trzaskiem o bruk i przypominając sobie powstanie. W ułamkach sekund przebiegły mi przez głowę różne myśli, nawet tak głupie: „że kładąc się na bruku zabrudzę ubranie" albo „że nie wypada żołnierzowi AK okazywać lęku". Zanim zdążyłem się na coś zdecydować, strzały ucichły i zapanowała nagła cisza. Wszyscy rozeszli się do domów. Tym razem nie było aresztowań.

Wydarzenia te odbiły się szerokim echem w innych miastach i przez szereg lat były symbolem walki młodzieży akademickiej z narzuconym ustrojem. Kiedy w latach pięćdziesiątych pracowałem jako II dyrygent w filharmoniach poznańskiej i krakowskiej, ludzie wypytywali mnie o szczegóły tego, jak nazywano „łódzkiego pochodu Trzeciomajowego". A dla mnie miał wielorakie, ciągnące się przez lata konsekwencje.

Na wiosnę 46 zdałem egzamin do Wyższej Szkoły Muzycznej i zostałem przyjęty na dwa wydziały: I – kompozycji, teorii i dyrygentury oraz II – instrumentalny. Uległem również namowom dyrektora Łódzkiej Filharmonii, którym był wówczas Zdzisław Górzański i zgodziłem się od 1 września rozpocząć pracę na pełnym etacie w orkiestrze. Studia historyczne sprawiały mi wiele satysfakcji. Z uwagą słuchałem wykładów znakomitych profesorów (m.in. Kolankowskiego, Wolskiego i Geysztora) i już po dwóch miesiącach miałem przygotować referat o tumie łęczyckim, co było niewątpliwym wyróżnieniem. Pamiętam, że chyba pod koniec maja pojechaliśmy razem z profesorem do Łęczycy i tam po zwiedzeniu kościoła, rozłożyliśmy się na trawie. Przeczytałem swój referat, który zyskał uznanie profesora oraz koleżanek i kolegów. W tym samym jednak czasie zdecydowałem się porzucić studia historyczne. Była to niewątpliwie głupia decyzja. Nie ostatnia zresztą w moim życiu. Przyczyną była niechęć do łaciny, wywołana przed laty w gimnazjum przez nauczyciela. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafił ani mnie ani innych uczniów zachęcić do nauki tego pięknego języka. Kiedy więc teraz dowiedziałem się, że studentów II roku historii obowiązuje lektorat łaciński, postanowiłem zmienić wydział. Zachęcała mnie do tego również dziewczyna, z którą – jak się to wtedy mówiło – chodziłem. Była to jedyna córka profesora Stromengera, o którym już wspominałem. Miała na imię Zuzanna, ale wszyscy nazywali ją Dyzią. Była studentką biologii i to ona właśnie namówiła mnie do studiowania antropologii. Chodziliśmy wówczas razem na niektóre wykłady. Cóż, taka jest młodość. Tutaj dodam na marginesie, że Dyzia po skończeniu studiów wybrała zawód naukowca. Została profesorem i pisała interesujące książki.

W czerwcu miało miejsce jeszcze jedno ważne wydarzenie. Następnego dnia po rozpędzeniu 3-Majowego pochodu, gazety doniosły, że antyrządową demonstrację rozpędzili łódzcy robotnicy. Było to ewidentne kłamstwo, ponieważ nikt z nas nie wątpił, że strzelającymi byli funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Skrót UB był przez długie lata symbolem przemocy, okrucieństwa, bezprawnych aresztowań, prześladowań, dyskryminacji. Wiedzieliśmy, że w każdym państwie istnieje tajna policja, ale czy musi stosować niemal takie metody jak Gestapo? To jawne prasowe kłamstwo rozwścieczyło i tak wzburzonych studentów. Zanosiło się na wybuch, który mógł spowodować represje władz i ofiary w ludziach. W tej sytuacji rektorzy ogłosili, że zwrócą się bezpośrednio do premiera Edwarda Osóbki - Morawskiego z prośbą o przybycie do Łodzi i spotkanie ze studentami. Rzeczywiście odpowiednie pismo zawiózł do Warszawy jeden z rektorów. Po pewnym czasie nadeszła odpowiedź, że premier przyjedzie na spotkanie z łódzkimi studentami. Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy dokładnie odbyło się to spotkanie, ale niestety upływ

czasu zatarł bezpowrotnie datę tak ważnego wydarzenia. Nie jestem nawet pewny czy to był czerwiec, kiedy studenci nie rozjechali się jeszcze na wakacje czy może wrzesień, kiedy znaczna ich część przebywała poza Łodzią. Wydaje mi się jednak, że był to koniec czerwca. Datę spotkania i miejsce (Teatr Nowy) podano oficjalnie. Tego dnia na długo przed godziną rozpoczęcia, jasno oświetloną salę tłumnie wypełnili studenci. Ja z kolegami z wydziału historii zajęliśmy jedną z lóż po prawej stronie, patrząc w kierunku sceny, na której zasiedli rektorzy łódzkich uczelni. O oznaczonej godzinie pojawił się prezydent miasta, Kazimierz Mijal i powiedział, że niespodziewane ważne sprawy zatrzymały premiera w Warszawie. Rozległy się gwizdy, wycie i tupanie. Kiedy hałas ucichł, prezydent wyjaśnił, że został osobiście upoważniony przez premiera do wysłuchania wszystkich pretensji i żalów, postulatów i próśb studentów, a następnie przekazania ich w całości premierowi. Ponadto premier z góry obiecał, że postara się w miarę możliwości wszystko załatwić. Były to frazesy i nic dziwnego, że tu i ówdzie rozległ się szyderczy śmiech. Ale potem zgłaszano różne sprawy, od ogólnych po jednostkowe. Prezydent Mijal wszystko skrzętnie notował. Odczekałem jakiś czas, a potem poprosiłem o głos. Byłem dobrze przygotowany i zadałem dwa pytania. Do dzisiaj pamiętam je dokładnie. Pierwsze brzmiało następująco: „Dlaczego w urzędowych oficjalnych wypowiedziach zawsze stosuje się następującą kolejność: robotnicy, chłopi, inteligencja pracująca? Rzadko, na użytek wsi: chłopi, robotnicy, inteligencja pracująca? A nigdy nie wymienia się inteligencji na pierwszym miejscu." Otrzymałem gromkie brawa. Ku mojej satysfakcji klaskali również rektorzy, a Tadeusz Kotarbiński ze śmiechu aż się przechylił do tyłu na krześle. To powodzenie ośmieliło mnie i zadałem drugie pytanie, jeszcze bardziej prowokujące:, „Dlaczego prasa podała, że nasz 3-Majowy pochód rozpędzili robotnicy? Przecież było wiadome, że do nas strzelano. Od kiedy to robotnicy noszą ze sobą pistolety?" Sala zareagowała śmiechem i oklaskami. Kiedy usiadłem, jeden z kolegów zwrócił mi szeptem uwagę, że w przeciwległej loży ktoś zaczął mnie obserwować. Zapytałem, również zniżając głos do szeptu: „Kto to jest?". Inny kolega wyjaśnił, że to sam Moczar.

Przerywam tok opowiadania, aby wyjaśnić niezorientowanym czytelnikom, że Mieczysław Moczar był wówczas pułkownikiem i szefem Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Łodzi. Potem już tylko awansował. Został generałem, ministrem spraw wewnętrznych, sekretarzem KC i członkiem Biura Politycznego. Potem także prezesem ZBOWiD i prezesem NIK-u. Warto odnotować, że w latach siedemdziesiątych oficjalne biografie, podając wszystkie jego jakże liczne tytuły i stanowiska, przemilczają okres kiedy był funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Nigdy się nie dowiedziałem, jakie były konsekwencje mojego wystąpienia i zainteresowania moją osobą przez „samego" Moczara. Ale może to właśnie dlatego do 1956 roku nie mogłem otrzymać paszportu.

Prezydent Mijal na pierwsze moje pytanie w ogóle nie odpowiedział. Na drugie natomiast dał odpowiedź wymijającą, co po zakończeniu spotkania koledzy skwitowali grą słów: „Mijal się mijał". Doradził mi, abym zwrócił się z tym pytaniem bezpośrednio do Urzędu Kontroli Prasy. Tę wykretną odpowiedź sala przyjęła gwizdaniem i buczeniem. Po zakończeniu spotkania, opuszczaliśmy salę, głośno wypowiadając niepochlebne uwagi pod adresem Mijala i władz w ogóle. W pewnej chwili podszedł do mnie wysoki student w białej uniwersyteckiej czapce i wyciągnąwszy rękę przedstawił się.

- Antoni Rajkiewicz. Jestem prezesem „Bratniej Pomocy". Czy chciałby kolega pracować z nami w zarządzie?

Bez zastanowienia odpowiedziałem twierdząco. Taka propozycja dla studenta I roku była prawdziwym wyróżnieniem. Umówiliśmy się od razu na następny dzień.

Kończąc ten podrozdział chciałbym jeszcze w paru zdaniach opowiedzieć o dalszych losach prezydenta Mijala. Kiedy nastąpiły rozdźwięki pomiędzy ZSRR a ChRL, z państw tzw. obozu socjalistycznego tylko Albania poparła stanowisko Chin. I wówczas ku zaskoczeniu wszystkich, znany działacz partyjny, Kazimierz Mijal uciekł z Polski do Albanii. Nikt nie mógł pojąć, dlaczego. A Mijal zaczął pracować w Radio Tirana, skąd w języku polskim atakował ZSRR i propagował maoizm. O dalszych jego losach nic nie wiem.

Dłużewo

Słowo„obóz"kojarzyłosiędlamniezprzymiotnikiem„koncentracyjny"„wychowawczy", „jeniecki". Tym razem jednak był to akademicki obóz społeczno - wypoczynkowy. Jak mi wyjaśniono, określenie „społeczny" było konieczne, aby uzyskać nie tylko pieniądze, ale w ogóle zezwolenie na zorganizowanie obozu. Był to chyba pierwszy obóz w dziejach Uniwersytetu Łódzkiego. Na lokalizację wybrano małą miejscowość Dłużewo (obecnie Długopole) na Dolnym Śląsku. Nie pamiętam, ile trwał tygodni, ale na pewno odbył się na przełomie lipca i sierpnia. W ramach społecznych prac wzięliśmy raz udział w jakichś pracach polowych; bodajże pomagaliśmy zwozić snopy z pola do stodoły. Drugą pracą społeczną było zorganizowanie 1 sierpnia akademii z okazji drugiej rocznicy wybuchu powstania. Wygłosiłem, jako jedyny powstaniec wśród uczestników obozu, krótki referat. Zachowała się nawet mała fotografia z tej imprezy. Nigdy nie zapomnę, jak wspominając nieudane natarcie Niemców na nasze pozycje przejęzyczyłem się i oświadczyłem z dumą „czołgi sowieckie wycofały się w popłochu". Wywołało to poruszenie wśród obecnych studentów oraz zaproszonych mieszkańców Dłużewa. W pierwszym rzędzie siedzieli powiatowi „notable": przewodniczący rady narodowej, I sekretarz PPR, komendant Milicji i komendant Urzędu Bezpieczeństwa. Zauważyłem, że po usłyszeniu słowa „sowieckie" wymienili spojrzenia. Zapewne uznali to za celową prowokację polityczną. Nigdy się nie dowiem czy nie wysłali potem do Łodzi odpowiedniego meldunku. Oczywiście natychmiast sprostowałem pomyłkę, mówiąc: „Przepraszam, chciałem powiedzieć niemieckie". Przypuszczam, że to jednak niewiele pomogło.

Organizowaliśmy również, ale już tylko dla nas samych, ogniska. Pisałem na te okazje jakieś aktualne skecze oraz patetyczno-tkliwe „poemaciki" prozą. Pamiętam imiona i nazwiska trzech kolegów, ale - rzecz ciekawa – ani jednej koleżanki. Nawet tych, od których otrzymywałem na pamiątkę liczne zdjęcia. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ci trzej koledzy to: Stanisław Fuchs, Stanisław Tyszkiewicz i Wiktor Suchecki. Po powrocie do Łodzi z dwoma pierwszymi szybko straciłem kontakt i nie wiem, jak potoczyło się ich życie. Ale z Wiktorem współpracowałem przez dłuższy czas w zarządzie „Bratniaka". Po skończeniu studiów wybrał drogę naukową a po latach dowiedziałem się, że został profesorem prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Warto jeszcze opowiedzieć wcześniejszą historię jego życia. Aresztowany w czasie okupacji, znalazł się w obozie koncentracyjnym (nie pamiętam w którym). Ponieważ znał dwa lub trzy języki, został tłumaczem i pracował w obozowym biurze. Kiedy skończyła się wojna, a SS-mani dozorujący obóz pouciekali, Wiktor zgłosił się do amerykańskiej żandarmerii i zaproponował, że pomoże w ich wyłapywaniu. Słyszał bowiem, że ukrywają się w okolicznych wsiach. Amerykanie skwapliwie skorzystali

z jego propozycji i Wiktor w asyście uzbrojonych żandarmów przeczesywał dom po domu. Znalazł większość ukrywających się SS-manów, których nazwiska, stopnie, funkcje i przede wszystkim stosunek do więźniów poznał, pracując jako tłumacz. Wszyscy stanęli przed sądem i w zależności od stopnia winy skazani zostali na kary więzienia. Po tej udanej akcji Amerykanie zaproponowali Wiktorowi stałą pracę w charakterze tłumacza, ale odmówił i wrócił do Polski. I jeszcze jedna ciekawa sprawa. Przez cały okres pobytu na obozie akademickim Wiktor niechętnie przebywał w towarzystwie. Wolał samotnie lub tylko ze mną wędrować po lasach. Rzadko się śmiał. Nie wiem czy takie miał usposobienie, czy był to wpływ obozowych przeżyć.

Z pobytu w Dłużewie pamiętam jeszcze parę wycieczek, między innymi do miniaturowego miasteczka, które w swym ogrodzie zbudował z patyczków i deseczek jakiś nieznany niemiecki artysta oraz udział w jedynym w moim życiu seansie spirytystycznym. O tym chciałbym szerzej napisać, ponieważ może być przyczynkiem do niekończących się dyskusji o tzw. paranormalnych zjawiskach. Pewnego wieczoru w oświetlonym pokoju ustawiliśmy okrągły stół o zniszczonej nierównej powierzchni. Kredą napisaliśmy litery alfabetu oraz cyfry od zera do dziewięciu. Ponieważ nie dysponowaliśmy cienkim szklanym spodkiem, wzięliśmy z kuchni dość ciężki fajansowy talerzyk, na którym atramentem narysowaliśmy kreskę czy strzałkę. Podaję te szczegóły, ponieważ ilustrują niekorzystne „dla duchów" warunki przeprowadzenia seansu. Usiedliśmy w pięć czy sześć osób wokół stołu i czubkami palców dotykaliśmy talerzyka. Początkowo był chłodny, ale po paru minutach stawał się coraz cieplejszy. Muszę dodać, że kiedy tak siedzieliśmy w milczeniu, usiłując zachować poważny wyraz twarzy, raz po raz ktoś parskał śmiechem. Nie pamiętam po jakim czasie – ale nie mogło to być dłużej niż kilkanaście minut – talerzyk drgnął. Spoważnieliśmy natychmiast. Talerzyk drgnął po raz drugi i przesunął się po chropowatej powierzchni stołu. Nadal trudno mi było uwierzyć w to, co widzę i zacząłem podejrzewać, że ktoś celowo popycha talerzyk. Krzyknąłem: „Zabierzcie ręce!" Posłuchali. Zdjęli ręce ze stołu. Teraz już tylko moje palce dotykały talerzyka, który coraz szybciej zaczął krążyć po stole. Dosłownie uciekał spod moich palców. Był to naprawdę niesamowity widok. I wszystko działo się przy pełnym świetle elektrycznej lampy pod sufitem.

Wreszcie ktoś zapytał.

- Kim jesteś?

Talerzyk zaczął krążyć jakby bez celu, a potem strzałka bez mojej woli pokazała litery: E, W, A, B, R, A, U, N. Pomimo napięcia, z lekka mnie ta odpowiedź rozbawiła.

Ktoś inny zadał typowe dla tamtego okresu pytanie: „Kiedy będzie następna wojna?". „Duch Ewy Braun" podał jakąś datę, której nie pamiętam. Niestety, nasz interesujący kontakt z zaświatami został przerwany, gdyż nagle drzwi się otworzyły i weszło parę osób, aby nas zaprosić na kolejną „popijawę". A potem oczywiście nasz seans stał się tematem wielu dowcipów. Ja zaś nigdy więcej nie miałem okazji do wypróbowania moich dyspozycji „mediumicznych". Nie próbowałem również wyjaśnić tego, co się stało. Gdybym sam nie brał w tym udziału, uważałbym opowiadanie o takim zdarzeniu za czysty wymysł. Kiedy bodajże w latach osiemdziesiątych panowała moda na różnego rodzaju wahadełka, piramidki, psychokinezy itp., miał miejsce jeszcze jeden trudny do wytłumaczenia fakt. W czasie mojej kolejnej bytności w Warszawie, siostra Maria pokazała mi srebrną kulkę na łańcuszku, którą otrzymała w prezencie od swojej byłej uczennicy. Tę kulkę trzeba było trzymać nad wyciągniętą dłonią. Jej ruchy, wywoływane przez oddziaływanie na odległość miały coś oznaczać. Wstyd mi się przyznać, ale nie pamiętam co. Moja rodzina

wypróbowywała kulkę nad swoimi dłońmi, ale ona „nie chciała" nawet drgnąć. Marysia poprosiła, abym ja także spróbował. Dla zabawy zgodziłem się i ku zaskoczeniu obecnych kulka zaczęła po kilkudziesięciu sekundach poruszać się, a następnie krążyć. Stopniowo nabrała zadziwiającej szybkości. Nie wiem czym skończyłoby się to wirowanie, gdyby nie zmęczenie wyciągniętych rąk. Zaczęły drętwieć i musiałem je opuścić. Znacznie później widziałem w jakiejś książce fotografię dłoni otoczonej jakby aureolą. Naukowcy wyjaśniali, że to nie żadne cuda, tylko efekt promieniowania, które udało się sfotografować. Przypuszczam zatem, że moje ciało wytwarza po prostu silniejsze niż u innych pole elektromagnetyczne. Jaka jest przyczyna tej różnicy, nie mam pojęcia. Do dzisiaj jednak przy dotykaniu klamek, kaloryferów czy nawet lamety na choince – odczuwam delikatne, choć niezbyt przyjemne uderzenie prądem. Kto wie, może gdybym obracał się w kręgach zwolenników zjawisk parapsychicznych – zrobiłbym karierę jako medium. O ile moje materialistyczne przekonania nie zabiłyby „wrodzonych zdolności" do kontaktowania się z duchami i poruszania przedmiotami na odległość.

W Dłużewie mieszkało jeszcze niewielu Polaków. Nasz obóz mieścił się w jakimś dużym pensjonacie, a dotychczasowa właścicielka, Niemka, zgodziła się dla nas gotować, co poza zarobkiem dawało jej zabezpieczenie przed tzw. szabrownikami. Na podstawie stosownego zezwolenia otrzymywaliśmy od miejscowych władz przydziały żywności. Przed wyjazdem zrobiliśmy mały nielegalny wypad do licznych pustych domów i każdy z nas znalazł coś dla siebie. Ja „wyszabrowałem" materac, ponieważ w domu rodziców spałem na jakimś starym łóżku, w którym druty z połamanej siatki kłuły mnie przez siennik. Używałem potem tego materaca przez dobrych parę lat.

Rozdział XIV

JESIEŃ 1946 – ZIMA 1947

Łódzcy rektorzy

Chciałbym na początku tego rozdziału zrelacjonować pewne spotkanie, o którym opowiadał mój brat Kazimierz. Przytaczam tę relację na jego odpowiedzialność, zakładając z góry, że nie mógł jej wymyślić. Pamiętam bowiem, jak bardzo był rozbawiony, a zarazem podniecony. Nie jestem natomiast pewny czy spotkanie odbyło się na początku roku akademickiego 1946/47, czy nieco wcześniej, w pierwszym półroczu 1946 roku.

I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PPR w Łodzi zaprosił do siebie czterech rektorów wyższych uczelni. Byli to: Uniwersytetu – Tadeusz Kotarbiński, Politechniki – Bohdan Stefanowski, Wyższej Szkoły Teatralnej – albo jeszcze Aleksander Zelwerowicz albo już Leon Schiller i Wyższej Szkoły Muzycznej – mój brat. I sekretarz, którego nazwisko przepadło w mrokach niepamięci, niezwykle ciepło przyjął rektorów. Był dobrze przygotowany, gdyż – jak z przekąsem opowiadał Kazio – znał osiągnięcia naukowe i artystyczne każdego z nich. Potem rozwodził się nad tym, jak wielkie znaczenie ma dla partii nauka i sztuka. (Znacznie później, kiedy ja sam miałem kontakty z przedstawicielami władz, zauważyłem z niesmakiem, że prawie nigdy nie przystępowali od razu do meritum sprawy. Przez jakiś czas kluczyli, jakby chcąc uśpić czujność rozmówcy). Następnie I sekretarz wyraził żal z powodu niepokojów w środowisku studenckim, jego zdaniem inspirowanych z zewnątrz przez wrogie Polsce siły. Wreszcie po tych wstępach, jakby mimochodem rzucił uwagę, że w tej sytuacji byłoby pożądane, gdyby rektorzy zechcieli zapisać się do PPR. Jak opowiadał Kazio, po tych słowach zapadło niezręczne milczenie. Nikt nie wiedział, jak zareagować. Wreszcie po chwili zabrał głos rektor Stefanowski. Miał bezpośredni sposób mówienia, co przydało się w tej kłopotliwej sytuacji. Jak opowiadał Kazio, prof. Stefanowski podrapał się w głowę i powiedział.

- Słyszałem, że za wstąpienie do PPR dają mieszkanie i stanowisko. Może to być oczywiście plotka. Nie wiem, jak to jest z kolegami rektorami, ale ja dostałem już od władz piękne mieszkanie i wysokie stanowisko. Wobec tego po co w moim wieku mam się jeszcze do tej partii zapisywać?

Powiedział to rubasznym tonem w nieco żartobliwy sposób, który wykluczał poważną dyskusję. Inni rektorzy skorzystali z okazji, aby podziękować za opiekę władz nad uczelniami i I sekretarz zrozumiał, że jego propozycja nie ma szans na akceptację. Być może parę lat później podobne spotkanie miałoby mniej przyjemny przebieg, ale w pierwszych latach nowa władza nie wypracowała jeszcze skutecznych metod nacisku na ludzi o znanych nazwiskach. Odwoływanie rektorów rozpoczęło się nieco później i dotknęło także profesora Kotarbińskiego.

Trzeba pamiętać, że w tamtych latach, kiedy dopiero zaczęto odbudowywać Warszawę, Łódź była największym miastem polskim. Natomiast Kraków i Poznań, zdecydowanie

opozycyjne, nie stanowiły oparcia dla nowych władz. Trudna sytuacja panowała w Katowicach z uwagi na skomplikowane stosunki niemiecko - śląskie w czasie okupacji. Tak więc robotnicza Łódź była najsilniejszym oparciem dla nowych władz i prawdopodobnie istniały zalecenia, aby raczej łagodzić niż zaostrzać wszelkie konflikty. I dlatego zapewne I sekretarz nigdy więcej nie podjął tematu wstąpienia rektorów do partii.

Skoro już zacząłem pisać o wyższych uczelniach, chciałbym jeszcze wspomnieć o antyinteligenckiej atmosferze, panującej w dużych przemysłowych ośrodkach. W Łodzi, Katowicach i niestety także Poznaniu wyraźnie odczuwałem niechęć nie tylko ówczesnych władz, lecz nawet przechodniów na ulicach czy w tramwajach. Nie było tego np. w Krakowie. Analizę przyczyn tej antyinteligenckiej atmosfery pozostawiam socjologom; być może ktoś już to zrobił. W Łodzi, typowym mieście robotniczym, ta niechęć była w latach czterdziestych wyjątkowo wyraźna i czasami przybierała wręcz niesmaczne formy. Słyszałem, że na sesjach rady miejskiej głośno wykrzykiwano pod adresem studentów: „My ich utrzymujemy, a oni demonstrują przeciwko władzy" albo „Uczą się za nasze pieniądze, a jeszcze protestują". Najbardziej obrzydliwy był artykuł, który sam czytałem. Autor określił Uniwersytet jako „ropiejący wrzód na ciele robotniczej Łodzi". Nic dziwnego, że ta wyjątkowo niesprzyjająca atmosfera spowodowała stopniowy upadek łódzkiej nauki. Kiedy tylko ruszyła odbudowa Warszawy i rozpoczęły działalność tamtejsze uczelnie, profesorowie zaczęli opuszczać Łódź. A za nimi także studenci. Dosłownie w ciągu paru zaledwie lat wszyscy wybitni naukowcy wyjechali. Podobnie było z artystami. Łódzkie teatry, które w końcu lat czterdziestych promieniowały na całą Polskę, przestały się liczyć. Skończyły się słynne spektakle, o których mówiło się w kraju. Można sprawdzić w monografiach, jacy pisarze, reżyserzy, aktorzy, muzycy działali w Łodzi zaraz po wojnie. W połowie lat pięćdziesiątych nie było już po nich śladu. Przypuszczam, że obok innych zróżnicowanych przyczyn tego exodusu, czuli się źle w atmosferze oscylującej od otwartej wrogości przynajmniej części środowiska robotniczego do zniechęcającej obojętności lokalnych władz.

Studia

Jak już pisałem, w październiku rozpocząłem studia na dwóch uczelniach, a nieco wcześniej, od 1 września stałem się etatowym pracownikiem Filharmonii. Równocześnie zacząłem działać w zarządzie „Bratniej Pomocy" uniwersytetu, czemu poświęcę osobny podrozdział. Już wcześniej wpadłem na „genialny" pomysł napisania trzech listów. Pierwszy skierowałem do dyrektora filharmonii z prośbą o zwolnienie mnie z dwóch czy może nawet trzech pierwszych prób w każdym tygodniu. Prośbę uzasadniłem studiami w aż dwóch wyższych uczelniach jednocześnie. Ponieważ w tamtych czasach filharmonie odczuwały ostry deficyt muzyków, dyrektor – obawiając się widocznie, że zrezygnuję z pracy – wyraził zgodę. Drugi list zaadresowałem do rektora uniwersytetu z prośbą o zwolnienie mnie z niektórych wykładów z uwagi na równoległe studia w Wyższej Szkole Muzycznej. Rektor przychylił się do mojej prośby. A trzeci list otrzymał Jego Magnificencja mój brat Kazimierz. Również prosiłem o usprawiedliwienie z góry mojej nieobecności na niektórych wykładach z powodu studiów na uniwersytecie oraz pracy w orkiestrze. (W tamtych powojennych czasach nie istniał zakaz wykonywania pracy zarobkowej przez studentów). I tym razem moja prośba została uwzględniona. Tak więc zyskałem czas na działalność w „Bratniaku"!

W PWSM chodziłem na lekcje kontrapunktu do prof. Kazimierza Sikorskiego, ponieważ uważałem, że jest to niezbędne do analizy partytur. Nie opuszczałem także w miarę możności jego lekcji instrumentacji. Cenne były również wykłady historii muzyki prof. Stromengera. Mówił z niezwykłą pasją i głęboką znajomością przedmiotu. Raz po raz porzucał temat wykładu, aby taką czy inną dygresją poszerzyć naszą wiedzę. Po pierwszym wykładzie podzieliłem w zeszycie każdą kartkę na pół. Z lewej strony notowałem słowa profesora dotyczące tematu, a z prawej dygresje. Zdarzało się, że było ich więcej. Ale jakże były interesujące! Na pozostałe wykłady nie uczęszczałem. Tuż przed wiosennymi egzaminami prosiłem koleżanki, aby przez godzinę streszczały mi, o czym była mowa przez cały rok. A potem jakoś zdawałem na dostateczny. Zdarzały się przy tym zabawne incydenty, o których z braku miejsca niestety nie mogę napisać. Ponadto chodziłem na próby kwartetu smyczkowego, który niebawem stał się reprezentacyjnym zespołem uczelni. Musiałem również jako tzw. koncertmistrz trzy - lub cztero - osobowej grupy wiolonczel być obecny na próbach szkolnej orkiestry. No i do tego lekcje dyrygentury i wiolonczeli u Kazia. Jak widać było tego całkiem sporo.

Studia uniwersyteckie zajmowały nieco mniej czasu. Chodziłem na wszystkie wykłady związane bezpośrednio z antropologią. Nie pamiętam już, jak się nazywały. Ponieważ na pierwszym roku było tylko trzech studentów, wykłady odbywały się w prywatnym mieszkaniu prof. Ireneusza Michalskiego, który później został wybitnym polskim antropologiem. Już przed wojną profesora Jana Czekanowskiego uznawano za jednego z twórców tzw. europejskiej szkoły antropologicznej, różniącej się zasadniczo od amerykańskiej. Prof. Michalski był jego uczniem. Uczęszczałem na obowiązkowe zajęcia praktyczne z zoologii, gdzie musiałem kroić martwe, zakonserwowane w formalinie żaby, a także chrabąszcze. Niezbyt miło wspominam te zajęcia. Dorywczo przez ciekawość chodziłem na wykłady profesorów: Dembowskiego, Kotarbińskiego i Ajdukiewicza. Najmniej rozumiałem skomplikowane wywody tego ostatniego. Do dzisiaj żałuję, że nie przykładałem wówczas większej wagi do możliwości kontaktu z tymi wybitnymi uczonymi. Na pewno rozszerzyłoby to moje horyzonty myślowe i rozwinęło potencjał intelektualny. Do dzisiaj uważam, że nie wykorzystałem w wystarczający sposób tamtych możliwości.

Ze studiami muzycznymi wiązały się mniej lub więcej bezpośrednio rozmaite występy solowe i zespołowe. Czasem w ramach uczelni, czasem zupełnie niezależnie. Występowaliśmy na rozmaitych imprezach w instytucjach i szkołach. Również – o ile mnie pamięć nie myli – to właśnie w drugim półroczu 46 rozpoczęły się, na razie dorywcze, koncerty umuzykalniające. Występowaliśmy w trio fortepianowym, początkowo z prelegentem, którego obowiązki szybko przejąłem. Występowaliśmy nie tylko w Łodzi. Pamiętam wyjazdy do Łowicza i Skierniewic. Potem wydział oświaty zaproponował mi występy solowe z małą orkiestrą smyczkową, złożoną ze studentów. Sam zinstrumentowałem parę krótkich utworów, a honorarium zasiliło mój budżet. Nasz „reprezentacyjny" kwartet nagrywał również w radio. Niestety, co pewien czas wracał ból lewej ręki, o którym już wcześniej pisałem. Myślę, że świadomość tego, iż tzw. sforsowanie może nie tylko utrudnić rozwój moich umiejętności, ale pewnego dnia w ogóle uniemożliwić wykonywanie zawodu wiolonczelisty – zaważyła w znacznym stopniu na podjęciu ostatecznej decyzji zostania dyrygentem.

Filharmonia

W parę dni po moim przyjeździe do Łodzi w grudniu 46 roku, poszedłem wraz z całą rodziną na koncert do filharmonii. Sala była – jak to się mówi – wypełniona po brzegi. Powiedziano mi, że tak jest zawsze. Wszystkie koncerty, podobnie jak spektakle teatralne, cieszyły się ogromnym powodzeniem. Był to pewien, łatwy do wytłumaczenia fenomen psychologiczno - socjologiczny. W czasie okupacji wiele imprez (a w Łodzi w ogóle wszystkie) zarezerwowano wyłącznie „Nur für Deutsche". Było to świadome działanie władz okupacyjnych – odciąć Polaków od tzw. wielkiej kultury. Tę dyskryminację odbierano jako upokarzającą. Nawet przez tych, którzy przed wojną nie uczestniczyli w życiu koncertowo - teatralnym. Kiedy po wyzwoleniu instytucje artystyczne stały się dostępne, Polacy tłumnie ruszyli do sal koncertowych i teatralnych. Bilety nie były specjalnie drogie, a ponadto zakłady pracy z tzw. funduszu socjalnego dopłacały do imprez kulturalnych. I tak w Łodzi odbywały się co tydzień dwa koncerty symfoniczne: w piątek wieczorem (według przedwojennej tradycji Filharmonii Warszawskiej) i powtórzenia tego samego programu w niedzielę o godzinie 12, nazywane nie wiem dlaczego porankiem. Wszystkie przy pełnej frekwencji. Słuchaczami byli pracownicy naukowi, urzędnicy i przede wszystkim młodzież akademicka. Ten wyjątkowy okres trwał niestety tylko parę lat. Gwoli prawdy trzeba dodać, że program w kinach był w tamtych czasach nieciekawy. Głównie filmy radzieckie i uratowane nieliczne przedwojenne polskie. Również radio miało nader ograniczony repertuar. Tak więc zamiast siedzieć w słabo ogrzewanych, zatłoczonych mieszkaniach, ludzie woleli chodzić do filharmonii i teatrów.

Pierwszy koncert symfoniczny wywarł na mnie duże wrażenie. Stanisław Szpinalski, z pewnością najwybitniejszy wówczas polski pianista, obdarzony żywiołowym temperamentem i dysponujący imponującą techniką, zachwycił mnie brawurowym wykonaniem koncertu Chaczaturiana. A w drugiej części „Patetyczna" Czajkowskiego, którą również po raz pierwszy w życiu usłyszałem. Wielkość muzyki przesłoniła braki orkiestry, a Zdzisław Górzyński po tym koncercie stał się dla mnie wzorem. Myślę, że jego sposób prowadzenia orkiestry również przyczynił się do tego, że wybrałem zawód dyrygenta. Po koncercie Kazio przedstawił mnie Górzyńskiemu, a ten od razu zaproponował mi stanowisko pierwszego wiolonczelisty. Jak to się mówi: „w ciemno". Podziękowałem i powiedziałem, że na razie zamierzam dostać się na studia. W następnych miesiącach przy każdym spotkaniu Górzyński ponawiał propozycję. Ponieważ musiałem wreszcie mieć stałą pensję, zdecydowałem się na podjęcie pracy od 1 września 46. Kazio namówił mnie, abym zrezygnował ze stanowiska pierwszego wiolonczelisty, zwanego koncertmistrzem. Dotychczas zajmował je mój dawny nauczyciel z konserwatorium. Był wiolonczelistą o słabej technice i jeszcze słabszej orientacji, co właściwie dyskwalifikowało go jako prowadzącego grupę. Ale miał ładny, miękki dźwięk i był przede wszystkim wyjątkowo porządnym człowiekiem. Pozbawienie go stanowiska byłoby – uznaliśmy zgodnie – zwyczajnym świństwem. Dyrektorowi Górzyńskiemu swoją odmowę uzasadniłem studiami, które uniemożliwiały mi uczestnictwo we wszystkich próbach. Zająłem więc miejsce obok mego byłego nauczyciela i przez trzy lata współpracowaliśmy bez jakichkolwiek konfliktów.

Natomiast jedyny poważny, choć zaledwie parominutowy konflikt, miałem od razu na pierwszej próbie z siedzącym w grupie wiolonczel na ostatnim, szóstym miejscu, bardzo starszym panem. Obserwowałem go jako słuchacz koncertów i zauważyłem

bez trudu, że raczej udaje, niż gra naprawdę. Przypuszczam, że był to amator, którego zatrudniono z braku kwalifikowanych wiolonczelistów. Co w tamtych czasach zdarzało się nader często. Ci amatorzy czy półzawodowcy jeszcze w latach sześćdziesiątych stanowili spory odsetek we wszystkich orkiestrach. W czasie pierwszej próby usłyszałem, że z tyłu któryś z wiolonczelistów ciągle się myli. Zdenerwowany, obejrzałem się za siebie. Kiedy nastąpiła przerwa i zamierzałem opuścić estradę, stanął przede mną ów szósty wiolonczelista i powiedział z wściekłością: „Ty, gówniarzu! Jeżeli jeszcze raz się obejrzysz, dam ci w mordę!". Dosłownie zdrętwiałem. Nikt jeszcze do mnie tak nie powiedział, nawet w wojsku. Nie potrafiłem odpowiednio zareagować na tak chamski atak i odszedłem bez słowa.

Kiedy przy pierwszej okazji opowiedziałem Kaziowi o tym incydencie, ten wyjaśnił mi, że w orkiestrach nie wolno zwracać uwagi na jakiekolwiek pomyłki kolegów. Ani odwracaniem się, ani spojrzeniem, ani uśmiechem. Tylko dyrygent i ewentualnie za jego zgodą koncertmistrze mają prawo zwracania uwagi na niewłaściwe granie orkiestrowego muzyka. Niezależnie od faktu, że Kazio określił formę wypowiedzi starszego pana jako niedopuszczalną. Była to dla mnie przykra, ale zarazem pożyteczna nauczka. A do owego szóstego wiolonczelisty przez całe dwa lata pracy w orkiestrze nie odezwałem się ani słowem. Kiedy mijałem go, przybierałem wyniosły wyraz twarzy.

Jak już pisałem, w czasie okupacji zarobkowałem grając w różnych warszawskich kawiarniach i rewiach. Kiedy teraz, we wrześniu 46 stałem się pracownikiem filharmonii, ze zdumieniem stwierdziłem, że granie w dużej orkiestrze symfonicznej okazało się łatwiejsze od grania w małych zespołach, wykonujących tzw. lekką muzykę. W orkiestrze miałem nuty drukowane przeważnie w dużym formacie oraz dyrygenta, który pokazywał „wejścia", taktował, podawał tempo. A w zespole kawiarnianym grało się w zasadzie bez prób, z nut wydrukowanych na małych kartkach i co było najtrudniejsze, realizowało się nie tylko partię wiolonczeli. Prawie w każdym z kilkudziesięciu utworów, tworzących repertuar danego zespołu, trzeba było raz po raz zagrać solo puzonu lub saksofonu, ponieważ tych instrumentów nie było w ogóle w składzie. Po powrocie z pierwszej próby, na której ćwiczyliśmy V symfonię Beethovena, powiedziałem do rodziny, że praca w filharmonii to „łatwizna" w porównaniu z kawiarnią.

Znacznie później przekonałem się, że poznanie muzyki popularno - rozrywkowej miało jeszcze jedną zaletę: pozwoliło na poznanie ogromnej dziedziny o odmiennym od muzyki symfonicznej charakterze i stylistyce. Kiedy zostałem dyrygentem i prowadziłem koncerty dla wczasowiczów w Świnoujściu albo koncerty sylwestrowe – doświadczenie z lat okupacji bardzo mi się przydało.

I jeszcze jedno wspomnienie z pracy w filharmonii. W tamtych czasach – jak już pisałem – bilety na koncerty nie były drogie. Pomimo to przekraczały możliwości finansowe niejednego z moich kolegów studentów. Chcąc im pomóc, zostałem oszustem. Przyznaję się do tego bez wstydu. Podobno cel uświęca środki. Czy każdy – nie jestem pewien, ale ten, dla którego popełniłem oszustwo, był na pewno szczytny. Mój ojciec, podobnie jak inni profesorowie, miał tzw. passe-partout na dwie osoby. Kiedy szliśmy na koncert, ja wchodziłem jako wykonawca bez żadnego biletu, a rodzice pokazywali swoje passe-partout, czyli kartę wolnego wstępu. Kiedy już znajdowaliśmy się w holu między publicznością, w pewnej odległości od biletera, zabierałem od matki kartę. Między poczekalnią a holem znajdowało się dwoje oszklonych drzwi. Przez jedne wpuszczano publiczność, a drugie były zawsze zamknięte. I właśnie przez szparę w tych drzwiach przesuwałem dyskretnie

kartę prosto do rąk czekających kolegów. Ponieważ passe-partout nie było imienne, dzięki temu na każdy koncert udawało się przemycić parę osób. Ojciec oczywiście o niczym nie wiedział, ponieważ obawialiśmy się, że mógłby się nie zgodzić na takie oszustwo, ale matka była bardziej tolerancyjna i brała udział w tym „haniebnym procederze".

Pisząc o początku mojej pracy w filharmonii, celowo nie wspomniałem ani o utworach, które grałem jako muzyk orkiestrowy, ani o dyrygentach i solistach. Jest to zbyt obszerny materiał i zamierzam poświęcić mu co najmniej jeden osobny rozdział. Tacy artyści jak Bierdiajew, Rowicki, Czerny - Stefańska czy Umińska przez wiele lat mieli potem związek z moją pracą jako dyrygenta. Podobny problem nastręcza omawianie repertuaru. Przez pierwsze parę miesięcy program każdego koncertu zawierał utwory, których nigdy przedtem nie grałem. Przeważnie nie nastręczały żadnych trudności technicznych, ale niektóre wymagały nawet zabierania nut do domu i indywidualnego ćwiczenia. Wie o tym każdy początkujący muzyk. Również w tym pierwszym okresie nauczyłem się w ciągu dosłownie pierwszych minut pierwszej próby oceniać umiejętności danego dyrygenta. Okazało się, że tak samo reagują inni muzycy orkiestrowi. Bardzo szybko potrafią ocenić znajomość partytury, technikę manualną, umiejętność pracy. A także to co uważają za najważniejsze: czy dyrygent wie, czego chce i czy potrafi to wyegzekwować od orkiestry. O wiele później zacząłem zwracać uwagę na posiadanie przez dyrygenta jasnej i spójnej koncepcji interpretacyjnej, choć zdaję sobie sprawę, jak to pojęcie trudne jest do sprecyzowania.

„Bratnia Pomoc"

W latach 45 – 49 znaczenie takiej organizacji jak „Bratnia Pomoc" było czymś niepowtarzalnym w historii powojennych ruchów studenckich. Cieszę się, że mogłem brać w tym udział, a zdobyte wtedy doświadczenia nie raz mi się potem w życiu przydały. Zasięg działania „Bratniej Pomocy" był naprawdę rozległy: domy akademickie, stołówki, obozy letnie i zimowe, wycieczki, a nawet bale. I bliska współpraca z władzami uczelni w wielu tak ważnych kwestiach jak np. stypendia czy organizowanie wszelkiego rodzaju uroczystości. Piszę to na podstawie działalności „Bratniej Pomocy" Uniwersytetu Łódzkiego. Czy tak samo było na innych uczelniach – nie wiem.

Zarząd naszej „Bratniej Pomocy" składał się z 13 osób. Obowiązywał (zapewne uzgodniony na wyższym szczeblu) następujący klucz: 7 członków z trzech działających wówczas w kraju organizacji młodzieżowych, „przybudówek" partii: 3 z ZWM (Związek Walki Młodych) – PPR, 2 z ZNMS (Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej) – PPS i 2 z ZMW „Wici" (Związek Młodzieży Wiejskiej) – ZSL, oraz 6 członków – jak się wtedy mówiło – niezrzeszonych. Prezesem musiał być ktoś z trzech ZWM-owców. Każdy członek zarządu miał przydzielone określone zadania, np. domy akademickie, stołówki, stypendia itd. Mnie od razu na pierwszym zebraniu, na którym zostałem jednogłośnie dokooptowany do zarządu, mianowano kierownikiem Sekcji wczasów i wycieczek. Tytuł kierownika sekcji był raczej symboliczny, ponieważ poza mną nikt do niej nie należał. O ile pamiętam, inne sekcje były również jednoosobowe, ale w razie potrzeby cały zarząd wspólnie pracował. A całe biuro składało się tylko z dwóch osób: sekretarki i księgowej. W tym miejscu musze dodać, że byłem najmłodszym członkiem zarządu zarówno z uwagi na wiek jak i rok studiów.

W czasie mojej mniej więcej dwuletniej pracy w „Bratniej Pomocy" organizowałem obozy letnie i zimowe oraz – co wynikało z zakresu działalności – także bale i akademie.

Nie pamiętam natomiast, abym zorganizował jakąś wycieczkę. Jeśli grupa studentów (np. Koło Historyków) wystąpiła z inicjatywą wspólnego wyjazdu, starałem się jedynie o ośrodki finansowe.

A oto przykład znaczenia, jakie w tamtych czasach miała „Bratnia Pomoc". Było to już nieco później, bo na wiosnę 1947 roku. Postanowiłem zorganizować aż w czterech miejscowościach Ziem Odzyskanych obozy letnie, a w każdym po dwa trzytygodniowe turnusy. Wybrałem Police w szczecińskim, Sorkwity na Mazurach, Wędrzyn w lubuskim i Dłużewo na Dolnym Śląsku. „Dorobiłem ideologię" o nawiązaniu więzi Łódzkiego Uniwersytetu z Ziemiami Odzyskanymi. Rektor poparł ideę, ale uznał, że o dotację zarząd „Bratniej Pomocy" winien starać się bezpośrednio w Ministerstwie. (Nie mogę sobie przypomnieć jak się wówczas nazywało: Oświaty, Szkolnictwa, Edukacji?) Po wymianie stosownej korespondencji pojechałem osobiście do Warszawy, do dyrektora odpowiedniego departamentu o nazwisku Arnold. Dlaczego akurat to nazwisko zapamiętałem – nie potrafię wytłumaczyć. Kiedy poszedłem do rektora po pismo popierające wniosek „Bratniej Pomocy", poproszono mnie, abym przy okazji zabrał inny wniosek uniwersytetu o zwiększenie kwoty stypendialnej na następny rok akademicki 1947/48. Rektor wyjaśnił, że listy dochodzą nieraz z dużym opóźnieniem, a poza tym jeśli takie pismo wręczy dyrektorowi przedstawiciel „Bratniej Pomocy" – będzie lepiej przyjęte.

Do Warszawy poleciałem samolotem, co jest warte odnotowania. Była to nie tylko moja pierwsza w życiu podróż lotnicza, ale poza tym pierwsza wizyta w Warszawie po powstaniu. Nic dziwnego, że byłem naprawdę podniecony.

Samolot pochodził z tzw. demobilu. Zabierał około dwudziestu pasażerów, siedzących na twardych ławkach przytwierdzonych wzdłuż do ścian samolotu. O fotelach i pasach nikt jeszcze nawet nie marzył. Niewiele pamiętam z tej podróży: ile trwała, jak przebiegła, gdzie było wówczas warszawskie lotnisko, jak wyglądała komunikacja miejska itd. Pamiętam jedynie, że w bezpośredniej rozmowie z dyrektorem Arnoldem uzyskałem zarówno dotację na letnie obozy jak i obietnicę zwiększenia kwoty na stypendia. To jeszcze jeden przykład jak wysoka była pozycja „Bratniej Pomocy". Do Łodzi wróciłem pod wieczór tym samym samolotem.

I jeszcze jedno wspomnienie związane z „Bratnią Pomocą". Postanowiłem w stołówce „Gęsie Pióro", gdzie koncentrowało się studenckie życie intelektualno- towarzyskie, organizować regularne comiesięczne spotkania dyskusyjne. Propozycja została przyjęta przez zarząd, a na pierwszego referenta wybrałem łódzkiego duszpasterza akademickiego, ojca Tomasza Rostworowskiego. Piszę „ojca", ponieważ był jezuitą. Nie pamiętam przy jakiej okazji go poznałem, ale przez następne dwa – trzy lata spotykaliśmy się nader często. Ksiądz Rostworowski był siostrzeńcem Karola Huberta Rostworowskiego. Miał dwa fakultety: teologiczny i filozoficzny. W czasie powstania był kapelanem. Jako duszpasterz akademicki miał dyspensę władz zakonu: mieszkał osobno i chodził w cywilnym ubraniu; w tamtych czasach było to czymś niezwykłym. Poza tym pozwolono mu palić papierosy i pić alkohol. Umiał zupełnie przyzwoicie grać na fortepianie i parę razy słyszałem, jak śpiewał dowcipne kuplety przy własnym akompaniamencie. Był naprawdę wyjątkowym człowiekiem i kapłanem, a młodzież dosłownie za nim przepadała.

Tytuł referatu, który miał wygłosić o. Rostworowski, brzmiał: „Kościół a postęp". Kiedy mi podał ten tytuł, spojrzałem na niego zaskoczony. Uśmiechnął się jak zwykle łagodnie i powiedział: „Proszę się nie martwić, dam sobie radę".

W wyznaczonym dniu, późnym popołudniem, stołówka była przepełniona. Studenci, dla których zabrakło krzeseł, siedzieli na stołach i stali pod ścianami. Zgodnie z moim życzeniem referat był krótki, plus-minus 30 minut. A potem zaczęła się dyskusja, do której pasuje określenie „zażarta". Miejsca najbliżej stolika referenta zajęli członkowie ZWM, studenci filozofii, historii i chyba także socjologii. Byli wśród nich m.in. Kołakowski, Rajkiewicz, Rutkowski, Schaff (młodszy brat prof. Adama Schaffa). Na marginesie dodam, że wszyscy potem zostali naukowcami. Zaatakowali ojca Rostworowskiego gwałtownie. Wypomnieli inkwizycję, Rogera Bacona, Giordana Bruna, Galileusza, nieuznawanie teorii Kopernika i Darwina. O. Rostworowski „odgryzał się", jak mógł, ale przewaga była po stronie oponentów. Nawet w mojej katolickiej rodzinie uważano, że Kościół niestety nie sprzyja postępowi. Znacznie później zrozumiałem, że każda religia ze swojej istoty musi być konserwatywna. Ponieważ istotą religii a zarazem jej siłą jest anachroniczność.

Kiedy obecni byli przekonani, że referent ugnie się pod argumentami przeciwników, o. Rostworowski oświadczył nagle (pamiętam te słowa dokładnie): „Macie koledzy rację, że Kościół nie przyjmował od razu odkryć naukowych i tego co nazywa się postępem. Ale pamiętajcie, że Kościół trwa już prawie dwa tysiące lat. I trwać będzie dalej. Kościołowi się nie spieszy, ma czas". Rozległ się śmiech i oklaski. Młodzi marksiści z uznaniem przyjęli ten inteligentny wybieg.

W miesiąc później ja wygłosiłem referat. Tytuł brzmiał: „Dlaczego jestem niezrzeszony". Już wspomniałem, że tak określano studenta nienależącego do żadnej partii czy pokrewnej organizacji. A takich studentów była znaczna większość, przynajmniej do lat pięćdziesiątych. Stołówka była znowu przepełniona. Główną tezę mojego referatu można streścić następująco: prawie żaden wybitny uczony czy artysta nie zajmował się polityką i nie należał do jakiejkolwiek partii. Tym razem moi marksistowscy oponenci mieli trudniejsze zadanie. Usiłowali udowodnić, że każdy myślący człowiek ma jakieś polityczne przekonania czy sympatie i że nie można być neutralnym w podzielonym świecie. Odpowiadałem, że światopogląd nie ma nic wspólnego z przynależnością partyjną, która ogranicza swobodę działania i myślenia. Dyskusja była długa i burzliwa.

Niestety, kolejnych referatów już nie było. Jak mnie poinformowano, władze (nie dowiedziałem się nigdy – jakie) nie wyraziły zgody na tego rodzaju spotkania. Pozostawiam tę informację bez komentarza, gdyż wymagałby zbyt wiele miejsca.

Inne wydarzenia

W ostatnim kwartale miały miejsce liczne wydarzenia, z których najważniejsze choćby skrótowo opiszę. 30 listopada, już jako członek zarządu „Bratniej Pomocy" odpowiedzialny za bale studenckie zorganizowałem tzw. andrzejki. Jak zwykle tańczyliśmy do rana, starając się nie opuścić ani jednego tańca. Wspomnienie tych pierwszych akademickich balów na zawsze utrwaliło się w mojej pamięci. Większość studentów nie miała pieniędzy, wobec tego zjadaliśmy obfite kolacje w domu, aby niczego nie kupować w bufecie. W najgorszym razie wypijaliśmy jakąś ohydną słodkawo-mdłą lemoniadę. Zdarzało się jednak, że z braku pieniędzy musieliśmy zaspokajać pragnienie wodą z kranu. Zmęczony chodzeniem w starym amerykańskim mundurze, pożyczałem od ojca jego przedwojenny wizytowy garnitur. Składał się z czarnej marynarki i obowiązujących tzw. spodni sztuczkowych. Nie wiem, skąd pochodziła ta nazwa. Owe sztuczkowe spodnie, które zobaczyć można jeszcze na

fotografiach z przedwojennych oficjalnych uroczystości, były ciemnopopielate w podłużne czarne prążki. Ponieważ ojciec był ode mnie znacznie tęższy, spodnie obwiązywałem paskiem (nie miały tzw. patek), żywiąc nadzieję, że się przy tańcu nie zsuną i nie spadną na podłogę. Takie sceny do dzisiaj oglądamy w filmowych komediach. Marynarki nigdy nie zapinałem, zakładałem tylko jedną połę na drugą. Również inni studenci mieli przeważnie pożyczone garnitury w rozmaitych kolorach, albo po prostu swetry, bluzy, wiatrówki. A dziewczęta rzadko miały sukienki, przeważały spódnice i bluzki. I często tańczyły w tzw. kapcach. Były to wysokie, wojłokowe buty, zapinane rzemykami z imitacji skóry. Dobre na mrozy, ale gorsze do tańczenia. Ale w tamtych czasach o wieczorowych pantofelkach nie można było nawet marzyć. Pomimo tego bawiliśmy się znakomicie i tańczyliśmy do upadłego. Nigdy potem żaden bal czy dancing nie dał mi tyle beztroskiej radości.

Na tym „andrzejkowym" balu poznałem moją przyszłą pierwszą żonę, ale o tym napiszę w odpowiednim czasie.

Pewnego dnia przed świętami Bożego Narodzenia wpadł do mnie Wiktor Suchecki, o którym już wspominałem. Zdyszany wyjaśnił, że właśnie otrzymał wiadomość o zatrzymaniu przez milicję naszej koleżanki, a jego sympatii imieniem Wiesia. Nazwiska niestety nie pamiętam. Wiesia wraz z przyjaciółką o imieniu Halina (jej nazwisko także całkowicie wyleciało z mojej pamięci) wynajmowały duży pokój, który stał się miejscem naszych spotkań, rozmów, dyskusji, snucia rozmaitych planów. Obie dziewczyny studiowały medycynę. Rodzina Wiesi mieszkała w Pionkach koło Radomia i tam właśnie pojechała na święta i zimowe ferie, które w tamtych czasach były krótkie, zaczynały się parę dni przed Bożym Narodzeniem i kończyły parę dni po Nowym Roku, razem dwa tygodnie. Brat Wiesi przyjechał z Pionek do Radomia, aby ją spotkać na dworcu i zobaczył, że milicja zrobiła akurat obławę na nielegalnych handlarzy i tzw. szabrowników. Zobaczył także, że Wiesię zabrano od razu po wyjściu z pociągu. Wrócił zrozpaczony do Pionek i zatelefonował do Wiktora, którego znał, ponieważ Wiktor odwiedził kiedyś rodzinę Wiesi. A teraz Wiktor przybiegł do mnie z prośbą o pomoc. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy pójść do Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Był to pomysł wręcz absurdalny. Co wspólnego miał ten Urząd w Łodzi z obławą na szabrowników w Radomiu? Gdyby rzecz się miała na dworcu w Łodzi, interwencja mogłaby mieć jakiś sens, lecz w tej sytuacji była bezcelowa. Ale Wiktor był naprawdę zrozpaczony, a ja chciałem mu pomóc. Pośpieszyliśmy zatem do urzędu, który mijałem idąc z domu do PWSM. Zadzwoniliśmy do drzwi. Uchyliło się małe okienko. Przedstawiliśmy się jako członkowie zarządu „Bratniej Pomocy" uniwersytetu i wyjaśniliśmy, że chcielibyśmy zasięgnąć informacji o naszej koleżance studentce, zatrzymanej pomyłkowo w obławie na dworcu w Radomiu. Zostaliśmy wpuszczeni. Na korytarzu siedział uzbrojony wartownik, a my stanęliśmy przed nieco większym okienkiem po prawej stronie ściany, za którym urzędował jakiś funkcjonariusz. Wiktor wyjaśnił całą sprawę. Funkcjonariusz patrzył na nas bez żadnej reakcji. Nieruchome spojrzenie na nieruchomej twarzy. Kiedy Wiktor skończył, funkcjonariusz pomyślał chwilę i obojętnym tonem odparł: „To nie nasza sprawa. Idźcie na milicję". Nie próbowaliśmy nawet dyskutować. Opuściliśmy urząd i doradziłem wówczas Wiktorowi, aby pójść do rektoratu. Był to – jak się okazało – dobry pomysł. Wskoczyliśmy do pierwszego nadjeżdżającego tramwaju i pojechaliśmy na uniwersytet. Kiedy sekretarka usłyszała z jaką sprawą przyszliśmy, bez wahania pobiegła do rektora Kotarbińskiego. Ten przyjął nas natychmiast i Wiktor po raz trzeci opowiedział przebieg wydarzeń. Kotarbiński, jak na logika przystało, wysłuchał w milczeniu, a potem zadał parę konkretnych pytań. Zanotował adresy Wiesi:

stały w Pionkach i tymczasowy w Łodzi, rok studiów i datę zatrzymania w Radomiu. Powiedział krótko: „Zobaczymy, co da się zrobić". A potem, patrząc na mnie badawczo, zapytał: „Czy to pan przemawiał na spotkaniu z prezydentem Mijalem?" Potwierdziłem, a rektor tylko się uśmiechnął i kiwnął aprobująco głową.

Wyszliśmy z Wiktorem uspokojeni. Po dwóch-trzech dniach Wiesia zatelefonowała z Pionek, że właśnie ją zwolniono z aresztu. Nigdy się nie dowiedziałem czy milicja zrobiła to sama po sprawdzeniu tożsamości Wiesi, czy może pomogła błyskawiczna interwencja rektora. Ale i tak sposób, w jaki nas przyjął, spowodował, że zdobył mój szacunek i sympatię. Wiesia po powrocie z ferii dziękowała nam za pomoc i do końca mojego pobytu na uniwersytecie tworzyliśmy – jak to się mówi – zgraną paczkę. W 49 roku wyjechałem z Łodzi i kontakt urwał się raz na zawsze. Czego zresztą żałowałem. A na marginesie tej sprawy warto dodać, że wiele osób uznało naszą wizytę w UB za idiotyzm. To, że nas po interwencji w ogóle wypuszczono, nazywano cudem. Na ogół ludzi pytających o znajomych czy krewnych od razu „na wszelki wypadek" zamykano.

29 grudnia 46 roku wyjechaliśmy całą grupą do Karpacza na zorganizowany przez „Bratnią Pomoc", czyli przeze mnie, obóz wypoczynkowo - narciarski. Ojciec dał mi krótki nowy kożuszek, który otrzymał jako profesor z UNRRA, a ja kupiłem na targu stare, używane, zapewne poniemieckie narty. Tak wyekwipowany wyruszyłem na dworzec. Mieliśmy zarezerwowany wagon osobowy dawnego typu, który można oglądać jeszcze na filmach. Oczywiście nieogrzewany, nieoświetlony i z oknami zabitymi dyktą. Taki sam, jakim ponad rok wcześniej jechałem z Gdyni do Łodzi. Mieliśmy jednak ze sobą latarki, świeczki oraz jedzenie i alkohol. Nasza paczka zajęła jeden przedział i przez całą podróż do Wrocławia rozgrzewaliśmy się wódką oraz opowiadaniem dowcipów. Było nas dwóch „nadwornych opowiadaczy", reszta towarzystwa przeważnie słuchała. I podobnie jak w przypadku balów, ta pełna niewygód podróż była jedną z najprzyjemniejszych w moim życiu. We Wrocławiu nasz wagon odstawiono na bocznicę i dopiero po paru godzinach doczepiono do pociągu relacji Wrocław – Kłodzko. Jak dostaliśmy się do Karpacza – zupełnie zapomniałem.

O tym obozie mogę napisać, że prawie żadnej nocy nie przespaliśmy w całości. Przeważnie dopiero rano rozchodziliśmy się do swoich pokoi. Spaliśmy w dzień, a w nocy tańczyliśmy przy wtórze zdartych, chrypiących płyt na starym patefonie. Kto dzisiaj pamięta to słowo? Nic zatem dziwnego, że moje narty stały przez cały okres pobytu w Karpaczu w kącie pokoju i nawet ich nie rozpakowałem. Potem powędrowały do piwnicy i przy przeprowadzce do Warszawy zostały wyrzucone na śmietnik.

I jeszcze jedno zabawne zdarzenie z tego okresu, które miało zakończenie już w styczniu 1947 roku. Z niefrasobliwością właściwą młodości nie załatwiłem w filharmonii w sposób formalny swojego zwolnienia na wyjazd. Pamiętam, że zawiadomiłem tylko inspektora i koncertmistrza. A tymczasem orkiestra miała zaplanowane jakieś koncerty popularne (Sylwester, Nowy Rok, karnawał?). Uznałem, że nie są ważne i mogą się odbyć beze mnie. Kiedy wróciłem, czekała na mnie nagana i potrącenie połowy pensji za dwa tygodnie nieobecności. Zgodnie z przepisami, powinienem zostać zwolniony dyscyplinarnie, ale byłem niezbędny jako wiolonczelista i dyrekcja zastosowała łagodniejszy wymiar kary. A ja, zamiast wyrazić skruchę, zrobiłem awanturę twierdząc, że musiałem wyjechać do uzdrowiska w Karpaczu, aby leczyć przemęczoną rękę. Na to usłyszałem, że w takim razie muszę przedstawić odpowiednie zaświadczenie lekarskie. W tamtych czasach funkcjonowała PALMA. Nie pamiętam, co ten skrót oznaczał. Była to ogólnopolska państwowa instytucja zajmująca się opieką lekarską nad studentami. Tak się złożyło, że młody lekarz łódzkiego

oddziału był z nami jako uczestnik na obozie w Karpaczu. Nie robił problemów i napisał zwolnienie lekarskie, szeroko uzasadniając konieczność odpoczynku sforsowanej ręki i zastosowania odpowiedniej kuracji w uzdrowisku. Myślę, że lekarz ryzykował, wystawiając samodzielnie na tak długi okres czasu zwolnienie. W filharmonii wiedzieli jednak, że miałem kłopoty z ręką i zwolnienie przyjęto. Naganę cofnięto i pensję wypłacono w całości.

Wśród nielicznych niestety pamiątek z okresu 1945/49 znalazłem obok dokumentów, podłużną tekturkę z obrazkiem i przyklejoną na odwrocie zabawną „inwokacją". Dostałem to w prezencie od kolegi z naszej paczki, Staszka Fuchsa. Nie powiedział, kto namalował obrazek, być może on sam. Natomiast „inwokacja" była jego autorstwa. Zaczynała się od słów „Józiowi z Wiłkomierza,/ Józiowi od Dłużewa,/ Józiowi od akademij żałobnych" itd. A potem wymieniał najróżniejsze moje zachowania, działania, cechy charakteru – zawsze w formule „Józiowi od…" Jest to wyjątkowo sympatyczna pamiątka, a zarazem potwierdzenie, że w środowisku liczyła się moja obecność oraz to, co robię i mówię. Choć najmłodszy wiekiem – zajmowałem w grupie znaczącą pozycję. Teraz po upływie kilkudziesięciu lat mogę to z satysfakcją stwierdzić. Ale zarazem, tym razem z przykrością, przyznać, że swoich zdolności i możliwości nie wykorzystałem w pełni. Najłatwiej byłoby zwalić winę na czynniki zewnętrzne, np. na ustrój. Nie wyczerpuje to jednak całości zagadnienia. Dopiero na starość zacząłem się nad tym niewykorzystanym potencjałem zastanawiać. O wiele za późno. Będę musiał jeszcze do tematu tego wracać przy omawianiu przerwanych studiów uniwersyteckich, porzuconej literatury, zaniechaniu działalności społecznej. Wszystko to stało się w okresie 1946 – 56, być może potencjalnie najbardziej twórczym. Straty tych lat nie zdążyłem już potem odrobić. Smutne rozważania.

Rozdział XV

ROK 1947

Rok 47 obfitował w wydarzenia, które w znacznym stopniu rzutowały na lata następne, a pośrednio na moje dalsze życie. Teraz, kiedy piszę te słowa, uświadamiam sobie z całą ostrością, jak wiele błędów życiowych było wynikiem cech mojego charakteru. Myślę, że pisząc o nich z całą otwartością, dokonuję tego, co w chrześcijaństwie nazywa się rachunkiem sumienia. I jest to także zgodne z moją zasadą nieusprawiedliwiania samego siebie. Wielu ludzi wyznaje i stosuje przeciwną zasadę: „To wszyscy wokół są winni, tylko nie ja." Starałem się unikać takiej – moim zdaniem – błędnej postawy. Być może to właśnie ustrzegło mnie przed frustracją, nerwicą i… wrzodami żołądka.

Czytanie - pisanie

W tamtym okresie musiałem niestety ograniczyć lektury. Zbyt dużo było nauki i innych absorbujących zajęć. W porównaniu z latami okupacji czytałem dużo mniej. Do intensywnej lektury wróciłem dopiero w latach 54-57, o czym napiszę potem szczegółowo. Nie znaczy to jednak, że w ogóle nie czytałem. I tak na przykład na obozy letnie niemal każdy z uczestników zabierał jakieś książki. Po ich przeczytaniu – wymieniał z innymi osobami. Poza tym dyskusje, które toczyliśmy przy każdej okazji, także wymagały lektur. Jakże często pytaliśmy się nawzajem: „A to czytałeś?" Zmuszało to do sięgania po daną książkę, aby przy następnym spotkaniu móc podjąć polemikę. Ruch wydawniczy był jeszcze w tamtym okresie raczej słaby. Drukowano przede wszystkim podręczniki, w tym coraz liczniej marksistowskie. Na szczęście nawet we wcielonej do Rzeszy Łodzi, ocalała część księgozbiorów szkolnych i prywatnych. Wielu ludzi potrzebując pieniędzy wyzbywało się swoich książek i dzięki temu można je było nabywać po stosunkowo niskich cenach. Rodzina, znając moją pasję czytania, przy okazji świąt, urodzin czy imienin obdarowywała mnie książkami. I tak zacząłem gromadzić swoją przyszłą bibliotekę. Wybiegając nieco w przyszłość, chciałbym obiektywnie stwierdzić, że począwszy od lat pięćdziesiątych wydawano masowo tzw. światową klasykę. Była neutralna politycznie – choć oczywiście nie światopoglądowo – i nie drażniła cenzury, która zresztą po XX Zjeździe KPZR była przez pewien czas nieco zdezorientowana. Wśród wydawanych dzieł nie zabrakło żadnego z wielkich nazwisk. Ogromną zaletą tej polityki wydawniczej było drukowanie wszystkich dzieł danego twórcy. Dzięki temu udało mi się zgromadzić w przeciągu mniej więcej dwudziestu lat parę tysięcy książek, w tym np. całego Balzaka, Szekspira, Platona, a nawet Prousta. Książki wydawano na grubym, wstrętnym papierze, przeważnie w miękkich okładkach i słabo zszywane. Rozlatywały się przy pierwszym czytaniu. Ale za to w dużych nakładach i niskich cenach. Już w tamtych latach przypuszczałem, że w Warszawie działało

jakieś nieformalne „sprzysiężenie" mądrych ludzi, którzy postanowili wykorzystać hasła istniejącego systemu (np. Oświata dla mas), aby dostarczać społeczeństwu niezbędną literaturę. Wrócę do tej sprawy przy omawianiu tzw. okresu gierkowskiego.

Brak czasu, a także tego co nazywa się potocznie „wolną głową", ograniczyły w znacznym stopniu moją „twórczość literacką". A zdarzenie, które opiszę, na dobre parę lat zniechęciło mnie do wszelkich literackich prób. Na rozmaitych spotkaniach, ogniskach, wieczorynkach zdarzało mi się czytać publicznie swoje opowiadania czy baśnie. Nawiasem mówiąc, utrzymane w konwencji młodopolskiej, co zresztą trafiało w gusta moich rówieśników. Nic zatem dziwnego, że zaczęto mnie namawiać do opublikowania tych utworów w jakimś czasopiśmie. W Łodzi wydawano wówczas bodajże „Nową Kulturę", której naczelnym redaktorem był Wiktor Woroszylski. Nie pamiętam, przy jakiej okazji go poznałem. Może było to na balu, albo – co bardziej prawdopodobne – na jednej z uniwersyteckich dyskusji. Uległem namowom moich koleżanek i kolegów i wybrałem się z maszynopisami paru utworów do Woroszylskiego. Zgodził się przeczytać je w ciągu tygodnia. Kiedy przyszedłem w umówionym terminie, oddał mi maszynopisy i powiedział krótko: „Nie jesteśmy zainteresowani". Poczułem się dotknięty, zabrałem maszynopisy i wyszedłem. Nie pamiętam czy zdobyłem się nawet na zwykłe „Do widzenia!" Ta odmowa sprawiła, że straciłem chęć do pisania. W tym miejscu pozwolę sobie na pewna refleksję. Po wielu latach od tamtej wizyty u Woroszylskiego przeczytałem dzieło znakomitego psychologa Gezy Reveša „Talent i geniusz". Uczony na podstawie własnych badań oraz dokumentów stwierdza, że każdego prawdziwego twórcę cechuje wewnętrzny przymus wyładowania swojej pasji. Nawet bez jakiegokolwiek odbioru społecznego. Istotnie, jak sprawdziłem potem, London, zanim zobaczył jedno ze swoich opowiadań wydrukowane w jakimś czasopiśmie, przez ileś lat wysłał do rozmaitych redakcji sto kilkadziesiąt swoich utworów. A van Gogh – jak wiadomo – nie sprzedał ani jednego swojego obrazu. Pomimo to malował do końca życia. Ja, niestety, nigdy nie miałem takiego kantowskiego „imperatywu kategorycznego". Mogę się jednak pocieszyć, że znane są nazwiska paru geniuszy, którzy albo tworzyli co pewien czas, jakby od niechcenia, lub w ogóle przestawali. Takimi byli np.: Rossini, Rimboud, Jarry, Wilde, Purcell, Balzac. Przytoczyłem tylko te nazwiska, które mi się nasunęły od razu. Na pewno jest ich o wiele, wiele więcej. W dalszym ciągu tej autobiografii jeszcze parę razy opiszę mój brak owej pasji tworzenia, niezależnej od wszelkich trudności. A może to przede wszystkim niewiara we własne możliwości twórcze? Nadmiar skromności? Brak tzw. siły przebicia? Lęk przed kolejną odmową? Jakie by nie były przyczyny, pozostaje faktem, że nie wykorzystałem swoich mniejszych czy większych zdolności literackich.

„Dezerter"

Gdzieś w tym samym okresie 46 roku, przydarzyła mi się dziwaczna historia, która – pomimo elementów komicznych – mogła mieć niezbyt przyjemny finał. Kiedy skończyłem 20 lat, zgodnie z wywieszonymi na słupach obwieszczeniami, udałem się do wskazanego lokalu celem stawienia przed komisja poborową. Skierowano mnie na badania oczu. Okulary nosiłem od piętnastego roku życia, a krótkowzroczność niestety nieznacznie, lecz stale rosła. Lekarz w oficerskim mundurze wpuścił mi do oczu atropinę i po półgodzinnym czekaniu, zaczęło się badanie. „Kategoria A" – orzekł. Zapytałem: „Z takim wzrokiem?"

Spojrzał na mnie z wyraźną niechęcią i wskazując na moją amerykańską wojskową bluzę, stwierdził: „Mogliście służyć w tamtej armii, to możecie i w naszym Ludowym Wojsku". I wpisał od razu przydział: „Artyleria". Była to wyraźna szykana, ale nie przejąłem się tym, wiedząc, że właściwy pobór odbędzie się za rok, a jako student i tak zostanę – jak to się wtedy mówiło – wyreklamowany z wojska. O całej sprawie zapomniałem i kiedy w 47 roku kolejne obwieszczenia wezwały poborowych do obowiązkowego stawiennictwa, po prostu nie poszedłem.

Pewnego dnia o godzinie 4 czy 5 rano uporczywy dzwonek u drzwi wejściowych obudził całą rodzinę. Matka na koszulę nocna narzuciła szlafrok i zapytała przez zamknięte drzwi: „Kto tam?" Usłyszała twardy głos: „Otwierać!" Uchyliła drzwi przez łańcuch i zobaczyła oficera, a za nim uzbrojonego żołnierza w hełmie. Otworzyła i wówczas oficer zapytał: „Czy tu mieszka dezerter Wiłkomirski?" Absurdalność takiego sformułowania jest typowa dla wojska. Przerażona matka odpowiedziała, że syn śpi. „To niech się natychmiast ubiera. Pójdzie z nami!" Ubrałem się bez zbytniego pośpiechu, pocieszając zarazem matkę. Cały incydent uważałem za zabawny. Wyszliśmy na ulicę i pomimo iż chodnik był pusty, maszerowaliśmy jezdnią tuż przy krawężniku. W następującej kolejności: oficer – ja – szeregowiec. Domyślałem się, że jest to zgodne z regulaminem: aresztanta nie wolno prowadzić po chodniku!

Minęliśmy parę przecznic i weszliśmy do jakiegoś domu. Tam powtórzyła się procedura: zabraliśmy kolejnego dezertera. Był to miły młodzieniec, który podobnie jak ja przeoczył termin ponownego stawienia się przed komisją poborową. I on również nie objawiał ani skruchy, ani strachu. Oficer, który był ponurym służbistą, zabronił nam rozmawiać. Nawet towarzyszący mu szeregowiec miał z lekka rozbawiony wyraz twarzy, ukrywał to jednak starannie, czemu nie można się było dziwić. Skierowaliśmy się do komisariatu w naszej dzielnicy. Tam oficer przekazał nas dyżurnemu sierżantowi milicji mówiąc: „Macie tutaj dezerterów. Doprowadzicie ich do komisji poborowej po godzinie ósmej". Załatwił jakieś papierkowe formalności i odszedł wraz z szeregowcem, nie zaszczycając nas spojrzeniem. Zapomniałem napisać, że przez cały czas miał zapięty pod brodą rzemyk od czapki, wykonywał przecież ważne dla obronności kraju zadanie. Po jego wyjściu sierżant wskazał nam ławkę pod ścianą i wówczas mogłem spokojnie porozmawiać z współtowarzyszem niedoli. Studiował medycynę i był przekonany, że zgłaszając to przed komisją rok temu, uzyskał odroczenie od służby wojskowej. Czekając, z ciekawością obserwowaliśmy, co działo się na komisariacie. Milicjanci wchodzili i wychodzili, załatwiali jakieś sprawy, wymieniali półgłosem uwagi. A nas, siedzących na ławce obrzucali podejrzliwymi spojrzeniami. Na drugiej ławce drzemał pijak, budząc się co pewien czas i coś tam pod nosem bełkocząc. Obok siedziała kobieta w średnim wieku, brudna i rozczochrana. Pamiętam jeszcze z tej bytności na komisariacie zaniedbane wnętrze i niczym nieosłoniętą żarówkę pod sufitem rzucającą słabe światło. W pewnym momencie wpadła zapłakana kobieta. Zaczęła gorączkowo tłumaczyć, że całą noc czekała na męża, a skoro do tej pory nie wrócił, na pewno stało mu się coś złego. I niech milicja go znajdzie i odprowadzi do domu. Sierżant słuchał z nieufnym wyrazem twarzy. A kiedy zapytał czy taka nieobecność zdarzyła się po raz pierwszy, kobieta wybuchnęła: „Pierwszy raz? Ten łajdak, ten dziwkarz, ten skurwysyn ciągle ucieka! Ale ja mu pokażę! Na pewno chleje z jakąś szmatą, zdzirą, suką! Jak go znajdziecie i przyprowadzicie – łeb mu rozwalę!" Sierżant przerwał ten potok słów, mówiąc spokojnie, ale dobitnie: „Idźcie, obywatelko, do domu i przestańcie tu wyzywać. A skąd wiecie, może wasz mąż miał was dosyć i po prostu uciekł?" Kobieta popatrzyła na niego spode łba i wyszła, a ja z trudem

powstrzymywałem śmiech. Nigdy dotąd nie byłem świadkiem takiej sceny. Już wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo w jednym społeczeństwie różnić się mogą poszczególne grupy, zwane dawniej stanami, a obecnie klasami.

Około godziny ósmej podeszliśmy do sierżanta i zapytaliśmy, kiedy nas zaprowadzą do komisji. Odparł, że nie ma żadnego wolnego człowieka, a właśnie odbywa się odprawa. Na pytanie jak długo może odprawa potrwać, usłyszeliśmy, że nie wie. Wróciliśmy na ławkę, ale po pół godzinie mój współtowarzysz znowu podszedł do sierżanta i powiedział, że ma w komisji znajomego lekarza i czy można by ze służbowego telefonu do niego zadzwonić. Sierżant długo się zastanawiał, wreszcie zapytał: „A numer telefonu macie?" Na szczęście „aresztant" miał w marynarce notes z numerami RKU (Rejonowa Komenda Uzupełnień). Sierżant zapisał numer wraz z nazwiskiem i stopniem wojskowym lekarza. Potem połączył się z RKU. A ja w międzyczasie powiedziałem do mojego współtowarzysza: „Niech pan doradzi znajomemu, aby namówił sierżanta do wysłania nas do komisji bez wartownika". I tak się stało. Sierżant okazał się rozsądny. Posłuchał rady lekarza, dał nam „aresztanckie" papiery i pozwolił odejść. Papiery przeczytaliśmy od razu na ulicy. Nie było tam oczywiście słowa „dezerter", a jedynie stwierdzenie, że „z powodu niestawienia się obywatela przed komisją… należy doprowadzić go…" Kiedy szliśmy do RKU, wyobrażałem sobie, jak wyglądałbym między godziną 8 a 9 rano, idąc jezdnią głównej ulicy Piotrkowskiej pod eskortą uzbrojonego żołnierza lub milicjanta.

W RKU czekał już na mojego współtowarzysza znajomy lekarz i natychmiast zabrał go do gabinetu. A ja jako aresztant zostałem przez dyżurnego skierowany poza kolejką do sali, gdzie urzędowała komisja. Kiedy wszedłem, zobaczyłem siedzących za długim stołem kilku oficerów i lekarzy. I nagle usłyszałem pełen zdziwienia okrzyk: „Józiu, a ty co tutaj robisz?" Zza stołu wyszedł siwy mężczyzna w białym lekarskim fartuchu. Wtedy go poznałem, był to znajomy mojego ojca, lekarz wojskowy, bodajże w stopniu pułkownika. Opowiedziałem pokrótce całą historię. Pułkownik, który był przewodniczącym komisji, machnął lekceważąco ręką. Zawołał jakiegoś porucznika i wydał krótkie polecenie: „Przenieść na ponadkontyngentowego". W krótkim czasie otrzymałem książeczkę wojskową z wpisaną ołówkiem adnotacją: „student, szeregowiec, ponadkontyngentowy". Wraz z ustnym zaleceniem: „Po zakończeniu studiów zgłoście się do RKU celem zmiany książeczki wojskowej". Na moją uwagę, że w AK miałem już stopień kaprala, porucznik spojrzał na mnie obojętnie i odpowiedział niezbyt przyjaznym tonem: „To się teraz nie liczy".

Kiedy skończyłem studia, chciałem – aby uniknąć znowu aresztowania – zgłosić się do RKU. Odradzono mi. W tamtych bowiem latach nie istniało jeszcze na wyższych uczelniach tzw. studium wojskowe. Po uzyskaniu dyplomu, na ogół od razu szło się na dwu- czy trzymiesięczne szkolenie (na ogół w okresie lata) i dostawało stopień podporucznika. A potem nieraz co roku na dodatkowe parotygodniowe ćwiczenia. Usłuchałem rady i nie zgłosiłem się do RKU, a wojsko o mnie „zapomniało" na osiem lat. O tym, jak sobie „przypomniało" – napiszę w odpowiednim czasie. A teraz chciałbym określić swój stosunek do wojska. Zdaję sobie sprawę, że dopóki zwierzę zwane człowiekiem rozumnym będzie toczyło wojny, tak długo wojsko będzie niezbędne. Tym niemniej przekonałem się wielokrotnie, że dyscyplina wojskowa tylko pozornie zapewnia porządek. Nadmierny rygor sprzyja rozrostowi biurokracji, co z kolei wywołuje niezamierzony chaos. Zdaję sobie również sprawę, że wyczerpujące ćwiczenia w rodzaju: „powstań – padnij", czołganie, krycie, są niezbędne, ponieważ automatyzm ruchowy pomaga w warunkach zagrożenia.

Ale czy te ćwiczenia muszą się łączyć z sadystycznym nieraz znęcaniem się przełożonych nad słabymi fizycznie rekrutami? A otępiająca musztra, tzw. paradny krok i wszelkie ceremonie, uroczystości, obchody, pochody są dla mnie wręcz śmieszne i stanową, obok strojów i rytuałów kościelnych, relikt bardzo dawnych czasów. I niewiele różnią się od szamańskich praktyk. Powtarzam teraz po raz trzeci, że zdaję sobie sprawę, iż znaczna część społeczeństwa lubi niestety te ceremoniały ze sztandarami, mundurami i przeróżnymi symbolami, z salutowaniem i paradowaniem. Ale ta świadomość nie zmienia mojego przekonania, że wojsko w obecnym kształcie jest we współczesnym świecie całkowitym anachronizmem.

Działacz katolicki

Szukając dokumentów poświadczających mój pobyt w Niemczech po zakończeniu wojny, znalazłem w dużej walizce, w której od dziesiątków lat trzymam tzw. pamiątki, maszynopisy dwóch swoich artykułów: „Akademicy katolikami" i „Walka pracy" (po przeczytaniu doszedłem do wniosku, że raczej powinno być „Walka pracą"). Byłem całkowicie zaskoczony. Zupełnie zapomniałem, że napisałem te artykuły w 47 roku, kiedy z zapałem oddawałem się działalności społecznej. Znalazłem również wycinek ze „Słowa Powszechnego" z dnia 4 maja 1947 o ingresie bp. Michała Klepacza na stanowisko ordynariusza diecezji łódzkiej w dniu 20 kwietnia. Jest tam zdanie, że „W imieniu ogółu łódzkich akademików przemówił student U.Ł., kol. Wiłkomirski, który podkreślił, że młodzież akademicka była i jest katolicka". Dopiero teraz, po upływie dziesięcioleci uświadomiłem sobie, że musiałem wówczas być nieformalnym przedstawicielem katolickich studentów, będących w opozycji do władz. Nie pamiętam niestety kto upoważnił mnie do reprezentowania młodzieży akademickiej wobec nowego biskupa - ordynariusza. Może dlatego zostałem wybrany, że potrafiłem wysławiać się publicznie? A może dlatego, że jakieś moje artykuły o zabarwieniu katolickim ukazywały się w „Słowie Powszechnym" lub w studenckich gazetkach? Zupełnie o tym zapomniałem. Płyną stąd dwa wnioski. Pierwszy, że warto było rozpocząć pisanie tej autobiografii, gdyż tylko dzięki temu sięgnąłem do walizki, wepchniętej na sam tył antresoli, zwanej inaczej pawlaczem. I przypomniałem sobie o zapomnianych, a bynajmniej nie błahych wydarzeniach z mojego życia. I drugi wniosek, że w tamtych czasach o wiele więcej odwagi wymagało bycie opozycjonistą niż w latach osiemdziesiątych.

W roku 47 miałem dwadzieścia jeden lat, moi koledzy z opozycji katolickiej parę lat więcej. Przypuszczam, że większość z nich już nie żyje. Biskup Klepacz, który później po aresztowaniu kardynała Wyszyńskiego, podjął się niewdzięcznego zadania reprezentowania polskiego Kościoła wobec władz państwowych, także już zmarł. Ocalał jedynie wycinek prasowy, w którym znajdują się takie zdania: „Odpowiedź ks. Biskupa Klepacza nacechowana była ojcowską życzliwością. J. Eks. zażądał od młodzieży akademickiej serc, w zamian za ofiarowane jej swoje serce".

Za moje słowne i pisemne wystąpienia zapłaciłem w następnych latach wysoką cenę. Nie raz będę jeszcze o tym pisał. Teraz wymienię tylko jedną, trwającą do 1956 roku szykanę: odmowę wydania paszportu. To wystarczyło, abym nie mógł kontynuować studiów za granicą. A to uniemożliwiło prawidłowy rozwój w zawodzie dyrygenta. I być może, przekreśliło możliwość zrobienia tego, co nazywa się karierą. Ale nigdy nie żałowałem

tamtej działalności, pomimo że parę lat później odszedłem definitywnie od Kościoła. A tego, co robiłem jako opozycyjny działacz katolicki, nigdy nie musiałem się wstydzić. Aby być całkiem uczciwy wobec ewentualnego przyszłego czytelnika, muszę wyjaśnić, że już w owym „opozycyjnym" okresie moja przynależność do Kościoła stawała się coraz bardziej formalna. Moi rodzice, choć głęboko wierzący, nie przesadzali z zewnętrzną pobożnością i gorliwym praktykowaniem. Szczególnie ojciec, który wyraźnie wyżej cenił „labora" niż „ora". Rodzina, z którą w czasie okupacji mieszkałem w Warszawie, była niewątpliwie bardziej religijna, zwłaszcza ciotka i żona Kazia. Obie można by nazwać bez przesady dewotkami. Ja także w tamtym czasie uległem atmosferze tej pobożności i z pełnym przekonaniem brałem udział w rozmaitych praktykach, jak np. przystępowanie do komunii przez dziewięć kolejnych pierwszych piątków miesiąca lub odmawianie wieczorem trzy razy „Zdrowaś Mario", co miało zapewnić ukazanie się Matki Boskiej w momencie śmierci. Dodam, że szczerze w to wierzyłem. A potem przyszedł wstrząs przy czytaniu „Wielkich wtajemniczonych" i równie irracjonalna wiara w teozofię, o czym już pisałem. Kiedy przed powstaniem wróciłem – jak to się określa – na łono Kościoła, mój stosunek do religii stał się raczej obojętny. Brałem udział we wszystkich praktykach, ale już bez dawnej żarliwości. Tak więc fakt, że zostałem działaczem katolickim, miał podłoże polityczne, nie religijne. Po prostu nie podobał mi się ustrój oparty na wulgarnym materializmie, hegemonii klasy robotniczej i wręcz służalczym podporządkowaniu ZSRR. A co do Kościoła, to już w tamtym czasie wiedziałem aż nadto dobrze, że w całej swojej historii nigdy nie był naprawdę demokratyczny ani sprzyjający postępowi.

Niepokorny

W drugim kwartale 47 roku wywołałem dwa konflikty, z których drugi mógł mieć dla mnie katastrofalne konsekwencje. W PWSM zaplanowano na wiosnę popis orkiestry szkolnej czy – jak kto woli – uczelnianej. Próby prowadzili na zmianę: mój brat Kazimierz i Władysław Raczkowski. Parę zdań o profesorze Raczkowskim, o którym będę miał sposobność jeszcze napisać w dalszym ciągu tych wspomnień. Był już przed wojną cenionym chórmistrzem, pianistą akompaniatorem oraz pedagogiem. W łódzkiej PWSM prowadził chór studencki. Miał pięćdziesiąt parę lat, ale robił wrażenie starszego. Był lubiany przez studentów za swoją bezinteresowną życzliwość. Niestety chciał być dyrygentem orkiestrowym, nie mając do tego wystarczających zdolności. Raz w chwili szczerości powiedział mi: „Czasami kiedy dyryguję, mam taką tremę, że nie widzę partytury". Miałem wówczas ochotę zapytać, to dlaczego w ogóle dyryguje, ale zrezygnowałem, aby nie sprawić mu przykrości. Bodajże tylko dwa razy grałem w orkiestrze pod jego dyrekcją. Pamiętam, że tylko dzięki dobrej woli i zbiorowemu wysiłkowi muzyków nie doszło do katastrof. Wracając do zaplanowanego popisu, to w jego ramach szkolna orkiestra miała wykonać I część symfonii Haydna. Próby prowadził prof. Raczkowski i on też miał dyrygować na popisie. Jako student dyrygentury uznałem, że nie jest to słuszne. Uważałem, że jak najczęstsze kontakty z orkiestrą są niezbędne dla prawidłowego toku nauczania. Każdy student wydziału instrumentalnego ćwiczy na swoim instrumencie. A co ma robić student dyrygentury? Jego instrumentem jest orkiestra. Tymczasem uczy się zawodu „na sucho", bez możliwości ćwiczenia na swoim instrumencie, czyli żywej orkiestrze. Powiedziałem o tym Kaziowi jako swojemu profesorowi. Przyznał mi rację. Przypuszczam, że w jakiś taktowny sposób załatwił tę sprawę z prof. Raczkowskim,

ponieważ to on właśnie zakomunikował mi, że będę dyrygował na popisie. Jak mi się udał ten „debiut" – zupełnie zapomniałem. Pamiętam jedynie, że po występie rodzina i koledzy głośno wyrażali swoje uznanie.

Na marginesie tego popisu chciałbym podzielić się pewnym spostrzeżeniem dotyczącym pisania wspomnień. W swojej autobiografii mój brat Kazimierz pisze, że dyrygowałem w/w część symfonii na wiosnę 46 roku. Jest to nieścisłość, ponieważ naukę w PWSM podjąłem dopiero przy końcu zimy. W jaki zatem sposób mógłbym w ciągu dwóch-trzech miesięcy opanować nie tylko czytanie partytur, lecz także technikę dyrygencką? Spisując teraz swoje wspomnienia, raz po raz napotykam trudności precyzowania faktów, dat, nazwisk. Dlatego wolę do znudzenia powtarzać „jeżeli mnie pamięć nie myli", „o ile pamiętam". Jest to nie tylko przejaw rzetelności, lecz także – przyznaję – rodzaj asekuracji. Jeśli pomylę się, opisując jakieś zdarzenie lub przytaczając rozmowę i ktoś mi to wytknie – będę mógł usprawiedliwić się wcześniej wyrażonym zastrzeżeniem.

Drugi konflikt był znacznie poważniejszy i jego datę mogę określić ściśle: koniec kwietnia. W PWSM postanowiono uczcić święto 1 Maja wewnętrzną akademią. Na wykonawców części artystycznej wytypowano jako solistów najlepszych studentów oraz „reprezentacyjny" kwartet smyczkowy, którego byłem członkiem. Kiedy prowadzący klasę kameralną prof. Mieczysław Szalewski przekazał nam tę wiadomość, natychmiast zaprotestowałem. Oświadczyłem, że nie uznaję święta 1 Maja i grać nie będę. Rozpętała się burza. Rektor, będący moim bratem, zrezygnował z zajmowania się tą sprawą i jej załatwienie zlecił swojej zastępczyni, pani Helenie Kijeńskiej - Dobkiewiczowej. Ta w przyspieszonym trybie zaprosiła mnie na rozmowę. Wyjaśniłem, że mam inne przekonania polityczne i granie na takiej akademii byłoby sprzeczne z moim sumieniem. Na to pani prorektor powiedziała: „Józiu, ale przecież w listopadzie grałeś na akademii z okazji rewolucji październikowej w Wyższej Szkole Politycznej". A ja na to z całą otwartością: „Oczywiście, ale tam płacili, a ja muszę zarabiać na życie i studia". Sprawę mojej odmowy udziału w akademii rozpatrywał senat uczelni. Nie wiem, jak przebiegało posiedzenie, ale profesorowie uwzględnili mój sprzeciw. Kazio powiedział tylko, że uznano, iż odmowa nie naruszyła podstawowych obowiązków studenta i że każdy obywatel ma prawo do posiadania własnych przekonań, które należy uszanować. Kazio dodał jeszcze, że pani Kijeńska gorąco mnie broniła, przytaczając mój argument o zgodności postępowania z własnym sumieniem.

Skoro piszę o majowych akademiach, wspomnę jeszcze o 3-Majowej. Po przykrych ubiegłorocznych doświadczeniach, postanowiliśmy jako zarząd „Bratniej Pomocy", że tym razem nie będziemy organizować żadnych pochodów. Powiadomiliśmy „Bratnie Pomoce" innych uczelni, prosząc o podobne decyzje. Jak wiadomo z nauk politycznych i społecznych, aby cokolwiek udało się zorganizować, musi znaleźć się jakaś grupa inspirująca. Ponieważ w zarządach „Bratniej Pomocy" zasiadali przedstawiciele wszystkich młodzieżowych związków oraz przedstawiciele młodzieży niezrzeszonej – nie było na uczelniach żadnej innej grupy, która mogłaby zainicjować jakąkolwiek spontaniczną manifestację. Tak więc w roku 47 nie odbył się w Łodzi żaden Trzeciomajowy „antyrządowy" pochód. Ogłosiliśmy natomiast, że po południu w auli uniwersytetu odbędzie się uroczysta akademia. Obawiając się, że może w trakcie jej trwania dojść do jakichś demonstracji, które wywołają represje władz, przygotowaliśmy ekipę porządkową. Przy wejściu do auli i pod ścianami mieli stać specjalnie dobrani rośli, potężnie wyglądający studenci. Zabawne, że najwięcej takich znaleźliśmy na wydziale medycznym. Przemówienie wygłosił kol. Rajkiewicz, a ja prowadziłem część artystyczną, w której wystąpili studenci PWSM i PWST. Między innymi

grała Wandzia przy akompaniamencie Kazia. Oczywiście zapowiedziałem ich jako moje rodzeństwo, a przy wymienieniu Kazia dodałem „Jego Magnificencja Rektor". Nie muszę chyba dodawać, jaki to wywołało entuzjazm wśród słuchaczy. Nie pamiętam natomiast, czy w akademii uczestniczył rektor uniwersytetu. Ku naszej, jako organizatorów, uldze nie doszło do najmniejszego nawet zakłócenia przebiegu akademii.

Kiedy teraz wspominam tamte wydarzenia, z trudem mogę uwierzyć, że naprawdę byłem ich uczestnikiem.

Wizyta w UB

Jak już pisałem, zamierzałem w lecie 47 roku zorganizować aż cztery letnie obozy. Do tego potrzebne były zezwolenia Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Zarząd „Bratniej Pomocy" wystąpił z odpowiednim pismem, popartym przez rektorat. W uzgodnionym dniu i godzinie wyposażony w stosowne upoważnienie zgłosiłem się do otoczonego złowrogą famą urzędu. Mieścił się, czego oczywiście nie zapomnę, przy małej ulicy za placem, w dwóch przeciwległych budynkach. W mniejszym było biuro przepustek. Po otrzymaniu przepustki z wpisaną dokładną godziną przybycia, przechodziło się na drugą stronę ulicy. Tam dopiero po okazaniu przez okienko przepustki otwierały się ciężkie drzwi i uzbrojony żołnierz KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego) kierował petenta do odpowiednich pokoi. Nie mogę sobie przypomnieć czy na drzwiach umieszczone były jakiekolwiek tabliczki np. z nazwami działów lub wydziałów, czy może jedyną wskazówką pozostał tylko numer pokoju. Oczekiwał mnie młody człowiek. Podałem mu wszystkie pisma, które starannie przeczytał. Najważniejsze zawierało prośbę o wydanie czterech osobnych zezwoleń na organizację obozów, z podaniem miejscowości i nazwisk komendantów. Dopiero potem zarząd „Bratniaka" mógł wystawić niezbędne pełnomocnictwa i upoważnienia. Kiedy funkcjonariusz UB skończył czytanie, powiedział, że zezwolenia będą w ciągu paru dni i podał mi dokładną datę odbioru. A potem już po wręczeniu podpisanej przepustki, oczywiście z dokładnym czasem opuszczenia jego pokoju, zupełnie niespodziewanie zagadnął: „Wasz brat w zeszłym roku był w Związku Radzieckim? A teraz jedzie do Czechosłowacji?". Zaskoczony, przytaknąłem. Już w drzwiach, podając mi rękę, dodał: „Wasza siostra zdobyła przed rokiem nagrodę w Genewie? Gratuluję. A na jesieni wyjedzie na stypendium do Budapesztu?". Kiwnąłem potakująco głową i wyszedłem na korytarz. Wracając do domu zastanawiałem się, po co to powiedział. I w jaki sposób skojarzył przedstawiciela „Bratniej Pomocy" uniwersytetu z rektorem i studentką PWSM? Czy chciał mnie zastraszyć „wszechwiedzą" wszechwładnego urzędu? Do dzisiaj nie znajduję odpowiedzi na te pytania.

Po paru dniach poszedłem ponownie do urzędu. Powtórzyła się procedura z przepustką, ale kiedy po zapukaniu do drzwi wszedłem – zobaczyłem oprócz znajomego funkcjonariusza drugą osobę. Na mój widok funkcjonariusz wyszedł zza biurka, podał mi rękę i powiedział: „Przepraszam, mam tu interesanta z terenu. Poczekajcie na korytarzu". Cóż było robić, usiadłem na ławce pod ścianą i wyciągnąłem z teczki jakieś skrypty czy notatki, aby wykorzystać czas. Mijały minuty i zacząłem się niecierpliwić. Schowałem papiery do teczki, aby pospacerować po korytarzu. W pewnym momencie otworzyły się jakieś drzwi i na korytarz wyszedł rosły mężczyzna z plikiem dokumentów w ręku. Popatrzył na mnie, a ponieważ nie przerwałem chodzenia, zatrzymał się nagle tuż przede mną i zapytał.

- A wy, obywatelu, co tak spacerujecie?

Odparłem ze złością.

- Byłem umówiony na konkretną godzinę, a teraz muszę czekać i to mnie denerwuje.

Wówczas powiedział wolno i z łagodnym naciskiem w głosie.

- Siadajcie, obywatelu. U nas nikt się nie denerwuje.

I spojrzał na mnie…, nie, spojrzał przeze mnie. Miał jasne oczy. Tak jak ów gestapowiec w kawiarni „Boccacio" w Warszawie, który zapytał mnie: „Wo ist der Treuhänder?". W ułamku sekundy uświadomiłem sobie to podobieństwo przerażającego, bezosobowego, chciałoby się napisać – nieludzkiego spojrzenia.

Po latach, już jako dyrektor, wielokrotnie spotykałem się z różnymi funkcjonariuszami służby bezpieczeństwa, od bardzo wysokich rangą do zwykłych szeregowych pracowników. Ale nie patrzyli już w ten sposób. Przynajmniej na mnie.

Oczywiście usiadłem po tak „miłym" zaproszeniu, a niebawem mój funkcjonariusz otworzył drzwi, wypuścił interesanta, jeszcze raz przeprosił mnie za zwłokę i wręczył potrzebne dokumenty.

Opisałem tak szczegółowo ten drobny w istocie incydent, ponieważ jest ilustracją funkcjonowania służb bezpieczeństwa. Zdaję sobie sprawę, że nie ma na świecie państwa, w którym nie byłoby takich czy innych tajnych policji, wywiadów, kontrwywiadów, agencji bezpieczeństwa, służb informacyjnych. Noszą różne nazwy i różny jest zakres ich działania oraz metody. Mogę się domyślać, że pracują tam rozmaici ludzie, od intelektualistów do zwykłych oprawców. Ale jestem niemal pewny, że łączą ich wspólne cechy charakteru. Wypełniając swoje takie czy inne zadania, nie myślą, ba!, nie mogą nawet myśleć o jednostce ludzkiej. Podejrzewam, że nie widzą w ogóle innych ludzi. Jesteśmy dla nich jedynie ożywionymi przedmiotami, z którymi muszą się kontaktować, czasem współpracować, dla których wykonują zadania, których wykorzystują, bądź w razie potrzeby eliminują. Nie mam zamiaru ich osądzać. Taką mają po prostu pracę. Temat zachowań, mentalności, charakteru pracowników służb bezpieczeństwa wymagałby szerszego rozwinięcia. Tyle tylko, że nie w tej książce. To zadanie dla historyków, psychologów i socjologów.

Na zakończenie tego podrozdziału chciałbym jeszcze wspomnieć o pewnym wydarzeniu, które na pewno związane było z Urzędem Bezpieczeństwa, ale na szczęście nie dotyczyło mnie. Nie pamiętam, w którym letnim miesiącu 47 roku odbył się we Wrocławiu jakiś zjazd czy zlot młodzieży. Z uniwersytetu pojechała cała delegacja, złożona chyba tylko z członków organizacji młodzieżowych. Ponieważ opieram się jedynie na późniejszych relacjach, od razu uprzedzam, że mogą być nieścisłe. Na czele delegacji stał przewodniczący uniwersyteckiej organizacji ZWM Antoni Rajkiewicz. „Chodziły słuchy", że po powrocie zostanie przyjęty do PPR. Na wielkim wiecu przemawiał wicepremier i minister Ziem Odzyskanych (A jakże, było takie stanowisko!), tow. Władysław Gomółka, noszący w konspiracji pseudonim „Wiesław". Przemówienie, zgodnie z obowiązującym „rytuałem", przerywane było w odpowiednich momentach, „spontanicznymi" oklaskami i skandowanymi okrzykami: „Wie-sław, Wie-sław!". Antoś, słysząc te okrzyki, powiedział z przekąsem do stojących obok kolegów: „Kiedy słyszę takie skandowanie, przypomina mi się, jak krzyczano „Sieg-heil, Sieg-heil!". Wystarczyło. Ktoś po powrocie do Łodzi doniósł odpowiednim władzom i Rajkiewicz nie został przyjęty do PPR. Ponadto złożył (tak to się eufemistycznie nazywało) rezygnację z funkcji przewodniczącego Koła ZWM. Nieco później zrezygnował także ze stanowiska prezesa „Bratniej Pomocy" i zajął się wyłącznie pracą naukową. Kto i komu doniósł – pozostanie na zawsze tajemnicą. A na nowego prezesa

wybrano kol. Leszka Kołakowskiego, również członka ZWM. Skądinąd – jak słyszałem – ulubionego ucznia rektora Kotarbińskiego, który podobno od razu poznał się na jego nieprzeciętnych zdolnościach.

Obozy letnie

Jako odpowiedzialny za organizację obozów akademickich, postanowiłem osobiście sprawdzić na miejscu warunki, w jakich studenci wypoczywają. W tym celu namówiłem na wspólną podróż jednego z kolegów, który posiadał motor z demobilu. Była to potężna maszyna bez przyczepy o mocy silnika 750 KM. Wstydzę się, ale imię i nazwisko tego kolegi całkowicie mi wyleciało z głowy. Nie pamiętam także, co studiował. A przecież dzięki niemu miałem przyjemną, a zarazem pouczającą, wycieczkę. Mniej więcej w tydzień po rozpoczęciu turnusów, zaopatrzony w delegacje i pełnomocnictwa rektoratu i „Bratniej Pomocy", wyruszyłem na Dolny Śląsk, do Dłużewa, które już znałem z poprzedniego roku. Siedziałem oczywiście na tylnym siodełku nie tylko dlatego, że nie miałem prawa jazdy, ale przede wszystkim brakowało mi siły do prowadzenia tak potężnego motoru. Mój kolega był znacznie wyższy ode mnie i miał rzucającą się w oczy atletyczną budowę. Do Dłużewa dojechaliśmy bez przeszkód i stwierdziłem, że wszystko było w porządku. Kwatery przyzwoite, a jedzenie smaczne i w dostatecznej ilości. Na wieczornym apelu zapytałem czy nikt nie zgłasza jakichś żalów, pretensji, postulatów, uwag. Usłyszałem tylko pochwały pod adresem komendanta. Następnego zatem dnia wyjechaliśmy, zahaczając po drodze o Kłodzko. Miasto sprawiało wrażenie opustoszałego. Niemcy już wyjechali, a Polaków zamieszkało jeszcze niewielu. Widać było całkowicie puste domy z powyłamywanymi drzwiami i powybijanymi szybami. Usłyszeliśmy od przechodniów ostrzeżenie, aby omijać niektóre ulice, ponieważ co pewien czas ukryci w cytadeli Niemcy strzelają. Nazywano ich Wehrwolfem. Nie wiem czy była to prawda, czy tylko plotka. Zapomniałem jaką dokładnie jechaliśmy trasą, ale utkwiła mi w pamięci nazwa miasteczka Nowa Sól. Kiedy znaleźliśmy się na rynku, otoczyło nas mnóstwo ciekawskich. Okazało się, że nader rzadko oglądają przyjezdnych. Miasteczko było jeszcze bardziej puste niż Kłodzko. A w ogóle, kiedy przejeżdżaliśmy przez kolejne wsie, większość była niezamieszkana. Jeden za drugim puste domy, a w oknach czasami nawet firanki. W ogródkach kwiaty i obsypane owocami drzewa. Wywierało to przygnębiające wrażenie. Przypominam, że był to już 47 rok, zaś oficjalna propaganda głosiła, że „wbrew kłamstwom rozsiewanym przez zachodnio-niemieckich rewizjonistów", Ziemie Odzyskane tętnią życiem. Na własne oczy stwierdziłem, że nie tętniły i umocniło to jeszcze mój negatywny stosunek do ówczesnych władz.

Drugi obóz zorganizowałem w Wędrzynie, na poniemieckim poligonie wojskowym. Było to gdzieś w zielonogórskim. Gdzie dokładnie, nie pamiętam. W dwóch dużych atlasach samochodowych nie znalazłem tej nazwy. Może ją po pewnym czasie zmieniono, podobnie jak Dłużewo nazywa się obecnie Długopole? Nie wiem czy była to wieś, czy może tylko mała osada na obrzeżach ukrytego w gęstych lasach poligonu. W Wędrzynie poza paroma gospodarstwami znajdował się posterunek wojskowy, złożony z zaledwie dwóch czy trzech żołnierzy. Do ich obowiązków należało patrolowanie lasów. Na środku poligonu był plac, a wokół niego cztery długie jednopiętrowe budynki: trzy mieszkalne i jeden gospodarczy ze stołówką. Niedaleko było spore jezioro z przystanią i jedną zachowaną łódką. O tym wszystkim dowiedziałem się oczywiście dopiero po przybyciu na miejsce.

W drodze do Wędrzyna złapała nas burza z ulewą, którą potocznie nazywamy „oberwaniem chmury". Obaj mieliśmy wojskowe nieprzemakalne płaszcze gumowe; takie nosili niemieccy motocykliści, co można jeszcze zobaczyć na filmach. Mimo to zostaliśmy dokładnie zmoczeni. W dodatku silnik zaczął się krztusić, widocznie woda dostała się do środka. Z trudem dojechaliśmy do jakiegoś miasteczka, gdzie miejscowy mechanik przez godzinę czy dwie usiłował zlokalizować wodę. Coś tam wreszcie „pomajstrował", ale zmartwił nas informacją, że silnik będzie wymagał dokładnego przeglądu. Dotarliśmy wreszcie ze znacznym opóźnieniem do obozu. Kiedy następnego dnia obejrzałem okolice, postanowiłem, że na drugi turnus przyjadę właśnie tutaj.

Drogę powrotną wspominam z niechęcią. Motoru nie udało się naprawić „we własnym zakresie" i musieliśmy nadać go na bagaż. Całe szczęście, że kolejarze wykazali maksimum dobrej woli i zgodzili się, aby taka maszyna jechała w wagonie bagażowym między pocztowymi przesyłkami. Mieliśmy parę przesiadek, ile i gdzie – całkowicie zapomniałem. I za każdym razem musieliśmy przenosić motor z jednego wagonu bagażowego do drugiego.

Po powrocie do Łodzi, chciałem zrezygnować z wizytowania pozostałych dwóch obozów. Kiedy jednak poszedłem do „Bratniaka", dowiedziałem się, że w obozie w Policach źle się dzieje. Uczestnicy alarmowali, że nie mogą się kąpać, ponieważ morze przy plaży zamieniło się w „morze sargassowe". Poza tym zaopatrzenie okazało się fatalne, mieszkają w na wpół rozwalonych chałupach, a komendant nie potrafi ani zorganizować imprez ani utrzymać porządku. Czując się odpowiedzialnym za warunki, w których znaleźli się uczestnicy obozu, postanowiłem wybrać się osobiście i sprawdzić sytuację na miejscu, choć – jak już nieraz pisałem – podróżowanie kolejami było w tamtych czasach nader niewygodne. Pamiętam, że pociąg dojechał tylko do Stargardu, a do Szczecina przewiozły pasażerów jakieś stare, rozklekotane i śmierdzące autobusy. A potem znowu jakimś wlokącym się lokalnym „pociążkiem" dotarłem wreszcie do Polic. Na miejscu przekonałem się, że sytuacja była naprawdę fatalna. Skarżący się mieli rację. Uczestników rozlokowano u nielicznych mieszkańców, którzy wynajęli im najgorsze pomieszczenia. Sam zatem osobiście obszedłem wszystkie chałupy i w twardych rozmowach wymogłem na gospodarzach zmianę pokoi, łóżek, sienników, pościeli oraz dostarczenia wiader i miednic. Następnie odbyłem rozmowę z kierowniczką kuchni. Żaliła się, że sama nie da rady pełnić zarazem funkcji kucharki i zaopatrzeniowca. Przekonałem się, że student, który został komendantem obozu, nie bardzo nadawał się do tej funkcji. Postraszyłem go, że jeśli nie weźmie się do roboty – nie zostanie na drugi turnus. I przypomniałem mu, że między innymi do zadań komendanta należy zaopatrzenie kuchni w odpowiednią ilość produktów żywnościowych. Następnego dnia rano pojechałem do Szczecina i sprawdziłem, że w tamtejszych sklepach można znaleźć o wiele więcej towarów niż w Policach. Aby udowodnić komendantowi jego nieudolność, kupiłem ogromny 10-kilowy żółty ser, który zapakowano mi w jakiś worek. I z tym ciężarem wróciłem do Polic. Poleciłem komendantowi, aby zamiast zaopatrywać się w żywność dla całego obozu w małym polickim sklepiku – regularnie jeździł do Szczecina. Albo – co byłoby jeszcze efektywniejsze – załatwił w jakiejś hurtowni bezpośrednie dostawy. Na zakończenie pobytu zorganizowałem ognisko, pisząc własnoręcznie parę złośliwych tekstów. Jedyną sprawą, której nie mogłem załatwić – były wodorosty. Okazało się, że z uwagi na specyficzny kształt linii brzegowej, właśnie w Policach wodorosty miały sprzyjające warunki do wegetacji. Niemcy co roku wczesną wiosną w jakiś sposób oczyszczali dno i nie dopuszczali do rozrostu roślin. Ostatni raz zrobili to w 1944 roku. Od tego czasu wodorosty

opanowały całe wybrzeże. Mieszkańcy pocieszali nas, że w sierpniu morze się oczyszcza, zwłaszcza jeśli wiatry wywołają silne fale.

Do ostatniego obozu w Sorkwitach nie pojechałem, ponieważ pierwszy turnus dobiegał końca. Już wcześniej zaplanowałem, że wybiorę się do jednego z obozów na drugi turnus. Najbardziej podobał mi się Wędrzyn i tam też pojechałem razem z paroma najbliższymi koleżankami i kolegami. Ten pobyt wspominam do dzisiaj z rozrzewnieniem. Gdybym chciał opisać wszystkie zabawy, wycieczki, dowcipy i tzw. „popijawy" – powstałby osobny rozdział. Przypuszczam, że mało interesujący dla ewentualnego czytelnika. Tutaj znowu dotykam pewnego szerszego problemu. To, co dla mnie osobiście czy dla każdego piszącego jest np. wzruszającym wspomnieniem, dla czytającej postronnej osoby będzie czymś zupełnie obojętnym. To samo dotyczy ważności jakiegoś faktu. Piszącemu wydaje się niezwykle istotny, a czytający może osądzić go jako najzupełniej błahy. Dlatego teraz – być może nawet w sposób przesadny – selekcjonuję swoje wspomnienia. Lepiej coś pominąć, niż znudzić ewentualnego czytelnika. Unikałem i nadal będę unikać wymieniania wszystkich książek, które przeczytałem. Przecież spis moich lektur byłby nudny dla czytającego. Co innego kiedy dotyczy to książek, które wpłynęły na mój rozwój intelektualny, światopogląd, postępowanie. Tak samo nie będę wypisywał szczegółowych programów moich koncertów, nawet tych ważniejszych. Zamierzam ograniczyć się wyłącznie do wymienienia dzieł, których wykonanie miało bezpośredni wpływ na moje zawodowe życie.

Po tej dygresji dodam tylko, że pobyt w Wędrzynie na ostatnim w moim życiu obozie akademickim, choć wart – moim zdaniem – utrwalenia w tej książce, pozostanie wspomnieniem cudownej beztroski. Nie miałem tam żadnych kłopotów, „chandr", problemów do rozwiązania. Mogłem po prostu cieszyć się każdym dniem (i nocą!). Nie wiele miałem takich okresów w moim długim życiu. Ale wszystkie przechowuję w pamięci i nigdy ich nie zapomnę.

Podróż do Czechosłowacji

Zaraz po wojnie uruchomiono w Łodzi teatr noszący nazwę Wojska Polskiego, prawdopodobnie dlatego, że zatrudniono w nim aktorów objazdowego teatru frontowego. I ta nazwa pozostała przez szereg lat, gdyż – jak przypuszczam - zapewniała pomoc Ministerstwa Obrony Narodowej. Kto był pierwszym dyrektorem – nie wiem, ale w roku 1946 został nim Leon Schiller. Była to już przed wojną znacząca postać polskiego teatru. Widziałem parę jego przedstawień i zaryzykuję stwierdzenie, że był bardziej inscenizatorem niż reżyserem. Miał własną wizję teatru i starał się ją konsekwentnie realizować. Tym co wyróżniało go spośród innych reżyserów, była znajomość muzyki. Podobno umiał nawet grać na fortepianie. O ile się orientuję, poza Schillerem tylko Bardini znał się tak na muzyce. W roku 47 Schiller z dużym rozmachem przygotował w Teatrze Wojska Polskiego „Krakowiaków i Górali". Zgodnie z pierwotnym zamysłem Bogusławskiego miało to być przedstawienie muzyczne, w staropolskim języku nazywane śpiewogrą. Można tę formę nazwać wodewilem lub musicalem. Tekst Bogusławskiego z oryginalną muzyką Stefaniego wzbogacali w późniejszych latach inni kompozytorzy, m.in. Kurpiński. Schiller skompilował te różne wersje. Ponieważ nie znam oryginału, nie wiem jak dalece ta kompilacja odbiegała od pierwowzoru. Prof. Raczkowski opracował muzykę na wczesnoromantyczną orkiestrę symfoniczną. Partyturę i głosy jak na tamte czasy wydrukowano bardzo szybko. Schiller

nazwał „Krakowiaków i Górali" operą narodową, co moim zdaniem było ewidentnym nadużyciem. Ale władze były zadowolone, ponieważ tekst zawierał patriotyczno - ludowe akcenty. Jednak przy rozbudowanej warstwie muzycznej pojawił się poważny problem: aktorzy musieli co pewien czas śpiewać. Jednym udawało się jakoś sprostać temu zadaniu, ale inni nie dali rady. Nie mieli ani głosów, ani słuchu, ani poczucia rytmu. A studenci wydziału wokalnego PWSM, którzy z łatwością mogliby wykonać proste partie solowe, tworzyli jedynie chór. Pamiętam, jak mnie to jako widzo-słuchacza śmieszyło, że po żałosnym, udającym śpiew kwileniu jakiejś aktorki, wchodził pięknie brzmiący chór. W orkiestrze grali częściowo muzycy filharmonii oraz nieliczni studenci.

W jakiś czas po premierze, gruchnęła wiadomość, że na zaproszenie czechosłowackiego ministerstwa obrony narodowej łódzki Teatr Domu Wojska Polskiego wyjedzie w listopadzie na długie tournée po kilkunastu miastach bratniej republiki. W tej sytuacji należało powiększyć orkiestrę i prof. Raczkowski poprosił, abym zechciał zająć miejsce I wiolonczelisty. Chętnie zgodziłem się, ponieważ była to nie tylko interesujące podróż, lecz także dobry zarobek. Poza pełnym utrzymaniem mieliśmy otrzymać tzw. kieszonkowe w koronach, a po powrocie w złotówkach honoraria za każde przedstawienie. Rozpoczęły się próby. Kiedy już wszystko było gotowe, Schiller zarządził aż trzy nocne próby generalne w kostiumach, światłach, dekoracjach. Tylko raz w życiu brałem udział w czymś takim. W późniejszych latach uczestniczyłem wielokrotnie w przygotowywaniu oper, operetek, baletów, ale nigdy nie działo się to przez trzy kolejne noce. Podobno taki był zwyczaj Schillera, ponieważ lubił pracować w nocy. Próby trwały 5 – 6 godzin, co nawet dla mnie, młodego człowieka, było wyczerpujące. A Schiller miał ustawiony na środku sali podest z desek, na nim fotel i stolik z lampką. W czasie próby raz po raz rozlegał się jego głos, zwracający uwagę aktorom, chórowi (który pełnił również rolę – pożal się Boże – baletu!) a nawet dyrygentowi. Prof. Raczkowski był – jak pisałem – człowiekiem skromnym, łagodnym i ustępliwym. Nie protestował, kiedy Schiller zwracał uwagę, że orkiestra (w kanale) gra za głośno i nie słychać solistów. Ba, ale jak mogło być ich słychać, jeśli nie posiadali głosu i nie umieli śpiewać?

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Na peronie stał cały pociąg. W każdym przedziale na siedzeniach położono materace i pościel i w ten sposób powstały dwuosobowe „pokoje sypialne". Podróż była męcząca, ale ciekawa. Występowaliśmy w kilkunastu miastach Czechosłowacji od Bratysławy po Pragę. Obfitowała w różne, nieraz zabawne incydenty. Wszędzie przyjmowano nas z pompą, często z wojskową orkiestrą. Jedzenie dawano znakomite i w dużych ilościach, co w tamtych czasach było rzadkością. Poznałem wówczas czeskie piwo i knedlički. Niestety nie mieliśmy zbyt dużo czasu na zwiedzanie. Pamiętam tylko fascynujący widok z zamku Devlin pod Bratysławą. Zamek wznosi się na wysokiej, stromej skale, a u podnóża, głęboko w dole jasne wody Cisy wpadają do ciemnego Dunaju. Podobno w pogodny dzień można zobaczyć w oddali nawet Wiedeń. Po każdym przedstawieniu mieliśmy bankiet, organizowany przez czechosłowackie siły zbrojne. Kiedy przy piwie następowało „zbratanie", gospodarze próbowali śpiewać swoje wojskowe i ludowe piosenki, a nasz chór oczywiście piosenki polskie. I właśnie w Bratysławie wydarzył się ów incydent, który warto opowiedzieć. Jak wiadomo, Słowacy nie lubią Czechów i kiedy po I wojnie światowej powstała Republika Czechosłowacka, przyjęli to z niechęcią. Dlatego kiedy w roku 1939 republika przestała istnieć, Słowacy, nawet za cenę całkowitej zależności od Niemiec, utworzyli własne państwo. Wiemy również z historii, że po II wojnie światowej znowu powołano do życia wspólne państwo Czechów i Słowaków pod nazwą Ceskoslovenska

Socialisticka Republika (CSRS). Jak pokazały wydarzenia po roku 1989, ten sztuczny twór szybko przestał istnieć. Ale w roku 1947, zwłaszcza w wojsku, manifestowano „odwieczną" przyjaźń narodów czeskiego i słowackiego. W Bratysławie, stolicy Słowacji, na bankiecie po przedstawieniu, wydarzył się incydent, wynikły z nieznajomości historii. Chór jeszcze przed wyjazdem przygotował pod kierunkiem prof. Raczkowskiego jedna piosenkę czeską. Był to miły pomysł, ale koleżanki i koledzy z chóru zapomnieli, że Bratysława to nie Czechy. I kiedy, myśląc że sprawią tym przyjemność gospodarzom, zaśpiewali czeską piosenkę – nastąpiła konsternacja. Nigdy nie zapomnę min nawet wysokich stopniem oficerów, którzy nosili mundury armii czechosłowackiej, ale byli Słowakami. Zacząłem szeptać: „Przestańcie, przestańcie!", ale chórzyści nie rozumieli, o co mi chodzi i dalej śpiewali. Nie zauważyli nawet, że twarze gospodarzy spochmurniały i bankiet szybko się skończył. Kiedy potem w autobusie, w drodze na dworzec, wytłumaczyłem, co za gafę popełnili, prof. Raczkowski przyznał się, że zapomniał o tym starym antagonizmie pomiędzy Słowakami a Czechami. Ale na następnych bankietach w różnych miastach pytano mnie szeptem: „A tu można śpiewać tę piosenkę?"

Przed występem w Ołomuńcu, zorganizowano nam wycieczkę autokarami do Svatego Kopečka, czyli Świętego Wzgórza. Jest to odpowiednik polskiej Jasnej Góry, tyle tylko, że znacznie mniejszy. Na łagodnym wzgórzu wznosi się klasztor i barokowy kościół z XVII wieku. Atrakcją jest tzw. cudowny obraz Matki Boskiej. Widziałem później wiele piękniejszych zabytków i nie wspominałbym tamtej wizyty, gdyby nie pewne wydarzenie. Po zwiedzeniu kościoła, częściowo zniszczonego w kwietniu 45 roku, zaproponowano nam obejrzenie cudownego obrazu z bliska. Oczywiście wszyscy wyrazili zgodę. Udaliśmy się zatem za główny ołtarz, gdzie ku mojemu zdziwieniu zobaczyliśmy starego księdza trzymającego w ręku niewielkich rozmiarów obraz. Nie wiem czy był to oryginał czy tylko kopia. W wąskim przejściu członkowie naszej wycieczki kolejno podchodzili, pochylali się i całowali… szkło, zakrywające wizerunek. Z rosnącym zdumieniem obserwowałem aktorów, chórzystów, instrumentalistów orkiestry, pracowników obsługi, wśród których – co wiedziałem – byli żydzi, ateiści, partyjni. Nikt się nie wyłamał. Po każdym pocałunku stojący obok młody ksiądz wycierał szkło chusteczką. To połączenie zabiegu higienicznego z demonstrowaną mniej lub więcej pseudopobożnością, dosłownie mnie rozwścieczyło. Co innego wiara, a co innego typowy zabobon, jakim jest kult obrazu, wyrażający się w całowaniu szkła. Mogłem ostatecznie wyjść z „kolejki", ale postanowiłem urządzić demonstrację. Kiedy zbliżyłem się do obrazu, popatrzyłem na niego, uśmiechnąłem się do księdza i odszedłem bez pocałunku. Niestety, z mojego gestu nic nie wyniknęło. Wszyscy idący za mną, co obserwowałem „kątem oka" dalej pokornie całowali obraz.

Było to pouczające doświadczenie i dlatego utrwaliło się w mojej pamięci. Wzmogło także moją niechęć do wszelkich rytuałów, ceremoniałów i innych oficjalnych form kultu religijnego. Pomimo że wówczas byłem jeszcze wierzącym i praktykującym katolikiem.

Z tej podróży pamiętam jeszcze parodniowy pobyt w Pradze. Było to zakończenie tournée. Mieliśmy trochę czasu na zwiedzanie miasta. Hradczany wywarły na mnie wielkie wrażenie, ostatecznie jest to jeden z najpiękniejszych kompleksów zamkowych w Europie. Ponieważ był z nami czeski przewodnik, poprosiłem, aby mi pokazał okno, z którego dokonano znanej z historii defenestracji. Oczywiście z dumą uczynił zadość mojej prośbie. Pokazano nam także Złota Uliczkę i most Karola. A także jakiś dom, na którym widniała duża marmurowa tablica informująca, że w tym domu w dniu takim a takim aresztowano iluś tam mężczyzn i wywieziono do obozu. Zdziwiony zapytałem przewodnika czy byli

to jacyś przywódcy ruchu oporu. Odpowiedział, że nie. I dodał, że w Pradze takich tablic jest więcej. Wtedy ja, zupełnie zresztą niepotrzebnie, powiedziałem, że u nas w Warszawie trzeba by całe miasto przykryć jedną gigantyczną tablicą.

Za „kieszonkowe" kupiłem parę prezentów na zbliżające się święta, a dla siebie pierwsze w życiu skórzane rękawiczki. Nawet dwie pary: ciemną i jasną. Pamiętam z jaką radością je założyłem. Było to moje marzenie od dzieciństwa. Rodzice nigdy nie mieli innych rękawiczek jak tylko niciane na jesieni i włóczkowe na zimę. My z Wandzią również. O kupieniu skórzanych, z braku pieniędzy nie było w ogóle mowy. Ale na filmach widziałem aktorów, naciągających eleganckie skórzane rękawiczki. Jakże im zazdrościłem! A oto teraz mogłem kupić aż dwie pary. Służyły mi potem około dwudziestu lat.

Nieco później dowiedziałem się, że poza „oficjalnymi", pełnymi zachwytu sprawozdaniami z czechosłowackiej prasy, ukazała się jedna krytyczna recenzja. Zamieszczono ją w muzycznym miesięczniku. Ktoś mi ją pokazał. Brzmiała: „Możliwe, że Polacy nie posiadają lepszych oper, ale chyba mogliby znaleźć lepszych śpiewaków". Jest najkrótszym a zarazem najbardziej trafnym podsumowaniem.

Największym, by nie rzec – jedynym przeżyciem w całej podróży po Czechosłowacji, była obecność na próbie orkiestry Czeskiej Filharmonii. Kiedy przyjechaliśmy do Pragi, zobaczyłem afisze anonsujące koncert Czeskiej Filharmonii pod dyrekcją Rafaela Kubelika w sali „Lucerny". Niestety, w tym samym dniu, w którym miał się odbyć występ „Krakowiaków i Górali". Zwróciłem się zatem do czeskich organizatorów z prośbą, aby umożliwili mi posłuchanie próby generalnej. Jak to zwykle bywa o spełnieniu mojej prośby dowiedziałem się zbyt późno i kiedy wsunąłem się cichutko do loży, próba dobiegała końca. Zdążyłem jedynie na fragment III części i finał.

Nigdy dotąd nie miałem okazji słuchania tak znakomitej i wielkiej orkiestry symfonicznej. Przed wojną byłem tylko na koncertach łódzkiej orkiestry, w czasie okupacji w kawiarni Lardelliego, a po wojnie w Filharmonii Łódzkiej. Natomiast Czeska Filharmonia była w owym czasie uznawana za jedną z najlepszych orkiestr w Europie. Nie tylko dlatego, że grali w niej od lat czołowi czescy instrumentaliści i to bez żadnej przerwy, nawet w okresie okupacji. Na wysoki poziom orkiestry mieli decydujący wpływ kierujący nią dyrygenci: od 1919 Vaclav Tallichm a zaraz po nim od roku 1942 Rafael Kubelik. Tak więc kiedy w ogromnej, o wspaniałej akustyce sali „Lucerny" usłyszałem brzmienie prawie 100-osobowej orkiestry, byłem dosłownie wstrząśnięty. Nigdy nie zapomnę tego największego w moim dotychczasowym życiu muzycznego wzruszenia. Kulminacja w kodzie III części sprawiła, że niemal straciłem oddech. Muszę w tym miejscu dodać, że również nigdy do tamtej pory nie miałem okazji spotkać dyrygenta tej miary co Kubelik. Można byłoby bez przesady określić go jako poetę batuty. Jego koncepcja znanej mi VI symfonii Czajkowskiego oraz ruchy jakby „stopione" z wykonywaną muzyką – były olśnieniem dla początkującego studenta dyrygentury. A kiedy zabrzmiały opadające frazy finału, poczułem najpierw przenikające mnie dreszcze, potem tzw. „gęsią skórkę", a wreszcie zacząłem, zupełnie bez mojej woli, płakać. Zdarzało mi się czasami, słuchając muzyki, mieć łzy w oczach. Nigdy jednak przedtem nie płakałem w dosłownym tego słowa znaczeniu. I nie mogłem tego płaczu opanować. Łzy, jedna za drugą, płynęły po mojej twarzy.

Kiedy przebrzmiały ostatnie posępne dźwięki symfonii i próba dobiegła końca – zrozumiałem jak wspaniały może być zawód dyrygenta. A Kubelik stał się moim ideałem aż do dnia, w którym zobaczyłem Karajana. I odtąd miałem już dwa – jakże odmienne od siebie - ideały.

Rozdział XVI

ROK 1948

Rok 1948 można uznać za jeden z najbardziej przełomowych w moim życiu. Decyzje, które wtedy podjąłem, spowodowały zasadnicze zmiany i dosłownie rzutowały na dziesiątki następnych lat. Niektóre z nich były z pewnością błędne, ale to ja byłem winowajcą. Oczywiście, można szukać usprawiedliwienia w moim wychowaniu, lekturach, a przede wszystkim zewnętrznych politycznych warunkach. Nie byłoby to jednak uczciwe. Główną przyczyną był mój charakter. A może także moja umysłowość. Któryś z wybitnych psychologów, chyba Kern, napisał, że – cytuję z pamięci – „inteligencja to umiejętność przystosowania do zmieniających się warunków oraz wyciągania właściwych dla danej sytuacji wniosków". Jeśli ta definicja jest prawidłowa, to ja w tamtym okresie wykazałem po prostu brak inteligencji. Trzeba to sobie otwarcie, choć z pewną dozą goryczy, powiedzieć. Tym bardziej, że osoby postronne próbowały mnie od takiego czy innego kroku odwieść, wpłynąć na zmianę decyzji lub poddać w wątpliwość słuszność mojego rozumowania. Ale właśnie wtedy, w tych ważnych momentach, brały górę takie cechy mojego charakteru jak – źle pojęta – niezależność czy po prostu zwykły upór. A może jeszcze przekora wobec starszych osób, nawet tych, które darzyłem szacunkiem.

Doprawdy – nie wiem. Ale za moje błędne działania, zwłaszcza te podjęte pod wpływem emocji, zapłaciłem wysoka cenę.

Ślub

Prawdopodobnie należę do mężczyzn, których określa się mianem „kochliwych". W krótkim okresie wczesnej młodości co parę miesięcy, a czasem nawet tygodni, zmieniałem tzw. sympatię. Stojące na moim nocnym stoliku coraz to inne legitymacyjne fotografie śmieszyły szczególnie moją siostrę Marię. Z udanym zdziwieniem pytała: „Czyżbyś miał już nową sympatię?"

Aby się jakoś usprawiedliwić, muszę stwierdzić, że za każdym razem byłem pewien, że się naprawdę zakochałem. A może powinienem raczej napisać „Wydawało mi się, że się naprawdę zakochałem?" Ba, ale co oznacza przysłówek „naprawdę"? Skąd można wiedzieć, jakie jest naprawdę uczucie, którym obdarzamy druga osobę? Zostawiam te rozważania i przechodzę do tematu tego podrozdziału.

Jak już pisałem, poznałem na balu „Andrzejkowym" w roku 1946 studentkę stomatologii. Była ładna, zgrabna i należała do tych dziewcząt (czy jak kto woli – kobiet), które mają powodzenie u mężczyzn. Na każdy taniec czekało paru chętnych. Spotkaliśmy się następnego dnia po balu na obiedzie w stołówce „Gęsie Pióro" i – jak to się mówi – zaczęliśmy ze sobą chodzić. Pochlebiało mi, że spomiędzy tylu kolegów wybrała właśnie mnie. Pojechaliśmy

razem na obóz zimowy do Karpacza. Potem, nie pamiętam dlaczego, nasze kontakty osłabły i wakacje spędziliśmy osobno. Na jesieni znowu zaczęliśmy ze sobą „chodzić". I zapewne wtedy zrozumiałem, że jestem zakochany. Kupiłem w Czechosłowacji pierścionek z tzw. czeskimi granatami i po powrocie wręczając go zapytałem czy zgodziłaby się zostać moją żoną. Jak wynika z kalendarza, miałem wtedy 21 lat i 6 miesięcy. A ona ponad 29. Kiedy zatem oświadczyłem rodzinie, że się żenię, wywołałem konsternację. Ponieważ żona Kazia była od niego starsza o 6 lat, nikomu nie wypadało podnosić kwestii różnicy wieku. Mówiono o tym, że nie mam skończonych studiów, że brak perspektyw na własne mieszkanie, że okres narzeczeństwa będzie zbyt krótki, że nie znam jej rodziców. Wszystkie te argumenty odrzucałem jako nieistotne. Z entuzjazmem mówiłem o tym, że przecież najważniejsza jest miłość. Byłem wychowany w domu, w którym dominowało rodzinne ciepło. Myślę, że rodziców łączyła miłość lub przynajmniej jej wspomnienie. A przede wszystkim miłość do nas, dzieci. Na tę pełną uczucia domową atmosferę nałożyła się lektura, szczególnie dzieł Żeromskiego. Tam miłość miała wymiary niemal kosmiczne, wystarczy przeczytać to, co poczuł Nienaski na widok Kseni. Tak więc byłem pewien, że nic nie jest i nie może być ważniejsze niż miłość. I o to właśnie przekonanie rozbijały się wszystkie argumenty. Oraz – trzeba przyznać uczciwie – o mój upór. Dobrze pamiętam, jak sam siebie umacniałem w słuszności swojej decyzji. Dla koleżanek i kolegów na obu uczelniach wiadomość o moim ślubie także była zaskoczeniem. Niektórzy wyrażali głośno swoje obiekcje. Zwracano uwagę na niekorzystną różnicę wieku. Ciągle padały pytania w rodzaju: „Nie wygłupiaj się, po co ci to?", „Źle ci było?", „Nie możesz jeszcze poczekać?" Te wszystkie pytania, uwagi, zastrzeżenia, wątpliwości wzmacniały jedynie mój upór.

W związku z zaobserwowanym zainteresowaniem moim ślubem w środowisku akademickim, postanowiłem urządzić polityczno - religijną demonstrację. Pomysł był raczej głupi, ponieważ nic z niego nie wynikało. Postanowiłem bowiem, że ślub odbędzie się w kościele akademickim przy ulicy Sienkiewicza. I w dodatku ma być bardzo uroczysty. Dowiedziałem się, że istnieje ślub rzymski (nie wiem czy to jest oficjalna nazwa czy tylko potoczne określenie), oparty na specjalnym ceremoniale. Podjąłem zatem określone działania. Zacząłem od duszpasterza akademickiego, ojca Tomasza Rostworowskiego, o którym już pisałem. Poszedłem do niego i przedstawiłem sprawę. Ksiądz Rostworowski wysłuchał, a potem zapytał.

- A kim jest oblubienica?

Pamiętam dokładnie całą rozmowę, a określenie „oblubienica" szczególnie utkwiło mi w pamięci. Odpowiedziałem.

- Studentką stomatologii. Jest na ostatnim roku.

Ksiądz Rostworowski musiał dokonać w myślach jakiegoś obliczenia, ponieważ zapytał.

- A ile ma lat?

- Dwadzieścia osiem.

Nie dodałem „i pół".

- A pan?

- Dwadzieścia dwa.

Odpowiedź była tylko częściowo prawdziwa: dwadzieścia dwa lata miałem skończyć dopiero w maju. Ksiądz popatrzył na mnie bacznie i powiedział po prostu.

- Nie dam ślubu.

Dosłownie – jak się mówi – zbaraniałem. A potem ogarnęła mnie złość.

- Jak to ksiądz nie da?

Ksiądz zaczął mi tłumaczyć, że taka duża różnica wieku nie jest dobra. Użył nawet argumentu, że kiedy będę miał czterdzieści lat i będę w pełni męskich sił, ona, mając już czterdzieści osiem, będzie jako kobieta – użył określenia „po tamtej stronie". Odparłem z hamowana wściekłością.

- To dla mnie nie ma znaczenia.

Ksiądz pokiwał głową i powiedział.

- Niech pan to przemyśli do jutra.

Pożegnaliśmy się: ja z wściekłą miną, a on dobrotliwie uśmiechnięty. W domu wyładowałem furię krzycząc: „Nie będzie mi mówił, co mam robić!" Matka i Marysia wysłuchały całej relacji i powiedziały zgodnie, że może warto, abym się zastanowił nad słowami starszego i doświadczonego duchownego. A ja jeszcze bardziej „zaciąłem się" w moim postanowieniu.

Następnego dnia poszedłem do ojca Rostworowskiego i oświadczyłem twardo, że chcę wziąć ślub. Ksiądz – co pamiętam dokładnie – rozłożył w milczeniu ręce, a potem poinstruował mnie, jakie kroki powinienem rozpocząć, aby uroczystość mogła się odbyć w kościele akademickim.

Najpierw udałem się do kurii biskupiej. Tam przyjął mnie sufragan. Pamiętał mnie z ingresu biskupa Klepacza i powiedział, że uzyskam zgodę, aby ślub odbył się w kościele akademickim, a nie parafialnym właściwym dla miejsca zamieszkania narzeczonej. Po paru dniach otrzymałem odpowiednie pismo i pojechałem do kościoła parafialnego. Proboszcz przeczytał pismo kurii i na jego twarzy pojawiła się bez przesady, furia.

- A co to, nasz kościół jest gorszy od tamtego? – wybuchnął.

Nigdy nie lubiłem (i do dzisiaj mi to pozostało), kiedy ktoś mówi podniesionym głosem. Chciałem również krzyknąć, ale jakoś się pohamowałem i spokojnie wyjaśniłem, że oboje jesteśmy studentami, a ja w dodatku działaczem katolickim. Proboszcz uspokoił się nieco i już ciszej zapytał.

- Ale wie pan, że musi zapłacić za ślub, aby parafia nie była stratna?

Odpowiedziałem, że powiedział mi już o tym biskup sufragan i zapytałem, o jaką kwotę chodzi. A proboszcz zaczął wyliczać: opłata za ślub, za rozłożenie dywanu, za kwiaty na ołtarzu, za światło, dla organisty za granie. Poczułem, że teraz mnie ogarnia furia. Było coś obrzydliwego w tych żądaniach. Postanowiłem jednak, że nie wybuchnę i nie ujawnię tego, co myślę o księdzu proboszczu. Patrząc prosto w jego oczy, powiedziałem twardo.

- Proszę księdza, jak już mówiłem, jesteśmy biednymi studentami. Będziemy musieli ponieść różne opłaty za ślub w kościele akademickim. Rozumiem, że parafia nie może być stratna i dlatego zapłacę pierwszą, wymienioną przez księdza kwotę – za ślub. Ale nie dam ani złotówki za światło, które nie będzie się paliło, ani nie zapłacę organiście, który w ogóle nie będzie grał, ani za dywan czy kwiaty.

Po tych słowach wyciągnąłem z kieszeni pieniądze i położyłem na stole. Proboszcz musiał zauważyć w moich oczach hamowaną wściekłość, bo nie zaprotestował. Wstałem, powiedziałem „do widzenia" i wyszedłem, nie podając mu ręki.

Zgodnie z ówczesnymi przepisami, w drugiej połowie stycznia odbył się ślub cywilny, a 2 lutego kościelny. Cały ceremoniał trwał co najmniej godzinę. Było dwóch księży, jak tego wymagało prawo kanoniczne. Oczywiście głównym celebransem był ojciec Rostworowski. Prawdopodobnie wieść o tym niecodziennym wydarzeniu, jakim jest rzymski ślub dotarła do wielu ludzi, ponieważ wielki kościół był przepełniony.

Chciałbym zakończyć tę relację jednym, późniejszym o kilkanaście lat wspomnieniem. W latach sześćdziesiątych pojechałem na tzw. gościnny występ do Filharmonii w Lublinie. Po koncercie, jak to zwykle bywa, do pokoju dyrygenta przyszli z gratulacjami znajomi. W pewnym momencie otworzyły się drzwi i wszedł ksiądz Rostworowski. Ku zdumieniu obecnych, padliśmy sobie bez słowa w objęcia. Okazało się, że ksiądz Rostworowski przez jakiś czas siedział w więzieniu (o czym zresztą słyszałem), a teraz pracuje na KUL-u. Kiedy znajomi wyszli nie chcąc nam przeszkadzać w rozmowie, powiedziałem.

- Przykro mi to ojcu mówić, ale rozeszliśmy się z żoną.

A na to ksiądz, ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu, rzekł spokojnie.

- Wiedziałem od początku, że tak będzie.

Nigdy więcej nie spotkałem się już z ojcem Rostworowskim, a po paru latach dowiedziałem się o jego śmierci. Zapamiętałem go jako niezwykłego człowieka.

„Krakowiacy i Górale"

Po powrocie z tournée w Czechosłowacji straciłem kontakt z teatrem i nie interesowałem się, kto dyrygował przedstawieniami „Krakowiaków i Górali". Dlatego byłem zaskoczony, kiedy pewnego dnia (ale jakiego miesiąca – nie potrafię sobie przypomnieć) prof. Władysław Raczkowski zaproponował mi, studentowi II roku dyrygentury, prowadzenie spektakli. A było ich sporo w każdym miesiącu. Oczywiście z radością przyjąłem propozycję. Pieniędzy stale mi brakowało, ale ważniejsza była możliwość dyrygowania. Trudno o lepszą praktykę. W przedstawieniu były arie, duety, chóry i tańce, niemal przedsmak opery. Wziąłem partyturę i starannie ją studiowałem, mając ułatwione zadanie, gdyż samą muzykę pamiętałem po tylu próbach i przedstawieniach w Czechosłowacji. Ustaliłem z prof. Raczkowskim datę pierwszego występu. O chociażby jednej próbie nie było co marzyć. Wszyscy wykonawcy po dziesiątkach przedstawień na pewno odmówiliby zgody na przeprowadzenie próby wyłącznie dla dyrygenta. Dlatego z prawdziwym strachem szedłem do teatru ubrany w pierwszy w życiu czarny garnitur, który sprawiłem sobie na ślub. Prof. Raczkowski obiecał, że mi pomoże i stanął przy mnie w kanale orkiestrowym. Z drżeniem serca i… ręki zacząłem dyrygować uwerturę. Orkiestra złożona z kolegów z filharmonii i PWSM zagrała tak samo sprawnie jak w Czechosłowacji. Dostosowałem się do wyuczonych temp prof. Raczkowskiego, choć – o ile dobrze pamiętam – wolałbym nieco szybsze. Również moje ruchy były bardziej gwałtowne. Przedstawienie toczyło się bez przeszkód. Raz tylko zgubiłem się, ale prof. Raczkowski przytomnie chwycił moją prawą rękę i zaczął nią dyrygować, ratując sytuację. Byłoby to zabawne, gdyby nie fakt, że mogło dojść z mojej winy do katastrofy. Do końca przedstawienia nic się już złego nie wydarzyło. Kiedy koledzy mi gratulowali, prof. Raczkowski oświadczył: „Następne przedstawienie będzie już pan dyrygował sam". Jakże byłem dumny! Oczywiście nigdy więcej nie pomyliłem się, a po paru przedstawieniach zaczęły do mnie dochodzić głosy, że dyryguję równie sprawnie jak profesor, ale za to z większym temperamentem.

Przy końcu miesiąca poszedłem do kasy teatru po pierwsze zarobione dyrygowaniem pieniądze. Kwota na liście płac była - jak na moje oczekiwania – wyjątkowo mała. Za dyrygowanie spektaklem stawka była niższa niż za granie w orkiestrze. Byłem oburzony. Zaprotestowałem i odmówiłem wzięcia pieniędzy. Zmartwiona, a Bogu ducha winna kasjerka, doradziła mi, abym poszedł do dyrektora Schillera. Niezwłocznie to zrobiłem.

W gwałtowny sposób przedstawiłem swoje pretensje i zakończyłem niezbyt grzecznym pytaniem.

- Czy profesor Raczkowski także dyrygował za taka stawkę?

Dopiero po latach, kiedy zostałem dyrektorem, zdałem sobie sprawę ze swojego nietaktu. Schiller mógł przecież powiedzieć krótko: „A co to pana obchodzi?" i miałby całkowitą rację. Ale Schiller swoim zwyczajem postukał palcami w prawy policzek i spokojnie odpowiedział.

- Profesor Raczkowski miał zupełnie inną stawkę, ale jest doświadczonym dyrygentem. Pan zaś dopiero studentem.

Tą wyważoną odpowiedzią jeszcze bardziej mnie rozłościł. Krzyknąłem.

- Czy teraz, kiedy ja dyryguję, przedstawienia są gorsze? Nie. Czy frekwencja słabsza? Nie. Za taką samą pracę powinna być taka sama płaca.

Dyrektor Schiller wykazał wyrozumiałość i zamiast wyprosić bezczelnego młodzika za drzwi, rozłożył tylko ręce w bezradnym geście i powiedział.

- Jest pan w błędzie. A decyzji o wysokości pana stawki nie zmienię.

A ja na to z pasją.

- To ja już więcej dyrygować nie będę!

I wyszedłem bez pożegnania. Pieniądze oczywiście wziąłem, ale decyzji nie zmieniłem. Wprawdzie prof. Raczkowski próbował ze mną rozmawiać, tłumacząc że takie zróżnicowanie stawek stosowane jest na całym świecie. Odpowiedziałem, że możliwe, ale mnie to nie odpowiada. I tak skończyła się moja przygoda z „Krakowiakami i Góralami". Dzięki niej nauczyłem się dyrygować w kanale orkiestrowym, co przydało mi się później. A przy okazji poznałem wielu aktorów, którzy zajęli potem czołowe miejsca w polskich teatrach. Nie wszystkie nazwiska pamiętam, ale na pewno w roli studenta występował Władysław Hańcza, Jaśka – Henryk Borkowski, Bryndasa – Kazimierz Dejmek.

Wiosenne wydarzenia

Na jesieni 1947 roku mój brat Kazimierz opuścił Łódź i to raz na zawsze. Wyjechał do Wrocławia, gdzie objął stanowisko dyrektora opery, co – jak sadzę – było spełnieniem jednego z jego marzeń. Dopiero na wiosnę otrzymał przydział na mały domek i mógł zabrać z Łodzi żonę i córkę. Zajmowane dotąd mieszkanie podzielił między mnie z żoną i studentkę, uczennicę Marysi, z mężem – studentem prawa. Wprowadziliśmy się natychmiast po zabraniu przez Kazia mebli. Nasi współlokatorzy byli bodajże ocalałymi z łódzkiego getta Żydami i przydział na dwa pokoje otrzymali bez przeszkód, mnie natomiast wydział lokalowy odmówił. Zawiadomiłem o tym Kazia, a ten obiecał, że przy pierwszej bytności w Łodzi, postara się sprawę załatwić. Pewnego dnia po powrocie z próby w filharmonii zobaczyłem, że drzwi zajmowanego przez nas pokoju zostały opieczętowane. Wprawdzie za zerwanie pieczęci groziła kara, ale nie przejmowałem się tym i drzwi otworzyłem. A potem poszedłem do urzędu miasta, czy jak tam się wtedy to nazywało, do wiceprezydenta, któremu podlegały sprawy mieszkaniowe. Wiedziałem o nim tylko tyle, że jego córka studiowała na uniwersytecie. Nie pamiętam jego nazwiska jak również tego czy przyjął mnie od razu, czy wyznaczył termin wizyty na inny dzień.

Przytoczę przebieg rozmowy, ponieważ stanowi ilustrację stosunku ówczesnych funkcjonariuszy do petentów o „inteligenckim pochodzeniu społecznym". Po przedstawieniu

sprawy usłyszałem, że mogę przecież nadal mieszkać u rodziców. Na to powiedziałem, że w trzypokojowym mieszkaniu żyją: ojciec, matka i dwie siostry, przy czym wszyscy muszą ćwiczyć na instrumentach. Nie ma zatem miejsca dla mnie i mojej żony, która po nocach przygotowuje się właśnie do ostatnich egzaminów.

Odpowiedź wiceprezydenta brzmiała:

- Jako dziecko musiałem mieszkać w siedem osób w jednym pokoju. Jestem synem robotnika.

Nie wytrzymałem i rąbnąłem:

- Ale pańska córka nie jest już córką robotnika, tylko wiceprezydenta i nie mieszka w siedem osób w jednym pokoju.

Poczem wstałem, powiedziałem „do widzenia" i wyszedłem. Przyznaję, że był to mój fatalny zwyczaj, który przysparzał mi coraz to nowych wrogów wśród przeróżnych dostojników. Ale doprowadzała mnie do szału ich arogancja i operowanie pseudopolitycznymi i pseudospołecznymi argumentami.

Oczywiście, nadal mieszkaliśmy w „odpieczętowanym" pokoju. Kazio przyjechał po paru dniach i sprawę przydziału załatwił bezpośrednio z prezydentem miasta.

Niedługo potem, bodajże w czerwcu, moja żona uzyskała dyplom lekarza dentysty. I mniej więcej w tym samym czasie okazało się, że „zaszła w ciążę". Jak pamiętam, najbardziej cieszyła się moja matka, która od dnia ślubu nalegała na to „zajście". A przyczyna była, przynajmniej dla mnie zarówno wtedy jak i teraz, mało istotna i wręcz śmieszna – uratowanie nazwiska. Matka ciągle powtarzała, że jestem „ostatnim z rodu" i jeśli nie będę miał syna – nazwisko na mnie się zakończy. Ja zaś twierdziłem, że wiele nazwisk o chlubnej historii przepadło bezpowrotnie, np. w Polsce Stadnicki, Ostrogski, Wiśniowiecki, Kmita. Dodawałem, że samo nazwisko nie ma znaczenia. Ważne kim są jego nosiciele. Te argumenty nie przekonały matki, która – pamiętam – razem z moją żoną odbywały jakieś poufne rozmowy. Kiedy zatem okazało się, że paromiesięczne zabiegi odniosły skutek, obie panie wymogły na mnie, abym przerwał studia na uniwersytecie. „Musisz jak najprędzej skończyć dyrygenturę, aby utrzymać rodzinę" – takie słyszałem argumenty. Było moim błędem, że uległem. Kiedy dwa lata później uzyskałem dyplom dyrygencki, rychło okazało się, że jako początkujący dyrygent zarabiam mniej niż jako wiolonczelista. Z żalem wziąłem urlop na uniwersytecie, pomimo że mój profesor antropologii zaproponował mi od jesieni etat młodszego asystenta. W tym miejscu muszę wyznać, że potem przez całe moje długie życie nie przestałem żałować przerwania uniwersyteckich studiów. I wcale nie jestem pewien czy nie powinienem był raczej zrezygnować z dyrygentury i wybrać drogę naukową. No, ale rozważania na ten temat w wieku prawie 80 lat uznać należy „co najmniej" za spóźnione.

Groźny zatarg

Kiedy na jesieni 1947 roku Kazio wyjechał z Łodzi, jedyną osobą, która mogła objąć po nim klasę dyrygentury, był dyrektor filharmonii, Zdzisław Górzyński. Jak słyszałem, bardzo się przed tym bronił, nie czuł w sobie chęci uczenia innych, o czym zresztą otwarcie mówił. W osobnym rozdziale, poświęconym dyrygentom, szerzej omówię moje z nim kontakty, ponieważ przez szereg lat był dla mnie wzorem. Jednak jako pedagog zupełnie się nie sprawdził. Najpierw zrezygnował z pianistek, które na cztery ręce grały specjalnie opracowany repertuar symfoniczny. Twierdził, że nie może słuchać, jak się ciągle mylą.

Uznał, że lepiej będzie dyrygować do płyt, co z punktu widzenia dydaktyki miało mało sensu. Student musiał „nadążać" za płytą, od jego ruchów nic nie zależało, a w dodatku nie mógł pokazać własnej (nawet jeśli błędnej) interpretacji utworu.

W klasie była poza mną dwójka studentów: wysoka, koścista Hanka (nazwisko zapomniałem) i Olek Tabaksblatt. Ona – jak słyszałem – po uzyskaniu dyplomu została kierowniczką jakichś szkolnych, dziecięcych chórów w Krakowie, a on chyba zrezygnował w ogóle z zawodu muzyka. Górzyński wyraźnie nudził się na lekcjach. Z niechęcią robił jakieś uwagi, a nasze nieporadne ruchy czasami go drażniły a czasami śmieszyły. Najbardziej nie lubił, jeśli ktoś pytał go, jak rozwiązać dany dyrygencki problem. Mnie odpowiadał za każdym razem niezmiennie: „Zobaczysz na próbie, jak ja to robię". Pozostałym powtarzał, aby sobie sami poszukali rozwiązania, a najlepiej niech chodzą na koncerty i obserwują dyrygentów. Trudno uznać takie postępowanie za właściwe metody pedagogiczne.

Pewnego dnia Hanka zapytała, w jaki sposób zdjąć fermatę. Górzyński pokazał jej parę ruchów i oświadczył, że nie ma żadnej jednej stałej zasady. A na to Hanka nieśmiało, że Scherchen w swoim podręczniku dyrygowania twierdzi, że są pewne ustalone, sprawdzone i właściwe ruchy. Górzyński uśmiechnął się drwiąco, sięgnął do kieszeni po kalendarzyk i powiedział: „Jak pani chce, mogę dać adres Scherchena i proszę do niego jechać".

Górzyński był znany z tzw. ciętego języka i mógłbym przytoczyć wiele jego złośliwości, których byłem świadkiem przy różnych okazjach.

Kazio jako pedagog nauczył mnie podstaw techniki dyrygenckiej oraz pełnego szacunku podejścia do dzieła muzycznego. Górzyński, bardziej na próbach i koncertach niż na lekcjach, pokazał, czym jest wirtuozeria techniki manualnej i umiejętność akompaniowania. Niestety, jesienią 48 roku wyjechał z Łodzi, aby objąć stanowisko dyrektora opery w Poznaniu. Do Łodzi już nigdy nie wrócił, co było niepowetowaną stratą dla tamtejszej filharmonii. Na miejsce Górzyńskiego przyszedł Włodzimierz Ormicki. Objął również klasę dyrygentury. Twierdził, że uczył się u samego Richarda Straussa, który używał prawej ręki tylko do taktowania a lewej wyłącznie do pokazywania wejść poszczególnym instrumentom. I tak kazał nam dyrygować na lekcjach. O tak zwanym frazowaniu nie mogło być mowy! Ten nakaz był nie tylko zaprzeczeniem tego, czego uczyli nas poprzedni profesorowie, lecz także tego, co obserwowaliśmy u dyrygentów na koncertach. A dla mnie stało się wręcz torturą! Usiłowałem protestować. Bezskutecznie. I tak narastał konflikt.

Ormicki w Filharmonii dyrygował tak samo. Nie było to inspirujące dla muzyków i nic dziwnego, że orkiestra z tygodnia na tydzień grała coraz gorzej. W dodatku Ormicki nie potrafił opanować na koncertach tremy i często się mylił, szczególnie przy akompaniamentach. Nie mogę odmówić mu muzycznej wiedzy i zapewne byłby solidnym, choć nudnym, nauczycielem przedmiotów teoretycznych. Na artystę estradowego nie nadawał się z całą pewnością.

Muzycy, zwłaszcza młodsi, czyli moi koledzy z PWSM, zaczęli mnie namawiać, abym „coś z tym zrobił". Po iluś dniach dyskusji, postanowiono zwołać zebranie załogi. Organizatorzy zapomnieli albo w ogóle nie wiedzieli, że w obowiązującym systemie politycznym zebrania mógł zwoływać tylko odpowiedni organ: dyrekcja, związek zawodowy, komórka partyjna. Tak więc spotkanie muzyków było „dzikim zebraniem", czyli nielegalnym, bezprawnym zgromadzeniem. Muzycy wypowiadali się krytycznie, ale najbardziej agresywne było moje wystąpienie. W dodatku raz po raz używałem liczby mnogiej „uważamy", „naszym zdaniem", „domagamy się" itd. I tak niechcący stałem się przywódcą buntu przeciwko mianowanemu przez ministra dyrektorowi. Eo ipso wystąpiłem

przeciwko państwowej władzy. W tamtych czasach groziło za to więzienie, o czym – rzecz jasna – nie miałem pojęcia.

Tego samego dnia napisałem dla „Słowa Powszechnego" miażdżącą recenzję z ostatniego koncertu, na którym Ormicki dyrygował wręcz fatalnie „Dziadka do orzechów", a w zakończeniu „Trepaka" zupełnie się zgubił. Podpisałem ją pseudonimem „Iwo". Co było dalej, łatwo sobie wyobrazić. Wicedyrektor, Roman Iżykowski, nie wiem czy był członkiem PPR, ale w każdym razie wypowiadał się zawsze o ustroju w samych superlatywach. Prezentował typowy okaz karierowicza: pracowity, ambitny i posłuszny władzy. Wziął sprawy w swoje ręce i zaczął od zastraszenia muzyków. Następnie uznał mnie za organizatora nielegalnego zebrania i na tej podstawie zwolnił dyscyplinarnie z pracy z tzw. 32 paragrafu (działanie na szkodę instytucji), co praktycznie uniemożliwiało zatrudnienie w jakiejkolwiek innej instytucji muzycznej. Następnie przy pomocy władz (jakich – nigdy się oczywiście nie dowiedziałem), wymusił na redaktorze naczelnym ujawnienie, kto krył się pod pseudonimem „Iwo". I wreszcie zwołał zebranie załogi, na którym nie mogłem być obecny jako wyrzucony dyscyplinarnie. Okazało się wówczas, że wielu zastraszonych kolegów, jeden po drugim, wycofywało się ze swoich krytycznych uwag i na domiar złego wskazywali na mnie jako inspiratora i prowodyra. Kiedy się potem o tym dowiedziałem, postanowiłem, że nigdy więcej nie będę występował w imieniu jakiejkolwiek grupy, a jedynie w imieniu własnym. I tego postanowienia dotrzymałem.

Następnie pan dyrektor Iżykowski spowodował, że władze PWSM zawiesiły mnie jako studenta za publiczną krytykę profesora. Nie wiem do dzisiaj czy był to wystarczający powód. Mało tego, doprowadził do sytuacji, że poza relegowaniem z uczelni groził mi tzw. wilczy bilet, czyli zakaz studiowania w ogóle. Na jakimś zebraniu (nie wiem również na jakim, może partyjnym?) Iżykowski powiedział oficjalnie, że „Wiłkomirski jako były AK-owiec prowadzi dywersyjną robotę przeciwko socjalistycznej kulturze". Był to plugawy donos polityczny, który mógł mnie kosztować wieloletnie więzienie. Dowiedziałem się o tym od profesora Mieczysława Drobnera, który dzięki ojcu, wybitnemu działaczowi robotniczemu jeszcze sprzed wojny, miał mocną polityczną pozycję. I to on, czego mu nigdy nie zapomnę, doprowadził do zlikwidowania konfliktu. Po pierwsze namówił Ormickiego, aby przyjął moje przeprosiny, a mnie – abym je złożył. Ormicki wyraził zgodę, a ja idąc o umówionej godzinie do jego mieszkania, układałem w głowie tekst przeprosin. Było to jedno z najbardziej przykrych zdarzeń w moim życiu. Starałem się wymazać je z pamięci i zapewne dlatego nie pamiętam, co mówiłem. Wiem tylko, że przeprosiny odbyły się na stojąco i trwały kilkadziesiąt sekund. I na podstawie tych przeprosin, cofnięto wszystkie wymierzone przeciwko mnie sankcje. Pod jednym wszakże warunkiem: po zakończeniu sezonu oraz roku akademickiego 1948/49 – przeniosę się do innego miasta. Dalej więc uczęszczałem na lekcje do prof. Ormickiego i grałem w orkiestrze pod jego dyrekcją. Ja czułem się fatalnie w jego obecności i mogę się domyślać, że i on czuł się niezręcznie. Obaj wiedzieliśmy bowiem, że ja nadal mam do niego krytyczny stosunek jako dyrygenta, a on miał prawo mieć do mnie żal, że go publicznie spostponowałem. Muszę jednak lojalnie stwierdzić, że okazał się przyzwoitym człowiekiem, nie uległ chęci zemsty i nie doprowadził do zrujnowania mojego życia. Jeżeli natomiast prawdą było, że p. Iżykowski dla sobie tylko wiadomych celów do tego właśnie zmierzał, mam prawo uważać go za pospolitą kanalię.

Odchodzę z „Bratniej Pomocy”

W ostatnich miesiącach 48 roku zdążyłem wywołać jeszcze jeden konflikt, tym razem na uniwersytecie. Wprawdzie jako student korzystałem już z urlopu, ale nadal działałem w „Bratniej Pomocy”. Jako członek zarządu postawiłem na jednym z zebrań wniosek, aby duszpasterz akademicki, ksiądz Tomasz Rostworowski, otrzymał tytuł honorowego członka „Bratniej Pomocy”. Dotąd taki tytuł miał tylko – o ile pamiętam – jeden profesor, zajmujący się z upoważnienia rektora sprawami młodzieży. Prezes „Bratniaka”, Leszek Kołakowski zareagował zdecydowanie.

- Ten wniosek to polityczna prowokacja – oświadczył. – Masz złożyć natychmiast rezygnację z funkcji w zarządzie. A ponieważ jesteś na urlopie, powinieneś również zawiesić członkostwo w „Bratniej Pomocy”.

Zebranie zamieniło się w burzliwą dyskusję. Przypuszczam, że Leszek wiedział, iż temu co działo się w PWSM i filharmonii, nadano wymiar polityczny. Mógł obawiać się, że chcę swoją „antypaństwową” działalność przenieść na teren „Bratniej Pomocy”. Uniosłem się ambicją i oświadczyłem, że rezygnację złożę niezwłocznie. Na to pozostałych pięciu „niezrzeszonych” członków zarządu zaczęło krzyczeć, że odejdą razem ze mną. W odpowiedzi siódemka „zrzeszonych” odpowiedziała również krzykiem, że to „dywersja” i rozbijanie „Bratniej Pomocy”. Wśród tego zamętu napisałem rezygnację i wręczyłem Leszkowi, a w ślad za mną reszta „niezrzeszonych”. I był to koniec „Bratniej Pomocy” Uniwersytetu Łódzkiego. W następnym roku – jeśli mnie pamięć nie myli – w całej Polsce „Bratniaki” albo zlikwidowano, albo w istotny sposób ograniczono ich działalność i przede wszystkim niezależność. A potem rozwiązano młodzieżowe organizacje łącznie z ZWM i powstało ZMP (Związek Młodzieży Polskiej).

Z tamtych czasów przypominam sobie jeszcze pewną burzliwą dyskusję polityczną w stołówce „Gęsie Pióro”. Ja wytykałem błędy ustroju socjalistycznego, a moi oponenci wskazywali na uwarunkowania międzynarodowe i niewątpliwe osiągnięcia rządu i PPR. A przy okazji wyciągali moje szlachecko - inteligenckie pochodzenie i AK-owskie obciążenie. Wtedy wstałem i powiedziałem:

- Przetrzymaliśmy niejeden bunt hajdamacki, to i was przetrzymamy!

A potem dumnie wyszedłem.

Jak się okazało po kilkudziesięciu latach, te słowa, wypowiedziane w złości przez 22-latka spełniły się niczym proroctwo.

Oczywiście nikt z moich oponentów nie doniósł do UB o tej niewątpliwie „antyrządowej” wypowiedzi. Mieliśmy swoje przekonania, podczas dyskusji krzyczeliśmy na siebie, nie przebierając w słowach. Ale – jestem pewien – nikomu nie przyszłoby do głowy, aby donosić na kolegów.

Po złożeniu rezygnacji w „Bratniaku”, poszedłem pożegnać się z rektorem Kotarbińskim. Ostatecznie przez dwa lata spotykałem się z nim przy różnych okazjach, współpracowałem w sprawach studenckich i okazjonalnie uczęszczałem na jego wykłady. Kiedy powiedziałem, że chciałbym się pożegnać i podziękować za okazaną pomoc, Kotarbiński kiwnął potakująco głową i rzekł:

- Znam całą sprawę i rozumiem pańskie stanowisko.

Zastanowił się przez chwilę, poczem uśmiechnął się i „profesorskim” tonem wygłosił następującą przemowę:

- Młody kolego, chciałbym dać panu na pożegnanie jedną radę. Zanim rozpocznie się jakiekolwiek działanie, trzeba mieć pewność, że istnieje choćby jednoprocentowa szansa na powodzenie. Jeżeli jej nie ma – należy z góry zrezygnować.

Przyznam, że pochlebił mi zwrot „młody kolego" i do dzisiaj przechowuję go w pamięci. Podziękowałem rektorowi za dobrą radę, którą zresztą usiłowałem w życiu stosować. Co nie zawsze mi się niestety udawało z powodu mojej popędliwości. A kilkanaście lat później dowiedziałem się, że profesor Kotarbiński był jednym z sygnatariuszy tzw. listu 34, skierowanego do ówczesnego premiera, Józefa Cyrankiewicza. Oczywiście z listu nic nie wyniknęło poza zupełnie konkretnymi kłopotami dla autorów. Miałem wtedy ochotę napisać list do Kotarbińskiego i przypomnieć mu jego słowa. Zrezygnowałem jednak, gdyż byłoby to nieeleganckie wobec wielkiego filozofa i starego człowieka.

Na początku roku 1949, w parę miesięcy po mojej pożegnalnej rozmowie z profesorem Kotarbińskim, z prawdziwym zaskoczeniem dowiedziałem się, że przestał być rektorem. Nieco później któryś z uniwersyteckich kolegów zrelacjonował całą historię, którą przytaczam na jego odpowiedzialność. Rektor Kotarbiński stanął na czele oficjalnej delegacji polskich uczonych, udających się do ZSRR na zaproszenie Radzieckiej Akademii Nauk. Po powrocie do Polski miał otrzymać Order Odrodzenia Polski (Polonia Restituta). Kiedy jednak pojawił się w Łodzi, nie tylko nie został odznaczony, ale stracił stanowisko rektora. Okazało się, że na pożegnalnym bankiecie, przewodniczący Akademii Nauk ZSRR, prof. Kiełdysz, wznosząc toast, powiedział, że dla uczonych radzieckich potwierdzeniem słuszności ich teorii jest zgodność ze wskazaniami towarzysza Stalina. A Kotarbiński w odpowiedzi na ten toast oświadczył, że to nie jest żadne kryterium naukowe. Jeżeli ta historia jest prawdziwa, pięknie świadczy o prawdziwie naukowej postawie Kotarbińskiego i jego cywilnej odwadze.

Aby zakończyć wspomnienia z tamtego okresu, muszę dodać, że gdzieś na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych spotkałem Leszka Kołakowskiego w Warszawie. Z rozrzewnieniem wspominaliśmy nasze dyskusje, kłótnie i ostatni konflikt w „Bratniaku". Już wtedy były tylko cząstką naszej burzliwej młodości. I pomimo wszystko pięknym wspomnieniem.

Kończąc ten rozdział, uświadomiłem sobie, że nie ma już wśród żyjących większości osób w nim występujących. Profesorowie poumierali przed wielu laty, a zapewne także większość kolegów. Żyje jeszcze Leszek Kołakowski i łódzki pianista Edzio Przyłęcki, z którym grałem na dziesiątkach rozmaitych koncertów. To nieuchronne przemijanie czasu budzi smutek. Okazuje się, że mają rację ci, którzy twierdzą, że życie jako takie nie ma żadnego sensu. Czyżby powiedzenie któregoś z egzystencjalistów, że życie ma tylko tyle sensu, ile my mu nadamy – było samooszukiwaniem się? W wielu autobiografiach znalazłem takie pseudofilozoficzne wtręty. Jest to dla amatora grząska ścieżka. Wolę zostawić te rozważania fachowcom, czyli zawodowym filozofom, którzy mają odpowiednie przygotowanie. A ja wracam do wspomnień mojego długiego życia.

Rozdział XVII

ROK 1949

Jak wiadomo z historii, był to rok brzemienny w liczne wydarzenia polityczne na świecie i w Polsce. Powołano RWPG, powstały: NATO, ChRL i NRD. Zaostrzył się kurs represyjny w ZSRR, a tym samym, choć z opóźnieniem, także w Polsce. Wzmogły się naciski polityczne na młodzież. Podjęto zdecydowane kroki, mające na celu większe uzależnienie wszystkich organizacji młodzieżowych od rządu i PZPR. Prowadziło to oczywiście do znacznego ograniczenia samorządności.

Pochód i egzamin

W drugiej połowie kwietnia nowo powstały zarząd uczelniany Związku Akademickiej Młodzieży Polskiej przy PWSM ogłosił w porozumieniu z rektoratem, że wszyscy studenci mają obowiązek uczestniczyć w pochodzie 1-Majowym. Bez zaświadczenia o udziale w pochodzie wystawionego przez Zarząd Uczelniany najlepszy nawet student nie zostanie dopuszczony do egzaminów, a co za tym idzie, nie zaliczy roku. Uznaliśmy to za skandaliczne naruszenie swobód obywatelskich i suwerenności uczelni. Indagowani profesorowie z rektorem na czele rozkładali bezradnie ręce i tłumaczyli wzburzonym studentom, że ministerstwo kultury i sztuki również uważa udział w pochodzie 1-Majowym za obowiązkowy.

Cóż było robić, poszliśmy na pochód. Postanowiłem maszerować z obojętną miną, patrząc prosto przed siebie. Uważałem to za milczący protest, kontrastujący z obowiązującym radosnym nastrojem. Mój protest był trudny do zauważenia wśród tysięcy studentów łódzkich uczelni. Kiedy kolumna PWSM po przejściu przed trybuną honorową, zatrzymała się w bocznej ulicy, podszedłem natychmiast do przewodniczącego zarządu i zażądałem wydania zaświadczenia. Zaskoczony tłumaczył, że to niemożliwe, ponieważ tego rodzaju zaświadczenie aby było ważne, musi być napisane na maszynie i zaopatrzone w pieczątkę. Przyjąłem do wiadomości to wyjaśnienie, ale zażądałem odręcznego wypisania tu i teraz zaświadczenia o udziale w pochodzie. Była to z mojej strony nie tylko demonstracyjna złośliwość, lecz także chęć zabezpieczenia się przed możliwością ewentualnej szykany. Ponieważ po zatargu z prof. Ormickim byłem „politycznie" źle notowany, mogłem się spodziewać, że moje zaświadczenie gdzieś się np. zawieruszy i zanim je znajdą, minie termin egzaminu. Przewodniczący zarządu z wyraźną niechęcią wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i – co dokładnie pamiętam – na zewnętrznym parapecie okna jakiegoś parterowego mieszkania potwierdził mój udział w pochodzie. Tak więc mogłem przystąpić do licznych egzaminów, które postanowiłem w tym roku akademickim zdawać.

Najbardziej niebezpieczny był z przedmiotu, który nazywał się albo podstawy marksizmu – leninizmu, albo wiedza o Polsce współczesnej. Jak mi opowiadali koledzy, którzy zdawali

ten egzamin przed rokiem, w komisji siedział tzw. obserwator z Komitetu Miejskiego PZPR. On też zadawał najwięcej pytań. Ponieważ miałem ciągle stare zwolnienie z obowiązku uczęszczania na wykłady przedmiotów teoretycznych, nie bardzo orientowałem się, z jakich zagadnień należy się przygotować. Na wszelki wypadek kupiłem „za grosze" komplet tomików, składających się na „Bibliotekę klasyków marksizmu" oraz parę broszurek. Kiedy zacząłem czytać Marksa i Engelsa, nie ze wszystkimi teoriami mogłem się zgodzić. Musiałem jednak przyznać, że dysponowali rozległą wiedzą w różnych dziedzinach, a ich argumentacja była spójna. Niewątpliwie byli intelektualistami. Dopiero po wielu latach, kiedy moje horyzonty myślowe znacznie się rozszerzyły, mogłem znaleźć sporo słabych punktów w ich systemie filozoficznym. Natomiast w dziełach Lenina od razu zauważyłem wątłość niektórych teorii historycznych, a szczególnie nauk ścisłych. Kiedy sięgnąłem do „Zagadnień leninizmu" Stalina, raz po raz przy lekturze parskałem śmiechem. Braki warsztatu intelektualnego były rażące. Ze złośliwą satysfakcją podkreślałem całe akapity, wypisując na marginesie kąśliwe uwagi. W każdym razie przygotowałem się do egzaminu z marksizmu - leninizmu starannie.

Kiedy wszedłem do klasy, w której odbywał się egzamin, zobaczyłem jak zasiadający w komisji profesorowie zaczęli między sobą szeptać. Jedyną nieznaną mi osobą był przedstawiciel PZPR. Usiadłem, a ów przedstawiciel patrząc na mnie z wyraźną antypatią, zastanawiał się przez dłuższą chwilę, poczem zadał pytanie.

- Co możecie nam powiedzieć o wartości dodanej?

Kiedy skończył mówić, na twarzy pojawił mu się złośliwy uśmiech. Pozostali egzaminatorzy wymienili spojrzenia. Ci, którzy mnie lubili, jak prof. Drobner i pani prorektor Kijeńska, mieli zmartwiony wyraz twarzy. Obawiali się widocznie, że nie potrafię na tak szczegółowe pytanie odpowiedzieć i „obleję" egzamin. Podejrzewałem zresztą, że oni sami tej odpowiedzi nie znali. Ale ja, jak już napisałem, byłem naprawdę przygotowany. Z zamierzoną swobodą odpowiedziałem.

- Są trzy definicje.

Obserwowałem zaskoczenie na twarzy egzaminatora z PZPR. Zanim przyszedł do siebie, zacząłem mówić, starannie dobierając słowa. Domyślałem się, że on sam znał tylko pierwszą definicję, najczęściej używaną. Kiedy skończyłem, poprawił się na krześle, chrząknął i już innym tonem powiedział:

- No, dobrze. A teraz proszę powiedzieć nam coś o rozwoju polskiego ruchu robotniczego w drugiej połowie XIX wieku.

Było to dla mnie jeszcze wygodniejsze pytanie, ponieważ dotyczyło historii. Pamiętam, że odegrałem całe przedstawienie. Dziwne, że takie szczegóły pozostają w pamięci. Uniosłem głowę do góry, popatrzyłem przez chwilę w sufit, a potem przeniosłem wzrok na członków komisji. Jedni uśmiechali się zachęcająco, drudzy patrzyli obojętnie. A na twarzy przedstawiciela PZPR pojawił się wyraz triumfu. Przypuszczałem, że myślał: „no, teraz go dopadłem!" a ja, jak aktor, po odczekaniu jeszcze paru sekund, zacząłem wymieniać fakty, daty, nazwiska. Oczywiście otrzymałem za ten egzamin piątkę. Dzisiaj już nie pamiętam żadnej z trzech definicji wartości dodanej, choć wiem, co to pojęcie oznacza. O początku ruchu robotniczego w Polsce nie potrafiłbym teraz nic powiedzieć. Nigdy potem te wiadomości nie były mi potrzebne. Ale wspomnienie o egzaminie jest nadal żywe, a samo wydarzenie stanowi przyczynek do historii tamtego okresu.

Pozostałe egzaminy, w tym tak ważne jak kontrapunkt, a konkretnie pisanie fug, zdałem pomyślnie. Nawet instrumentowanie na orkiestrę symfoniczną. Niektóre przedmioty, jak

np. akustykę, etnografię, etnologię lub „organizację ruchu amatorskiego" (a owszem, był taki przedmiot!) zaliczyłem zaledwie na trójki. W tamtym czasie, kiedy eksperymentowano z nowo powstałymi wyższymi szkołami artystycznymi, wprowadzano coraz to nowe, nieraz zupełnie dziwaczne i zbędne przedmioty teoretyczne. Zwłaszcza było ich dużo dla wydziału kompozycji, teorii i dyrygentury. Bardzo nas to śmieszyło. Nie wiem, ile z tych przedmiotów pozostało do obecnych czasów.

Po zaliczeniu roku, zacząłem się żegnać z profesorami i kolegami. Postanowiłem bowiem przenieść się do PWSM w Warszawie. Pojechałem tam, gdy tylko dowiedziałem się, że Górzyński objął stanowisko dyrektora opery warszawskiej. Od razu przyjął mnie do orkiestry, ale powiedział, że będę musiał siedzieć przy ostatnim, trzecim pulpicie. Wyjaśnił, że wprawdzie pozostałych pięciu wiolonczelistów gra gorzej ode mnie, ale oni w tej orkiestrze pracowali jeszcze przed wojną. I dodał z właściwą sobie złośliwością: „I grali tak samo źle".

- Niech pan tych dziadków nie drażni - powiedział Górzyński. – Tym bardziej, że będzie pan pracował tylko ten jeden rok.

Oczywiście przyznałem mu rację.

W PWSM ucieszyli się wręcz z przybycia studenta ostatniego roku, gdyż to zwiększało liczbę absolwentów. Nowo otwarta uczelnia była na razie mała i mieściła się w dawnym pałacyku Sobańskich przy alejach Ujazdowskich. Profesorów było niewielu i brakowało wśród nich tzw. wielkich nazwisk. Ale już w rok później sytuacja uległa diametralnej zmianie. Do odbudowującej się szybko Warszawy zaczęli ściągać czołowi polscy muzycy. Ale to już nie ma związku z moją biografią.

Aby zamknąć ostatecznie wspomnienia z trzyipółletniego pobytu w Łodzi, muszę napisać, że w marcu urodził się mój syn, którego na moje życzenie nazwano Bogusławem. Ze wstydem przyznaję, iż przyjąłem jego narodziny zupełnie obojętnie. Byłem po prostu psychicznie niedojrzały do roli ojca. Dopiero później, kiedy mając dwa czy trzy latka złapał mnie za spodnie i powiedział „tata" – nagle poczułem, że mam syna. Głupie, ale prawdziwe. Jest to temat do rozważań: najlepszym z punktu widzenia biologii okresem dla zapłodnienia jest zapewne dziesięciolecie między 20 a 30 rokiem życia. Ale z punktu widzenia socjalnego byłby prawdopodobnie lepszy znacznie późniejszy okres.

Zjazd w Poznaniu

Na wiosnę 49 roku ogłoszono, że w październiku odbędzie się w Poznaniu I Ogólnopolski Zjazd Studentów Szkół Artystycznych. Poprawności tej nazwy nie jestem dzisiaj całkowicie pewny. Przewidziano bogaty program: wystawy malarskie, spektakle teatralne i koncerty oraz także zebrania, sympozja, spotkania. Każda uczelnia miała zaprezentować swoje osiągnięcia poprzez występy najlepszych studentów. Wśród licznych imprez muzycznych najważniejszy miał być koncert w sali Opery Poznańskiej z udziałem tamtejszej orkiestry. Domyślałem się, że rektor i senat łódzkiej PWSM stanęli przed poważnym dylematem: czy wykorzystać szansę zaprezentowania na scenie operowej naprawdę dobrych studentów klasy śpiewu profesora Grzegorza Orłowa, decydując się tym samym na prezentację krnąbrnego studenta dyrygentury, czyli mnie. Nikt inny bowiem nie potrafiłby zadyrygować zawodową orkiestrą. Nigdy się nie dowiedziałem, jak przebiegały dyskusje między profesorami, czy były burzliwe i ile trwały. Ja tylko poznałem ostateczną decyzję. Łódzka

PWSM powiadomiła Ministerstwo Kultury, że do programu koncertu w operze proponuje wykonanie tercetu „Cichy domku" ze „Strasznego Dworu". Do dzisiaj przechowuję kartkę, wyrwaną z drukowanego programu zjazdu. Widnieje na niej moje nazwisko. Pomimo że w październiku byłem już studentem warszawskiej PWSM, na zjeździe reprezentowałem jeszcze łódzką.

Słabo pamiętam przebieg próby i koncertu. Orkiestra operowa znała „Straszny Dwór" lepiej niż ja, przypuszczam więc, że wszystko odbyło się bez żadnych zakłóceń. Zaś do utrzymania kontaktu między mną, skrytym w głębokim kanale orkiestrowym, a stojącymi na odległej scenie śpiewakami – przydało się doświadczenie zdobyte przy dyrygowaniu „Krakowiaków i Górali".

Ze zjazdowych imprez pamiętam przedstawienie łódzkiej PWST. Była to sztuka czeskiego autora pt. „Brygada szlifierza Karhana" i stanowiła dyplomową pracę Kazimierza Dejmka. Utkwiła mi w pamięci, ponieważ młody reżyser postawił na scenie nie atrapę, ale prawdziwą obrabiarkę. Sama sztuka była tzw. produkcyjniakiem i należała do nurtu, który niebawem został nazwany socrealizmem. W Polsce zaowocował licznymi i kiepskimi powieściami, których tytułów nie warto wymieniać, a nazwiska autorów wolę litościwie przemilczeć. Powstało również parę filmów. W jednym z nich na randkach para zakochanych rozmawiała wyłącznie o osiągnięciach produkcyjnych swoich brygad, wykonaniu planów, podjętych zobowiązaniach. Autentyczne!

Najważniejszym wydarzeniem zjazdu było spotkanie z ministrem Kultury (czy już wówczas w nazwie resortu znajdowało się także słowo „i Sztuki" – nie pamiętam), Włodzimierzem Sokorskim. W auli Uniwersytetu Poznańskiego, która służyła zresztą także jako sala koncertowa filharmonii, zgromadziło się około tysiąca studentów i profesorów polskich uczelni artystycznych. Na estradzie zasiedli wszyscy rektorzy. Minister wygłosił długie przemówienie, w którym określił, jaka powinna być sztuka socjalistycznej Polski. I przeciwstawił ją zgniłej sztuce Zachodu, którą określał jako „formalistyczną". Większość profesorów i studentów, sądząc po minach, była zarówno znudzona tymi wywodami jak i nieprzekonana do ich słuszności. Jako przykład skrajnej degeneracji zachodniej sztuki formalistycznej minister podał fakt, że – tutaj cytuję dosłownie – „nawet w domach publicznych wiszą abstrakcjonistyczne obrazy". To zdanie wywołało rozbawienie obecnych, a w rzędach zajętych przez studentów można było słyszeć tłumiony śmiech. Moja siostra Maria, siedząca między znajomymi profesorami, natychmiast na wydartej z notesu kartce napisała: „Żądamy obrazów mistrzów włoskiego Renesansu w domach publicznych Zachodu!" i puściła tę kartkę „w obieg". Dotarła i do mnie. Żałuję, że jej wówczas nie zatrzymałem na pamiątkę.

Kiedy minister skończył, prowadzący spotkanie rektor (nie pamiętam której uczelni) zaprosił chętnych do zabierania głosu. Zapadła niezręczna cisza. Nie pamiętam czy po jakimś czasie ktoś się zgłosił. Być może byli przygotowani jacyś pseudodyskutanci z młodzieżowych organizacji, ale nie mogę sobie nikogo przypomnieć. Czy zabierali głos profesorowie – także nie pamiętam. W pewnym jednak momencie pojawił się na estradzie Tadeusz Kantor. Słyszałem już o nim jako awangardziście i twórcy teatru „Cricot". Kantor stanął za mównicą, rozejrzał się po sali, przez chwilę milczał, widocznie dla efektu, a potem zapytał:

- Czy wiecie, kto to był Balzak?

Rozległy się wybuchy śmiechu i krótkotrwałe oklaski, a potem zapadła cisza. Można było wyczuć, że obecni po takim pytaniu oczekują czegoś niezwykłego.

Kantor znowu odczekał chwilę, poczem zadał drugie pytanie.

- A wiecie, kto był w czasach Balzaka ministrem kultury?

Tak jak nie zapomnę tych pytań, tak samo do dzisiaj pamiętam ryk śmiechu, okrzyki i oklaski całej sali. Profesorowie, podobnie jak studenci, nie potrafili zapanować nad spontaniczną reakcją. Kiedy sala uspokoiła się, Sokorski zerwał się z fotela i wskazując ręką na stojącego za mównicą Kantora, krzyknął w stronę jednego z rektorów:

- Taki człowiek nie może uczyć naszej młodzieży! Proszę go zdjąć ze stanowiska!

Wybuchł tumult. Studenci krzyczeli, gwizdali, tupali, a profesorowie zaczęli wychodzić z sali. W ogólnym zamieszaniu rektorzy wstali ze swoich foteli i opuścili estradę. I tak zakończyło się to – bez przesady – historyczne spotkanie. Kantor przestał być profesorem, niebawem po nim także Kisielewski, a zapewne w skali kraju nie jeden jeszcze wykładowca. Ponieważ w żadnej dotąd monografii i biografii nie znalazłem wzmianki o tym poznańskim wydarzeniu, dlatego opisałem je tak szczegółowo. Uważam, że jest tego warte.

Ciężkie miesiące

Kiedy słyszę, jak młodzi ludzie skarżą się na trudne warunki materialne, w jakich obecnie muszą studiować, opowiadam im o tym, jak żyłem w ostatnich miesiącach 49 roku. W Łodzi poza pensją w filharmonii dorabiałem graniem na rozmaitych koncertach, od audycji szkolnych po występy na licznych okazjonalnych imprezach, głównie na akademiach, zarówno w charakterze solisty jak i członka tria lub kwartetu. Byłem bowiem w Łodzi jedynym wówczas koncertującym wiolonczelistą. W Warszawie natomiast, która dopiero zaczynała się odbudowywać, było znacznie mniej imprez, a za to o wiele więcej studentów klasy wiolonczeli. Tak więc zabrakło mi dodatkowych zarobków i musiała wystarczyć jedna pensja w operze. Tzw. życie na dwa domy oraz niemal cotygodniowe podróże z Warszawy do Łodzi jeszcze bardziej uszczuplały budżet. Moja ówczesna żona jako początkująca dentystka w przychodni stomatologicznej zarabiała znacznie mniej ode mnie. A na naszym utrzymaniu było dziecko i zajmująca się nim teściowa. Można zatem powiedzieć bez przesady, że żyliśmy na skraju biedy.

Dom, w którym mieszkałem w Warszawie w czasie okupacji, został spalony. Ponieważ należał do spółdzielni pracowników przedwojennego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, którego urzędniczką była moja ciotka, po wojnie Ministerstwo Oświaty dało pieniądze na odbudowę budynku, pod warunkiem, że połowę otrzymają dawni członkowie, a połowę obecni pracownicy. Okazało się, że dokumenty spółdzielni ocalały w jakimś archiwum, a wśród nich notarialnie potwierdzony testament ciotki, ustalający moją siostrę Marię jedyną spadkobierczynią. Marysia otrzymała „połówkę" dawnego trzypokojowego mieszkania, czyli duży pokój z dużą kuchnią, małym przedpokojem i ubikacją bez łazienki. Jedynym źródłem wody był kran nad zlewem w kuchni. Ponieważ Marysia mieszkała w Łodzi, odstąpiła lokal dwóm z pomiędzy naszych licznych ciotek. Kiedy wynikła sprawa mojego przeniesienia do Warszawy, uzgodniono, że ciotki nadal będą zajmowały pokój, ale w kuchni rozstawi się polowe łóżko, na którym będę spał. Gdzie umieściłem swoje ubrania, nuty i wiolonczelę – nie pamiętam. Kuchnia była zatem nie tylko moją sypialnią, pomieszczeniem do nauki, lecz także wspólną łazienką dla dwóch starszych pań i dla mnie. Muszę zresztą przyznać, że w podobnych warunkach żyła wówczas większość mieszkańców Warszawy.

Problem jedzenia rozwiązałem w następujący sposób: w niedzielę wieczorem gotowałem w dużym garnku na wędzonce groch i ziemniaki. Musiało to starczyć na trzy dni, czyli dziewięć posiłków. Na śniadanie zjadałem talerz grochówki, zagryzając znaczną ilością chleba. Na obiad tę samą grochówkę z dodatkiem kawałka boczku i ziemniaków. A na kolację znowu tylko talerz grochówki z chlebem. Na następne trzy dni: czwartek, piątek i sobotę gotowałem w środę wieczorem tzw. zalewajkę czy jak kto woli – żurek. Tym razem „dla odmiany" na kiełbasie. I znowu powtarzała się podobna kolejność: na śniadania i kolacje – żurek z chlebem, a na obiady żurek z kiełbasą i ziemniakami. Zapewniam, że tak było naprawdę. W sobotę wieczorem, o ile nie grałem na przedstawieniu w operze, wsiadałem do pociągu i jechałem do Łodzi. Wtedy w niedzielę zjadałem normalny obiad, a wieczorem wracałem do Warszawy. I tak miesiąc po miesiącu do świąt Bożego Narodzenia, na które oczywiście pojechałem do domu. Kolacja wigilijna była oczywiście postna, ale obfita. W pierwszy dzień świąt zmartwiona matka pokazała nam kupioną na rynku dużą, parokilową puszkę szynki, której zawartość – mówiąc delikatnie – niezbyt przyjemnie pachniała. Matka postanowiła całą szynkę wyrzucić, słusznie uważając, że jedzenie zepsutego mięsa z konserwy może być wręcz niebezpieczne. Ja zaś na widok takiej ilości bądź co bądź wysokogatunkowego produktu, oświadczyłem, że zabiorę szynkę do Warszawy. Pomimo protestów rodziny, nie zrezygnowałem. W Warszawie szynkę pokroiłem na części, pomimo że zapach był coraz bardziej „odurzający", zapakowałem w gruby papier i położyłem na szerokim parapecie za oknem. Zima była mroźna i szynka przechowywała się znakomicie. Liczyłem, że kilkunastostopniowy mróz zabije bakterie i zapobiegnie dalszemu psuciu się mięsa. Dzięki temu pomysłowi, przez parę tygodni miałem wzbogaconą dietę. Teraz mogłem na śniadania i kolacje jeść do chleba zamrożoną szynkę. Daję słowo, że w tym stanie nie śmierdziała! I jakoś udało mi się uniknąć zatrucia. Niestety w połowie stycznia szynka się skończyła i musiałem wrócić do poprzedniego sposobu odżywiania. Niebawem zacząłem odczuwać skutki, ale to był już rok 1950.

Praca w operze

We wrześniu rozpocząłem pracę w orkiestrze Opery Warszawskiej, która mieściła się w budynku, nazywanym przed wojna „Romą". Należał – o ile mnie pamięć nie myli – do kurii biskupiej i stąd nazwa. Do czego służył przed wojną – nie wiem. W roku – kolejne zastrzeżenie „jeśli dobrze pamiętam" – 1947 rozpoczęła działalność instytucja zwana Warszawską Operą i Filharmonią. Orkiestra, niezbyt liczna, cztery razy w tygodniu grała w kanale jako zespół operowy, a raz w miesiącu występowała na scenie na koncertach symfonicznych. Górzyński zgodził się, abym z uwagi na studia, nie musiał grać na tych koncertach. Kiedy rozpocząłem pracę, trwały już próby do pierwszej w sezonie 49/50 premiery – „Goplany" Żeleńskiego. Raz pozwoliłem sobie powiedzieć głośno, że nie podoba mi się ta muzyka. Górzyński stwierdził wówczas, że trzeba cenić własnych narodowych kompozytorów. Być może miał rację, ale ja zawsze wolałem do każdej twórczości przykładać jedną miarę. Zwłaszcza, że w sposób właściwy dla młodości, nie chciałem uwzględniać żadnych okoliczności łagodzących.

Po premierze „Goplany", która całkowicie zatarła się w mojej pamięci, rozpoczęły się próby do „Eugeniusza Oniegina". Prowadził je Mieczysław Mierzejewski. Był wyjątkowo kulturalny i – jak mi się wówczas wydawało – pozbawiony temperamentu. O jego

dyrygowaniu napiszę osobno, kiedy będę omawiał dyrygentów, z którymi spotkałem się w życiu. Na próbach Mierzejewskiego panował bałagan, a niektórzy muzycy odnosili się do niego w ostentacyjnie lekceważący sposób. W parę tygodni po rozpoczęciu pracy byłem świadkiem obrzydliwego incydentu. Pierwszą waltornię grał muzyk nazwiskiem Walczak. Jak mi jeszcze w Łodzi opowiadał Kazio, był to człowiek prymitywny, ale obdarzony niewątpliwymi zdolnościami. Nie miał żadnego muzycznego wykształcenia poza tzw. szkołą elewów w wojsku. I prosto z wojskowej orkiestry przeszedł w latach trzydziestych do Filharmonii Warszawskiej. Tam zasłynął znakomitymi wykonaniami, m.in. był podobno jedynym waltornistą, który na konkursie chopinowskim potrafił zagrać wszystkie „hejnały" z koncertu f-moll bez żadnego „kiksu". W sposobie bycia, co zauważyłem już na pierwszych próbach, był niesympatyczny, arogancki i wręcz ordynarny. Na szczęście nie miałem z nim bliższych kontaktów. A w ogóle w czasie całej pracy w orkiestrze opery nie nawiązałem z nikim koleżeńskiej znajomości. Byłem chyba najmłodszy wiekiem i ponadto jedynym studentem. Orkiestra bowiem składała się przeważnie z muzyków dwóch przedwojennych warszawskich orkiestr: filharmonii i opery a zatem o wiele starszych ode mnie. Czułem się wśród nich obcy i myślę, że i oni traktowali mnie podobnie. W tym miejscu muszę wyjaśnić, że przed wojną w obu tych orkiestrach znaczny odsetek stanowili Żydzi, grający przeważnie pierwsze głosy. Większość z nich zginęła, przeżyli tylko ci nieliczni, którzy zdążyli uciec we wrześniu 39 roku na wschód. Kiedy po wojnie zaczęła działać w Warszawie wspólna orkiestra filharmoniczno - operowa, w jej skład wchodzili głównie polscy muzycy oraz paru ocalałych muzyków żydowskich.

Po tej dygresji wracam do incydentu. Zbliżał się koniec próby, a Mierzejewski chciał powtórzyć jakiś fragment. Na to odezwał się aroganckim tonem Walczak:

- Koniec próby.

Dosłownie zdrętwiałem. Mierzejewski spokojnie powiedział:

- Panie Walczak, proszę nie przeszkadzać.

Walczak jeszcze bardziej niegrzecznie:

- Za długo pan próbuje.

Mierzejewski nie wytrzymał. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy widziałem, że nie mógł się opanować. Powiedział podniesionym głosem:

- A pan jest chamem!

Wtedy Walczak wstał i wyszedł, a za nim znaczna część muzyków, głównie z grupy dętej. Dalszy ciąg był dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Delegacja orkiestry poszła do Górzyńskiego i oświadczyła, że muzycy zjawią się przed wieczornym przedstawieniem, ale nie wejdą do kanału dopóki „dyrektor Mierzejewski nie przeprosi publicznie kolegi Walczaka". I Górzyński przekonał Mierzejewskiego, aby to zrobił. Byłem świadkiem tego upokorzenia, co stało się dla mnie kolejną cenną lekcją. Zrozumiałem, że nie wolno się unosić w kontaktach z orkiestrą i że wygrywa nie ten, kto ma rację, ale ten kto dysponuje poparciem grupy. I że przede wszystkim nie wolno używać tzw. obelżywych słów.

Wracam jednak do mojej pracy w Operze. Z solistów pamiętam tylko trójkę, co świadczy jak małą wagę przywiązywałem do tej pracy. W „Goplanie" podobała mi się Alina Bolechowska, o której napiszę osobno w rozdziale poświęconym „solistom mojego życia estradowego". W „Eugeniuszu Onieginie" natomiast wyróżniali się Maria Fołtyn (Tatiana) i Bolesław Jankowski (Oniegin). W późniejszych latach nie raz się z nimi spotykałem przy różnych okazjach, co skrzętnie opiszę. Natomiast całkowicie zapomniałem nazwisko tenora, który śpiewał partię Leńskiego, co dowodzi, że był raczej słaby. Podobnie ze wszystkimi innymi licznymi wykonawcami.

Granie w kanale orkiestrowym nie dostarczało mi żadnej satysfakcji i do dzisiaj współczuję muzykom z orkiestr operowych. Byłem natomiast świadkiem zabawnych lub wręcz komicznych wypadków na scenie i żałuję, że z braku miejsca nie mogę tutaj o nich opowiedzieć. Muszę natomiast uczciwie przyznać, że poznałem mniej więcej pracę w operze, różniącą się znacznie od pracy w filharmonii. Przydało się to później, kiedy współpracowałem z teatrami operowymi i operetkowymi.

I na zakończenie jeszcze parę zdań o grupie wiolonczel. Była naprawdę słaba. Paru panów w „dobrze" średnim wieku grało brzydkim dźwiękiem i słychać było, że od wielu lat nie ćwiczą. Stanowisko koncertmistrza piastował niejaki pan Kowalski, który – jak mi powiedział Kazio – był jednym z najgorszych wiolonczelistów w orkiestrze przedwojennej Opery Warszawskiej. A teraz z braku lepszego wiolonczelisty zajął miejsce koncertmistrza. Nie dość, że miał słaby, jękliwy dźwięk, ale w dodatku niemiłosiernie fałszował. Parę miesięcy później orkiestrze zaproponowano nagranie dla radia paru popularnych utworów, w tym uwertury „Chłop i poeta". Znałem ją z czasów okupacji. Uwertura rozpoczyna się dużym i trudnym solo wiolonczeli. Przypuszczam, że trudniejszym nawet niż znane solo z uwertury „Wilhelm Tell.". Zaczęliśmy grać i okazało się, że p. Kowalski nie potrafi wykonać swojej partii. Po kolejnej nieudanej próbie wszyscy zaczęli się złościć: dyrygent, technik nagrania i przede wszystkim muzycy orkiestry. Trzeba było zrobić przerwę i wówczas parę osób zapytało czy nie chciałbym tej „solówki" zagrać. Przyznaję, że miałem złośliwą satysfakcję. Przez chwilę zastanawiałem się nawet czy nie zaryzykować, ponieważ to solo grałem wielokrotnie w zespołach kawiarnianych w czasie okupacji. Odpowiedziałem jednak, że od paru miesięcy nie ćwiczyłem, a ostatni raz grałem tę uwerturę przed powstaniem i nie mogę podjąć się wykonania bez uprzedniego przygotowania. I nie mogłem sobie odmówić dodania: „Nie będę się przecież kompromitował". Oczywiście uwertury nie nagraliśmy, co oznaczało zmarnowanie czasu i pieniędzy.

Warszawska PWSM

W porównaniu z łódzką warszawska uczelnia wydała mi się mała. Kiedy składałem papiery, pojawił się rektor Stanisław Kazuro. Zrobił na mnie wrażenie uroczego staruszka (miał już ponad sześćdziesiąt lat). Wiedziałem od Kazia, że był przed wojną zapalonym działaczem i dobrym organizatorem. Napisał podręcznik solfeżu, który ojciec uważał za zbyt łatwy. Słyszałem również, że komponował i opracowywał piosenki dla dziecięcych chórów. Znacznie później przeczytałem w encyklopedii, że to dzięki jego energii powstała w Warszawie PWSM. Od rektora Kazury dowiedziałem się, że profesorem dyrygentury jest Faustyn Kulczycki. Kiedy się do niego zgłosiłem, wydawał mi się – według ówczesnego młodzieżowego określenia – ciapciakiem. Na pierwszej lekcji pojawiło się dwóch studentów pierwszego roku o nazwiskach Gąsiorowski i Wereszczyński (imion nie mogę sobie przypomnieć) oraz student, tak jak ja, ostatniego roku, Zdzisław Bytnar. Kiedy przy akompaniamencie pianistek zadyrygowałem część jakiejś symfonii, którą przerabiałem w poprzednim roku w Łodzi, prof. Kulczycki powiedział „dziękuję" i poprosił abym następnego dnia przyszedł do niego. Zgłosiłem się o wyznaczonej godzinie. Kulczycki zamknął się ze mną w gabinecie i powiedział coś, czego nigdy przedtem ani nigdy potem nie usłyszałem.

- Wiem, że niczego nie potrafię pana nauczyć. Musi pan jednak przychodzić raz w tygodniu na lekcje, aby „przedyrygować" kolejno wszystkie symfonie Beethovena. A na wiosnę otrzyma pan dyplom.

Potem ze smutnym uśmiechem uścisnął mi dłoń. Muszę przyznać, że swoją uczciwością zdobył moją sympatię i szacunek. Później słyszałem, że ktoś w Ministerstwie załatwił mu zaproszenie na koncert do Filharmonii w Lublinie. Już na pierwszej próbie do tego stopnia nie dawał sobie rady, że muzycy odmówili grania. Kiedy jeszcze później sam pojechałem na gościnny występ do Lublina, na miejscu opowiedziano mi ze szczegółami ten incydent.

Przez cały rok przychodziłem na lekcje. Patrzyłem na to, co robili pozostali trzej studenci. Zdzisławowi Bytnarowi, podobnie jak mnie, profesor nic nie mówił. Na kolejnych lekcjach i on, i ja dyrygowaliśmy jedną lub więcej części wybranych przez siebie symfonii Beethovena, Haydna, Mozarta, Brahmsa. Czasem jakiś poemat symfoniczny lub uwerturę. Potem odbywała się dyskusja, w której profesor prawie nigdy nie zabierał głosu. Pozostali dwaj studenci o nazwiskach Gąsiorowski i Wereszczyński byli dopiero na I roku. Według oceny mojej i Bytnara, nie mieli jakichkolwiek zdolności dyrygenckich. „Machali" rękami bez sensu, a biedny profesor próbował udzielać im mało profesjonalnych wskazówek. Często zdarzało się, że kiedy prosili go o pomoc przy rozwiązywaniu jakiegoś technicznego problemu, on zwracał się o radę do Bytnara lub do mnie. Tak więc w sensie rozwoju dyrygenckiego rok ten byłby niemal całkowicie zmarnowany, gdyby nie zdobywanie doświadczenia w pracy operowej, „podglądanie" Górzyńskiego i Mierzejewskiego na próbach i przedstawieniach. Również możliwość słuchania raz w miesiącu koncertów symfonicznych z lepszymi i gorszymi dyrygentami stanowiła rodzaj lekcji. Ważne były również długie i burzliwe dyskusje z Bytnarem, starszym o parę lat i mającym większe doświadczenie. Opowiadał mi, że dyrygował już jakimś przedstawieniem operowym i występował jako pianista na koncertach symfonicznych. Miał wręcz fenomenalną pamięć. Dwa razy w roku kupował rozkład jazdy PKP i w ciągu tygodnia potrafił całkowicie się go nauczyć. Na jego prośbę pytałem o jakieś skomplikowane połączenia, np. z małego miasteczka pod Białymstokiem do innego małego miasteczka na Dolnym Śląsku. Zdzisio z pamięci podawał wszystkie przesiadki z dokładnymi czasami odjazdów i przyjazdów! Nigdy przedtem ani potem nie spotkałem człowieka o takich możliwościach. Podobnie imponująca była jego pamięć muzyczna. Na lekcjach wszystkie utwory dyrygował bez partytury. Nasze burzliwe dyskusje dotyczyły, ogólnie mówiąc, interpretacji. Zdzisio był ode mnie spokojniejszy, ostrożniejszy, bardziej zrównoważony. Ja już wówczas miałem swoją wizję utworu, jego temp, artykulacji, dynamiki. Być może czasami niezgodną z intencjami kompozytora, wyrażonymi – bądź co bądź – w wydrukowanej partyturze. A mój starszy kolega konsekwentnie przestrzegał zapisu. Zdarzyło się raz, że na ulicy w ferworze dyskusji mówiliśmy podniesionymi głosami i wymachiwaliśmy rękami. Jakaś kobieta na nasz widok uciekła przestraszona na drugą stronę.

O dalszych – niestety smutnych – losach Zdzisia opowiem przy innej okazji. Natomiast teraz opiszę, co zdarzyło się ze wspomnianymi wyżej studentami I roku – Gąsiorowskim i Wereszczyńskim. Wybiegnę nieco w przyszłość, ale historia ich egzaminów dyplomowych warta jest relacji, gdyż stanowi ponurą ilustrację sytuacji politycznej w latach pięćdziesiątych.

W roku 1952 Witold Rowicki objął klasę dyrygentury w warszawskiej PWSM. Po Kulczyckim przejął Gąsiorowskiego i Wereszczyńskiego. Już wtedy prowadzili jakąś orkiestrę milicyjną czy może nawet Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Kiedy zbliżał się koniec studiów, Rowicki oświadczył ówczesnemu rektorowi (był nim chyba wtedy Stanisław Szpinalski), że nie może obu studentów dopuścić do egzaminu dyplomowego, ponieważ ich zdolności i umiejętności są całkowicie niewystarczające. Tutaj uwaga na

marginesie: w tamtych czasach dyplomanci mieli przywilej dyrygowania orkiestrą miejscowej filharmonii na otwartym, afiszowanym koncercie symfonicznym. Rowicki stwierdził, że ani Gąsiorowski ani Wereszczyński nie potrafią poprowadzić jakiejkolwiek próby, a tym bardziej koncertu. Senat poparł stanowisko pedagoga i obu studentom oświadczono, że nie otrzymają dyplomów. Ponieważ złożyli odwołania od tej decyzji, zorganizowano – co było wydarzeniem bezprecedensowym – egzamin przy pianistach zamiast orkiestry. W obecności komisji w zamkniętej klasie mieli zadyrygować jakieś symfonie. Za ten egzamin dostali stopnie niedostateczne, co było równoznaczne z nieotrzymaniem dyplomu. Uczelnia uznała sprawę za zamkniętą. Ale oto po paru dniach wezwano rektora na rozmowę w… Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Tam oznajmiono mu, że egzamin obu dyplomantów odbędzie się w gmachu Ministerstwa i będą dyrygować orkiestrą, którą na stałe prowadzą. Rektor przekazał to Rowickiemu. Ten powiedział, że nie pójdzie na taką farsę, ale rektor nie przyjął odmowy. I prywatnie doradził mu, że jeśli nie pójdzie, straci nie tylko pracę, ale może spotkać go coś znacznie gorszego.

Egzamin odbył się zgodnie z życzeniem złowrogiego a wszechwładnego Ministerstwa. Obok komisji, której przewodniczył rektor, siedziało paru wysokich funkcjonariuszy w cywilu i mundurach KBW. Obaj dyplomanci zadyrygowali jakieś marsze, opracowania pieśni żołnierskich i melodii ludowych, które wykonywali na pochodach i innych uroczystościach. Nie muszę dodawać, że obaj otrzymali dyplomy z wynikiem dostatecznym. Co dalej robili – nie wiem, ponieważ nigdy więcej nie spotkałem się z ich nazwiskami. W każdym razie na pewno nie zostali dyrygentami.

Tę wręcz niewiarygodną historię słyszałem z ust samego Rowickiego i dlatego sądzę, że jest całkowicie prawdziwa.

W warszawskiej PWSM poznałem wielu przyszłych muzyków orkiestrowych, śpiewaków, pedagogów. Będę o nich jeszcze nie raz pisał. Jednak poza Bytnarem z nikim nie nawiązałem bliższych stosunków. Przypuszczam, że przyczyną była ogólna sytuacja w Warszawie. Pomimo postępującej odbudowy większa część miasta leżała w gruzach. Profesorowie i studenci mieszkali w odległych nieraz peryferyjnych dzielnicach. Po lekcjach i wykładach każdy śpieszył do domu, nie było tego, co nazywa się życiem akademickim, a co znałem z Łodzi. Bardzo żałuję, że nikogo nie zdążyłem bliżej poznać. I zapewne dlatego po uzyskaniu dyplomu niemal całkowicie straciłem kontakt z tymi, z którymi studiowałem cały rok. Pomimo że mieszkałem nadal w Warszawie aż do 1957 roku.

Przygoda w pociągu

Aby zakończyć wspomnienia 49 roku, opiszę jeszcze niezwykłą przygodę w pociągu. Zdaję sobie sprawę, że może brzmieć niewiarygodnie i bardziej przypominać scenę z filmu niż rzeczywiste zdarzenie. Zapewniam jednak, że jest całkowicie prawdziwa.

W tamtych czasach pociągi były przepełnione, zwłaszcza te jadące w stronę Ziem Odzyskanych. Pomimo upływu prawie pięciu lat od zakończenia wojny, ludzie nadal szukali najlepszego miejsca do zamieszkania, odwiedzali odnalezione rodziny i wyprawiali się po tzw. szaber. Ponieważ moje lekcje i wykłady trwały na ogół w soboty do popołudnia, po ich zakończeniu pędziłem z alei Ujazdowskich na Ochotę, zostawiałem nuty i zeszyty, a potem biegłem na Dworzec Główny, aby „złapać" pociąg pośpieszny jadący przez Łódź do Wrocławia. Zdarzyło się parę razy, że w ostatniej chwili wpadałem na peron i wskakiwałem

do już ruszającego pociągu. I tak właśnie było w pewną listopadową lub grudniowa sobotę. Kiedy wbiegłem na peron, usłyszałem gwizdek kierownika ruchu. Pociąg ruszył. Zacząłem go gonić. Wskoczyłem na stopień ostatniego wagonu, jadącego coraz szybciej pociągu. Stojący na korytarzu ludzie zobaczyli mnie i pomogli w otwarciu drzwi. Wdrapałem się do środka, ciężko dysząc. Oczywiście natychmiast rozpoczęła się rozmowa. Starsze osoby krytykowały mój postępek, mówiąc: „Co pan zrobił?", „Mógł pan wpaść pod koła", a młodsi z podziwem w głosie komentowali: „Ale miał pan tempo", „Udało się panu" itd. Ciągle ciężko oddychając rozejrzałem się dookoła. W świetle słabej żarówki zobaczyłem, że cały korytarz był zapchany ludźmi. Najbliżej mnie stało dwóch młodych mężczyzn, ubranych w kurtki.

Byli wyraźnie podpici. Początkowo zamierzałem przepchnąć się jakoś do środka wagonu, ale nagle usłyszałem ich rozmowę. Z lekka bełkocząc rozważali, w jaki sposób dostaną się z Wrocławia do granicy. Co pewien czas swój dyskurs przerywali śpiewaniem partyzanckich piosenek. Stojący obok ludzie zaczęli się odsuwać, na ile pozwalał panujący tłok. Młodzieńcy podniecali się nawzajem śpiewaniem i snuciem planów przekroczenia granicy. Jak wynikało z ich słów, zamierzali uciec do Niemiec. Zastanawiali się na głos czy lepiej przez Czechosłowację czy przez nowo powstałą NRD.

Sytuacja stawała się niebezpieczna. Umilkły rozmowy. Ludzie patrzyli na siebie z przestrachem. Nawet słuchanie takich słów mogło grozić szykanami. Co będzie, jeśli ktoś na najbliższej stacji w Koluszkach wezwie milicję? W pewnym momencie młodzi mężczyźni rozpięli kurtki i wówczas zobaczyłem zatknięte za pas pistolety. Zrozumiałem, że jeśli inni pasażerowie spostrzegą broń, może wybuchnąć panika, której skutki mogłyby być groźne. Do dzisiaj nie wiem, co mnie „tknęło", ale powiedziałem do młokosów twardym głosem: „Zapiąć kurtki, nie pokazywać broni, przejść do środka pociągu i cicho siedzieć do Wrocławia!" Poskutkowało. Widocznie smarkacze wzięli mnie za ukrywającego się oficera z podziemia. Wyprężyli się, zapięli kurtki i zaczęli przepychać się przez tłum w stronę następnych wagonów. Po chwili zniknęli z oczu. Otaczający mnie pasażerowie, unikając mojego wzroku, zaczęli ze sztucznym ożywieniem rozmawiać. A ja dopiero później zdałem sobie sprawę, że postąpiłem być może szlachetnie, ale jednocześnie nieroztropnie. Przecież ci podpici młodzieńcy mogli całkiem inaczej zareagować. Mogli mnie pobić, a nawet postrzelić. Nigdy nie wiadomo czy nie ulegliby panice. Takie refleksje przyszły jednak później, a w tamtym momencie działałem pod wpływem impulsu. Musiało minąć dużo lat zanim się „wyleczyłem" z tego rodzaju reakcji.

Jeszcze gwałtowniej zareagowałem w tym samym mniej więcej okresie w Warszawie. Z trudem wepchnąłem się do przepełnionego ponad wszelką miarę autobusu. Za mną na stopniach uczepiło się poręczy jeszcze dwóch rosłych kilkunastolatków. Na następnym przystanku oczywiście nikt już nie mógł wsiąść. Na kolejnym musiałem wysiąść i powiedziałem „przepraszam". A na to jeden z chłopaków: „Co, zajmować miejsce tylko na dwa przystanki? I zaparł się w przejściu. Nie zastanawiając się pchnąłem go obiema rękami w piersi. Zeskoczył tyłem ze stopnia i omal nie upadł. Jego kolega skoczył za nim i podtrzymał. Wysiadłem i zobaczyłem na ich twarzach niepewność: zaatakować mnie czy jechać dalej. Zapewne na widok malującej się na mojej twarzy wściekłości zrezygnowali i wskoczyli do ruszającego autobusu.

Kiedy w tamtych czasach wpadałem w furię, czułem łaskotanie w gardle i czerwone płatki zaczynały mi latać przed oczami. W takim stanie przestawałem panować nad sobą i działałem bez zastanowienia. Pamiętam, jak moja pierwsza żona nie chciała zażyć

przepisanych jej przez lekarza kropli. Cisnąłem wówczas kieliszek przez całą kuchnię do zlewu, roztrzaskując go na kawałki. Kiedyś, już jako dyrygent, na próbie z wściekłości złamałem ołówek. Innym razem w rozmowie z jakimś szczególnie głupim urzędnikiem Komitetu Miejskiego PZPR w Szczecinie, do którego nie docierały żadne racjonalne argumenty, rzuciłem słuchawkę. Mówiąc nawiasem, nigdy mi tego nie zapomniał. Dopiero w latach sześćdziesiątych znajomy lekarz ostrzegł, że jeśli nie nauczę się panować nad takimi gwałtownymi odruchami – „wylądуję w szpitalu albo w więzieniu". I doradził, abym próbował policzyć do dziesięciu. Zastosowałem się do tej rady i od tego czasu napady furii uległy złagodzeniu.

Rozdział XVIII

ROK DYPLOMOWY

Druga praca

Było to bodajże w końcu lutego lub na początku marca 50 roku, gdy pochylając się podczas porannego obmywania twarzy po goleniu – dostałem krwotoku z nosa. Nie przejąłem się tym, bo takie przypadłości miałem czasami na wiosnę także w minionych latach. Kiedy jednak zaczęło się to powtarzać dzień po dniu, poszedłem do lekarza. Ten popatrzył na mnie krytycznie, „opukał" i „osłuchał" a następnie „zważył". Waga pokazała 56 kg, co przy moim wzroście 1,72 m. było o wiele za mało. Lekarz kazał mi usiąść i patrząc na mnie badawczo, zapytał:

- Jak się pan odżywia?

Wyjaśniłem w miarę szczegółowo moją sytuację finansową oraz sposób odżywiania. Kolejne pytanie dotyczyło studiów. Odpowiedziałem, że w czerwcu mam dyplom. A wtedy lekarz ostrym tonem oświadczył:

- Ma pan niebezpieczną niedowagę spowodowaną stałym, wielomiesięcznym niedożywianiem. Jest pan wyraźnie osłabiony. Jeżeli chce pan zrobić dyplom i w ogóle uniknąć poważnej choroby, musi pan natychmiast zmienić sposób odżywiania. Ilościowo i jakościowo. Musi pan zróżnicować i wzbogacić dietę. Jeść codziennie obfity obiad, koniecznie z surowymi i gotowanymi jarzynami. Również codziennie będzie pan zjadał całą pomarańczę i pół cytryny! Można je kupić w niektórych „Delikatesach". A ja przepiszę panu tabletki z żelazem i fosforem.

Potem pomyślał przez chwilę i dodał łagodniejszym tonem:

- A skąd pan na to wszystko weźmie pieniądze, to już nie moja sprawa.

Schowałem receptę i wyszedłem zmartwiony. Wiedziałem, że nie mam szans, aby spełnić polecenia lekarza. Oczywiście, mogłem zwrócić się o pomoc do rodziców i Marysi, mojej matki chrzestnej. Ale tej ewentualności nie brałem pod uwagę, pomimo że ojciec, matka i Marysia znajdowali się jak na owe czasy, w bardzo dobrej sytuacji finansowej. Wszyscy pracowali tylko na siebie. Wandzia była na stypendium w Budapeszcie i nawet gdyby chcieli, nie mogli jej pomagać, ponieważ w tamtych czasach nie istniał prywatny transfer pieniędzy. Ja jednak po zawarciu małżeństwa, nie oczekiwałem od rodziców żadnej pomocy finansowej. Byłoby to poniżej mojej godności. Uważałem, że po założeniu własnej rodziny nie wypada prosić rodziców o jakąkolwiek pomoc. Więcej – nie ma się do tego moralnego prawa. Nawet w przypadku zagrożenia zdrowia. Mogę zresztą dodać, że do dzisiaj tego przekonania nie zmieniłem.

Tak więc znalazłem się w sytuacji bez wyjścia, z jednej strony perspektywa utraty zdrowia, co uniemożliwi zakończenie studiów, a z drugiej - brak pieniędzy na realizację koniecznych wskazań lekarskich. Ale – jak wiadomo – istnieją tzw. szczęśliwe zbiegi

okoliczności. Inni nazywają to szczęśliwym zrządzeniem losu lub z dużej litery – Losu. Moja matka powiedziałaby zapewne, że to Opatrzność nade mną czuwała. Kiedy bowiem następnego dnia spotkałem Bytnara, ten powiedział mi, że otrzymał propozycję pracy w charakterze asystenta dyrygenta w organizowanym właśnie małym zespole orkiestrowym dla potrzeb Polskiego Filmu Dokumentalnego. Być może, że instytucja ta, mieszcząca się – o ile dobrze pamiętam – przy ulicy Chełmskiej, nazywała się inaczej, np. Wytwórnia Filmów Dokumentalnych. Dodał, że pilnie potrzebują dobrego, doświadczonego wiolonczelisty i zapytał czy nie znam kogoś takiego, bo wątpi czy ja tuż przed dyplomem zdecydowałbym się na drugą pracę. Chwyciłem go za ramię i bez zastanowienia krzyknąłem:

- Wprost przeciwnie! Biorę tę pracę!
- A dasz radę? – zapytał zdziwiony Bytnar.
- Muszę – powiedziałem zdecydowanie.

I wyjaśniłem mu moją sytuację, którą bez przesady można było określić jako nad wyraz trudną. Tak więc zostałem w marcu członkiem zespołu mającego nagrywać na taśmy muzykę na potrzeby krótkometrażowych filmów dokumentalnych i cotygodniowych kronik filmowych. Dotychczas jako podkładów muzycznych używano przeważnie przedwojennych płyt, co było niedogodne technicznie i kiepskie brzmieniowo. Nie pamiętam, ile osób liczył zespół, przypuszczam że był to rodzaj małej orkiestry symfonicznej, w razie potrzeby powiększanej o doraźnie zapraszanych dodatkowych instrumentalistów. Ile osób liczyła grupa wiolonczel – także nie pamiętam. A może w ogóle byłem sam jeden? Dyrygentem został chyba Tadeusz Wilczak, wyjątkowo sympatyczny i kulturalny pan w średnim wieku, pozbawiony temperamentu i przede wszystkim siły do realizacji własnych koncepcji artystycznych. Pamiętam, jak jeszcze w Łodzi prowadził próby do koncertu i nie potrafił wyegzekwować od orkiestry swoich zamierzeń. Bardzo mnie to zdziwiło i zapytałem go w przerwie, dlaczego z większym uporem nie powtarza pewnych fragmentów utworu, aby uzyskać pożądany przez siebie wynik. Odpowiedział zrezygnowanym głosem: „Jak już zostanie pan dyrygentem, to przekona się pan, że nasza praca polega głównie na kompromisach".

Z pasją właściwą młodemu wiekowi odpowiedziałem, że ja tak postępować nie będę. Wilczak bez słowa pokiwał smutnie głową. Potem w czasie mojej trwającej ponad pół wieku pracy dyrygenckiej przekonałem się, że na próbach często trzeba iść na kompromis, uwzględniając realne możliwości lub raczej niemożliwości zespołu lub pojedynczych muzyków. Ale są pewne pryncypia wykonawcze, z których nie powinno się rezygnować. Innymi słowy trzeba szukać tzw. złotego środka pomiędzy ideałem a koniecznością kompromisu. A jak często i czy w ogóle udaje się go znaleźć, to już całkiem odrębna sprawa.

Bytnar jako asystent miał obowiązek znajdowania odpowiednich utworów i wypożyczania z różnych źródeł materiałów nutowych, co w Warszawie po zniszczeniach wojennych nie było bynajmniej łatwe. Czasami także zastępował Wilczaka przy pulpicie dyrygenckim, kiedy ten wyjeżdżał do innych miast na koncerty i przedstawienia operowe. Po paru tygodniach wpadłem na pomysł, aby każdy przygotowany utwór wykorzystać parokrotnie. Jak wynikało z moich obserwacji, na kronikach i filmach dokumentalnych potrzeba było jako ilustracji muzycznych odcinków o różnych czasach trwania: od kilkudziesięciu sekund do paru minut. Reżyser czy montażysta w zależności od długości obrazu, „przycinał" muzykę, przerywając ją bez sensu w przypadkowym miejscu. Zaproponowałem zatem Wilczakowi, aby z każdego utworu nagrać parę wersji, krótszych i dłuższych. Zaakceptował

ten pomysł, a orkiestra przyjęła go ze zrozumiałym entuzjazmem. Raz przygotowany utwór mogliśmy nagrywać w paru wersjach, co zaoszczędzało nam wiele godzin. I w ten sposób postępowaliśmy już do końca mojej pracy, to jest do czerwca. Nie pamiętam jednak czy byliśmy zatrudnieni na etatach z normą nagrywania, jak zespoły radiowe, czy płacono nam za minuty nagranych taśm.

Z pracą w Wytwórni Filmów Dokumentalnych wiążą się dwa epizody, które – jak sądzę – warto utrwalić. Oba były w pewnym sensie zabawne, ale mogły mieć dla mnie przykre konsekwencje.

Pewnego dnia, w przerwie nagrania zostałem z paroma kolegami w sali, która pełniła rolę studia. Chciałem opowiedzieć im parę ostatnich politycznych dowcipów. Oczywiście zakazanych. W tamtych czasach (przypominam: rok 1950 – szczyt stalinowskiego terroru!) można było zostać aresztowanym za opowiadanie politycznych dowcipów. A przynajmniej stracić pracę lub zostać wyrzuconym z uczelni. Ale ja, jak wielu innych Polaków, nigdy nie rezygnowałem z opowiadania dowcipów. Znacznie później, bo w roku 1968 miałem z tego powodu kłopoty, co w odpowiednim miejscu opiszę.

Kiedy skończyłem opowiadanie dowcipów i zamierzałem opuścić salę, z tzw. mikserki wybiegło paru techników, śmiejąc się na cały głos. Opowiedzieli mi, „zarykując się" ze śmiechu, że wszystkie dowcipy słyszeli, ponieważ stałem pod otwartym mikrofonem. „Mogliśmy je nagrać!", wołali. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jakie mogłyby być konsekwencje. I od tego czasu nigdy więcej nie rozmawiałem w jakimkolwiek pomieszczeniu, w którym znajdował się mikrofon. Nagrałem w życiu setki programów, wywiadów i wypowiedzi radiowych i telewizyjnych. Ale prywatnie rozmawiałem z dziennikarzami dopiero po wyłączeniu dużej czy małej aparatury nagrywającej.

Drugi epizod miał miejsce w portierni wytwórni. W tamtych czasach portiernia była rodzajem wartowni. Za wysoką ladą stał uzbrojony w karabin strażnik w mundurze. Szczególnie w takich instytucjach jak wytwórnia filmowa. Każdy z zatrudnionych miał imienną przepustkę, którą pokazywał strażnikowi. Członkowie orkiestry również takie przepustki otrzymali. Przez pierwsze tygodnie okazywaliśmy je kolejnym wartownikom, ale potem my ich znaliśmy, a oni nas i wystarczyło powiedzieć „dzień dobry", aby przejść, nie wyciągając z kieszeni przepustki. To rozluźnienie spowodowało, że raz po raz ktoś zapominał zabrać ją z domu.

Pewnego dnia wszedłem do portierni z wiolonczelą i zobaczyłem stojącego pod ścianą kolegę ze skrzypcami. Pomyślałem, że na kogoś czeka, więc powiedziałem jak zwykle „dzień dobry" i chciałem przejść. Ale strażnik krzyknął: „Przepustka!" Jak już wcześniej zaznaczyłem, nie lubię kiedy na mnie krzyczą. Popatrzyłem zatem na strażnika z niesmakiem i powiedziałem:

- Przecież pan mnie zna.

A on na to:

- Pokażcie przepustkę. Bo jak nie macie, to was nie puszczę jak tego obywatela.

I pokazał na stojącego pod ścianą skrzypka.

Swoją przepustkę zawsze nosiłem w kieszeni płaszcza, ale w takiej sytuacji nie miałem zamiaru jej wyciągać. Powiedziałem ze złością:

- Za okupacji musiałem nosić Kenkartę, ale teraz, w wolnej Polsce nie będę się legitymować.

Moją wypowiedź trudno uznać za logiczną, ale wcale się tym nie przejmowałem. Skończyłem mówić i ruszyłem przed siebie. Strażnik wrzasnął: „Stać, bo strzelam!", co

było jeszcze mniej logiczne. I zaczął zdejmować karabin z ramienia. Tego było już za wiele! Wybuchnąłem śmiechem i zapytałem:

- Ma pan zamiar do mnie strzelać?

Poczem bez pośpiechu wszedłem na teren wytwórni. A biedny strażnik został z karabinem w ręku. Z wściekłością opowiedziałem Wilczakowi o przesadnej służbistości strażnika i głupiej – moim zdaniem – reakcji. Okazało się, że tego samego dnia rano (my nagrywaliśmy tylko popołudniami) odbyła się kontrola z milicji i nakazano zaostrzenie środków bezpieczeństwa. Stąd gorliwość strażnika. Oczywiście całą sprawę załagodzono. Wilczak wraz z dyżurnym urzędnikiem zeszli do portierni i uwolnili zatrzymanego skrzypka, który swoją przepustkę zostawił w domu. A ja po raz kolejny potwierdziłem opinię, że jestem – jak to się wtedy mówiło – konfliktowym człowiekiem.

Przed dyplomem

Druga praca, choć zajmowała sporo czasu, pozwoliła na wypełnienie zaleceń lekarza. Kupiłem przepisane lekarstwa oraz pomarańcze i cytryny, a przede wszystkim zacząłem jeść „normalne" obiady. Znalazłem małą jadłodajnię pod schodami zburzonej kamienicy. Z całego, zapewne paropiętrowego domu pozostały tylko schody prowadzące ongiś z parteru na pierwsze piętro. I pod tym ocalałym fragmentem budynku jakaś pani otworzyła jadłodajnię. Skąd brała wodę i prąd – nie wiem. Gotowała smacznie, a ceny były bardzo niskie. Miała swoją stałą klientelę złożoną głównie z pracowników pobliskich urzędów. Tę jadłodajnię można było uznać za jeden z symboli odradzającej się stolicy i żywotności jej mieszkańców. Tak więc stopniowo nabierałem sił, a moja waga wzrosła „aż" do 58 kg . No i zacząłem przygotowywać się do końcowych egzaminów. Nie było ich dużo, ale miały zasadnicze znaczenie dla dopuszczenia do dyplomowego koncertu. Moim nauczycielem fortepianu był Julian Borzym. Nie pamiętam czy miał już wtedy za sobą studia, a może właśnie je kończył. Prowadził klasę fortepianu dla studentów I wydziału. Od razu zaproponował mi przejście na „ty", a po zapoznaniu się z moimi słabymi umiejętnościami gry na fortepianie, powiedział:

- Spróbuj przez cały ten rok nauczyć się trzech obowiązkowych utworów, które ci dam na następnej lekcji.

I rzeczywiście znalazł jakąś etiudę, która wymagała dużej ręki, ale wbrew pozorom nie była trudna. Potem miałem zagrać dwugłosową inwencje Bacha oraz I część sonaty f-moll Beethovena. Był to program minimum. Uczciwie od października do maja ćwiczyłem te utwory. Szybko nauczyłem się ich na pamięć, ale największą trudność – choć brzmi to dziwnie – sprawiało mi znajdowanie właściwych klawiszy. Moja siostra Maria z niedowierzaniem obserwowała w minionych latach moje nieporadne pokonywanie najprostszych przeszkód technicznych, co nazywała „gmeraniem". Oto jej autentyczna wypowiedź: „Z taką ręką powinieneś grać z łatwością, a ty nie dajesz sobie rady z prostymi utworami, które wykonują nawet małe dzieci".

Istotnie miałem dużą rękę o znacznej rozpiętości palców. Na wiolonczeli grałem stosunkowo dobrze, a na fortepianie źle. Dwadzieścia parę lat później przeczytałem autobiografię Bruno Waltera. Napisał, cytuję z pamięci: „Tak samo jak inne są ręce „do fortepianu" a inne „do skrzypiec", tak samo są odrębne ręce „do dyrygowania." Obawiam się, że ja należałem do osób, których ręce zdecydowanie były nie „do fortepianu".

Ale te trudności z przebieraniem palcami po klawiaturze stały także na przeszkodzie

w dwóch następnych najważniejszych przedmiotach: graniu i czytaniu partytur. Tych umiejętności uczył Stanisław Nawrot, stary i doświadczony dyrygent operowy jeszcze z czasów przedwojennych. Grałem parę przedstawień pod jego dyrekcją i pomimo sympatii i szacunku, nie mogłem uważać go za dobrego dyrygenta. Ale na fortepianie grał biegle, a umiejętność czytania partytur miał opanowaną w znacznym stopniu. Prof. Nawrot od razu na pierwszej lekcji zorientował się, że nie zdołam w ciągu jednego roku akademickiego zrobić na tyle wystarczających postępów, aby swobodnie grać i czytać partytury. Zaproponował, abym sobie wybrał jakiś jeden wolny utwór, nauczył się go na pamięć, a potem odegrał na egzaminie. Zdecydowałem się na wstęp do „Lohengrina". Był od początku do końca w bardzo wolnym tempie, zaś bogata harmonia wymagała dużej ręki. Ale – co podkreślił prof. Nawrot – to załatwi tylko przedmiot zwany graniem partytur. Natomiast z drugim – czytaniem partytur a vista mogę mieć na egzaminie kłopot. Nie wiadomo bowiem, jaką partyturę komisja postawi mi na pulpicie i każe zagrać. A wówczas moje nader ograniczone możliwości techniczne na pewno nie wystarczą. Przy pomocy profesora usiłowałem na lekcjach ćwiczyć umiejętność czytania a vista. Przy wolnych tempach jakoś dawałem sobie radę. Czytanie partytur nie sprawiało mi trudności, ale wyszukiwanie klawiszy – bardzo duże. A kiedy tempo było szybkie, plątały mi się palce i przestawałem grać. I prof. Nawrot, i ja liczyliśmy jednak na wyrozumiałość członków komisji.

W tym przedegzaminacyjnym okresie jeszcze częściej spotykałem się ze Zdzisiem Bytnarem. Z uczelni wychodziliśmy razem, podobnie z Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Szliśmy do przystanków tramwajowych lub autobusowych dyskutując o różnych sprawach. Co pewien czas Zdzisio proponował, abyśmy wstąpili do baru „na jednego". I szybko dodawał, że on stawia. Przy bufecie wypijaliśmy „setkę" bez zagryzania. Szliśmy dalej, a po kilkuset metrach znowu proponował kolejną „setkę" w następnym barze. Początkowo przyjmowałem te zaproszenia, ale rychło zorientowałem się, że to prowadzi do nałogu, tym bardziej że lubiłem sam smak alkoholu, niezależnie od przyjemnego „rauszu". Raz i drugi odmówiłem Zdzisiowi, zasłaniając się koniecznością nauki. Myślę, że to mnie uratowało. Ten temat przedstawię szerzej, kiedy będę omawiał swoją decyzję całkowitej rezygnacji z alkoholu, którą podjąłem parę lat później.

Ostatnie egzaminy

Powstanie warszawskie i bombardowanie Hamburga uświadomiły mi, że życie ludzkie jest kruche. W porównaniu ze śmiercią wszystko inne wydawało mi się mniej ważne. Ta postawa pozwoliła na zachowanie dystansu wobec takich spraw jak np. egzaminy. Twierdziłem, że od ich zaliczenia nie zależało przecież moje życie. A tym bardziej od tego jaki otrzymam stopień. Być może dlatego szedłem na niektóre egzaminy słabo przygotowany i jakoś je zdawałem. Pamiętam, ze nie byłem – jak inni – spięty, przerażony, sparaliżowany strachem. Podobnie nie przejmowałem się przesadnie egzaminami dyplomowymi. Wiedziałem, że na fortepianie gram kiepsko, że partytury czytam jeszcze gorzej, ale nie wpadałem w panikę. Wiedziałem, że nawet jeśli nie zdam, następnego dnia będę żył.

Rektor zdecydował, że wszystkie trzy egzaminy związane z graniem na fortepianie będę zdawał łącznie, jeden po drugim. Jeśli się nie mylę – wyznaczono je na drugą połowę maja. Zjawiła się komisja, w której byli m.in. moi pedagodzy: Kulczycki, Nawrot, Borzym oraz dodatkowo Jerzy Lefeld. Nie pamiętam czy nie przyszedł także rektor. Pierwszy

miał być egzamin z fortepianu. Zagrałem oczywiście przygotowany program z pamięci, nie myląc się, choć tempa były raczej powolne, a wykonanie nudne. Trzy utwory zajęły mi nie więcej niż 20-25 minut. Zaraz potem, bez żadnej przerwy rozpoczął się następny egzamin. Postawiłem na pulpicie małą partyturkę wstępu do „Lohengrina" i zacząłem grać. Oczywiście ćwicząc przez tyle miesięcy, umiałem go na pamięć. „Wyszukiwanie" klawiszy tak mnie zaabsorbowało, że zapomniałem w ogóle o przewracaniu kartek. Jak mi potem mówił prof. Nawrot, komisja oceniła to pozytywnie. Teraz miało nadejść to najgorsze – czytanie a vista. Zza stołu, przy którym siedziała komisja, wstał prof. Lefeld z małą partyturką w ręku. Podszedł do fortepianu i powiedział do komisji: „Symfonia Es-dur Mozarta, część pierwsza". Zmartwiałem. Znałem tę symfonię, gdyż dyrygowałem ją na lekcjach. W pierwszej części po powolnym wstępie, rozpoczyna się Allegro, w którym przeważają szesnastkowe figury. Nie było najmniejszej szansy, abym je potrafił zagrać bez wielogodzinnego ćwiczenia. Prof. Lefeld stał przy mnie, przewracał kartki partytury, szukał czegoś, wreszcie znalazł i kładąc ją na pulpicie, powiedział: „Stąd". I wskazał palcem. Zrezygnowany spojrzałem i nie wierzyłem własnym oczom. Było to tutti fortissimo, oparte na powtarzaniu akordu Es-dur. Na partyturkę nie musiałem patrzeć, dysponowałem tzw. pamięcią wzrokową. Wystarczył jeden „rzut oka", aby utrwalić obraz tych paru taktów. Pochyliłem głowę, aby znaleźć właściwe klawisze. Uderzyłem w nie z przekonaniem, że po zagraniu tych akordów nastąpi katastrofa, ponieważ zaraz potem zaczynały się szesnastkowe figury, których nie potrafiłbym zagrać. Kiedy oderwałem wzrok od klawiszy, aby mimo wszystko spróbować coś tam „wydukać", prof. Lefeld zamknął partyturkę ze słowami: „Dziękuję, to wystarczy".

Jeszcze dzisiaj z całą wyrazistością widzę tamtą scenę. Nie wierząc własnym uszom, wstałem i zobaczyłem wówczas porozumiewawczy uśmiech prof. Lefelda. Skłoniłem mu się głęboko z wdzięcznością, potem komisji i wypadłem na korytarz. Po zaledwie paru minutach wezwano mnie z powrotem do klasy, gdzie prof. Kulczyki z uśmiechem poinformował mnie w imieniu komisji, że zdałem pomyślnie wszystkie egzaminy i zostałem dopuszczony do dyplomowego koncertu. Jeżeli pamięć mnie nie zawodzi po ponad 55 latach, dostałem piątki z fortepianu i grania partytur oraz czwórkę z czytania partytur a vista.

Kiedy komisja opuszczała klasę, podszedł do mnie prof. Lefeld i powiedział:

- Panie Józiu, prawda jest taka, że aby opanować fortepian zgodnie z wymaganym programem, musiałby pan zostać w szkole na co najmniej dwa lub trzy lata. Nie miało by to żadnego sensu w sytuacji, kiedy w Polsce brakuje dyrygentów. Znam zresztą takich, którzy w ogóle nie potrafią grać na fortepianie.

I z serdecznym uśmiechem wyciągnął do mnie rękę. Tak dobiegły końca moje studia. Uważam teraz za swój obowiązek wyrazić po tylu latach swoją wdzięczność tym wszystkim, od dawna już nieżyjącym profesorom, za ich życzliwość i pomoc. Mój brat Kazimierz, pani Kijeńska, Drobner, Sikorski, Górzyński, Stromenger, Raczkowski, Nawrot, Kulczycki, Lefeld – ich nazwiska znajdują się w encyklopediach. Wszyscy zapisali się chlubnie w historii muzyki polskiej. A ja dzięki nim mogłem zdobyć zawód.

Na zakończenie parę zdań o Jerzym Lefeldzie, z którym już potem nie miałem okazji się spotkać. Był to wyjątkowy człowiek. Jego łagodność, dobroć, bezinteresowność sprawiły, że chyba nie miał wrogów. Studenci, co dobrze pamiętam, przepadali za nim. Nigdy nie słyszałem, aby ktoś o nim mówił źle. Według panującej opinii nie zdarzyło się, aby komukolwiek odmówił pomocy. Był bardzo wysoki i chodził zawsze pochylony, jak typowy astenik, w dodatku krótkowidz. Miał fenomenalną łatwość czytania nut, zarówno

fortepianowych jak i partytur. W czasie okupacji, jako kilkunastoletni chłopiec byłem świadkiem, jak Bolesław Woytowicz przyniósł rękopis partytury swojej nowej symfonii. Postawił ją na pulpicie fortepianu, a Lefeld szybko sprawdził, jaka jest tonacja, klucze i transpozycje, poczem od razu zaczął grać. Nie wierzyłem własnym oczom i uszom. Nawet Kazio, który był przy tym obecny, wyraził swój podziw typowym dla niego: „No, no, no!". Woytowicz zawołał: „Jerzy, jak ty to robisz? Ja bym tak nie potrafił!", a przecież sam był koncertującym pianistą i w dodatku autorem tej symfonii. Ja zaś stałem w milczeniu pełen podziwu.

Lefeld był znakomitym akompaniatorem i kameralistą, ale podobno nigdy nie miał ambicji aby zostać solistą. Próbował komponować, ale jego utwory nie wytrzymały – jak to się mówi – próby czasu. Ja znałem tylko drobne utwory dla dzieci. Chciałbym, aby te parę osobistych moich wspomnień pozwoliło uratować od zapomnienia tę niezwykłą postać.

Koncert dyplomowy

Prof. Kulczyki zapytał, jaką symfonię chciałbym zadyrygować na dyplomie. Powiedziałem, że V Beethovena. Był to przejaw młodzieńczej bezczelności. Nie zdawałem sobie w ogóle sprawy z trudności tego arcydzieła. Cóż z tego, że przerabiałem je dwukrotnie na lekcjach z Górzyńskim i Kulczyckim? Ani jeden ani drugi nie pokazali mi ogromu problemów, które musiał rozwiązać każdy dyrygent, przystępując do wykonania tej symfonii. Parę lat później, w ramach tzw. aspirantury (był to wprowadzony na wzór radziecki rodzaj studiów doktoranckich) przez prawie godzinę przerabiałem z Bierdiajewem pierwsze dziesięć taktów pierwszej części II symfonii Beethovena. A przecież stopień ich trudności w porównaniu z początkiem piątej symfonii był nieporównywalnie mniejszy. Dopiero teraz, po dziesiątkach wykonań z różnymi orkiestrami polskimi i zagranicznymi, mógłbym te wszystkie trudności wymienić. Czytałem w jakiejś biografii Furtwänglera, że będąc już stary, po stokilkudziesiątym wykonaniu V symfonii Beethovena powiedział, że jest nadal niezadowolony z interpretacji paru fragmentów. Muzyka tej symfonii pomimo pozornej przejrzystości formy jest wręcz niezwykle skomplikowana. Dzisiaj to wiem, ale mając 24 lata marzyłem o wykonaniu tego arcydzieła. I nie zastanawiałem się nad całą złożonością ściśle dyrygenckich, technicznych trudności, przy rozwiązywaniu których niestety nikt mi wówczas nie pomógł.

Ponieważ w programie musiał się znaleźć, według słów prof. Kulczyckiego, utwór polski, wybrałem „Parię". Ze wszystkich uwertur Moniuszki uważałem ją za najlepszą. Solistami byli dwaj dyplomanci: bas Edward Pawlak i skrzypek Stanisław Santor. Pierwszy miał śpiewać arię księcia Gremina i arię o plotce, a drugi grać I część koncertu skrzypcowego Czajkowskiego. O ile arie były stosunkowo łatwe do akompaniowania, o tyle koncert postawił przede mną zadanie, którego sam, bez pomocy doświadczonego dobrego dyrygenta, nie potrafiłem rozwiązać. Nic zatem dziwnego, że akompaniowałem fatalnie, w paru miejscach dosłownie przeszkadzając soliście.

Pawlak został potem jednym z czołowych polskich basów, zaś Santor objął stanowisko koncertmistrza w radiowej orkiestrze Stefana Rachonia.

Wracajmy jednak do mojego dyplomu. Datę koncertu ustalono na 9 czerwca. Próby nie przebiegały w dobrej atmosferze. Jak już pisałem, operowa orkiestra była złożona z muzyków, z których prawie każdy mógł być moim ojcem i którzy nie szanowali nawet takiego

dyrygenta jak Mierzejewski. Od razu na pierwszej próbie doszło do scysji. Przegraliśmy I część symfonii i choć brakowało mi doświadczenia, zauważyłem wyjątkowe lekceważenie w traktowaniu muzycznego tekstu. Zmusić muzyków, zwłaszcza tzw. dęciaków do grania piano okazało się nad wyraz trudne. Podobnie zresztą jak do prawdziwego forte. Woleli dla wygody grać wszystko w jednej, najłatwiejszej dynamice – mezzoforte. Moje wysiłki, aby zróżnicować dynamikę napotykały bierny opór. A kiedy wiolonczele zaczęły grać początek II części, byłem zdruzgotany. Nie wiedziałem, co robić. Słynne solo było nie tylko fałszywe, nierytmiczne, ale przede wszystkim brzmieniowo wręcz brzydkie. Wszystkie słabości grupy wiolonczel, ukryte częściowo w kanale orkiestrowym – na estradzie ujawniły się z całą ostrością. Po paru taktach przerwałem i powiedziałem wprost:

- Gracie panowie brzydko.

A na to koncertmistrz:

- Tak samo graliśmy przed wojną pod Furtwänglerem.

Było to oczywiste kłamstwo. Nie wytrzymałem i powiedziałem bez zastanowienia:

- To znaczy, że i pod Furtwänglerem także graliście brzydko.

Popełniłem niewybaczalny błąd. Wiolonczeliści poczuli się obrażeni. Widać to było wyraźnie na ich twarzach. Nie tylko byłem dla nich smarkaczem, ale w dodatku prosto z ostatniego pulpitu „wskoczyłem" na podium dyrygenckie. Tego mi nie mogli darować. I choć uczciwie pracowałem na wszystkich próbach, nie udało mi się w znacznej mierze poprawić jakości brzmienia grupy wiolonczel. Ani przełamać obojętności znacznej części orkiestry. Myślę, że zabrakło mi zdolności dyplomatycznych. Zamiast odwołać się do muzyków jako starszych kolegów i prosić o pomoc – ośmieliłem się wypowiedzieć słowa krytyki. A poza tym zbyt łatwo wpadałem w złość, która przejawiała się w sposobie mówienia, ruchach i całym zachowaniu. Muszę jednak lojalnie przyznać, że moje wysiłki przyniosły jednak pozytywne choć niewielkie rezultaty. Widząc moją pasję, ekspansywny sposób dyrygowania, upór w realizacji zamierzeń – część muzyków zaczęła wykazywać zainteresowanie.

W dniu koncertu przyjechali z Łodzi rodzice, Marysia i moja żona. Wszyscy tłoczyli się w małym mieszkaniu, co całkowicie wykluczyło jakąkolwiek możliwość wypoczynku lub koncentracji. Kupiłem jeszcze w Łodzi używany frak. Nie wiem czy był za mały czy po prostu nigdy dotąd nie nosiłem tego rodzaju stroju, w każdym razie tak mnie opinał, że z trudem poruszałem rękami. Aby się do niego przyzwyczaić, myłem nogi w miednicy (przypominam, że w mieszkaniu nie było łazienki) ubrany we frak!

Jak „poszedł" koncert – naprawdę nie pamiętam. Wiem tylko, że w muzykach obudziła się zawodowa odpowiedzialność i zagrali lepiej niż na jakiejkolwiek próbie. Nawet solo wiolonczel zabrzmiało przyzwoicie. W każdym razie tak mi się wydawało, co mogło być oczywiście złudzeniem wywołanym przez zrozumiałe podniecenie. Po koncercie przyszło z gratulacjami mnóstwo znajomych i kolegów. Zjawił się również prof. Kulczycki, który nie był na żadnej próbie. Dlaczego – nie potrafiłem zrozumieć. Jest bowiem powszechnym zwyczajem, że pedagodzy uczestniczą w próbach do koncertów dyplomowych swoich studentów. Czyżby aż tak bardzo czuł się niepotrzebny? Przyszedł również dyrektor departamentu (jakiego – nie wiem) w ministerstwie Kultury i powiedział, abym się z nim jak najprędzej skontaktował, gdyż ma dla mnie pracę od następnego sezonu. Jak się później okazało – asystenta dyrygenta w Filharmonii Poznańskiej.

A potem ukazało się parę recenzji, w tym napisanych przez ówczesnych czołowych krytyków: Piotra Rytla i Wawrzyńca Żuławskiego. Większość była utrzymana w przychylnym

tonie, choć daleka od entuzjazmu. Natomiast ubawiły mnie sprzeczne sformułowania dwóch recenzji, nie pamiętam po tylu latach czyjego autorstwa. Jeden z recenzentów napisał, że jest zrozumiałe, iż młody, początkujący dyrygent nie posiada techniki lewej ręki. Zaś drugi, przeciwnie, podkreślił, że jak na młodego, początkującego dyrygenta, posiadam nader rozwiniętą technikę lewej ręki. Do dzisiaj gnębi mnie niepewność: miałem na koncercie dyplomowym technikę lewej ręki czy nie miałem?

Tydzień później dyplomowym koncertem dyrygował Zdzisław Bytnar. Miał w programie m.in. II symfonię Brahmsa. I pomimo wszystkich trudności zawartych w muzyce tego kompozytora, dał sobie radę. Tak więc jego dyplom był o wiele lepszy od mojego. Zdzisio przewyższał mnie wiedzą muzyczną, pamięcią (symfonię prowadził bez partytury), techniką manualną, umiejętnością gry na fortepianie. W następnym sezonie dyrygował gościnnie w paru miastach i tzw. kariera stała przed nim otworem. To, że nie wykorzystał swoich zdolności, było nie tylko jego osobistą tragedią, ale także stratą dla polskiej muzyki.

Lato 1950

W lipcu miałem urlop, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak i gdzie go spędziłem. W sierpniu, w wieku 76 lat umarł mój ojciec. Pamiętam, że nie było mnie wtedy w Łodzi. Przyjechałem dzień czy dwa później. Matka opowiadała, że męczył się około 4 tygodni. Kolejne narządy przestawały prawidłowo funkcjonować, a serce ciągle pracowało. Pogrzeb był skromny, nad grobem przemawiał Kazimierz Sikorki. Przyznaję, że niezbyt boleśnie odczułem śmierć ojca. Od paru lat coraz bardziej dawała o sobie znać szybko postępująca skleroza. Nie pamiętał tego, co robił czy mówił przed zaledwie paroma minutami. Ale nadal potrafił recytować greckie teksty, których uczył się w tzw. gimnazjum klasycznym. Czasem nas śmieszył, czasem złościł dziwacznymi wypowiedziami i zachowaniem. Do końca minionego roku akademickiego uczył w PWSM, choć studentów miał niewielu. W czerwcu był w Warszawie na moim koncercie dyplomowym i – jak mówiła potem matka – popłakał się ze wzruszenia w finale symfonii. Musiało minąć wiele lat, zanim w pełni uświadomiłem sobie, jak wiele zawdzięczam ojcu.

We wrześniu pojechałem do Poznania, gdzie rozpocząłem pracę w Państwowej Filharmonii, bo tak brzmiał wówczas oficjalny tytuł wszystkich polskich filharmonii. Podlegały, podobnie jak inne instytucje artystyczne, Ministerstwu Kultury i Sztuki i dlatego nazywały się państwowymi. Minister przydzielał dotacje oraz liczbę etatów dla poszczególnych grup pracowników, np. w operach tyle a tyle dla chóru, orkiestry, baletu, czy administracji. Minister mianował dyrektorów, ich zastępców, kierowników artystycznych i… głównych księgowych. To wydział symfoniczny ministerstwa zatwierdzał repertuary oraz każdą ewentualną zmianę. Ta uciążliwa często centralizacja miała jednak pewną zaletę: z dużego, wspólnego dla całej polskiej kultury budżetu, łatwiej było zdobyć w razie potrzeby dodatkowe środki finansowe.

Orkiestra Filharmonii Poznańskiej przebywała w pierwszej połowie września na tzw. obozie szkoleniowym w Łagowie. Nie pamiętam, jaki był plan pracy, ale miałem czas na lektury, spacery i wycieczki. Poznałem tam dwóch warszawiaków, których ojciec miał aptekę (później upaństwowioną) na placu Trzech Krzyży. O ile się nie mylę – obaj byli jeszcze studentami. Ewenementem jak na owe czasy był fakt, że posiadali prywatny samochód – bardzo zdezelowane DKW. Pewnego dnia zaproponowali mi wspólną

wycieczkę do podziemnych poniemieckich fortyfikacji, rozciągających się niedaleko Łagowa. Z chęcią przystałem, tym bardziej, że dysponując pieniędzmi, obiecali pokryć wszystkie wydatki. Od rybaków mieszkających nad łagowskim jeziorem wypożyczyliśmy drelichowe kombinezony, długie, sięgające niemal do pachwiny gumowe buty oraz liny. Kupiliśmy latarki i mnóstwo baterii, które połączyliśmy drucikami, aby wzmocnić światło. Wczesnym rankiem wyruszyliśmy, ale nie potrafię powiedzieć w jakim kierunku. Troskę o to zostawiłem moim towarzyszom wycieczki. Dojechaliśmy do jakiejś wsi, samochód zostawiliśmy w porządnie wyglądającym gospodarstwie i pomaszerowaliśmy przez pola w stronę długiego wzgórza. W miarę jak zbliżaliśmy się do niego, można było spostrzec nawet niewprawnym okiem, że wzniesienie zostało sztucznie usypane. Niebawem zobaczyliśmy także górną część ogromnego bunkra. Moi współtowarzysze wyprawy mieli aparat fotograficzny. Parę zdjęć przechowuję na pamiątkę. Później dowiedziałem się, że te fortyfikacje były, a raczej miały być w zamyśle niemieckiego sztabu, częścią całego systemu obronnego od Bałtyku do Gór Stołowych. Pomimo wysiłków, nie udało się skończyć tej wschodniej odmiany Linii Zygfryda. Ale to co zostało zrobione, budziło podziw. Zeszliśmy po schodach na sam dół, tam gdzie były zerwane, spuszczaliśmy się na zabranych przezornie linach. Mijaliśmy kolejne podziemne piętra, starannie oznakowane napisami: „Krankstube", „Kommandantur", „Kantine", Fernsprechzentrale" itd. Na dole, w szerokich, wysokich tunelach biegły szyny kolejki wąskotorowej. W regularnych odstępach urządzono coś w rodzaju stacji, oznaczonych kolejnymi żeńskimi imionami: Ceciliae, Dorothea, Erike, itd. I dysponującymi krótkimi bocznicami. Był to przykład dobrej, starej, niemieckiej organizacji.

Po godzinie wędrówki postanowiliśmy, kiedy tylko nadarzy się okazja, wyjść na powierzchnię. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że nigdy nie zabrakło nam powietrza. Było wprawdzie wilgotne, stęchłe i – czemu trudno się dziwić - całkowicie pozbawione ożywczej świeżości, ale pozwalało swobodnie oddychać. Gdzie znajdowały się kanały wentylacyjne i na jakiej zasadzie działały – nie wiem. W paru miejscach tunel był zalany, ale woda nie sięgała nam nawet do połowy łydek. Wreszcie po przejściu paru kilometrów zobaczyliśmy napisy „Zum Turm" i strzałki. Niebawem zbliżyliśmy się do kolejnego bunkra. Pokonując zerwane i połamane (nie mogliśmy dociec w jaki sposób i dlaczego) metalowe schody, wygramoliliśmy się na powierzchnię. Pamiętam z jaką ulgą zaczerpnęliśmy pierwsze łyki ożywczego, świeżego powietrza.

Była to zarazem przyjemna i pouczająca wyprawa, choć żaden z nas nie zdawał sobie sprawy, że mogła skończyć się tragicznie. Wędrówka po opustoszałych podziemiach groziła różnymi niebezpieczeństwami, pomijając już fakt, że przed bunkrem stała tablica „Teren wojskowy. Wejście zabronione pod karą…"

Zastanawiające, że z całego pobytu w Łagowie pamiętam tylko tę wycieczkę i to z wieloma szczegółami, jakby była wczoraj. Żadnych innych wspomnień nie mam. Czyżby moja praca w charakterze asystenta tak mało mnie obchodziła?

Pierwsze koncerty

O ile mnie pamięć nie zawodzi, zaproszenie na pierwszy gościnny koncert zawdzięczam prof. Kulczyckiemu. Spotkał kiedyś w ministerstwie dyrektora Filharmonii Krakowskiej, Piotra Perkowskiego, któremu powiedział o mnie. Ponieważ Perkowski znał Kazia,

zaryzykował i zaprosił mnie na koncert do Krakowa od razu na początku sezonu (22 i 23 wrzesień). A ja, dziękując za zaproszenie, zapytałem czy solistką nie mogłaby być moja siostra Wanda. Na to Perkowski odpowiedział, że wprawdzie ma już dwójkę solistów, ale zmieni program w ten sposób, że oni będą grali w piątek, a Wanda na sobotnim powtórzeniu. Oba koncerty miały prezentować tzw. młode talenty. Ja liczyłem sobie 24 lata, Wandzia – 21, Jurek (tak było na afiszu) Godziszewski – 15, a Ola Ablewicz – 13. Próby przebiegały spokojnie, a orkiestra w tamtych latach była jeszcze najlepsza w Polsce. Niestety, miało się to niebawem z różnych powodów zmienić. Pamiętam jedno, jakże charakterystyczne zdarzenie. Po pierwszej próbie podszedł do mnie starszy pan, grający I waltornię i zapytał:

- Panie dyrektorze, ile pan ma lat?

To „panie dyrektorze" bardzo mi pochlebiło, więc odpowiedziałem grzecznie:

- Dwadzieścia cztery.

Starszy pan na to:

- A ja już gram na waltorni czterdzieści osiem lat. Dwa razy dłużej niż pan żyje. Zwolni mnie pan z jutrzejszej próby?

Błyskawicznie uświadomiłem sobie, że przesadził z tymi czterdziestoma ośmioma latami grania i że zastosował niezbyt elegancki moralny szantaż. Ale co miałem robić? Z pokorą zgodziłem się na jego prośbę i pozbawiony zostałem I waltornisty przez całą próbę.

Koncert krakowski był o wiele lepszy niż dyplomowy. Przypuszczam, że miałem mniejszą tremę, orkiestra okazywała życzliwość, a znajdujące się w programie „Preludia" Liszta były nieporównywalnie łatwiejsze niż V symfonia Beethovena. Kiedy „wydychałem" zmęczenie w tzw. pokoju artystycznym, wpadł, dosłownie wpadł, Perkowski, krzycząc: „Zabieram pana do Krakowa!". Objął mnie i ściskał. Nie na darmo nazywano Perkowskiego „Piekielnym Piotrusiem". Miał bowiem przesadny nieraz sposób objawiania aprobaty lub przeciwnie – dezaprobaty. Przysparzało mu to wielu wrogów.

Kiedy powiedziałem, że ministerstwo skierowało mnie do Poznania, Perkowski machnął lekceważąco ręką.

- Nie ma sprawy. Załatwię przeniesienie do Krakowa.

Nie wdając się w szczegóły, mogę stwierdzić, że istotnie załatwił. Po paru tygodniach zostałem zatrudniony w Państwowej Filharmonii w Krakowie i to jako II dyrygent a nie asystent. Już 17 października na jakiejś okolicznościowej imprezie akompaniowałem Zbigniewowi Drzewieckiemu koncert f-moll Chopina. W listopadzie dyrygowałem wcześniej zaplanowanym koncertem w Poznaniu, a w grudniu spotkał mnie zaszczyt wspólnego występu w Krakowie z Ewą Bandrowską - Turską, niewątpliwie jedną z największych polskich śpiewaczek. Miała wykonać „Ah perfido" Beethovena. Przyznaję, że zdawałem sobie sprawę z dzielącej nas różnicy: ja byłem początkującym dyrygentem (miałem za sobą dopiero dwa symfoniczne koncerty) – ona zaś gwiazdą występującą na obu półkulach już przed wojną. O ponad trzydziestoletniej różnicy wieku nie wspominając. W Filharmonii Krakowskiej sprawami artystów zajmowała się urocza starsza dama, hrabina Zofia Komorowska. Oczywiście w tamtych czasach o jej arystokratycznym tytule nikt głośno nie wspominał. Pani Zosia, bo tak ją nazywaliśmy, władała płynnie paroma językami i potrafiła znaleźć rozwiązanie najbardziej nawet drażliwej sytuacji, czego byłem parokrotnie świadkiem. Jak mi mówiono, tylko jej uwag wysłuchiwał Bierdiajew kiedy był dyrektorem filharmonii. Potrafiła również nadzwyczaj taktownie wpływać na Perkowskiego i łagodzić jego wyskoki. Pani Zosia była od wielu lat przyjaciółką Bandrowskiej - Turskiej i kiedy wyrażałem obawy czy sprostam wymaganiom tak sławnej śpiewaczki, uspokajała mnie, mówiąc:

- Zobaczy pan, Ewa jest wręcz czarująca w obejściu.

(Kto dziś używa określenia „w obejściu”?)

I rzeczywiście, kiedy pani Zosia przedstawiła mnie przed próbą Bandrowskiej - Turskiej, ta przywitała się ze mną życzliwie i natychmiast powiedziała, że zna mojego brata, a i o mnie również słyszała pochlebne rzeczy. Rozpoczęła się próba i ku mojemu przerażeniu okazało się, że słynna śpiewaczka „nie uznaje” w ogóle wartości nut. Śpiewała „molto rubato”, tak jak jej dyktowała własna interpretacja słów tekstu. Rytm nie miał dla niej znaczenia. Kiedy przy okazji opowiedziałem o tym później Kaziowi, ten oświadczył, że Bandrowska zawsze była znana z lekceważenia zapisu nutowego. Dlatego dyrygenci nie lubili jej akompaniować. Muzycy w orkiestrze, przyzwyczajeni do respektowania rytmu, podobnie jak ja, z trudem podążali za solistką. Była to ciężka próba, ale Bandrowska wydawała się zadowolona. Przypuszczam, że w ogóle nie zwracała uwagi na to, co gra orkiestra, byle by tylko nie zagłuszała jej śpiewu. A śpiewała naprawdę pięknie.

Kiedy po próbie poszedłem do biura, pani Zosia zapytała, jak mi poszło. Przygnębiony, by nie rzec – zdruzgotany psychicznie – opowiedziałem jak było. A pani Zosia zaczęła mnie pocieszać, że nie jestem pierwszym dyrygentem, skarżącym się na swobodne traktowanie rytmu przez „Ewcię”. Poczem powiedziała, że zaprosiła Bandrowską do siebie na kolację i zaproponowała, abym przyszedł z partyturą i spróbował skorygować „nierytmiczności”. Z radością przyjąłem tę propozycję. O oznaczonej godzinie zjawiłem się w mieszkaniu pani Zosi. Bandrowska - Turska już tam była i obie zaprzyjaźnione damy wesoło gawędziły. Przez jakiś czas przysłuchiwałem się ich rozmowie. W pewnym momencie pani Zosia powiedziała:

- Wiesz, Ewciu, pan Józio pytał czy nie zechciałabyś porozmawiać z nim o paru sprawach związanych z „Ah perfidio”. A ja w międzyczasie przygotuję w kuchni kolację.

- Ależ oczywiście – zgodziła się Bandrowska - Turska.

Kiedy pani Zosia wyszła, usiadłem przy pianinie i nieśmiało, bez żadnych aluzji do rannej próby, jedna ręką grałem prawidłowy rytm solowej partii a drugą dyrygowałem. Ku mojemu zaskoczeniu, znakomita artystka słuchała uważnie, a potem patrząc w partyturę, spróbowała śpiewać. Natychmiast wychwyciła swoje błędy i zaczęła je poprawiać. Kiedy po kilkunastu minutach zjawiła się pani Zosia z jedzeniem, Bandrowska zawołała:

- Wyobraź sobie, Zosiu, że pan Józio pokazał mi, jak nieprawidłowo śpiewałam! A przedtem żaden dyrygent tego mi nie powiedział!

Byłem usatysfakcjonowany i - mówiąc szczerze – dumny. Następnego dnia na generalnej próbie Bandrowska wykonała „Ah perfido” zgodnie z zapisem kompozytora. Byłem zachwycony, a muzycy, domyślając się, że po wczorajszej nieudanej próbie spotkałem się z solistką – patrzyli na mnie z wyraźnym uznaniem. Wieczorem wyszedłem spokojnie na estradę i nagle ku mojemu przerażeniu Bandrowska - Turska zaczęła śpiewać tak, jak robiła to od dziesiątków lat, tzn. nie respektując zapisu Beethovena. Emocja wzięła górę i po prostu zapomniała o tym, co poprawiła poprzedniego wieczoru i na rannej próbie. W pierwszym momencie straciłem głowę, ale na szczęście nie uległem panice. Orkiestra również po paru taktach zrozumiała, co się dzieje i jakoś udało nam się mniej więcej razem dograć do końca utworu. Ale najzabawniejsze, że Bandrowska - Turska w ogóle nie zauważyła, że śpiewała „po staremu”. W pokoju artystycznym dziękowała mi za akompaniament i za moje uwagi, dzięki którym poprawiła swoje błędy!

W następnych latach zrozumiałem, że większość wokalistów chcąc przekazać treść śpiewanych słów, kładzie największy nacisk na ekspresję. Nie jest to pozbawione logiki,

jeśli uznamy, że cała muzyka wokalna powstała dla przekazania tekstu. To on jest pierwotny w stosunku do muzyki. To stanowisko można oczywiście zakwestionować; słuchając pieśni, arii, ansamblów, chórów zwracamy uwagę przede wszystkim na muzykę. Nawet popularność piosenek wynika z melodii a nie tekstu. Ta dygresja pozwala zrozumieć, dlaczego wokaliści często lekceważą wartości rytmiczne. Warto zresztą dodać, że również wielu instrumentalistów, zwłaszcza w utworach epoki zwanej romantyzmem, kładzie przesadnie duży nacisk na ekspresję. I zbyt swobodnie traktują zapis nutowy. Przykładem są niektóre wykonania koncertów Chopina lub Czajkowskiego.

Bandrowska - Turska żegnając się po sobotnim koncercie zaprosiła mnie do złożenia wizyty u niej w Warszawie. Oczywiście skorzystałem przy pierwszej okazji z tak zaszczytnego zaproszenia. Pamiętam, że podarowała mi wówczas partyturkę jakiejś opery. Miałem z Bandrowską po paru latach wspólny koncert w Poznaniu, o którym później napiszę.

Weryfikacje

I znów zaczynam od zastrzeżenia: jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, to na jesieni 1946 odbywała się w Polsce weryfikacja (teraz zapewne powiedzielibyśmy nieprawidłowo „lustracja") pracowników instytucji artystycznych. Miała ona sens, ponieważ istotnie w czasie okupacji niektórzy muzycy, aktorzy, tancerze w taki czy inny sposób współpracowali z Niemcami. Lub, mówiąc brutalnie – wysługiwali się Niemcom często zbyt gorliwie. Pojawiły się liczne pytania. Czy np. granie na koncertach przeznaczonych „Nur für Deutsche" było kolaboracją? Albo pięcioletnia praca w orkiestrze symfonicznej Generalnej Guberni? Także wyłącznie dla niemieckiej elity w Krakowie, z dr. Hansem Frankiem na czele? Moja praca w zespołach rozrywkowych zaczęła się w warszawskiej restauracji „Cafe-Club", niedostępnej dla Polaków. Czy w ten sposób już jako 15-letni chłopiec wysługiwałem się okupantowi? Zresztą podobnie działo się w innych grupach zawodowych. Nie wiem, kto ustalał kryteria, ale były one raczej jasne: praca w swoim zawodzie, która nie szkodziła Polakom – nie została uznana za jakąkolwiek formę kolaboracji. Z wyjątkiem stanowisk kierowniczych. I tak np. zarzucano Bierdiajewowi (sam mi to potem opowiadał), że przez całą okupację dyrygował w teatrze muzycznym, zarezerwowanym wyłącznie dla Niemców. Orkiestra natomiast składała się z samych Polaków, których po wojnie zweryfikowano pozytywnie. Bierdiajew przed komisja stwierdził stanowczo, że postąpił tak z dwóch powodów: po pierwsze jest dyrygentem, nic innego nie potrafi robić i zapewnił pracę a zarazem ochronę polskim muzykom i po drugie w ten sposób uratował swoją żonę, o której sporo osób wiedziało, że jest Żydówką. Oczywiście uznano słuszność tych argumentów i Bierdiajewa zweryfikowano. Ale inna sprawa była z Wacławem Niemczykiem, jednym z najlepszych polskich skrzypków. Był koncertmistrzem orkiestry teatru muzycznego. Tak się złożyło, że gubernator dystryktu warszawskiego był także skrzypkiem – amatorem i wielbicielem muzyki kameralnej. Zdarzało się zatem co parę tygodni, że po przedstawieniu czekał pod teatrem czarny „Mercedes", który zabierał trzech muzyków: Niemczyka, altowiolistę Mieczysława Szaleskiego i wiolonczelistę Dezyderiusza Danczowskiego. Tutaj mała dygresja. W latach 1943-44 Danczowski był w Warszawie moim profesorem, a Szaleski prowadził po wojnie klasę kameralną w łódzkiej PWSM, w której przez trzy lata byłem studentem. „Mercedes" zawoził muzyków do pałacu Brühla, w którym rezydował gubernator Ludwig Fischer. Tam po serdecznym powitaniu razem z nim grali kwartety

Haydna, Mozarta czy Beethovena dla zgromadzonych gości, czyli hitlerowskich dygnitarzy z żonami. Po takim towarzyskim występie zapraszano muzyków na wspólną kolację. Szaleski i Danczowski zawsze wymawiali się późną porą i porannymi zajęciami następnego dnia. I za każdym razem „Mercedes" odwoził ich wytwornie pod sam dom, a towarzyszący gestapowiec czekał, aż dozorca otworzy bramę. Aby jakiś przypadkowy patrol nie zastrzelił ich, jako że było to po godzinie policyjnej. Ale Niemczyk zostawał na kolacji, jadł i pił z Niemcami, wśród których byli i szef policji i szef Gestapo.

Szaleskiego i Danczowskiego zweryfikowano, ale Niemczykowi zabroniono występów solowych, zezwalając tylko na pracę w orkiestrze. Dowiedziałem się potem, że w jakiś sposób dostał zezwolenie na wyjazd z Polski. Udał się do Anglii i więcej o nim nie słyszałem.

Ja również musiałem stanąć do takiej weryfikacji zaraz po rozpoczęciu pracy w Filharmonii Łódzkiej. Nie wiem, jak było w innych orkiestrach, ale w Łodzi połączono weryfikację z przesłuchaniem zawodowym. Być może dlatego, że zbyt wiele w zespole było słabych muzyków. Pamiętam, że uważałem tę „przesłuchanio-weryfikację" za stratę czasu. Było wiadome, że jestem studentem klasy wiolonczeli, występuję jako solista i kameralista, siedzę przy I pulpicie, a – co jeszcze ważniejsze – zaledwie przed paroma miesiącami wróciłem z obozu jenieckiego i nadal chodziłem w mundurze. Zagrałem przed komisją jakiś fragment Suity Bacha i na tym się skończyło. Oczywiście nikt nie przeprowadził ze mną rozmowy na temat współpracy z Niemcami.

Jedyną dobrą stroną tej weryfikacji zawodowo - politycznej była znaczna podwyżka, którą otrzymałem od następnego miesiąca.

Piszę o dawnej weryfikacji, ponieważ ponownie, ledwo zacząłem pracę w Filharmonii Krakowskiej, w całej Polsce ogłoszono kolejną. Przez minione parę lat wróciło do kraju wielu muzyków czy aktorów i Ministerstwo Kultury postanowiło sprawdzić ich kwalifikacje zawodowe oraz stosunek do tzw. władzy ludowej. Tym razem jednak to ja znalazłem się w komisji. Perkowskiemu po prostu nie chciało się tracić czasu i wydelegował mnie jako przedstawiciela dyrekcji. Z tej weryfikacji pamiętam tylko parę zabawnych incydentów. Jeden z muzyków na „polityczne" pytanie, do jakiego związku zawodowego należy – odparł „związku muzyków". Nie wiedział, że tego związku nie było już bodaj od dwóch czy trzech lat. Inny muzyk na pytanie, kogo uważa za największego polskiego bohatera – odparł, że Piłsudskiego. Tego rodzaju weryfikacja do niczego nie prowadziła, poza dostarczaniem dowodu, że muzycy, zwłaszcza starszego pokolenia, nie interesują się tym, co się wokół nich dzieje. O czym zresztą od dawna wiedzieliśmy.

Parę miesięcy później byłem w Warszawie i przypadkiem spotkałem Tadeusza Zygadłę, z którym grałem jeszcze w jakichś zespołach w okresie okupacji. Był to świetny skrzypek, który mógł być koncertmistrzem każdej orkiestry. Należał niestety do osób, które wolą spokojne, w miarę dostatnie życie niż zaspokajanie zawodowych ambicji. Miał wysoko rozwinięte poczucie humoru, zmysł obserwacji i to, co Niemcy nazywają „schlagfärtig", czyli zdolność błyskawicznej refleksji w rozmowie. I potrafił z nieruchomą twarzą opowiadać dowcipy. Tadzio grał wtedy w orkiestrze Opery Warszawskiej, a jednocześnie – jak to się mówi – „chałturzył", gdzie się dało. Kiedy go spotkałem, opowiedział o swojej weryfikacji. Ponieważ była to stolica, w komisji siedział jakiś urzędnik z Ministerstwa Kultury. Zadał Tadziowi pytanie:

- Jakie to ważne i korzystne dla Polaków wydarzenie miało miejsce ostatnio?

Tadzio świetnie wiedział, że chodziło o październikową wymianę pieniędzy. Udał jednak głupka i po chwili zastanowienia, odparł:

- Ważne? Korzystne? Nie mogę sobie przypomnieć.

Pytający nalegał, a Tadzio ciągle udawał, że nie wie. Wreszcie zniecierpliwiony urzędnik doradził:

- Proszę, niech pan wyciągnie z kieszeni jakąś monetę.

Tadzio posłusznie sięgnął do kieszeni, wyjął monetę i z zaciekawieniem zaczął ją oglądać. Urzędnik nie wytrzymał.

- Czy ta moneta nic panu nie przypomina?

A Tadzio z udawaną szczerością, odpowiedział:

- Nic a nic.

- Jak to, nie przypomina pan sobie, że w zeszłym miesiącu nastąpiła wymiana pieniędzy? – niemal krzyknął urzędnik.

Tadzio spokojnie obejrzał monetę i powiedział z namysłem:

- To niemożliwe.

Urzędnik ledwo nad sobą panował.

- Co to znaczy, niemożliwe?

Tadzio nadal spokojnie patrzył na monetę i powtórzył:

- Niemożliwe. To nie mogło być w tym roku. Tutaj jest wybita data: rok 1949.

Wszyscy zauważyliśmy, że monety były już gotowe przed rokiem, ale władze z nieznanych nam powodów opóźniły wprowadzenie wymiany. A Tadzio jeszcze dodał:

– A poza tym ta wymiana wcale nie była dla mnie korzystna. Straciłem mnóstwo pieniędzy.

Dla czytelników mniej znających historię wyjaśniam, że wymiana dotychczasowych 100 zł na nowe 3 zł dotyczyła tylko kwot do określonej wysokości. Powyżej PKO wymieniało tylko 100 do 1. Była to poważna strata dla tych, którzy wzbogacili się legalnie lub ukrywali pieniądze.

Jak opowiadał Tadzio, urzędnik dosłownie wpadł w furię i zaczął krzyczeć:

- Teraz to pan jest taki dowcipny, ale za okupacji grał pan dla Niemców!

Był to bezsensowny i w dodatku chamski argument, ponieważ Tadzio miał już za sobą pierwszą weryfikację z 46 roku i było wiadome, że nigdy nie współpracował z Niemcami. Dlatego teraz mógłby na ten zarzut w ogóle nie odpowiadać. Ale zamiłowanie Tadzia do dowcipów zwyciężyło i błyskawicznie odparował:

- A skąd mogłem wiedzieć, że Niemcy przegrają wojnę?

Kiedy mi to opowiedział, parsknąłem śmiechem. Ale urzędnik zareagował inaczej. Wrzasnął:

- Nie będzie pan grał w operze!

No to Tadzio zabrał skrzypce i poszedł do radia i tam Stefan Rachoń przyjął go od razu do swojej orkiestry.

Przytaczam tę historyjkę, bo stanowi przyczynek do dziejów muzyki polskiej, a jednocześnie pozwoli na ocalenie od całkowitego zapomnienia tak barwnej postaci jak Tadeusz Zygadło.

Rozdział XIX

1950/51/52

Zanim zacznę opisywać wydarzenia roku 1951, pragnę podzielić się z przyszłym, ewentualnym czytelnikiem pewną refleksją. Czytając rozmaite autobiografie muzyków, zauważyłem iż niektórzy autorzy zbytnio koncentrują się na relacjonowaniu szczegółowych programów koncertowych. Wydaje mi się, że nie jest to słuszne. Czy dla czytelnika aż tak ważna jest wiadomość, że np. w jakimś koncercie dyrygowałem Beethovena uwerturę „Egmont", a nie uwerturę „Coriolan"? Myślę zresztą, że taki szczegół nie jest nawet istotny dla całokształtu mojej pracy zawodowej. Postanowiłem zatem w tych wspomnieniach przedstawiać programy tylko tych koncertów, które rzeczywiście spowodowały zmiany w moim życiu. Podobnie z solistami, którym akompaniowałem. Tylko niewielka ich część zrobiła tzw. karierę i zapisała się w mojej pamięci. Czy warto zatem wspominać o tych pozostałych w tej książce? Przecież te nazwiska nic nie będą mówiły czytelnikowi, nie znajdzie najmniejszej nawet wzmianki w żadnej encyklopedii czy okolicznościowej monografii.

Zdaję sobie sprawę, że to, co napisałem, może wydać się niesprawiedliwe. Różne bywają – jak wiadomo – przyczyny, dla których młody, zdolny, dobrze zapowiadający się muzyk nie zdoła zająć eksponowanego miejsca czy – używając potocznego określenia – wybić się. Niestety w historii (a każda biografia jest w pewnym sensie zapisem historycznym) liczą się tylko dokonane fakty, a nie zamierzenia, chęci, możliwości.

I druga sprawa. W moim przekonaniu dla muzyka piszącego autobiografię ważniejsze jest przekazanie czytelnikowi swoich opinii, sądów, refleksji na temat sztuki wykonawczej, sposobów pracy, wrażeń, kształtowania osobowości – niż rejestr programów. I stąd moja decyzja o wspominaniu tylko tych koncertów, które zaważyły na moim życiu, były głębokimi przeżyciami lub stanowiły ilustrację mojego stosunku do życia i pracy.

Trudne początki

Sezon 1950/51 był wyjątkowo wyczerpujący, ale zarazem wyjątkowo ważny dla mojego rozwoju dyrygenckiego. Kto wie, może nawet najbardziej decydujący. Dyrektor Perkowski zdając sobie sprawę z moich kłopotów finansowych, zaproponował, abym zamieszkał u niego, oferując mały, osobny pokój i w dodatku bez ponoszenia jakichkolwiek opłat. Jedynie za pełne wyżywienie płaciłem jakąś niewielką sumę. Była to dla mnie wielka pomoc. Perkowski opiekował się mną także w sensie zawodowym. Miałem mnóstwo koncertów ze zróżnicowanymi programami, które sam układał. Jak już wspominałem, każdy koncert piątkowy był powtarzany w sobotę, która w tamtych czasach była normalnym dniem pracy. Perkowski w piątek na okładce programu notował swoje krytyczne uwagi

o moim dyrygowaniu. W sobotę rano w gabinecie przekazywał mi to, co zapisał, domagając się poprawienia dostrzeżonych błędów na wieczornym powtórzeniu koncertu. I zawsze przychodził, aby sprawdzić czy zastosowałem się do jego słów. A potem w niewielkim gronie szliśmy na kolację albo do „Wierzynka" albo do Klubu Literatów przy ulicy Krupniczej. Dzięki temu poznałem wielu interesujących ludzi ze świata sztuki. A długie dyskusje między nimi były dla mnie niezwykle kształcące. Oczywiście wszystkie rachunki płacił Perkowski.

Chciałbym wyjaśnić niezorientowanemu czytelnikowi, że w przeciwieństwie do instrumentalistów, którzy tygodniami i miesiącami uczą się nowych utworów, ja jako młody dyrygent nie miałem takich możliwości. Perkowski nazywał to „rzuceniem na głęboką wodę". Każdy występ był dla mnie „prawykonaniem". Mając na ogół tylko jeden tydzień między koncertami, musiałem nauczyć się nowych, często zupełnie nieznanych uwertur czy symfonii, a przede wszystkim akompaniamentów dla solistów. A zdarzało się, że dyrygowałem tydzień po tygodniu i wówczas całą niedzielę od świtu do późnego wieczoru „wkuwałem" nowe utwory, aby być przygotowanym na poniedziałkową próbę. Dzisiaj wiem, że była to znakomita „szkoła", która przygotowała mnie do zawodu lepiej niż studia. Z jednym zasadniczym zastrzeżeniem: żadna praktyka nie może zastąpić pełnego toku studiów. Mogłem wykorzystać możliwości rozwoju, jakie dał mi częsty kontakt z orkiestrą tylko dlatego, że przedtem odbywałem regularne studia ze wszystkimi teoretycznymi przedmiotami. Obserwując przez lata przeróżnych dyrygentów „z bożej łaski", zdałem sobie sprawę, że ani zdolności, ani praktyka nie zastąpią rzetelnych studiów, nawet jeśli nie wszyscy profesorowie są wybitnymi „mistrzami batuty".

Perkowski zadbał również o to, abym mógł akompaniować znakomitym solistom. Wiele się od nich nauczyłem. Będę o tym szerzej pisał w rozdziale zatytułowanym „Moi soliści". Z wdzięcznością wspominam pomoc ze strony orkiestry. Po latach w jakimś wywiadzie przyznałem, że najwięcej nauczyłem się od muzyków orkiestry krakowskiej filharmonii. Nie była to ani grzecznościowa formułka ani tym bardziej efektowny zwrot, ale stwierdzenie faktu. Pamiętam, jak po paru tygodniach pracy, grupa czołowych smyczkowców z koncertmistrzami na czele, zaprosiła mnie po jednej z prób „na wódkę". Poczułem się wyróżniony, ponieważ wszyscy byli ode mnie znacznie starsi, mieli już spory dorobek i byli solistami oraz profesorami. Po dwóch czy trzech kolejkach zapytali czy nie zechciałbym z nimi wypić tzw. bruderschaftu. Odpowiedziałem, że z prawdziwą przyjemnością i że uważam to za zaszczyt. Kiedy dopełniliśmy ceremonii, jeden z nich powiedział wprost: „A teraz będzie nam łatwiej mówić ci, co robisz źle na próbach. Zgadzasz się?" Oczywiście, że się zgodziłem i odtąd oprócz uwag Perkowskiego miałem jeszcze „korepetycje" u paru doświadczonych orkiestrowych muzyków. Pamiętam ich nazwiska, warte utrwalenia w tej książce, tym bardziej, że zapisali się chlubnie w historii Filharmonii Krakowskiej, w okresie, kiedy była najlepszą orkiestrą w Polsce. Byli to koncertmistrze: I skrzypiec – Zdzisław Rezner i Leszek Izmaiłow, II skrzypiec – Stanisław Dobrzyński, wiolonczel – Józef Makowicz i Lucjan Solecki oraz skrzypkowie Karol Teutsch i Anatol Wasik. To oni właśnie po próbach brali mnie na bok i wskazywali błędy oraz dawali cenne rady, dotyczące stylu pracy i techniki dyrygenckiej.

Z tego pierwszego trudnego okresu warto jeszcze napisać o comiesięcznych nocnych podróżach z Krakowa do Łodzi. Zdarzało się, że po sobotnim koncercie odwieszałem do szafy frak i wsiadałem do pospiesznego pociągu, oczywiście do wagonu III klasy, gdzie w tłoku, na twardej ławce jechałem przez 7 czy 8 godzin. W tamtych czasach kursowały

jeszcze stare przedwojenne wagony zwane „towosami". Były to zwyczajne wagony towarowe („towos" to skrótowe połączenie dwóch słów: towarowy i osobowy!) z przymocowanymi do ścian ławkami. Jeździli nimi ludzie z dużymi bagażami, głównie handlarze. „Towosy" nie miały ogrzewania, oświetlenia, toalet. I parę razy jechałem nimi po koncertach całą noc, wciśnięty między podkrakowskie baby i gdaczące kury. Kiedy dzisiaj słyszę młodych ludzi narzekających na trudne warunki, nie mogę nie wspomnieć własnej młodości.

I na zakończenie tego podrozdziału zabawna historyjka. Przez pierwsze tygodnie zanim Perkowski zaproponował mi lokum w swoim mieszkaniu, wynajmowałem sublokatorski pokój u jakiejś starszej pani. Kiedy nadeszła pierwsza niedziela, pani gospodyni zaprosiła mnie na lampkę wina. W czasie rozmowy, zapytała nagle kokieteryjnie:

- A jak pan myśli, panie Józiu, ile ja mogę mieć lat?

Byłem wówczas naiwny i nie sądziłem, że to może być wstęp do nawiązania ewentualnych bliższych kontaktów. Potraktowałem pytanie na serio i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Dla mnie, dwudziestoczterolatka, każda kobieta po trzydziestce była stara. No, ale przecież nie mogłem tego powiedzieć. Pomyślałem, że skoro wygląda tak staro, to ma już chyba z sześćdziesiątkę. Aby jednak zrobić jej przyjemność, postanowiłem ująć 10 lat. I powiedziałem:

- Pięćdziesiąt.

Pani gospodyni zdrętwiała i z trudem wykrztusiła:

- Oh, mam zaledwie czterdzieści.

Poczułem się głupio i coś tam zacząłem bąkać, że „przepraszam", że „się omyliłem", że „się nie znam". Niewiele to pomogło. Pani przerwała rozmowę, a ja wyniosłem się z pokoju jak niepyszny. Postanowiłem wówczas, że nigdy więcej żadnej kobiecie nie powiem, ile ma lat. I słowa dotrzymałem. Na liczne pytania o wiek, bez względu czy zadała je starsza czy młodsza kobieta, zawsze odpowiadałem żartobliwie, wykrętnie, ogólnikowo. Najczęściej słowami „jestem pewien, że skończyła pani już osiemnaście lat". To satysfakcjonowało każdą.

Festiwal w Warszawie

Piotr Perkowski był od roku 1949 dyrektorem i kierownikiem artystycznym Filharmonii Krakowskiej, a I dyrygentem Witold Krzemieński. Z przyczyn, których nie znałem, na początku roku 51 Perkowski rozstał się z Krzemieńskim. Podejrzewałem, że główną przyczyną było niezrównoważenie nerwowe tego skądinąd naprawdę dobrego dyrygenta. Pamiętam, że muzycy w orkiestrze wręcz go nie znosili. Kiedy Krzemieński przestał pracować, Perkowski powiedział mi, że ja będę dyrygował dwoma koncertami na I Festiwalu Muzyki Polskiej w Warszawie. Byłem naprawdę przerażony. Miałem pełną świadomość moich niedostatków dyrygenckich. W tym miejscu muszę zaznaczyć, o czym dowiedziałem się dopiero od Perkowskiego, że zaraz po dyplomie Ministerstwo Kultury przyznało mi zagraniczne stypendium na studia na Zachodzie. Ale nie pojechałem, ponieważ Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego odmówiło wydania paszportu. A zupełnie konkretnie jedna pani, której nazwiska nie wymienię, a która decydowała o paszportach dla wszystkich artystów. Dla uszu osób, które nie przeżyły tamtych czasów, może to brzmieć wręcz niewiarygodnie. Taka jednak była ówczesna rzeczywistość. Moja przeszłość: przynależność do AK i „antyrządowa" działalność studencka przekreślały

jakąkolwiek możliwość wyjazdu na Zachód. Jestem pewien, że brak studiów np. w Paryżu czy Londynie u wybitnego dyrygenta zahamował mój rozwój. Całe życie „podpatrywałem" wielkich dyrygentów na koncertach, ale to nie to samo, co bezpośrednie lekcje, rozmowy, wskazówki. Jestem przekonany, że byłbym nieporównywalnie lepszym dyrygentem, gdybym wówczas mógł wyjechać na stypendium. Tak więc, tym razem całkowicie nie z mojej winy, nie mogłem rozwinąć wrodzonych zdolności. A mam prawo przypuszczać, że były potencjalnie duże.

Kiedy przerażony wiadomością o festiwalu zapytałem Perkowskiego czy nie byłoby lepiej, aby jakiś starszy, bardziej doświadczony dyrygent poprowadził tak odpowiedzialne koncerty, nakrzyczał na mnie.

- Wiem, co robię! Ma pan talent i młodzieńczy temperament. Orkiestra jest za panem. Do roboty!

Zaprzyjaźnieni koncertmistrze podtrzymali mnie na duchu, mówiąc: „Dasz sobie radę". A ja byłem coraz bardziej przestraszony. Dwa duże, różne programy dzień po dniu, w obecności elity polskich muzyków oraz przedstawicieli władz! Bo festiwal był pomysłem ministra Sokorskiego, który w ten sposób chciał przekonać twórców i wykonawców, że Partia sprzyja kulturze.

I jeszcze jedna dygresja. Przypominam sobie koncert Grupy 49. Trzech młodych kompozytorów: Baird, Krenz i Serocki, zawiązała w roku 1949 (stąd nazwa) grupę, której celem było połączenie nowoczesnej techniki z komunikatywnością. Był to inteligentny wybieg. W tzw. manifeście programowym głosili chęć dotarcia do nowego słuchacza. To tak ogólnikowe stwierdzenie spowodowało, ze min. Sokorski stał się ich orędownikiem. Program koncertu Grupy 49 w Warszawie zawierał po jednym utworze każdego z trzech członków. Nie różniły się od utworów innych współczesnych kompozytorów. Ale kiedy po zakończeniu imprezy spotkaliśmy się w małym gronie, Sokorski wygłosił przemówienie. Podkreślił w nim, że młodzi twórcy potrafili wcielić w życie idee socrealizmu. Obecni starali się nie patrzeć na siebie nawzajem, aby nie wybuchnąć śmiechem. Minister dał się po prostu „nabrać" na słowną deklarację Grupy 49. Obok niego siedział prezes Związku Literatów Polskich, Jarosław Iwaszkiewicz. Spotkałem go wówczas po raz pierwszy i wywarł na mnie wręcz odpychające wrażenie. Zachowywał się tak, jakby sam siebie „uroczyście obnosił". Chodząc – kroczył, podając rękę – wyświadczał łaskę, mówiąc – wieścił. Ilekroć potem miałem okazję spotkać Iwaszkiewicza na koncertach czy zebraniach, to pierwsze wrażenie zawsze się potwierdzało.

Wtedy, po koncercie Grupy 49, Iwaszkiewicz również zabrał głos. Celebrując każde słowo, pochwalił łaskawie młodych kompozytorów i zadał pytanie Sokorskiemu, dlaczego władze popierają ich utwory, a muzykę Szymanowskiego uważają za zbyt nowoczesną i trudną w odbiorze. A przecież kontynuuje ona tradycje chopinowskie i opiera się na folklorze góralskim. Oczywiście mówiąc o Szymanowskim, uroczyście powiedział „mój kuzyn". Sokorski usiłował coś tam mówić o trudnym w percepcji modernizmie Szymanowskiego, ale nie brzmiało to przekonywująco. A – o ile pamiętam – na tym jednym koncercie skończyła się działalność Grupy 49. Każdy z jej członków poszedł swoją droga. Można o tym dowiedzieć się z encyklopedii.

W programach moich koncertów festiwalowych nie było żadnych utworów Szymanowskiego, natomiast znalazły się utwory Krenza, Kotońskiego, Sikorskiego, Woytowicza. Na próby do Krakowa przyjechała ministerialna komisja, w skład której wchodzili m.in. prof. Zofia Lissa i naczelnik wydziału symfonicznego, Józef Szarewski.

O obu tych osobach jeszcze napiszę. Komisja zatwierdziła programy oraz moją osobę jako dyrygenta. Pisząc teraz te wspomnienia i odtwarzając odległą przeszłość, ze zdziwieniem stwierdzam, że mój – towarzyszący mi przez całe życie samokrytycyzm – był zapewne przesadny. Mając zaledwie niecałe dwadzieścia pięć lat, byłem już cenionym przez środowisko dyrygentem. O wiele później dowiedziałem się, że uważano mnie za jednego z lepszych akompaniatorów, a mój nadmierny czasem temperament wzbudzał uznanie wśród muzyków orkiestrowych i publiczności. Dużo mniejsze u recenzentów, ale o tym napiszę osobno. Dlaczego zatem nie zrobiłem tzw. kariery? Przypuszczam, że zaważyły różne czynniki pozamuzyczne. Spróbuję zanalizować je w zakończeniu tej książki.

Wypadek z ręką

Na początku roku 1951 dwie ciotki, z którymi w roku dyplomowym dzieliłem mieszkanko przy ulicy Akademickiej 3, otrzymały przydział na własne mieszkanie. Zawiadomiły Marysię, że zwalniają zajmowany dotąd lokal. Ona zapytała mnie czy nie reflektowałbym na niego. Moja ówczesna żona natychmiast podjęła decyzję: samodzielne mieszkanie w Warszawie było mimo wszystko lepsze niż wspólne, zajmowane dotąd w Łodzi. Choć łódzkie było większe i posiadało łazienkę. Ponadto moja żona była związana emocjonalnie z Warszawą, gdyż tam przed wojną rozpoczynała stomatologiczne studia. Tak więc wczesną wiosną, mniej więcej w okresie festiwalu, żona wraz z dzieckiem i matką zamieszkały w stolicy.

W drugiej połowie maja zwolniłem się na parę dni z pracy w Krakowie i pojechałem do nowego, warszawskiego mieszkania. I wtedy właśnie miałem groźny wypadek. W czasie przelewania resztek wina, ciężki 50-litrowy słój wysunął mi się z ręki, uderzył o podłogę, pękł, a jego ostra, rozbita część uderzyła w moje lewe przedramię, przecinając powyżej przegubu skórę, żyłę, mięśnie i – jak się potem okazało – także nerw. Krew „siknęła" dosłownie do sufitu. Całe szczęście, że żona nie straciła przytomności i wykorzystując medyczną wiedzę, ścisnęła jakimś paskiem moje ramię powyżej łokcia. Co było dalej – słabo pamiętam. Wezwano pogotowie, które zawiozło mnie do szpitala, do kliniki prof. Manteuffla. Tam na szczęście zastaliśmy dwóch asystentów profesora (pamiętam ich nazwiska: Jacyna i Juszczyński), którzy natychmiast się mną zajęli. Jeden z nich okazał się melomanem, chodził do filharmonii i niewykluczone, że był nawet słuchaczem mojego koncertu.

Operacja trwała parę godzin i nie zamierzam jej relacjonować. Młodym chirurgom udało się nawet znaleźć i zszyć przecięty nerw. Ale bólu, a raczej dwóch „bólów", kiedy złapali szczypczykami za nerw, a potem znieczulili go zastrzykiem, nie potrafię opisać. Następnie założyli opatrunek i unieruchomili gipsem rękę ze zgiętą o 90 stopni dłonią. W szpitalu spędziłem chyba tylko jedną noc. Po powrocie do domu, korzystając z pięknej pogody, przez całe cztery tygodnie do zdjęcia gipsu leżałem w łóżku przy otwartym oknie i czytałem, czytałem, czytałem. Nareszcie mogłem odrobić prawie dwuletnie zaległości w lekturze. To właśnie wtedy przeczytałem większość literatury francuskiej i angielskiej, nie licząc oczywiście polskiej. No i przede wszystkim rosyjskiej, której prawie nie znałem. Ponieważ w mojej rodzinie cała starsza generacja znała rosyjski, nie było w domu żadnych tłumaczeń; wszyscy czytali oryginały. Poza mną. Teraz dopiero mogłem poznać – niestety w tłumaczeniach – dzieła Tołstoja, Gogola, Lermontowa, Czechowa. Jedynie Dostojewskiego

za radą Marysi, zostawiłem „na później". I dobrze zrobiłem. Dostojewskiego zacząłem czytać dopiero po trzydziestce i prawie każdą książkę ciężko przeżywałem: traciłem sen, apetyt, humor. A w niektórych miejscach dosłownie mnie mdliło i to w sensie fizycznym. Doprawdy, Dostojewski był przerażającym geniuszem!

Po czterech tygodniach zdjęto mi gips. Oczywiście ręka była wychudzona, a dłoni nie mogłem wyprostować. Miałem jednak czucie w palcach, co oznaczało, że powiodła się operacja zszycia nerwu. Aby dłoń wróciła do normalnej pozycji, a przegub odzyskał sprawność, musiałem codziennie ćwiczyć ruchy ręką w miednicy z ciepłą wodą. Po kolejnych paru tygodniach mogłem swobodnie poruszać dłonią i palcami z wyjątkiem czwartego i piątego. Mogłem je zginać i choć były słabsze – chwytać przedmioty. Nie mogłem natomiast ich zsuwać i rozsuwać. Lekarze kazali mi chodzić na tzw. rehabilitację. Przyznaję ze wstydem, że zaniedbałem te wskazania i do dzisiaj oba palce wykazują niedowład. Tak więc nigdy już w życiu nie mogłem grać na wiolonczeli.

We wrześniu pojechałem do Krakowa i wówczas okazało się, że zamiast dwóch koncertów w tygodniu, będą teraz trzy. Perkowski uznał to zwiększenie za niezbędne, ponieważ w minionym sezonie ciągle brakowało biletów. Odejście Krzemieńskiego nie wpłynęło na obniżenie poziomu orkiestry, a ja mogę z satysfakcją stwierdzić, że moje koncerty cieszyły się powodzeniem. A było ich dużo. Prawie w każdym miesiącu pierwszego półrocza 51 wykonywałem po dwa programy z powtórzeniami. I zawsze przy tzw. nadkompletach. Może krakowskiej publiczności odpowiadał mój młodzieńczy, ekspansywny sposób dyrygowania i własne, niekonwencjonalne interpretacje? W każdym razie Perkowski w oparciu o doświadczenia minionego sezonu wprowadził coś zupełnie nowego, czego dotąd w Polsce nie było: trzy koncert w tygodniu z tym samym programem. Odbywały się w czwartki, piątki i soboty. Orkiestra reprezentowała tak wysoki poziom, że mogła wykonywać każdy program po czterech próbach. Oczywiście bilety na czwartek i sobotę były nieco tańsze. Eksperyment się powiódł. Sala na wszystkich trzech koncertach była wypełniona, a było na niej – o ile pamiętam – do 900 miejsc. Na parterze siedziała „normalna" publiczność, natomiast balkon zajmowały krakowskie szkoły. W środkowej części siedzieli profesorowie uczelni nie tylko artystycznych. Każdy piątkowy koncert był spotkaniem towarzyskim. Sławni artyści i naukowcy mogli pić kawę i wymieniać uwagi w dużym foyer pierwszego piętra. Boczna strona balkonu przeznaczona była wyłącznie dla studentów i uczniów. Nie pamiętam niestety czy mieli prawo do bezpłatnych biletów, czy tylko ulgowych. A w środku była loża dyrekcji, gdzie siedział Perkowski z żoną, panią Zosią Komorowską oraz zaproszeni goście.

I na zakończenie smutna refleksja. W owym czasie było nie do pomyślenia, aby na każdym koncercie, chyba że znajdowali się w tym dniu poza Krakowem, nie pojawiali się profesorowie PWSM. A były to sławy: Drzewiecki, Sztompka, Stefański, Czerny - Stefańska, Mikulski, Umińska, Zawadzka, Łobaczewska, Malawski, Rutkowski, Wiechowicz, Kisielewski, Ochlewski. Zaś studenci chodzili zarówno w piątki jak i soboty. Potem nawet także w czwartki. I jakoś znajdowali na to czas. A tymi studentami byli m.in. Penderecki, Semkow, Katlewicz, Woytowiczówna, Kord, Danczowska, Moszumańska, Łuciuk. Czy tamte czasy już nigdy nie wrócą? Co spowodowało, że zarówno pedagodzy jak uczniowie i studenci przestali chodzić na koncerty? Nie znam odpowiedzi na te pytania poza stwierdzeniem faktu: słuchanie muzyki na żywo przestało obecnie być nawykiem. Natomiast ja w różnych miastach Polski przez wiele lat spotkałem osoby o różnych zawodach, które z rozrzewnieniem mówiły: „Jako studenci chodziliśmy w Krakowie na pańskie koncerty".

„Mazowsze”

Na jesieni 1951 minister Włodzimierz Sokorski powiadomił mnie, że mam rozpocząć pracę jako dyrygent w Zespole Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Perkowski, choć niechętnie, musiał się na to zgodzić i w grudniu wyjechałem do Warszawy. Można by napisać – wróciłem. I to na pełne sześć lat. Czy miałem na pracę w „Mazowszu” ochotę, nikt się nie pytał. Taka była decyzja ministerstwa i gdybym jej nie przyjął, prawdopodobnie nie miałbym szans na zatrudnienie jako dyrygent w żadnej instytucji artystycznej. Jak mnie poinformował dyrektor Departamentu Muzyki (nie mogę odpowiadać za ścisłość tej nazwy, ponieważ reorganizacje w Ministerstwie Kultury odbywały się nader często), minister był na moich koncertach festiwalowych i osobiście uważał, że jestem potrzebny w „Mazowszu”, aby nie tylko dyrygować na występach, lecz także uczyć członków zespołu zasad i historii muzyki.

Do tego czasu nie widziałem ani nie słyszałem „Mazowsza”, ani nie interesowałem się muzyką ludową. Kiedy zatem w Karolinie na pierwszej próbie orkiestry, a raczej zespołu instrumentalnego, który towarzyszył chórowi i baletowi – usłyszałem utwory z repertuaru „Mazowsza” - byłem zdegustowany. Melodie wydały mi się naiwne, harmonizacja banalna, a instrumentacja wręcz fatalna. Nie rozumiałem, dlaczego wielu muzyków, w tym prof. Zofia Lissa, zachwycało się repertuarem „Mazowsza”. Podejrzewałem, że po prostu przypochlebiali się władzy. W ZSRR istniały tego rodzaju zespoły, z których np. „Bieriozka”, chór Aleksandrowa czy balet Moisiejewa zdobyły światową sławę. Również w innych krajach tzw. obozu socjalistycznego władze popierały tworzenie zespołów ludowych, aby podkreślić więź z narodową kulturą i tradycją.

Jak wiadomo, założycielem „Mazowsza” był Tadeusz Sygietyński. Mówiono mi, że studiował u znanych kompozytorów. Być może, ale zajmowanie się przez wiele lat wyłącznie muzyką rozrywkową w przedwojennych rewiach i kabaretach, spłyciło w sposób decydujący jego stosunek do muzyki. Z młodzieńczą bezkompromisowością określałem muzyczną oprawę „Mazowsza” jako chałturę, tandetę, „knajpę”. Kiedy zapytałem Sygietyńskiego, z czego będę dyrygował, parsknął tylko nieprzyjemnym, szyderczym śmiechem. Czekałem na odpowiedź, czując, że – jak to się potocznie mówi – wszystko się we mnie w środku gotuje. Wreszcie niechętnie odpowiedział: „Zrobimy dla pana z głosów partytury.” I położył kpiący nacisk na słowo „partytury”. Wyraźnie było widać, że uważa mnie za narzuconego przez władze intruza, który będzie mu tylko przeszkadzał. Może odsunięcie go od pulpitu traktował jak degradację? Później dowiedziałem się, że był już w tym czasie alkoholikiem i zdarzało się, że przychodził na występy pijany i nie wiedział, co dyryguje. Raz po raz dochodziły do mnie skandaliczne plotki o Sygietyńskim i jego żonie Mirze Zimińskiej, ale nie będę ich tutaj przytaczał. Epizod z „Mazowszem” trwał zaledwie parę miesięcy i nie miał większego znaczenia w moim życiorysie.

Dostarczono mi napisane odręcznie z głosów przez kopistę partytury tańców i piosenek. Najzabawniejsza była – o ile pamiętam – „Przepióreczka”. Cała „partytura” składała się z 16 taktów i słownego dopisku: „powtarzać 27 razy!” Sygietyński nie zadał sobie trudu, aby zmienić w jakikolwiek sposób instrumentację, powierzając np. melodię różnym instrumentom. Uznał to widocznie za zupełnie zbędne. Na mojej pierwszej próbie okazało się jednak, że orkiestra gra czasami forte, a czasami piano, raz nieco wolniej, a raz szybciej.

Tak więc musiałem dopisać w „partyturze" następujące uwagi: 9 x piano, 16 x wolno, 19 x fortissimo, 21 x bardzo szybko itd. itd. Wyjątkowo twórcze uwagi!

W tygodniu, w którym nie było występów, mówiłem członkom chóru o podstawach muzyki i jej historii. Te kontakty wspominam z przyjemnością: młodzież okazywała prawdziwe zainteresowanie. Pewnego dnia jedna z solistek chóru (śpiewała sentymentalną piosenkę „Ej, przeleciał ptaszek") powiedziała mi w zaufaniu, że pisze wiersze. Pokazała brulion, abym mógł parę przeczytać. Pochwaliłem ją i zachęciłem do dalszych poetyckich prób. Po iluś latach dowiedziałem się, że opuściła „Mazowsze", wyszła za mąż za solistę mojego dyplomowego koncertu, Stasia Santora i została piosenkarką – Ireną Santor.

Już w styczniu 1952 roku „Mazowsze" pojechało do Budapesztu. Zakwaterowano nas w starym luksusowym hotelu na wyspie św. Małgorzaty. Oczywiście socjalistyczne władze słowo „świętej" usunęły. W tym to hotelu miały miejsce zabawne incydenty, o których relację z braku miejsca pominę. Dochodzę do wniosku, że poza tą oficjalną autobiografią, powinienem napisać druga książkę, rodzaj aneksu, zawierającego wyłącznie autentyczne anegdoty z mojego życia. „Mazowsze" wystąpiło parę razy i dokonało radiowego nagrania wybranych piosenek. Wszystkim dyrygowałem ja. Pomimo że nie jestem specjalnie bystrym obserwatorem, zauważyłem, że Sygietyński wyraźnie cierpiał z powodu odsunięcia go od pulpitu. Nie wystarczało mu, że po występie wychodził na scenę, gdzie był oklaskiwany jako twórca zespołu. On chciał dyrygować. Przypuszczam, że liczył na to, iż zespół będzie wolał, aby to on stanął za pulpitem. Tymczasem – jak myślę – młodzież miała dosyć jego wręcz ordynarnych zachowań i wulgarnych słów, których byłem nieraz świadkiem. Ponadto między mną a członkami zespołu różnica wieku wynosiła zaledwie parę lat. To ułatwiało współpracę.

Niemal przez cały czas pobytu w Budapeszcie Sygietyński chodził z lekka podpity, a wieczorem po występach – całkowicie pijany. Poza całodziennym obfitym, złożonym z trzech posiłków, wyżywieniem, Węgrzy dali kierownictwu bloczki, w których było po kilkanaście małych, kwadratowych taloników na napoje orzeźwiające, alkohole, kawę, ciastka, lody. Drugiego dnia Sygietyński zauważył, że nie piję żadnego alkoholu i zaproponował, że odda mi swoje talony na słodycze w zamian za moje talony na alkohole. Zawsze lubiłem słodycze pod każdą właściwie postacią i z radością dokonałem wymiany. W tamtym okresie nie byłem bynajmniej abstynentem, ale chyba nigdy nie zdarzyło się, abym pił w dniach występów. A tym bardziej pracując z młodzieżą. Sygietyński musiał to zauważyć i coraz częściej patrzył na mnie „spode łba", skubiąc – jak miał w zwyczaju, kiedy był zdenerwowany – palcami wargi. Czułem, że konflikt narasta.

Zachowałem na pamiątkę zdjęcie ze złożenia wieńca pod jakimś pomnikiem. Widać na nim z przodu przedstawicieli młodzieży, dyrektora administracyjnego „Mazowsza" i mnie oraz z tyłu cały zespół. Zabrakło Sygietyńskiego i Zimińskiej. Być może „odsypiali" nocne pijaństwo.

Zapytałem gospodarzy czy mógłbym spotkać się z mieszkającym w Budapeszcie, największym po śmierci Bartoka kompozytorem węgierskim, Zoltanem Kodaly. Zorganizowano kolację w ostatni wieczór przed wyjazdem. Kupiono bukiet, który miałem wręczyć pani Kodaly i w towarzystwie tłumaczki oraz przedstawicieli polskiej ambasady i węgierskiej agencji koncertowej, złożyliśmy wizytę w mieszkaniu kompozytora. Zadawałem mu wiele pytań, na które chętnie odpowiadał. Najciekawsze było jednak obserwowanie stosunku pomiędzy Kodalym a jego żoną. Czuło się emocjonalną więź tych dwojga w każdym geście, słowie, spojrzeniu. Kodaly zauważył, że ich obserwuję i z uśmiechem powiedział:

- A wie pan, że każdą nową kompozycję najpierw przegrywałem mojej żonie. Jeżeli nie spodobała się jej, niszczyłem bez żalu.

Po tych słowach żona wyciągnęła do niego rękę, którą uścisnął z widoczną czułością. I ten wzruszający obraz do dzisiaj przechowuję w pamięci.

Zostawiłem na zakończenie relacji z pobytu na Węgrzech opis dwóch przeżyć artystycznych. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie i w jakich godzinach odbywały się występy „Mazowsza", ale nie kolidowały one z przedstawieniami w operze, która w owym okresie należała do czołowych scen w Europie. Dzięki temu układowi mogłem obejrzeć dwa balety Czajkowskiego: „Dziadka do orzechów" i „Jezioro łabędzie" z Norą Kovačs i usłyszeć „Borysa Godunowa". Te przedstawienia to były kolejne wielkie przeżycia, które w zasadniczy sposób wpływały nie tylko na mój rozwój zawodowy, ale także pogłębiały wrażliwość na piękno. O Norze Kovačs mówiono mi, że właśnie skończyła szkołę baletową w Moskwie, ma 19 lat i od razu została primabaleriną. Tańczyła w tak poetycki, uduchowiony sposób, że jeszcze dzisiaj to pamiętam. Nigdy potem nie spotkałem się z tym nazwiskiem i nie wiem, jak potoczyły się jej dalsze losy.

Znałem wcześniej poszczególne arie z „Borysa Godunowa", a nawet scenę w karczmie. Pieśń Warłaama, kiedy usłyszałem ją pierwszy raz – wywarła na mnie wstrząsające wrażenie. Ale w porównaniu z całą operą tamte przeżycia zbladły. Do dzisiaj „Borys Godunow" jest dla mnie największym dziełem operowym w historii. I nawet kiepskie wykonania we wrocławskiej operze nie zachwiały moim uwielbieniem dla tej genialnej muzyki. Nie miejsce tutaj na jakąkolwiek analizę. Pamiętam, że po przedstawieniu w Budapeszcie byłem tak wstrząśnięty, iż nie mogłem w ogóle rozmawiać z towarzyszącą mi tłumaczką. Biedna, nie rozumiała, co się ze mną dzieje i z uporem dopytywała czy nie jestem chory. W nocy nie mogłem spać, bo w pamięci miałem tę jedyną i niepowtarzalna muzykę. I myślę, że warto było męczyć się przez parę miesięcy w „Mazowszu" dla usłyszenia w operze budapesztańskiej „Borysa Godunowa". Zaiste nie jest frazesem banalne powiedzenie, że dziwnie się plotą ludzkie losy.

Odchodzę z „Mazowsza"

Po powrocie z Węgier dowiedziałem się, że niebawem odbędą się obchody sześćdziesiątej rocznicy urodzin Bolesława Bieruta, wówczas prezydenta Polski. Zaplanowano m.in. uroczysty koncert, na którym miało wystąpić „Mazowsze". Przewidziano wykonanie dwóch utworów: jakiegoś tańca oraz piosenki, specjalnie na tę okazję skomponowanej przez Sygietyńskiego. Chór uczył się słów i melodii, a ja zacząłem próby z orkiestrą. Znalazłem i poprawiłem sporo błędów nutowych. Wreszcie nadszedł czas na pierwsze wspólne spotkanie. W sali prób zebrały się już chór i orkiestra, kiedy nagle pojawił się Sygietyński. Byłem pewien, że chce jako kompozytor posłuchać swojego utworu. Tymczasem on bez słowa podszedł do dyrygenckiego pulpitu i odsunął go na bok. Wstałem z krzesła, na którym siedziałem, czekając na rozpoczęcie próby i zapytałem półgłosem:

- Co pan robi?

- Ja będę dyrygował! – bardziej warknął niż powiedział Sygietyński. Poczułem przypływ wściekłości.

- Ja tutaj jestem dyrygentem i to ja będę dyrygował – twardo zareagowałem i na oczach całego zespołu postawiłem pulpit z powrotem na miejsce. Sygietyński spojrzał

na mnie i widocznie po wyrazie twarzy zorientował się, że nie ustąpię. Przez chwilę stał niezdecydowany, poczem bez słowa, szybkim krokiem opuścił salę. A ja, jak gdyby nic się nie stało, rozpocząłem próbę.

Następnego dnia w Karolinie zjawił się dyrektor departamentu, Jerzy Jasieński. Wziął mnie na bok i zaczął tłumaczyć, że Sygietyński skomponował piosenkę specjalnie dla prezydenta Bieruta i chciał mu ją sam zadyrygować na urodzinowym koncercie. Odparłem, że ja jestem dyrygentem i komponowanie nie ma nic wspólnego z dyrygowaniem. Jasieński na to, że Sygietyński zgodził się, abym ja zadyrygował tańcem, a on tylko piosenką. I prosił, abym przystał na ten kompromis. Ale ja nie chciałem ustąpić. Po paru minutach dyskusji Jasieński oświadczył, że jako przedstawiciel ministra ustala, że występem „Mazowsza" na koncercie tym razem wyjątkowo będzie dyrygował Sygietyński jako jego założyciel. A ja na to krótko:

- To ja składam rezygnację z pracy.

- Niech pan to jeszcze przemyśli – powiedział pojednawczo Jasieński i poszedł posłuchać próby. A ja opuściłem Karolin i pojechałem do domu.

Już nie pamiętam, jak to było dokładnie, ale chyba następnego dnia złożyłem w Ministerstwie Kultury wizytę dyrektorowi Jasieńskiemu i wręczyłem mu rezygnację z pracy w „Mazowszu". A przy okazji powiedziałem, co sądzę o muzycznej wartości zespołu. Miałem poza swoim przekonaniem dodatkowy argument. Po powrocie z Węgier pokazano mi tłumaczenie kilku recenzji z wcześniejszych występów „Mazowsza" w Bułgarii. Obok zwykłych pochlebnych, była jedna bardzo krytyczna, wręcz miażdżąca. W specjalistycznym muzycznym czasopiśmie recenzent stwierdził, że repertuar prezentowany przez „Mazowsze" nie ma nic wspólnego z polskim folklorem. Po przedstawieniu rzeczowych argumentów autor napisał, że w polskiej muzyce ludowej nie ma trzygłosowych (dwa żeńskie i jeden męski) piosenek, że nie ma zespołu instrumentalnego, który jest poszerzoną orkiestrą salonową, tzw. „Odeonem" i że układy taneczne są wprawdzie efektowne widowiskowo, ale bardziej przypominają rewię niż ludowe tańce.

Jasieński wysłuchał mnie, a potem oświadczył, co cytuję dosłownie:

- Ale cała Polska śpiewa piosenki „Mazowsza".

A ja na to bez chwili namysłu:

- Cała Polska pije wódkę!

Jasieńskiego – jak się mówi potocznie – zamurowało. Po chwili wyjąkał:

- Pan tak dziwnie mówi.

Nie wytrzymałem i powiedziałem wręcz niegrzecznie:

- Nie, to pan mówi dziwnie. To, że cała Polska coś robi, to wcale nie znaczy, że to jest dobre. (Cytuję dosłownie i stąd te „chropowatości" językowe i nadmierne powtarzanie zaimka „to").

Na tym nasza rozmowa została zakończona. Nie muszę chyba wyjaśniać, że odtąd miałem w dyrektorze Jasieńskim wroga.

Naczelnikiem wydziału symfonicznego w Ministerstwie Kultury był Józef Szarewski. Należał do tych ludzi, którzy pomagali mi bezinteresownie w pierwszych latach mojej pracy dyrygenckiej. Wprawdzie parę razy starliśmy się nawet ostro, ale potem nasze stosunki wracały do normy. Zaraz po zakończeniu rozmowy z Jasieńskim poszedłem do Szarewskiego. Przedstawiłem mu swoją sytuację. Półgłosem stwierdził, że od początku uważał pomysł skierowania mnie do „Mazowsza" za kiepski i obiecał, że w ciągu paru dni zaproponuje mi jakąś odpowiednią posadę. Domyślałem się, że nie lubił ani ministra, ani

swojego bezpośredniego szefa, dyrektora departamentu, Jasieńskiego. Kiedy przyszedłem po paru dniach do Szarewskiego, wręczył mi nominację na kierownika muzycznego orkiestry Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Jednocześnie w zaufaniu powiedział, że orkiestra stanowi zbieraninę muzyków, którzy z powodu niskich kwalifikacji nie dostali się ani do opery ani tym bardziej do radia. Aby zapewnić im pracę (w PRL nie mogło przecież istnieć bezrobocie), ministerstwo zorganizowało i dotowało małą orkiestrę symfoniczną, która występowała w sezonie letnim na świeżym powietrzu, np. w parku Paderewskiego, a w zimie w rozmaitych klubach, dysponujących odpowiednimi salkami. Stałym dyrygentem był jakiś nieznany mi „operetkowicz". Szarewski miał nadzieję, że uda mi się choć trochę podnieść poziom zespołu.

Ta nadzieja okazała się niestety złudna. Na pierwszą próbę rozłożono nuty uwertury „Włoszka w Algierze". Wstęp jakoś „przeleciał", chociaż dęte fałszowały niemiłosiernie. Ale już pierwsze takty Allegro pokazały, że pracujący dotąd z orkiestrą dyrygenci nie potrafili wyegzekwować tak prostych spraw jak dynamika, precyzja rytmiczna, nie mówiąc o artykulacji. Muszę jednak uczciwie przyznać, że uwertury Rossiniego są trudne nawet dla dobrych orkiestr. Po próbie powiedziałem stałemu etatowemu dyrygentowi, że nie zamierzam odsuwać go od występów, z czego wyraźnie się ucieszył. Ja natomiast postanowiłem przygotować program pierwszego swojego koncertu, który zaplanowałem dopiero na jesień.

Aby zakończyć krótki, zaledwie paromiesięczny epizod z „Mazowszem" dodam jeszcze, że niebawem na kierownika artystycznego zespołu minister Sokorski powołał Andrzeja Panufnika. I on także wytrzymał zaledwie parę miesięcy. A po nim – jeżeli mnie pamięć nie myli – w „Mazowszu" krótko pracowali jeszcze Stanisław Wiechowicz i Henryk Czyż. Te zabiegi były z góry skazane na niepowodzenie. Wszyscy wyżej wymienieni zajmowali się zupełnie inną muzyką i kierowanie ich do zespołu wykonującego fałszowany folklor w wydaniu rewiowym – było dowodem przeceniania wartości „Mazowsza". To, co robili Sygietyńscy, należało do rozrywki. Nie neguję społecznej potrzeby istnienia muzyki rozrywkowej, ale ma ona doprawdy niewiele wspólnego z tą muzyką, którą określa się różnie, a przeważnie nieadekwatnie jako poważną, klasyczną, wielką, prawdziwą, czystą lub przez duże M.

„Skolimów"

Pierwszym dużym zespołem pieśni i tańca był oczywiście wojskowy, zorganizowany zaraz pod wojnie, który powstał już w 1946 roku z połączenia różnych zespołów frontowych. O ile się nie mylę, początkowo śpiewali w nim późniejsi sławni soliści, jak np. Bernard Ładysz (dłużej) i Andrzej Hiolski (krócej). Wytłumaczenie tego faktu jest proste. W tamtych ciężkich powojennych latach praca w Zespole Domu Wojska Polskiego, bo tak brzmiała chyba oficjalna nazwa, zapewniała określone przywileje oraz nadzieję na przydział mieszkania w Warszawie w przyspieszonym trybie. Wydaje mi się, że zespół dysponował nawet pełną symfoniczną orkiestrą. „Mazowsze" przesłoniło wojskowych swoim widowiskowym rozmachem, a w 1952 roku powstał jeszcze jeden duży zespół – „Śląsk". Repertuar opierał się początkowo tylko na folklorze śląskim, ale skład zespołu różnił się od „Mazowsza". Pełen czterogłosowy chór mieszany i orkiestra symfoniczna od razu zapewniły mu wyższy poziom muzyczny oraz szersze możliwości wykonawcze. Ponadto założyciel „Śląska",

Stanisław Hadyna, miał za sobą rzetelne studia. Piszę o zespołach pieśni i tańca, ponieważ na wiosnę 1952 roku zaproponowano mi stanowisko kierownika muzycznego tworzącego się nowego zespołu, tym razem Centralnej Rady Związków Zawodowych (CRZZ). Pozycję tej organizacji można w pewnym sensie porównać z późniejszą pozycją „Solidarności". Zgodnie z maksymą Lenina, że związki zawodowe są transmisją Partii do narodu, CRZZ miała znaczący wpływ na wewnętrzną politykę państwa. Jej przedstawiciele zajmowali wysokie stanowiska w różnych władzach, a przewodniczący, Wiktor Kłosiewicz, był zarazem posłem na sejm i członkiem Rady Państwa. I to on podobno wpadł właśnie na pomysł, aby ożywić tradycje kultury robotniczej i folkloru miejskich przedmieść przy pomocy zespołu pieśni i tańca. Pomysł można było uznać za trudny do zrealizowania, ale kto ośmieliłby się dyskutować z towarzyszem przewodniczącym? Główną realizatorką została Jadwiga Mierzejewska. Była to ciekawa postać. Będąc już przed wojną dyplomowaną choreografką, poświęciła się sztuce ludowej. Jej zespoły występowały w kraju i za granicą. Za działalność konspiracyjną więziona na Pawiaku, a następnie wywieziona do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Po powrocie do Polski zajmowała się szkoleniem instruktorów tańca ludowego i układaniem masowych tańców na stadionach z okazji świąt państwowych. Tego wszystkiego dowiedziałem się od różnych osób, zanim zacząłem pracować. A później sama Mierzejewska uzupełniła te informacje o wiele interesujących szczegółów. Przez dwa lata naszej współpracy nie mieliśmy ani jednej scysji, co osoby z najbliższego otoczenia uważały za coś niezwykłego. Mierzejewska była apodyktyczna, szorstka w obejściu i niechętnie wysłuchiwała odmiennych opinii. Zdarzało się, że mieliśmy różne zdania, ale zawsze znajdowaliśmy jakiś consensus. Zwracała się do mnie niezmiennie per „towarzyszu Józefie", a ja mówiłem do niej „pani Jadwigo". Jej charakterystykę mogę zakończyć krótkim stwierdzeniem: była całkowicie oddana swojej pracy. Przez całe moje długie życie niewielu spotkałem ludzi z taką pasją. Jadła byle co, ubierała się byle jak. Piła ogromne ilości kawy i paliła papierosa za papierosem. Kładła się spać w środku nocy, wstawała o świcie. Niezwykłą energię czerpała – jak się wydawało – właśnie z owej pasji tworzenia. I swoim zapałem oddziaływała na innych.

Siedzibą Zespołu Pieśni i Tańca Centralnej Rady Związków Zawodowych (bo taką nadano mu nazwę) miał być dawny związkowy ośrodek szkoleniowy w Skolimowie pod Warszawą, małej miejscowości wypoczynkowej koło Konstancina. Potem dla wygody, mówiono po prostu: zespół „Skolimów". Szybko adaptowano dotychczasowe budynki i wznoszono nowe, m.in. salę baletową i dwa osobne internaty: dla dziewcząt i chłopców. Po długich i gwałtownych nieraz dyskusjach ustalono, że przyjmować się będzie wyłącznie kilkunastoletnią młodzież. Zaakceptowano moją propozycję, aby przyjmować chętnych nie tylko do chóru i baletu, lecz także do orkiestry. Nie chciałem, aby tak jak w „Mazowszu" orkiestra składała się z „chałturzących", pseudozawodowych, dorosłych muzyków. Proponowałem eksperyment, polegający na tym, że uzdolniona młodzież uczyłaby się niemal od początku równolegle gry na instrumencie i umiejętności zespołowego muzykowania. Sam opracowałem najprostsze krótkie utwory, np. menuety Haydna czy Mozarta, na istniejący skład i aktualne możliwości techniczne uczniów. Najpierw dla smyczkowców w pierwszej pozycji, potem także w trzeciej itd. Była to pasjonująca praca. Z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc młodzież robiła postępy indywidualne i zespołowe. Pamiętam pierwszą próbę. Polegała na wspólnym wolnym graniu gamy przez jedną oktawę, ale równo i razem, raz głośno – raz cicho. Szkoda, że ten interesujący eksperyment nie został spopularyzowany i doprowadzony do końca. Kiedy po dwóch latach odchodziłem ze „Skolimowa", orkiestra

potrafiła akompaniować już chórowi i baletowi oraz samodzielnie wykonywać różne drobne utwory.

W lecie 52 odbyły się przesłuchania. Kandydatów do chóru i orkiestry sprawdzano pod względem zdolności muzycznych: słuchu, poczucia rytmu, pamięci. Tzw. muzykalność ocenialiśmy na podstawie zaśpiewanej piosenki. I tak, jeżeli ktoś miał dobre wyniki, a brakowało mu głosu, kierowaliśmy go do orkiestry. A jeśli miał dużą rękę z szerokim rozstawem palców, przydzielaliśmy go do przyszłej grupy wiolonczel. Jeśli zaś w dodatku był rosły – miał zostać kontrabasistą. Pamiętam, jak jeden z kandydatów śmiało powiedział, że chce grać na perkusji. Oczywiście wyraziliśmy zgodę, a niebawem okazało się, że robił wręcz niezwykłe postępy. Po rozwiązaniu zespołu w 1956 roku, skończył szkołę muzyczną i został dobrym zawodowym perkusistą. Podobnie było z innymi członkami orkiestry. Większość poszła do szkół muzycznych i zasiliła orkiestry filharmoniczne i operowe. Również część chórzystów śpiewała potem w zawodowych chórach, a parę osób zostało nawet solistami w operach. O ile się orientuję, także członkowie baletu znaleźli zatrudnienie w różnych zespołach tanecznych, z „Mazowszem" włącznie. Było dla mnie pociechą, że nasza praca nie poszła na marne. Założeniem kierownictwa „Skolimowa" było możliwie wszechstronne wykształcenie młodzieży, tak aby po opuszczeniu zespołu, mogła wykonywać zawód instrumentalisty, śpiewaka czy tancerza. Kierownikiem chóru na mój wniosek został Zbigniew Soja, chórmistrz zawodowego chóru Filharmonii Krakowskiej. Był w równym stopniu entuzjastą dawnej muzyki jak i współczesnych artystycznych opracowań pieśni ludowych (np. Wiechowicza). W szybkim czasie chór „Skolimowa" śpiewał madrygały i motety, co zresztą wzbudzało zastrzeżenia partyjnych dygnitarzy CRZZ. Nie mogli pojąć, że to, co uważali za propagowanie muzyki religijnej – było w rzeczywistości niezbędnym szkoleniem chórzystów. Kształcenie zespołu baletowego oparto na balecie klasycznym, którego uczył Zygmunt Dąbrowski, przed wojną czołowy tancerz Opery Warszawskiej. A elementów tańca ludowego uczyły znane tancerki i choreografki, m.in. Jadwiga Hryniewiecka. Żałuję, że nie pamiętam nazwisk pedagogów uczących młodzież teoretycznych przedmiotów muzycznych. Słyszałem jednak, już po odejściu z zespołu, że niektórzy z nich zostali później profesorami wyższych uczelni.

Dzięki Mierzejewskiej poznałem wielu ludzi z kręgu kultury, a także różnych partyjnych dygnitarzy. Ponadto, mieszkając w Warszawie, miałem okazję spotykania ciekawych osób przy rozmaitych okazjach. Pomógł mi w tym Perkowski, przebywający w stolicy jako działacz Związku Kompozytorów Polskich. O ile pamiętam, w roku akademickim 1952/53 lub następnym, prowadziłem studencką orkiestrę w warszawskiej PWSM. Niestety z miernym skutkiem, ponieważ uczelnia nie była jeszcze rozbudowana i nie udało się „zmontować" sensownego składu. Tak więc po jednym roku zrezygnowałem, choć ówczesny rektor, Stanisław Szpinalski, z którym wspólnie występowałem w Krakowie, chciał mnie zatrzymać.

I jeszcze jedna informacja z początkowego okresu pracy w „Skolimowie". Otrzymałem mieszkanie na Starym Mieście, w pierwszym zbudowanym domu przy ulicy Piwnej 3/5. A naprzeciwko mnie także Zbigniew Soja. Pomieszczenia były małe i niskie, „wtłoczone" na siłę w zrekonstruowany front budynku. Do dzisiaj nie mam pewności czy decyzja odbudowy Starego Miasta w dawnym, zewnętrznym kształcie była słuszna. Na początku uważałem ją za pozbawioną w ogóle sensu, uważałem, że tańsza, szybsza i efektywniejsza byłaby budowa nowoczesnych bloków. Ale po latach, przechodząc przez „postarzałe" uliczki i place, myślę, że dla młodego pokolenia nawet odbudowana Starówka stała się już częścią historii Warszawy.

Ciekawe spotkania

Dla przyszłej orkiestry trzeba było kupić instrumenty. W tamtych czasach istniała już – jak mi się wydaje – Centrala Handlowa Przemysłu Muzycznego (CHPM), która – jak większość tego typu instytucji państwowych – miała monopol na import i eksport, w tym przypadku instrumentów. W budżecie Ministerstwa Kultury istniała pula dewizowa, którą co roku rozdzielano dla instytucji muzycznych. Rzecz jasna, że własne środki dewizowe miały nie tylko inne ministerstwa, ale także KC i oczywiście CRZZ. Za własne dewizy, przy obowiązującym pośrednictwie CHPM, sprowadzono instrumenty dęte i perkusyjne. A na zakupy instrumentów smyczkowych dano mi do dyspozycji bliżej nieokreśloną – co dobrze pamiętam – kwotę złotówkową. Po uzyskaniu informacji z różnych źródeł: Stowarzyszenia Lutników, Ministerstwa, CHPM – ruszyłem do większych i mniejszych ośrodków. Jeździłem pociągami i autobusami, aby odnaleźć lutników i prywatnych posiadaczy instrumentów smyczkowych. Czasem udawało mi się kupić w jednym miejscu kilka, czasem tylko jeden. Ale wszystkie były lutnicze, czyli ręcznie robione. Pamiętam, że udało mi się zdobyć jednego oryginalnego Steinera (dostał go przyszły koncertmistrz, czyli najzdolniejszy kandydat na skrzypka!), jednego Klotza i jednego Vuillaume´a. Pamiętam to dobrze, ponieważ za te skrzypce zapłaciło CRZZ duże sumy, a Stowarzyszenie Lutników potwierdziło ich autentyczność.

I jedna refleksja. Starożytne systemy autorytarne zostawiły nam „w spadku" Karnak, Persepolis, Colosseum. Średniowiecze – katedry gotyckie. Te arcydzieła mogły powstać tylko dlatego, że wola jednego władcy, świeckiego lub duchowego, uruchamiała setki i tysiące ludzi. Nawet w demokratycznych Atenach to quasi dyktatorska władza Peryklesa umożliwiła zbudowanie Akropolu. Niewątpliwie autorytarne rządy w okresie zwanym stalinowskim pozwoliły na to, aby jednoosobową decyzją przewodniczącego CRZZ stworzyć taki zespół jak „Skolimów". I zapewnić dzieciom z ubogich rodzin możliwość nauki, rozwinięcia wrodzonych zdolności i zdobycia upragnionego zawodu. Rzetelne przedstawienie plusów i minusów okresu PRL powinno się – moim zdaniem – zostawić wyłącznie historykom, nieobciążonym „garbem" upolitycznionej ideologii.

Kolejną ważną sprawą było ustalenie pierwszego programu. Mierzejewska po wielogodzinnych dyskusjach w naszym kierowniczym gronie oraz rozmowach z Kłosiewiczem i Arturem Starewiczem, sekretarzem CRZZ do spraw propagandy, któremu podlegała także oświata i kultura – ustaliła ogólny zarys repertuaru. Miał zawierać pieśni i tańce z dwóch mniej znanych regionów: rzeszowskiego i podlaskiego oraz oczywiście tzw. pieśni masowe. Chcieliśmy zaprezentować zupełnie nowe piosenki i mnie „oddelegowano" do rozmów z poetami i kompozytorami. Najpierw musiałem uzyskać wiersze, które stałyby się tekstami przyszłych piosenek. Odbyłem rozmowy z Broniewskim, Kołaczkowską, Dobrowolskim, Prutkowskim. Zapewne tych rozmów było więcej, ale tylko te nazwiska zapamiętałem. Nie udało mi się skontaktować z Gałczyńskim. Kiedy poszedłem do jego mieszkania przy alei Róż, otworzyła mi żona i powiedziała, że niestety mąż jest zbyt chory (umarł w parę miesięcy później), aby mnie przyjąć.

W tym miejscu chciałbym zrobić dygresję. Osobiście uważam Broniewskiego za jednego z największych polskich poetów XX wieku. Do liryk, zawartych w dwóch tomikach „Bagnet na broń" i „Drzewo rozpaczające", wracam do dzisiaj. W latach pięćdziesiątych

wiedziałem już o jego postępującym alkoholizmie i przypuszczam, że w biografiach znajdują się wyjaśnienia przyczyn tej choroby. Ja w każdym razie już wówczas je znałem, ponieważ w Warszawie mówiło się o tym głośno. Dodatkowe informacje otrzymałem nawet w CRZZ, które organizowało mu spotkania z robotnikami w zakładach pracy. Z uwagi na wyjątkową pozycję Broniewskiego, postanowiliśmy zaprosić go do Skolimowa, aby bezpośrednio mógł poznać zespół. A dla młodzieży spotkanie z wybitnym, sławnym poetą miało stać się ważnym wydarzeniem o charakterze wychowawczym. Rano zabrałem Broniewskiego z Warszawy pożyczoną nam na tę okazję limuzyną z CRZZ i przywiozłem do Skolimowa. Posłuchał chóru, obejrzał balet, przeszedł się po całym terenie ośrodka, a następnie spotkał się z młodzieżą. Był miły, uśmiechnięty, życzliwy. Chętnie odpowiadał na pytania. Po tym spotkaniu zaplanowano obiad w miejscowej restauracji, a następnie drugie spotkanie z tzw. aktywem młodzieżowym i powrót do Warszawy. Na obiad – za co nie dam głowy – poszły cztery osoby: Broniewski, administracyjny dyrektor zespołu (który miał uregulować rachunek), ja i chyba nauczyciel od spraw polityczno - wychowawczych. Kiedy usiedliśmy w restauracji przy zarezerwowanym stole, Broniewski od razu powiedział, że jest spragniony. Na propozycję wypicia wody mineralnej, soku, oranżady – odpowiedział odmownie. Konfidencjonalnym tonem poprosił o „wódeczkę". Struchlałem, ponieważ słyszałem czym się kończy taka „wódeczka". Ale co było robić, trzeba było spełnić prośbę tak znamienitego gościa. Zamówiliśmy „ćwiartkę", mając nadzieję, że taka ilość na cztery osoby nie wystarczy, aby Broniewski zdążył się upić. Wódkę rozlewaliśmy z przerwami, licząc że spożywane kolejno dania złagodzą działanie alkoholu. Niestety. Po dwóch czy trzech kieliszkach Broniewski zaczął głośno rozprawiać o swojej poezji, potem wstał i rozglądając się po sali, powiedział:

- A teraz zadeklamuję swój wiersz.

I zanim zdążyliśmy go powstrzymać, opierając się o stół wgramolił się z trudem na krzesło. I rzeczywiście zaczął deklamować na cały głos jakiś wiersz. Byłem przerażony. Nieliczni na szczęście goście przerwali konsumpcję i z rozbawieniem obserwowali nasz stół. Na domiar złego Broniewskiemu zaczęła w deklamowaniu przeszkadzać sztuczna szczęka. Przerwał, wyjął ją i kontynuował deklamację. Nigdy nie zapomnę tej sceny. Teraz, po dziesięcioleciach widzę ją z przeraźliwą dokładnością. W małej salce prowincjonalnej restauracji stoi na krześle wielki poeta i miamle, bo bez zębów nie potrafił już wyraźnie mówić, swój wiersz, wymachując ręką, w której trzyma sztuczną szczękę. Czułem się zażenowany. W popłochu ściągnęliśmy Broniewskiego na podłogę i nie kończąc obiadu, uciekliśmy z restauracji. Świeże powietrze jeszcze bardziej go oszołomiło, tak więc po powrocie do ośrodka, wsadziliśmy go do samochodu i co prędzej pojechaliśmy do Warszawy. Było jasne, że w takim stanie nie mogliśmy go pokazać młodzieżowemu aktywowi, tym bardziej, że picie alkoholu w zespole było karane natychmiastowym wyrzuceniem. Raz się zdarzyło, że członek orkiestry korzystając z nieuwagi pielęgniarki, wypił łyk spirytusu ze stojącej w szafce w gabinecie lekarskim butelki. Następnego dnia opuścił ośrodek. Również raz się zdarzyło, że jakiś pedagog „wyskoczył" do restauracji na „jednego". Został natychmiast zwolniony dyscyplinarnie. W zespole panował rygor oparty na tzw. moralności socjalistycznej. Kiedy ktoś doniósł do dyrekcji, że w jednym pokoju żeńskiego internatu palą papierosy, zarządzono rewizję. Musiałem wziąć w niej udział jako obserwator z ramienia dyrekcji. Było mi przykro patrzeć na działania wychowawczyni, która w obecności wszystkich czterech mieszkanek pokoju, wyrzucała kolejno na łóżka ich osobiste rzeczy, łącznie z bielizną. Uważałem pomimo wszystko, że takie postępowanie

upokarza dziewczyny. Niestety, u jednej znaleziono papierosy. Następnego dnia musiała wyjechać.

Po otrzymaniu kilku tekstów, rozpocząłem rozmowy z kompozytorami. Pamiętam, że paru, m.in. Lutosławski i Baird, odmówiło napisania piosenek do przedstawionych im tekstów. Zgodę wyrazili Szeligowski i Turski. Być może byli także inni, ale ich nazwiska wyleciały mi z pamięci.

Aby zakończyć wspomnienie o Broniewskim - zajście, którego byłem świadkiem i które opisałem, unaoczniło mi z całą ostrością, jak w jednym człowieku wielkość talentu może sąsiadować z małością charakteru. Było to przykre, ale zarazem pouczające doświadczenie.

Kończąc ten rozdział, mogę dzisiaj z perspektywy kilkudziesięciu lat, stwierdzić z całym przekonaniem, że początki mojej pracy dyrygenckiej były trudne. Stały się jednak dobrą szkołą zarówno w sensie zawodowym jak i społecznym. Z powodu niezależnych ode mnie okoliczności politycznych nie mogłem prawidłowo rozwijać swoich zdolności. Ale z winy mojego charakteru zraziłem sobie wielu ludzi na wysokich stanowiskach, którzy – nawet jeśli mi nie szkodzili – na pewno nie pomagali. Z drugiej jednak strony spotkałem się z bezinteresowną życzliwością szeregu osób. To dzięki nim przetrwałem ten trudny, początkowy okres pracy. Wyszedłem z niego zahartowany, co pozwoliło mi w następnych latach – jak się potocznie mówi – stawiać z powodzeniem czoła licznym przeciwnościom. I co jeszcze ważniejsze, uratować wiarę w takie wartości jak np. uczciwość, słowność, odpowiedzialność, godność.

Rozdział XX

KOLEJNE WYDARZENIA

Kiedy zacząłem wspominać pracę w „Skolimowie", okazało się, że nie mogę uporządkować jej chronologicznie. Pamiętam wydarzenia, ale nie potrafię określić nawet w przybliżeniu żadnych dat. Wracając mikrobusem „Renault" po lekcjach do Warszawy mieliśmy katastrofę. To pamiętam ze szczegółami. Nie wiem jednak czy był to rok 1953 czy 54. W paroosobowej delegacji uczestniczyliśmy w Festiwalu Młodzieży Demokratycznej w Bukareszcie. Ten sam problem, który rok: 53 czy 54? Wiosna czy lato? A może wczesna jesień? Tak więc relacjonując dwuletni okres pracy w Skolimowie, przedstawię te wydarzenia, które miały istotny wpływ na moje życie, ale bez określania dokładnych dat. Myślę zresztą, że w tym przypadku nie ma to specjalnego znaczenia.

Wypadek samochodowy

Do Karolina, gdzie mieściła się siedziba „Mazowsza", pracownicy dojeżdżali elektryczną Warszawską Koleją Dojazdową (WKD), która kursowała w miarę szybko i często. Do Skolimowa natomiast jeździła podmiejska, jeszcze sprzed I wojny światowej wąskotorowa kolejka parowa, zwana przez warszawiaków „ciuchcią". Krążyło o niej mnóstwo dowcipów i złośliwych powiedzonek. Korzystanie z tej rzadko kursującej, powoli sunącej kolejki jako środka lokomocji uniemożliwiałoby zorganizowanie właściwej pracy zespołu. Dlatego też wszyscy pedagodzy, w tym całe kierownictwo, dojeżdżali mikrobusem zwanym „Renówką", i należącym do taboru samochodowego CRZZ. Wczesnym rankiem wyruszaliśmy z Warszawy do Skolimowa, a wracaliśmy późnym popołudniem. I tak dzień w dzień od poniedziałku do soboty. Warto przypomnieć, że pięciodniowy tydzień pracy zastał wprowadzony dopiero „za Gierka". Pewnego dnia ktoś z nauczycieli bardzo się śpieszył i ciągle o tym przypominał kierowcy. Dlatego jechaliśmy szybciej niż zwykle. Po prawej stronie szosy biegły tory kolejki. W pewnym momencie zaczęliśmy przeganiać jadącą również w kierunku Warszawy „ciuchcię", a z przeciwnej strony szosy nadjechał zaprzężony w jednego konia wóz. „Ciuchcia" akurat gwizdnęła, koń się spłoszył i skierował na lewą stronę szosy. Kierowca skręcił gwałtownie, aby go minąć i stracił panowanie nad kierownicą. Tuż za wozem uderzył z całą siłą w drzewo. Wszystko to trwało zaledwie parę sekund i rozegrało się przed moimi oczyma. Usłyszałem zgrzyt opon i trzask uderzenia. Straciłem przytomność i ocknąłem się na podłodze, czując w ustach, nosie i oczach kurz. Sam nie wiem, jak wydostałem się z samochodu i upadłem do rowu. Podobnie wszyscy pozostali pasażerowie. Dopiero leżąc w rowie poczułem ból w dolnej części kręgosłupa. Słyszałem krzyki i jęki rannych i zobaczyłem, że niektórzy byli zakrwawieni. Nagle ze zgrzytem hamulców zatrzymał się jakiś osobowy samochód. Paru młodszych nauczycieli

zerwało się na nogi. Krzyknąłem: „Najpierw kobiety!" Ileż potem było dowcipów na ten temat. A ja, wychowany na – być może – staroświeckim „rycerskim" stosunku do dam i pamiętając z literatury i filmu, że przy ewakuacji z tonącego statku do łodzi ratunkowych, pierwszeństwo mają kobiety i dzieci – zupełnie podświadomie zareagowałem na zachowanie nauczycieli.

Niebawem nadjechała milicja, a potem także karetki pogotowia. Zabrano nas do szpitala i okazało się, że wszyscy odnieśli obrażenia. W najgorszym stanie był kierowca, któremu kierownica zgniotła klatkę piersiową. Został niestety stuprocentowym inwalidą. Prof. Dąbrowski miał, na szczęście lekko, uszkodzone kręgi szyi i przez parę miesięcy chodził w sztywnym gorsecie. Jeden z młodych nauczycieli padając, uderzył się tak mocno w bok twarzy, że kość policzkowa pękła i nastąpił wylew krwi do oka. Nigdy nie odzyskał jego pełnej sprawności. Ja, co wykazało prześwietlenie, miałem pękniętą miednicę. Na szczęście zrosła się po paru tygodniach uciążliwego noszenia gipsowego „pancerza". Pozostałych nauczycieli po opatrunku rozwieziono do domów. Ja już po paru dniach pobytu w szpitalu, użyłem wszystkich sposobów, aby jak najprędzej wrócić do domu. Udało się to wbrew opinii lekarzy. Podobnie było w następnych latach przy wszystkich moich chorobach, łącznie z operacjami serca czy oka. Opiszę to w odpowiednim miejscu.

Obrzydliwy był stosunek władz CRZZ. Kierownik działu transportu stwierdził, że odpowiedzialność za wypadek ponosi kierowca, bo jechał zbyt szybko. Na nasze żądanie wypłaty odszkodowań, ponieważ wracaliśmy z pracy pojazdem służbowym, otrzymaliśmy odpowiedź, że skoro winny wypadku jest kierowca, jego powinniśmy skarżyć a nie CRZZ. Jeden z poszkodowanych nauczycieli miał znajomego prawnika. Ten doradził wystąpienie na drogę sądową. Mierzejewska załagodziła sprawę i przypuszczam, że wydział prawny CRZZ także przekonał odpowiedniego dygnitarza, że w sądzie nauczyciele uzyskają korzystny dla siebie wyrok. A poza tym nie wypadało, aby centrala związkowa procesowała się z własnymi pracownikami. Tak więc otrzymaliśmy uzgodnione w bezpośrednich rozmowach odszkodowania. Za otrzymane pieniądze mogłem zapewnić rodzinie pierwsze wakacje nad morzem. Turski od lat jeździł ze swoja rodziną do Karwi, małej wsi rybackiej. Składała się z 20-30 chałup. Wprawdzie brakowało mi bieżącej ciepłej wody, ale za to panowała cisza i nie było żadnych wczasowiczów. A gospodyni codziennie przygotowywała na obiad złowione rano świeże ryby. Połączenie ze „światem" zapewniał autobus, który dwa razy dziennie, rano i po południu przyjeżdżał z Jastrzębiej Góry.

Turskiego odwiedzali z rzadka znajomi. Przyjeżdżali rano autobusem, a odjeżdżali nim po południu. Niektórzy mieli nawet prywatne samochody, co w tamtych czasach było czymś wyjątkowym. Takimi „burżujami" było małżeństwo Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota. Przyjechali pewnego dnia jakimś zdezelowanym samochodem na parę godzin. On odzywał się rzadko, za to ona bawiła całe towarzystwo. Pomimo że tak bardzo się różnili, wyglądali na dobrą, zgodną parę małżeńską. Czy tak było naprawdę – nie wiem. W moim życiu przekonałem się wielokrotnie, że postronny obserwator nie powinien orzekać o jakimkolwiek małżeństwie. Banalne powiedzenie, że pozory mylą znajduje najlepsze potwierdzenie, kiedy próbujemy ocenić czy jakieś małżeństwo jest udane czy nie.

Festiwal w Bukareszcie

O ile pamiętam, pierwszy Festiwal Młodzieży Demokratycznej odbył się w Pradze w roku 1947. Wandzia – jak mi się zdaje – brała w nim udział, a potem także w następnym w Berlinie. W czasie mojej pracy w „Skolimowie" miał miejsce kolejny festiwal, tym razem w Bukareszcie. Na festiwale zjeżdżała się młodzież dosłownie z całego świata. Oczywiście z tzw. krajów kapitalistycznych przyjeżdżały małe grupki, podczas gdy kraje obozu socjalistycznego wystawiały kilkudziesięcioosobowe delegacje. Największą – co zrozumiałe – ZSRR. W skład tych delegacji poza działaczami politycznymi i związkowymi wchodziły także zespoły artystyczne i sportowe. Były rozmaite koncerty i pokazy filmowe. No i obok nich stosunkowo swobodne spotkania samej młodzieży. Festiwale miały pokazać, jak otwarte i demokratyczne są państwa zza tzw. żelaznej kurtyny. I ku mojemu zaskoczeniu, na tę wesołą, młodzieżową, kolorową fasadę dało się „nabrać" wielu postępowych intelektualistów Zachodu. Ja, pamiętając zbyt dobrze roześmiane twarze chłopców z Hitlerjugend i ich niekłamany entuzjazm na różnych uroczystościach, wiedziałem, jak łatwo specjaliści od tego, co się teraz nazywa socjotechniką, ale za mojej młodości określano jako manipulację – potrafią wykorzystać młodzież do swoich brudnych, politycznych celów.

Z Festiwalu pamiętam parę rzeczy, które wywarły na mnie wrażenie. Pierwszym szokiem była podróż. Jechaliśmy pociągiem wypełnionym młodzieżą. Jeden wagon zajmowały delegacje różnych urzędów oraz instytucji. O ile pamiętam, Mierzejewska, Soja, jedna z choreografek i ja reprezentowaliśmy CRZZ. Mieliśmy przedział z czterema posłaniami, coś w rodzaju obecnych kuszetek. Kiedy przekroczyliśmy granicę węgiersko - rumuńską, z przerażeniem zobaczyliśmy stojących wzdłuż torów dosłownie obdartych mieszkańców wsi, coś tam wołających i wyciągających ręce w stronę pociągu. Domyśliliśmy się, że proszą o jedzenie. Ponieważ mieliśmy znaczne zapasy tzw. suchego prowiantu, zaczęliśmy wyrzucać przez okno bochenki chleba i puszki konserw. Rumuni bili się o nie między sobą. Był to posępny widok. W tamtych latach panowała w Polsce zrozumiała powojenna bieda. Nie inaczej zresztą było także w większości krajów Europy. Ale taką nędzę widziałem ostatni raz wśród więźniów Erziehungs-Lager w Hamburgu! Na nielicznych stacjach, na których pociąg stawał, równie obdarte, bosonogie kobiety i dzieci usiłowały na migi proponować wymianę owoców na chleb. Milicjanci skutecznie je odganiali. A kiedy wracaliśmy po festiwalu, nie widzieliśmy już nikogo ani na peronach ani wzdłuż trasy. Najwidoczniej służby porządkowe naprawiły swoje wcześniejsze niedopatrzenie.

Przyjechaliśmy do Bukaresztu późnym wieczorem i spędziliśmy noc w prymitywnych warunkach w zatłoczonym internacie razem z młodzieżą. Dopiero rano zjawili się zawstydzeni przedstawiciele centralnej organizacji rumuńskich związków zawodowych. Przepraszali, że nie czekali na nas wczoraj na dworcu, ale nie wiedzieli, jakim pociągiem przyjedziemy. Zabrali nas limuzynami do jakiejś reprezentacyjnej willi, przeznaczonej dla zagranicznych związkowców. Były tam luksusowe warunki, jakże boleśnie kontrastujące z nędzą, którą widzieliśmy z okien pociągu. Każdy z naszej czwórki otrzymał duży osobny pokój z łazienką, tłumaczkę i samochód z kierowcą do dyspozycji. A tak wytwornych potraw nie jadłem dotąd przedtem w całym życiu. Zapewniam, że nie przesadzam. Z następnymi, równie wykwintnymi daniami zetknąłem się dopiero po paru latach, kiedy po uroczystym przedstawieniu „Zemsty nietoperza" w Rostocku, zostałem zaproszony na kolację do ośrodka partyjnego w Warnemünde. Tylko tak wielki pisarz jak Orwell mógł wymyślić

w „Folwarku zwierzęcym" określenie: „wszystkie zwierzęta (czytaj – obywatele) są równe, ale niektóre równiejsze."

Trzecie, tym razem zabawne, wydarzenie sam niechcący spowodowałem. Uczestniczyliśmy w różnych spotkaniach, koncertach, pokazach. Grupowo bądź indywidualnie. Każdy mógł sobie z bogatego programu wybrać to, co go interesuje. Któregoś dnia wybrałem próbę w operze. Samochód zawiózł mnie na miejsce i umówiłem się, że przyjedzie po mnie po jakimś czasie. O umówionej godzinie czekałem przed gmachem opery cierpliwie przez 15 minut, czyli tzw. kwadrans akademicki, a potem spokojnie ruszyłem w stronę willi. Ponieważ znałem nazwę ulicy, a tą trasę parokrotnie przejechałem w samochodzie, nie obawiałem się, że zabłądzę. Rzeczywiście bez trudności dotarłem do willi. Kiedy zadzwoniłem do drzwi wejściowych, przywitali mnie przerażeni gospodarze. Dopytywali się gorączkowo, co się ze mną stało. Próbowałem wytłumaczyć im, że po prostu nie chciało mi się dłużej czekać na ulicy i z prawdziwą przyjemnością odbyłem spacer ulicami pięknego miasta. Widząc jednak ich prawdziwy niepokój, uświadomiłem sobie, że w Rumunii cudzoziemscy goście nie powinni chodzić bez „opieki". A nuż zobaczą coś niewłaściwego albo spotkają się z kimś nieodpowiednim? Piszę o tym naprawdę nic nie znaczącym incydencie, ponieważ miał swój dalszy ciąg. Po zakończeniu festiwalu nasi gospodarze wysłali poufne sprawozdanie do CRZZ. Chwalili w nim naszą czteroosobową delegację za to, że staraliśmy się uczestniczyć w jak największej liczbie imprez i spotkań. Ale zaznaczyli, że towariszcz (tovarasul) Wiłkomirski był niezdyscyplinowany. A władze CRZZ poprosiły, oczywiście za moimi plecami, towarzyszkę Mierzejewską o wyjaśnienie tego zarzutu. Kiedy dowiedzieli się, o co poszło, uznali sprawę za zamkniętą. Dowiedziałem się o tym później poufnie od Mierzejewskiej. Śmieszne, ale i smutne.

Ciekawe było spotkanie z Petru Grozą. Już przed przyjazdem do Rumunii wiedziałem, że był to jeden z czołowych działaczy robotniczych jeszcze przed wojną, potem więzień obozu koncentracyjnego, a po wojnie m.in. premier. Nieoficjalnie słyszałem, że starają się odsunąć go od władzy młodsi wiekiem działacze z Ceausescu na czele. Petru Groza przyjechał spotkać się z nami bez żadnej obstawy. Posiedział najwyżej godzinę, nie wygłosił przemówienia, pogawędził swobodnie, wypił kawę i odjechał. Mam nawet małe amatorskie zdjęcie z tego spotkania. Zachowałem je w pamięci, ponieważ różniło się charakterem od wielu innych. Zamiast oficjalnej „pompy" – towarzyska rozmowa. Pewnego dnia nasza delegacja w komplecie udała się na zwiedzanie jakiegoś dużego domu kultury. Piszę często „jakiś", „jakiegoś", „jakichś", ponieważ po latach nie mogę sobie przypomnieć konkretów, np. czy ten dom kultury był miejski, dla całego Bukaresztu, czy tylko dla jednej dzielnicy. A może należał do jakiejś (znowu ta „nieokreśloność"!) dużej fabryki? Po zwiedzeniu obiektu zaprowadzono nas do sali, w której ćwiczyła orkiestra tego domu kultury. Gospodarze na moje pytanie, kim są członkowie orkiestry – odpowiedzieli mi, że to amatorzy. Było to ewidentne kłamstwo. Słuchając jak grali – ku mojemu zaskoczeniu – V symfonię Beethovena, przypuszczałem, ze są to raczej studenci i uczniowie szkół muzycznych. Najgorszy był prowadzący próbę dyrygent. Obserwując jego nieporadne ruchy, przypuszczałem, że w najlepszym razie mógł być kierownikiem ludowej kapeli. A o muzyce Beethovena niewiele wiedział, sądząc z ociężałych temp, braku stylu i niereagowaniu na jaskrawe błędy. W pewnym momencie ogłoszono przerwę i wówczas podszedł do nas dyrygent. Poinformował, że niebawem jako zespół młodzieżowy będzie tę symfonię grać na jakimś festiwalowym koncercie. Z trudem ukryłem zdziwienie. Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł i zapytałem przez tłumaczkę czy mógłbym zadyrygować finał symfonii. Rumuni byli zaskoczeni.

- Jak to, tak od razu, bez przygotowania? - wyraził wątpliwości dyrygent.

Wyjaśniłem, że tę symfonie dyrygowałem na dyplomowym koncercie i pomimo upływu paru lat, dobrze ją pamiętam. Gospodarze byli zakłopotani, ale nie mogli ze względów politycznych odmówić członkowi oficjalnej delegacji zaprzyjaźnionej centrali związkowej. Po przerwie dyrygent razem z dyrektorem Domu Kultury przedstawili mnie orkiestrze. I ku zdumieniu wszystkich obecnych przegrałem całą część bez zatrzymywania. Młodzi muzycy chcieli się przede mną popisać i grali całkiem przyzwoicie. W każdym razie dużo lepiej niż pod swoim dyrygentem. Kiedy skończyłem, wszyscy mi gratulowali. Jedynie dyrygent miał skwaszona minę. A pozostali członkowie naszej delegacji i przedstawiciele władz rumuńskiej centrali związkowej, którzy się nami opiekowali, od tego momentu okazywali mi wyraźny szacunek.

Na festiwalu miałem dwa wspaniałe przeżycia artystyczne. Pierwszym był pokaz filmu „Hamlet" w reżyserii Laurence Oliviera. Pewnych scen nigdy nie zapomnę: pojawienie się ducha ojca, przedstawienie wędrownej trupy aktorów, monolog, pogrzeb Hamleta. Olivier w roli tytułowego bohatera stworzył wielką kreację. Po filmie byłem tak wstrząśnięty, że nie potrafiłem z nikim rozmawiać. A przez pierwszą noc nie mogłem w ogóle spać. Tak się zdarzało w moim życiu parokrotnie. Każde wielkie przeżycie artystyczne musiałem – jak ja to określałem – „odchorować". Przynajmniej przez jedną noc nie byłem w stanie zasnąć.

Drugim wstrząsem było wykonanie IX symfonii pod dyrekcją George Georgescu. Ten wielki dyrygent, który ponad trzydzieści lat nieprzerwanie kierował orkiestrą bukaresztańską, olśnił mnie umiejętnością budowania monumentalnej formy. Każdy muzyk wie, że arcydzieło Beethovenowskie stawia przed dyrygentem trudności niemal nie do pokonania. Georgescu pokazał, że jest to jednak możliwe. W jego koncepcji i realizacji symfonia stała się logicznym monolitem. I zarazem zapierała dech w piersiach żywiołowością. Czyżby było to idealne połączenie rumuńskiego temperamentu z niemiecką dyscypliną? W czasie słuchania Scherza poczułem nagle, że wilgotnieją mi oczy. Tak silne było napięcie, które Georgescu potrafił osiągnąć. Po koncercie, kiedy inni głośno wyrażali swój zachwyt, ja nie potrafiłem wykształsić ani słowa. A w nocy oczywiście znowu nie mogłem spać. Ale takie przeżycia zapadają głęboko i pozwalają po latach podchodzić z pokorą do wykonywanych przez siebie dzieł.

Opuszczam „Skolimów"

Rok 1953 był z pewnością jednym z najbardziej przełomowych w powojennej historii świata. U nas zniesiono tzw. kartki na żywność i internowano kardynała Wyszyńskiego, co oznaczało otwartą wojnę z Kościołem. Ale niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem była śmierć Stalina. Jak podejrzewano na Zachodzie, w jakimś stopniu powiązana z tzw. kremlowskim spiskiem lekarzy. W styczniu aresztowano najwybitniejszych radzieckich profesorów medycyny, wśród których byli „nadworni" lekarze Stalina. Kiedy pod koniec lutego dostał ataku serca, wystarczyło nie dać mu odpowiednich lekarstw w niezbędnych ilościach, czyli „pozwolić mu umrzeć". Ale to tylko domysły, przypuszczenia, podejrzenia, zwykłe plotki. Jak było naprawdę, nikt już się nigdy nie dowie. Faktem jest jednak, że lekarzy zrehabilitowano i wypuszczono na wolność już w pierwszych dniach kwietnia, czyli zaledwie w miesiąc po śmierci Stalina. Cały proces przekształcenia ZSRR, początkowo powolny, potem nabierający przyspieszenia rozpoczął się właśnie od tego wydarzenia.

Gdyby nie to, byłby nie do pomyślenia w trzy lata później XX zjazd KPZR i tzw. odwilż, dzięki której mogłem po raz pierwszy wyjechać na Zachód, a w roku 1957 zostać dyrektorem filharmonii.

W okresie mojej dwuletniej pracy w „Skolimowie" miałem niewielką liczbę koncertów gościnnych. Pierwszy odbył się dopiero w lutym 1953 roku w Warszawie. Profesor Józef Jarzębski obchodził – o ile się nie mylę – 75 - lecie urodzin. Zorganizowano koncert, na którym dla jubilata Arię Bacha wykonał zespół 40 skrzypków, złożony z uczniów Jarzębskiego oraz uczniów jego uczniów. Był to piękny gest. A potem orkiestra zagrała dwa akompaniamenty: dla syna Jarzębskiego, Stanisława i Eugenii Umińskiej. Nie wiem, kto zaproponował moją kandydaturę jako dyrygenta. Przypuszczam, że mogła to być Umińska, która półtora roku wcześniej miała ze mną koncert w Krakowie i bardzo mnie potem chwaliła. O niej napiszę więcej w rozdziale poświęconym solistom, ponieważ dużo się od niej nauczyłem o sztuce akompaniowania. A Stasio Jarzębski był utalentowanym skrzypkiem o ogromnych możliwościach technicznych. Bardzo go lubiłem i ceniłem. Niestety, należał do tych moich kolegów, których zgubił pociąg do alkoholu. Nawet na ten uroczysty koncert ku czci ojca przyszedł nietrzeźwy. Było to żenujące.

Drugi ważny koncert gościnny miałem w Poznaniu w listopadzie tego samego przełomowego roku 53. Dyrygowałem V symfonię Czajkowskiego. Musiało to być udane wykonanie, ponieważ obecny na koncercie dyrektor filharmonii, Zdzisław Śliwiński, od razu zaproponował mi pracę od nowego sezonu 1954/55. Z radością przyjąłem tę propozycję, pozwalającą mi powrócić do muzyki symfonicznej. Zaznaczyłem jednak, że będę musiał albo połączyć pracę w Poznaniu z pracą w Skolimowie, albo rozwiązać umowę z CRZZ. Po przyjeździe do Warszawy odbyłem rozmowę z Mierzejewską. Ponieważ była obecna na moim koncercie z okazji jubileuszu Jarzębskiego, zrozumiała, że praca z zespołem ludowym nie może zaspokoić moich ambicji zawodowych. Obiecała, że przemyśli całą sprawę, omówi z kierownictwem CRZZ i do wiosny podejmą jakąś decyzję.

Trzeci koncert, który pozostał w mojej pamięci, odbył się w październiku w Katowicach, zwanych już wówczas Stalinogrodem. Był to jeden z najgłupszych pomysłów w całej historii PRL. Nie orientuję się czy zmiany nazw dużych miast miały miejsce w przeszłości. Wielcy zdobywcy starożytności na ogół budowali nowe miasta, które nazywali swoimi imionami. Ale nie zmieniali istniejących. Ateny, Rzym, Moskwa i inne stolice zawsze nosiły te same nazwy. Do nielicznych znanych mi wyjątków należy Konstantynopol. Dopiero w ZSRR nastał absurdalny zwyczaj przekreślania wszystkiego, co było przed rewolucją. Szczytem idiotyzmu był Carycyn, który nazwano Stalingradem, a po XX zjeździe KPZR przemianowano na Wołgograd, pomimo że poprzednia nazwa przeszła do historii powszechnej z powodu najważniejszej bitwy II wojny światowej. I odtąd ku mojemu rozbawieniu w Paryżu pozostał bulwar Stalingradzki, ale w ZSRR wszystkie ulice i place musiały pozbyć się tej nazwy. Podobnie Leningrad wsławiony bohaterską obroną przed Niemcami, powrócił do pierwotnej nazwy Sankt Petersburg, a nie późniejszej – Piotrogród. O ogromnych kosztach takich operacji lepiej nie wspominać.

Wracajmy jednak do mojego koncertu w Stalinogrodzie. Był na nim jako słuchacz Witold Rowicki, który akurat w tym samym tygodniu miał jakieś nagranie z WOSPR-em. Po koncercie przyszedł do pokoju artystycznego i przypomniał mi, że przed paru laty dyrygował w Łodzi, kiedy grałem w orkiestrze tamtejszej filharmonii. Oczywiście dobrze o tym pamiętałem, ponieważ od razu mi się podobał jako dyrygent. Zaprosił mnie na obiad następnego dnia i tak zaczęła się nasza znajomość, która po latach przeszła w bliską

zażyłość. Dużo mnie nauczył w czasie licznych i długich nieraz rozmów. Ale o tym napiszę w rozdziale poświęconym dyrygentom.

Nie pamiętam dokładnie, ale chyba jesienią 54 roku przyjechał do Warszawy Chruszczow z Bułganinem. Była uroczysta akademia połączona z częścią artystyczną. Zgromadzono mnóstwo wykonawców, w tym parę zespołów wokalnych i instrumentalnych. Między innymi po raz pierwszy Zespół „Skolimów". I te kilkaset osób stłoczono w niewielkich pomieszczeniach na zapleczu Teatru Polskiego. Akademia trwała parę godzin i wszyscy, zarówno wykonawcy jak i goście byli zmęczeni. Ale młodzież ze „Skolimowa" dzielnie znosiła niewygody i ich występ został życzliwie przyjęty. Nieco później ośrodek odwiedził potężny przywódca największej francuskiej centrali związkowej CGT, Confédération Générale du Travail (Powszechna Konfederacja Pracy), Louis Saillant. Obejrzał tańce, posłuchał piosenek i zaprosił zespół do Francji. Niebawem przyszło oficjalne pismo i rozpoczęło się załatwianie licznych żmudnych formalności. O ile pamiętam, Francja żądała od każdego starającego się o wizę obywatela krajów socjalistycznych 7 czy 8 ręcznie wypisanych wniosków i tyleż fotografii. Nasze Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego żądało „tylko" trzech wniosków o wydanie paszportu. Mijały tygodnie oczekiwań, aż wreszcie przyszła pierwsza wiadomość: odmówiono paszportów Zbigniewowi Soi i mnie. Oczywiście nie podano przyczyny odmowy. Nawet osobista interwencja Wiktora Kłosiewicza nie pomogła. Soja był aktywnym działaczem kościelnym i prowadził chór parafialny. A ja – jak wiadomo – miałem za sobą akowską przeszłość i studenckie „antyrządowe" wystąpienia. Bez Soi i mnie wyjazd stanął pod znakiem zapytania. On dyrygował utworami chóralnymi a capella i przede wszystkim rozśpiewywał chór przed występem. Fachowcy wiedzą, że jest to czynność konieczna. Każdy zespół chóralny, obojętnie czy zawodowy czy amatorski, złożony z młodzieży czy emerytów – musi przez kilkanaście minut przed występem mieć możliwość wykonania paru ćwiczeń głosowo-oddechowych. Nie wiem czy te niespodziewane komplikacje, przekreślające plany wyjazdowe, miały jakikolwiek wpływ na decyzję kierownictwa CRZZ, ale na wiosnę 54 roku i Soja, i ja otrzymaliśmy wypowiedzenia pracy ze skutkiem natychmiastowym. Uzasadnienie dla Soi brzmiało: „Uprawianie klerykalnej propagandy poprzez uczenie chóru pieśni kościelnych". Chodziło o to, że chór, aby osiągnąć wysoki poziom musiał śpiewać stare, sprzed kilkuset lat pieśni Orlando di Lasso, Palestriny, Gorczyckiego i innych. Natomiast pretekstem zwolnienia mnie było „Podpisanie umowy o pracę z Filharmonią w Poznaniu bez wiedzy CRZZ". W tamtym okresie Soja nie miał szans, aby się odwoływać. Ponieważ równolegle, zresztą za zgodą CRZZ, uczył w szkole muzycznej, miał zabezpieczoną egzystencję. Ja podjąłem walkę. Udowodniłem, że zarzut podpisania umowy z Filharmonią Poznańską jest nieprawdziwy. Sprawdzono to i decyzja została zmieniona na zwykłe trzymiesięczne rozwiązanie umowy. Rozstanie z Mierzejewską, gronem pedagogicznym i młodzieżą było naprawdę smutne. Ale przedtem sekretarz CRZZ zaprosił mnie na rozmowę. Kiedy usiedliśmy w jego gabinecie, powiedział:

- Czy wiecie, towarzyszu profesorze, o co mieliśmy do was największą pretensję?

Odpowiedziałem, że nie wiem.

- O to - ciągnął dygnitarz – że kiedy mówiliśmy wam, jaka powinna być muzyka zespołu „Skolimów", wy mieliście na twarzy taki uśmiech, jakbyście myśleli: „A cóż ci durnie mogą wiedzieć o muzyce".

Ja na to bez zastanowienia odpowiedziałem:

- A jaki inny uśmiech mógłbym mieć?

Sekretarz zdrętwiał i rozmowa została przerwana. Zapewniam, że zacytowałem jej przebieg co do słowa. Takich rzeczy nigdy się nie zapomina. Warto dodać, że ten sekretarz CRZZ nazywał się Artur Starewicz i niebawem został sekretarzem KC PZPR. Spotkałem się z nim po paru latach w Szczecinie. Przyjechał na spotkanie z tzw. aktywem kulturalnym. I sekretarz KW przedstawił mnie mówiąc:

- A to dyrektor naszej filharmonii, towarzysz Wiłkomirski.

Starewicz uścisnął mi dłoń i powiedział z wymuszonym uśmiechem:

- O, ja już znam towarzysza Wiłkomirskiego.

A ja na to z „teatralną" swobodą i promiennym uśmiechem:

- I to w dodatku od najgorszej strony.

Przypuszczam, że Starewicz jako naprawdę inteligentny człowiek, czego mu nie mogłem odmówić, zrozumiał. Nic nie powiedział, choć otaczający go dygnitarze po mojej replice mieli zdziwione miny.

Polityka w „Skolimowie"

Praca w „Skolimowie" i częste kontakty z CRZZ były zupełnie nowymi doświadczeniami, z których – niewykluczone – najważniejsze to bliskie „otarcie się" o politykę. Władze CRZZ kładły znaczny nacisk na propagowanie idei socjalizmu wśród członków Zespołu. Tzw. wiedza o Polsce współczesnej zajmowała poczesne miejsce wśród przedmiotów ogólnokształcących, muzycznych i tanecznych. Wychowawcy, którzy mieszkali w ośrodku, byli młodzieżowymi działaczami i nader często organizowali pogadanki na aktualne polityczne tematy, spotkania z politykami i regularne „prasówki". Pamiętam, że bardzo mnie to wówczas śmieszyło. Szczególnie gorliwy w upolitycznianiu nie tylko członków zespołu, ale także pedagogów, był jeden z wychowawców. Nie wiem czy jego ideowość płynęła ze szczerego przekonania, czy może raczej stanowiła przejaw oportunizmu. Ciągle wygłaszał okrągłe frazesy na temat socjalizmu, marksizmu, przyjaźni z ZSRR itd. Pewnego dnia pojawiła się w Skolimowie kilkunastoletnia dziewczynka ze Śląska. Pragnęła wstąpić do zespołu. Robiła wrażenie bardzo mało rozgarniętej umysłowo i zwołana ad hoc komisja nie przypuszczała, że zostanie przyjęta. Kiedy jednak zaczęła śpiewać jakąś śląską piosenkę, nie wierzyliśmy własnym uszom. Pomimo młodego wieku miała już – jak to się nazywa fachowo – głos z natury postawiony. Kogoś takiego nie mieliśmy w zespole. Wprawdzie Soja twierdził, że nie nada się do chóru, bo jej głos będzie się zbyt wyróżniał, ale Mierzejewska i ja oświadczyliśmy, że zrobimy z niej solistkę, podobnie jak to się dzieje w innych zespołach ludowych. Dziewczynka została przyjęta. I zaczęły się kłopoty. Nie mogła przyswoić sobie najbardziej nawet elementarnych pojęć z przedmiotu zwanego zasady muzyki. A tego uczą się siedmioletnie dzieci w pierwszej klasie szkoły muzycznej. W przedmiotach ogólnokształcących miała kłopoty z tabliczką mnożenia, nie wspominając o ortografii i gramatyce.

Na kończącej pierwszy rok istnienia zespołu konferencji pedagogicznej powstał problem: co robić z dziewczynką obdarzoną przez naturę wspaniałym głosem, ale mało sprawną umysłowo. Wygłosiłem przemówienie wyjaśniające, że takie wyjątki zdarzały się już w historii muzyki i że uzdolnienia artystyczne nie muszą iść w parze z ogólną inteligencją. Kiedy skończyłem, natychmiast zabrał głos ów wychowawca – działacz-ideowiec i oświadczył z butą, że „Towarzysz profesor myli się całkowicie. Tak może zdarzyć się w kapitalizmie,

ale w socjalizmie wszyscy będą rozwijali się wszechstronnie i równomiernie. Bo to zapewni im nasz ustrój." Obecni mieli z lekka zdziwione miny, ale nikt nie zaoponował. Jedynie ja, zgodnie z moim zwyczajem mówienia „wprost", stwierdziłem, że nawet socjalizm nie zmieni natury. Dziewczynka została w zespole. A czy ów gorliwy partyjny lub ktokolwiek inny nie doniósł o moich słowach do władz CRZZ – nigdy się nie dowiem.

Kolejny, również zabawny incydent miał miejsce dzień czy dwa po ogłoszeniu śmierci Stalina. Szedłem ze znajomym po ulicy, śmiejąc się z jakiegoś dowcipu. Przypadkowo naprzeciwko kroczył funkcjonariusz CRZZ. Kiedy usłyszał nasz śmiech, zamiast powiedzieć „dzień dobry", stanął i z posępną miną rzekł: „Jak możecie się, towarzysze, śmiać? Przecież umarł towarzysz Stalin". Przyznaję, że – jak to się mówi – straciłem język w gębie. Po chwili jednak oprzytomniałem i nie zmieniając wesołego wyrazu twarzy, powiedziałem „dzień dobry" i minęliśmy szybkim krokiem funkcjonariusza. I pozostaje pytanie: czy była to tylko poza, czy może naprawdę odczuł śmierć Stalina jako osobistą wielką stratę? Odpowiedź na tak postawione pytanie nie jest bynajmniej łatwa. Moja rodzona siostra Wandzia, według jej własnych słów, przeżyła śmierć Stalina bardzo osobiście. Już po zakończeniu oficjalnej żałoby, przeprosiła po jakimś koncercie publiczność, że zagrała tylko dwie części, rezygnując z wykonania wesołego, o charakterze tanecznym, finału. I prosi, aby nie było oklasków. A moja druga żona opowiadała, że wiadomość o śmierci Stalina podano w jej klasie (była wówczas uczennicą liceum) w czasie lekcji. I ona, i koleżanki wybuchnęły płaczem. Jeżeli takie były reakcje w Polsce, to można sobie wyobrazić, co działo się w ZSRR. Oczywiście wolno przeciwnikom politycznym mówić o indoktrynacji, „praniu mózgów", psychozie tworzonej przez propagandę. Ale to nie tłumaczy skali zjawiska. Wydaje mi się, że lepiej stwierdzić po prostu fakt historyczno – socjologiczno - psychologiczny, że miliony ludzi wierzyło w mit „batiuszki" Stalina. Negowanie tego faktu niczego nie zmieni. I warto pamiętać, że siła każdego mitu polega na tym, że nie da się zniszczyć go żadnymi, najbardziej nawet racjonalnymi argumentami.

A oto inny przykład atmosfery z tamtych lat. Pewnego dnia podszedł do mnie jakiś funkcjonariusz CRZZ i powiedział:

- Towarzyszu profesorze, jak to może być, że nie należycie do żadnej organizacji: politycznej, społecznej, związkowej?

Odpowiedziałem niezbyt zgodnie z prawdą, że mnie interesuje wyłącznie muzyka i nie mam czasu na inne sprawy. A on na to:

- Ale moglibyście się przynajmniej zapisać do ZBOWiD-u.

Zacząłem się wykręcać, że po powrocie do Polski straciłem jakikolwiek kontakt z moimi współtowarzyszami walk i pobytu w obozie. I nie znajdę nikogo, kto mógłby potwierdzić, że walczyłem w powstaniu. Była to tylko częściowa prawda. W rzeczywistości zdarzało się czasami spotkać kogoś przypadkowo na ulicy, ale wiedziałem, że wielu byłych powstańców zataiło swoją przynależność do AK i nie chciałem nikogo narażać.

Funkcjonariusz CRZZ machnął lekceważąco ręką.

- To się da załatwić – powiedział. – Jutro dam wam ankietę.

I rzeczywiście przyniósł mi ankietę ZBOWiD-u oraz oświadczenia dwóch świadków (jednym był on sam, jako AL-owiec!), że brałem udział w powstaniu warszawskim w oddziałach AK. Byłem wściekły, ponieważ wśród moich znajomych przeważała opinia, że nie należy zapisywać się do ZBOWiD-u z uwagi na niechętny stosunek władz PRL do AK. Ankietę wypełniłem i oddałem. Potem dostałem legitymację i na tym sprawa się zakończyła. Ani razu nie zapłaciłem składki i zapewne niebawem skreślono mnie z listy

członków. Ale ów funkcjonariusz CRZZ, a zarazem aktywista ZBOWiD mógł wykazać się „zaangażowaniem". A do związku zapisałem się dopiero w latach osiemdziesiątych, w zupełnie już innej sytuacji politycznej.

I ostatnie wspomnienie ze „skolimowskiego" okresu. Jak wiadomo, w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych zbudowano w Warszawie Pałac Kultury i Nauki. Warszawiacy śmiali się z tej budowli, w której pomieszano nieudolnie elementy amerykańskich „drapaczy chmur" z „bizantyjskimi" ozdobami. Takie „pałace" o podobnym kształcie powstały również w innych stolicach KDL (Kraje Demokracji Ludowej) oraz w Moskwie. Oczywiście po Warszawie krążyło mnóstwo dowcipów na temat Pałacu, któremu zresztą po śmierci Stalina nadano imię Generalissimusa. Dwa najlepsze pamiętam. Pierwszy, że Pałac jest zemstą Rosjan za zburzenie po pierwszej wojnie światowej soboru na Placu Saskim. A drugi był rzekomym ogłoszeniem w gazecie: „Zamienię mieszkanie z widokiem na Pałac Kultury na każde inne".

Budowniczowie Pałacu mieszkali na specjalnie zbudowanym osiedlu na Jelonkach. Jako „ludzie pracy" mieli zagwarantowane prawo „dostępu do kultury", co w praktyce oznaczało obowiązek kierownictwa budowy do organizowania najróżniejszych imprez. CRZZ wyraziła życzenie, aby zespół „Skolimów" wystąpił w sali Domu Kultury na Jelonkach. Balet miał już uszyte kostiumy (materiały z puli eksportowej ufarbowano sprowadzonymi za dewizy barwnikami) i opracowane parę tańców, a chór przygotowane piosenki. Pojechaliśmy zatem do Jelonek i wystąpiliśmy przed robotnikami. Oczywiście śpiewająca i tańcząca młodzież wywołała ich entuzjazm. Po występie poszliśmy na tzw. poczęstunek. Jedzenie było obfite, ale niezbyt smaczne. Na stole kierownictwa znalazły się oczywiście butelki z wódką. Mierzejewska, Soja i wychowawcy umoczyli usta przy pierwszym toaście za przyjaźń, a ja demonstracyjnie nie podniosłem nawet kieliszka. Uważałem, że picie alkoholu na oczach młodzieży było absolutnie niewłaściwe, zwłaszcza że im tego zabranialiśmy. Ale radzieccy członkowie dyrekcji budowy wznosili toast za toastem i opróżniali kieliszek za kieliszkiem. W pewnym momencie podszedł do mnie dobrze już podpity jeden z dyrektorów z kieliszkiem w ręku i koniecznie chciał wypić z „towariszczem diriżorem" za „drużbę" między naszymi narodami. Odpowiedziałem po polsku, że mam chore serce i nie mogę pić alkoholu. A pijak jak to pijak, zaczął bełkotać, że jeden kieliszek nie zaszkodzi. Twardo odmówiłem, a wtedy tamten nagle otrzeźwiał i zasyczał, oczywiście po rosyjsku: „Coo, nie chcecie wypić za przyjaźń polsko-sowiecką?" Bez wahania odparłem, że przyjaźń to przyjaźń, a pić nie będę. Zanosiło się na awanturę, ale na szczęście towarzyszący nam dygnitarze z CRZZ usłyszeli tą ostrą wymianę słów i udało im się odciągnąć radzieckiego „przyjaciela". Podejrzewam jednak, że mój upór nie przypadł im do gustu.

Rozdział XXI

POZNAŃ

Każdy, kto choć trochę interesuje się historią, wie, że w latach 1954 - 57 nastąpiły ważkie wydarzenia, które zmieniły bez przesady na długie lata „bieg świata". Nie będę się o nich rozpisywał, ponieważ są utrwalone w podręcznikach historii i encyklopediach. Wystarczy w tym miejscu przypomnieć zakończenie wojny na półwyspie indochińskim, oficjalne uznanie dwóch państw niemieckich, utworzenie Układu Warszawskiego, XX Zjazd KPZR z referatem Chruszczowa o „Kulcie jednostki", rewolucja na Węgrzech, wojna izraelsko-egipska, utworzenie EWG. Wszystkie te wydarzenia miały bezpośredni wpływ na polityczno-społeczną sytuację w Polsce.

W tym burzliwym okresie również w moim życiu zawodowo-prywatnym nastąpiły poważne zmiany i jak to zwykle bywa, trudno ustalić, jak dalece wiązały się z wielkimi przemianami historycznymi. Pisząc te wspomnienia, raz po raz odczuwam pokusę stawiania naiwnego pytania: „co by było, gdyby?" Jakby potoczyło się moje życie, gdyby w roku 1939 nie wybuchła wojna? Gdybym nie wyjechał z Łodzi do Warszawy w zimie 41/42? Nie brał udziału w powstaniu? Nie wrócił po wojnie do kraju? Nie ożenił się, mając zaledwie 22 lata? Nie porzucił studiów uniwersyteckich? Itd. itd. A za tymi pytaniami kryją się inne, jak np.: co by było, gdyby Niemcy pokonały ZSRR? I jeszcze bardziej absurdalne: gdyby wybuchła III wojna światowa? Są to – jak słusznie twierdzą historycy – zupełnie jałowe rozważania. Ale dla mnie, u schyłku życia, próba odpowiedzi na nie jest – paradoksalnie – „rachunkiem sumienia". Na wybuch wojny, konflikty międzynarodowe, czy zmiany władz nie miałem i nie mogłem mieć żadnego wpływu. Ale na własne decyzje? Jak mówią Anglicy, nie należy płakać nad rozlanym mlekiem. Jeśli jednak owo rozlanie mleka było wynikiem przypadku, nieuwagi, mojej głupoty lub celowego działania – rodzi się pytanie, jaka była przyczyna tej głupoty czy tego działania. I natychmiast łączy się z kolejnym pytaniem, dlaczego byłem nieostrożny albo błędnie przewidujący. A w ślad za tym zupełnie zbędne, „słynne" pytanie „co by było, gdyby". Myślę, że pomimo wszystko w moim wieku te rozważania nie mają już żadnego sensu. Ale gdybym je sobie zadawał w młodości – może uniknąłbym wielu błędów?

Pierwsze miesiące

Myślałem, że duża liczba koncertów w Krakowie pozostanie swoistym „rekordem" w moim życiu zawodowym. Okazało się jednak, że w Poznaniu miałem ich jeszcze więcej. Tylko we wrześniu 54 roku dyrygowałem od razu pięcioma, z trzema różnymi programami, zawierającymi m.in. Symfonię klasyczną Prokofiewa i „Szeherezadę" Rimskiego-Korsakowa. W październiku wykonałem sześć koncertów, w listopadzie

cztery i w grudniu pięć. Była to znakomita „szkoła". W dodatku w tym samym czasie utworzono przy warszawskiej PWSM pierwszą w Polsce aspiranturę. Tak nazywano w ZSRR studia doktoranckie. Nie orientuję się czy dotyczyły one tylko uczelni artystycznych, czy obejmowały jeszcze inne. Na aspiranturę dla dyrygentów przyjęto na razie tylko mnie i to na wyraźne życzenie Bierdiajewa, który w tym czasie prowadził klasę dyrygentury w PWSM. Później przyjęto także Zbyszka Chwedczuka, który był wtedy II dyrygentem Filharmonii Krakowskiej. Na lekcje, bo trudno nazwać je wykładami czy konsultacjami, dojeżdżałem raz w miesiącu, przy okazji odwiedzając rodzinę. Jako aspirant otrzymałem stypendium w wysokości 900 zł miesięcznie oraz dodatkowo raz w roku 900 zł na zakup tzw. pomocy naukowych. Ja wydawałem je na partytury i książki. Moja pensja II dyrygenta była niewiele wyższa od stypendium i nie starczała na wynajmowanie sublokatorskiego pokoju, utrzymanie i podróże do Warszawy. Jak za studenckich czasów oszczędzałem na jedzeniu. Nie mając warunków do gotowania obiady jadłem w „Klubie Aktora" przy ul. Kantaka. Na śniadanie byle co, a na kolację kaszankę, salceson i pasztetową. Nie uważałem jednak, że jest to aż tak istotne. Najważniejsza w tamtym czasie była możliwość dyrygowania i nauki u Bierdiajewa. Jestem pewien, że żadnemu z moich profesorów nie zawdzięczam tyle co jemu. Miał specyficzną, ale skuteczną technikę manualną, sprawdzoną przez dziesiątki lat praktyki. Miał zdecydowaną i przemyślaną koncepcję każdego dzieła. Ponadto był wyjątkowo wymagającym pedagogiem. Pamiętam lekcję, na której przez godzinę przerabiał ze mną początkowe dziesięć taktów pierwszej części II symfonii Beethovena. Grające na cztery ręce pianistki były wręcz „ogłupiałe" od ustawicznego powtarzania tych taktów. A Bierdiajew ciągle przerywał, wskazywał co mu się w moim dyrygowaniu nie podobało i zupełnie nieznudzony mówił: „Jeszcze raz". Wreszcie nie wytrzymałem i wybuchnąłem:

- Nie mogę tak dyrygować jak pan! Ja jestem młody a pan stary! Ja jestem chudy a pan gruby!

Bierdiajew popatrzył na mnie znad okularów (nosił je na lekcjach na czubku nosa) i powiedział spokojnie:

- Józja, masz rację, ale dopóki jesteś tutaj, będziesz tak diriżerował, jak ja ci mówię.

Przerwał na chwilę i dodał:

- Jeszcze raz.

Ceniłem go nie tylko za znajomość partytur i dyrygenckiego rzemiosła, ale także za trafne, choć czasami szorstkie sformułowania. Pamiętam, jak po koncercie z okazji jubileuszu prof. Jarzębskiego przyszedł do pokoju artystycznego, pełnego rodziny i znajomych, uściskał mnie, a potem powiedział na cały głos:

- Józja, jeżeli ty myślał, że jesteś już diriżor – to ty durak!

Na szczęście dla mnie – tak nie myślałem.

A w czasie aspiranckich studiów zawsze pytał, co ostatnio dyrygowałem i jak mi poszło. Kiedy mówiłem, jakie miałem problemy – od razu potrafił doradzić, jak je można rozwiązać. I potem zawsze okazywało się, że te rady były skuteczne. Pewnego razu opowiadałem, że nie mogłem sprawić, aby orkiestra grała równo akordy na początku VII symfonii Beethovena. Na to Bierdiajew:

- A jak ty diriżerował te akordy?

Pokazałem. Bierdiajew pokręcił głową z dezaprobatą i powiedział krótko:

- Niet.

Poczem pokazał, w jaki sposób należy takie akordy dyrygować. Minęło parę tygodni czy miesięcy kiedy w innej symfonii Beethovena nie mogłem wyegzekwować od orkiestry

precyzyjnego „uderzenia" podobnych akordów. Powtarzałem raz po raz. Zawsze z miernym skutkiem. Nagle przypomniałem sobie ruch, który mi pokazał Bierdiajew. Wykonałem go i ku mojemu zdumieniu, orkiestra zagrała „jak jeden mąż"! Dzisiaj nie pamiętam już, na czy polegał ten ruch i czym się różnił od moich, ale wtedy zrozumiałem jak ważny jest kontakt ze starym mistrzem.

I jeszcze jedna prawdziwa wypowiedź Bierdiajewa. Kiedy na zapytanie czym ostatnio dyrygowałem, usłyszał, że „Szeherezadą", pokręcił głową i rzekł:

- Nu, niedobrze. „Szeherezadu" można diriżerować nie wcześniej niż piętnaście lat po dyplomie.

A ja byłem wtedy dopiero pięć lat po dyplomie. Po tym stwierdzeniu, przez następne dziesięć lat nie próbowałem dyrygować „Szeherezady". Kiedy minął okres tej dobrowolnej „kwarantanny", umieściłem to dzieło w programie najbliższego koncertu. I zabierając się do nauki partytury, zrozumiałem, że Bierdiajew miał rację. Dopiero teraz, po piętnastu latach praktyki i zadyrygowaniu około 300 koncertów, mogłem zmierzyć się z problemami tego dzieła.

Żałuję, że w tych wspomnieniach nie potrafię przekazać sposobu mówienia Bierdiajewa. Tej dziwacznej mieszaniny języka polskiego i rosyjskiego, dodawania polskich końcówek do rosyjskich słów i na odwrót oraz niepowtarzalnej wymowy. Niestety, papier nie przekaże ani brzmienia głosu i intonacji, ani uśmiechu i spojrzenia. Postaram się jednak w tej książce utrwalić postać Bierdiajewa, tak jak go pamiętam i w tym celu poświecę mu cały podrozdział.

Maj 55

Gdybym wierzył w magię albo przynajmniej ulegał przesądom, mógłbym powiedzieć, że w maju, miesiącu mojego urodzenia, często miały miejsce ważne dla mnie wydarzenia. Zarówno dobre jak i złe, choć trudno osądzić czy jakiekolwiek zdarzenie samo w sobie uznać można za szkodliwe lub korzystne. Np. operacja, to nic dobrego, ale skutki dla zdrowia pozytywne. I odwrotnie, zdarzenie, które wydaje się korzystne, może w przyszłości mieć całkiem negatywne konsekwencje. A skoro mowa o magii, to właśnie w maju 55 miałem gościnny koncert w Szczecinie. Solistą był Tadeusz Wroński. Dotąd nie miałem z nim wspólnego występu. Nie zachwycił mnie, ponieważ był – moim zdaniem – zbyt oschły. Miał piękny dźwięk, nienaganną technikę, wyczucie stylu, ale brakowało mi w jego grze emocji. W następnych latach miałem z Tadeuszem (zaproponował mi przejście „na ty") sporo koncertów, ale pierwsze wrażenie pozostało. Był znakomitym rozmówcą, dysponował głęboką muzyczną wiedzą, nie tylko o skrzypcach i miał szerokie zainteresowania. M.in. pasjonował się astrologią. To od niego dowiedziałem się, że horoskop nie zawiera przepowiedni, jak się na ogół sądzi, ale jedynie przewidywania. Pamiętam, jak mi wówczas powiedział, że w najbliższych latach dla Wisłockiego, mojego szefa a jego przyjaciela, otworzą się możliwości dużej zmiany. Czy je wykorzysta – zależy tylko od niego. Istotnie, w trzy lata po naszej rozmowie Wisłocki zrezygnował z pracy w Filharmonii Poznańskiej, wyjechał do Warszawy i został II dyrygentem Filharmonii Narodowej. Muszę przyznać, że pomimo tych wyjaśnień Tadeusza, nigdy nie przekonałem się do jakichkolwiek proroctw, przepowiedni, horoskopów czy wróżenia z kart. Bodajże w roku 1971 pewna pani w Dublinie „postawiła mi kabałę" – jak to się potocznie określa. Ponieważ wyraziłem mój

sceptyczny stosunek do wszelkich wróżb, załączyła do mojego horoskopu drugi, w którym zawarła przewidywania dotyczące losów czołowych mężów stanu i gwiazd filmowych. Niestety, ku rozczarowaniu wielu moich znajomych, którym horoskop pokazałem – nic się nie sprawdziło. Ani w moim życiu, ani wymienionych polityków i aktorów. Te całkowicie błędne przepowiednie bardzo umocniły mój sceptyczny stosunek do wszelkiego rodzaju przewidywania przyszłości.

Po tej dygresji wracam do relacjonowania wydarzeń maja 55. Był to rekordowy, jak dotąd, miesiąc pod względem liczby koncertów. Zadyrygowałem ich aż dziewięć, w tym jeden w Warszawie, na II Festiwalu Muzyki Polskiej. I tutaj kolejna dygresja. Do dzisiaj nie mogę zrozumieć, dlaczego Wisłocki dał mi ten koncert, zamiast samemu go poprowadzić. Czy miał jakiś intratny wyjazd za granicę? A może był już zmęczony współpracą z orkiestrą Filharmonii Poznańskiej, którą prowadził od roku 1947? Możliwe również, że w tym czasie był chory. O jego złym stanie zdrowia krążyły liczne plotki. Nie będę ich powtarzał, bo mogły być rozpowszechniane przez nieżyczliwych mu ludzi. Wiem natomiast, że naprawdę miewał ataki woreczka żółciowego. Zdarzało się, że w nocy po koncertach żona wzywała karetkę pogotowia. Ja natomiast zauważyłem u Wisłockiego pewne objawy hipochondrii. Często przychodził do filharmonii ze skrzywioną twarzą i opowiadał dokładnie co, gdzie i jak go boli. Byłem tego świadkiem. Muzycy z orkiestry ze złośliwym rozbawieniem opowiadali jak na próbach Wisłocki potrafił powiedzieć zbolałym głosem:

- Panowie, gracie tak źle, a ja jestem tak bardzo chory.

Tego rodzaju zachowanie szefa nie wzbudza współczucia u jego podwładnych. Nauczony tym doświadczeniem przez całe moje „dyrektorskie" życie nigdy nie obnosiłem się ze swoimi jakimikolwiek słabościami. Odwrotnie, zawsze „nadrabiałem miną," nawet w ostatnich dniach przed operacją i po wyjściu ze szpitala.

W maju 55 poznałem również moją przyszłą drugą żonę. Był to początek końca mojego pierwszego małżeństwa, które już w tamtym czasie wykazywało objawy rozkładu. O tych bardzo osobistych, a zarazem bolesnych sprawach będę pisał w rozdziale poświęconym wyłącznie „kobietom mojego życia". Wiem, że nie uda się uniknąć tego tematu, jeśli autobiografia ma być prawdziwa, rzetelna i kompletna.

I ostatnia sprawa, którą chciałbym jeszcze zrelacjonować. Pokój sublokatorski wynajmowałem u znajomej żony dyrektora Śliwińskiego. Była właścicielką małego domku przy ulicy Podolskiej w dzielnicy o nazwie Sołacz. Domek był rzeczywiście mały: dwa pokoje na parterze i dwa na piętrze. Parterowe zajmowała sama gospodyni, a w jednym z pokojów na piętrze mieszkała dawna koleżanka jej zmarłej matki. Obie panie żyły od lat na „wojennej stopie", ale lokatorka miała tzw. stałe zameldowanie i zgodnie z obowiązującymi przepisami nie istniała możliwość jej eksmisji. I gospodyni, prawowita właścicielka, była całkowicie bezsilna. Lokatorka była „przerażającą" babą, która – jak sądzę – nienawidziła wszystkich ludzi. Jak zauważyłem po paru miesiącach, nikt jej nigdy nie odwiedzał, a ona sama wychodziła – według słów gospodyni – tylko po zakupy. Moja obecność w drugim pokoju na piętrze doprowadzała ją do wybuchów złości. Kiedy wracałem – tupała nogami pod moimi drzwiami, trzaskała garnkami i głośno wypowiadała jakieś obelgi pod moim adresem. Szczególnie drażniło ją używanie przeze mnie łazienki. Potrafiła dosłownie co parę minut walić pięścią w drzwi, aby mnie zmusić do wyjścia. I ta agresja trwała przez całe trzy lata.

Moja gospodyni po raz pierwszy w życiu poszła do filharmonii dopiero na mój koncert we wrześniu 54. Była, jak mówiła, zachwycona. Od tego czasu przynosiłem jej regularnie

zaproszenia, a ona urządzała po koncertach dla mnie kolacje. Pewnego dnia, na wiosnę 55 roku, zwierzyła się ze swojego kłopotu. Jej zmarła matka prowadziła przed wojną prywatną wypożyczalnię książek. Po zajęciu Poznania przez Niemców zniszczyła katalog, a książki zniosła do piwnicy, gdzie przeleżały do maja 55 roku! Z trudem mogłem uwierzyć, że nikt przez 16 lat nie zainteresował się losem prywatnych wypożyczalni zrzeszonych w Towarzystwie Księgarni Ludowych. I teraz nagle moja gospodyni otrzymała pismo z Miejskiej Rady Narodowej z wezwaniem do zwrotu książek w terminie 14 dni. Zapytałem, na czym polega kłopot. Odpowiedziała, że w ciągu minionych lat parę książek rozdała znajomym w formie prezentów, a w dodatku nie ma katalogu. Przyznaję, że nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Zdziwionej gospodyni wytłumaczyłem, że po stratach tysięcy woluminów, w tym bezcennych rękopisów czy pierwodruków z największych polskich bibliotek – brak kilku czy nawet kilkudziesięciu książek z małej wypożyczalni nie ma żadnego znaczenia. A w dodatku jeżeli nie ma katalogu, to w jaki sposób można sprawdzić stan ilościowy księgozbioru przed 39 rokiem. Moja gospodyni przyznała mi rację, a ja natychmiast postanowiłem „ubić interes". Zaproponowałem, że przejrzę przechowywane w piwnicy książki i odkupię te, które mnie interesują. W tym miejscu muszę wyjaśnić niezorientowanemu czytelnikowi, że zaraz po wyzwoleniu na rynkach sprzedawano tysiące książek z rozkradzionych bibliotek. Ja sam mam kilkadziesiąt tomów z pieczątkami najróżniejszych publicznych i prywatnych księgozbiorów. Tak samo zresztą postępowały nowo powstałe wyższe uczelnie. Podobnie było z materiałami nutowymi. Sam posiadam partyturę „Romea i Julii" Czajkowskiego wydaną jeszcze w Petersburgu przed I wojną światową. A na niej przeróżne pieczątki. M.in. biblioteki Radia Vilnius! Te antykwaryczne książki i nuty można było kupić dosłownie za bezcen. Tym bardziej, że ceny na nowe, wydawane w masowych nakładach książki były naprawdę niskie. Wprawdzie papier był nędzny, oprawa bylejaka, ale za to rzeczywiście każdy mógł sobie pozwolić na nabycie książek. I jeśli ktoś dzisiaj mówi, że ustrój PRL nie miał żadnych plusów, zaprzeczam z czystym sumieniem. Tanie książki to dowód, że hasło o dostępie do kultury nie było tylko pustym frazesem. A ponadto w dużych miastach powstały tzw. księgarnie tanich książek. Sprzedawano tam dzieła drukowane w wielkich nakładach, które „nie schodziły", jak mówili handlowcy. Były to przeważnie książki naukowe. Kiedyś udało mi się kupić w Bydgoszczy w komplecie kilkanaście dialogów Platona za jakąś żenująco niską sumę.

Moja gospodyni zaprowadziła mnie do piwnicy, gdzie zobaczyłem starannie poukładane książki. W większości były to powieści nieznanych autorów, ale znalazłem kilkanaście interesujących pozycji. Kupiłem je za uzgodnioną cenę. Po przeczytaniu zapakowałem i wysłałem pocztą do domu. Kiedy teraz piszę o tym, uświadamiam sobie, że gdyby nie niskie ceny książek w tamtych czasach, nie mógłbym zgromadzić ponad sześciu tysięcy tomów mojej prywatnej biblioteki.

Wyjazd do Włoch

Mogę teraz z perspektywy tylu lat, stwierdzić ze smutkiem, że mniej więcej od przełomu lat 1955/56 zacząłem zaniedbywać się w pracy. Nie wiem czy przyczyną była nienajlepsza atmosfera w filharmonii, czy stale postępujący rozpad małżeństwa, czy może budzące się we mnie coraz to nowe zainteresowania. Wiem jednak z całą pewnością, że mój rozwój jako dyrygenta nie został wprawdzie całkowicie zahamowany, ale uległ wyraźnemu spowolnieniu.

Przypuszczam, że odczuli to również muzycy w orkiestrze. Na początku pracy okazywali mi w wyraźny sposób sympatię, a potem – jak zresztą także Wisłockiemu – obojętność. Nadal pilnie przygotowywałem się na lekcje do Bierdiajewa, ale dyrygując koncertami nie odczuwałem już dawnego, radosnego podniecenia. Coraz więcej czasu poświęcałem lekturze, grze w bridge´a, dyskusjom z rozmaitymi, skądinąd interesującymi ludźmi. Możliwe także, że jedną z przyczyn był permanentny brak pieniędzy, który po pewnym czasie staje się wręcz obezwładniający. Pamiętam, że w połowie każdego miesiąca musiałem pożyczać 500 zł od Tadeusza Szeligowskiego, aby dotrwać do następnej wypłaty. Wówczas oddawałem dług, a po dwóch tygodniach znowu go zaciągałem. Trwało to do połowy sezonu 1956/57, gdzie dopiero dzięki pomocy dyr. Śliwińskiego udało mi się „stanąć na nogi" pod względem finansowym. Jakie by nie były przyczyny mojej złej kondycji psychicznej, w żadnej mierze nie mogę usprawiedliwić tego, co się nazywa u solistów spadkiem formy. Wiem z całą pewnością, że choć miałem większe doświadczenie i bogatszy zasób środków technicznych, koncerty moje były gorsze niż przedtem. Zresztą czułem to już wówczas, ale nie potrafiłem znaleźć w sobie dość siły, aby przełamać ten depresyjny stan. A ta słabość była już pomimo wszystko moją winą.

W roku 1955 na kolejnym Konkursie Chopina nagrody otrzymali m.in. Adam Harasiewicz, Andrzej Czajkowski i Fou Ts´ong. Już w grudniu tego roku miałem wspólny koncert z Fou Ts´ongiem, w styczniu 56 z Czajkowksim, a w czerwcu z Harasiewiczem. Dowodziło to, że nie dyrygowałem aż tak źle, jak by wynikało z tego, co napisałem powyżej. Tym bardziej, że soliści byli zadowoleni z mojego akompaniowania i głośno o tym mówili. Każdy z tych znakomitych pianistów znajdzie swoje miejsce w rozdziale o solistach.

Jak wiadomo z historii, w lutym 1956 odbył się w Moskwie XX zjazd KPZR, na którym Chruszczow wygłosił słynny referat „O kulcie jednostki". Było to moim zdaniem jedno z największych wydarzeń w dziejach XX wieku. Zapoczątkowało, całkowicie zresztą wbrew intencjom autorów, zmianę systemu radzieckiego i w konsekwencji jego upadek. Trwało to wprawdzie ponad trzydzieści lat, ale myślę że prędzej czy później historycy ocenią XX Zjazd obiektywnie, bez jakichkolwiek uprzedzeń. Natomiast w moim życiu niemal od razu ta historyczna zmiana okazała się odczuwalna.

Już w końcu marca Ministerstwo Kultury i Sztuki zapytało czy nie chciałbym pojechać na Międzynarodowy Konkurs Dyrygencki, który miał się odbyć w Rzymie na początku maja. Była to zaskakująca propozycja, bo do tego rodzaju konkursów kandydaci przygotowują się wiele miesięcy, a i zgłoszenia wysyła się znacznie wcześniej. Tym niemniej, nie pytając o szczegóły, natychmiast wyraziłem zgodę. Po raz pierwszy mogłem wyjechać na Zachód i w dodatku do wytęsknionego Rzymu, obok Aten największego dla mnie symbolu starożytnej kultury. Nieco później dowiedziałem się, że w istniejącym już od ponad roku Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (na miejsce zlikwidowanego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego) nie pracuje owa złowroga pani, która decydowała o wyjazdach zagranicznych w całej kulturze i która dwukrotnie odmówiła wydania mi paszportu. Pisałem o tym w poprzednich rozdziałach.

Program konkursu był ogromny. W pierwszym etapie do wylosowania jedna część z 17(!) symfonii Haydna, Mozarta, Beethovena, Brahmsa. Być może jeszcze Schuberta i Schumana. Oczywiście nie było sposobu, aby zdążyć nauczyć się tych symfonii, jeśli nie znało się ich wcześniej. Do tego jeszcze trzeba było zadyrygować jedną część suity, którą losowało się na dzień przed przesłuchaniem. Był to naprawdę trudny konkurs. Ministerstwo dostarczyło mi 17 kieszonkowych partyturek, abym mógł się przygotować. Przyznaję,

że tylko je przejrzałem. Dlaczego nie zabrałem się do solidnej nauki, tak jak to robiłem w Krakowie – nie potrafię odpowiedzieć. Cieszyłem się na myśl o zobaczeniu zabytków Rzymu, a konkurs traktowałem prawdopodobnie wyłącznie jako możliwość realizacji mojego od lat dziecięcych chowanego w sercu marzenia.

Ministerstwo wytypowało trzech kandydatów: Jana Krenza, Stanisława Skrowaczewskiego i mnie. Skrowaczewski miał „aż" 33 lata, ja z Krenzem po 30. Staszek był w tym czasie dyrygentem Filharmonii Krakowskiej, ale wcześniej odbył studia w Paryżu i zajmował stanowisko kierownika artystycznego Filharmonii Śląskiej. Janek od trzech lat był kierownikiem artystycznym najlepszej w owym czasie orkiestry – WOSPR (Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia). Stanowisko to objął po śmierci Grzegorza Fitelberga.

W jaki sposób załatwiono przyjęcie polskich kandydatów w tak późnym terminie – nie wiem. Może w ogóle było zbyt mało kandydatów, a może spowodowały to względy polityczne – chęć pomocy dla kraju ciemiężonego przez system stalinowski, co z całą otwartością wyjawił referat Chruszczowa? Paszporty i wizy załatwiono w ciągu paru tygodni i w końcu kwietnia wyjechaliśmy. O ile pamiętam, nie było wówczas bezpośredniego połączenia kolejowego między Polską a Włochami i mogliśmy dojechać tylko do Wiednia. Nie będę opisywał całej podróży, która wywarła na mnie duże wrażenie, szczególnie przy przekraczaniu granic. W Polsce i Czechosłowacji zabierano pasażerom paszporty, a pociąg stał i stał. Zaś miny funkcjonariuszy straży granicznej i celników były mieszaniną podejrzliwości i wrogości. Oczywiście pasażerowie nie słyszeli ani „dzień dobry" ani „do widzenia". Natomiast po przekroczeniu granicy austriackiej do przedziału wszedł pan w średnim wieku z miłym uśmiechem, powiedział „Guten Morgen" i „Pass bitte". Na miejscu, w przedziale przybił pieczątkę i oddał paszport mówiąc „Danke", a potem przy zamykaniu drzwi jeszcze dodał: „Gute Reise" i „Auf wiedersehen". Byłem tak zaskoczony, że z trudem wyjąkałem „danke"! To był pierwszy szok. A potem drugi – neonowe reklamy na ulicach Wiednia. W owym czasie, choć młodym ludziom trudno w to uwierzyć – w Warszawie nie było jeszcze w ogóle tego rodzaju reklam! Nieco później, kiedy pokazały się pierwsze, niewielkie i ciągle psujące się neony, na pierwszej stronie „Szpilek" opublikowano rysunek. Przedstawiono na nim ulicę z neonowymi napisami: „Mięsa brak", „Jutro cytryny", „Buty dziecięce wyprzedane", „Sklep zamknięty – remont", „Inwentaryzacja" itd. Gorzka, ale jakże prawdziwa satyra na naszą ówczesną rzeczywistość.

Mieliśmy zarezerwowane przez ambasadę pokoje w małym hoteliku przy Piazza Navona. Od razu zgłosiliśmy się do biura konkursu, gdzie Staszek – jak to miał w zwyczaju – zaczął „czarować" sekretarkę jury, używając do tego swojej płynnej francuszczyzny. Przed wyjazdem dostałem od Wandzi list polecający do Artura Rodzińskiego, którego gdzieś poznała. Tutaj mała dygresja. Artur Rodziński był światowej sławy dyrygentem. Z tego co opowiadała Wandzia, on sam, a potem inni ludzie – wynikało, że życie miał bogate, zaś początki bynajmniej niełatwe. Zainteresowani mogą je poznać z sympatycznej, bezpretensjonalnej biografii jego żony, Haliny. Wiosną 56 roku przebywał w Rzymie w związku z jakimiś nagraniami. Miał być honorowym przewodniczącym jury konkursu, ale zachorował i nie opuszczał apartamentu, w którym mieszkał. O liście Wandzi oczywiście powiedziałem obu kolegom i zaproponowałem, abyśmy razem złożyli kurtuazyjną wizytę. Zatelefonowałem do Rodzińskiego (numer otrzymałem od sekretarki jury), a on niezwłocznie zaprosił naszą trójkę do siebie. Kupiliśmy kwiaty, które wręczyliśmy pani Rodzińskiej. Oboje byli naprawdę czarującymi ludźmi. Musieliśmy streścić nasze życiorysy, a Rodziński

w zamian opowiadał o swoich trudnych początkach w Polsce, a potem w USA. Obiecał, że jeśli lekarz pozwoli – zasiądzie w jury na ostatnim, trzecim etapie konkursu. Spełnił tę obietnicę, pomimo że wyglądał na naprawdę chorego. Umarł dwa lata później.

Konkurs dyrygencki

Wylosowałem pierwszą część VIII symfonii Beethovena, której nigdy nie dyrygowałem na koncercie oraz jakiś inny utwór, którego w ogóle nie znałem. To, że nie zapamiętałem nawet jego nazwy, dowodzi jak dalece nie zależało mi na konkursie. Po losowaniu zamiast poświęcić dzień na naukę, poszedłem do jednego z muzeów, chyba do Musea della Terme. Dopiero wieczorem zajrzałem do partytur. Nic zatem dziwnego, że następnego dnia na przesłuchaniu nie bardzo wiedziałem, co dyryguję. Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że to lekceważenie lonkursu było błędem, ale wtedy zabytki Rzymu przesłoniły wszystko inne. Oczywiście odpadłem po pierwszym etapie, a obaj moi koledzy przeszli do drugiego. Pamiętam dokładnie, że kiedy chcieli wyrazić mi współczucie, machnąłem tylko ręką i poszedłem zwiedzać kolejne muzeum. Dzień czy dwa później do mojego pokoju wpadł Krenz i powiedział, że wylosował w drugim etapie pierwszą część IV symfonii Brahmsa i jeden fragment „Rondes de printemps" Debussy´ego. Ponieważ oba dzieła znał – jak mówił – na pamięć i już parokrotnie dyrygował, był pewien, że przejdzie do trzeciego etapu. Po przesłuchaniu wrócił rozpromieniony. Wszedł na estradę bez partytur, co – jak opowiadał – wywołało aprobujący szmer w orkiestrze i życzliwe uśmiechy muzyków. Janek nie wątpił, że przejdzie do trzeciego, ostatniego etapu jako jeden z pięciu finalistów. Stało się jednak inaczej. Dzień czy dwa później poszedł na ogłoszenie wyników. Wrócił dosłownie zdruzgotany. Jego twarz wyrażała nie tylko przygnębienie co wręcz rozpacz. Z trudem wykształsił jedno słowo: „Odpadłem". Ani on, ani ja nie dowiedzieliśmy się nigdy, co spowodowało, że jury oceniło jego występ negatywnie. Tego dnia Janek dotrzymywał mi bez przerwy towarzystwa. Nie chciał być sam. Do późnego wieczoru chodziliśmy ulicami Rzymu, roztrząsając wszystkie możliwe przyczyny jego porażki. Janek twierdził, że poza Skrowaczewskim, który przeszedł, pozostali finaliści byli albo uczniami jurorów, albo studiowali w Akademii św. Cecylii, która konkurs organizowała. Ja miałem odmienne zdanie. Nie negując, że powiązania personalne mogły mieć pewien wpływ na decyzję jury, uważałem, że główną przyczyną była nadmierna pewność siebie Janka. Dogłębna znajomość utworów i rezygnacja z partytur nastawiła do niego nieżyczliwie członków jury, składającego się niemal w całości z profesorów – sądząc po wyglądzie – raczej w podeszłym wieku. Zabrakło wśród nich choćby jednego znanego dyrygenta. Podejrzewałem, że byli to nieudacznicy, którym nie udało się utrzymać na estradach i musieli zadowolić się pedagogiką. Podświadomie zazdrościli młodym i zdolnym kandydatom i nie byli do nich nastawieni życzliwie. Nie wiem, który z nas miał rację, ale później obserwując inne konkursy, zauważyłem podobne mechanizmy. Najbardziej znanym przypadkiem było „utrącenie" na konkursie chopinowskim Ivo Pogorelicha.

W trzecim etapie wygrał Skrowaczewski. Słyszałem potem wiele plotek o tym, jakimi rzekomo sposobami zdobył I nagrodę, wynoszącą – o ile pamiętam – 1 000 000 lirów i przede wszystkim ułatwiającą wejście na europejskie estrady. Nie będę tutaj przytaczał tych plotek z prostego powodu. Jeżeli są oparte na prawdziwych faktach, ich ujawnienie po upływie pół wieku niczego już nie zmieni. A jeżeli są kłamstwami, przypominanie ich

wyrządzi niezasłużoną krzywdę mojemu koledze. Na koncercie laureatów Staszek był nieporównywalnie lepszy od pozostałych czterech finalistów. Więcej, on jeden pokazał prawdziwe zawodowstwo. Tamci byli jedynie mniej lub więcej zdolnymi studentami. Po koncercie Krenz powiedział: „I ty, i ja jesteśmy od nich bez porównania lepsi". I miał całkowitą rację. Poziom tych laureatów pokazał, że istotnie mogli dostać nagrody „po znajomości".

Jeszcze w pociągu z Warszawy do Wiednia uzgodniliśmy, że ten z nas kto zdobędzie nagrodę, zafunduje obiad w luksusowej restauracji. Gratulując Skrowaczewskiemu po koncercie, przypomnieliśmy o tej umowie. Ku mojemu zaskoczeniu zrobił zdziwioną minę i powiedział, ociągając się:

- No, skoro tak mówicie…

Następnego dnia przypomnieliśmy ponownie, na wesoło, jak to między kolegami, o naszej umowie. Tym razem oświadczył, że w związku ze zdobyciem pierwszej nagrody ma mnóstwo wywiadów, spotkań, zaproszeń i nie będzie miał dla nas czasu. Ale chętnie zapłaci za taki obiad, który sobie zafundujemy na jego koszt. Odmówiliśmy z oburzeniem i więcej już się ze Staszkiem w Rzymie nie spotkaliśmy.

Czas teraz na krótką relację z moich wrażeń z Wiecznego Miasta. Były tak liczne i tak głębokie, że na zawsze utrwaliły się w mojej pamięci: bazyliki św. Piotra i św. Pawła za Murami – niezapomniane. Muzeum watykańskie to przede wszystkim przytłaczająca ilość wspaniałych rzeźb greckich i rzymskich, niektóre olśniewającej piękności, np. Wenus kapitolińska, umierający Gall lub Apollo belwederski. Doskonałości kształtów nie da się opisać. Trzeba je po prostu zobaczyć. Wiedziałem, że Rafael był genialnym malarzem, ale oglądając reprodukcje odczuwałem zawsze pewien niedosyt. Myślałem, że oryginały zmienią moje uznanie w zachwyt. Niestety, tak się nie stało. Podziwiałem wielkość Rafaela, ale bez emocjonalnego zaangażowania. Wolałem np. Caravaggia. Jednak najwspanialsze nawet obrazy zbladły w porównaniu z Kaplicą Sykstyńską. Byłem dosłownie porażony; z trudem mogłem oddychać. Rezygnuję z prób opisu zarówno tego arcydzieła jak i moich przeżyć. Podobnego wstrząsu doznałem potem w kościele św. Piotra w Okowach, kiedy stanąłem przed posągiem Mojżesza. Do dzisiaj Michał Anioł jest dla mnie największym rzeźbiarzem i malarzem wszechczasów. A bryła bazyliki św. Piotra czyż nie jest także arcydziełem rzeźby? Wdrapałem się na samą górę wąskim korytarzykiem okalającym spiralnie kopułę. Ale najwspanialszy jest widok kopuły, kiedy stoi się pod nią w bazylice. Nie chce się wierzyć, że człowiek mógł coś takiego stworzyć. Najpierw czystą wizję, a potem przekuć ją w materialny kształt.

Pewnego wieczoru, tuż przed zamknięciem, poszedłem do Colosseum, aby zobaczyć długie, posępne cienie, rzucane przez arkady i mrok podnoszący się od podziemi. Innego wieczoru słuchałem słowików na Janiculum, a wczesnym rankiem, zaraz po otwarciu, samotnie chodziłem po ruinach Palatynu i opustoszałym Forum Romanum. Przed południem przeszedłem kiedyś całą via Appia od grobowca Cecylii Metelli aż do Kapitolu. Jak ongiś zwycięzcy wodzowie. A potem wstąpiłem na słynne schody. Obszedłem plac przed bazyliką św. Piotra, podziwiając kolumnadę Berniniego z jej niewiarygodnie doskonałymi proporcjami, zwiedziłem katakumby, patrzyłem na bawiące się dzieci w ogrodach Willa Borghese, oglądałem łuki triumfalne, mosty, fontanny, renesansowe pałace. Wrzuciłem, zgodnie z tradycją, monetkę do Fontanna di Trevi, aby wrócić jeszcze kiedyś do Rzymu. Niestety ten „magiczny" zabieg nie pomógł. Nigdy już nie udało mi się pojechać do tego cudownego, jedynego w swoim rodzaju miasta, gdzie starożytne ruiny współgrają ze

wspaniałością budowli renesansowych i barokowych. A nowoczesna architektura włoska stapia się z nimi w doskonałą całość pod błękitnym, opiewanym przez poetów, niebem. Jedyną naprawdę szpetną budowlą w Rzymie był i niestety nadal jest gigantyczny pomnik Wiktora Emanuela II. Włosi nazywają go pogardliwie tortem. Podobno jest największym pomnikiem na świecie. Nawet nasz warszawski Pałac Kultury i Nauki to przy nim szczyt dobrego smaku.

Na początku pobytu w Rzymie byłem świadkiem uroczystości 1-Majowych. Przed południem przez ulice przejechały na samochodach i skuterach dwa „pochody": komunistyczny i chadecki. A policja pilnowała, aby uczestnicy mogli swobodnie wznosić okrzyki, powiewać flagami i rozciągać ogromne transparenty. Zaś po południu na placu przed bazyliką św. Piotra odbyła się ściśle religijna uroczystość, związana z uznaniem dnia 1 maja za święto Józefa Robotnika. Znakomite polityczne pociągnięcie papieża Piusa XII. Robotnicy w Mediolanie ufundowali ogromną figurę św. Józefa. Za czyje pieniądze – dyskretnie nie podano. 1 maja miała być przewieziona wielkim transportowym helikopterem do Rzymu i wniesiona jako dar do bazyliki. Na placu zebrały się tysiące ludzi. Przed głównym wejściem do świątyni zbudowano wysoki podest, wokół którego zasiedli kardynałowie i biskupi. Wszyscy czekali na przylot helikoptera. Kiedy ukazał się na niebie z wiszącą pod nim figurą, rozległy się oklaski i okrzyki. Figurę spuszczono na podest, skąd wniesiono ją uroczyście do wnętrza bazyliki. A kiedy tłum zaczął się rozchodzić, w oknie pałacu watykańskiego ukazała się biała postać. Ludzie zaczęli wiwatować, a wówczas papież powoli udzielił wszystkim błogosławieństwa: urbi et orbi. Muszę przyznać, że tego rodzaju ceremoniał robi wrażenie. A 1 maja do dzisiaj obchodzony jest – jeżeli się nie mylę – jako święto Józefa Robotnika.

Zwiedzanie Włoch

W tamtych czasach za granicę wyjeżdżali prawie wyłącznie przedstawiciele różnych instytucji centralnych i rozmaitych central handlowych. Rzadko naukowcy czy artyści lub częściej nieco sportowcy. Dlatego też ambasady chętnie zajmowały się gośćmi, czasami nawet udzielały gościny w swoich tzw. pokojach kurierskich. Krenzowi i mnie na jeden dzień ambasador wypożyczył samochód, abyśmy mogli zobaczyć Neapol. Dzięki temu zjedliśmy na obiad najprawdziwsze frutti di mare w restauracji nad zatoką neapolitańską, słuchając jednocześnie piosenek z akompaniamentem mandoliny. Frutti di mare jadłem pierwszy raz w życiu i choć ich konsumpcja jest pracochłonna, są wspaniałą potrawą, którą potem mogłem się jeszcze nieraz rozkoszować w różnych krajach. Jadąc do Neapolu asfaltową szosą, widzieliśmy obok równoległą brukowaną drogę z czasów rzymskich. Tak w każdym razie objaśnił nas kierowca. Droga ta służyła nadal nie tylko pojazdom zaprzężonym w osły lecz także miejscowym samochodom czy skuterom. Po tej wycieczce do Neapolu, żałuję jedynie, że zabrakło czasu na zwiedzenie ruin Pompei.

Ponieważ, jak pisałem wyżej, za granicę wyjeżdżali przeważnie funkcjonariusze państwowi, diety były bardzo wysokie. Dzięki temu mogliśmy z Krenzem zaplanować podróż do Florencji, Wenecji i Mediolanu. Otrzymaliśmy z ministerstwa sporą sumę pieniędzy na miesięczny pobyt. Pokrywała: diety na wyżywienie, hotele na podstawie rachunków, przejazdy według biletów, uczęszczanie na rozmaite imprezy, zwiedzanie muzeów itp. również zgodne z załączonymi biletami. Były to komfortowe warunki. Nic zatem dziwnego,

że postanowiliśmy z Krenzem wykorzystać posiadane dewizy i zwiedzić choć parę miast. Mało tego, mogliśmy np. kupować nuty czy książki, byle tylko potwierdzone rachunkiem. Ponieważ miałem już za sobą ponad sto koncertów, mój „dyplomowy" frak okazywał wyraźne ślady zużycia. Zdecydowałem się zatem na zakup kuponu cienkiej wełny, tzw. sutannowej, aby uszyć sobie nowy frak. Kiedy po powrocie przedstawiłem w ministerstwie rachunek ze sklepu wraz ze stosownym wyjaśnieniem, wydatek został uwzględniony

O uroku Wenecji nie trzeba pisać. Zamieszkaliśmy na dwa czy trzy dni w hotelu „Regina" nad Canale Grande. Zwiedziliśmy parę kościołów z bazyliką św. Marka na czele, parę muzeów łącznie z pałacem dożów, a wieczorem pierwszego dnia popłynęliśmy tzw. wodnym tramwajem na Lido. Na wynajęcie gondoli nie było nas niestety stać.

Florencja jako miasto zachwyciła nas jeszcze bardziej niż Rzym. Mieliśmy jeden dzień, aby obejrzeć katedrę ze słynnymi drzwiami Ghibertiego, Piazza della Signoria, Palazzo Vecchio, posąg Dawida i przede wszystkim niezwykłe muzeum w pałacu Uffizich. Już samo wnętrze stwarza niepowtarzalny klimat, a zgromadzone arcydzieła oszałamiają. W Mediolanie – co wyznaję ze skruchą – rozczarowała mnie „Ostatnia wieczerza". Obraz był tak zniszczony, że jego genialność ginęła wśród złuszczonej, popękanej farby i wyblakłych kolorów. To rozczarowanie wynagrodziły mi dwa muzyczne przeżycia. Trafiliśmy na odbywający się w ramach Maggio Florentino recital Heifetza. Co prędzej kupiliśmy bilety, nie pytając o cenę. Słyszałem potem w życiu wielu znakomitych, wielkich, wspaniałych skrzypków z Menuhinem, Milsteinem, Koganem i Kremerem na czele. Ale żaden nie wywarł na mnie takiego wrażenia jak Heifetz. Grał wręcz z antypatycznym wyrazem twarzy z lekko wysuniętą do przodu dolną wargą, jakby zupełnie obojętny, by nie rzec – znudzony. A jednocześnie tworzył cudowną muzykę. Właśnie – tworzył! Odnosiłem wrażenie, że to Heifetz właśnie teraz, w tej chwili komponuje Chaconnę Bacha, Sonatę Kreutzerowską Beethovena, Sonatę Francka. Niezwykłe przeżycie. Podobne wrażenie miałem jeszcze tylko jeden raz parę lat później, słuchając „Magnificat" pod dyrekcją Karajana. A Janek, kiedy wyszliśmy na przerwę po wykonaniu Sonaty Kreutzerowskiej, powiedział w zadumie: „Dopiero teraz zrozumiałem, na czym polega fraza beethovenowska". Obaj byliśmy wstrząśnięci. Wysłuchanie takiego recitalu warte jest więcej niż rok nauki w szkole. Heifetz przy owacjach publiczności wykonał dwa bisy, poczem nie chciał już więcej grać. A ponieważ publiczność nie przestawała klaskać, wygaszono światła nad estradą. Gdy i to nie pomogło, wywieziono fortepian. Owacja na stojąco trwała nadal. Wówczas Heifetz wyszedł na estradę ubrany w płaszcz i kapelusz, z futerałem w ręku. Publiczność skwitowała to śmiechem i opuściła salę.

Drugim przeżyciem było przedstawienie w La Scali. Śpiewali gościnnie Meneghini Callas i di Stefano w „Purytanach" Belliniego. Muzyka zupełnie mi się nie podobała, ale to nie miało żadnego znaczenia. Oboje śpiewacy byli wówczas młodzi, mieli po trzydzieści kilka lat. Przyznaję, że dotąd nie wiedziałem, że głos ludzki może być tak bogaty w najróżniejsze barwy. Callas w czasie śpiewania przeważnie stała nieruchomo, gestykulowała oszczędnie, a cała dramaturgia rozgrywała się w samym śpiewie. Była to dla mnie kolejna lekcja: pokazała czym jest interpretacja.

Z Mediolanu polecieliśmy do Genewy i tam spędziliśmy noc w hotelu na koszt linii lotniczych (mieliśmy bilety Mediolan – Warszawa). Następnego dnia zakończyła się w Warszawie moja pierwsza podróż na Zachód. Nauczyłem się wiele. Nigdy już potem nie miałem możliwości zobaczenia tylu zabytków i arcydzieł sztuki w tak krótkim czasie i zarazem stosunkowo dużo swobody finansowej, aby jeździć od miasta do miasta, nocując

w dobrych hotelach. Potem na ogół jeździłem na koncerty, a to uniemożliwiało dysponowanie czasem. Wandzia kiedyś opowiadała, że w hotelach zazdrościła turystom, którzy całe dnie mogli poświęcać na zwiedzanie. Mówiła, że nawet dyrygenci mają lepiej, bo z powodu prób spędzają w jednym miejscu choć parę dni. A solista jeżdżący z recitalami, niemal codziennie zmienia miasto i nie ma żadnych możliwości, aby cokolwiek zobaczyć. W każdym razie ja pobyt we Włoszech starałem się wykorzystać jak najlepiej i jestem pewien, że to co przeżyłem, wzbogaciło moją osobowość.

Na zakończenie tego podrozdziału, chciałbym jeszcze wspomnieć o Janku Krenzu, moim współtowarzyszu (o nim jako dyrygencie napiszę później) podróży po Włoszech. Ani razu nie mieliśmy jakiejkolwiek sprzeczki. To zasługuje na podkreślenie. Przez cztery tygodnie mieszkaliśmy w tych samych hotelach, czasami razem we wspólnym pokoju. W podróży byliśmy stale obok siebie. Pomimo takiej bliskości i – co szczerze przyznaję – mojego trudnego charakteru, nigdy nie pojawił się żaden konflikt. Ciekawe czy Janek pamięta jeszcze tę naszą podróż sprzed pół wieku i jakie ma wspomnienia.

Po powrocie dyrygowałem jeszcze w czerwcu koncertami z Harasiewiczem. Nie przypominam sobie, aby ktoś robił aluzje do mojej konkursowej przegranej. Słyszałem jednak, że przeciwnicy Krenza w Katowicach próbowali podważać jego kompetencje jako szefa WOSPR-u. Na szczęście bezskutecznie. Natomiast Skrowaczewskiemu I nagroda bardzo pomogła do rozpoczęcia kariery międzynarodowej, niezależnie od jego niewątpliwych zdolności i umiejętności.

Rozdział XXII

WYDARZENIA POLITYCZNE

Skutki referatu Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR dały o sobie znać w całej polityce światowej. Osłabiły nie tylko partie komunistyczne w większości krajów Europy lecz także zmniejszyły poparcie, jakiego dotąd udzielali ZSRR lewicowi i lewicujący zachodni intelektualiści. Przede wszystkim jednak ośmieliły krytyków wewnątrz rządzących partii w tzw. państwach satelickich. Kolejne dymisje, a nawet aresztowania szefów służb bezpieczeństwa zdezorientowały szeregowych funkcjonariuszy tych służb. Również w zakładowych organizacjach partyjnych jak i w komitetach zmieniano sekretarzy i pozwalano sobie na otwarte krytykowanie dotychczasowego działania. Wytykano błędy ideologiczne, odstępstwa od marksizmu, nadużywanie władzy, doktrynerstwo w takich dziedzinach jak ekonomia czy gospodarka. Ta tzw. odwilż wyzwoliła początkowo u zwykłych ludzi jedynie chęć naprawy socjalistycznego ustroju. Ale szybko przerodziła się w dążenie do przeprowadzenia bardziej zasadniczych zmian. A na to władza, choć osłabiona i zdezorientowana, pozwolić nie mogła.

Te skrótowe uwagi pozwalają zrozumieć atmosferę, w której doszło do wybuchu czerwcowych zamieszek w Poznaniu. Przeczytać o nich można w podręcznikach historii. Znane są: geneza, przebieg i krwawe zakończenie tych zamieszek i dlatego nie będę ich tutaj opisywał. Ale opinia publiczna nie znała szczegółów. Nie wiedziała o walkach, zniszczeniach i ofiarach w ludziach. W oficjalnym komunikacie PAP poinformowano, że w Poznaniu wybuchły zamieszki sprowokowane przez imperialistycznych, wrogich Polsce agentów. Władze przywróciły spokój w mieście. Ja także dopiero po wakacjach, kiedy przyjechałem do Poznania, dowiedziałem się, jak było naprawdę. Pamiętam, że w małym gronie literatów, aktorów i muzyków dyskutowaliśmy o zorganizowaniu politycznego kabaretu o nazwie „Odcięta ręka". Miała to być aluzja do osławionego, a zarazem haniebnego zwrotu, użytego przez Cyrankiewicza w jego poznańskim przemówieniu. Straciłem wtedy resztki szacunku, jaki miałem w stosunku do tego skądinąd inteligentnego człowieka. Kabaretu oczywiście nie zorganizowaliśmy, ponieważ rozsądni ludzie wytłumaczyli nam, że cenzura nie zgodziłaby się na taką nazwę.

Paryż

Któż z nas nie marzył o zobaczeniu Paryża? W latach pięćdziesiątych znaliśmy już filmy francuskie, których akcja rozgrywała się w tym mieście oraz nazwiska największych aktorów i najsłynniejszych piosenkarzy. Wydawano kolejne powieści o komisarzu Maigret. Ja zaś byłem w znacznym stopniu wychowany na literaturze francuskiej, głównie dzięki Bibliotece Boya. Myślę zresztą, że i wtedy, i teraz lepiej znam literaturę francuską niż polską. Niestety

tylko w tłumaczeniu, bo moja znajomość języka francuskiego jest beznadziejnie słaba. Kiedy więc w czerwcu 56, krótko po powrocie z Włoch, ministerstwo zaproponowało mi, abym pojechał w charakterze obserwatora na konkurs dyrygencki w Besançon, z entuzjazmem propozycję przyjąłem. Od razu postanowiłem, że konkurs będzie tylko pretekstem, a ja jak najwięcej dni postaram się spędzić w Paryżu. I tak też się stało.

W poprzednim roku I nagrodę zdobył Jerzy Katlewicz, którego pamiętam jeszcze z Krakowa jako studenta. Teraz, zgodnie z regulaminem, miał dyrygować koncertem na otwarcie następnego konkursu. Przewidywane honorarium pozwoliło mu na opłacenie kosztów podróży żony, Ireny. Drugim obserwatorem miał być Zbigniew Chwedczuk, a jako uczestnik konkursu jechał z nami Andrzej Markowski, asystent Wisłockiego w Filharmonii Poznańskiej, znany już jako kompozytor muzyki do filmów. Słowem, dobrane towarzystwo kolegów. Byliśmy prawie w jednym wieku. O ile pamiętam, najstarszy był Chwedczuk, potem Markowski, ja i o rok ode mnie młodszy Katlewicz. Nasze losy potoczyły się różnie, o czym później napiszę. Jechaliśmy pociągiem przez Czechosłowację i Niemcy i wówczas po raz pierwszy zobaczyłem jak w „kapitalizmie" nocą w wagonie sypialnym przekracza się granicę. Wieczorem w Niemczech konduktor zebrał paszporty pasażerów, ponieważ na granicy mieliśmy być między 1 a 2 godziną w nocy. Na moje pełne zdziwienia pytanie po co to robi, odpowiedział niemniej zdziwiony, że gdyby straż graniczna budziła pasażerów w środku nocy, nikt by nie jeździł wagonami sypialnymi, co doprowadziło by starą, znaną firmę Wagon-Lits do bankructwa. Natomiast na różnych granicach pomiędzy krajami socjalistycznymi byłem bezceremonialnie budzony. Mało tego, kazano mi czasami wyjść z przedziału, aby gorliwy a podejrzliwy funkcjonariusz straży granicznej mógł zajrzeć pod pościel. Tak mnie to wreszcie zniechęciło do podróży pociągiem, że zacząłem korzystać z samolotów.

W Paryżu prosto z dworca Paris de L´est pojechaliśmy taksówką na Monmartre i tam wynajęliśmy pokój w jakimś hoteliku, bodajże przy bulwarze Rochechouart. Wieczorem spotkaliśmy się z Katlewiczami i poszliśmy na spacer po słynnej dzielnicy artystów aż do placu Pigalle. Takiej ilości i jakości świetlnych reklam nie widziałem ani w Wiedniu, ani w Rzymie. Wokół placu, niemal w każdym domu były lokale rozrywkowe: dancingi, restauracje ze stripteasem, a przede wszystkim rewie, kabarety, music-halle. Przed nimi rzęsiście oświetlone większe i mniejsze gabloty z fotografiami. Obeszliśmy plac, rozmawiając na różne tematy. Ale żona Katlewicza nie uczestniczyła w rozmowie. Oglądała fotografie w gablotach, jedną po drugiej. Nas, mężczyzn, przestały interesować dziesiątki fotosów z rozebranymi dziewczętami. Ale nie Irenkę. Ona obejrzała wszystkie. Kiedy obeszliśmy cały plac, dołączyła do nas, powiedziała „tfu!" i splunęła z pogardą. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Oświetlony kolorowymi, ruchomymi neonami plac, pełen ludzi spragnionych rozrywki, muzyczka z głośników, trąbienie klaksonów samochodów przepychających się przez tłumy pieszych, gwar rozmów, okrzyki, wybuchy śmiechu – tworzyły jedyną w swoim rodzaju atmosferę. I na środku tego pełnego życia placu młoda kobieta, która po wręcz zachłannym oglądaniu tzw. nieprzyzwoitych fotosów – spluwa z obrzydzeniem. Dla mnie był to jaskrawy, a zarazem smutny przykład mieszczańsko - katolickiej hipokryzji.

W Besançon byłem tylko na inauguracyjnym koncercie, poczem pośpiesznie wróciłem do Paryża. W ciągu paru dni zwiedziłem to wszystko, co chciałem: Luwr, Wersal. Orangerie, Notre-Dame, Sacré-Coer, Sainte-Chapelle, Panteon, Madeleine, Pałac Inwalidów, Palais de Chaillot, Conciergerie, wieżę Eiffla i oczywiście najważniejsze place i bulwary. „Odparzyłem" sobie nogi, ale rzeczywiście zobaczyłem to wszystko, co znałem z filmów,

książek, fotografii; to wszystko o czym marzyłem. Myślę, że nie warto podejmować próby relacjonowania swoich wrażeń. Ci, którzy byli w Paryżu, wiedzą aż nadto dobrze, że to miasto warte jest swojej sławy. Uliczki dzielnicy Montparnasse, bukiniści nad Sekwaną, witraże w kościołach, zabytki w Luwrze, „Nenufary" Moneta - są czymś, czego się nigdy nie zapomni.

I jeszcze dwa piękne i ważne wspomnienia. Moje kuzynki, Halina i Jadzia, o których już pisałem, miały znajomego, który mieszkał w Paryżu. Był to rodzony brat Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Jako prokurator przed wojną oskarżał komunistów. W jakiś sposób udało mu się uciec na Zachód i jako wielbiciel kultury francuskiej osiadł w Paryżu. Ożenił się z Francuzką i pracował w bibliotece Luwru. Tę historię opowiedziały mi kuzynki, wręczając list polecający do Władysława Żeleńskiego wraz z numerem telefonu. Skontaktowałem się z nim natychmiast po przyjeździe do Paryża. Był bardzo zajęty, ale poświęcił mi jeden wieczór i pół nocy. Pokazał te mniej znane, ale równie fascynujące zakątki Paryża i opowiadał ich historie. Gdzieś po północy zawędrowaliśmy przed pałac, w którym mieszkał Henryk książę Nawarry, zanim został królem Henrykiem IV. Pan Żeleński powiedział mi, że o określonej nocnej godzinie światło księżyca przechodzi między gałęziami drzew i oświetla balkon i okna pokoju, który był sypialnią księcia Henryka. Czekaliśmy cierpliwie, a że noc była na szczęście pogodna, nagle srebrzyste promienie księżyca niby światło reflektora padły na balkon I piętra. Był to urzekający widok. Władysław Żeleński na pewno nie żyje już od wielu lat, ale ja w sercu przechowuję z wdzięcznością obraz starszego pana, który pokazał mi inny Paryż.

Drugim ważnym wspomnieniem było spotkanie z Jerzym Giedroyciem. I jego znały moje kuzynki. Pozwolę sobie przypomnieć, że dzieciństwo przed I wojną światową spędziły na Litwie i zapewne to tam poznały Giedroycia. A może nawet były z jego rodziną spowinowacone, zgodnie z sienkiewiczowskim powiedzeniem: „U was na Litwie wszyscy są kuzynami". Dostałem od moich kuzynek list polecający i numer telefonu. Oczywiście wiedziałem, kim był Giedroyć i skontaktowałem się z nim niezwłocznie pierwszego dnia po przyjeździe do Paryża. Przekazałem pozdrowienia i powiedziałem, że mam dla niego list. Od razu zapytał:

- Czego pan ode mnie oczekuje?

A ja na to bez wahania:

- Jak to czego? Książek!

Umówiliśmy się na spotkanie w jakiejś kawiarni. Przyniósł teczkę pełną książek. Zapytał:

- Jak pan to przewiezie?

Wyjaśniłem, że jestem dyrygentem i w razie czego na pytanie celnika, co mam w teczce, odpowiem: „partytury". I mam nadzieję, że nie będzie sprawdzał. Giedroyć dał mi książki, które szczęśliwie przewiozłem i potem pożyczałem wielu ludziom. Część z nich niestety nie była uczciwa i książek nie zwróciła. Pocieszałem się jednak, że czytało je jeszcze potem wiele osób. Pozostałe książki mam do dzisiaj: Orwella, Miłosza, Korbońskiego. Ich lektura była wtedy prawdziwym wstrząsem i dlatego nie sposób przecenić zasług Giedroycia i kierowanej przez niego „Kultury". Dał mi również broszurkę z przetłumaczonym na język polski pełnym tekstem tajnego referatu Chruszczowa, o którym pisałem w poprzednim rozdziale. W jaki sposób zawędrował w ciągu paru miesięcy na Zachód – nigdy się nie dowiedziałem. Niestety i tę broszurkę ktoś pożyczył i nie oddał. Giedroyć pytał mnie o nastroje w Polsce po XX zjeździe KPZR i po wydarzeniach poznańskich. I o to w jaki sposób

przejawia się „odwilż". Zaspokajałem, jak potrafiłem jego ciekawość, choć domyślałem się, że ma wystarczające informacje od innych osób i chce jedynie skonfrontować z nimi moje słowa. Rozmowa trwała kilkadziesiąt minut i zakończyła się wymianą następujących zdań. Ja powiedziałem:

- My w Polsce nasłuchujemy tego, co mówicie tutaj, na emigracji. To dla nas ważne.

A na to Giedroyć:

- Ale jakiekolwiek zmiany musicie zrobić sami, tam w kraju.

Przypomniały mi się te słowa zarówno w roku 70 jak i 80.

Październik 56

I znowu w tym rozdziale dochodzę do ważkich wydarzeń politycznych, zarówno w świecie jak i w Polsce. Przez całe lato 1956 roku w ZSRR i innych krajach tzw. obozu socjalistycznego trwał proces powolnych, ale mimo wszystko znaczących zmian. Usuwano w różny sposób najbezwzględniejszych polityków i funkcjonariuszy tzw. bezpieki. W Polsce przebiegało to w miarę spokojnie. Zwolniono z aresztu Gomułkę, a kardynała Wyszyńskiego z internowania, co oznaczało ponowne objęcie przez niego stanowiska prymasa. W październiku odbyło się kolejne plenum KC PZPR, na którym powołano Gomułkę na I sekretarza. Wokół tego wydarzenia i jego następstw krążyło w tamtych dniach mnóstwo, sprzecznych nieraz, wiadomości. Pamiętam to dobrze, bo 12 października miałem w Poznaniu koncert i następne dwa tygodnie spędziłem w Warszawie. Niektóre z tych wiadomości były zwykłymi plotkami, ale inne okazały się zgodne z prawdą. Warto je przytoczyć w ówczesnym kształcie, gdyż ilustrują atmosferę tamtych, niewątpliwie przełomowych dni. Podobno w czasie plenum, jednego z członków wywołano do telefonu. Dzwonił znajomy z miasteczka Syców, że właśnie widzi przejeżdżające w kierunki Warszawy czołgi radzieckie. Interpelowany w tej sprawie, siedzący w prezydium Plenum, marszałek Rokossowski oświadczył, że nic o tym nie wie. I od razu rozkazał obecnemu na sali szefowi lotnictwa, generałowi Frey-Bieleckiemu, aby sprawdził to osobiście. Według dalszego ciągu tej krążącej po Warszawie wiadomości, generał poleciał we wskazanym kierunku i rzeczywiście zobaczył jadące czołgi radzieckie z garnizonu w Legnicy. Zakończenie tej opowieści ma parę wersji, ale historia potwierdziła, że Chruszczow bez porozumienia z Rokossowskim rozkazał Koniewowi, aby skierował wojska na Warszawę.

Inna plotka głosiła, że Chruszczow nie powiadomił Biura Politycznego PZPR o zamiarze przyjazdu radzieckiej delegacji i że polska obrona przeciwlotnicza o mało nie strąciła obcego samolotu. Mówiono także o awanturze, jaką zrobił Chruszczow na płycie lotniska od razu po wyjściu z samolotu. Ta ostatnia plotka została potwierdzona, choć oczywiście nieoficjalnie. W każdym razie sytuacja została w czasie wizyty wyjaśniona i nie doszło do konfliktu. Chruszczow zaakceptował zmiany personalne w kierownictwie PZPR oraz przyjęty przez KC kierunek działania.

Dla mnie osobiście zadziwiający był wtedy entuzjazm większości społeczeństwa polskiego, jakim przyjęto nominację Gomułki na przywódcę PZPR. Pamiętam bowiem, że był to żądny władzy i poklasku prymitywny „aparatczyk". Jego mentalność, sposób mówienia, gestykulacja znamionowały sprytnego demagoga. To, że został odsunięty od władzy i aresztowany, było rezultatem personalnych rozgrywek a nie zasadniczych różnic ideologicznych. Późniejsze działania Gomułki dowiodły zresztą, że ta moja ocena była

słuszna. Podobne odczucia, co muszę zaznaczyć, miała większość moich znajomych. Oni także nie wierzyli Gomułce. Natomiast niekłamany entuzjazm, z jakim masy witały go w tamtym pamiętnym październiku 56, był dla mnie wtedy całkowicie niepojęty. Potwierdzał pogląd, że sympatie i antypatie tłumu są nieprzewidywalne i trudne do racjonalnego wytłumaczenia. I że prawdziwy, mądry polityk nie powinien uzależniać od nich swojego działania.

Wydarzenia październikowe w Polsce z całą pewnością przyniosły sporo zmian na lepsze. Niestety, inaczej potoczyły się losy „odwilży" na Węgrzech. Myślę, że złożyło się na to parę przyczyn: po pierwsze o wiele skuteczniejszy system polityczno-policyjny, po drugie istnienie bezpośredniej granicy z Austrią, po trzecie wreszcie bezkrytyczna wiara mas w audycje sekcji węgierskiej Radia Wolna Europa. A także błędy taktyczne przywódców „rewolucji". W tej sytuacji reformatorzy w Węgierskiej Partii Pracujących (WPP) czuli się pewniejsi i nie liczyli się ze zbrojną interwencją wojsk radzieckich. Czyżby przypuszczali, że w razie takiej interwencji Zachód zdobędzie się poza werbalnymi protestami na akcję militarną? Była to tragiczna w skutkach pomyłka. Nie miejsce tutaj na szczegółową analizę, ale pamiętam, że nie będąc ani politykiem ani politologiem, już wtedy wiedziałem, że zarówno Imre Nagy jak Pal Mareter błędnie ocenili międzynarodową sytuację. ZSRR mógł zaakceptować nawet daleko idące zmiany, ale tylko w ramach ustroju socjalistycznego i przede wszystkim Układu Warszawskiego. A tymczasem Nagy głośno mówił, że Węgry zamierzają wystąpić z Układu i ogłosić neutralność. Co było dalej – wiadomo. Czołgi radzieckie strzelały do mieszkańców Budapesztu; dziesiątki zabitych i rannych. A potem po stłumieniu powstania – setki wyroków śmierci i tysiące uwięzionych na wiele lat. Nagy i Mareter podstępnie schwytani i rozstrzelani.

Dla nas w Polsce wydarzenia na Węgrzech były szczególnie bliskie. Tygodnik studencki „Po Prostu" publikował wstrząsające artykuły, które cenzura przez krótki okres czasu tolerowała. Samolotu ze środkami opatrunkowymi, zebranymi przez mieszkańców Warszawy, nie przepuściła Czechosłowacja. Wielu młodych członków PZPR złożyło na znak protestu legitymacje partyjne. Mąż Wandzi, Mietek, opowiadał mi później, jak przyszedł do niego Wiktor Woroszylski, ideowy komunista, który nawet swego syna nazwał Włodzimierzem, i opisał to w okolicznościowym, żarliwym wierszu. Woroszylski oświadczył, według słów Mietka, że nie może być członkiem partii, która nie protestuje przeciwko mordowaniu Węgrów przez wojska radzieckie. Kiedy Mietek tłumaczył mu, że niestety w tej sytuacji polska racja stanu wymaga milczenia, Woroszylski krzyknął, że neguje taką rację stanu. Demonstracyjnie wystąpił z PZPR. Miał z tego powodu kłopoty: przez parę lat nie drukowano jego wierszy i utrzymywał siebie i rodzinę tłumaczeniami rosyjskiej poezji.

I ostatnie, ważne wydarzenie tego okresu – wojna w Egipcie. Pokazała, jak nic nie warte są buńczuczne oświadczenia dyktatorów pokroju Nasera. Żydzi w ciągu tygodnia rozgromili armię egipską i zajęli cały półwysep Synaj. Z drugiej jednak strony dowiodła, jak bardzo dwa byłe mocarstwa europejskie, Anglia i Francja, zostały uzależnione od Stanów Zjednoczonych.

Wspominając te wszystkie wydarzenia, chciałbym podkreślić, że opisuję je wyłącznie w oparciu o moją ówczesną wiedzę. Dzisiaj, kiedy nie ma już nie tylko głównych aktorów światowej i polskiej sceny politycznej, lecz nawet ZSRR, kiedy wydano ogromną ilość naukowych książek, kiedy odtajniono wiele dokumentów – moja znajomość faktów sprzed pól wieku jest nieporównywalnie większa. Dzisiaj zapewne inaczej opisywałbym tamte

wydarzenia. Ale uważam, że o wiele ciekawsze są moje obserwacje, refleksje i opinie z lat pięćdziesiątych. Ilustrują nie tylko moje ówczesne odczucia lecz także nastroje społeczne, które stały się już historią.

Przed zmianami

Jeszcze we wrześniu zmarł Bierdiajew. Chorował od wiosny. Podobno dostał ataku serca na próbie do premiery „Jolanty", ostatniej opery Czajkowskiego. W Warszawie mówiono, ze w zespole narastał bunt przeciwko autokratycznym metodom pracy Bierdiajewa. Chociaż byłem młody i niedoświadczony, to kiedy z jego ust dowiedziałem się, że zamierza odejść z Poznania, od razu wyraziłem wątpliwości. Usłyszałem wówczas:

- Nu, Józja, ja muszę jeszcze przed śmiercią zrobić w Warszawie porządek.

Ośmieliłem się wtedy zauważyć, że to niemożliwe, bo znam stosunki w warszawskiej operze. Bierdiajew skwitował to krótko rosyjskim przysłowiem.

- Pożywiom – pobaczym.

I okazało się niestety, że to ja miałem rację. Pogrzeb zgromadził setki ludzi. Szedłem zupełnie z tyłu, gdyż nie lubię tego typu oficjalnych uroczystości. Wraz ze mną był Krenz i jeszcze jakaś śpiewaczka. Rozmawialiśmy po cichu na różne tematy, kiedy kondukt zatrzymał się przy grobie. Z daleka słyszałem przemówienia, nie wiem nawet, kto zabierał głos. I nagle rozległ się przeraźliwy krzyk żony Bierdiajewa. Pamiętam każde słowo.

- Mordercy! Zabili cię, Walia! Zabili!

Jak się domyślam, towarzyszącym osobom udało się zrozpaczoną kobietę uspokoić, bo pogrzeb nie został już więcej zakłócony. Po paru tygodniach, nie wcześniej, odwiedziłem panią Bierdiajew w mieszkaniu przy alejach Jerozolimskich niedaleko placu Starynkiewicza, w ocalałej przedwojennej kamienicy. Byłem tam już parokrotnie w minionych latach. Uważałem za swój obowiązek pożegnać się z wdową po moim profesorze. Bierdiajewowa była cieniem dawnej prawdziwej damy. Przyjęła mnie życzliwie, ale czułem, że jej życie dobiega kresu. Prosiła mnie na zakończenie krótkiej wizyty, abym napisał książkę o mężu.

- Panie Józja, pan znał Walję, niech pan napisze prawdu, jako on był.

I patrzyła na mnie błagalnie. Obiecałem, że napiszę swoje wspomnienia o Bierdiajewie. Teraz, choć częściowo, chcę się wywiązać z tej obietnicy.

Śmierć Bierdiajewa przerwała moje studia aspiranckie. Zostały w ogóle zlikwidowane. Dla mnie oznaczało to, poza utratą kontaktu z wybitnym dyrygentem, także stratę finansową. Wróciła obawa, że znów będzie brakować mi pieniędzy na życie. Wówczas pomógł dyrektor Śliwiński, proponując objęcie stanowiska kierownika muzycznego w tzw. dziale upowszechniania. Filharmonia Poznańska prowadziła szeroką działalność edukacyjną. W pierwszych powojennych latach audycje umuzykalniające organizowały kuratoria i wydziały oświaty. Potem państwowe przedsiębiorstwo „Artos". A na początku lat pięćdziesiątych przejęły tę działalność filharmonie. Poznańska miała aż cztery trasy dla liceów na terenie miasta i województwa. Za organizację odpowiadała urzędniczka, a za sprawy artystyczne prelegenci. Ponieważ do filharmonii dochodziły ze strony liceów skargi na poziom niektórych audycji, zarówno do treści prelekcji jak i strony wykonawczej – dyr. Śliwiński postanowił, że jako kierownik będę miał wpływ na dobór repertuaru, a potem będę przesłuchiwał każdą ekipę przed wyruszeniem na trasę. No i zaczęło się! Jedni prelegenci i soliści przyjęli decyzję dyrekcji jako coś oczywistego, ale inni uznali to za zamach na ich,

pożal się Boże, niezależność artystyczną. Otwarty konflikt wybuchł z prelegentem o nazwisku Nowowiejski. Tutaj konieczna dygresja. Feliks Nowowiejski za życia był światowej sławy kompozytorem. Jak czytałem, w czasie trwającego rok tournée po Stanach Zjednoczonych dał 100 koncertów złożonych wyłącznie z własnych kompozycji, głównie oratoriów o charakterze religijnym. Był jedynym polskim kompozytorem, mającym tytuł szambelana papieskiego. A dla Polaków był twórcą muzyki „Roty" do słów Konopnickiej. Zmarł w Poznaniu. Wdowa i trzej synowie mieszkali w odziedziczonym domu, który zamienili częściowo na muzeum. Najstarszy Feliks Maria był prelegentem, a drugi z braci Kazimierz pianistą i recenzentem. Co robił trzeci – nie pamiętam. Kazimierz był przeciętnym pianistą, a Feliks Maria wręcz kiepskim prelegentem. Mówił wolno, celebrując każde słowo, zaś przekazywanie wiadomości było nudne.

Na pierwszej próbie usłyszałem jak zaczyna prelekcję w następujący sposób:

- Nazywam się Feliks Maria Nowowiejski, syn wielkiego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego.

Z trudem powstrzymałem wybuch śmiechu, ale potem ogarnęła mnie złość. Po zakończonej próbie wziąłem go na bok i powiedziałem:

- Proszę pana, jeździ pan z audycjami filharmonii i nie może pan robić reklamy swojemu ojcu. Tym bardziej, że w programie nie ma jego utworów.

Obraził się i zyskałem w nim wroga. A kiedy pozwoliłem sobie w następnych miesiącach krytykować proponowany repertuar i wykonanie, obraził się także jego brat Kazimierz. I od tego czasu wszystkie pisane przez niego recenzje z moich koncertów były wręcz napastliwe. Dopiero po interwencji dyr. Śliwińskiego u naczelnego redaktora gazety – złagodniały. Ale nigdy nie zdarzyło się, aby mnie pochwalił.

Biorąc wynagrodzenie, zresztą nader skromne, za układanie repertuaru, obecność na próbach czterech ekip i wyrywkowe kontrole audycji w terenie, uważałem, że powinienem robić coś więcej. Dlatego opracowałem trzyletni plan o charakterze dydaktycznym. Uważałem, że dotychczasowe programy układane ad hoc i niepowiązane ze sobą – nie spełniają właściwie funkcji edukacyjnej. Dlatego 30 audycji mojego trzyletniego planu podzieliłem w następujący sposób: w pierwszym roku szkolnym 10 poświęciłem elementom i formom muzycznym, w drugim – historii epok i stylów, a w trzecim – szkołom narodowym. Kiedy przedstawiłem brudnopis mojego planu dyr. Śliwińskiemu, głośno wyraził uznanie. Natychmiast kazał sporządzić maszynopis i zawiózł do Warszawy. W ministerstwie plan przyjęto – według słów dyr. Śliwińskiego – z entuzjazmem. Niezwłocznie powołano paroosobową komisję, złożoną z najlepszych prelegentów polskich. Pracowaliśmy nad moim planem przez kilka dni. Został przyjęty w proponowanym przeze mnie kształcie z paroma zaledwie poprawkami. Opracowaliśmy obszerne wyjaśnienie, poczem ministerstwo wysłało cały materiał do wszystkich filharmonii jako obowiązkowy plan audycji na najbliższe trzy lata. A ja miałem, jako pomysłodawca, głęboką satysfakcję. Oczywiście główną zasługę przypisało sobie ministerstwo. Mojego nazwiska chyba w ogóle nie wymieniono.

Przełomowe miesiące

W roku 1957 dokonały się w moim życiu zasadnicze zmiany. I osobiste, i zawodowe. Pierwsze półrocze wspominam jako wyjątkowo przykre. Miałem już dosyć Poznania z jego ksenofobicznymi mieszkańcami. Poznaniacy w tamtym czasie byli zamknięci dla przybyszów

z zewnątrz. Szeligowski, Śliwiński, Wisłocki mieszkali i pracowali w Poznaniu od wielu lat. Jak mi opowiadali na wpół z rozbawieniem, na wpół z rozgoryczeniem, ani razu nie zostali zaproszeni do prywatnego mieszkania rdzennych poznaniaków. Ja byłem wyjątkiem. Jeden z wiolonczelistów orkiestry filharmonii zaprosił mnie parę razy na kolację. Nie wiem, dlaczego. Pamiętam, że jego żona tradycyjnie przygotowywała na kolacje prawdziwy befsztyk tatarski. Piszę „prawdziwy", ponieważ nie był przyrządzany z mięsa mielonego, ale skrobanego. A z jego synami grałem w halmę i na ogół przegrywałem. Tak więc zajmujący kierownicze stanowiska przybysze z innych miast, trzymali się z konieczności razem i przypominali znane z literatury i filmu enklawy białych w tropikalnych krajach. Poza atmosferą miasta męczyła mnie także praca w filharmonii. Było to nieuświadomione uczucie, że już niczego więcej z tą orkiestrą nie osiągnę i że sam zatrzymałem się w rozwoju. Na szczęście nie straciłem zamiłowania do książek. W tamtym okresie znowu zacząłem więcej czytać, a za każdą zaoszczędzona złotówkę kupowałem książki, głównie w antykwariacie przy ul. Marcinkowskiego, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi. I właśnie pewnego dnia trafiła mi do ręki skromna książeczka w miękkiej oprawie, wydana przed wojną przez oficynę Mortkowicza. Nazwisko autora było mi znane, ponieważ czytałem dwie jego książki: „Klechdy sezamowe" i „Przygody Sindbada". Tomik, który znalazłem w antykwariacie nosił tytuł „Łąka". Były to ku mojemu zaskoczeniu wiersze. Otworzyłem książeczką, zacząłem czytać i doznałem – bez przesady – olśnienia. Cudowna melodia polskich słów sprawiła, że zapomniałem gdzie się znajduję. Stałem między regałami w kiepsko oświetlonym antykwariacie i nie mogłem oderwać się od lektury. Pamiętam, jakby to było wczoraj, że przeczytałem cały tytułowy poemat. I zdawało mi się, że rzeczywisty świat przestał istnieć. Bardziej realny był świat wyczarowany przez poetę. Nie szukałem już innych książek, zapłaciłem za „Łąkę" i pognałem do domu. Czytałem przez całą podróż tramwajem, a potem zamknąłem się w pokoju i nie odłożyłem książeczki, dopóki jej nie skończyłem. Obok „Łąki" tomik zawierał jeszcze wiersze ze zbioru „W malinowym chruśniaku". Równie urzekające swoją obrazowością i śpiewnością. Znałem wiersze Lechonia, Wierzyńskiego, Tuwima, poza oczywiście twórczością XIX-wiecznych wieszczów. Ale język Leśmiana był dla mnie wyjątkowo porywający. I takim pozostał do dzisiaj.

W tych ostatnich poznańskich miesiącach grałem bardzo często w brydża. Miałem dwie stałe partie. Pierwszą tworzyli ze mną Szeligowski, Śliwiński i Wisłocki, drugą małżeństwo aktorów z ich znajomymi. Spotykaliśmy się czasami nawet raz w tygodniu na 3-4 godziny. U aktorów zdarzało się, że graliśmy od godz. 11 wieczorem do 6-7 rano. Kiedy gospodyni była „wychodząca", pędziła do kuchni, aby przyrządzić coś do jedzenia. Na sąsiednim stoliku stawiała talerze i ten, kto w następnych rozgrywkach był „wychodzącym", mógł się pokrzepić. Oczywiście nie graliśmy dla pieniędzy. Stawki były groszowe i po całej nocy można było wygrać lub przegrać zaledwie kilka złotych. A później przez dwadzieścia lat mieszkania w Szczecinie nie grałem w ogóle w brydża. W Wałbrzychu udało mi się na samym początku wygospodarować dwa lub trzy wieczory, potem już nigdy. Zabrakło czasu.

Na wiosnę 56 roku zaczęły się konkretyzować wcześniejsze pomysły, a następnie ostrożne, sondażowe działania wielu ludzi muzyki i teatru. Od kilku lat bowiem odczuwano niedosyt w reprezentowaniu interesów artystów-wykonawców przez związek zawodowy. Pamiętam, jak w siedzibie Związku Kompozytorów Polskich (ZKP) zebrało się kilkuosobowe grono osób, aby przedyskutować możliwość powołania organizacji pod roboczą nazwą Stowarzyszenie Polskich Artystów Wirtuozów (SPAW). Byłem wśród tych

osób. Niestety, po pewnym czasie Kazio, który był jednym z inicjatorów, powiadomił mnie, że kompetentni prawnicy stwierdzili, iż władze nie zgodzą się na rejestrację tak elitarnego stowarzyszenia. Trzeba je rozszerzyć na wszystkich muzyków. I tak powstał obecny SPAM czyli Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków. Z pierwotnego SPAM-u wyłoniła się I sekcja solistów i dyrygentów, II sekcja zrzeszała muzyków orkiestrowych, a III – pedagogów szkól muzycznych. Uznałem to za niedopuszczalne odstępstwo od pierwotnej idei i głośno to artykułowałem. Twierdziłem, że stowarzyszenie w tym kształcie będzie jedynie zlepkiem różnych, często antagonistycznych grup. Przecież interes muzyków orkiestrowych jest dokładnie przeciwny interesowi dyrygentów. A problemy pedagogów są diametralnie różne od problemów wykonawców. Najzabawniejsze nastąpiło po pewnym czasie, kiedy powstała IV sekcja – publicystów muzycznych, do której należeli recenzenci, z których znaczna część w ogóle nie była muzykami. O ile pamiętam, powiedziałem Kaziowi, że zapiszę się do SPAM-u ze względu na niego i Wandzię, działających nadal z zapałem, ale rezygnuję z pracy w przyszłym zarządzie. Bardzo był zmartwiony i przy każdym spotkaniu namawiał mnie na zmianę stanowiska. Uległem po trzech latach i na II Zjeździe SPAM w maju 1959 zgodziłem się zostać członkiem zarządu I sekcji. Zresztą razem z Wandzią i Kaziem. Okazało się jednak, że miałem rację. Zarząd SPAM organizował koncerty, spotykał się z przedstawicielami władz różnego szczebla, wysyłał pisma, przedstawiał postulaty – ale niewiele z tego wynikało. Żadnego z podstawowych problemów, bolączek, trudności, kłopotów nie udało się rozwiązać. Tak jak przewidywałem, na skutek ścierania się najróżniejszych, sprzecznych nieraz interesów wewnątrz stowarzyszenia – nie było szans, aby poza drobnymi sprawami, załatwić cokolwiek o zasadniczym znaczeniu. Dlatego zgłosiłem rezygnację z pracy w zarządzie I sekcji i przestałem płacić składki. W ten sposób przestałem być członkiem SPAM. Kazio w następnych latach, zwłaszcza kiedy przez jedną kadencję pełnił funkcję prezesa, namawiał mnie do powrotu, argumentując „Tacy jak ty są nam potrzebni", ale ja stanowczo odmawiałem. Kolejne zarządy SPAM, według mnie, stawały się coraz bardziej zamkniętymi koteriami towarzyskimi. A efektywnej działalności nadal nie widziałem. I tak chyba jest do dzisiaj.

Zimą 56/57 Perkowski skontaktował mnie z grupą aktorów, którzy chcieli powołać do życia nowy związek zawodowy. Dotychczas istniejący, nie pamiętam już jak się nazywał, obejmujący nie tylko wszystkich pracowników teatrów, oper i filharmonii łącznie z urzędnikami, woźnymi, sprzątaczkami lecz także rzemieślników w fabrykach instrumentów muzycznych, nie mógł zajmować się ściśle zawodowymi sprawami aktorów i muzyków. Stosunkowo szybko powstał nowy związek zrzeszający wyłącznie artystów. Wyleciało mi niestety z pamięci, jak się nazywał. Nie pamiętam również czy poza mną w zarządzie głównym był jeszcze jakiś muzyk. Prezesem został świetny aktor – Andrzej Szczepkowski. Pamiętam natomiast, że kiedyś przyprowadził na zebranie kilkuletnią córeczkę, Joasię. Ponieważ lubiłem dzieci, trochę ją zabawiałem w czasie posiedzenia. Nie mogłem wówczas przewidzieć, że wyrośnie po latach na dobrą aktorkę, a potem w roku 89 zabawi mnie „występem" w telewizji, mówiąc: „Komuna umarła". Z pracy w zarządzie głównym związku musiałem zrezygnować na jesieni 57 roku, kiedy zostałem dyrektorem. Byłoby to niezgodne nie tylko z regulaminem, ale i zdrowym rozsądkiem. A sam związek niebawem stracił swój „branżowy" charakter i znowu zaczął zajmować się – jak dawniej – problemami socjalnymi. Co zresztą nie było całkiem pozbawione słuszności.

W tym samym mniej więcej okresie napisałem dwie czy trzy sztuki teatralne. Być może zostało to spowodowane częstymi kontaktami z aktorami w Poznaniu i Warszawie. Dałem

rękopisy do przeczytania małżeństwu aktorów, z którymi regularnie grałem w brydża. Przeczytali i wydali miażdżącą opinię. Powiedzieli dosłownie: „To się w ogóle nie nadaje do grania w teatrze. Rozpisał pan swoje poglądy na postacie sztuki. Akcja jest tylko pretekstem dla przedstawienia tych poglądów. W sztuce teatralnej postacie muszą być ludźmi z krwi i kości, a nie papierowymi wycinankami".

Choć było mi przykro słyszeć tak surową krytykę, byłem wdzięczny aktorom za powiedzenie prawdy i tym samym rozwianie moich złudzeń. Wiele lat później ktoś mnie zapytał, dlaczego nie piszę powieści. Odpowiedziałem, że zbyt dużo jest na świecie pisarzy drugo-, trzecio- i czwartorzędnych, abym uważał za słuszne powiększać ich liczbę. I podobnie jest ze sztukami teatralnymi.

I jeszcze dwa wspomnienia z tamtych przełomowych miesięcy. Perkowski, który ciągle w taki czy inny sposób chciał mi pomagać, zaproponował dwa koncerty w WOSPR, której był w tym czasie dyrektorem. Nie były udane. Dlaczego VII symfonia Beethovena, którą wykonałem przed paroma laty w Krakowie, zyskała uznanie orkiestry, aplauz publiczności i dobre recenzje – tym razem w Katowicach nikomu się nie podobała? Czyżbym miał rację pisząc, że w tamtym okresie byłem „nie w formie"?

Drugie wspomnienie ma inny charakter. Do Poznania przybyli na gościnne występy chór i orkiestra wschodnioberlińskiego radia pod dyrekcją znanego interpretatora muzyki barokowej Helmuta Kocha. Już po paru minutach koncertu stwierdziłem z niesmakiem, że Koch w ogóle nie potrafi dyrygować orkiestrą. Zacząłem się domyślać, że był na pewno znakomitym muzykiem, wysokiej klasy znawcą dawnej muzyki i zapewne świetnym chórmistrzem. Ale o dyrygowaniu orkiestrą miał – mówiąc delikatnie – słabe pojęcie. Podziwiałem muzyków, że potrafili grać właściwie bez dyrygenta. Koch zajmował się wyłącznie chórem i solistami oraz interpretacją, całkowicie pomijając techniczne aspekty prowadzenia orkiestry. W podobny sposób dyrygował u nas Stefan Stuligrosz.

Na pierwszym koncercie wykonano mszę h-moll Bacha. Z zachwytem słuchałem początkowych fug, chorałów i arii, ale przy kolejnych – pisząc całkowicie szczerze – zacząłem się po prostu nudzić. Msza została wykonana w całości i trwała ponad trzy godziny. (Ile było przerw – nie pamiętam). Do domu wróciłem naprawdę zmęczony. Następnego dnia rano spotkałem w biurze filharmonii Gertrudę Konatkowską. Była to starsza dama, typowa poznanianka, dawniej koncertująca pianistka, a obecnie profesorka PWSM. Na mój widok krzyknęła:

- Oh, panie Józiu, opowiadam właśnie, jaki cudowny był wczorajszy koncert! Prawda?

Gdybym był starszy, wymyśliłbym zapewne jakąś wymijającą odpowiedź. Ale ja miałem wtedy zwyczaj mówienia prawdy bez osłonek i odpowiedziałem szczerze:

- A ja się nudziłem.

Konatkowska znieruchomiała, a potem wybuchnęła:

- Jak pan może mówić coś takiego? Pan, z takiej rodziny?

Wpadłem w złość.

- Co ma moja rodzina wspólnego z tym koncertem? Dla mnie pierwsza fuga była genialna, pierwszy chorał także. I dwie następne fugi i dwa następne chorały również. Ale przy dziesiątym nie miałem już sił, aby się nadal zachwycać.

A ponieważ starsza pani milczała, skonsternowana, zupełnie niepotrzebnie dodałem:

- Jestem przekonany, że tak samo odczuwała to większość słuchaczy, tylko wstydziła się do tego przyznać.

Pani Konatkowska nie próbowała ze mną polemizować i szybko opuściła biuro. Może

w duchu przyznała mi rację, kto wie? Następny koncert wypełnił „Mesjasz". Trwał około 3 godzin, ale muzyka Haendla jest bardziej emocjonalna, dramatyczna, „operowa". Dlatego oklaski były o wiele dłuższe i żywsze niż po wykonaniu mszy h-moll. Co dowodziłoby, że moja „heretycka" wypowiedź nie była całkowicie pozbawiona słuszności.

Zmiana

Tuż przed wakacjami dyr. Śliwiński zapytał mnie, zaznaczając, że robi to nieoficjalnie, czy nie chciałbym od września 57 objąć stanowiska kierownika artystycznego Filharmonii w Szczecinie. Oczywiście wyraziłem zgodę. Śliwiński prosił, abym zachował pełną dyskrecję. To również zaakceptowałem. W lipcu wyjechałem na urlop do Karwi i tam otrzymałem wiadomość, że objęcie stanowiska w Szczecinie aktualne i mam się natychmiast zgłosić do ministerstwa. Tego samego dnia autobusem opuściłem Karwię. Następnego dnia poszedłem do ministerstwa, gdzie zastępca dyrektora departamentu, który zajmował się muzyką (być może nazywał się Departamentem Muzyki), przyjął mnie od razu i wprowadził w meritum sprawy. Dotychczasowy kierownik artystyczny, Marian Lewandowski, musi zostać zdjęty ze stanowiska, ponieważ orkiestra gra coraz gorzej, frekwencja spada, a dyrektor, Aleksander Mleczak, nie ma pomysłu na wyprowadzenie instytucji z kryzysu. Orkiestra grozi buntem, jeśli Lewandowski pozostanie nadal. POP (Podstawowa Organizacja Partyjna) i Rada Zakładowa Związku Zawodowego popierają stanowisko orkiestry. W tej sytuacji konieczna jest natychmiastowa zmiana i ministerstwo uważa, że ja powinienem zostać nowym kierownikiem artystycznym. Podobną opinię wyrazili: dyr. Śliwiński i dyr. Wisłocki. Kiedy powiedziałem, że z przyjemnością przyjmuję propozycję, pan Garczyński, gdyż takie chyba było nazwisko tego zastępcy dyrektora, zapytał, w jakim terminie mogę pojechać do Międzyzdrojów, aby spotkać się z dyrektorem Mleczakiem i przedstawicielami POP i Rady Zakładowej. Dlaczego w Międzyzdrojach, a nie w Szczecinie? Bo tam właśnie codziennie w muszli na tzw. deptaku występuje kilkunastoosobowy zespół, w skład którego wchodzi większość POP i Rady Zakładowej. Zdałem sobie sprawę, że gdyby nie polityczne zmiany w 56 roku, z moją „akowsko-studencką" przeszłością nie mógłbym objąć kierowniczego stanowiska w państwowej instytucji. Propozycja ministerstwa dowodziła, że istotnie w Polsce nastąpiły zmiany.

Tego samego dnia wyjechałem nocnym pociągiem do Międzyzdrojów. Tam na dworcu czekał już na mnie Mleczak, który dojechał w międzyczasie ze Szczecina. Lewandowskiego znałem jeszcze z czasów okupacji, był wtedy puzonistą, a ja wiolonczelistą i graliśmy razem na różnych koncertach. Mleczaka natomiast poznałem w czasie gościnnego koncertu w Szczecinie. Tutaj muszę się cofnąć w swoich wspomnieniach aż do roku 1950. Ktoś (nie pamiętam kto) doradził mi, abym jeszcze przed dyplomem zadyrygował „dla wprawy" w jakiejś kiepskiej prowincjonalnej orkiestrze. I podał adres szczecińskiej. Oczywiście wysłałem ofertę. Otrzymałem odpowiedź, którą z uwagi na jej kuriozalny charakter zachowałem. W tamtym czasie orkiestra w Szczecinie nie była nawet państwowa, nie mówiąc o tytule „Filharmonia". Podlegała od roku 1948 Robotniczemu Towarzystwu Muzycznemu, a finansowana była zapewne przez Miejską Radę Narodową.

A oto treść pisma: „Uprzejmie odpowiadając na pismo z dnia 11 bm. donoszę, że przed ukończeniem studiów kapelmistrzowskich nie możemy zaprosić Obywatela na występ, gdyż nasza orkiestra symfoniczna składa się z samych muzyków zawodowych. Z poważaniem Dyrektor R.T.M. Czapelski Stanisław". Ta odmowa na pierwszą w moim życiu wysłaną

ofertę tak mnie zniechęciła, że potem przez ponad 55 lat pracy dyrygenckiej, nigdy już więcej nie złożyłem żadnej propozycji koncertowej. Co obecnie wcale nie uważam za rozsądne.

Po upływie pewnego okresu czasu ministerstwo przejęło szczecińską orkiestrę, a w styczniu 1953 roku nadało jej upragniony tytuł „Państwowa Filharmonia". Na wiosnę 1956 roku w wyniku rekomendacji dyr. Śliwińskiego dostałem zaproszenie do zadyrygowania koncertem nowo mianowanej Filharmonii Szczecińskiej. Pan „Obywatel" Czapelski nie był już od dawna dyrektorem. I wtedy, od razu na pierwszej próbie, przekonałem się, że poziom orkiestry w znaczny sposób odbiega od zawodowego. W mojej ocenie koncert był bardzo kiepski. Musiałem jednak spodobać się muzykom, bo na wiosnę 56 pojechałem ponownie do Szczecina. Orkiestra – jak mi się wydawało – grała jeszcze gorzej. A teraz, w roku 1957, miałem zostać szefem tego zespołu. I kiedy nim już zostałem, przeglądając akta personalne, przekonałem się, że w orkiestrze nie ma ani jednego muzyka po wyższych studiach! Jedynie koncertmistrz grupy wiolonczel, pan w nader podeszłym wieku, skończył przed wojną jakieś konserwatorium. Część członków orkiestry miała ukończoną średnią szkołę muzyczną w Szczecinie, o której niskim poziomie nauczania miałem się niebawem przekonać. Pozostali byli mniej lub więcej „przyuczonymi" amatorami. I było to w 57 roku. Mogłem sobie tylko wyobrażać, jak siedem lat wstecz przedstawiał się poziom muzyków, o których eksdyrektor Czapelski pisał, że są zawodowcami.

Wracam jednak do rozmowy w Międzyzdrojach, która odbyła się wczesnym popołudniem, abym mógł zdążyć na nocny pociąg do Warszawy. Mleczak i muzycy potwierdzili, że zależy im na tym, abym od września rozpoczął pracę na stanowisku kierownika artystycznego. (Minęło sporo lat zanim ten tytuł zmieniono wreszcie na bardziej odpowiadający pełnionej funkcji – dyrektora artystycznego. I od dawna stosowany w innych krajach). Muzycy przedstawili mi parę spraw, wymagających jak najszybszego załatwienia: otrzymanie od władz miasta mieszkań, aby można było sprowadzić młodych absolwentów PWSM, pozyskanie z ministerstwa dewiz na zakup instrumentów, wzbogacenie repertuaru, popularyzowanie filharmonii. I przede wszystkim praca nad podniesieniem poziomu orkiestry. Jak mówili z goryczą muzycy, Lewandowski na próbach nie poprawiał ewidentnych błędów, a nawet nie zwracał uwagi na intonację. „Ciągle gramy fałszywie" – narzekali. Istotnie, w czasie moich bytności w Szczecinie, dosłownie walczyłem o to, aby tzw. dęciacy zechcieli się „zestroić". „Lewandowski był niechlujny w pracy tak jak w wyglądzie" – oskarżali. Słuchałem uważnie słów muzyków, a potem obiecałem, że zajmę się tym wszystkim w pierwszej kolejności.

Po powrocie do Warszawy ponownie odwiedziłem dyrektora Garczyńskiego i zdałem mu relację z rozmowy. Był zadowolony, że porozumiałem się z przedstawicielami orkiestry. W sierpniu miałem otrzymać nominację od ministra i od 1 września rozpocząć pracę. W tej sytuacji pojechałem z powrotem do Karwi, aby nabrać sił przed nowymi, a zarazem odpowiedzialnymi zadaniami. Spotkałem się tam ze spędzającym wakacje wraz z żoną i córką Andrzejem Markowskim. Był już wówczas II dyrygentem w Filharmonii Śląskiej. Spędziliśmy razem parę przyjemnych tygodni, czytając książki i grając w „inteligencję".

I jeszcze jedno wspomnienie. Właśnie w tym ostatnim okresie pracy w Poznaniu podjąłem decyzję o całkowitej rezygnacji z alkoholu. Już w minionych latach po większych libacjach robiłem przerwy w „piciu". Ustalałem sobie termin, np. miesiąc i konsekwentnie go przestrzegałem. Tym razem postanowiłem zostać już na zawsze abstynentem. O ile pamiętam, były dwie przyczyny. Pierwsza miała racjonalny charakter: lubiłem smak alkoholu, nawet zwykłej „czystej". Uświadomiłem sobie, że to przy licznych tzw. okazjach może

mnie doprowadzić do alkoholizmu. Gałczyński, Broniewski, Herdegen, Bytnar, Sygietyński stanowili odstraszające przykłady. Drugą przyczyną było wieczorne spotkanie towarzyskie, po którym w stanie zamroczenia alkoholowego znalazłem się w łóżku pewnej pani w średnim wieku. Była inteligentna, kulturalna, wykształcona. Lubiłem z nią rozmawiać na różne tematy. O świcie obudziłem się w zmierzwionej pościeli, obok nagiej kobiety, której twarz, pokryta rozmaitymi rozmazanymi kosmetykami, zdradzała jej wiek. Pamiętam, jak wyskoczyłem z łóżka, pobiegłem do łazienki, wziąłem prysznic, ubrałem się i… uciekłem. Idąc niemal pustymi o tej porze ulicami, zadałem sobie pytanie: Czy gdybyś nie był pijany, poszedłbyś z tą panią do łóżka? Odpowiedź brzmiała: Nie. A zatem konkluzja musiała być jednoznaczna: Nie wolno ci pić alkoholu. I temu postanowieniu pozostałem wierny do dziś. Jestem pewien, że ustrzegło to mnie od popełnienia wielu błędów i – być może – pozwoliło dotrwać w znośnej kondycji do późnej starości.

Wizyta w ministerstwie

Pomimo wysiłków, nie mogę sobie przypomnieć, w którym roku władze postanowiły przekazać kulturę samorządom. Mogła to być druga połowa 56 roku, albo pierwsza 57. Istnieje także prawdopodobieństwo, że nastąpiło to w ostatnich miesiącach roku 57. W tym miejscu chciałbym jeszcze raz zaznaczyć, że dla zapewnienia moim wspomnieniom wiarygodności, opieram się prawie wyłącznie na własnej pamięci. Stąd, oczywiście możliwość pomyłek, niedokładności, przeinaczeń. Nieliczne dokumenty dotyczące kilku zaledwie spraw potwierdzają to, co wyławiam z pamięci. Jedynym pewnym „źródłem" w rozumieniu historyków są trzy zeszyty, w których zapisywałem wszystkie co do jednego koncerty, począwszy od dyplomowego. Wandzia i wielu moich kolegów zazdrościli mi tego pomysłu. Starannie notowałem kolejny numer koncertu, datę, miejscowość, program i nazwiska solistów. Dzięki temu wiem z całą pewnością co, gdzie i kiedy dyrygowałem i do tego mogę „dopasować" okresy pracy oraz niektóre inne wydarzenia. Ale tylko niektóre. I tak np. pamiętam o wizycie u ministra, ale nie potrafię podać dokładnej daty: czy reprezentowałem wówczas jeszcze Filharmonię Poznańską czy już Szczecińską. Pocieszam się jednak, że ważniejsza jest sama sprawa niż konkretne umiejscowienie jej w czasie.

W okresie tzw. odwilży centralne władze postanowiły część prerogatyw przekazać samorządom. I temu właśnie miał służyć projekt decentralizacji kultury. Dyrektorzy instytucji artystycznych byli przeciwni i z ich inicjatywy zorganizowano w ministerstwie narady, osobne dla filharmonii, teatrów czy domów kultury. Uczestniczyłem w takiej naradzie. Przedstawiciele wszystkich filharmonii byli przeciwni decentralizacji. Argumentowali, że Ministerstwo Kultury i Sztuki dopracowało się wyraźnych metod zarządzania i dysponuje wykwalifikowaną kadrą urzędników. Natomiast rady narodowe nie mają żadnego doświadczenia w kierowaniu instytucjami artystycznymi. Zarówno radni jak i urzędnicy nigdy nie zajmowali się kulturą, a tym bardziej tak specyficzną dziedziną jak muzyka. Większość mówców twierdziła, że nawet jeśli przeprowadzenie decentralizacji jest koniecznością, to należy to zrobić nie w następnym sezonie, ale dopiero po pewnym, dłuższym okresie czasu. Ja również zabrałem głos w dyskusji, mówiąc – jak zwykle – agresywnie i bez ogródek. W wyniku kilkugodzinnej burzliwej debaty, dyrektor departamentu muzyki zaproponował, aby zebrani wybrali paru delegatów, którzy następnego dnia przedstawiliby ministrowi stanowisko kierowniczej kadry filharmonii. Propozycję przyjęto i wybrano

cztery osoby: dwóch dyrektorów – Szwalbego i Świątkiewicza (lub Świątkowskiego), oraz dwóch dyrygentów – Satanowskiego i mnie. Ministerstwo zamówiło pokoje w hotelach, abyśmy mieli gdzie spędzić noc i ustaliło godzinę spotkania z ministrem.

O oznaczonej porze zjawiliśmy się w sekretariacie. Przyjął nas Minister Kultury i Sztuki, Karol Kuryluk. Kim był – opiszę później w podrozdziale poświęconym szefom resortu, których znałem. Dyrektor Szwalbe, który już spotykał się z Kurylukiem, przedstawił punkt widzenia kierowników instytucji muzycznych. Zręcznie i taktownie podkreślił, że nie jesteśmy przeciwnikami decentralizacji, ale myślimy, iż należy samorządom dać więcej czasu na przygotowanie się do przejęcia kultury. Kiedy skończył, zabrał głos Kuryluk. Pamiętam jak zapewniał nas, że – cytuję – „Rady narodowe to prawdziwi ojcowie lokalnych społeczności i mecenasi kultury". Od razu zauważyłem, że sformułowanie było nie tylko błędne gramatycznie lecz także nie odpowiadało stanowi faktycznemu. Nie wytrzymałem i „rąbnąłem":

- To co pan minister powiedział, to są puste słowa i frazesy bez pokrycia!

Minister i moi trzej towarzysze zaniemówili z wrażenia. A ja – pamiętam – dla podkreślenia swoich słów, uderzyłem jeszcze ręką w poręcz fotela. Po paru sekundach Kuryluk wybuchnął:

- Nie będzie mi mówił pan impertynencji w moim własnym gabinecie!

Był dosłownie fioletowy na twarzy i z trudem łapał oddech. Moi towarzysze odzyskali tymczasem zdolność mówienia i jeden przez drugiego usiłowali złagodzić moją wypowiedź. Kuryluk był wyraźnie wściekły i przerwał rozmowę. Po wyjściu Szwalbe i Satanowski wyrzucali mi, że zepsułem całą sprawę, ale trzeci delegat wziął mnie w obronę. Ostrość moich słów tłumaczył wiekiem (byłem najmłodszy) i twierdził, że nie można przewidzieć, jaki będzie skutek naszej wizyty. Miał rację. Niebawem dowiedzieliśmy się, że decentralizacja została na rok odłożona. Czyżby pomimo wszystko moje słowa podziałały? A Kuryluk przestał w następnym roku być ministrem.

I ostatnie wspomnienie z tego mniej więcej okresu. Nie pamiętam szczegółów, ale byłem w towarzystwie Perkowskiego i kilku innych znanych osób ze świata muzyki. Czekali na Artura Rubinsteina, który przyjechał do Warszawy. Być może była to jego pierwsza wizyta po wojnie. Po przywitaniu Perkowski przedstawił mnie jako młodego, obiecującego, utalentowanego dyrygenta. A Rubinstein powiedział:

- Słyszałem, że macie teraz tylu zdolnych, młodych dyrygentów, że moglibyście obdzielić połowę amerykańskich orkiestr.

Był to niezwykle elegancki komplement, który wszystkim obecnym sprawił wyraźną przyjemność.

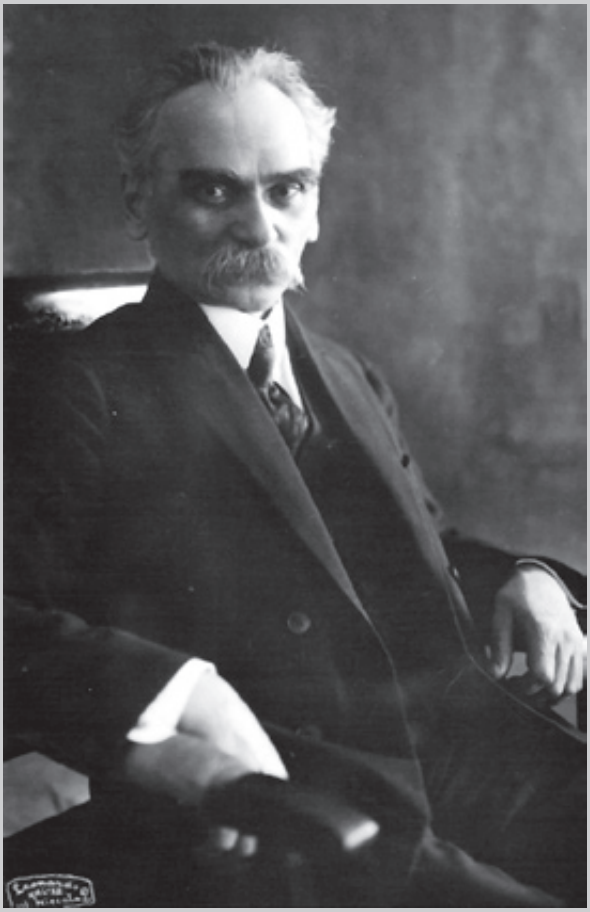
DZIECIŃSTWO



Dziadek Józef
(zdj. bez daty)



Babcia Maria
(dopisana piórem data 1896, 20/VII)



Ojciec, Alfred
Kalisz, rok 1926



Z przyrodnią siostrą Marią, matką chrzestną,
Opatówek k. Kalisza, lipiec 1926

DIECEZJA Kalisia

Kościół parafialny
Rzymsko-Katolicka Parafia
św. Stanisława Biskupa
ul. Kościelna 9
w 62-860 Opatówek

ŚWIADECTWO CHRZTU

(Testimonium baptismi)

DIOECESIS
Ecclesia paroecialis
S
in

1. Rok i numer księgi chrztów (Annus et numerus libri baptizatorum) 1926 r. / 66
2. Imię i nazwisko (Nomen, cognomen) Józef Wiśniewski
3. Imię ojca (Nomen patris) Alfred — wyznanie (religio) rzym.-kat.
4. Imię matki (Nomen matris) Dorota z domu (nata) Jemielina — wyznanie (religio) rzym.-kat.
5. Miejsce i dzień urodzenia (Locus nativitatis et dies nativitatis) Kalisz, 15 maja 1926 r.
6. Data i miejsce chrztu (Dies et locus baptismi) 11 lipca 1926 r. Opatówek
7. Uwagi w księdze chrztów – kan 535 § 2, 1122 § 1, 1685 (Adnotationes in libro bapt.) 2 II 1948 r. w par. św. Teresy w Łodzi zaw. mał. z Pelagią Dolecką

Opatówek dnia (die) 20 lipca 200 8 r.

(L. S.)

Zgodność z księgą chrztu stwierdzam
(Concordat cum libro baptizatorum)
ks. W. Czamara
Proboszcz – Parochus



Z matką
Krynica, rok 1927



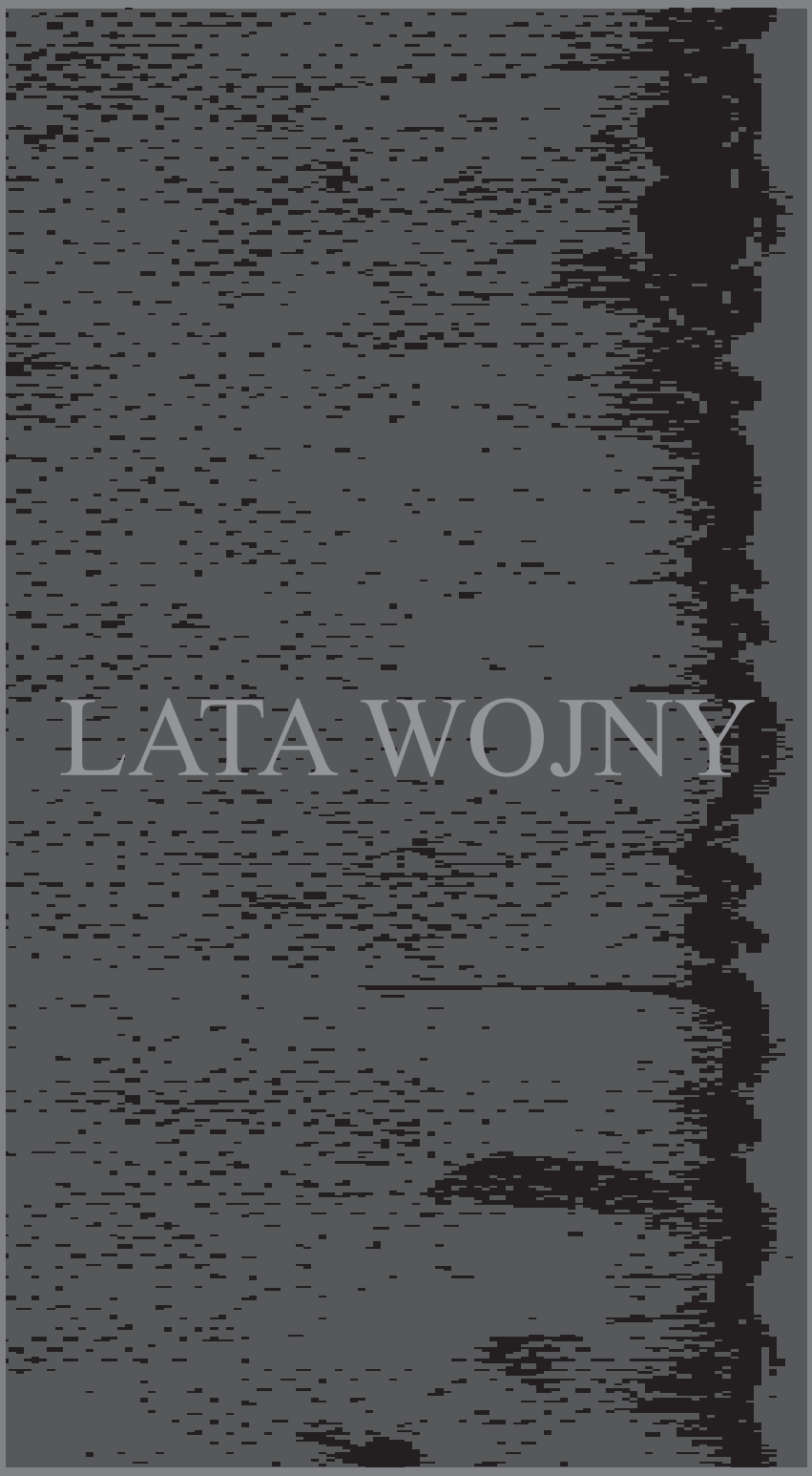
Na wakacjach w Krynicy, rok 1927.
Ojciec grał w orkiestrze Filharmonii Warszawskiej
na koncertach promenadowych



Z matką i Wandą
Łódź, rok 1931



Prawdodopdobnie 1934 rok w Warszawie
na Konkursie Młodych Talentów


LATA WOJNY



Warszawa, 10 września 1941 r.



Warszawa, 22 lutego 1943 r.
(zdjęcie do niemieckiego dokumentu)



Świder k. Warszawy, rok 1943,
z kolegą z muzycznego zespołu kawiarnianego



№ 1183

Polskie Siły Zbrojne
Polish Armed Forces

LEGITYMACJA

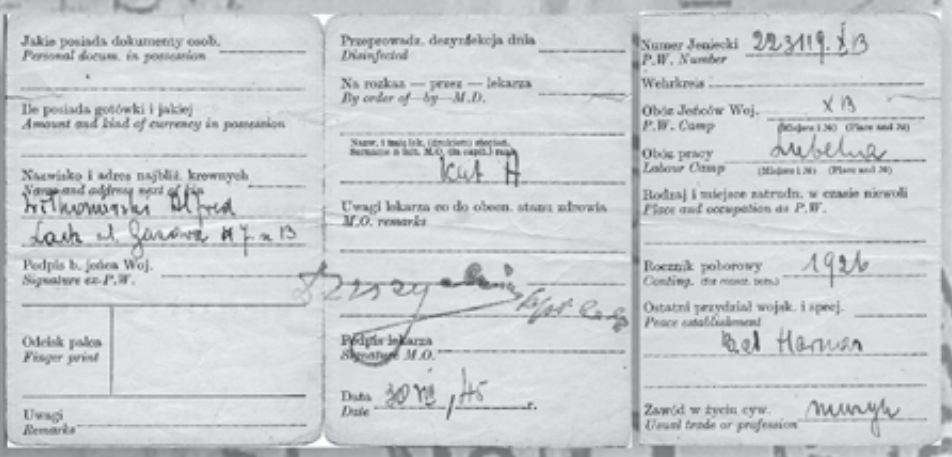
b. jeńca wojennego

IDENTITY - CARD

ex Prisoner of War

№ 5545

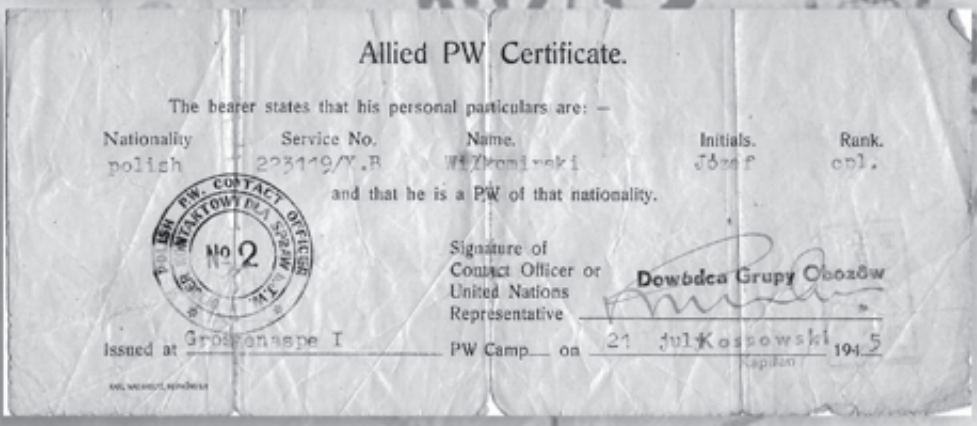
Nazwisko / Surname: Wiłkomirski
Imiona własne / Christian Names: Józef
Data i miejsce urodz. / Date and place of birth: 15.8.1926 Kalisz
Wyznanie / Religion (option.): rz.-kat.
Stopień wojskowy / Rank: kapral.
Pieczęć Of. Kont. / Stamp Cont. Offic.: POLISH PW CONTACT OFFICER MIĘDZYNARODOWY BIURA SPRAW JEŃCÓW № 43
Podpis Ofic. Kont. / Signature Cont. Offic.: Józef Wiłkomirski
Data / Date: 3.8.45 r.



Jakie posiada dokumenty osob. / Personal docum. in possession:
Ile posiada gotówki i jakiej / Amount and kind of currency in possession:
Nazwisko i adres najbliż. krewnych / Name and address next of kin: Wiłkomirski Alfred Łask ul. Jarosza 17 a 13
Podpis b. jeńca Woj. / Signature ex-P.W.:
Odcisk palca / Finger print:
Uwagi / Remarks:

Przeprowadz. dezynfekcja dnia / Disinfected:
Na rozkaz — przez — lekarza / By order of—by—M.D.:
Kat H
Uwagi lekarza co do obecn. stanu zdrowia / M.O. remarks:
Podpis lekarza / Signature M.O.:
Data / Date: 30 VII 45 r.

Numer Jeniecki / P.W. Number: 223119/B
Wehrkreis:
Obóz Jeńców Woj. / P.W. Camp: X B (Belgien I 36) (Place and №)
Obóz pracy / Labour Camp: Arbeitskdo (Belgien I 36) (Place and №)
Rodzaj i miejsce zatrudn. w czasie niewoli / Place and occupation as P.W.:
Rocznik połorowy / Confing. (for count. pers.): 1926
Ostatni przydział wojsk. i specj. / Peace establishment: Kol Herman
Zawód w życiu cyw. / Usual trade or profession: rolnik



Allied PW Certificate.

The bearer states that his personal particulars are: —

Nationality	Service No.	Name.	Initials.	Rank.
polish	223119/P.B	Wiłkomirski	Józef	cpl.

and that he is a P.W. of that nationality.

POLISH PW CONTACT OFFICER MIĘDZYNARODOWY BIURA SPRAW JEŃCÓW № 2

Signature of Contact Officer or United Nations Representative: Dowódca Grupy Obozów

Issued at Grossenaspe I PW Camp on 21 Jul Kossowski 1945

Grossenaspe
ssued at

Hier abtrennen!

Diese Seite ist für die Angehörigen des Kriegsgefangenen bestimmt. Deutlich auf die Zeilen schreiben!

Kochanej i drogi Józie

Hier abtrennen! | **Détacher le long du pointillé!**

Diese Seite ist für die Angehörigen des Kriegsgefangenen bestimmt. Deutlich auf die Zeilen schreiben! | **Ce côté est réservé aux proches parents du prisonnier de guerre! N'écrire que sur les lignes et lisiblement!**

Kochanej i drogi Józiecku! Jestaliśmy od ciebie dnia 2 kartki. Mamusia jiż jechała na poste, żeby posłać ci 3-ią paczkę, ale spotkała jidroge listonoszke, więc wróciła do domu, żeby dowiedzieć się co to w domu i to ci moja postać. Wiesz przecie że nie wszystko wolno pisać. W niedzielę ci święta, kiedy ich Bóg na wiadomość

ojciec

Wiesz przecie że nie

W niedzielę ci święta, kie



Kriegsgefangenenpost
Correspondance des prisonniers de guerre

Antwort-Postkarte
Carte postale de réponse

An den Kriegsgefangenen
Au prisonnier

Józef Witkowski

Gebührenfrei! Franc de port!

Absender:
Expéditeur:

Vor- und Zuname:
Nom et prénom

Alfred Witkowski

Ort: Litzmannstadt
Lieu

Straße: Ian Brandt 7 413
Rue

Kreis: Warthegau
Département

Gefangenennummer: 223119
No du prisonnier

Lager-Bezeichnung: Stalag X B
Nom du camp

Deutschland (Allemagne)

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
ZARZĄD GŁÓWNY
BIURO INFORMACJI I POSZUKIWAŃ
Nr B.Inf.394/138
Konto w NBP IV Oddział Mielski
Nr 1040-4464-132

Warszawa, dnia 3 kwiec 1978 197... r.
Mokotowska 14. Tel: 28-58-40
Adres pocztowy 00-950 Warszawa, skrytka pocz. Nr 47

Odpowiedź na pismo
Nr ..... z dnia .....

WYCIĄG Z DOKUMENTÓW

Nazwisko WIŁKOMIRSKI ------- Imiona Józef ------

Data urodzenia ---------- Miejsce urodzenia ----------

Imiona rodziców --------- Zawód -------

Ostatni adres -------- Stopień i przydz. wojsk. ----------

Data aresztowania / wzięcia do niewoli -------- w ------ przez -----

Data przekazania X.1944r. ----- z Warszawy --------

Do Stalagu X-B -------- przez ----------

Numer ~~więźnia~~ jeńca 223119 ---- kategoria ~~więźnia~~ jeniec wojenny w niewoli niemieckiej ---

Przeniesienia ----------

Ostatnia wzmianka w dokumentach: ----------

Uwagi: - WIŁKOMIRSKI Józef pseudonim "SZLOM",/bliższych danych personalnych brak/,kapral, w październiku 1944r.został przekazany do obozu jenieckiego Stalag X-B.----

Podstawa: l.strat PCK:139

Adresat: Pan
Józef Wiłkomirski
ul.Małopolska 46B m.9
70-515 Szczecin

Kierownik Biura
Informacji i Poszukiwań
A.Sztomberkowa

tk

«ZESPÓR» z. 1071 n. 203.000

COMITÉ INTERNATIONAL DE LA CROIX-ROUGE

0-305

AGENCE CENTRALE DE RECHERCHES
17, AVENUE DE LA PAIX - CH 1211 GENÈVE

Référence : DP.135.024/sk

Genève, le 16.8.1977

A T T E S T A T I O N

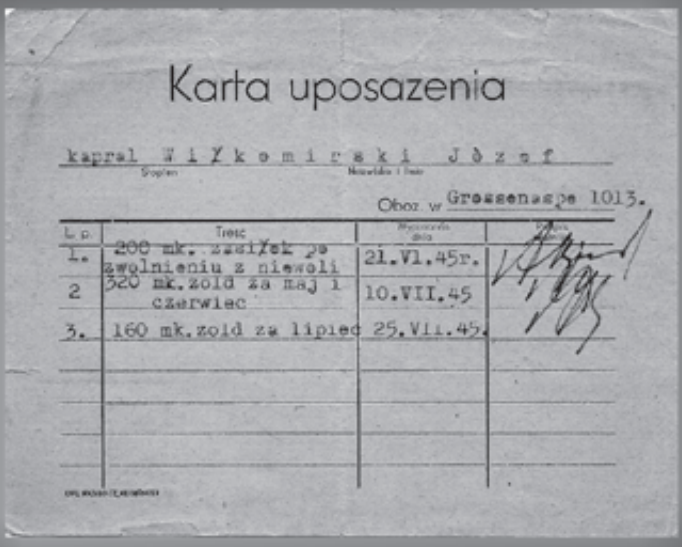
L'Agence centrale de Recherches certifie que selon la documentation qu'elle possède :

Nom, prénoms	WILKOMIRSKI Josef
Date de naissance	15.5.1926
Lieu de naissance	Kalisz
Fils de	Alfred
Grade	~~caporal~~
Incorporation	72me rég.d'infanterie A.K.
Matricule	--
a été fait prisonnier le	5.10.1944 à Varsovie
et interné	aux Stalags: X-B et X-A
sous le numéro	223.119

Le renseignement ci-dessus est attesté par : carte de présence au Stalag X-B du 25.11.1944; liste de prisonniers de guerre polonais du Stalag X-B avec mention du transfert en date du 15.12.1944 au Stalag X-A.-

Comité International de la Croix Rouge
AGENCE CENTRALE DE RECHERCHES
GENÈVE

CHÈQUES POSTAUX 12-5527 - TÉLÉPHONE 34 60 01 - TÉLÉGRAMME: INTERCROIXROUGE - TÉLEX: 22269



Karta uposazenia

kapral Wiżkowski Józef
Stopień Nazwisko i imię

Obóz w Grossenaspe 1013.

L.p.	Treść	Wypłacono dnia	Podpis
1.	200 mk. zasiłek po zwolnieniu z niewoli	21.VI.45r.	
2	320 mk.zołd za maj i czerwiec	10.VII.45	
3.	160 mk.zołd za lipiec	25.VII.45.	

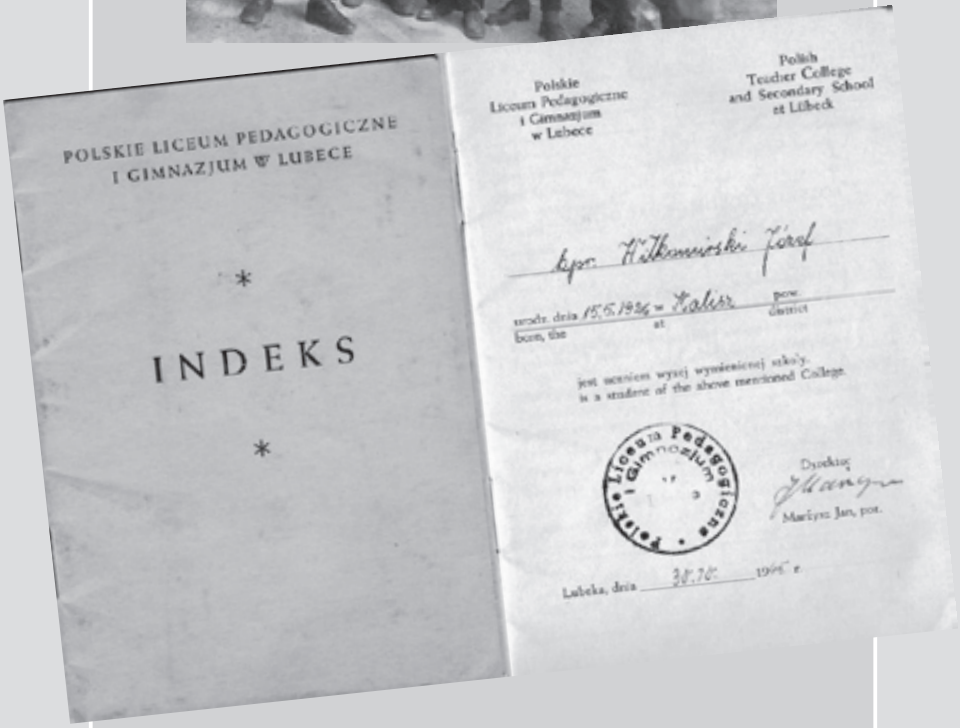


Z kolegami z obozu Grossenaspe,
29 lipca 1945 r.



Z kolegami z obozu już po wyzwoleniu
Lubeka, rok 1945





POLSKA YMCA

TEATR LUDOWY IM. W. BOGUSLAWSKIEGO

Lingen/Ems dn 20.XI 1945r.

Szan Panie!

Zapytuje czy nie reflektowałby Pan
na objęcie stan. prób. aktorskiej
w Teatrze YMCA Lingen/Ems.

Warunki

600 mk. mies.

Otrzymamy, umundurowanie
mieszkanie, deputat papierosów
wyżywienie.

Instrumenty dla Pana posiadamy
Prosimy o odpowiedź pilną.

Z Blaschke kpt.

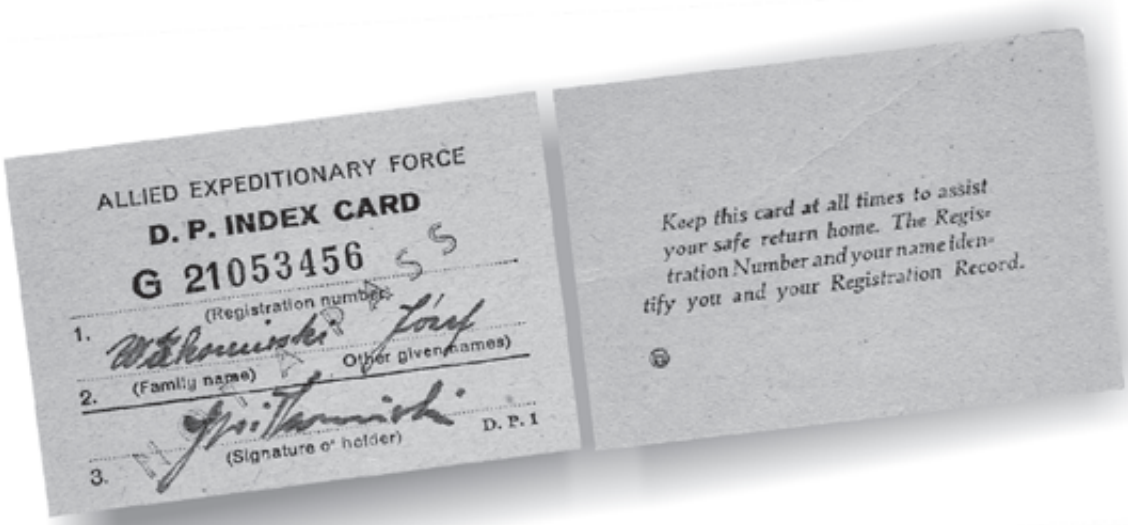
Szef/os YMCA Teatr Lingen/Ems.

POWRÓT



Powrót do Polski. Na statku w porcie gdyńskim,
14 grudnia 1945 r.





ALLIED EXPEDITIONARY FORCE

D. P. INDEX CARD

G 21053456

(Registration number)

1. Wiśniewski Józef

2. (Family name) (Other given names)

3. (Signature of holder)

D. P. 1

Keep this card at all times to assist your safe return home. The Registration Number and your name identify you and your Registration Record.

Komisja Likwidacyjna b. A.K.
Obszar Centralny
Okręg Łódzki

L. ewid. 524
dnia 18/XII 1945 r.

Zaświadczenie

Ob. Kpr. z czasu wojny Wiśniewski Józef członek b. Armii Krajowej zarejestrowany w dniu 18/XII 45 r. w Komisji Likwidacyjnej Okręgu Łódź spełnił obowiązek stawienia się.

Obserwator Min. Bezp. Publ.

Przewodniczący Komisji

STUDIA MUZYCZNE



Chór i orkiestra Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi,
rok 1946



Obóz akademicki studentów
Uniwersytetu Łódzkiego w Wędrzynie k. Sulęcina,
lato 1947 r.

Stowarzyszenie Samopomocowe

BRATNIA POMOC
STUDENTÓW UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Zarząd i Sekretariat: ul. St. Jaracza 7, I p. telefon 268-66
Nr. czekowy w Banku Gosp. Spółdz. Nr. 82, w P.K.O. VII-4333, w K.K.O.-285

L. dz. 344/147 [illegible].

Łódź, dn. 14 lipca 194[illegible] r.

Delegacja służbowa

Zarząd Bratniej Pomocy Stud. U.Ł. mianuje kol. Wiśniewskiego Józefa delegatem do załatwienia wszelkich spraw związanych z wczasami akademickimi w Karpaczu. Kol. Wiśniewski upoważniony jest do reprezentowania Bratniej Pomocy Stud. U.Ł. wobec Władz oraz zawierania umów dotyczących organizacji sklepu i kawiarni w Karpaczu pod f-mą Bratniej Pomocy.

Jednocześnie upoważnia się kol. Wiśniewskiego do załatwiania w imieniu Bratniej Pomocy pozwoleń potrzebnych dla uruchomienia i dalszego prowadzenia wyżej wymienionej kawiarni i sklepu.

Prosimy wszelkie Władze i Instytucje o udzielenie naszemu delegatowi jak najdalej idącej pomocy.

Za Zarząd BP:

Sekretarz: / Smolaga Henryk /

Prezes: / Kwiatkowski Leszek /



Spotkanie Zarządu Bratniej Pomocy
Studentów Uniwersytetu Łódzkiego
z Senatem Uczelni, rok 1947.
W środku siedzi rektor Tadeusz Kotarbiński.



Występy w Czechosłowacji łódzkiego
Teatru Domu Wojska Polskiego, rok 1947



Koncert w Filharmonii Krakowskiej, listopad 1951 r.
Leonid Kogan gra koncert Chaczaturiana

KONSERWATORIUM
Państw. Wyższa Szkoła Muzyczna
Warszawa, Al. Stalina 3, tel 8.33.13
L. dz. 1073/50.

Warszawa, dnia 5 lipca 1950 r.

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Rektorat Konserwatorium, Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie niniejszym zaświadcza, że :

Ob. W I Ł K O M I R S K I J Ó Z E F

ur. dn. 15 maja 1926 r. w Kaliszu w roku szkolnym 1949/50 na Wydziale teorii, kompozycji i dyrygentury - sekcja dyrygentury, ukończył pełny kurs nauk muzycznych, objętych programem wyższych szkół muzycznych z wynikiem bardzo dobrym.

Zaświadczenie powyższe zostanie wymienione na dyplom ukończenia szkoły.

R E K T O R

/prof.St.Kazuro/



PAŃSTW. FILHARMONIA W KRAKOWIE

Sobota 23 września 1950

VI. KONCERT SYMFONICZNY

JÓZEF WIŁKOMIRSKI

DYRYGENT

WANDA WIŁKOMIRSKA

SKRZYPCE

ORKIESTRA PAŃSTWOWEJ FILHARMONII W KRAKOWIE

PAŃSTW. FILHARMONIA W KRAKOWIE

Piątek, dnia 22 września 1950 r.

Sala Państwowej Filharmonii Kraków, ul. Straszewskiego 18

V. KONCERT SYMFONICZNY MŁODOCIANYCH ARTYSTÓW

JÓZEF WIŁKOMIRSKI

DYRYGENT

SOLIŚCI

ALEKSANDRA ABLEWICZ

JERZY GODZISZEWSKI

FORTEPIAN

MOZART: Uwert. „Don Juan"

HAYDN: Koncert fort. D-dur

MENDELSSOHN: Koncert fort. g-moll

LISZT: Preludia

ORKIESTRA PAŃSTW. FILHARMONII W KRAKOWIE

PAŃSTWOWA OPERA I FILHARMONIA W WARSZAWIE

NOWOGRODZKA 49

XXXIX KONCERT SYMFONICZNY

Piątek dnia 9 czerwca 1950 r.

godz. 19

ORKIESTRA PAŃSTWOWEJ FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

ABSOLWENCI KONSERWATORIUM P. W. S. M. w WARSZAWIE

DYRYGENT

JÓZEF WIŁKOMIRSKI

SOLIŚCI

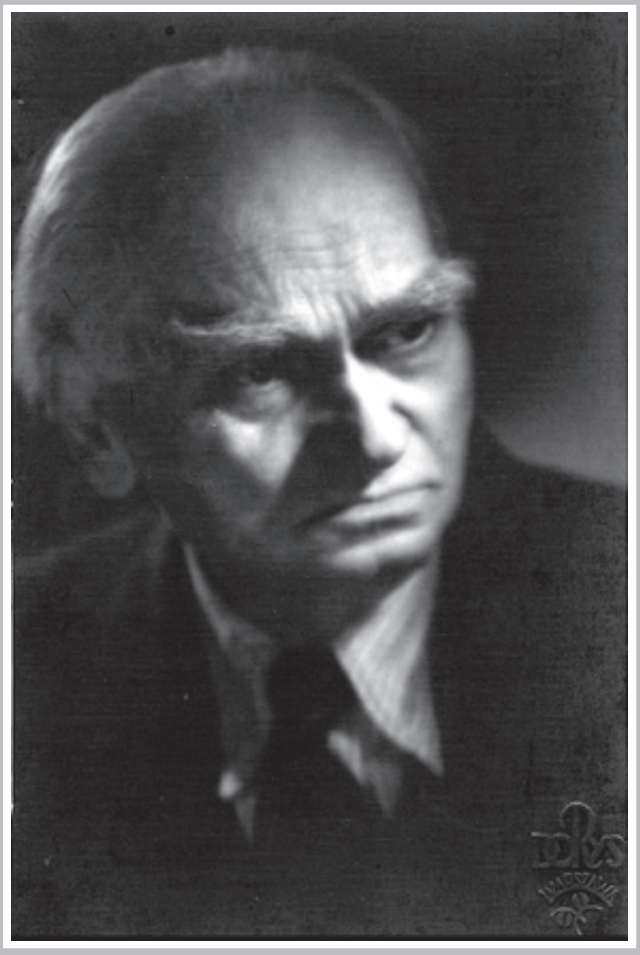
EDWARD PAWLAK

SKRZYPCE

STANISŁAW SANTOR

SKRZYPCE

PROGRAM



Ojciec,
Łódź, prawdopodobnie rok 1950



W Warszawie, rok 1950



Warszawa, rok 1953. Zebranie założycielskie SPAM.
Siedzą od lewej: Stanisław Skrowaczewski, siostra Wanda, brat Kazimierz,
Stanisław Urstein, ja, Maryla Opacka-Kunińska i Jan Hofman.



Podczas występów “Mazowsza” w Budapeszcie, 1954 r.



Filharmonia Narodowa, maj 1955 r. Koncert orkiestry Filharmonii Poznańskiej w ramach
II Festiwalu Muzyki Polskiej, Maria Drewniakówna śpiewa "Tryptyk śląski" W. Lutosławskiego

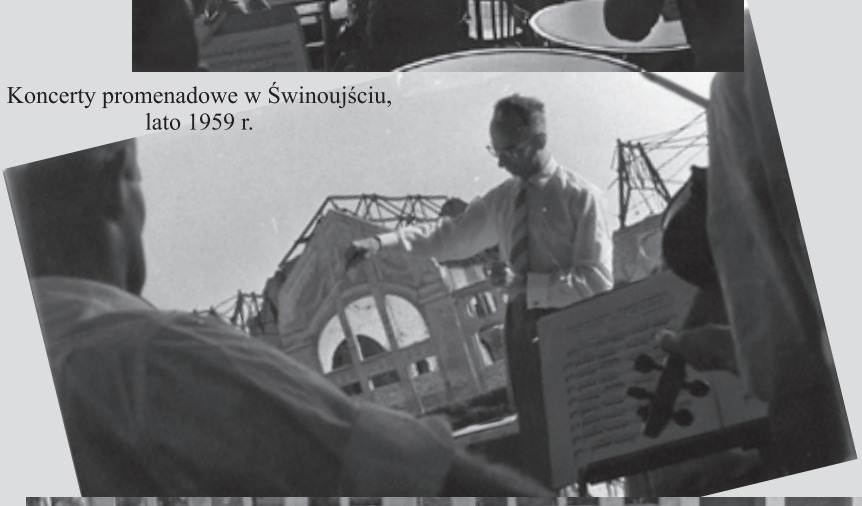


Rostock, maj 1958 r.



Filharmonia Szczecińska 1959 r., siostra Wanda gra koncert Chaczaturiana





Koncerty promenadowe w Świnoujściu,
lato 1959 r.





Po koncercie
w Filharmonii Narodowej,
prawdopodobnie
w październiku 1960 r.



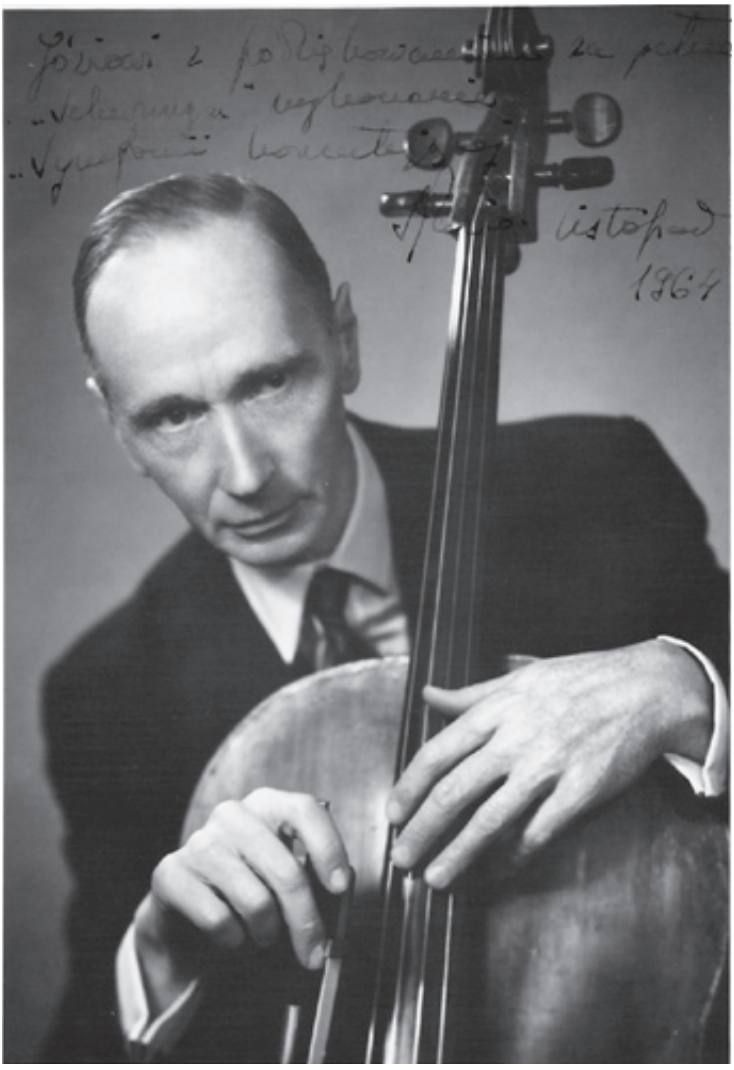
Filharmonia Narodowa,
Warszawa 1962 r.



Po koncercie w Filharmonii Narodowej z obiema siostrami, Marią i Wandą,
1 czerwca 1962 r.

Po koncercie z siostrą Wandą





Przyrodni brat Kazimierz, 1964 r.



Koncert z orkiestrą Filharmonii Szczecińskiej w Warszawie, grudzień 1962 r.

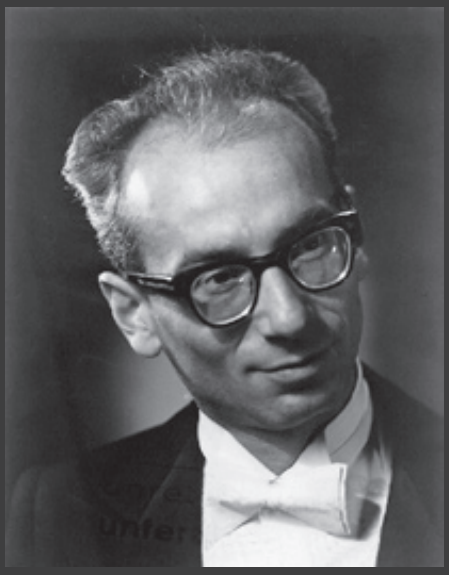


Koncert z orkiestrą Filharmonii Narodowej, Warszawa kwiecień 1963 r.



Koncert z orkiestrą w Poczdamie, marzec 1968 r.

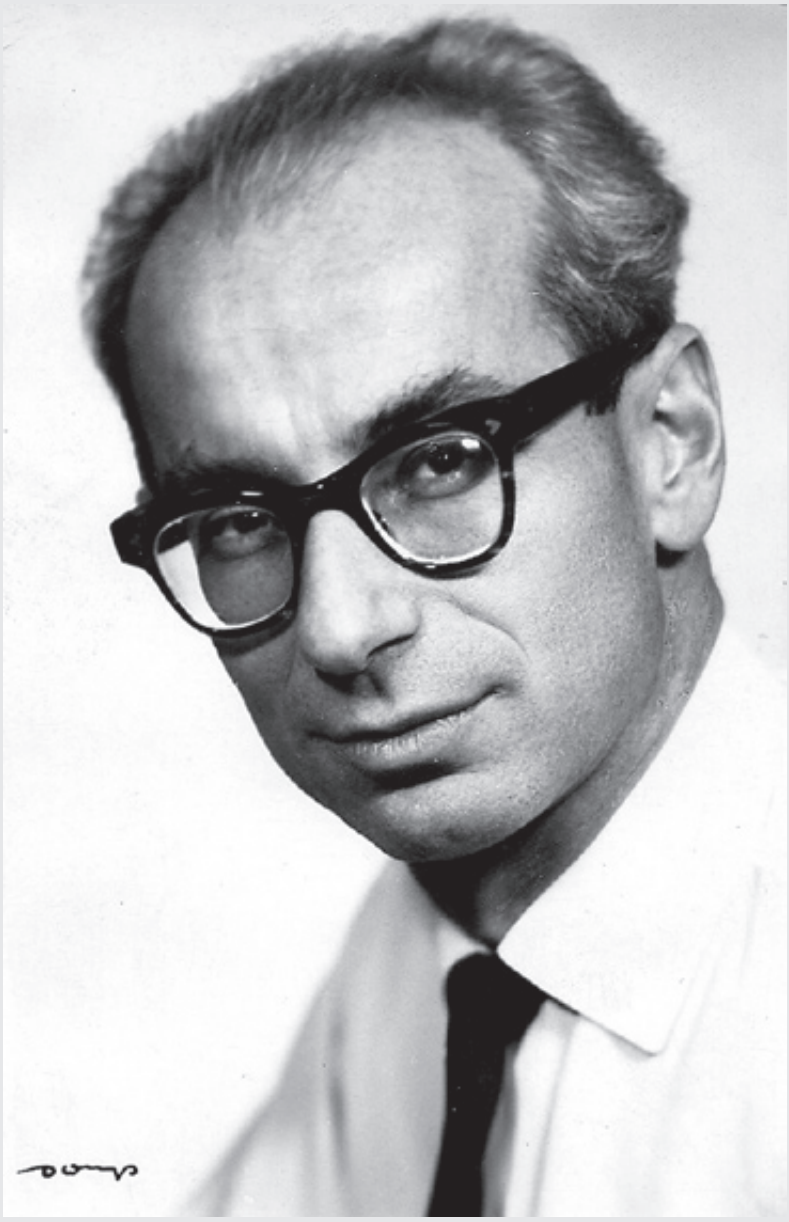
MAMA



1976 r.



Matka, Dorota, marzec 1976 r.



W Warszawie, 1977 r.



Polskie prawykonanie mojej “Stelii 70”, Olsztyn, 14 grudnia 1980 r.

Od wydawcy

Cieszymy się, że możemy oddać w Państwa ręce książkę „Lata 1926 – 2006. Wspomnienia nie tylko muzyczne" Józefa Wiłkomirskiego, znanego człowieka kultury. Jego dokonania w tej dziedzinie - a głównie na rzecz rozwoju życia muzycznego w kraju, na Dolnym Śląsku i w Wałbrzychu – zyskały trwałe miejsce. Wspomnienia pełne są faktów, znanych nazwisk oraz istotnych wydarzeń, których Autor był uczestnikiem lub świadkiem. To bogata historia naszego kraju, regionu i miasta związana z muzyką i szerzej – z kulturą, ale także z życiem społecznym i politycznym.

Józef Wiłkomirski napisał o osiemdziesięciu latach swojego życia, tak jak je zapamiętał, o wrażeniach i odczuciach jakie pozostawiło bogactwo zdarzeń na przestrzeni tego czasu. Być może niektóre sformułowania zawarte w Jego autobiografii mogą wydawać się kontrowersyjne. Jest to jednak kwestia subiektywizmu piszącego i Jego odpowiedzialności za słowo.

Wydawca przyjął zasadę nieingerownia w treść wspomnień.

Wydanie tak obszernej pozycji było dla Stowarzyszenia Inteligencji Twórczej niemałym wyzwaniem, w dużej mierze ze względów finansowych, ale także wynikającym z konieczności dotrzymania napiętych terminów warunkujących uzyskanie wsparcia finansowego.

Dlatego jesteśmy bardzo wdzięczni wszystkim, którzy pomogli nam w realizacji tego przedsięwzięcia wydawniczego. Dziękujemy instytucjom, firmom i osobom prywatnym za pomoc finansową, za dobre rady, życzliwość i zainteresowanie. Wyszczególnienie wszystkich w odrębnym miejscu niech stanie się formą naszego podziękowania, a także trwałym świadectwem ich zrozumienia i otwartości na potrzeby kultury, jej twórców oraz znaczenia promocji w tej dziedzinie. Bez ich wsparcia wydanie autobiografii Józefa Wiłkomirskiego nie byłoby możliwe.

Wydawca - Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej
prezes Elżbieta Maria Kokowska

SPIS TREŚCI

Wstęp **7**

Rozdział I - Rodzina **9**
Legendy rodzinne 9
Ojciec 12
Matka 13
Rodzeństwo 15

Rozdział II - Dzieciństwo **16**
Pierwsze lata (1926 - 1934) 16
Mieszkanie 17
Początki nauki 17
Dom rodzinny 19
Choroby 20
Odżywianie 22
Książki 24

Rozdział III – Dzieciństwo (1934 - 1938) **26**
Lektury 26
Nauka 28
Zabawy i zabawki 30
Wakacje 32
Historia 34
Ostatni rok przed wojną 36

Rozdział IV – Wojna i początek okupacji - (1939 - 1940) **42**

Rozdział V – Warszawa (I) (1940 - 1942) **49**
Podróż 49
Parę refleksji 50
Nowa rodzina 50
Pierwsze wrażenia 53
Sposoby przetrwania 54
Rygory moralne 55
Zycie koncertowe 55
Lektury 56
Getto 58
Biuletyn Informacyjny 58

Rozdział VI – Warszawa (II) (1943 - 1944) **61**
Wiadomości z frontów 62
Chcę grać 62
Powstanie w gettcie 66

Teozofia 66
Żeromski i Wyspiański 69
Pierwsza miłość 70
Moje próby literackie 71

Rozdział VII – Warszawa (III) 73
„Spotkania" z Niemcami 73
Praca zarobkowa 78
Państwowa Szkoła Muzyczna 80
Różne wydarzenia 81

Rozdział VIII – Powstanie (I) – KKO 85
Wybuch powstania 85
Moje „akcje bojowe" 88
Codzienne życie 91
Szczęśliwe przypadki 93
Różne inne wydarzenia 95
Upadek KKO 97

Rozdział IX – Powstanie (II). Instytut Głuchoniemych 100
W nowym miejscu 100
Ludność cywilna 103
Kapitulacja 104
Wyjście z Warszawy 106
Próba podsumowania 107

Rozdział X- Obóz w Sandbostel 110
Podróż do obozu 110
Pierwsze dni w obozie 111
Obozowe skandale 113
Praca w obozie 116
Wyjazd z obozu 118

Rozdział XI – Hamburg 121
Pierwszy dzień w nowym obozie 121
Praca w stoczni 122
Marzec 1945 124
Erziehtungslager 127
Bombardowanie 129
Ostatnie dni w Hamburgu 132

Rozdział XII – Pokonane Niemcy 135
Odzyskana wolność 135
Wędrówki 137
Wracać – nie wracać 139
Lubeka – liceum 141

Lubeka – ostatnie tygodnie 144
Powrót 146

Rozdział XIII – Przełom lat 45/46 148
Grudzień 1945 148
Pracowite miesiące 150
Sytuacja polityczna 153
Wiosna 46 155
Dłużewo 159

Rozdział XIV – Jesień 1946 – Zima 1947 162
Łódzcy rektorzy 162
Studia 163
Filharmonia 165
„Bratnia Pomoc” 167
Inne wydarzenia 169

Rozdział XV – Rok 1947 173
Czytanie – pisanie 173
„Dezerter” 174
Działacz katolicki 177
Niepokorny 178
Wizyta w UB 180
Obozy letnie 182
Podróż do Czechosłowacji 184

Rozdział XVI – Rok 1948 188
Ślub 189
„Krakowiacy i górale” 191
Wiosenne wydarzenia 192
Groźny zatarg 193
Odchodzę z „Bratniej Pomocy” 196

Rozdział XVII – Rok 1949 198
Pochód i egzamin 198
Zjazd w Poznaniu 200
Ciężkie miesiące 202
Praca w operze 203
Warszawska PWSM 205
Przygoda w pociągu 207

Rozdział XVIII – Rok podyplomowy 210
Druga praca 210
Przed dyplomem 213
Ostatnie egzaminy 214
Koncert dyplomowy 216

Lato 1950 218
Pierwsze koncerty 219
Weryfikacje 222

Rozdział XIX – 1950/ 51/ 52 225
Trudne początki 225
Festiwal w Warszawie 227
Wypadek z ręką 229
„Mazowsze” 231
Odchodzę z „Mazowsza” 233
„Skolimów” 235
Ciekawe spotkania 238

Rozdział XX – Kolejne wydarzenia 241
Wypadek samochodowy 241
Festiwal w Bukareszcie 243
Opuszczam „Skolimów” 245
Polityka w „Skolimowie” 248

Rozdział XXI – Poznań 251
Pierwsze miesiące 251
Maj 55 253
Wyjazd do Włoch 255
Konkurs dyrygencki 258
Zwiedzanie Włoch 260

Rozdział XXII – Wydarzenia polityczne 263
Paryż. 263
Październik 56 266
Przed zmianami 268
Przełomowe miesiące 269
Zmiana 273
Wizyta w ministerstwie 275

Fotografie 277



Józef Wiłkomirski - dyrygent, kompozytor, wiolonczelista, popularyzator kultury, pisarz i publicysta. Jego nazwisko znajduje się w wielu encyklopediach i wydawnictwach Who is Who na świecie.

Urodził się 15 maja 1926 r. w Kaliszu, w rodzinie z bogatymi tradycjami muzycznymi. Jego ojciec, Alfred wykładał w konserwatorium w: Warszawie, Łodzi, Lublinie. Maria i Kazimierz, przyrodnie rodzeństwo, byli znanymi muzykami i aktywnymi uczestnikami życia muzycznego w Polsce. Siostra, Wanda, jako skrzypaczka zyskała międzynarodową sławę.

Józef Wiłkomirski - żołnierz Armii Krajowej walczył w Powstaniu Warszawskim w 1944 r. W ciągu kolejnych lat powojennych pozostawał aktywnym uczestnikiem życia kulturalnego i społecznego, świadkiem i bacznym obserwatorem najważniejszych wydarzeń w powojennej Polsce. Jest m.in. współzałożycielem Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, które funkcjonuje do dziś.

Po wojnie studiował grę na wiolonczeli oraz dyrygenturę w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi, potem w Warszawie. Uczelnię warszawską ukończył w 1950 r. Od 1946 r. był wiolonczelistą w orkiestrze Państwowej Filharmonii w Łodzi i orkiestrze Opery Warszawskiej. Był dyrygentem orkiestry w Państwowej Filharmonii w Krakowie (1950-51), Państwowej Filharmonii w Poznaniu (1954-57). W latach 1957-71 zajmował stanowisko dyrektora i kierownika artystycznego Państwowej Filharmonii w Szczecinie. W 1978 r. odbył się koncert inaugurujący działalność Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu, której Józef Wiłkomirski był założycielem i pozostawał jej dyrektorem naczelnym i artystycznym do września 2005 r.

Autor wspomnień dyrygował orkiestrami na ponad tysiąc sześciuset koncertach w dwudziestu sześciu krajach Europy, Azji i Ameryki. Komponuje od 1968 r. i jego utwory wykonywane były w czternastu krajach europejskich, amerykańskich i azjatyckich. Jest mu bardzo bliska edukacja muzyczna dzieci i młodzieży. Do najmłodszego odbiorcy skierował setki kompozycji, również baśni muzycznych, które zaopatrywał także we własne teksty. Zajmował się popularyzacją muzyki w radiu i telewizji, przygotowując ok. czterysta audycji. Ma dorobek dziennikarski - ponad trzysta artykułów i felietonów na tematy nie tylko muzyczne.

Uhonorowany m.in.: Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (1998), Orderem Sztandaru Pracy I klasy (1986), Krzyżem Powstańczym (1985), Krzyżem Armii Krajowej (1995), Medalem Komisji Edukacji Narodowej (1984), Złotym Medalem „Gloria Artis" (2008), Dolnośląskim Kluczem Sukcesu (2002) oraz wieloma nagrodami, a także tytułami zasłużonego dla kilku miast i regionów. Wyróżniony za działalność na rzecz dzieci.

ISBN 978-83-930022-0-7